



VAL McDERMID

GORĄCZKA  
KOŚCI

Prószyński i S-ka

# GORĄCZKA & KOŚCI

## VAL McDERMID

Brutalnie okaleczone zwłoki czternastolatki. Przyczyna śmierci – uduszenie. Plastikowy worek na głowie. Żadnych śladów, nieznaną motyw zbrodni. Gwałt? Zemsta? A może przypadek? Nie mogąc rozwikłać zagadki, zdesperowani policjanci z północnej Anglii wzywają na pomoc znanego, choć ekscentrycznego psychologa dr. Tony'ego Hilla – doświadczonego analityka, dla którego zbrodnicze umysły przestępców nie stanowią tajemnicy. A ten konkretny to nie łąda wyzwania.

Tymczasem bez śladu znikają kolejne nastolatki. Na nogi zostają postawieni śledczy z kilku okręgów, w tym przyjaciółka dr. Hilla – inspektor Carol Jordan. Zdopingowani jak nigdy, odkrywają nowe dowody w sprawie innego tajemniczego zaginięcia sprzed kilkunastu lat.

Czy te wszystkie sprawy coś łączy? Czy uda im się trafić na trop podejrzanych, którzy tak umiejętnie zacierają ślady i gubią pościg?

ISBN  
9/10  
2475

Cena 36 zł

ISBN 978-83-7648-453-2



9 788376 484532

[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Patronat medialny

ANTYRADIO

[nakanapie.pl](http://nakanapie.pl)

Zbrodnia  
w Bibliotece

OPENT

VAL McDERMID

GORĄCZKA  
KOŚCI

Przełożył  
Kamil Lesiew

*Prószyński i S-ka*

Tytuł oryginału FEVER OF THE BONE

Copyright © Val McDermid 2009 All rights reserved

Projekt okładki

Dark Crayon/Piotr Cieśliński

Fragment wiersza T.S. Eliota

w przekładzie Krzysztofa Boczkorskiego

*Szepty nieśmiertelności. Poezje wybrane*, Kraków 2001

Redaktor

Katarzyna Rudzka

Redakcja

Katarzyna Szajowska

Korekta

Grażyna Nawrocka

Łamanie Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7648-453-2

Warszawa 2010

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

ul. Garażowa 7, 02-651 Warszawa

[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Druk i oprawa

Drukarnia Naukowo-Techniczna

Oddział Polskiej Agencji Prasowej

ul. Mińska 65, 03-828 Warszawa

Dla całej wesołej gromadki, która stanowi moją rodzinę,  
zarówno w sensie biologicznym, jak i pragmatycznym.

Choć nie przepadam raczej za biwakami,  
jestem jednak dumnym mieszkańcem tego jedyne-  
go w swoim rodzaju „dużego namiotu”.

Cielesny dotyk łez i spermy  
Gorączki nie ugasi kości.

T.S. Eliot, „Szepty nieśmiertelności”  
(przeł. Krzysztof Boczkowski)

*Krew. Wszystko w końcu sprowadza się do krwi. Niektóre krzywdy możesz puścić w niepamięć. Potraktować je jako nauczkę od losu, ostrzeżenie przed niebezpieczeństwami czyhającymi w przyszłości. Za tę zdradę jednak muszą zapłacić. A walutą może być tylko krew.*

*Nie żebyś czerpał radość z samego zabijania. Skądże. To byłoby już wynaturzenie. A ty przecież nie jesteś potworem. Twoje działania są uzasadnione. Robisz to, by uzdrowić własne życie. By poczuć się lepiej.*

*Dużo mówi się o rozpoczynaniu wszystkiego od nowa - tabula rasa i te sprawy. Ale wielu ludzi ogranicza się tylko do słów. Sądzą, że wystarczy przeprowadzić się, zmienić pracę lub kochanków, a wszystko nagle się odmieni. Jednak ty rozumiesz, że to nie tak. Wiesz, że każda zmiana wymaga ojiar.*

*Zajmowanie się swoją listą to po prostu sprzątanie po sobie, oczyszczenie. Tak jakbyś wszedł do klasztoru i spalił wizerunki ziemskich bożków, obserwując, jak płomienie pochłaniają to, co trzyma ich w doczesnych ryzach. Dopiero wtedy, gdy wypalisz przeszłość żywym ogniem, możesz naprawdę zacząć od nowa. Z nowymi marzeniami i aspiracjami. Pogodzony zarówno z tym, co możliwe, jak i z tym, co dawno minione.*

*Zresztą, twoje uczynki to całkowicie wyważona zemsta. Zdrada za zdradę, życie za życie, strata za stratę. Ogarnia cię uczucie wyzwolenia, gdy cichnie ostatni oddech i przechodzisz do zabawy z nożami i skalpelami. A gdy krew cieknie miarowo, czujesz, że w końcu robisz to, co należy - jedyną racjonalną rzecz w tych szczególnych okolicznościach. Oczywiście nie wszyscy tak to oceniają.*

*Ktoś powie, że ŻADNA ocena nie będzie bliska twojej. Ale ty przecież wiesz, że to nieprawda. Zdajesz sobie sprawę, że znajdą się tacy, którzy przyklasną twojemu pomysłowi - pod warunkiem że kiedykolwiek dowiedzą o twoich uczynkach. Ludzie, których marzenia legły w gruzach, tak jak twoje. Oni to zrozumieją. I będą ci zazdrościli przedsiębiorczości, sami chcąc być na twoim miejscu.*

*A jeśli twoje dzieło ujrzy światło dzienne, być może nawet pójdą w twoje ślady.*



# ROZDZIAŁ 1

Wysoko sklepiony sufit wzmacniał każdą rozmowę, niosąc ją echem po całej sali. Kwartet jazzowy walczył co sił, by zagłuszyć panujący w pomieszczeniu zgiełk, ale nie miał większych szans w konkurencji z dominującym jazgotem. Panował tam ciężki zaduch, który stanowił mieszaninę potu, testosteronu, wody po goleniu, przekąsek i alkoholu oraz powietrza wydychanego przez ponad setkę gości. Jeszcze niedawno papierosowy dym przytłumiłby naturalną woń ludzkiego ciała, ale - jak odkryli właściciele pubów po wprowadzeniu zakazu palenia - ludzie nie doceniali, że w tłumie drażnili zmysł węchu o wiele bardziej, niż mogło im się wydawać.

Na sali dominowali mężczyźni. Nie licząc krążących z tacami kelnerek, kobiet nie było zbyt wiele. Jak zwykle na tym etapie każdej policyjnej imprezy pożegnalnej, wielu gościom puściły już hamulce, niejedną twarz zdobił charakterystyczny pijacki rumieniec. Jednak obecność starszych stopniem oficerów zobowiązywała do zachowania pewnego poziomu i odstraszała potencjalnych amatorów macanek i obściskiwania.

Doktor Tony Hill zastanawiał się, jak, u diabła, znalazł się w tym miejscu. Nie po raz pierwszy i zapewne nie po raz ostatni.

Jeśli już, to miał ochotę spędzić trochę czasu prawdopodobnie tylko z jedną kobietą - tą, która właśnie przedzierała się ku niemu przez nieprzebrany tłum gości.

Ich losy złączyło przed laty pewne zabójstwo. To ono przywiodło ich do wzajemnego zrozumienia, nawet bez słów. To dzięki niemu Tony nauczył się szacunku dla zalet umysłu i moralności Carol. Z wzajemnością. Od

niepamiętnych czasów tylko nadinspektor Carol Jordan udało się przekroczyć granicę tego, co Tony musiałby nazwać „przyjaźnią”. Czasem jednak przyznawał przed samym sobą, że określenie „przyjaźń” nie w pełni oddawało istotę zażyłości, która ich łączyła - i to pomimo zagmatwanych kolei jej losu. Nawet lata doświadczeń na polu psychologii klinicznej nie pomogły mu wpaść na bardziej adekwatne sformułowanie. A już na pewno nie wymyśliłby go tutaj, w miejscu, w którym być nie chciał.

Carol o wiele lepiej od niego unikała sytuacji, na które nie miała ochoty. Potrafiła też niemal bezbłędnie je rozpoznać i odpowiednio się wobec nich zachować. Ale akurat dzisiaj z własnej woli zdecydowała się być właśnie tutaj. Dla niej obecność w tym miejscu miała znaczenie, którego Tony nie potrafił zrozumieć.

Niby John Brandon był pierwszym starszym stopniem gliną, który potraktował go poważnie i wyciągnął ze świata terapii i teorii, stawiając w awangardzie profilowania przestępców w praktyce. Ale jeśli nie on, z pewnością zrobiliby to ktoś inny. Brandon był gorącym orędownikiem portretów psychologicznych, za co Tony bardzo go cenił. Mimo to ich relacje pozostały czysto zawodowe. Z chęcią wymigałby się od dzisiejszego wieczoru, lecz Carol przekonała go, że jego nieobecność zostałaby uznana za osobliwą. Tony wiedział, że jest ekscentrykiem. Wolał jednak zachowywać pozory. Koniec końców, skorzystał z zaproszenia, przyklejając uśmiech do twarzy za każdym razem, gdy ktoś złowił jego wzrok.

Z kolei Carol wyglądała na śmiertelnie znudzoną. Z wdziękiem prześlizgiwała się przez rzeszę ludzi. Połyskująca ciemnoniebieska suknia podkreślała jej nienaganną figurę, począwszy od ramion, poprzez biust, a skończywszy na udach i łydkach. Jej płowe włosy wydawały się jaśniejsze niż zwykle, ale Tony wiedział, że to raczej zasługa coraz liczniejszych siwych kosmyków w jej blond lokach niż starań fryzjera. Poruszając się po sali, jej twarz ożywała nieszczerymi pozdrowieniami, usta - promiennymi, sztucznymi uśmiechami, a brwi i oczy - udawanym zaskoczeniem.

W końcu znalazła się u jego boku, podając mu kieliszek wina. Carol wypila łyk ze swojego.

- Pijesz czerwone - zauważył Tony.

- Białe smakuje jak szczyuny.  
Tony nieufnie upił łyżeczek białego.

- A to niby ma być lepsze?

- Zaufaj mi.

Biorąc pod uwagę, że Carol miała nad nim zdecydowaną przewagę w liczbie wychylonych lampek, Tony dał się skusić.

- Zaplanowali jakieś przemówienia?

- Zastępca komendanta ma powiedzieć kilka słów.

- Tylko kilka? Niewiarygodne.

- Ano. Na domiar złego wykopali skądś „Bicz Boży”, by wręczył Johnowi złoty zegarek.

Tony odchylił się teatralnie, z nie do końca udawanym przerażeniem.

- Chyba nie sir Dereka Armthwaite'a? To on jeszcze nie kopnął w kalendarz?

- Niestety, nie. Pomyśleli, że zaproszenie go byłoby pięknym gestem, skoro to jemu John zawdzięczał kolejne awanse.

Tony się wzdrygnął.

- Przypomnij mi, żebym nie prosił twoich kolegów o organizację mojego pożegnania ze służbą.

- Nie grozi ci to, bo przecież nie jesteś jednym z nas - zadrwiła. Uwaga była kąśliwa, lecz uśmiech Carol złagodził jej wymowę. - Z tej okazji możesz liczyć co najwyżej na to, że dam się namówić na wypad na najpyszniejsze curry w Bradfield\*.

\* Choć w Anglii istnieje kilka miejscowości o nazwie Bradfield, miasto przedstawione na łamach tej książki jest całkowicie wytworem wyobraźni autorki, leżącym gdzieś w historycznym hrabstwie Yorkshire, w północnej części środkowej Anglii (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Zanim Tony zdążył z ripostą, energiczny głos asystenta brutalnie przerwał ich rozmowę, przedstawiając zebranym zastępcę komendanta policji metropolitalnej w Bradfield. Carol opróżniła kieliszek i z powrotem wtopiła się w tłum w poszukiwaniu kolejnego drinka i - jak obstawiał Tony - nowych kontaktów zawodowych.

Carol Jordan już kilka lat temu awansowała na nadinspektora, a ostatnio przewodziła własnej sekcji śledczej, zajmującej się jedynie sprawami z

najwyższej półki. Wiedział, że Carol waha się pomiędzy spożytkowaniem swoich zdolności w terenie a ambicją osiągnięcia szczybla kariery umożliwiającego jej wpływ na policyjną doktrynę. Tony zastanawiał się jednak, czy po odejściu Johna Brandona wciąż będzie miała jakikolwiek wybór.

Dogmaty jego wiary przekonywały go, że każde życie ma taką samą wartość, jednak inspektor Stuart Patterson nigdy nie potrafił uwierzyć w tę zasadę w stosunku do zmarłych. Zadżganie jakiegoś szubrawego ćpuna w wojnie gangów w życiu nie poruszyłoby go tak głęboko jak śmierć i okaleczenie tego dzieciaka. Stał obok białego namiotu, który chronił miejsce zbrodni przed nocnym deszczem bębniącym o płótno. Pozwolił specjalistom robić, co do nich należy, próbując oddalić od siebie nasuwające się porównanie między martwą dziewczyną a jego własną, ledwo co nastoletnią córką.

Gdyby dziewczyna, która stanowiła teraz centrum zainteresowania jego służb, nosiła inny mundurek, z powodzeniem mogłaby uchodzić za jedną z klasowych koleżanek Lily. Pomimo pojedynczych nadgniłych liści, które wiatr i deszcz przykleiły na przezroczysty plastikowy worek przykrywający jej twarz i włosy, ofiara wyglądała na schludną i zadbaną. Matka zgłosiła zaginięcie córki zaraz po dziewiątej, co wskazywało na punktualność ofiary (czego nie można było powiedzieć o Lily) i na rodzinę podporządkowaną bardziej regularnemu planowi dnia niż bliscy każdego gliniarza.

Teoretycznie było możliwe, że ciało ofiary nie należało do Jennifer Maidment, skoro znaleziono je jeszcze przed wypełnieniem raportu o zaginięciu, a policjanci na miejscu zbrodni nie dysponowali dotychczas zdjęciem zaginionej. Patterson jednak nie bardzo wierzył w taką ewentualność - w końcu jak często tej samej nocy giną bez wieści aż dwie uczennice z tej samej szkoły w śródmieściu? Chyba że jedna maczała palce w śmierci drugiej. Choć w czasach, w których przyszło im żyć, trudno było cokolwiek wykluczyć.

Wejście namiotu dziko załopotало, poruszone ramieniem potężnego mężczyzny próbującego dostać się do środka. Jego barki były na tyle szerokie, że nie mógł dopiąć nawet największej kamizelki kuloodpornej

znajdującej się na wyposażeniu policji okręgu West Mercia\*. Krople deszczu przylgnęły do ogolonej czaszki o skórze koloru mocnego wywaru herbaty. Krople ściekały po twarzy przywodzącej na myśl oblicze boksera, który zmarnował swoje młodzieńcze lata na ringu. Przybysz ścisnął w dłoni kartkę papieru w koszulce.

\* Siły policyjne nadzorujące okręg w zachodniej części środkowej Anglii, w tym hrabstwa: Shropshire, Herefordshire i Worcestershire.

- Jestem tutaj, Alvinie - rzekł Patterson głosem zdradzającym głębię melancholijnej beznadziei.

Sierżant Alvin Ambrose ostrożnie podszedł do swojego szefa wzdłuż ścieżki ogrodzonej policyjną taśmą.

- Jennifer Maidment - stwierdził, podnosząc koszulkę zawierającą wydruk cyfrowego zdjęcia zaginionej. - To ona?

Patterson dokładnie przyjrzał się uwiecznionej na fotografii krągłej twarzy obramowanej długimi brązowymi włosami, po czym przytaknął z przygnębieniem.

- Niestety.

- Ładniutka - zauważył Ambrose.

- Teraz tak byś o niej nie powiedział - rzucił Patterson.

Zabójca pozbawił ją nie tylko pięknego oblicza, ale również i życia. I choć Patterson był ostrożny w wyciąganiu pochopnych wniosków, w tym wypadku mógł z dużym prawdopodobieństwem założyć, że przekrwiona skóra, spuchnięty język, wybałuszone oczy i ściśle przylegający do twarzy plastikowy worek wskazywały na zgon przez uduszenie.

- Zabójca szczelnie okleił taśmą worek wokół jej szyi. Okropna śmierć, nie ma co.

- Musiał ją jakoś unieruchomić - odparł Ambrose. - Inaczej próbowałyby się oswobodzić z worka.

- Nie znaleźliśmy żadnych śladów skrepowania. Ale dowiemy się więcej, dopiero gdy zabiorą ją do kostnicy.

- Napastowanie seksualne?

Pattersona aż przeszły ciarki.

- Napastnik ją pocałował. Na początku nam to umknęło, bo nie zajrzeliśmy

pod spódnicę. Dopiero lekarz to spostrzegł w czasie obdukcji. - Przymknął powieki, oddając się potrzebie pospiesznej, cichej modlitwy. - Ten skurwysyn ją zmasakrował. Nie wiem, czy nazwałbym to napaścią na tle seksualnym sensu stricto. Już prędzej seksualnym unicestwieniem!

Odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia. Zanim znów się odezwał, długo i ostrożnie ważył na swojej prywatnej szali nie tylko cisnące się na język słowa, ale również ciało Jennifer Maidment, jako odważnika używając zwłok innych osób, których przyczyny śmierci miał nieprzyjemność badać w swojej karierze.

- Najgorszy widok w całym moim życiu. Bez dwóch zdań.

Pogoda na zewnątrz namiotu była wprost fatalna. To, co jeszcze po południu zaczęło się jako krótki, lecz gwałtowny deszcz żądłący ciężkimi kroplami przechodniów bez parasola, napędzany silnymi podmuchami gwiżdżącego wiatru, przerodziło się w szalejącą nawałnicę. W nocy takiej jak ta rosnący poziom rzeki Severn dawał surową nauczkę mieszkańcom Worcesteru. Miejscowi mogli się spodziewać powodzi. Ale nie morderstwa.

Ciało znaleziono na skraju przydrożnego parkingu, który powstał w wyniku wyprostowania pasów głównej ulicy kilka lat wcześniej. Stary, ostry zakręt zaczął pełnić funkcję zatoczki dla ciężarówek i furgonetek, których kierowców zwabiały za dnia przekąski oferowane przez garkuchnię na kółkach. W nocy natomiast teren ten służył za nieformalny parking dla tirów, zazwyczaj mieszcząc cztery albo pięć ciężarówek wraz z kierowcami, którzy nie mieli nic przeciwko koczowaniu tutaj, by zaoszczędzić kilka funciaków. Za tę oszczędność przyszło zapłacić jednemu z nich, pewnemu Holendrowi - najwyraźniej z gatunku nielotów - który za potrzebą wygramolił się z szoferki swojego tira i natknął się na ciało dziewczyny.

Bujny lasek dorodnych drzew i gęstych zarośli skutecznie osłaniał tę felerną zatoczkę przed oczami mijających ją kierowców. Silna wichura wyla akurat wśród koron drzew, gdy przemakający do suchej nitki Ambrose i Patterson podbiegli z powrotem do swojego volvo. Już w środku inspektor zaczął wyliczać na palcach sprawy do załatwienia.

- Skontaktuj się z drogówką. Gdzieś tu mają kilka kamer potrafiących rozpoznać numery rejestracyjne aut. Niech sprawdzą każdy pojazd, który minął dziś ten odcinek drogi. Zadzwoń do biura kontaktów z rodziną. Niech przyślą mi jednego ze swoich ludzi, to razem wybierzemy się do domu ofiary. Zasięgnij też języka u dyrektora szkoły. Chcę wiedzieć, kim byli jej przyjaciele i nauczyciele. Z samego rana chcę ich mieć w sali przesłuchań. Poproś policjanta, który przyjmował zgłoszenie, żeby przesłał mi mejlem szczegółowy raport. Wprowadź w temat biuro prasowe. O dziesiątej utniemy sobie pogawędkę z pismakami. Dobra? O czymś zapomniałem?

Ambrose pokręcił głową.

- Zajmę się tym. Poproszę kogoś z drogówki, żeby mnie odwiózł. Wybierasz się do domu ofiary?

Patterson westchnął.

- Nie ma innego wyjścia. Ich córka nie żyje. Powinni więc usłyszeć złe wieści z ust starszego śledczego. Do zobaczenia na komendzie.

Ambrose wygramolił się z auta i ruszył w stronę policyjnych wozów ustawionych wzdłuż wjazdu do zatoczki. Patrząc na niknącą w oddali sylwetkę sierżanta, Patterson nie mógł się nadziwić, że tak niewiele jest w stanie poruszyć Ambrose'a, który bez zastanowienia brał na swe stateczne barki każdy problem i z uporem maniaka zabierał się za jego rozwiązanie - wszystko dla dobra śledztwa. Niezależnie od tego, ile kosztowała Ambrose'a ta pozorna znieczulica, akurat tej nocy Patterson z chęcią oddałby za nią wszystkie skarby świata.

## ROZDZIAŁ 2

Carol od razu zauważyła, że John Brandon dopiero się rozkręca. Jego smutna twarz, przywodząca na myśl pysk psa gończego, ożywiła się w stopniu, jakiego nigdy nie prezentował podczas codziennej pracy na komendzie. U jego boku stała ukochana Maggie, a jej oblicze rozjaśniał pobłażliwy uśmiezek, który Carol widziała już nieraz podczas obiadów w rodzinnym gronie, gdy Brandon zmieniał temat rozmowy z szybkością teriera dobierającego się do upolowanego królika.

Carol odstawiła na tacę mijającej ją kelnerki pusty kieliszek, zabrała pełny i udała się w stronę wnęki, w której siedział Tony. Mina jej przyjaciela bardziej pasowałaby do pogrzebu, ale to nie było dla niej żadnym zaskoczeniem. Wiedziała, że uważał podobne imprezy za okropną stratę czasu, i nie mogła mieć mu tego za złe. Jeśli chodziło o nią, sprawy miały się zupełnie inaczej.

To nie wokół łapania przestępców kręcił się świat współczesnej policji. Jak w każdej dużej organizacji, o wszystkim decydowała polityka. Niegdyś podobna okazja byłaby jedynie pretekstem do zorganizowania bezwstydnej popijawy z udziałem striptizerek. Teraz wszystko sprowadzało się jednak do nawiązywania kontaktów, zacieśniania więzów i rozmów, na które zwykle nie było miejsca i czasu na komendzie. Podobnie jak Tony, Carol wolałaby być gdzie indziej, ale doskonale wiedziała, że musi zacisnąć zęby i uśmiechać się szeroko, by zagwarantować utrzymanie własnego status quo w tej nieformalnej policyjnej hierarchii.

Ktoś nagle zatrzymał ją, kładąc rękę na ramieniu. Odwróciwszy się, Carol rozpoznała śledczą Paulę McIntyre, swoją podwładną.



- Właśnie przybył - szepnęła Paula do ucha szefowej.

Carol nie musiała nawet pytać, o kogo chodzi. Następcę Johna Brandona znali z nazwiska i poprzedzającej go reputacji. Ale poza tym był dla nich zagadką, tym większą, że nikt nie znał go osobiście. A to dlatego, że wcześniej pracował na drugim krańcu Anglii, na południowym zachodzie Wysp. Przenosiny z policji okręgu Devonu i Kornwalii do Bradfield zdarzały się niezwykle rzadko. Rezygnacja ze stosunkowej sielanki w regionie pełnym turystów na rzecz ciągłych, niezliczonych utarczek z uzbrojonymi w pistolety i noże bandytami w postindustrialnym mieście na północy przypominała zamianę przez stryjską siekierki na kijek. Chyba że w grę wchodził ambitny gliniarz, który wykonywał sobie, że zarządzanie czwartą co do wielkości siłą policyjną w kraju będzie dla niego odskocznią do dalszego awansu. Carol przypuszczała, że podczas rozmowy kwalifikacyjnej na stanowisko komendanta bradfieldzkiej policji metropolitalnej słowo „wyzwanie” padło z usta Jamesa Blake'a nie raz i nie dwa.

Carol rozejrzała się po sali.

- Gdzie go znajdem?

Paula spojrzała na Carol przez ramię.

- Przed chwilą zabawił rozmową zastępcę komendanta do spraw przestępczości, ale gdzieś go poniosło. Sorry, szefowo.

- Nie szkodzi. I tak dzięki za ostrzeżenie.

Carol wzniosła toast i kontynuowała swój spacer w kierunku Tony'ego. Nim dotarła na miejsce, opróżniła kolejny kieliszek wina.

- Nie obraziłabym się za następny kieliszek - westchnęła, opierając się o ścianę w pobliżu Tony'ego.

- To już twój czwarty - zauważył, nie bez cienia sympatii.

- A kto by tam liczył?

- Chyba tylko ja.

- Nie traktuj mnie jak jednego ze swoich pacjentów, dobrze? - chłodno rzuciła Carol.

- Wiem, wiem, jesteśmy przyjaciółmi. I właśnie dlatego sugeruję, że przesadzasz z picciem. Gdybym rzeczywiście był twoim psychiatrą, tak łatwo bym cię nie potępił. Raczej zostawiłbym to twojemu sumieniu.

- Sam widzisz, że jakoś daję sobie radę, Tony. Przez pewien czas po tym... Przynajmniej, że kiedyś nadużywałam alkoholu. Ale teraz już nad tym panuję, wierz mi.

Tony podniósł dłonie w pojednawczym geście.

- Twoje życie, twoje kredki.

Carol tylko głęboko westchnęła, po czym odstawiła pusty kieliszek na stół obok lampki wina Tony'ego. Naprawdę ją wkurzał, gdy rozsądek brał nad nim górę. Nie ona jedyna nie lubiła przecież, by ktoś wypominał pojebane perypetie i wywlekał wszystkie trupy z szafy.

Odpląćmy mu pięknym za nadobne, pomyślała. Posłała Tony'emu przesłodzony uśmiech.

- Może więc trochę się przewietrzymy, co?

Uśmiechnął się zagadkowo.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

- Dokopałam się do paru informacji o twoim ojcu. Chodźmy pogadać w jakieś zaciszne miejsce - odcięła się.

Uśmiech Tony'ego płynnie przeszedł w smutny grymas. Tony poznał tożsamość ojca dopiero po jego śmierci, gdy ten zapisał w spadku nieruchomości synowi, którego nigdy nie miał okazji poznać. Carol wiedziała aż za dobrze, że Tony miał do Edmunda Arthura Blythe'a stosunek co najmniej ambiwalentny. Na sam dźwięk nazwiska swojego niedawno odnalezionego ojca miał ochotę zapaść się pod ziemię - podobnie jak Carol, gdy ktoś wytykał jej rzekomy alkoholizm.

- Punkt dla ciebie - przyznał z przekąsem. - W nagrodę może lepiej przyniosę ci następnego drinka.

Ledwo zdążył podnieść dwie lampki, gdy widok przesłonił mu człowiek, który nagle wyłonił się z tłumu i jak spod ziemi pojawił się przed nimi.

Carol zwyczajowo zmierzyła tę postać wzrokiem. Przed laty rozwinęła manierę tworzenia mentalnych opisów napotkanych ludzi, przetwarzając obraz w słowa, tak jakby układała w myślach wskazówki na potrzeby listów gończych lub policyjnego rysownika. Jak na oficera policji, ten osobnik był dość niski, przysadzisty, choć nie otyły. Carol dałaby mu coś w okolicach

pięćdziesiątki. Na starannie przystrzyżonych, jasnobrązowych włosach z przedziałkiem widać już było pierwsze oznaki siwizny. Wiek zdradzały też obramowane zmarszczkami oczy koloru piwa. Rumiana cera bez opalenizny przywodziła na myśl raczej myśliwego polującego na lisy niż policjanta pełną gębą. Mały bulwiasty nos, pełne wargi i podbródek niczym piłeczka pingpongowa. Jego aparycja miała w sobie coś władczego i autorytatywnego - jakby żywcem wyjętego z portretów dawnych torysowskich wielmożów.

Świetnie zdawała sobie sprawę, że ona również została poddana starannej ocenie.

- Nadinspektor Jordan - odezwał się głęboki baryton z lekką nutką akcentu rodem z południowo-zachodniej Anglii. - Jestem James Blake. Pani nowy komendant. - Błyskawicznie wyciągnął rękę w stronę Carol. Jego dłoń była ciepła, szeroka i sucha jak wiór.

Równie oschła jak jego uśmiech.

- Miło mi pana poznać, sir - zatrajkotała. Blake nadal świdrował ją wzrokiem, ale musiała spuścić oczy, by przedstawić Tony'ego. - A to doktor Tony Hill. Od czasu do czasu współpracuje z naszą komendą.

Blake spojrział na Tony'ego i lekko się odklonił, nie zaszczycając go dłuższym zainteresowaniem.

- Korzystając z okazji, chciałbym przełamać pierwsze lody. Słyszałem o pani wiele ciepłych słów i muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem pani osiągnięć. Mam jednak zamiar wprowadzić tutaj kilka zmian, a pani podwórko jest jednym z moich priorytetów. Proszę wpaść jutro do mojego gabinetu, o wpół do jedenastej.

- Oczywiście. Już nie mogę się doczekać spotkania - odparła Carol.

- No to wszystko ustalone. Do jutra, pani nadinspektor. - Blake odwrócił się na pięcie i ponownie wmieszał w tłum.

- Osobliwa postać - skomentował Tony. Jego uwagę można było zinterpretować w najróżniejszy sposób, a każdy z nich byłby zapewne tak samo właściwy. I niekoniecznie wszystkie byłyby obraźliwe.

- Dobrze usłyszałam, że Blake powiedział „pani podwórko”?
- Z twoimi uszami wszystko w porządku - odparł Tony słabym głosem.
- Co do tego drinka, którego mi obiecałeś.... cholernie mam ochotę się napić. I to zaraz. Zabierajmy się stąd. W domowej lodówce czeka na nas porządna butelka francuskiego Sancerre.

Tony spojrział w kierunku Blake'a.

- Znasz to banalne powiedzenie o duszy na ramieniu? Albo gęziej skórce? To chyba dobry moment, by je przytoczyć.

Patterson wolał pracować z kimś, kto znał jego podejście do pracy. A kompletnie nie kojarzył tej Shami Patel, śledczej rodzinnej\*, którą mu przysłano do pomocy. Miał prawo jej nie znać, bo dopiero niedawno przeniosła się tutaj z nadrzędnej jednostki policji West Midlands\*\*. Nie rozproszyło to jednak jego wątpliwości. Uporanie się z rodziną ofiary morderstwa nigdy nie należało do zadań łatwych i przyjemnych, gdyż pograżeni w żalobie zachowywali się w sposób nieprzewidywalny, często wręcz otwarcie wrogie. A ten konkretny przypadek zapowiadał się na podwójnie skomplikowany. Po części dlatego, że zabójstwo nastolatki na tle seksualnym było emocjonalnym koszmarem samym w sobie. Lecz w tym wypadku dochodziła jeszcze dodatkowa trudność - czas zdecydowanie nie był ich sprzymierzeńcem.

\* Śledczy pośredniczący w kontaktach między rodziną poszkodowanego a starszym oficerem śledczym, przeszkolony w zakresie potrzeb osób w żalobie; w skrócie „rodzinny”.

\*\* Region zachodniej części środkowej Anglii, obejmujący m.in. miasta: Birmingham, Wolverhampton, Coventry i Worcester.

Schowali się w aucie Pattersona, gdzie inspektor wprowadzał Patel w temat.

- Z tą sprawą mamy więcej kłopotów niż zwykle - zaczął.
- Niewinna ofiara - zwięźle podsumowała Patel.
- Żeby tylko! - Przegarnął swoje siwe kędziory. - Zwykle mija trochę czasu pomiędzy zaginięciem a znalezieniem ciała. Wówczas możemy przeprowadzić wywiad środowiskowy i wypytać rodzinę o poczynania zaginionego. Wtedy wychodzą z siebie, żeby nam pomóc, bo wciąż kurczowo

trzymają się nadziei, że znajdziemy ich dzieciaka całego i zdrowego. - Pokręcił głową. - Nie tym razem.

- Kapuję - odpowiedziała Patel. - Nawet nie zdążyli się jeszcze pogodzić z faktem zaginięcia córki, a za chwilę usłyszą jeszcze gorsze nowiny. Będą zdruzgotani.

Patterson przytaknął.

- Nie myśl, proszę, że nie okazuję zrozumienia dla ich sytuacji, ale dla mnie trudność polega głównie na tym, że nie będą potem zdolni do rzeczowej rozmowy. - Westchnął.

- Najważniejsze są pierwsze dwadzieścia cztery godziny śledztwa w sprawie zabójstwa. To właśnie wtedy mamy szansę popchnąć je mocno do przodu. Potem będzie już znacznie trudniej o postęp.

- A dysponujemy może zapisem zgłoszenia zaginięcia Jennifer przez panią Maidment?

To było dobre pytanie. Patterson wydobyl z wewnętrznej kieszeni BlackBerry, odnalazł swoje okulary do czytania i wyświetlił przesłanego przez Ambrose'a mejla od dyspozytora, który przyjął zgłoszenie telefoniczne Tani Maidment.

- Matka wolala zadzwonić, niż pofatygować się na posterunek - zaczął czytać na głos wiadomość na małym ekranie. - Nie chciała opuszczać domu, na wypadek gdyby Jennifer jednak wróciła i nie mogła dostać się do środka. Jennifer miała własny klucz, ale matka nie była pewna, czy córka ma go przy sobie.

Tania ostatni raz widziała Jennifer, gdy ta wychodziła do szkoły...

- Przewinął tekst na ekranie. - Po zajęciach miała wpaść do koleżanki, by napić się herbaty i odrobić pracę domową. Podobno była to ich świecka tradycja: spotykały się albo u Jennifer, albo u koleżanki. Miała wrócić przed ósmą. Nie pojawiła się, ale matka zaniepokoiła się dopiero piętnaście minut po czasie.

Zadzwoniła do koleżanki. Okazało się, że ta nie widziała Jennifer od ostatniego dzwonka i nie umawiała się z nią na żadne spotkanie po szkole. Jennifer miała przed powrotem do domu zajrzeć tylko na chwilę do sklepu. Słowem nie wspomniała o innych planach. Po rozmowie z koleżanką pani Maidment wykręciła numer na policję. Resztę już znasz.

- Mam tylko nadzieję, że nie uznaliśmy jej za wariatkę - odparła Patel.  
- Szczęście w nieszczęściu, potraktowaliśmy to zgłoszenie z należytą powagą. Śledczy Billings spisał cechy szczególne Jennifer i rozesłał je do wszystkich jednostek. Dzięki temu tak szybko zidentyfikowaliśmy tożsamość denatki. Zobaczmy... Lat czternaście, sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, szczupła budowa ciała, brązowe włosy do ramion, niebieskie oczy, w przekłutych uszach zwykle złote kolczyki. Ubrana w mundurek miejscowego ogólniaka dla dziewcząt: białą bluzkę, ciemnozielony rozpiniany sweter, spódnicę i żakiet z logo szkoły. Czarne rajstopy i kozaki. Na to nałożyła czarną kurtkę przeciwdeszczową. - Jakby mówiąc do siebie, dodał: - Której nie znaleźliśmy na miejscu zbrodni.

- Jedynaczka? - zapytała Patel.

- Nie mam pojęcia. Nie wiem też, gdzie podziewa się pan Maidment. Wspominałem już, że to kurewsko trudna sprawa? - Wysłał krótką wiadomość do Ambrose'a z poleceniem przepytania koleżanki, z którą miała się spotkać Jennifer, zamknął BlackBerry i włożył płaszcz. - Gotowa?

Dzielnie stawili czoło ulewie, przechodząc przez zadbane ogródki ścieżką prowadzącą do domu rodziny Maidmentów - trzypiętrowego bliźniaka z cegły, wybudowanego jakoś na początku dwudziestego stulecia. W środku paliły się światła, a zasłony szeroko rozsunięto. Dwoje gliniarzy bez trudu dostrzegło nieosiągalny przy ich zarobkach wystrój salonu i jadalni - lśniące czystością powierzchnie, drogie materiały i tkaniny oraz obrazki, których nie sposób znaleźć w IKEA. Ledwo Patterson zdążył wcisnąć dzwonek, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie.

Stan kobiety, która ukazała się na progu, w normalnych okolicznościach wywołałby instynktowną reakcję obronną. Lecz Patterson widział w swojej karierze wystarczająco wiele oszalałych z rozpacz matek, by nie zaskoczyła go zmierzwiona fryzura tej kobiety, jej rozmazany pod oczami makijaż, przygryzione wargi i kurczowo zaciśnięte zęby. Gdy Tania zauważyła parę stojącą u drzwi z twarzami zdradzającymi poczucie winy, jej spuchnięte powieki rozszerzyły się, a dłonie mimowolnie powędrowały do ust i w okolice piersi.

- O Boże - wykrztusiła drżącym głosem, a łzy zaczęły ponownie napływać jej do oczu.

- Pani Maidment? Jestem inspektor...

Sama ranga powiedziała jej wszystko, czego nie chciała usłyszeć. Patterson nie zdążył się nawet przedstawić - w pół słowa przerwało mu dzikie zawrodozenie matki. Zachwiała się na nogach i z pewnością by upadła, gdyby nie refleks Pattersona, który rzucił się w jej kierunku, ujmując ją pod ramię, by mogła się na nim oprzeć. W ten sposób właściwie wniósł ją do środka. Patel podążyła za nimi.

Nim jeszcze zdołał położyć Tanie Maidment na miękkiej kanapie w salonie, ta zaczęła się trząść jak skrajnie wyziębiona.

- Nie, nie, nie - powtarzała tylko przez szcękające z trwogi zęby.

- Bardzo mi przykro, ale znaleźliśmy zwłoki, które prawdopodobnie należą do pani córki, Jennifer. - Patterson poinformował matkę, rzucając rozpaczliwe spojrzenie w kierunku Patel.

„Rodzinna” pojęła aluzję i usiadła obok zrozpaczonej kobiety, biorąc we własne ciepłe dłonie jej zimne jak lód ręce.

- Czy mamy w pani imieniu kogoś powiadomić? Kogoś, kto miałby panią na oku?

Pani Maidment pokręciła głową, zaprzeczając nerwowo, acz wyraźnie.

- Nie, nie, nie. - Wtem gwałtownie wciągnęła powietrze do płuc, jakby tonąc. - Mój mąż... ma wrócić jutro z podróży. Z Indii. Już jest na pokładzie. I nie wie, że nasza córka zaginęła. - Z jej oczu popłynęły łzy, a z gardła wydobył się dojmujący szloch. Patterson pierwszy raz w karierze poczuł się bezużyteczny.

Postanowił poczekać, aż kobieta trochę się uspokoi. Miał jednak wrażenie, że czas zatrzymał się w miejscu, bo matka wciąż łkała i zawodziła. W końcu opadła z sił. Patel, wciąż otaczająca ją ramieniem, niemal niezauważalnie skinęła głową w stronę inspektora.

- Proszę pani, chcielibyśmy rzucić okiem na pokój Jennifer - powiedział Patterson. Wiedział, że to brzmiało bezdusznie.

Chciał po prostu jako pierwszy zbadać prywatne cztery kąty tej dziewczyny, zanim na miejsce przybędą technicy kryminalistyczni, by wywrócić

pokój do góry nogami w poszukiwaniu wskazówek. Poza tym może i umysł matki znajdował się teraz w rozsypce, ale wcale nierzadko zdarzało się, że rodzice w końcu orientowali się, że niektóre aspekty życia ich dzieci nie powinny wyjść na jaw. Nie żeby chcieli utrudniać śledztwo - zwyczajnie czasem nie pojmowali, jak wiele mogą znaczyć pozornie błahе sprawy. A tego Patterson za wszelką cenę chciał uniknąć.

Nie czekając więc na reakcję matki, wymknął się z pokoju i udał się piętro wyżej. Patterson był zdania, że środowisko życia potrafi dużo powiedzieć o kondycji rodzinnego ogniska. Wspinając się po schodach, ocenił dom Jennifer Maidment. Miejsce świeciło czystością, a więc pieniędzmi. Ale nie było obsesyjnie sterylne - na stole w holu dostrzegł bezładną stertę otwartych listów, na półce nad grzejnikiem leżała para zużytych gumowych rękawic, a kwiaty w wazie stojącej na parapecie pomiędzy piętami zdążyły już zwiędnąć.

Na pierwszym piętrze napotkał pięć drzwi, co wskazywało, że w tej rodzinie szanowało się prywatność domowników. Zanim wybrał właściwe wejście, w kolejności obejrzał pogrążone w ciemności pokoje - główną sypialnię rodziców, łazienkę i gabinet, które jednak niczego nie wyjaśniały. W końcu, za czwartymi drzwiami, znalazł najbardziej interesujące go pomieszczenie. Zanim włączył światło w pokoju, który do niedawna zajmowała Jennifer Maidment, wciągnął w płuca zapach jej dotychczasowego życia, przez który przebiegał się słodki aromat brzoskwini z nutką cytrusów.

Podobieństwo do pokoju jego własnej córki było uderzające. Jeśli tylko miałyby dostatecznie dużo pieniędzy, by pozwolić Lily na swobodny wybór, bardzo prawdopodobne, że dobrałyby do swojego pokoju dokładnie te same dekoracje i meble w kolorze różu, bieli i pasteli. Poza tym wszystko się zgadzało - plakaty męskich i żeńskich zespołów muzycznych na ścianach, toaletka nosząca ślady licznych nieudanych prób nałożenia makijażu, w końcu niewielki regał wypełniony powieściami, które widział porzucane po własnym salonie. Jak przypuszczał, para drzwi na drugim krańcu pokoju prowadziła do garderoby, zapewne wypchanej po brzegi



kompozycją rozmaitej odzieży na wszystkie okazje - na co dzień i od święta. Przekopanie się przez tę szafę zajęłoby wieki. Zostawił ją więc technikom. Zresztą, Pattersona bardziej interesowała toaletka dziewczyny i jej niewielkie biurko wciśnięte w jeden z kątów pokoju.

Założył na dłonie rękawiczki z lateksu i zaczął szperać po szufladach. Staniki i majteczki, fikuśne i z falbankami, jednak wciąż zasadniczo nieszkodliwe i trywialne. Rajstopy, kilka par ciasno zwiniętych w kulkę skarpetek, jednak żadnych ukrytych w nich rupieci. Haleczki i topy na cienkich ramiączkach, koszulki - niezwykle ciasne, dzięki zastosowaniu lycry. W pojemniku posegregowane tandetne kolczyki, bransoletki, wisiorki i naszyjniki. Zainteresował go tylko plik starych kartek bożonarodzeniowych i urodzinowych, które odłożył na bok. Ktoś inny będzie musiał przejrzeć tę korespondencję z pomocą pani Maidment, kiedy odzyska już jasność umysłu.

W toalecie nie znalazł już nic przydatnego, więc zajął się biurkiem. Stojący na nim laptop Apple'a, nieodzowny gadżet każdego nastolatka, był zamknięty, ale Patterson dostrzegł migającą diodę wskazującą, że komputer nie był wyłączony, ale jedynie uśpiony. Do komputera podłączony był najnowszy iPod, obok niego leżały splecione słuchawki. Patterson odłączył komputer od gniazdka, wypisał pokwitowanie potwierdzające włączenie go do materiałów dowodowych i wziął laptopa pod pachę. Zanim wrócił na dół, rozejrzał się jeszcze po raz ostatni po pokoju, upewniając się, że nie przeoczył niczego oczywistego.

Mimo łez wciąż lśniących na jej policzkach pani Maidment przestała już płakać - siedziała tylko wyprostowana na kanapie, z zaciśniętymi na kolanach dłońmi, wpatrując się w podłogę. Nie podnosząc oczu, wycodziła tylko:

- Wciąż nie pojmuję, jak to się mogło stać.
- Jak my wszyscy - odparł Patterson.
- Jennifer zawsze mówi prawdę, gdzie się wybiera - dodała matka przytłumionym, łamiącym się od bólu głosem. - Wiem, że każdy rodzic uważa, że jego dziecko nie kłamie, ale naprawdę Jennifer nie jest typem kłamczuchy.

Ona i Claire wszystko robią razem. Zawsze kręcą się w naszym domu, u Claire albo razem na mieście. Nie rozumiem, dlaczego akurat moje dziecko!

Patel uspokajająco poklepała panią Maidment po ramieniu.

- Dotrzemy do sedna sprawy, Taniu. Dowiemy się, co się stało z Jennifer.

Patterson zazdrościł „rodzinnej” pewności siebie. Przybity i zmęczony usiadł tylko i przygotował się do zadania pytań, które - jak przypuszczał - w większości pozostaną bez rzeczowych odpowiedzi. Ale i tak musiał ją pociągnąć za język. A potem odsiać ziarno od plew. Prawda i kłamstwo zawsze idą w parze. Jak nieszczęścia.

## ROZDZIAŁ 3

Carol nie przesadzała. Wino Sancerre rzeczywiście było wyśmienite, lekko cierpkie od odrobiny agrestu, jednak zimne i orzeźwiające. Pomimo to Tony nie miał ochoty przesadzać, więc delikatnie sączył swoją lampkę. Ale skoro Carol miała zamiar dzielić się informacjami o jego ojcu z nastawieniem psa kładącego obślinioną gazetę u stóp swojego właściciela, wolał zachować trzeźwość umysłu.

Carol usadowiła się na kanapie naprzeciwko fotela zajmowanego przez Tony'ego.

- To co, chcesz usłyszeć, czego dowiedziałam się o twoim ojcu, czy nie? Tony odwrócił wzrok, unikając jej spojrzenia.

- Nie był moim ojcem, Carol. W żadnym istotnym tego słowa znaczeniu.

- Odziedzyczyłeś po nim połowę DNA. Nawet najbardziej zatwardziały behawiorysta uzna, że ma to jakieś znaczenie. Sądziłam, że chcesz się o nim dowiedzieć absolutnie wszystkiego. - Przełknęła solidny łyk wina i uśmiechnęła się do niego zachęcająco.

Tony jedynie westchnął.

- Do tej pory jakoś dawałem sobie radę, wiedząc tylko tyle, że ojciec nie chciał mieć ze mną nic wspólnego. Gdyby nie twoja przytomność umysłu, gdy matka próbowała mnie okantować ze spadku po ojcu, wciąż mógłbym udawać Greka.

Carol parsknęła śmiechem.

- Można by pomyśleć, że niepotrzebnie się wtrącałam i powinnam pozwolić Vanessie zrobić cię w bambuko.

Tony uświadomił sobie, że domysły Carol rzadko bywały mniej dalekie od prawdy niż teraz. Ale tamtego dnia w szpitalu, gdy pokrzyżowała szyki Vanessie, Carol sądziła, że działała w jego najlepszym interesie. Z pewnością zaboląaby ją sugestie, że odniosła co najwyżej pyrrusowe zwycięstwo, gdyż przysporzyła mu tylko kolejnych kłopotów. Nie chciał jej jednak ranić. Na pewno nie w tej chwili. Właściwie to nigdy.

- Nie myśl, proszę, że jestem niewdzięcznikiem. Po prostu nie jestem przekonany, czy chcę poznać szczegóły.

Carol pokręciła głową.

- Najzwyczajniej w świecie nie chcesz zburzyć tych wszystkich murów, którymi przez lata odgradzałeś się od swoich problemów.

Ale wyluzuj, Tony. Może Vanessa jest suką, ale z tego, co zdążyłam ustalić, wynika, że twój ojciec to jej zupełne przeciwieństwo. Wierz mi, nie masz się czego obawiać.

Tony zamieszał winem w kieliszku i zgarbił ramiona w postawie obronnej. Uśmiechnął się kwaśno kącikiem ust.

- Z pewnością nie był znowu taki święty. W końcu mnie porzucił. Ona też, nawiasem mówiąc.

- Może nie wiedział o twoim istnieniu.

- Coś tam jednak wiedzieć musiał, skoro zostawił mi w spadku dom, łódkę i od groma kasy.

Carol przemyślała jego słowa.

- Jeśli miałbyś zamiar wziąć jego pieniądze, to chyba coś mu się należy w zamian, nie?

Musiał przyznać, że było w tym sporo racji. Ale może lepiej było oddać te pieniądze na cele charytatywne, by móc nadal żyć w błogiej nieświadomości.

- Raczej nie spieszył się z wynagrodzeniem wyrządzonych mi krzywd. Pieniądze ich nie pokryją. W końcu zostawił mnie na pastwę Vanessy!

Odstawił kieliszek i kurczowo splótł dłonie. Pomimo wielu lat praktyki w wyprowadzaniu swoich pacjentów z rozszalałego morza negatywnych emocji na niezmacone wody wewnętrznego spokoju wciąż nie potrafił zastosować tej sztuki wobec samego siebie. I mimo że nauczył się właściwie

reagować na większość społecznych przejawów życia, wciąż nie umiał poradzić sobie z napiętą do granic możliwości sferą bliskich relacji interpersonalnych. Wiedział, że to jeden z niewielu obszarów, które zdradzają jego - jak to określał - „niepełne człowieczeństwo”. Carol jednak zasługiwała na coś więcej niż cisza i lekceważenie problemu.

Zebrał się więc w sobie, usztywniając ramiona.

- Obydwoje wiemy, jak bardzo jestem pojebany. Ale nie winię Vanessy za to, co mi zrobiła. Podobnie jak ja, jest jedynie wypadkową swojego środowiska i genów, procesu socjalizacji. Nie mam jednak wątpliwości, że to głównie przez nią tak kiepsko potrafię wpasować się w ten świat.

- Jak dla mnie, wpasowujesz się tu całkiem nie najgorzej - odparła Carol.

Boże, chroń mnie od życzliwych, z wrogami poradzę sobie sam, przypomniał sobie sławne słowa Napoleona.

- Może i racja, ale weź pod uwagę, że wypijaś dziś co najmniej butelkę wina. - Chciał zażartować, ale uwaga była zbyt niezręczna. Wzruszył ramionami w geście niemych przeprosin. - Mógł przecież ograniczyć matczyne wpływy, ale wolał się nie wtrącać. Pieniądze po tylu latach nie naprawią tych krzywd.

- Musiał mieć jakiś powód. Uwierz mi, Tony. Z tego, co usłyszałam, twój ojciec był porządnym człowiekiem.

Podniósł się z fotela.

- Nie dziś, proszę. Nie jestem gotów się z tym zmierzyć. Muszę się z tym przespać, Carol.

Odpowiedziała mu jedynie wymuszonym uśmiechem. Na pamięć znał całe bogactwo wyrazów jej twarzy, a z tej konkretnej miny wyczytał rozczarowanie. Pomoc udzielana jej w kolejnych sprawach, dzięki którym nieraz święciła sukcesy w zawodzie, nie miała żadnego znaczenia dla ich bliskich relacji w życiu prywatnym. Czasem mu się zdawało, że umiał przyprawiać ją tylko o kolejne zgryzoty.

Carol dopiła wino.

- W takim razie jeszcze się przypomnę - rzuciła na pożegnanie.- I nie licz, że cię to ominie.

Pomachał jej lekko na do widzenia i ruszył w stronę schodów oddzielających piwnicę, w której pomieszkiwała Carol, od jego domu powyżej. Gdy odwrócił się, by życzyć jej słodkich snów, dostrzegł, że jej uśmiech złagodniał.

- Już ja cię znam - rzekła. - Prędzej czy później ciekawość zwycięży.

W drodze do drzwi Alvin Ambrose mocował się z wewnętrzną kieszenią kurtki, by wydobyć swoją legitymację. Wiedział, że jego rozmiary, kolor skóry i fakt, że było już po dziesiątej w nocy, sprzysięgną się przeciwko niemu w oczach mieszkańców tej dyrektorskiej willi z lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Lepiej, żeby od razu zobaczyli, że jest policjantem, więc wyciągnął legitymację przed siebie.

Mężczyzna, który zareagował na dzwonek, skrzywił się, sprawdzając na zegarku, która godzina. Potem długo studiował legitymację Ambrose'a.

- Niech zgadnę... Popsuł wam się zegarek na komisariacie?

Ambrose z trudem powstrzymał się od celnej riposty, która cisnęła mu się na usta. Zamiast tego powiedział tylko:

- Pan David Darsie? Nazywam się Ambrose. Sierżant Alvin Ambrose z policji okręgu West Mercia. Przepraszam, że zawracam panu głowę o tej porze, ale muszę porozmawiać z pana córką, Claire.

Mężczyzna pokręcił głową, odetchnął głęboko, przesadnie okazując swoje niedowierzanie.

- Nie no, nie wierzę. Nachodzi nas pan o tej porze tylko dlatego, że Jennifer Maidment nie wróciła jeszcze do siebie? Przecież jest ledwo wpół do jedenastej!

Najwyższy czas utemperować tego pajaca.

- Ależ nie, proszę pana - zmytygował go Ambrose. - Naprzykrzam się państwu o tej godzinie, ponieważ Jennifer Maidment padła ofiarą zabójstwa.

W mgnieniu oka wyraz irytacji na obliczu Davida Darsiego ustąpił miejsca przerażeniu.

- Że co? Co pan mówi? - Obejrzał się za siebie, jak gdyby oczekując

pojawienia się za nim kolejnej makabry. - Jej matka dopiero co dzwoniła. - Przegarnął swoje rzędzące czarne włosy. - Jezu. Znaczy... - Głośno przeklnął ślinę.

- Muszę porozmawiać z pana córką. - Ambrose powtórzył stanowczo, przybliżając się do drzwi.

- No nie wiem, czy... To jakiś koszmar. Jak to się... Mój Boże, Claire się załamała. A nie możemy z tym poczekać do jutra? Może lepiej, żebyśmy to my jej to przekazali? Powoli i z wyczuciem.

- Wyczucie nie ma tu nic do rzeczy. Proszę pana, muszę koniecznie porozmawiać z Claire właśnie dzisiaj. Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa. To wyścig z czasem. Im szybciej skończę rozmowę z Claire, tym lepiej dla naszego dochodzenia. Nie mam nic przeciwko temu, by byli państwo obecni podczas mojej pogawędki z Claire, ale to nie może czekać do jutra.

Ambrose doskonale wiedział, że komuś, kto nie znał jego słabości, mógł wydawać się bez serca. Ale jeśli na szali znalazło się dobro śledztwa, nie miał nic przeciwko wykorzystywaniu talentów, którymi obdarzył go los.

Zniżył głos, który zaczął przypominać ponury dźwięk sunących ulicą czółgów.

- Więc jeśli nie ma pan nic przeciwko... - Wsunął stopę w próg tak, by Darsie mógł co najwyżej się cofnąć.

- Skoro tak, to niech pan wejdzie - odparł, wskazując pierwsze drzwi na prawo.

Ambrose pierwszy wkroczył do przytulnego salonu, którego umeblowanie nosiło ślady długoletniego użytku, wciąż jednak sprawiało przyjemne wrażenie. Stojący tam segment niemal ugiął się od płyt DVD i gier planszowych, a kąt między jedną z kanap a szerokoekranowym telewizorem okupowały porozrzucane dziecięce zabawki. Na niskim stoliku walały się klocki Meccano\*, o krawędź drugiej sofy opierała się sterta książek dla dzieci. Byli sami, Ambrose spojrzął więc wyczekująco na Darsiego.

\* Popularna w krajach anglosaskich marka producenta zestawów konstruktorskich i edukacyjnych.

- Przepraszam za bałagan - usprawiedliwił się. - Czwórka dzieci, sam

pan rozumie. Widać nieporządek mamy w genach. - I choć ten człowiek wykazał dotychczas większą troskę o bałagan w pokoju niż o zabójstwo najlepszej przyjaciółki jego córki, Ambrose starał się nie oceniać go zbyt surowo. Wiedział bowiem, że wstrząs psychiczny często wywoływał nieprzewidywalne i osobliwe reakcje dotkniętych nim osób.

- A gdzie pana córka?

Darsie energicznie skinął głową.

- Chwileczkę, zaraz przyprowadzę Claire i żonę.

Darsie pojawił się z nimi tak szybko, że Ambrose domyślił się, że ten tchórzliwy sukinkot nie miał odwagi uprzedzić ich o śmierci Jennifer. Claire - sama skóra i kości w skandalicznie różowych plastikowych kłapkach, przyodziana w puszysty szlafrok frotté, spod którego prześwitywała flanelowa piżama - wciąż starała się ukryć swoje prawdziwe uczucia pod maską beztrudnej nastolatki. Za to matka wyglądała raczej na zmęczoną niż przeżaloną. Cała trójka wyczekiwała przy drzwiach na ruch Ambrose'a.

- Usiądźcie, proszę - zaczął śledczy, dając im parę chwil na zajęcie miejsc na kanapie. - Przepraszam, że niepokoję, ale to naprawdę bardzo ważne.

Claire wzruszyła ramionami.

- Skoro tak mówisz. Nie wiem, po co ta cała zadyma. Tylko dlatego, że Jen napsociła i została gdzieś na nockę.

- Obawiam się, że stało się coś o wiele gorszego - wyjaśnił Ambrose.

Claire szybko pojęła słowa gliniarza. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, co dzieciaki mogły znaleźć teraz w zasobach internetu lub zobaczyć w telewizji.

Zanim Ambrose zdołał rozwinąć myśl, z twarzy Claire znikły już wszelkie pozory nonszalancji.

- Ożeż kurde! - zakwiliła. - Stało się jej coś naprawdę strasznego, tak? - Przyłożyła dłonie do twarzy, wbijając paznokcie w policzki. Następnie rzucała się na matkę, która otoczyła ją ramieniem.

- Obawiam się, że tak - odpowiedział. - Z przykrością muszę cię poinformować, że dziś wieczór Jennifer nas opuściła.



- Taaaaa, jasne - nie dowierzała Claire, kręcąc głową.  
- Ale to prawda. Naprawdę mi przykro, Claire. - Ambrose aż się spiął, gdy dziewczyna wybuchła płaczem.

- Proszę dać nam chwilkę - odezwała się matka, której twarz zarumieniła się z powodu szoku po usłyszeniu hiobowych wieści.

- Proszę.

Ambrose zostawił ich samych, siadając na schodach w oczekiwaniu na rozwój sytuacji. W powszechnym mniemaniu robota gliniarza opierała się na pościgach i rzucaniu podejrzanych na maskę. Ludzie nie rozumieli, że podstawą pracy funkcjonariusza była zwykła cierpliwość. Patterson zaś doskonale rozumiał i był to jeden z powodów, dla których Ambrose tak bardzo cenił swojego przełożonego. Jego szef nie wywierał na swoim ze-spole zbytnej presji, choćby góra żądała od niego natychmiastowych wyników. Dla Pattersona nawet zwłoki nie były najpilniejszą sprawą pod słońcem, bo uważał, że czasem warto poczekać - niektóre rzeczy po prostu dzieją się w swoim własnym rytmie.

Dopiero po dziesięciu minutach David Darsie wymknął się z salonu.

- Jeszcze chwilką. Mogę zaproponować butelkę piwa?

- Dziękuję, ale może lepiej kawę. Czarną, dwie łyżeczki cukru.

Z namaszczeniem smakował kawę przez kolejne dziesięć minut, zanim pani Darsie do nich dołączyła.

- To wszystko kosztuje ją wiele nerwów - oznajmiła. - Mnie również, skoro już o tym mowa. Jennifer to cudowna dziewczyna. Z Claire przyjaźniła się od czasu podstawówki. Rodzice Jennifer traktują Claire jak własną córkę. I vice versa. Nie odstępowały się na krok, zawsze kręcąc się tu albo u niej lub wspólnie uganiały się po sklepach i tym podobnie.

- Właśnie dlatego traktujemy Claire jako kluczowego świadka - wyjaśnił Ambrose. - Jeśli ktokolwiek wie, jakie atrakcje Jennifer zaplanowała na ten wieczór, to chyba tylko pani córka. Rozmowa ze mną to teraz najlepsza pomoc dla zmarłej koleżanki.

- Claire na pewno pomoże, ale potrzebuje jeszcze chwili, by wziąć się w garść. Gdy ochłonie, porozmawia z panem. - Pani Darsie objęła dłonią

brodę i policzek. - Boże, biedna Tania. Rodzice mieli tylko ją, rozumie pan. Tania i Paul przez lata starali się o dziecko, dopóki nie pojawiła się Jennifer. Była ich oczkiem w głowie. Ale nie była rozpieszczona, o nie. Jej rodzice byli całkiem surowi. Mimo to już na pierwszy rzut oka było widać, jak bardzo ją kochali.

- Nie wie pani czasem, gdzie też dziś podziewa się jej ojciec?

- Ambrose zauważył, że pani Darsie chętnie dzieli się swoją wiedzą o rodzinie Jennifer, postanowił więc wyciągnąć od niej jak najwięcej.

- Poleciał do Indii w interesach. On ma firmę, która produkuje obrabiarki. Nagrywa tam jakąś umowę, by nie poszli z torbami przez ten cały kryzys. - Łzy napłynęły jej do oczu. - Paul o niczym nie wie, prawda?

- Trudno powiedzieć - odrzekł łagodnie Ambrose. - Moi koledzy są teraz przy pani Maidment, wspierając ją w tych trudnych chwilach. Na pewno znajdą jakiś sposób, by skontaktować się z panem Maidmentem. - Dotknął ciepłą dłońią łokcia pani Darsie. - Może sprawdzimy, czy Claire już doszła do siebie.

Nastolatka zwinęła się w kulkę na kanapie. Łzy wylane za przyjaciółką zaczerwieńczyły twarz Claire, pod oczami pojawiły się cienie. Skulona w pozycji embrionalnej nie wyglądała nawet na czternaście lat.

- Powiedział pan, że Jennifer zmarła - odezwała się, gdy tylko Ambrose pojawił się w pokoju. - Znaczący, że ktoś ją zabił, to miał pan na myśli?

- Niestety, tak. - Ambrose rozwiał wątpliwości, siadając naprzeciwko. Matka ponownie objęła Claire ramieniem. - Bardzo mi przykro.

- Czy oni... czy ona... Skrzywdzili ją? Znaczący, to jasne, że ją skrzywdzili, w końcu ją zabili, no nie? Ale czy ją, ten tego, męczyli przed śmiercią? - Potrzebowała otuchy, to było jasne. Ambrose nie miał w zwyczaju okłamywać świadków, ale czasem zatajenie prawdy wydawało się najbardziej ludzkim podejściem.

- Jeśli nawet, nie cierpiała długo - zapewnił pociesycielskim tonem.

- O której umarła? - zapytała Claire.

- Tego nie udało nam się jeszcze ustalić. A o której widziałas ją po raz ostatni?

Claire wzięła głęboki oddech.

- Razem wyszliśmy ze szkoły. Byłam pewna, że wpadnie do mnie, bo zadali nam biolę, a zwykle odrabiamy ją u mnie. Mój tato wykłada chemię na uniwerku i może, tak jakby, pomóc nam, gdy są jakieś walki. Ale tym razem Jennifer spasowała. Chciała wrócić do domu i przygotować na jutro ciasto z okazji powrotu ojca. Coś w ten deseń.

- Miło z jej strony. Zwykle robiła coś takiego, gdy ojciec wracał z podróży?

Claire wzruszyła ramionami.

- No właśnie nie wiem. Nie kojarzę, żeby wcześniej witała go w ten sposób. Inna sprawa, że mi to w sumie wisiało. Jej tata zawsze gdzieś wyjeżdżał. Czasem nie było go kilka dni, ale ostatnio nie wracał całymi tygodniami.

- To przez te prężne gospodarki w Chinach i Indiach - przerwała jej matka. - Paul musi kuć żelazo, póki gorące. To dlatego ostatnimi czasy żył na walizkach.

Ambrose wolałby raczej, żeby matka Claire trzymała się z dala od ich rozmowy. Zawsze starał się, by wywiady środowiskowe przypominały swobodną wymianę zdań. Nie było lepszej metody, by wyciągnąć od swoich rozmówców dodatkowe szczegóły, których w przeciwnym razie by nie ujawnili. Wprost nie znosił, gdy inni ludzie ograniczali tę swobodę.

- Wspominała może o innych planach? Poza powrotem do domu i upieczeniem ciasta?

Claire ściągnęła brwi, próbując sobie przypomnieć ostatnie chwile z Jennifer.

- Nie. Byłam trochę zła, że mnie wcześniej nie uprzedziła. A tu taki suprajs. Miało nie być między nami żadnej ściemy. „Przyjaciele zawsze mogą na sobie polegać” to było, że tak powiem, nasze motto. Znaczy, nawet nie poprosiła mnie o pomoc z tym ciastem.

- A więc wówczas dostrzegłaś w tym coś dziwnego? Że tak nieoczekiwanie zmieniła plany?

- No raczej - przyznała Claire, kiwając głową. - Znaczy, nie było o co się pluć. To po prostu nie w jej stylu. Ale nie chciałam robić żadnej schizy, się rozumie. Szacun za to, że w ogóle pomyślała o torcie dla starego.

- Kiedy więc się z nią pożegnałaś?

- Tak właściwie to nie powiedziałyśmy sobie nara. Stoimy sobie na przystanku, przyjeżdża autobus, wsiadamy, a Jennifer zapodaje: „Zapomniałam, że muszę jeszcze skoczyć po jakieś czoko na tort”. Jakies pięć minut od szkoły jest tam ten miejscowy Co-op\*, czaisz? Więc ona przeciska się do wyjścia obok tych koleśków w busie, widzę, jak wysiada i pomyka w kierunku Co-opu. Macha do mnie i suszy zęby. Rzuciła tylko jakieś „strzałka, tymczas” czy coś, nie dosłyszałam. - Zmarszczyła twarz, a łzy pocięły jej po policzkach. - No i teges, więcej jej już nie widziałam.

\* Wielobranżowa spółdzielnia spożywców w Wielkiej Brytanii, obecnie największa organizacja tego typu na świecie, sprzedająca pod wspólnym logo np. produkty spożywcze wyprodukowane specjalnie dla tej sieci.

Ambrose wstrzymał się z dalszym wypytywaniem Claire, pozwalając matce pocieszyć córkę. Gdy ta się trochę uspokoiła, Ambrose zapytał:

- Więc Jennifer nie była dziś do końca sobą, dobrze zrozumiałem? - dopytywał się.

Claire wzruszyła ramieniem.

- Głowy nie dam. Może i jacha.

Jako ojciec nastoletniego syna, Ambrose uznał ostatnią odpowiedź za odpowiednik „nie ma najmniejszych wątpliwości” w mowie dorosłych. Lekko uśmiechnął się do Claire, jakby w zaufaniu.

- Wiem dobrze, że boisz się zdradzić tajemnice Jennifer, ale w śledztwie, podobnie jak w przyjaźni, nie ma miejsca na żadne sekrety. Myślisz, że miała się z kimś spotkać tego wieczoru? I wolała zachować to w tajemnicy?

Claire pociągnęła nosem i otarła go krawędzią dłoni.

- Zawsze mówiła mi o takich motywach. Bez sensu! Ktoś musiał ją złapać w drodze do Co-opu. Albo gdy wracała do chaty.

Ambrose nie ciągnął tego tematu. Tylko by ją rozgniewał i zniechęcił do śledztwa, a to nikomu by się nie przysłużyło.

- A czy buszowałyście razem w sieci?

Claire potwierdziła.

- Zwykle surfowałyśmy po necie u niej. Ona ma lepszego kompa. Cały czas gadałyśmy ze sobą. Komunikatory, SMS-y, te sprawy.

- Macie swoje profile na serwisach społecznościowych?

„No jacha” - wyczytał ze spojrzenia Claire. Dziewczyna przytaknęła.

- Jesteśmy na Rigu.

A który z nastolatków nie jest? Kilka lat temu był MySpace i długo, długo nic. Potem niepodzielnie rządził Facebook. Aż do czasu pojawienia się RigMarole\*, serwisu z jeszcze przyjaźniejszym interfejsem i dodatkowym bonusem w postaci oprogramowania rozpoznawania mowy do ściągnięcia za darmo. Teraz nie trzeba było nawet umieć korzystać z klawiatury, by mieć dostęp do globalnej społeczności podobnie myślących rówieśników i dobrze zakamuflowanych wilków w owczej skórce. Ambrose starał się mieć na oku własne dzieci i internetowe grupy, do których należały, ale zdawał sobie sprawę, że walczy z wiatrakami.

\* Fikcyjny portal społecznościowy; *rigmarole* w jęz. angielskim znaczy tyle co paplanina, bełkot.

- Wiesz może, jakim hasłem posługiwała się Jennifer? Im szybciej uzyskamy dostęp do jej profilu i skrzynki, tym lepiej dla śledztwa.

Claire rzuciła okiem na swoją matkę, jak gdyby obawiała się zdradzić swoje własne tajemnice.

- Wymyśliłyśmy taki jeden szyfr. Coby nikt nie odgadł. Jej hasło to moje inicjały i ostatnie sześć cyfr mojej komórki. CLD435767.

Ambrose wpisał to hasło do swojego telefonu.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo nam pomogłaś, Claire. Nie zabiorę ci już więcej czasu, ale muszę jeszcze spytać: czy Jennifer wspominała, że obawiała się kogoś? Czula się przez kogoś zagrożona? To mógł być jakiś dorosły, ktoś ze szkoły, nawet sąsiad. Właściwie każdy.

Claire niemo zaprzeczyła, a na jej twarzy znów pojawił się wyraz cierpienia.

- Nie wspominała o żadnym takim motywie. - Jej głos i twarz nie pozostawiały złudzeń co do bezgranicznego smutku z powodu śmierci koleżanki. - Wszyscy lubili Jennifer. Czemu ktoś miałby chcieć ją zabić?

## ROZDZIAŁ 4

Carol nie mogła uwierzyć, jak szybko z gabinetu, który do niedawna zajmował John Brandon, zniknęły wszelkie pozostałości po jej poprzednim komendancie. Dotychczasowy wystrój był stonowany i nierzucający się w oczy, a tylko pojedyncza fotografia rodziny i przemyślna maszyna do kawy odzwierciedlały osobowość jej szefa.

Ale James Blake był najwyraźniej ulepiony z zupełnie innej gliny. Skórzane fotele, antyczne biurko i drewniane szafki na dokumenty próbowały udawać wystrój wiejskiej rezydencji. Na ścianach wisiały trudne do przecoczenia dowody jego osiągnięć - oprawiony w ramkę dyplom renomowanego college'u Exeter, zdjęcia Blake'a z dwoma premierami, jedno z następcą tronu i multum innych z ministrami spraw wewnętrznych i pomniejszych sławami. Carol nie potrafiła określić, czy był to wyraz próżności, czy raczej przestroga dla odwiedzających. Wolała pozostawić to bez komentarza, przynajmniej do czasu, gdy będzie miała okazję lepiej poznać tego człowieka.

Blake, wymuskany i nieskazitelny w swoim galowym mundurze, wskazał Carol jedno z krzeseł z niskim, eliptycznym oparciem, stojące naprzeciwko biurka. W odróżnieniu od Brandona, nie zaproponował jej kubka kawy lub herbaty. Jak się szybko okazało, wymiany uprzejmości też nie było w menu.

- Carol, pozwól, że od razu przejdę do rzeczy - zakomunikował bez zbędnych ceregieli.

A więc to tak! Bez udawanej sztamy czy choćby stwarzania pozorów wspólnoty interesów. Carol nie miała wątpliwości, że Blake nieprzypadkowo

użył akurat jej imienia, nie wymieniając rangi. Z pewnością nie zrobił tego, by przełamać pierwsze lody na drodze do komitywy. Wyraźnie próbował ją utemperować, pokazać jej właściwe miejsce w szeregu.

- Miło mi to słyszeć, sir. - Oparła się chęci skrzyżowania rąk i nóg, zamiast tego przyjmując postawę otwartą, tak jak Blake. Widać, że podłapała to i owo od Tony'ego przez te wszystkie lata obcowania z nim.

- Przejrzałem twoje akta. Jesteś znakomitym oficerem. Twój zespół jest równie niezrównany. - Zamilkł w oczekiwaniu na reakcję.

- Dziękuję, sir.

- I właśnie w tym problem. - Blake uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony ze swojej przebiegłości.

- Nigdy nie uznawaliśmy naszych dokonań za problem - odparła Carol, wiedząc, że nie takiej odpowiedzi oczekiwał jej nowy szef.

- Jeśli dobrze rozumiem, twój zespół zajmuje się śledztwami w sprawie tak zwanych przestępstw ciężkich w naszym rewirze, które nie podlegają jurysdykcji którejś z ogólnonarodowych sił, tak?

Carol przytaknęła.

- Zgadza się.

- Ale gdy nie prowadzicie akurat śledztw w tym zakresie, to ponownie przyglądacie się tym już zamkniętym, choć nierozwiązanym sprawom, czy tak? - Nie potrafił ukryć pogardy.

- Owszem. W tym względzie również mamy się czym pochwalić.

- Temu akurat nie przeczę, Carol. Ale polemizowałbym, czy aby na pewno rozwiązywanie niewyjaśnionych spraw to właściwe wykorzystanie twoich zdolności.

- Nierozwiązane sprawy to nie byle co. Przemawiamy w imieniu zmarłych. Zamykamy pewien rozdział w życiu rodzin ofiar i oddajemy przestępców w ręce sprawiedliwości, by te występki nie uszły im na sucho.

Nozdrza Blake'a rozszerzyły się jak u rozjuszonego byka.

- Czy aby nie cytujesz teraz słów tego twojego przyjaciela, doktora Hilla?



- Każdy z nas panu to powie, sir. Niewyjaśnione sprawy też się liczą. Tak jak i ich wpływ na opinię publiczną. Pomagają bowiem uzmysłwić ludziom, jak bardzo zależy nam na doprowadzeniu śledztw do szczęśliwego finału i ukaraniu winnych - oznajmiła z przekonaniem.

Blake wyjął niewielkie pudełko miętówek i wrzucił jedną do ust.

- Święta racja, jednak szczerze powiedziawszy, niewyjaśnione sprawy to zajęcie dla głabów. Dla zwykłych kundli, a nie rasowych psów gończych takich jak ty i twój zespół. Do rozwiązywania takich spraw wystarczy wytrwałość, niekoniecznie błyskotliwość. Marnujemy wasz talent, ot co.

- Obawiam się, że nie podzielam pańskiego poglądu w tej kwestii, sir. - Nie mogła pojąć, dlaczego powoli zaczyna zalewać ją krew. Czowała tylko, że to już stan przedpowodziowy. - Jeśli to byłoby takie proste, ktoś rozwiązałby te sprawy już dawno temu. Nie wystarczy zwyczajnie zastosować nowych metod śledczych. Trzeba umieć podejść do tych spraw z zupełnie innej strony, myśleć abstrakcyjnie. Mój zespół po mistrzowsku opanował tę sztukę.

- Może i tak, ale ja muszę myśleć też o efektywnym wykorzystaniu mojego budżetu. Twoja załoga to ogromna inwestycja. Zakres i poziom waszych umiejętności oraz wiedzy powinny przysłużyć się rozwiązywaniu bieżących przypadków. I to nie tylko spraw najpoważniejszych, ale wszystkich nadrzędnych, które trafiają na biurka wydziału dochodzeniowo-śledczego. Służymy zwykłym ludziom, a oni zasługują na to, co u nas najlepsze. Moim zadaniem jest natomiast im to zapewnić. Oczywiście w ramach ograniczonego budżetu. Więc ostrzegam cię, Carol. Na razie zostawiam was w spokoju, ale w najbliższym czasie zamierzam przyjrzeć się dokładnie waszemu zespołowi. Obejmuję was okresem próbnym. Za trzy miesiące podejmę decyzję co do waszej dalszej przyszłości na podstawie wnikliwej analizy wyników przydzielonych wam spraw. Ale już teraz cię uprzedzam: wszystko przemawia za tym, byśmy wykorzystali twój zespół w szerszym zakresie. Byście pomagali całemu wydziałowi, a nie pracowali tak sobie a muzom.

- Wygląda na to, że już podjął pan decyzję, sir - odparła Carol z wymuszoną uprzejmością w głosie.

- Wszystko w twoich rękach, Carol. - Był z siebie bardzo zadowolony, tylko ślepiec by tego nie zauważył.

- A propos budżetu, to mam jeszcze jedną sprawę. Zauważyłem, że sporo pieniędzy przeznaczasz na konsultacje z doktorem Hillem.

Jeszcze chwila i wybuchnę, pomyślała.

- Doktor Hill znacząco przyczynił się do wielu naszych sukcesów - wycedziła, nie potrafiąc ukryć rozdrażnienia.

- Doktor Hill zna się na psychologii klinicznej, a nie na kryminalistyce, więc jego zadania z powodzeniem może przejąć ktoś inny. - Blake wyjął teczkę z szuflady. Spojrzał na Carol, jakby zaskoczony, że wciąż przed nim siedzi. - W państwowej szkole policyjnej uczą przecież oficerów behawiorystyki i profilowania przestępców. Znacznie odciążymy budżet, robiąc użytek z jej absolwentów.

- Tylko że ich wiedzy nie da się porównać z tą doktora Hilla. Nie mówiąc już o doświadczeniu. On jest niemal niezastąpiony. John Brandon zawsze to powtarzał.

Zapadła długa cisza.

- Nie możesz się już kryć za plecami pana Brandona, Carol. Może i on uważał za stosowne przeznaczać na tego twójego... - ponownie zamilkł, a następnie dokończył myśl, okraszając ją niewybrednym podtekstem - ...gospodarza tak znaczną część budżetu policji w Bradfield. Ale ja mam odmienne zdanie. Przez doktora Hilla wychodzimy na skorumpowanych hipokrytów. Więc jeśli potrzebujesz portretów psychologicznych, czy mogłabyś z łaski swojej poprosić o nie kogoś innego?

Patterson zaczął odczuwać pierwsze sygnały narastającej migreny. Nic dziwnego, skoro przespał zaledwie dwie godziny. Telewizjom, którzy zobaczyli siwe włosy i ziemistą cerę inspektora, można było wybaczyć przekonanie, że ich kolorowe odbiorniki nagle podmieniono na czarno-białe. Zdradzały go tylko jego zaczerwienione oczy. Hektolitry kawy, które w

siebie wlał, wystarczyłyby do uruchomienia harleya. Ale nawet duża dawka kofeiny nadała mu wygląd człowieka, któremu warto było powierzyć pieczę nad śledztwem w sprawie zabójstwa. Nic nie potrafiło tak zniechęcić śledczego jak konferencja prasowa, podczas której nie mógł ujawnić nic poza gołymi faktami dotyczącymi samego przestępstwa.

Ale może tym razem im się poszczęści. Wcale niewykluczone, że po relacjach w mediach napatoczy się jakiś świadek, który widział Jennifer Maidment po tym, jak pożegnała się już ze swoją przyjaciółką. Ale to były raczej czcze nadzieje. O wiele bardziej prawdopodobne, że przytrafi się kupa mitomanów, którzy rzekomo ją widzieli, ale w zasadzie - niekoniecznie. Większość z nich zgłosi się do nich z takimi niestworzonymi historiami ze szlachetnych pobudek, ich zeznania jednak będzie można potłuc o kant dupy. Podobnie jak deklaracje pajaców, którzy desperacko pragną znaleźć się w centrum uwagi, albo skurwysynów, z niepojętych powodów lubujących się w marnowaniu cennego czasu policji.

Jak tylko reporterzy zebrali swoje manatki, Patterson ruszył poszukać Ambrose'a. Gdy go odnalazł, Ambrose wisiał akurat nad ramieniem jednego z tych speców od komputerów, którego udało im się przekabacić i oswoić. Jednego z nich, Gary'ego Harcupa, wyciągnęli z łóżka tuż po północy i zaprzęgli do pracy nad laptopem Jennifer.

Ambrose jedynie rzucił okiem na swojego szefa, po czym odwrócił się z powrotem w kierunku ekranu. Zmrużył zaczerwienione piwne oczy, próbując się skupić.

- Więc mimo że ta sama osoba rozmawiała z Jennifer kilkakrotnie, za każdym razem łączyła się z siecią z innego komputera? Dobrze rozumiem?

- Zgadza się.

- Ale jak to w ogóle możliwe?! - W głosie Ambrose'a pobrzmiwała narastająca frustracja.

- Mogę tylko zgadywać. Obstawiam jednak, że rozmówca Jennifer korzystał z komputerów w kafejkach internetowych i bibliotekach. Nigdy dwukrotnie.

Gary Harcup był podobny do Ambrose'a tylko pod względem rozmiarów. Ale podczas gdy sierżanta cechowała niemal nienaganna budowa

ciała i także maniery, Gary był niechlujnym tłuściochem w okularach z rozczochranymi brązowymi włosami i skołtunioną brodą. Wyglądał jak miś z kreskówki. Misiak podrapał się po głowie.

- Posługuje się darmową skrzynką pocztową, więc go nie namierzemy. Loguje się i korzysta z tych komputerów nie dłużej niż pół godziny, więc nie zwraca niczyjej uwagi.

Patterson przysunął krzesło i usiadł przy biurku.

- Co tam słyhać, panowie? Masz coś dla nas, Gary?

Ale odezwał się Ambrose:

- Claire Darsie powiedziała mi, że cały czas siedziały z Jennifer na RigMarole. A Gary dotarł do całych stron tekstu pochodzących z ich czatów i komunikatorów.

- Znaleźliście coś przydatnego? - Patterson pochylił się, by lepiej widzieć ekran.

Gdy poczuł od Ambrose'a zapach niedawno używanego mydła, zawstydzil się niczym brudny niedomytek. Patterson nie miał wcześniej czasu na prysznic, ograniczył się do przejechania po twarzy elektryczną maszynką do golenia.

- Dużo pierdoł - odpowiedział Gary. - Typowe dla nastolatków dyskusje na temat „X Factor”<sup>\*</sup> i „Big Brother”, gwiazd seriali i muzyki pop. Trochę plotek o kolegach ze szkoły. Te dziewczyny rozmawiały na Rigu głównie z dzieciakami ze swojej klasy, jest też kilku rozmówców spoza tej grupy, w większości ich rówieśniczek, kochających się w tych samych piosenkarzach z boysbandów.

<sup>\*</sup> Brytyjski odpowiednik popularnego w Polsce programu muzycznego „Idol”.

- Domyślam się, że jest jakieś „ale” - zagadnął Patterson.

- I nie mylisz się. Jeden rozmówca trochę odstaje od reszty - odpowiedział Ambrose. - Pomimo starań, by wpasować się w grupę, czasem wypada z roli. Jednak pilnuje się, żeby nie zdradzić czasem jakichś szczegółów, które pomogłyby nam go namierzyć. Gary, może nam to pokazać, hm?

Informatyk prawie niezauważalnie stuknął w kilka klawiszy, a na ekranie zaczął przewijać się potok wiadomości z czatów.

Patterson czytał w skupieniu, nie wiedząc, czego dokładnie miał szukać.

- Myślisz, że to robota pedofila uwodzącego dzieciaki przez sieć?

Ambrose pokręcił głową.

- To chyba nie tak. Ten ktoś zagaduje do Jennifer i jej znajomych, wy-  
ciąga od nich informacje, ale stara się zaprzyjaźnić. Zboki zazwyczaj wy-  
bierają najsłabszą ofiarę w grupie i starają się ją odciąć od reszty. Grają na  
jej emocjach, wykorzystują przeciw niej kompleksy na punkcie wyglądu,  
wagi, osobowości czy faktu, że dla innych są niewystarczająco „spoko”,  
„trendy”, „jazzy”, „indie” czy jak to się teraz mówi. A ten ktoś zachowuje  
się inaczej. Okazuje wsparcie, manifestuje solidarność z grupą. - Postukał  
palcem w monitor. - Nie wykorzystuje ich w żaden podejrzany sposób.

- A potem robi się ciekawie - włączył się Gary, który zaczął przewijać  
rozmowy na ekranie tak szybko, że zmieniły się niewyraźne plamy tekstu i  
emotikonek. - Oto rozmowa sprzed pięciu dni.

Jeni: 8-0 o tshym ty do mnie rozmafflash, zz?

ZZ: karzdy ma jakieś ffstydliffe sekrety, no wiesh, takie, rze gdyby twoi  
kumple siem połapali, ffolalabys zapasc siem pod ziemia): ->

Jeni: nie ja. moja kumpela wie o mnie fفشystko: -P

ZZ: ffshyscy tak gadają, ale klamia: -D

- Później na czat wchodzą inni i rozmowa schodzi na normalne tematy  
- wtrącił Gary. - Ale wtedy ZZ zaprasza Jennifer do rozmowy na privie.  
Spójrzcie.

ZZ: chciałem z toba pogadać sam na sam

Jeni: a o cZyM?: -):-): -D

ZZ: bo znam tffuj wielki sekret: ->

Jeni: cos krecish. jaki sekret?: -/

ZZ: czasem sami nie zdajemy sobie z nich sprawy, ale ja znam tFFoj,  
choc nikomu o nim nie mowish

Jeni: 8-0 o co ci ff ogole chodzi?

ZZ: mushe spadać, jotro, ten sam czat, ta sama pora & FFtedy pogadamy o tym, oki?

- Zaraz po tym ZZ się wylogował - wymamrotał Gary.

- A co z rozmową następnego dnia? - zapytał Patterson.

Gary odchylił się na krzesło i poczochnął włosy.

- Sęk w tym, że nie wiadomo, o czym rozmawiali. Cokolwiek tam było, Jennifer to wykasowała z archiwum.

- Myślałem, że nie da się całkowicie usunąć czegoś z pamięci komputera, chyba że walniesz młotkiem w twardego dyska - zaproponował Patterson. Migrena przybrała na sile, skronie ćmiły tęnym bólem. Próbował go uśmierzyć, mocno ściskając grzbiet nosa.

- Coś w tym rodzaju - odparł Gary. - Co nie znaczy, że można się do tego dostać ot tak, jednym kliknięciem myszki. Zakładam, że ta laska nie miała zielonego pojęcia, w jaki sposób na dobre zatrzeć po sobie ślady. Ale i tak, zanim się dostanę do tej skasowanej rozmowy, będę musiał przepuścić przez jej laptopa masę programów.

- Do kurwy nędzy! - jęknął Ambrose. - Ile to może potrwać?

Gary tylko wzruszył ramionami, a wraz z nim poruszyło się także i samo krzesło.

- Pewnie myślicie sobie, że to bułka z masłem, co nie? Niewykluczone, że uda mi się do tego dostać za kilka godzin, ale równie dobrze może minąć i kilka dni. - Rozłożył ręce w geście bezradności. - Cóż zrobić? Nie grzebię przecież w silniku jakiegoś auta. To nie wróżenie z fusów, panowie.

- W porządku - rzekł Patterson. - W takim razie wróćmy jeszcze do momentu, gdy się tu pojawiłem. Pamiętasz? Mówiłeś właśnie Alwinowi, że za każdym razem ten gość łączył się z siecią za pomocą innego komputera. Czy można jakoś sprawdzić, gdzie się znajdują te maszyny?

Gary ponownie wzruszył ramionami, po czym splótł palce i strzelił kostkami.

- Teoretycznie tak, ale pewności nie ma. Istnieją takie strony internetowe, które przechowują dane o poszczególnych komputerach. Łopatologicznie ujmując, to coś jak odcisk palca każdego z nich. Problem w tym,

że komputery czasem zmieniają właścicieli. - Ściągnął policzki niczym smutny błazen. - Możliwe jednak, że uda się wysledzić choć część z nich.

- Tym sposobem może chociaż ustalimy, gdzie mamy szukać tego skurwysyna - żołądkował się Patterson. - I to jest teraz najważniejsze. Dasz radę zająć się i tym, oprócz przeszukiwania komputera Jennifer? Czy też mam ci załatwić kogoś do pomocy?

Gdyby Gary był psem, kępka włosów z tyłu szyi z pewnością stanęłaby mu teraz dęba.

- Poradzę sobie sam - wycedził. - Jak uruchomię te programy na laptopie ofiary, jednocześnie zajmę się poszukiwaniem komputerów.

Patterson podniósł się z krzesła.

- Dobra. Ale jeśli będziesz się guzdrał, załatwimy ci jakieś wsparcie do tej czarnej roboty.

Gary spojrzał spode łba.

- Może i jest „czarna”, ale sama się nie robi.

Patterson zmusił się, by nie przewrócić oczami.

- Oczywiście że nie. Biję się w piersi, Gary. Nie bierz tego do siebie. - Powstrzymał się przed klepinięciem go w ramię, niczym swojego domowego kundla. - Alvin, pozwolisz na słówko?

Już na korytarzu Patterson oparł się o ścianę, czując na sobie ciężar braku postępu w śledztwie.

- Brniemy w cholerny ślepy zaułek - skomentował. - Nie mamy nawet jednego świadka. Wiemy tyle, że Jennifer Maidment wysiadła z autobusu, ale nikt jej nie widział w pobliżu Co-opu. Tak jakby rozplynęła się w powietrzu w drodze pomiędzy przystankiem a sklepem.

Przelotny uśmiech wykrzywił kącik ust Alvina.

- Zakładając, że w ogóle zamierzała wpaść do sklepu.

- Jak to? Przecież sam mówiłeś, że Claire Darsie twierdzi, iż Jennifer miała pójść do Co-opu po czekoladę na tort dla swojego ojca. Że widziała, jak koleżanka zmierza w kierunku sklepu. Że nawet jej pomachała.

- Co nie znaczy, że Jennifer mówiła prawdę - zauważył Ambrose, niewzruszony. - To, że zaczęła iść we właściwym kierunku, nie znaczy wcale,

że nie zboczyła gdzieś po drodze. Claire mówiła mi, że zdziwiło ją zachowanie koleżanki, jakby Jennifer nie była sobą. Może więc miała inne plany, które miały gównu wspólnego z Co-opem. Albo tortem dla ojca. Może to wszystko to była jedna wielka ściema.

- Myślisz, że miała się z kimś spotkać?

Ambrose wzruszył ramionami.

- Zastanawia mnie, jakież też powód mogła mieć nastolatka, by okłamać swoją najlepszą koleżankę. Zwykle w takich przypadkach chodzi o jakiegoś faceta.

- Sugerujesz, że zorientowała się, że ten nieznajomy z Rigu jest koleś?

- Tego nie wiem. Wątpię jednak, żeby była aż tak domyślna. Sądzę raczej, że chciała się dowiedzieć, o co mu chodzi z tym rzekomym „sekretem”.

Patterson westchnął.

- Dopóki Gary nie odprawi swoich uroków nad jej laptopem, i tak nie będziemy mieć bladego pojęcia, o co poszło.

- Lepiej bym tego nie ujął. Ale tymczasem z pewnością nie zaszkodzi pogadać z rodzicami Jennifer. I sprawdzić, czy w planach był w ogóle jakiś tort.



## ROZDZIAŁ 5

Rodzice rozpieszczali Daniela Morrisona na długo przed jego narodzinami. Trudno było sobie wyobrazić bardziej niecierpliwie wyczekiwane dziecko niż on - Morrisonowie nie szczędzili więc pieniędzy ani wysiłków, by zapewnić mu wszystko, co w życiu najlepsze. Jego matka Jessica, spodziewając się potomka, zrezygnowała nie tylko z alkoholu i tłuszczów zwierzęcych, ale również z lakieru do włosów, dezodorantu, środków na owady i prania chemicznego. Z otoczenia Jessiki zniknęło wszystko, co zostało kiedykolwiek posądzone o właściwości rakotwórcze. Gdy zaś Mike'owi zdarzyło się wrócić z pubu, zalatując nikotyną, musiał najpierw rozebrać się w pomieszczeniu gospodarczym, a potem wziąć prysznic, zanim położył się w łóżku obok swojej ciężarnej żony.

Gdy po planowej cesarce Daniel - okaz zdrowia z dziesiątką w skali Apgar - przyszedł na świat, Jessica tylko utwierdziła się w przekonaniu, że słusznie podjęła te wszystkie środki ostrożności. Nie omieszkała zresztą podzielić się swoją opinią z każdym zainteresowanym, a nawet z wieloma innymi, którzy wcale nie chcieli słuchać jej porad.

To był jednak dopiero początek starań rodziców zmierzających do wychowania syna na chodzący ideał. Każdemu etapowi rozwoju Daniela towarzyszyły odpowiednie dla jego wieku zabawki edukacyjne i inne rodzaje bodźców rozwojowych. Nim skończył cztery lata, już uczęszczał do najlepszej prywatnej szkoły przygotowawczej w Bradfield, wystrojony w szkolny mundurek - szare flanelowe szorty, koszulę i krawat, rdzawoczerwoną

marynarkę i czapkę; strój jakby żywcem przeniesiony z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku.

Dalsze życie Daniela biegło podobnym torem. Nosił ciuchy od najlepszych projektantów i modne fryzury. W zimie nieraz wyjeżdżał na narty do Chamonix, w lecie zaś systematycznie gościł w znanym z wyśmienitego wina „hrabstwie Chianti”, czyli Toskanii - jak woleli ten region nazywać Włosi. Rodzice nie szczędzili pieniędzy na białe koszulki do krykieta i te do rugby. Ani na bilety do Cirque de Soleil, koncerty muzyki klasycznej i spektakle teatralne. Daniel dostawał wszystko to, co Jessica uznała za niezbędne dla jego fizycznego i duchowego rozwoju.

Może i inny mężczyzna pohamowałby zapędy wybranki. Mike jednak kochał swoją żonę - syna oczywiście też, ale nie otaczał go aż takim nabożnym uwielbieniem jak Jessiki - więc zależało mu przede wszystkim na jej szczęściu. Układ był prosty: Jessica rozpieszczała Daniela, Mike rozpieszczał żonę. Na początku lat dziewięćdziesiątych Mike miał szczęście znaleźć się wśród pionierów rynku telefonii komórkowej, która szybko okazała się prawdziwą żyłą złota. Był jednym z tych szczęśliwców, którzy jako pierwsi wyniuchali koniunkturę, więc kosztowne gusta Jessiki nigdy nie były problemem.

Co nie znaczy, że wszystko szło jak z płatka. Z dnia na dzień Mike Morrison zaczął bowiem zdawać sobie sprawę, że jego czternastoletniego syna trudno było darzyć sympatią. Stało się jasne, że Daniel nie miał już zamiaru pozwalać matce na podejmowanie decyzji za niego. Chciał być samodzielny. Jessica rozpuściła Daniela jak dziadowski bicz, sądził więc, że wszystko mu się należało - a ostatnio nie był w stanie zadowolić się niczym poza natychmiastowym i całkowitym spełnieniem jego zachcianek. Dochodziło więc do widowiskowych kłótni, które zazwyczaj kończyły się płaczem Jessiki, a dla Daniela - dobrowolną izolacją od świata w jednym z jego przestronnych pokoi, która trwała czasem i po kilka dni z rzędu.

I choć takie awantury wprawiały Jessicę w zły nastrój, to nie one najbardziej niepokoiły Mike'a. W końcu sam w okresie dojrzewania nieraz ścierał się z rodzicami, próbując wybić się na samodzielność. O wiele

bardziej martwiło go przypuszczenie, które zaczęło graniczyć z pewnością, że nie ma najmniejszego choćby pojęcia, co synowi chodzi po głowie.

Mike pamiętał czasy, gdy sam miał czternaście lat. Jego ówczesne troski i zainteresowania były całkiem przyziemne - piłka nożna, ta w korkach i ta w kapciach; dziewczyny, te prawdziwe i te z fantazji; rozpatrywanie różnic i podobieństw między zespołami Cream a Blind Faith, popularnymi w czasach jego młodości supergrupami z Erikiem Claptonem na czele; oraz pełne napięcia oczekiwanie na pierwszą imprezę z udziałem trawki i alkoholu. Jako nastolatek nie był wzorem cnót wszelakich, żył więc w przekonaniu, że skoro sam nie spełnił wszystkich nadziei pokładanych w nim przez rodziców, tym łatwiej będzie mu nawiązać nić porozumienia z Daniłem, gdy ten zacznie dorastać.

Bardziej pomylić się już nie mógł. Choć Mike opowiadał synowi o własnej burzliwej młodości, nie połączyła ich zażyłość. Daniel odpowiadał na te rozpaczliwe próby wzruszeniem ramion, szyderstwem i całkowitym brakiem zainteresowania. Gdy miarka upokorzeń się przebrała, Mike musiał przyznać przed samym sobą, że nadal nie ma pojęcia, co myśli i jak żyje jego syn. Marzenia i pragnienia jedynaka, jego obawy i aspiracje, toczące go namiętności i skłonności wciąż były dla Mike'a nieodgadniona zagadką.

Mógł więc jedynie zgadywać, czym zajmował się jego syn podczas długich godzin, gdy nie mieli z sobą kontaktu. A ponieważ nie spodobały mu się rojenia własnej wyobraźni, postanowił w ogóle nie zaprzętać sobie tym głowy. Przypuszczał, że Danielowi ta ignorancja była nawet na rękę.

Mike nawet nie przypuszczał, że była na rękę także zabójcy jego syna.

Niektóre spotkania lepiej było zorganizować poza miejscem pracy. Carol zawsze instynktownie się tego domyślała, a Tony zamienił kiedyś jej przeczcucie w pewność, wyjaśniając: „Zabierz ludzi poza ich podwórko, a zatrzęs różnice między ich pozycjami w hierarchii. Lekko wytrącisz ich z równowagi, ale wciąż będą próbowali się popisywać i zaznaczać własne

terytorium. Obce środowisko pobudzi ich do postawy twórczej i kreatywnej. A ta jest niezbędna w każdej organizacji, w której jedynie ciągle wyprzedzając innych o kilka kroków, możesz marzyć o sukcesach. Sprowokowanie podwładnych do pomysłowości i świeżego podejścia do rozwiązywania problemów to jedno z najtrudniejszych do osiągnięcia dokonań, szczególnie w tak zhierarchizowanej strukturze jak policja”.

Tak się akurat składało, że ponadprzeciętne efekty pracy były dla jej zespołu sprawą życia i śmierci. Jak zauważył - bardzo zresztą sugestywnie - James Blake, oczy przełożonych są niezmiennie zwrócone raczej w kierunku elitarnych sekcji niż zwykłych wydziałów w strukturach policji. Występowanie przed szereg z nowymi, skutecznymi inicjatywami było jedynym sposobem uciszenia ewentualnych krytyków. Pomimo że tym razem presja była jeszcze większa niż zwykle, Carol wierzyła, że jej załoga będzie walczyła o swoje „być albo nie być” z całych sił, z taką zaciętością jak ona. To właśnie dlatego zaprosiła swoich podwładnych do prywatnego pokoju karaoke w swojej ulubionej tajskiej knajpie i zabawiała się teraz w kelnerkę, przyjmując od nich zamówienia.

Przy okazji postanowiła wypróbować w praktyce kolejną wskazówkę Tony'ego, że decyzje i sposób ich podejmowania ujawniają prawdziwą naturę danej osoby, choćby po trosze. Takie luźne spotkanie w restauracji było dla Carol szansą, by zweryfikować swoje spostrzeżenia i wiedzę; by sprawdzić, czy to, co zdawało jej się, że wie o poszczególnych członkach zespołu, będzie miało jakieś przełożenie na to, co wybierą i w jaki sposób dokonają takiego, a nie innego wyboru.

Mimo wielu prób Carol nadal nie potrafiła rozgryźć Stacey Chen. Podczas trzech lat ich wspólnej pracy Carol nigdy nie widziała, by jej alfa i omega w zakresie ICT\* piła cokolwiek innego poza herbatą Earl Grey.

\* Information and Communications Technology - technologie informacyjne i komunikacyjne.

Zawsze miała ją przy sobie, nosząc szczelnie zamknięte torebki w stylowym skórzanym plecaku. W barach i klubach, które nie przewidywały żadnej herbaty w swoim menu, zamawiała wrzątek i przygotowywała własny

napój. Niezmiennie wiedziała, czego chce, a gdy już ustaliła, czego właściwie jej trzeba, uczepliła się upatrzonego celu jak rzep psiego ogona. Przez ten jej upór i niezmienną postawę trudno było odgadnąć, w jakim jest nastroju. Gdy ktoś nigdy nie zmienia swoich upodobań, nie sposób rozpoznać, czy w danej chwili jest zestresowany, czy raczej wyluzowany. A pokerowa twarz Stacey była szczególnie beznadziejnym przypadkiem. Carol nie myślała stereotypami, ale czułaby się niemal jak rasistka, gdyby ktoś poprosił ją o wskazanie znajomego, który potrafił najlepiej ukryć swoje prawdziwe uczucia. Wtedy nie miałyby wyboru - musiałyby wskazać na Stacey.

Nawet po tak długim okresie współpracy Carol wiedziała o Stacey tylko tyle, ile wyczytała w jej CV. Jej rodzice pochodzili z Chin, a dokładniej z Hongkongu, gdzie z dużym powodzeniem zajmowali się handlem detalicznym i hurtowym w branży spożywczej. Słyszała plotki, że Stacey zdążyła już zarobić krocie na sprzedaży oprogramowania, przy którym grzebała w wolnym czasie. Z pewnością nosiła się niczym nuworyszka - jej ubrania wyglądały jak szyte na miarę. Ponadto w jej zachowaniu czasem pojawiała się nutka arogancji, która zdradzała inną stronę jej osobowości, ukrytą pod płaszczkiem dyskretnego pracoholizmu. Jednak niewielu potrafiło dorównać Stacey talentem - gdyby nie to, Carol trzymałaby się od niej z daleka. I mimo że nie przepadała za ludźmi pokroju Stacey, z biegiem lat ich zawodowe kontakty przerodziły się w owocną współpracę, a obie kobiety zaczęły darzyć się wzajemnym szacunkiem. Obecnie Carol trudno było sobie wyobrazić swój zespół bez błyskotliwości Stacey.

Dla kontrastu z zachowania śledczej Pauli McIntyre można było czytać jak z otwartej książki. Paula wyraźnie rozważała stojące przed nią alternatywy, zastanawiając się zapewne, czy zdobyć się na odwagę i zamówić coś mocniejszego. Carol oceniła, że Paula, pomimo oczywistej chrapki na alkohol, odrzuci jednak tę myśl, bo górę weźmie potrzeba akceptacji ze strony przełożonej. Trafiony zatopiony. Paula poprosiła o colę.

Paulę i jej szefową łączyła nienazwana więź - praca kosztowała obie wiele krzywd, które wykraczały poza doznania zwykłego krawężnika. W

przypadku Carol i tak już niemałą cenę, którą przyszło jej zapłacić, spotęgowała zdrada ze strony ludzi, którym ufała. Stała się przez to zgorzkniała i rozdrażniona, nosiła się nawet z myślą o odejściu ze służby. Podobnie jak Paula, ale w jej wypadku nie chodziło o nadużycie zaufania, tylko o trudne do wytłumaczenia poczucie winy. Wspólny mianownik ich przejść stanowił też doktor Hill, który - jako przyjaciel Carol i nieformalny terapeuta Pauli - pomógł im obu odzyskać wewnętrzną harmonię i wrócić na właściwą ścieżkę kariery. Carol była wdzięczna Tony'emu za pomoc w obu przypadkach. Tym bardziej że nikt nie potrafił przebić Pauli w wyciąganiu informacji od przesłuchiwanym i świadków. Tak po prawdzie to Carol trochę zazdrościła jej tej umiejętności. Żalodne, zbesztala się w myślach.

No i został Kevin. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że po odejściu Johna Brandona na emeryturę to właśnie z sierżantem Kevinem Matthewsem łączyła ją najdłuższa historia współpracy. Obydwoje mieli okazję prowadzić pierwsze śledztwo z udziałem seryjnego zabójcy w dziejach bradfieldzkiej policji. Pozytywne rozwiązanie tej sprawy zapewniło Carol szybki awans w policyjnej hierarchii, kariera Kevina jednak się załamała. Sam był sobie winien - to przez jego romans z dziennikarką wyciekały do mediów szczegóły postępowania. Jednak gdy Carol wróciła do Bradfield z zadaniem organizacji SPC - sekcji przestępstw ciężkich\* - właśnie ona dała mu drugą szansę. I pewnie nie zapomni mi tego do końca życia, pomyślała.

\* Wyodrębniona w ramach wydziału dochodzeniowo-śledczego niezależna grupa funkcjonariuszy zajmująca się rozwiązywaniem spraw dotyczących najpoważniejszych przestępstw, m.in. zabójstw, pedofilii, porwań, przestępczości zorganizowanej i podpaleń.

Tyle lat minęło, a ona wciąż nie potrafiła postawić mu drinka bez niezdrowej ciekawości, jaki tym razem będzie jego kaprys. Raz zamawia dietetyczną colę, innym razem prosi o kawę bez mleka albo gorącą czekoladę. W pubie był równie chimeryczny - raz zdecyduje się na tradycyjnie warzone piwo z beczki, innym razem - dobrze zmrożonego, niemieckiego jasnego

browca albo miksowi białego wina z wodą sodową. Wciąż nie potrafiła ocenić, czy Kevinowi wszystko szybko powszednieje, czy raczej w lot zmienia upodobania.

Nie było z nimi dwóch członków zespołu. Sierżant Chris Devine wylegiwała się teraz pewnie obok swojej partnerki na jakiejś karaibskiej plaży. Carol miała nadzieję, że jej myśli nie krążą teraz wokół żadnego morderstwa. Ale wiedziała, że jeśli Chris zorientowałaby się, co się teraz u nich dzieło, to wsiadłaby do pierwszego samolotu lecącego w stronę domu. Chris uwielbiała bowiem swoją pracę. Tak jak oni wszyscy.

Ostatni członek zespołu, śledczy Sam Evans, nie pojawił się z niewiadomego powodu. I choć Carol powiadomiła wszystkich osobiście albo SMS-em, nikt z pozostałych nie wiedział, gdzie Sam się podziewał. Albo za czym węszy.

- Odebrał jakiś telefon, potem złapał płaszcz i zniknął - zdradziła Stacey. Dziwne, że w ogóle to zauważyła nad tych swoich komputerów.

Kevin wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Typowe. Chłopak nie może usiedzieć w miejscu. Dają już medale na olimpiadzie za bycie sobie sterem, żeglarzem i okrętem?

To nie czas i miejsce, by zwracać uwagę, że nasz zespół jest w zasadzie zbieraniną upartych indywidualistów, którym tylko dziwnym trafem zdarza się czasem grać do jednej bramki, pomyślała Carol i westchnęła.

- Pójdę złożyć zamówienie. Mijemy nadzieję, że Sam niedługo do nas dołączy.

- Kup mu wodę mineralną - odpowiedział Kevin. - Za karę.

Powiedzenie „o wilku mowa” po raz kolejny znalazło swoje zastosowanie. Gdy Kevin wypowiadał ostatnią uwagę, drzwi się otworzyły, a do środka wpadł pędem wyraźnie z siebie zadowolony Sam, trzymając pod ręką skrzynkę komputera.

- Przepraszam za spóźnienie, szefowo. - Wyjął spod ręki okazałe szare pudło i zaczął wymachiwać nim przed sobą, jak gdyby otrzymał właśnie trofeum za zwycięstwo na kortach Wimbledonu.

- Ta-da!

Carol przewróciła oczami.

- Co tam masz, Sam?

- Wygląda jak produkowany masowo pecet, prawdopodobnie z pierwszej połowy lat dziewięćdziesiątych, wnioskując po tym, że zamontowano w nim zarówno napęd dyskietek pięciocalowych, jak i trzyipółcalowych - wtrąciła się Stacey. - Niewiele pamięci jak na dzisiejsze standardy, ale wystarczało na podstawowe funkcje.

Paula aż jęknęła z poirytowania.

- Szefowa nie o to pytała, Stacey. Raczej w głowę zachodzi, o co tu chodzi, w ogóle i w szczególności.

- Dzięki, Paula, ładna rymowanka. Ale na widok Sama nie straciłam języka w gębie, naprawdę. - Carol dotknęła ramienia Pauli i uśmiechnęła się, próbując wyciągnąć trochę jadu z tych słów. - No więc, Sam, o co tu chodzi?

Sam cisnął blaszaka na stół i czule go pogłaskał.

- Udało mi się znaleźć małą opuszczoną sierotkę po Nigelu Barnesie. Maszynę, której istnienia Barnes zaparł się co najmniej po trzykroć. - Wskazał palcem na Stacey. - Oto twoja szansa, by wsadzić go za kratki za zabójstwo żony. - Splótł ręce na swojej szerokiej klatce i uśmiechnął się szeroko.

- Wciąż nie rozumiem, w czym rzecz - odparła Carol, wiedząc, że to właśnie należało powiedzieć, choć była już bliska rozgrzeszenia Sama za spóźnienie. Wiedziała, że zamięłowanie Sama do stawiania wszystkiego na jedną kartę było niebezpieczną praktyką i działało demoralizująco na ich kolektyw, ale nie umiała długo się gniewać. Choć charakter Sama prowadził do podziałów w zespole, dostrzegła w jego działaniu odbicie swoich własnych ambicji, które napędzały ją do działania na początku kariery. Miała jednak nadzieję, że Sam jak najszybciej przebrnie przez okres nieskrywanej żądzy sukcesu i zrozumie, że biorąc przykład z Szybkiego Billa, może skończyć jak tytułowy bohater filmu „Kill Bill”.

Sam przerzucił kurtkę przez oparcie krzesła i przysiadł na blacie stolika obok komputera.

- To jedna z tych nierozwiązanych spraw, szefowo. Zaginięcie Danuty Barnes i jej półrocznej córeczki w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym. Przepadły bez wieści, jak kamień w wodę, nikt nic nie widział. Ale



wszyscy przeczuwali, że to jej mąż Nigel maczał w tym palce.

- No tak, od razu mi zaświtało. Jej rodzina była przekonana, że to on zabił Danutę i dziecko - wtrącił się Kevin.

- Trafieś w dziesiątkę, Kevin. Nie chciał dzieciaka, cały czas kłócili się z żoną o kasę. Chłopcy z dochodzeniówki przewrócili jego dom do góry nogami, ale nie znaleźli nawet plamki krwi. Żadnego trupa, nawet w szafie. Z której, swoją drogą, zniknęło wystarczająco dużo ubrań, żeby uprawdopodobnić jego historyjkę o ucieczce żony wraz z dzieckiem. - Sam wzruszył ramionami. - Trudno zwalić winę na naszych kolegów. Zrobili wszystko, co było w ich mocy.

- Jak widać, nie wszystko - powiedziała z ironią Carol, krzywiąc się. - No dalej, Sam. Oboje wiemy, że masz coś do dodania.

- Natknąłem się na tę sprawę pół roku temu, rutynowa kontrola, zwykła formalność. Złożyłem wizytę Nigelowi Barnesowi, ale okazało się, że akta są trochę wczorajsze, bo gość sprzedał dom jakiś rok temu. Podpytałem nowych właścicieli, czy nie znaleźli czasem czegoś dziwnego podczas remontu.

- A wiedziałeś chociaż, czego szukasz? - zapytał Kevin.

Sam schylił głowę.

- Okazało się, że przeczucie mnie nie myliło. Wtedy, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym, jakiś bystrzacha z zespołu badającego dom Barnesów zauważył, że monitor i klawiatura komputera nie pasują do jednostki centralnej. Inny producent, nie ten kolor. Nigel Barnes zarzekał się, że właśnie taki sprzęt mu sprzedano. Ale ichniejszy spec od ICT był pewien, że to bujda na resorach, bo zarówno monitor, jak i klawiatura pochodziły od tego samego producenta, który prowadzi sprzedaż wysyłkową jedynie pełnych zestawów komputerowych. Ergo, kiedyś pozostałe urządzenia musiały być podłączone do innej jednostki centralnej. Byłem więc ciekaw, czy aby gdzieś po domu nie wała się twardy dysk ze starego zestawu. Ale nowi właściciele zaprzeczyli: podczas gruntownego remontu nie natknęli się na nic takiego. A ten kutwa Barnes zabrał z sobą nawet żarówki i wyciągnął baterie z czujników dymu. - Przybrał minę smutnego

blazna. - Sądziłem więc, że to na tyle w tej sprawie. - Teatralnie zawiesił głos.

- Dopóki dziś rano nie zadzwonił telefon - domyśliła się Paula.

Niczym sufler w teatrze, każdy członek zespołu wiedział już wcześniej, jak i kiedy podpowiedzieć innemu odpowiednią kwestię, gdyby ten zaciął się w pół zdania.

- Zgadza się. Okazało się, że nowi lokatorzy, zdecydowani w końcu osuszyć piwnicę, zerwali w niej cały tynk. Zgadnijcie, co znaleźli za jedną z płyt gipsowych?

- Chyba nie stary komputer?! - Paula wyrzuciła ręce do góry, udając zdziwienie.

- Nie inaczej! - Sam popatrzył wymownie na Stacey i puścił do niej oczko. - Jeśli tkwią w nim jakieś tajemnice, wszyscy wiemy, kto pomoże nam je odkryć.

- Trudno uwierzyć, że nie zniszczył kompa - stwierdził Kevin, kręcąc głową, a jego ryże włosy zaśnieżyły w świetle.

- Pewnie myślał, że dokładnie wyczyścił twardego - rzuciła Stacey. - Ludzie nie rozumieli wtedy, że sformatowanie dysku nie usuwa wszystkich danych.

- A nawet jeśli, to na jego miejscu raczej zabralibyście blaszaka z sobą. Albo wyrzucilibyście do śmieci. Lub chociaż oddalibyście go tym fundacjom, które wysyłają używany sprzęt do Afryki.

- Lenistwo albo arogancja, wybierzcie sobie. Tak czy siak, dziękujemy niebiosom za oba te dary, bo dzięki nim mamy co robić.

- Carol wstała. - Dobra robota, Sam. Tym bardziej że będziemy potrzebować jak najwięcej podobnych inicjatyw w ciągu kolejnego kwartału.

Reakcja członków jej zespołu wyrażała szeroki wachlarz emocji, od konsternacji po zniechęcenie.

- Nowy komendant sądzi, że nasz zespół zbyt dużo go kosztuje. Że nie zarabiamy na sobie, bo każdy głupi może rozwiązać niewyjaśnione sprawy, którymi się zajmujemy, gdy mamy trochę luzu przy bieżących śledztwach. Że nasze umiejętności powinny przysłużyć się całej dochodzeniówce - wytłumaczyła.

Na jej słowa odpowiedziała wrzawa pełnych oburzenia głosów, z

których żaden nie wyrażał nawet cienia poparcia dla poglądów Blake'a. W końcu pomruk niezadowolenia ucichł, pozwalając dokładnie usłyszeć ostatnią uwagę Sama.

- Co za debil!

Carol pokręciła głową.

- Wcale nam nie pomagasz, Sam. Podobnie jak wy, nie mam ochoty wrócić pod skrzydła wydziału. Bardzo sobie cenię współpracę z wami i sposób organizacji naszych śledstw. Jak również i fakt, że możemy wykazać się przy tym kreatywnością i pomysłowością. Ale, jak widać, nie każdy docenia nasze starania.

- Myślałby kto, że docenią chociaż naszą skuteczność - narzekał Kevin.

- Nie, skoro przez nas wychodzą na ciamajdy - rzuciła Carol. - Tak czy owak, mamy trzy miesiące, by udowodnić, że nasz zespół jest prawdziwą maszynką do rozwiązywania najtrudniejszych spraw. Wiem, że dajecie z siebie wszystko w każdym prowadzonym przez nas śledztwie, ale tym razem musicie wycisnąć z siebie siódme poty. Pamiętajcie, że walczymy o przetrwanie.

Jej podwładni wymienili spojrzenia. Kevin odsunął krzesło i wstał.

- Olej zamówienia, szefowo. Lepiej od razu zabierzmy się do roboty!

## ROZDZIAŁ 6

Wciąż lało jak z cebra, gdy zakończyła się sekcja zwłok Jennifer Maident i Alvin Ambrose przyjechał odebrać swojego przełożonego. W tym momencie znalezienie jakichkolwiek śladów pozostawionych na miejscu zbrodni graniczyło z niemożliwością. Jedynym źródłem informacji o losach Jennifer pozostawały jej zwłoki.

Inspektor Patterson opuścił głowę i zgarbił się, by osłonić się przed smagającym go deszczem, i podbiegł truchtem do samochodu. Gdy w końcu opadł na siedzenie pasażera, na jego twarzy malowało się obrzydzenie, a niebieskie ślepia Pattersona niemal w całości zasłaniały wory pod oczami. Ambrose nie potrafił odgadnąć, co tak wykrzywiło oblicze szefa - szalejąca za oknem pogoda czy raczej niedawna autopsja.

Ambrose wskazał ręką na kubek kawy umieszczony w podręcznym stojaku auta.

- Latte z chudym mlekiem - zaproponował. W jego słowach nie było żadnego podtekstu, zwierzchnik był już wystarczająco wychudzony.

Dreszcz wstrząsnął ciałem inspektora.

- Dzięki, Alvin, ale nie dam teraz rady niczego przełknąć. Lepiej sam się napij.

- Jak poszło? - zapytał Ambrose, ostrożnie kierując auto do wyjazdu z parkingu.

Patterson szarpnął pasy i wpiął ich klamrę w zamek.

- Nigdy nie jest łatwo. A szczególnie kiedy na stole ląduje dziecko.

Ambrose wiedział, że nie ma sensu ciągnąć szefa za język. Trzeba było dać mu chwilę na zebranie myśli. Potem z pewnością podzieli się ze swoim chłopcem na posyłki przemyśleniami, które uzna za stosowne. Gdy wyjechali z parkingu na główną drogę, Ambrose zatrzymał samochód.

- Gdzie teraz?

Patterson powoli rozważył tę kwestię. A nigdy nie spieszył się z osądem.

- Czy coś ciekawego wydarzyło się podczas mojej nieobecności?

Nawet całkiem sporo. Ale był to istny groch z kapustą - strzępki mało ważnych informacji, tropy tak błahe, że nawet zwykły krawężnik w mig by pojął, że prowadzą donikąd.

Jednym z zadań Ambrose'a w ich policyjnym duecie było odsiewanie informacji i decydowanie, o czym Patterson powinien się dowiedzieć. Gdy został prawą ręką szefa, Alvin początkowo krzywo patrzył na ten nowy obowiązek, ale wkrótce odkrył, że w roli „filtra informacji” sprawdza się bez zarzutu. Przez to, że jego szef odkrył w nim ten talent wcześniej, niż sam Ambrose go sobie uświadomił, darzył swojego szefa jeszcze większym szacunkiem.

- Nic godnego twojej uwagi - odpowiedział Ambrose. Patterson westchnął, co i raz nadymając policzki.

- W takim razie zabierz nas do rodziców Jennifer.

Ambrose wjechał na główną ulicę, po czym w myślach wytyczył najlepszą trasę. Jeszcze zanim wykonał pierwszy skręt, Patterson stał się bardziej rozmowny. Całkiem szybko jak na niego, pomyślał Ambrose. Śmierć Jennifer Maidment musiała więc bardzo ciążyć mu na sumieniu.

- Przyczyną zgonu było uduszenie. Dopływ powietrza odciął jej ten plastikowy worek, ściśle przyklejony wokół szyi. Żadnych śladów szarpaniny ani urazu głowy. Zero zadrapań i siniaków, brak krwi lub skóry pod paznokciami - niespiesznie wycedził Patterson grobowym głosem.

- Więc musiała zostać odurzona.

- Na to wygląda. - Na obliczu Pattersona przygnębienie ustąpiło miejsca złości. Poczzerwieniał jak rak i mocno przygryzł wargi.

- Rzecz jasna, analiza toksykologiczna zajmie w chuj czasu albo o jeden dzień dłużej. Medycyna sądowa już dawno zesłała na psy w tym kraju, nie ma co. To już nawet ta stara gówniana publiczna służba zdrowia działa sprawniej. Poprosisz lekarza o komplet badań krwi i co? Wyniki znasz po zaledwie czterdziestu ośmiu godzinach. Ale toksykolodzy biedzą się nad swoimi analizami czasem nawet sześć tygodni. Jeśli tym cholernym politykierom naprawdę zależy na odstraszeniu potencjalnych przestępców i wysokich wskaźnikach wykrywalności, powinni sypnąć groszem na usługi kryminalistyczne. Przecież to niedorzeczne, że możemy sobie pozwolić na skorzystanie z tej technologii tylko w niewielkim procencie przypadków! A nawet jeśli księgowość popuści nam pasa, to i tak mijają kurewsko dużo czasu. A nawet gdy doczekamy się wyników, w dziewięciu przypadkach na dziesięć możemy co najwyżej sobie nimi dupę podtrzeć, bo w tym czasie zdążymy już wpaść na jakiś trop za pomocą tradycyjnych technik. Medycyna sądowa powinna nam pomóc rozwiązać sprawę, a nie tylko potwierdzić, że posłaliśmy za kratki właściwego skurwiela. A te wszystkie seriale w telewizji? No wiesz, „Budząc zmarłych” czy „CSI”? Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że oglądam jakąś czarną komedię w krzywym zwierciadle. Przecież gdyby to były prawdziwe realia, jeden odcinek by wystarczył, żeby zrujnować mój cały budżet na kolejny rok!

Ambrose niemal na pamięć znał podobne tyrady Pattersona, wygłoszone zawsze wtedy, gdy śledztwo szło nie po jego myśli. Ale Ambrose wiedział, że jego szef po prostu wyładowywał złość na pierwszej lepszej kwestii, próbując ukryć prawdziwy powód do gniewu. A były nim wyrzuty sumienia za niedostatecznie szybkie postępy śledztwa, które pomogłyby ulżyć w cierpieniu oplakującym stratę rodzinom ofiar. Wszystkiemu winne było poczucie winy, którą Patterson brał wyłącznie na siebie i którą uważał za osobistą porażkę. Nie mógł się pogodzić z faktem, że jest tylko człowiekiem; z własną, tak ludzką przecież, niedoskonałością. I żadne słowa Ambrose'a nie mogły ich pocieszyć.

- No raczej - powiedział tylko. Dał Pattersonowi czas na zebranie myśli, co trwało dłuższą chwilę. - Doktorek miał do dodania coś więcej? - spytał wreszcie.

- Okaleczenie genitaliów było dziełem laika, to pewne. Użyto do tego bardzo ostrego długiego ostrza. Prawdopodobnie czegoś dostępnego w każdym tutejszym sklepie, na przykład noża do mięsa. - Patterson nie potrafił ukryć obrzydzenia. - Ten ktoś włożył nóż do pochwy Jennifer i obracał ostrzem wokół. Doktorek uważa, że sprawca mógł próbować wyciąć całe ten tego... waginę, szyjkę macicy i łono. Ale nie potrafił.

- To prawdopodobnie wyklucza podejrzanych obeznanych z medycyną - zauważył Ambrose, jak zawsze spokojny i niewzruszony.

Ale tylko pozornie. W środku narastał w nim bezsilny gniew, uczucie wzbierającej wściekłości. I to wcale mu nieobce, choć nauczył się kontrolować swój temperament już dawno temu. Gdy dorastał, ciemnoskóry i już wtedy wyrosnięty Ambrose zwracał uwagę różnych typków szukających zwady. Również jego rodzice i nauczyciele próbowali coś mu udowodnić. Gdyby przyjął każde takie wyzwanie, kolor skóry i tak postawiłby go na z góry przegranej pozycji, niezależnie od wyniku starcia. Lepiej było więc zdusić gniew w sobie, niż podjąć każdą rzuconą mu rękawicę. Postanowił więc trenować boks, który pozwolił mu spożytkować siłę ogarniającej go złości na walkę w ringu. Wszyscy powtarzali mu zresztą, że z powodzeniem mógłby zostać zawodowym pięściarzem. Ale demolowanie kolejnych przeciwników nie sprawiało mu aż takiej przyjemności, by potraktować poważnie taką karierę.

- Lekarz stwierdził, że w życiu nie dałby temu gnojowi pokroić indyka przy rodzinnym stole. - Patterson westchnął.

- Znalazł chociaż jakieś ślady wskazujące na molestowanie seksualne?

Ambrose włączył kierunkowskaz, uprzedzając inne auta, że ma zamiar skrócić w ulicę, przy której mieszkała rodzina Maidmentów. Wiedział, że Patterson dałby sobie głowę uciąć za swoją Lily, więc nie miałby żadnej litości ani współczucia, gdyby sprawca nie tylko zabił, ale też zgwałcił Jennifer.

- Trudno powiedzieć. Odbyt w porządku, a w przewodzie pokarmowym nie znaleziono spermy. Jeśli nam się poszczęści, to może wykryją coś w

tych próbkach, które poszły do laboratorium. Ale nadzieja matką głupich.

Ambrose zatrzymał auto. Drzwi samochodu natychmiast otoczyła sfera dziennikarzy wyczekujących przed bliźniakiem Maidmentów.

- No i się zaczyna. - Patterson mruknął pod nosem. - Z większości z nich pożytku tyle, co kot napłakał.

Patterson, mamrocząc „bez komentarza” i „nie mam nic do dodania”, przepychał się przez tłum, a za nim podążał Ambrose.

- Dajcie spokój rodzinie - zaapelował Ambrose, rozkładając szeroko ręce, by utworzyć szefowi drogę w kierunku domu. - Nie mam teraz czasu, by się z wami bawić. Nie zmuszajcie mnie do ściągnięcia tu chłopaków w mundurach, by was stąd zabrali. Umówmy się tak: wy się cofniecie w te pędy, a my zobaczymy, co da się zrobić w sprawie ewentualnej konferencji prasowej z udziałem rodziców ofiary, okej?

Wiedział jednak, że nie wskóra nic ani prośbą, ani groźbą. Mogli się jedynie postarać, by mniej rzucić się w oczy. A jego zwalista figura czasem potrafiła na siebie zarobić.

Gdy sierżant przedarł się do drzwi, Patterson mijał właśnie próg domu. Do niedawna mężczyzna przytrzymujący drzwi uchodził zapewne za nie lada przystojniaka. Głowę zdobiły mu grube ciemne włosy poprzetykane pasemkami siwizny. Natura obdarowała go symetrycznymi rysami twarzy i niebieskimi oczami, nieco niżej osadzonymi niż zwykle, co zazwyczaj tak bardzo podobało się kobietom. Ale w tej chwili wyraźnie wymizerowany i udręczony wyraz twarzy Paula Maidmenta przywodził raczej na myśl człowieka znajdującego się o krok od stoczenia się w rynsztok. Nieogolony, z włosami w nieładzie i w pogniecionym ubraniu, tępo patrzył na nich przekrwionymi oczami, jak gdyby stracił już poczucie rzeczywistości i obowiązujących w niej reguł zachowania.

Ambrose nawet nie próbował sobie wyobrazić, co musiał czuć człowiek, na którego po powrocie nie czekała w domu roześmiana rodzina, lecz niespodziewana tragedia, przez którą jego życie legło w gruzach - i to bezpowrotnie.



Za plecami Maidmenta stała Shami Patel. I to ona ich sobie przedstawiła.

- Przepraszam, że to ja wam nie otworzyłam, ale parzyłam w kuchni herbatę - tłumaczyła się. Ambrose mógł jej powiedzieć, że Pattersona nie obchodziły żadne wymówki, ale się powstrzymał. Nie był to ani czas, ani miejsce na wytykanie sobie błędów.

Weszli gęsiego do salonu i rozgościli się.

- Przepraszam, że nie odebrałem pana z lotniska osobiście - usprawiedliwił się Patterson. - Miałem sporo innych obowiązków na głowie. Oczywiście w związku ze śmiercią Jennifer.

Maidment pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, co wyprawiacie w tej sprawie, i nawet nie chcę wiedzieć. Po prostu róbcie swoje. Znajdźcie sprawcę, zanim zniszczy kolejną rodzinę. - Głos ugrzązł mu w gardle, więc głośno odchrząknął.

- Jak się czuje pana żona? - zapytał z wyrozumiałością Patterson.

Maidment odkaslnął.

- Ona... śpi. Lekarz dał jej coś na uspokojenie. Dopóki nie wróciłem do domu, panowała nad sobą, ale potem... powiedzmy, że lepiej trzymać ją od tego z daleka. - Przyłożył obie dłonie do twarzy i mocno chwycił za policzki, jakby chciał zerwać skórę do żywego mięsa. Zza rąk doszedł ich przytłumiony głos. - I lepiej, żeby tak już zostało na zawsze. Ale ona będzie chciała do tego wrócić. A nawet kiedy się obudzi, ten koszmar przecież nie zniknie ot tak.

- Jest mi niewymownie przykro - rzekł Patterson. - Mam z żoną córkę niemal w tym samym wieku, która również jest naszym oczkiem w głowie.

Maidment przesunął palcami w dół twarzy i popatrzył na nich, płacząc.

- To nasze jedyne dziecko. Nie ma szans na drugie. Tania nie oszuka natury. To by było na tyle z naszej strony pod tym względem, nikt nie przekaze naszego nazwiska następnemu pokoleniu. Stanowiliśmy rodzinę, teraz pozostało nam tylko małżeństwo.

- Głos mu się łamał i drżał z emocji. - Podobno czas goi rany, ale nie wiem, czy kiedykolwiek zdołamy o tym zapomnieć. Nic już nie rozumiem.

Jak to się mogło stać? Czemu ktoś zabił moją dziewczynkę?!

Do pokoju wróciła Shami, niosąc tacę z parującymi kubkami, mlekiem i cukrem.

- Herbata raz - powiedziała, rozdając ją wszystkim obecnym. Ta prozaična zdawałoby się czynność poprawiła nieco panujący dotychczas niewesoły nastrój i pozwoliła Pattersonowi pójść za ciosem.

- Claire powiedziała nam, że Jennifer miała zamiar upiec ciasto z okazji pana powrotu. Że musiała pójść do sklepu po polewę. Czy zazwyczaj witała pana w ten sposób? Znaczący, piekła coś? - Patterson zapytał z wyczuciem.

Pytanie zaskoczyło Maidmenta.

- Nigdy wcześniej tego nie robiła. Nie wiedziałem nawet, że potrafi upiec ciasto. - Przygryzł wargę. - Gdyby tylko nie wpadła na ten pomysł, gdyby zamiast tego jak zwykle poszła do Claire...

- Wersja, którą Jennifer przedstawiła Claire, nas nie przekonuje - powiedział Patterson dyplomatycznym tonem. Ambrose zawsze był pod wrażeniem troski, którą Patterson okazywał w obliczu widma gwałtownej i nieoczekiwanej śmierci. Jeśli próbowaliby dobrać jakiś epitet do opisu takiego podejścia, do głowy przychodziło mu tylko jedno słowo - „czule”. Zupełnie jakby Patterson przeczuwał, jak straszną cenę przyszło płacić tej rodzinie, i nie chciał im wbijać kolejnych gwoździ do trumny. Co nie znaczy, że nie potrafił być bezkompromisowy i zadawać pytań, które Ambrose'owi nawet nie przeszłyby przez gardło. Ale to tylko pozory, pod którymi kryło się głębokie poszanowanie dla cierpienia innych. Inspektor poczekał, aż pan Maidment przyswoi jego słowa, po czym się odezwał.

- Już wcześniej zastanawialiśmy się, czy Jennifer aby nie użyła tej wymówki, by Claire nie próbowała dociekać, gdzie też jej przyjaciółka naprawdę się wybiera. Ale musieliśmy poczekać na pana zeznania, żeby się przekonać, czy pana córka miała w zwyczaju w ten sposób witać pana w domu.

Maidment pokręcił głową.

- Nie przypominam sobie. Jeśli nie było mnie w domu przez więcej niż kilka nocy, to nasza trójka zazwyczaj świętowała mój powrót podczas

obiadu na mieście. W chińskiej restauracji. Jennifer uwielbiała chińszczyznę. Nigdy nie witała mnie ciastem. - Wstrząsnął nim dreszcz. - I teraz już nigdy nie powita.

Patterson wstrzymał się na kilka chwil z zadaniem kolejnego pytania.

- Przeglądaliśmy komputer Jennifer. Wygląda na to, że pana córka i Claire często i długo surfowały po sieci, razem i osobno. Wiedział pan o tym?

Maidment przytulił palce do kubka, jak gdyby nagle dopadła go Królowa Śniegu. W końcu przytaknął.

- Przecież wszystkie nastolatki tak robią. Nawet gdyby człowiek chciał im tego zabronić, to i tak znajdą sposób, żeby obejść zakazy. Więc porozumieliliśmy się z rodzicami Claire i zainstalowaliśmy w ich komputerach systemy ochrony rodzicielskiej, ograniczające nie tylko dostęp do niektórych stron, ale także możliwość dojścia innych użytkowników do naszych córek.

Do czasu, pomyślał Ambrose.

- Jennifer często korzystała z RigMarole - stwierdził, płynnie przejmując pałeczkę przesłuchującego. Pracował z Pattersonem już tak długo, że nawet nie musieli omawiać wcześniej taktyki podejścia do świadków Bez porozumienia, kierując się tylko intuicją, potrafili bezbłędnie wymieniać się rolami w toku rozmowy. - Tego serwisu społecznościowego. Czy kiedykolwiek wspominała panu o czymkolwiek związanym z tą stroną?

Maidment przytaknął.

- Wraz z żoną zawsze staraliśmy się wysłuchiwać racji Jennifer i nie traktować jej zbyt surowo. Dokładaliśmy starań, by dokładnie omówić każdą kwestię, wyjaśnić, dlaczego nie pozwalamy jej czegoś robić, albo dlaczego nie podoba nam się jakieś jej zachowanie czy coś. W ten sposób zawsze graliśmy z naszą córką w otwarte karty. Mniemam, że rozmawiała z nami częściej niż większość nastolatków ze swoimi rodzicami. A przynajmniej takie odniosłem wrażenie, słuchając, co opowiadają o swoich dzieciakach nasi przyjaciele i moi znajomi.

I jak to często bywało z pogrążonymi w smutku rodzicami, wystarczyło kilka słów o zmarłej córce, by Maidment przeniósł się na chwilę do innego

wymiaru, w którym nie znano nawet słowa „żałoba”.

- Co więc mówiła o tym RigMarole? - dopytywał Patterson.

- Obie lubiły spędzać tam czas. Podobno Jennifer poznała tam masę znajomych, którzy pasjonowali się tymi samymi programami w telewizji i słuchali tej samej muzyki. Ja też mam konto na Rigu, więc wiem, że to całkiem proste narzędzie do nawiązywania kontaktów z ludźmi o podobnych zainteresowaniach. Mają też bardzo dobre filtry. Paroma kliknięciami myszki możesz zablokować komuś dostęp do danej grupy, jeśli nie pasuje do twojej paczki albo zachowuje się nieodpowiednio.

- Czy wspominała może o użytkowniku posługującym się inicjałami Zet Zet? - dopytywał się Ambrose.

Maidment potarł palcem wskazującym i kciukiem powieki, a potem grzbiet nosa. Głęboko odetchnął i wypuścił powietrze.

- Nie, nie wydaje mi się. Choć o takie szczegóły lepiej byłoby zapytać Claire. A dlaczego pan pyta? Czy to on ją prześladował?

- Nic na to nie wskazuje - odparł Ambrose. - Ale udało nam się odzyskać niektóre ich wspólne rozmowy na czacie, w których ten ZZ sugerował, że zna jakiś sekret ukrywany przez Jennifer. Czy mówiła panu lub pana żonie o czymś takim?

Maidment nie ukrywał zdziwienia.

- Nie przypominam sobie. Wiercie mi, Jennifer nie była jakimś nawańcem. Tak po prawdzie, to żyła pod kloszem i niezwykle rzadko dawała nam powody do niepokoju. Wiem, że pewnie wszyscy rodzice starają się wam wmówić, że ich pociechy były niewinne jak aniołki. Tego nie twierdzą. Ale Jennifer była przynajmniej zrównoważona. Z pewnością niedojrzała jak na swój wiek. Jeśli coś ukrywała, to raczej nie była to żadna z tych rzeczy, które chodzą wam po głowie - narkotyki, seks i tym podobne. Prędej zauroczenie jakimś chłopcem czy coś równie banalnego. Nic, co mogłyby skończyć się zabójstwem.

Ostatnie słowo gwałtownie sprowadziło Maidmenta na ziemię, choć pewnie wolałby się pod nią zapaść, biorąc pod uwagę skutki powrotu do niewesołej rzeczywistości. Po policzkach zaczęły mu powoli cieknąć łzy.

Shami bez słowa sięgnęła po pudełko chusteczek i wepchnęła mu kilka do ręki.

Ambrose uznał, że nie wyciągną już od Maidmenta żadnych innych użytecznych zeznań. Nie dzisiaj. Być może nigdy. Spojrzał w kierunku Pattersona, który niemo potwierdził jego ocenę.

- Przepraszam pana - powiedział Patterson - ale powinniśmy już się zbierać. Chcę jednak pana zapewnić, że robimy w tej sprawie wszystko, co tylko możliwe. Ale wciąż potrzebujemy pańskiej pomocy. Może mógłby pan podpytać żonę, czy Jennifer wspominała o tym ZZ. Albo o jakichś sekretach. - Wstał. - Śledcza Patel zostanie z panem, proszę się do niej zwrócić w razie potrzeby. Jeszcze się odezwiemy.

Podążając za swoim szefem z powrotem do auta, Ambrose zastanawiał się, ile czasu minie, zanim Paul Maidment ochłonie na tyle, by wytrzymać choćby pięć minut bez rozpamiętywania zamordowanej córki.

## ROZDZIAŁ 7

Po przyjrzeniu się swojemu salonowi Tony'emu przyszło na myśl, że był on dowodem praktycznego zastosowania drugiej zasady termodynamiki, która stwierdza, że chaos nigdy nie maleje. Nie był do końca pewien, jak to się mogło stać, ale różne szpargały najwyraźniej zwiększały swoją objętość, gdy tylko spuszczał je z oka. Książki, gazety lub czasopisma, płyty DVD i CD, gry na konsole i różne kontrolery do nich - wszystko to potrafił jeszcze jakoś wytłumaczyć. Ale co do innych rzeczy, to nie miał zielonego pojęcia, jakim cudem grawitacja wprowadziła je na orbitę jego pokoju. Pudełko płatków Kostka Rubika. Niewielka sterta czerwonych gumek recepturek. Sześć kubków. Jakaś podkoszulka. Torba z logo księgarni, w której - mógłby przysiąc - nigdy nie był. Pudełko zapalek i dwie puste butelki po piwie, którego, o ile było mu wiadomo, nie kupił.

Przez chwilę rozważał nawet, czy nie warto byłoby tu posprzątać. Ale właściwie po co? Większość tego chaosu nie była przypisana do żadnego konkretnego miejsca w domu, więc jedynie przeniósłby bałagan do innego pokoju. A we wszystkich panował mniejszy lub większy rozgardiasz. Każde pomieszczenie - gabinet, sypialnia, pokój gościnny, kuchnia i jadalnia - było osobnym składowiskiem odzwierciedlającym różne aspekty jego wewnętrznego nieporządku. Jedynie łazienka nie przedstawiała obrazu nędzy i rozpacz, ale jej akurat używał w ściśle określonych celach, do których była przeznaczona. Tony nie należał do ludzi, którzy używają toalety jako czytelnicy ani wanny jako alternatywnego miejsca pracy.

Kiedy kupił ten dom, był pewien, że znajdzie się w nim dość miejsca, by pomieścić wszystkie szpargały i nie przerodzą się one w obecne, nieokreślone siedliska różnych drobiazgów. Zapłacił za pomalowanie ścian na jasnokremowy kolor, zaszalał nawet, kupując sporo oprawionych, czarno-białych fotografii panoramy Bradfield, które uznał za dostatecznie interesujące i relaksujące. Wnętrze straciło swój całkiem stylowy wygląd w przeciągu zaledwie dwóch dni. Obecnie Tony mógł się co najwyżej zastanawiać, czy w jego domu nie znalazła czasem zastosowania zasada termodynamiki w wersji Parkinsona\*, stwierdzająca, że chaos rośnie, wypełniając każdą dostępną przestrzeń.

\* Brytyjczyk Cyril Northcote Parkinson (1909-1993) sformułował prawo, a potem zbiór zasad, które początkowo odnosiły się jedynie do rozrostu biurokracji, były jednak szeroko parafrazowane w zastosowaniu do innych dziedzin życia, podobnie jak prawo Murphy'ego.

Początkowo Tony był tak bardzo przekonany, że w tych czterech ścianach znajdzie się wystarczająco dużo wolnego miejsca, że zaraz po przeprowadzce postanowił przekształcić zaskakująco dobrze nasłonecznioną i obszerną piwnicę w oddzielne mieszkanie. Zakładał, że wynajmie je jakiegoś wykładowcy, który postanowił wziąć wolne od nauczania i zebrać na miejscowej uczelni materiał do dysertacji, lub lekarzowi na półrocznym stażu w tutejszym szpitalu. Z pewnością nie myślał o żadnych dłuższych relacjach, które rzutowałyby na jego życie.

Taki był przynajmniej plan. Ale spalił na panewce, gdy do mieszkania na dole wprowadziła się Carol Jordan. Nie tak to miało wyglądać. Wcześniej, gdy Carol zrezygnowała z pracy w policji w Bradfield, postanowiła odciąć się od świata w swoim eleganckim londyńskim gniazdku, położonym w dzielnicy Barbican Estate w centrum stolicy. Nawet gdy John Brandon zdołał namówić ją do powrotu na pierwszą linię frontu walki z przestępczością, opierała się, by sprzedać mieszkanie w Londynie i związać się na stałe z Bradfield. Tony zaoferował więc, by wprowadziła się do jego piwnicy, póki nie znajdzie sobie innego lokum. To, co miało być jedynie tymczasowym rozwiązaniem, okazało się trwałym układem, który - o dziwo

- bardzo im odpowiadał. Starali się nie przeszkadzać sobie nawzajem, a sam fakt bliskości drugiego człowieka na wyciągnięcie ręki poprawiał im samopoczucie. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Zdecydował, że sprzątanie nie ma sensu. Bo i po co? I tak, zanim się obejrzy, wszystko wróci do poprzedniego stanu. A on miał lepsze rzeczy do roboty. Niby praca na pół etatu w klinice psychiatrycznej przy szpitalu Bradfield Moor powinna pozostawić Tony'emu dość wolnego czasu na inne zajęcia - współpracę z policją, czytanie i pisanie książek oraz artykułów, które pozwoliłyby mu utrzymać kontakt z zawodem. Ale w rzeczywistości dzień zawsze okazywał się za krótki, tym bardziej gdy wzięło się pod uwagę godziny, które poświęcał grom komputerowym. Miał do nich słałość i święcie wierzył, że wyzwalały w nim ukryte pokłady pomysłowości. Zadziwiające, jak wiele - zdawałoby się - skomplikowanych problemów wydawało się zupełnie prostych po godzinnej partyjce spędzonej na przysgodach z Lara Croft lub budowaniu średniowiecznego chińskiego królestwa.

Jednak ostatnio wydawało się, że sielanka minęła. Wszystko przez Carol, która wpadła na genialny pomysł, by kupić mu konsolę Nintendo Wii. Specyfika sprzętu miała mu pomóc odzyskać całkowitą sprawność w nodze, na którą wciąż utykał. Była to pamiątka po kolanie roztrzaskanym w wyniku napadu wściekłości jednego z pacjentów. „Za dużo czasu spędzasz przed komputerem” - strofowała go Carol. „Musisz wrócić do formy. Wiem, że nie przekonam cię, żebyś poszedł na siłownię. A Wii przynajmniej postawi cię na nogi”.

Miała rację. Niestety, aż za bardzo. Może i chirurg, który operował mu kolano, byłby w siódmym niebie, widząc, ile czasu Tony spędza teraz, człapiąc po salonie podczas gry w wirtualnego tenisa, kręgle lub golfa albo też oddając się groteskowemu pojedynkom z królikami w dziwnych strojach. Ale tego zdania raczej nie podzieliliby jego redaktorzy, którzy nie mogli doczekać się w terminie obiecanych im tekstów.

Miał właśnie oddać ostatni strzał w pojedynku z wodzem królików na ulicach Paryża, gdy przerwał mu głos dochodzący z zamontowanego przez



Carol domofonu, łączącego jej piwnicę z mieszkaniem Tony'ego na górze.

- Wiem, że tam jesteś. Słyszę twoje wygibasy - zatrzeszczał jej głos. - Mogę wpaść na górę czy jesteś może zbyt zajęty udawaniem Rafaela Nadala?

Tony odszedł od ekranu bez większego żalu i wduśli przycisk zwalniający drzwi. Zanim Carol się pojawiła, zdążył już odłożyć urządzenia sterujące konsoli na ich ładowarkę i nalać po szklance wody mineralnej. Carol wzięła do ręki tę przeznaczoną dla niej, patrząc na niego z wyrazem niedowierzania.

- Nie masz czegoś mocniejszego?

- Nie - odparł. - Muszę dbać o odpowiednie nawodnienie organizmu. - Przeszedł obok niej z powrotem do salonu, uważnie stawiając każdy krok, by zminimalizować ból w kolanie.

- Ale ja nie muszę. A po takim dniu zasługuję na coś porządnego. - Carol nie dawała za wygraną.

Tony nie zatrzymywał się.

- A jednak zawitałaś do mnie, dobrze wiedząc, że staram się pomóc ci skończyć z alkoholem. Twoje zachowanie przeczy twoim słowom. - Obejrzał się i szeroko uśmiechnął, by złagodzić nieco wydźwięk tej uwagi. - Chodź tu, usiądź sobie i powiedz, co ci leży na sercu.

- Mylisz się. - Carol jednak wzięła tę reprimendę do siebie. Poszła w ślad za Tonym i klapnęła na kanapę naprzeciwko jego fotela. - Przyszłam, bo muszę z tobą porozmawiać o czymś naprawdę ważnym. A nie dlatego, że niby w głębi duszy czuję, że nie potrzebuję się napić.

- Mogłaś mnie przecież zaprosić do siebie na dół. Albo poprosić o spotkanie w miejscu, które oferuje alkohol - zauważył Tony.

Szukanie kolejnych argumentów przeciwko picciu i przekonywanie jej, że naprawdę nie musi zaglądać do kieliszka, było męczącym zadaniem, ale tylko w ten sposób potrafił okazać, jak bardzo mu na niej zależy.

Carol wyrzuciła ręce do góry.

- Skończ z tym protekcyjnym tonem. Mam do ciebie naprawdę ważną sprawę. - Brzmiało tak, jakby naprawdę w to wierzyła.

I był to dla niego kolejny dowód, że Carol nie powinna topić smutków w alkoholu. Zew kieliszka przesłaniał tyle innych spraw - niecierpiącą zwłoki kwestię, z którą mogła się do niego zwrócić czy też ciężki dzień w pracy - oraz utrudniała Tony'emu odczytanie jej emocji, co doprowadzało go do szału.

Tony odchylił się w fotelu z uśmiechem na ustach, a jego niebieskie oczy zaiskrzyły w świetle nocnej lampki.

- No to wyduś to z siebie. Obiecuję, że przestanę zachowywać się jak zrzędlivy przyjaciel. Zamiast tego poudaję zaciekawionego kumpla z pracy, dobra? Czy przypadkiem to, co chcesz mi powiedzieć, ma coś wspólnego z rozmową z twoim nowym przełożonym?

Odpowiedział mu szyderczy uśmiech.

- Jakbyś zgadł. - Spiesznie wyłuszczyła mu przebieg rozmowy, wspominając o ultimatum, które James Blake postawił jej zespołowi. - To się w głowie po prostu nie mieści - skomentowała ze słyszalną, choć skrętnie ukrywaną frustracją w głosie. - Przez następne trzy miesiące jesteśmy zdani na łaskę przypadku. Może powinnam więc modlić się o jakiś smaczny kąsek, na przykład morderstwo, by móc udowodnić naszą przydatność? Albo spreparować dowody, by rozwiązać kilka głośnych, dotychczas niewyjaśnionych spraw? W taki sposób nie da się zbadać efektywności pracy zespołu specjalistów śledczych!

- Co racja, to racja. Ale tu chodzi o coś innego. Blake już podjął decyzję. Ten cały okres próbny to jedna wielka lipa, z dokładnie tych samych powodów, które tu przytoczyłaś. - Tony podrapał się po głowie. - Tak czy siak, dupa błada, więc rób, co do ciebie należy, i nie oglądaj się za siebie.

Jej ramiona zauważalnie opadły. Ale czego się spodziewała? Wiedziała przecież doskonale, że u niego mogła liczyć tylko na szczerość. W przeciwnym razie ich z mozołem budowane przez lata wzajemne zaufanie rozpadłoby się szybciej niż chatka ze słomy. A na to nie mogli sobie pozwolić, gdyż z bliskich osób w swoim życiu mieli tylko siebie nawzajem.

- Tego się właśnie obawiałam - westchnęła. Pociągnęła duży łyk ze szklanki. - Ale to nie koniec złych wieści. - Zza gęstego kłębowiska włosów,

które opadły jej na twarz, niełatwo było dostrzec, że wlepiła spojrzenie w szklankę.

Tony przymknął na chwilę oczy, pocierając grzbiet nosa.

- Zakazał ci współpracy ze mną.

Jego przenikliwość przerwała jej otepienie. Carol wyprostowała szyję i spojrzała mu w oczy.

- Skąd wiedziałeś? Rozmawiałeś z Blakiem?

Tony pokręcił głową.

- Elementarne, mój drogi Watsonie.

Carol przytaknęła ze zrozumieniem.

- A więc nie rozmawiał z tobą. Przedstawiłam cię na przyjęciu, ale cię olał.

- Co zrozumiałem jako wyraźny sygnał, że nie mieszczę się w jego budżecie i najbliższych planach. - Uśmiechnął się. - Głowa do góry, wielu innych komendantów z pewnością wyżej ceni moje usługi.

- O ciebie się akurat nie martwię. Raczej o siebie. I mój zespół.

Rozłożył ręce w geście mającym pewnie przypominać wzruszenie ramion.

- Trudno dyskutować z facetem, który nie chce dokładać do tego waszego interesu z własnej kieszeni. Carol, powiedzmy sobie szczerze: nie jestem najtańszą opcją. Macie teraz własnych profilerów. Twój szef uważa, że lepiej jest wziąć przykład z Amerykanów i uczyć policjantów psychologii, niż opierać się na podobnych mi specjalistach, którzy nie wiedzą nic o realiach pracy w waszym zawodzie.

W jego głosie pobrzmiwała lekka nutka ironii, którą mógł wychwycić tylko ktoś, kto znał Tony'ego tak dobrze jak Carol.

- Tańszy nie znaczy lepszy.

- Część z nich nie jest tak całkiem do niczego, wiesz?

- A ty skąd wiesz?

Zachichotał.

- Nie chwając się, sam szkolę niektórych z nich.

Carol wyglądała na zdziwioną.

- Nigdy nie wspominałeś.

- Tajne przez poufne, wiesz, jak to jest.

- Więc czemu mi o tym mówisz akurat teraz?

- Ponieważ jeśli będziesz musiała z nimi pracować, powinnaś wiedzieć, że czerpali wiedzę od jednych z najbardziej doświadczonych specjalistów w tym zakresie. Nie tylko ode mnie, ale też od moich kolegów po fachu. Umysłów tych młodych bystrych oficerów nie zaśmiewała praktyka związana z ustalaniem odpowiedniego leczenia pacjentów. Ich wiedza skupia się na konkretnej gałęzi psychologii i musisz pamiętać, że nie są kretykami. Daj im szansę. Nie lekceważ ich tylko dlatego, że nie są mną.

Obydwoje doskonale zrozumieli dwuznaczność jego słów. Pech chciał, że nie był to odpowiedni czas, by przypomnieć Carol o łączącej ich więzi, która stanowiła podstawę ich zawodowych przedsięwzięć.

Carol przesłoniła oczy dłonią, jakby zasłaniała się przed słońcem.

- Blake aż ociekał drwiną, Tony. Sugerował nawet, że powody, dla których wybrałam ciebie jako naszego konsultanta, są nieczyste i moralnie wątpliwe. Wie, że podnajmuję od ciebie mieszkanie, i dał mi do zrozumienia, że podejrzewa, że coś ukrywamy. Że łączą nas jakieś brudne sprawy. - Odwróciła głowę i wypila trochę wody.

Trudno było dociec, dlaczego ktoś taki jak Blake miałby podważać autorytet jednego z najskuteczniejszych oficerów, zanim w ogóle mógł się przekonać o jej walorach. Ale Tony musiał przyznać, że sam nie doradziłby Blake'owi czulszego punktu Carol. Posądzenie o romans innej pary ludzi, których łączyła wspólna historia, okazałoby się zapewne strzałem w dziesiątkę. Ale w ich przypadku emocjonalna więź, która się między nimi wytworzyła na samym początku ich czysto zawodowej znajomości, nigdy nie nabrała rumieńców i „duch” nie zamienił się w „ciało”.

Tony niemal z miejsca zwierzył się swojej przyjaciółce, że jego dotychczasowe związki z kobietami były z góry skazane na porażkę ze względu na chroniczną impotencję. Miał w sobie dostatecznie dużo rozumu, by nie traktować Carol jako potencjalnej uzdrowicielki. Lecz pomimo milczącej

zgody w kwestii trzymania uczuć na wodzy czasem siła grawitacji między nimi zdawała się być na tyle intensywna, by przezwyciężyć jego strach przed upokorzeniem i jej obawę, że nie będzie potrafiła ukryć rozczarowania. Za każdym razem jednak los rzucał im kłody pod nogi.

Niełatwo było przezwyciężyć te trudności, biorąc pod uwagę multum potworności, z którymi stykali się w swoich profesjach. Nie potrafił zapomnieć przypadku, gdy właśnie przez niego straciła czujność, oraz zła, które wynikło z tej niefrasobliwości. Przez pewien czas wydawało mu się, że Carol nigdy już nie wydobędzie się z dolka, w którym ta sprawa ją pograżała. Ale jednak jej się udało. I - jak sądził - nie dokonała tego ani dzięki niemu, ani dzięki przemożnemu wpływowi pracy.

Tony szczerze wątpił, by Blake znał jakieś twarde fakty dotyczące ich wspólnej historii, ale najwidoczniej fabryka plotek wyprodukowała wystarczająco dużo amunicji - choćby i ślepej - której mógł użyć przeciwko niej. Nie potrafił znieść myśli, że tak właśnie mogło być.

- Nie dość, że skurwysyn, to jeszcze debil! - gorączkował się Tony. - Powinien raczej zawiązywać sojusze, a nie zrażać sobie ludzi twojego pokroju. - Uśmiechnął się nieznacznie. - A niewielu potrafi ci dorównać.

Poruszyła się na kanapie. Tony pomyślał, że Carol wolałaby teraz pewnie mieć przy sobie papierosa, by zająć czymś ręce.

- Może powinienam wreszcie pomyśleć o przeprowadzce. Znaczący, od początku przecież zakładaliśmy, że będę u ciebie mieszkać tylko chwilowo. Do czasu, aż zdecyduję, czy chcę zostać w Bradfield na stałe. - Lekko wzruszyła jednym ramieniem. - Czy w ogóle chcę być gliną.

- Wydaje się, że już odpowiedziałas sobie na oba pytania - zauważył, starając się ukryć smutek wywołany jej słowami. - Wiem doskonale, że wolałabyś mieszkać gdzieś, gdzie miałabyś więcej miejsca i czułabyś się bardziej u siebie. Ale nie wyprowadzaj się tylko z mojego powodu. - Na usta Tony'ego wstąpił krzywy uśmiešek. - Bo inaczej od kogo będę pożywał mleko?

Carol miała zbolaną minę.

- A więc tylko tyle masz ze mnie pożytku, czy tak? Nie będziesz musiał więc płakać nad rozlanym mlekiem, gdy się wyniosę.

Zapadła dojmująca cisza. Pierwszy przerwał ją Tony:

- Chciałbym, żeby to było takie proste. I to zarówno dla twojego dobra, jak i mojego. - Westchnął. - Nie chcę, żebyś się wyprowadzała, Carol. A szczególnie teraz, gdy mamy przestać razem pracować. Mieszkając osobno, będziemy się widywać jedynie od święta. Weź pod uwagę, że ja nie potrafię utrzymywać relacji z ludźmi, a ty harujesz jak wyrobnik. - Wstał. - Nadal masz ochotę na lampkę wina?

Gary Harcup zliział tłuszcz z palców i wytarł je o džinsy. Pizza ostygła już trzy godziny temu, ale nawet tego nie zauważył. Jadł z przyzwyczajenia, by zebrać myśli, w końcu po prostu dlatego, że miał żarcie pod ręką. Z pewnością nie po to, by się nim delectować. Cieszył się z życia w świecie, w którym nie musiał nawet podnosić telefonu - wystarczyło jedno kliknięcie myszką, żeby przez całą dobę, prosto do rąk własnych dostarczyli mu wyzerkę - chińszczyznę, dania kuchni indyjskiej i tajskiej albo właśnie pizzę. Czasem zdarzało się, że wstawał od komputera tylko po to, by odebrać dostawę lub pójść do toalety.

Życie Gary'ego wcale nie było ewenementem w jego hermetycznym świecie, zamieszkanym także przez większość jego znajomych, których codzienna egzystencja różniła się co najwyżej w szczególności od jego stylu życia. Od czasu do czasu tacy jak on musieli wyjść z ukrycia, by zobaczyć się z tym czy innym klientem, ale robili wszystko, by tego uniknąć. Jeśli stanowiliby osobny gatunek człowieka, z pewnością wyginęliby w ciągu kilku pokoleń.

Gary kochał swoje maszyny. Uwielbiał poruszać się po świecie wirtualnym, nieskrępowany ograniczeniami czasu ani miejsca, nie opuszczając nawet zacisza swojego śmierdzącego mieszkanka. Czerpał ogromnie dużo satysfakcji z rozwiązywania problemów swoich klientów. Znał też jednak gorzki smak rozczarowania w przypadku zdarzających się od czasu do czasu sytuacji, które przerastały nawet jego.

Jak ta fucha dla policji West Mercia. Znaczna część zadania, jakie przed nim postawili, sprowadzała się do prostego przetwarzania danych, na przykład - odnalezienia pewnych komputerów. Wystarczyło wpisać dane i uruchomić właściwe oprogramowanie. Nawet pięciolatek by sobie z tym poradził.

Ale żmudne przeglądanie rozsianych tu i ówdzie resztek usuniętych plików to była inna para kaloszy. Wybieranie fragmentów, znajdowanie ich właściwego miejsca i dopasowywanie do siebie niczym w do cna pomieszanej układance - to praca dla prawdziwego specjalisty. Po pobieżnym rozpoznaniu problemu Gary musiał przyznać z niechęcią, że jego oprogramowanie nie było w stanie sprostać zadaniu. Potrzebował czegoś lepszego. I wiedział, gdzie może to znaleźć.

Przez lata pracy w szarej strefie Gary zdołał pozyskać wielu sojuszników i nawiązać niemało kontaktów. Inna sprawa, że zapewne nie rozpoznałby tych ludzi, nawet siedząc obok nich w pociągu, bo znał ich jedynie pod postacią pseudonimów i sieciowych identyfikatorów.

Akurat dzisiaj potrzebował pomocy Warrena Davy'ego, który do tej pory zawsze potrafił dostarczyć mu odpowiednie narzędzia. Warren był w końcu jednym z najlepszych wirtuozów wirtualnego świata. Znali się z Garym od niepamiętnych czasów, gdy nie było jeszcze internetu, a jedynym sposobem komunikacji pomiędzy podobnymi im nastolatkami były elektroniczne tablice ogłoszeniowe, które zaludniali hakerzy, złodzieje impulsów telefonicznych i komputerowi maniacy. Zdaniem Gary'ego, Warren zdecydowanie był właściwą osobą na właściwym miejscu.

Krótki mejl, a potem prysznic. Nie kąpał się już od dnia lub dwóch i zaczęło go swędzieć w miejscach, które niezawodnie przepacały się u człowieka w zasadzie przykutego do komputera.

Gdy wrócił do biurka, ubrany w czyste bokserki i podkoszulkę, odpowiedź już na niego czekała. Na Warrena zawsze można liczyć. Był nie tylko jednym z najlepszych złotych rączek w tym fachu, ale również jednym z najbardziej przystępnych. To właśnie dzięki niemu Gary miał dojście do oprogramowania, które zapewniało mu tak łatwy dostęp do informacji na temat innych ludzi.

Fajnie, że się odezwałeś, Gary. Utknąłem na Malcie, gdzie ustawiam zabezpieczenia dla klienta. Ale chyba mam dla ciebie coś, co pomoże ci rozwiązać twój problem. Program nazywa się Ravel i możesz go ściągnąć ze strony OPD, używając kodu TR61UPK. Sprzedam ci go po kosztach. Jak zawsze rozliczymy się pod koniec miesiąca. Masz rację, grupa SCHEN pracuje nad jakimś nowym, lepszym cackiem, ale będzie trzy razy droższe niż Ravel. Wiem, że policja w Bradfield testuje wersję beta tego programu. Może więc po przygotowaniu pełnej wersji West Mercia dogada się z Bradfield i ci ją załatwią. Udanych łowów!

Gary podniósł kciuk w kierunku ekranu, na odległość dziękując Warrenowi. Ulżyło mu, że już niedługo będzie mógł się pochwalić przed Pattersonem. Warren jak zwykle spisał się bez zarzutu, ale nawet on, pomimo szerokiej wiedzy, patrzył przez różowe okulary na możliwość jakiegokolwiek bliższej współpracy między policjantami z różnych jednostek. Gary wiedział zaś aż za dobrze, że niezależnie od układu wypracowanego między SCHEN a bradfieldzką policją, West Mercia nie dałaby rady się do niego podłączyć. Wszyscy wiedzieli, że grupa SCHEN zazdrośnie strzegła swoich sekretów i pilnowała swoich najbardziej opłacalnych dzieł jak oka w głowie.

Gary zwrócił na nich uwagę już kilka lat temu. Wiedział, że ich lider posługuje się pseudonimem Hexadex,. Ale jedyne, czego się zdołał o nim dowiedzieć, to fakt, że ten koleś pracował już od lat nad nowymi edycjami jakiegoś zajebistego programu analitycznego. A także, że jego grupa dobiła targu z glinami w Bradfield, którzy najwyraźniej mieli pierwszeństwo w testowaniu wersji beta ich nowych aplikacji wspomagających walkę z przestępczością.

Gary westchnął, bo żałował, że los poskąpił mu talentu, dzięki któremu Warren zarobił kupę szmalu, a grupa SCHEN mogła sypiać na pieniądzach. Ale przynajmniej miał stałych klientów, którzy nie zorientowali się jeszcze, że nie jest jednym z głównych rozgrywających w tej branży. A dzięki kumplom takim jak Warren i, przy odrobinie szczęścia, nigdy się tego nie dowiedzą.



Daniel Morrison pochylił się nad ekranem komputera, szerokie, pełne wargi rozchyliły się w krzywym uśmiechu. Jego życie było tak kurewsko nudne. A rodzice - zramolali. Ojciec zachowywał się, jakby nadal żył w zamierzchłych czasach, gdy dostępne rozrywki ograniczały się do chodzenia na mecze piłkarskie i słuchania tych wielkich czarnych płyt z muzyką. Płył, do kurwy nędzy! No dobra, niektóre winyły nawet by obleciały, ale akurat nie te, których słuchał ojciec. Nie wspominając już o tym, w jaki sposób mówił o dziewczynach... Daniel przewrócił oczami i zwiesił głowę. Jakby były niewinnymi laleczkami albo coś. Czy ojciec miał w ogóle pojęcie, jakie były dzisiejsze dziewczyny?! Raczej nie, bo inaczej taka wiedza rozsądziłaby jego głupi mózdzek.

Daniel mógłby się założyć, że każda jedna laska, z którą się zadawał, zdążyła już zapomnieć o seksie więcej, niż jego ojciec kiedykolwiek wiedział. Nie potrafił zdecydować, czy śmiać się, czy płakać, gdy ojciec próbował rozmawiać z nim o „szacunku” i „odpowiedzialności” w stosunku do dziewcząt. Może i nie zaliczył jeszcze żadnej panny, ale raz był tego bliski, a przygotowany już szeroki wybór kondomów w różnych odcieniach i smakach niecierpliwie czekał na swoje pięć minut. Przecież nie miał zamiaru spłodzić jakiegoś wrzeszczącego bachora. No kurwa! Próbował wytłumaczyć ojcu, że doskonale wie, co robi, ale stary wcale nie chciał słuchać. Wciąż też nie pozwalał mu na eskapady po klubach czy na wypadki na koncerty z kumplami. Chyba że zabrałby go ze sobą. Ciągać na imprezę takiego smutasa? Niedoczekanie!

Do niedawna matka dawała Danielowi w zasadzie wolną rękę. Ale ostatnio zaczęła coraz bardziej przypominać ojca. Trajkotała jak najęta o pracy domowej, skupieniu i innych podobnych bzdetach. Daniela guzik obchodziły lekcje zadane mu przez nauczycieli. Miał wystarczająco dużo oleju w głowie, by dać sobie z nimi radę bez większego trudu. Nawet jeśli zbliżający się wielkimi krokami egzamin końcowy utrudniał wciskanie kitu niektórym belfrom, nadal był lepszy w te klocki niż większość jego kolegów - nawet bez potrzeby ślęczenia nad książkami.

A przecież i tak egzaminy były psu na budę w przypadku jego wymarzonego zajęcia. Daniel znał już swoje powołanie - zostać wybitnym

komikiem i ikoną swojego pokolenia. Jego żarty będą bardziej cięte, absurdalne i śmieszne niż te w serialach komediowych typu „Mała Brytania”, „Gavin i Stacey” czy „Peep Show” razem wziętych. Sięgnie gwiazd i dotrze tam, gdzie żaden śmiałek parający się komedią nie odważył się jeszcze zapuścić. Nawet teraz wszyscy jego kumple powtarzali mu, że w życiu nie słyszeli większego dowcipnisa. Kiedy opowiedział rodzicom o swoich aspiracjach, oni również się śmiali. Ale z niego. Czy tak miało wyglądać rodzicielskie wsparcie?!

Znużony swoim życiem Daniel westchnął, odgarniając z oczu gęstą grzywkę, i zalogował się do RigMarole. O tej porze najłatwiej było spotkać tam KK - znajomego, którego poznał w sieci kilka miesięcy temu. KK był spoko gościem i uważał Daniela za wyjątkowo zabawnego kolesia. Pomimo że KK sam był tylko nastolatkiem, poznał już kilku kolesiów w branży komediowej. Zaproponował nawet, że zaaranżuje spotkanie z ludźmi, którzy mogliby pomóc Danielowi utorować drogę do sławy. Z właściwą sobie inteligencją Daniel starał się nie ponaglać KK i oczywiście okazało się, że cierpliwość się opłacała. KK miał się wkrótce spotkać z Danielem na żywo i pomóc odmienić jego życie na zawsze. Już dostatecznie długo pozostawał w cieniu, ale niebawem to miało się zmienić. Daniel już słyszał dźwięk otwierających się przed nim drzwi kariery.

Była to wystarczająca motywacja, by znosić sporadyczne dziwactwa KK. Na przykład ostatnio zaczął napomykać o jakichś sekretach. Gdy rozmawiali na privie, KK bez przerwy nawijał, że zna tajemnice Daniela, że wie, kim był naprawdę, „tylko ja wiem, kim naprawdę jesteś”, powtarzał. I to więcej niż raz. Jakby Daniel nie znał samego siebie. Jakby KK wiedział o wszystkim, co działo się w jego życiu. To go zaczynało wkurzać. Co z tego, że opowiadał KK o sobie, swoich marzeniach i parciu na szkło? To jeszcze nie znaczyło, że KK znał wszystkie jego sekrety!

Lecz Daniel był gotów znosić te wszystkie dziwactwa, skoro KK miał zostać jego odskocznią do kariery. To i tak nie będzie miało znaczenia, gdy nazwisko Daniela będzie odmieniane przez wszystkie przypadki w telewizji i internecie.

Jednak nawet nie przyszło mu do głowy, że może stać się sławny z zupełnie innego powodu.

## ROZDZIAŁ 8

Tydzień później

Choć przeglądał je już po raz trzeci, uwagę Alvina Ambrose'a wciąż całkowicie pochłaniały notatki z rozmów ze świadkami w sprawie Jennifer Maidment. Zeznania kolegów ze szkoły, nauczycieli i innych dzieciaków, z którymi rozmawiała za pośrednictwem RigMarole. Tych ostatnich przepytawali funkcjonariusze z tak odległych od siebie miejsc jak hrabstwo Dorset u wybrzeży kanału La Manche, wyspa Skye z archipelagu Hebrydów, oddzielona cieśninami od północno-zachodniej Szkocji, miasto Galway w zachodniej Irlandii czy niewielkie miasteczko w amerykańskim stanie Massachusetts.

Przesłuchiwane nastolatki z Rigu na wieść o tragicznym losie ich niedawnej rozmówczynie reagowały ze zgrozą lub wręcz panikowały. Ambrose już dwa razy przejrzał zapisy przesłuchań, uważnie szukając w nich czegoś przydatnego, nie zważając na zgiełk i wrzawę panującą w sali odpraw na komisariacie. Na razie jednak nie znalazł w aktach nic, co choćby przez chwilę dałoby mu do myślenia.

Przesłuchujących poinstruowano, by zapytali o tego tajemniczego ZZ, ale nie doczekali się żadnych przydatnych odpowiedzi. ZZ pojawiał się tylko na Rigu - nie kojarzył go więc żaden z nauczycieli, członków rodziny ani przyjaciół nieużywających tego serwisu społecznościowego. A ci, którzy natknęli się na ZZ w sieci, wiedzieli o nim tylko tyle, ile policja zdążyła już ustalić na podstawie jego rozmów z Jennifer. ZZ zdołał niepostrzeżenie

wkręcić się do grupy znajomych dziewczyny, ale przy okazji nie zdradził o sobie niczego, co pomogłoby go zidentyfikować. I to wprost nieopisanie wkurzało Ambrose'a.

Na jego biurko padł cień, popatrzył więc w górę i dostrzegł Shami Patel, która wykonała w powietrzu gest pukania do nieistniejących drzwi.

- Puk, puk - powiedziała, uśmiechając się z zakłopotaniem.

Skoro zadała sobie trud, by go odnaleźć, Ambrose mniemał, że miała mu coś ważnego do powiedzenia. Zresztą, niebanalnie kształtna, z włosami splecionymi w długi kuc, cieszyła oko. Czego nie można było powiedzieć o większości widoków w sali sztabowej tutejszej dochodzeniówki.

Ambrose wskazał jej szerokim gestem liche rozkładane krzesło ustawione na krańcu jego biurka.

- Usiądź sobie - rzekł. - Co tam u Maidmentów?

Gdy stało się jasne jak słońce, że rodzina ofiary może być jednym z nielicznych źródeł, które mogły naprowadzić policję na trop zabójcy, Ambrose postanowił wypytać o Shami kolegów z West Midlands, gdzie wcześniej pracowała. Musiał się upewnić, że Patel nie przegapi przypadkiem niczego istotnego. Powiedzieli mu jednak, że Shami była prawdopodobnie jednym z najlepszych „rodzinnych”, z jakimi mieli przyjemność pracować. „Moim zdaniem, taka bystra laska marnuje się, trzymając rodziny za rączkę” - przekonywał go jeden z nich. „W głowę zachodzę, dlaczego porzuciła nas dla takich półgłówków jak wy”.

Patel usiadła i założyła jedną kształtną nogę na drugą. Gest bez kokieterii, zauważył Ambrose. Trochę szkoda. Tak ogólnie to nie mógł narzekać na własne małżeństwo, lecz cóż - mężczyźni zawsze schlebia zainteresowanie ze strony innych kobiet, choćby niewinny flirt.

- Ślaniają się na nogach - odpowiedziała. - Jakby popadli w odrętwienie, chcąc oszczędzić resztki energii. - Wbiła wzrok we własne dłonie. - Nic nowego. Gdy tylko się otrząsną, to najpewniej dadzą nam popalić. Jeśli na czas nie znajdziemy zabójcy Jennifer, spadną na nas gromy, bo to właśnie nas jej rodzice obwinia za wszelkie niepowodzenia.

- Nie biorę nawet pod uwagę myśli, że zabójca mógłby nam umknąć - rzucił Ambrose.

- No raczej. A co z tymi ekspertyzami kryminalistycznymi? Znaleźliście coś?

Ambrose wzruszył potężnymi ramionami, napinając szwy koszuli.

- Żadnych konkretnych tropów. Same poszlaki. Może uda nam się z tego zbudować sprawę, jak już złapiemy podejrzanego. Wciąż czekamy na rezultaty pracy specja od informatyki śledczej, ale z każdym dniem dostrzegam w nim coraz mniej optymizmu.

- Tak właśnie myślałam. - Patel przygryzła wargę, marszcząc lekko brwi.

- Wyciągnęłaś może coś z rodziców? To dlatego tu jesteś?

Pospiesznie pokręciła głową.

- Nie. Chciałabym... Znaczy... - Wierciła się w krześle. - Mam kolegę, śledczego w policji West Midlands. Jonty'ego Singha.

Pomimo lakoniczności ostatniego zdania Ambrose wyczuł w jej głosie zakłopotanie i niemal natychmiast się domyślił, jakie powody stały za nieoczekiwanymi przenosinami Shami Patel do Worcesteru. Taką niebrzydką Hinduskę jak ona konserwatywni i pobożni rodzice przeznaczyli pewnie na żonę jakiemuś Hindusowi o urodzie hollywoodzkiego amanta. A ona, jak na złość, zakochała się w Sikhu. Albo więc jej rodzice sami odkryli prawdę i ją wyklęli, albo to ona z własnej inicjatywy uciekła od problemu, zanim ktoś spostrzegł, jak obściskiwali się z Jontym w tylnych rzędach kina. Przenosiny do Worcesteru oznaczały przynajmniej, że nie musi się cały czas oglądać przez ramię.

- I? - odparł z rezerwą Ambrose, zastanawiając się, do czego też zmierzła Patel.

- Kojarzysz tę zeszlóroczną sprawę w Bradfield? Zabójstwo piłkarza i bombę na stadionie?

Przecież o tym nikt prędko nie zapomni. Trzydzieści osób zmarło, a setki zostały rannych w wyniku wybuchu bomby, która zdezastowała sektor dla pracowników korporacji podczas meczu Premier League na stadionie klubu Bradfield Victoria.

- Tak, pamiętam.

- Jonty był jednym z wielu ludzi zaangażowanych w tę sprawę, na jej peryferiach. Jeszcze przed wybuchem bomby. Jednym z pierwszych podejrzanych był gość, którego Jonty wsadził kiedyś za kratki. Mój kolega wciąż pozostaje w kontakcie ze swoim łącznikiem w czasie tamtego śledztwa, niejakim Samem Evansem, który pracuje teraz w sekcji śledczej w Bradfield. Tak czy siak, mówiłam Jonty'emu, jak bardzo wkurza nas brak postępów w sprawie Jennifer. Wiem, że nie powinnam tego robić, ale Jonty zna przecież realia i umie trzymać język za zębami...

- Nie ma sprawy - uspokoił ją Ambrose. Ufał jej ocenie sytuacji. - I co na to ten twój kumpel?

- Powiedział, że zespół w Bradfield zawdzięcza najwięcej sukcesów współpracy z profilerem.

Choć Ambrose starał się ukryć swoją reakcję, Patel i tak dostrzegła wyraz sceptycyzmu na jego twarzy. Pospieszyła z wytłumaczeniem, mówiąc niechlujnie i nieco nieskładnie.

- Ten gość jest ponoć nadzwyczajny. Sam Evans powiedział Jonty'emu, że dzięki niemu udało im się uratować wiele istnień i rozwiązać sprawy, które innym wymykały się z rąk. Ten człowiek zna się na rzeczy, sierzancie.

- Szeff uważa, że to całe profilowanie to jedna wielka ściema - odparł Ambrose.

- A ty co sądzisz?

Ambrose się uśmiechnął.

- Jak będę na jego miejscu, wyrobię sobie własne zdanie. Jednak na razie, nie wnिकam.

Patel wyglądała na zawiedzioną.

- Mógłbyś przynajmniej porozmawiać z tym Samem Evansem z Bradfield. Usłyszeć, co ma do powiedzenia w tej sprawie.

Ambrose, którego zaciśnięte pięści wciąż spoczywały na stercie papierzyk, wbił wzrok w zaśmiecony blat swojego biurka. Nie chciał działać po cichu za plecami Pattersona. Ale czasem trzeba zboczyć, by dotrzeć do celu. Westchnął i sięgnął po długopis.

- Jak więc nazywa się ten profiler?

Carol weszła do sali sztabowej, widząc, że jej zespół zdążył się już usadowić za stołem konferencyjnym, zwarty i gotowy na poranne spotkanie. Ogarnęły ją mieszane uczucia. Była oczywiście dumna, że zakasali rękawy i robili wszystko co w ich mocy w walce o przetrwanie. Ale i zgorzkniała, bo przeczuwała, że ich wysiłki pójdą na nic.

- Co się tu wyrabia? - zapytała, okrążając stół, by dotrzeć do ekspresu z kawą. - Przegapiłam zmianę czasu czy co?

- Przecież wiesz, że lubimy sprawdzać twoją czujność, szefowo - odpowiedziała Paula, puszczając w ruch pudełko z pączkami.

Carol usiadła, lekko dmuchając na gorącą kawę.

- Tego mi właśnie potrzeba. - Trudno było powiedzieć, czy miała na myśli kawę, czy nawiązywała do troski okazywanej przez jej zespół. - Coś nowego wypłynęło w nocy?

„Tak” i „nie” - równocześnie odezwali się Kevin i Sam.

- To jak wreszcie?

Sam prychnął.

- Wiecie, że gdyby ten dzieciak był czarnoskóry i wychowywany przez samotną matkę w „komunalce”, w życiu nie znaleźlibyśmy o nim wzmianki w nocnych raportach zbiorczych?

- Ale nie jest, więc znaleźliśmy - odciął się Kevin.

- Zwyczajnie ulegamy bolączkom przedstawicieli białej klasy średniej - zżymał się Sam z pogardą w głosie, nie dając za wygraną. - Dzieciak pewnie zabawia się z jakąś laską albo miał już dość swoich starych i wyruszył hen, ku wielkowiejskiej przygodzie.

Carol popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Sam, nigdy nie kryjąc się ze swoimi ambicjami, przeważnie pierwszy wyskakiwał przed szereg, gdy zwęszył jakiś trop, który mógłby zwrócić na niego uwagę przełożonych i polepszyć jego pozycję w hierarchii. Ale żeby słyszeć w jego ustach opinię zakorzenioną tak wyraźnie w polityce klasowej? To niemal jak przysłuchiwać się dyskusjom mieszkańców domu Wielkiego Brata o szczególnej teorii względności Einsteina.

- Może ktoś mógłby mnie w końcu oświecić, o czym w ogóle mowa? - zapytała łagodnym tonem.

Kevin uważnie przestudiował kilka leżących przed nim kartek papieru.

- To przysłali nam z Komendy Północnego Bradfield. Daniel Morrison. Lat czternaście. Rodzice zgłosili zaginięcie wczoraj rano. Nie było go całą noc, zamartwiali się, ale uznali, że chciał w ten sposób udowodnić im, że jest już dużym chłopcem. Podzwonili po znajomych, ale go nie znaleźli. Sądzą więc, że musi być z kimś, kogo nie znają. Na przykład z jakąś dziewczyną, o której nawet słowem się nie zająknął.

- Rozsądne przypuszczenie - oceniła Carol. - Biorąc pod uwagę to, co wiemy o współczesnej młodzieży.

- Niby tak. Wracając do raportu, rodzice chcieli go namierzyć następnego dnia w szkole. Ale wczoraj w ogóle się w niej nie pojawił. I wtedy jego starzy odezwali się do nas.

- Jak rozumiem, od tego czasu nic się nie zmieniło? I właśnie dlatego „Północ” zrzuca to na nas? - Carol wyciągnęła rękę, a Kevin podał jej wydruk.

- Bez zmian. Do tej pory nie odbiera komórki, nie odpowiada na mejle i ani razu nie zalogował się na Rigu. Cytując matkę, Daniel pozwoliłby się tak bardzo odciąć od świata tylko w dwóch przypadkach: własnej śmierci lub porwania.

- Albo gdyby nie chciał, żeby mamusia i tatuś znaleźli go w objęciach jakiejś laski - skomentował Sam, zaciskając wargi z buntowniczym grymasem.

- No nie wiem - niespiesznie wycedził Kevin. - Nastoletni chłopcy uwielbiają się chwalić swoimi podbojami. Trudno uwierzyć, żeby oparł się pokusie podzielenia się sukcesem z kumplami. Kiedyś może i by do nich zadzwonił z radosną nowiną, dziś z pewnością użyłby RigMarole.

- Z ust mi to wyjąłeś - odparła Carol. - Może niech Stacey sprawdzi, czy ma włączoną komórkę, a jeśli tak, to czy damy radę namierzyć chłopaka.

Sam odwrócił się bokiem do stołu i skrzyżował nogi.

- Niewiarygodne! Jakiś biały chłoptaş, któremu w dupie się poprzewracało, robi nas w konia, a my dajemy się nabrać i wyłazimy ze skóry, starając się go znaleźć. Czy naprawdę mamy aż takie ciśnienie, by za wszelką



cenę udowodnić, jacy to jesteście niezastąpieni?

- Najwyraźniej - ostro odcięła się Carol. - Stacey, sprawdź to. Paula, porozmawiaj z „Północą”. Dowiedz się, co planują i czy nie potrzebują czasem naszej pomocy. Może udałoby ci się ich przekonać, żeby przysłali nam zapisy przesłuchań? - wyrecytowała polecenia. - A swoją drogą, Sam, nie zgadzam się z tobą. Jeśli chodziłoby o czarnoskórego dzieciaka z „komunalki”, którego zaginięcie samotna matka uznałaby za wystarczająco poważne, żeby się z nami skontaktować, to wierz mi, mógłby liczyć na dokładnie takie samo zainteresowanie z naszej strony co Daniel. Nie wiem, co cię ugryzło, ale opanuj się, dobra?

Sam nadął policzki i westchnął dosadnie, jednak potem pokiwał głową.

- Cokolwiek każesz, szefowo.

Carol odłożyła papiery na stronę, zostawiając je do późniejszego przejrzania. Rozejrzała się po zebranych.

- Jakies inne nowiny?

Stacey odchrząknęła, a kąciki ust lekko się jej podniosły. Carol pomyślała, że musiał być to odpowiednik szerokiego uśmiechu pełnego samozadowolenia u innych osób.

- To może ja?

- Dawaj.

- To à propos komputera, który Sam przyniósł ze starego domu Barnesów - zaczęła Stacey, odgarniając jakiś niesforny kosmyk za ucho. - Dużo nad nim siedziałam przez ostatni tydzień. I muszę się pochwalić, że nie na darmo. - Wcisnęła kilka klawiszy na klawiaturze leżącego przed nią laptopa. - Ludzie są nieprawdopodobnie wręcz głupi.

Sam nachylił się nad stołem, a na gładkiej skórze jego twarzy można było dostrzec każdą, choćby najmniejszą, bruzdę i mimiczną zmarszczkę.

- Co tam masz? No dalej, Stacey, pokaż, nie daj się prosić - zachęcał.

Stacey wcisnęła przycisk pilota i biała tablica za ich plecami ożyła, pokazując fragmentaryczną listę, w której brakowało niektórych liter i słów.

Ponownie nacisnęła pilota, a wszystkie luki uzupełniły wyróżnione kolorem słowa.

- Ten program potrafi przewidzieć brakujące fragmenty tekstu - wyjaśniła. - Jak widać, mamy przed sobą listę etapów planu zabójstwa Danuty Barnes. Począwszy od uduszenia, poprzez owinięcie jej zwłok samoprzylepną folią spożywczą, aż do obciążenia ciała i zatopienia w jakiejś głębinie.

Paula aż gwizdnęła.

- Dobry Boże - rzuciła. - Miałas rację. Nieprawdopodobnie wręcz głupie.

- Wszystko pięknie, ładnie, ale każdy szanujący się prawnik udowodni, że są to co najwyżej poszlaki. Że równie dobrze mógłby to być opis jakiejś fantazji lub nawet szkic opowiadania - zauważyła Carol.

- Nie, jeśli znajdziemy ciało Danuty Barnes i porównamy przyczynę zgonu z tymi zapiskami - przekonywał Sam, uparcie trzymając się zwężzonego tropu.

- Sam ma rację. - Głos Stacey przedarł się przez gwar wywołany przez słowa Evansa. - Zresztą, sami spójrzcie na następny plik. - Wcisnęła pilota ponownie i na ekranie pojawiła się mapa Lake District\*. Kolejne kliknięcie pilota i oczom zebranych ukazał się plan jeziora Wastwater, z wyraźnie zaznaczonymi izobatami oznaczającymi poszczególne głębokości względne tego akwenu.

\* „Kraina Jezior” w hrabstwie Kumbria, w północno-zachodniej Anglii, popularne miejsce wycieczek; położone tam Wastwater to najgłębsze jezioro w Anglii (79 m).

- A więc sugerujesz, że znajdziemy ją na dnie Wastwater.

- Carol wstała i podeszła do ekranu.

- Myślę, że warto rzucić na to okiem - powiedziała Stacey.

- Według listy, plan Barnes'a zakładał zatopienie zwłok w miejscu wystarczająco odległym od przypadkowych ciekawskich, ale jednocześnie na tyle bliskim, by mógł dojechać tam samochodem. Wastwater pasuje jak ulał. Przynajmniej jeśli mapa nie kłamie, pokazując, że nie ma tam zbyt wielu domów.

- Bez jaj, przecież tam byłam - potwierdziła Paula. - Pojechałam tam ze

znajomymi podczas długiego weekendu kilka lat temu. Chyba nie widzieliśmy tam żadnej żywej duszy poza właścicielką tamtejszego pensjonatu. Cisza i spokój? W to mi graj. Ale to było cholerne pustkowie.

- Barnes miał kajak - do rozmowy włączył się Sam. - Pamiętam, że czytałem o nim w początkowych aktach sprawy. Mógł więc wsadzić ją do kajaką i powiosłować w nieznanie.

- Dobra robota, Stacey - pochwaliła Carol. - Sam, odezwij się do zespołu pletwonurków w Kumbrii i poproś, żeby zaczęli poszukiwania.

Stacey podniosła rękę.

- Chyba warto byłoby zapytać w instytucie geografii na naszym uniwersytecie, czy nie mają czasem dostępu do Landsatu.

- A cóż to takiego? - zapytała Carol.

- To archiwum zdjęć satelitarnych całego globu zarządzane przez NASA i US Geological Survey - wyjaśniła Stacey. - Może okazać się pomocne.

- Mogą znaleźć ciało z orbity? - nie dowierzała Paula. - Myślałam, że widok mojego telewizora dostępny w innym kraju to już maksimum możliwości. A ty nam tu wmawiasz, że geografowie z naszego uniwerku widzą za pomocą satelity dno jeziora? No bez jaj, Stace. To już przesadyzm.

Stacey przewróciła oczami.

- Nie, Paula. Niekoniecznie mogą zobaczyć akurat samo ciało. Ale dzisiejsza technika daje możliwość dokonania wystarczająco silnego zbliżenia, by wyłapać sporo szczegółów. Może będą w stanie zawęzić listę miejsc do przeszukania, wykluczając te, w których z pewnością nie ma nawet starego gumiaka.

- Prawdziwe szaleństwo - oceniła Paula.

- Raczej technologia. Jeden z wydziałów geografii w USA twierdził nawet, że znalazł kryjówkę Osamy bin Ladena, zawężając kolejne listy możliwości za pomocą zdjęć satelitarnych - tłumaczyła Stacey.

- Wolne żarty! - odpowiedziała jej Paula.

- Wprost przeciwnie. To był zespół z Uniwersytetu Kalifornijskiego. Na początku zastosowali prawa geografii mające zastosowanie przy

przewidywaniu występowania fauny: teorię zaniku kontaktu i teorię biogeografii wysp...

- Że co proszę? - wtrącił się Kevin.

- Teoria zaniku kontaktu... no więc tak, zaczynasz od jakiegoś znanego miejsca, które spełnia wymagania życiowe danego organizmu. Na przykład jaskinie Tora Bora. Rysujesz szereg koncentrycznych okręgów rozchodzących się od tego miejsca. Im dalej posuniesz się od niego, tym trudniej będzie ci znaleźć warunki życia zbliżone do tych panujących w centrum. Inaczej mówiąc, im dalej Osama ucieknie od swoich bastionów, tym trudniej będzie mu się schować, a otaczać go będzie coraz mniej gorących zwolenników jego poglądów. Teoria biogeografii wysp doradza zaś wybór miejsca, które jest bogate w surowce. Jeśli miałbyś utknąć na wyspie, to chyba wolałbyś, żeby to była gościnna Ibiza, a nie pełna niebezpieczeństw wysepka Robinsona Crusoe, nie?

- Wciąż nie rozumiem, co z tym wszystkim mają wspólnego satelity - nie dowierzała Paula, ściągając brwi.

- Te mądre głowy wyznaczyły prawdopodobną strefę pobytu bin Laden a i wzięły pod uwagę dostępne o nim informacje: wzrost, konieczność ochrony i fakt, że potrzebuje regularnych dializ, więc również stałego źródła prądu. Następnie przyjrzały się najbardziej szczegółowym obrazom satelitarnym, do których miały dostęp, i zawęziły listę jego kryjówek do zaledwie trzech budynków w konkretnym miasteczku - wytłumaczyła cierpliwie Stacey.

- Więc jakim cudem jeszcze go nie znaleźli? - dociekał, i nie bez racji, Kevin uważnie przysłuchujący się wyjaśnieniom.

Stacey wzruszyła ramionami.

- Powiedziała, że tak twierdzili. A nie, że im się udało. Ale to kwestia czasu. Szczegółowość obrazów satelitarnych ciągle się poprawia. Kiedyś jeden obraz przedstawiał kwadrat o boku trzydziestu kilometrów. Teraz to już raczej pół metra. W głowie się nie mieści, jakie detale mogą dostrzec dziś zawodowi analitycy. To jak widok z ulicy w Google Street View, tyle że na cały świat!

- Skończ, Stacey, bo zaczyna mnie boleć głowa. Ale jeśli możemy to wykorzystać, będę ci dozgonnie wdzięczna. Pogadaj z tymi gośćmi od

satelitów - powiedziała Carol. - A my skupmy się na wysłaniu nurków na miejsce. Coś jeszcze?

Posępne miny dookoła stołu nie wymagały żadnego komentarza. Sytuacja całego zespołu była nie do pozazdroszczenia. Potrzebowali czegoś dużego, medialnego, spektakularnego. Problem jednak w tym, że sprawa, dzięki której mogliby się poczuć w swoim żywiole, musiała oznaczać bardzo złe wieści dla kogoś innego. A Carol doświadczyła już w swym życiu wystarczająco wiele podobnych udręk, by nie życzyć ich bliźnim.

Pozostawało im więc robić dobrą minę do złej gry.

## ROZDZIAŁ 9

Nawet po przekroczeniu progu nastoletności Seth Viener nie porzucił nawyku mówienia rodzicom o wszystkim. Nie potrafił przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni zataił cokolwiek przed którąkolwiek ze swoich dwóch mam. Pewnie, czasem łatwiej było zwrócić się z danym problemem tylko do jednej z nich. Julia była bardziej rozsądna i twardo stąpała po ziemi. W wypadku poważnych kłopotów zachowywała większy spokój i potrafiła wysłuchać Setha aż do końca, ale po rozważeniu sprawy nie zawsze brała jego stronę. Kathy bardziej kierowała się emocjami i często szybciej mówiła, niż myślała, lecz zawsze bezkrytycznie go wspierała, niezależnie od tego, czy miał rację. Jednak gdy coś nie układało się po jego myśli, to właśnie ona zmuszała go do trzymania się obranego kursu zamiast chodzenia po linii najmniejszego oporu.

Mimo to nigdy nie żałował, że był szczery wobec swoich matek, nawet gdy mówił im o sprawach, które wprawiały go w zakłopotanie. Wychowały go bowiem w przekonaniu, że wśród ludzi, których kochasz najmocniej na świecie, nie ma miejsca na żadne sekrety. Takie podejście działało zresztą w obie strony - matki zawsze słuchały jego pytań i starały się ze wszystkich sił, by na nie odpowiedzieć. A pytał o wszystko - począwszy od „dlaczego niebo jest niebieskie?” aż po „o co się biją w Strefie Gazy?”. Nigdy go nie zbywały. Choć czasem jego dociekliwość denerwowała nauczycieli, a znajomi nieraz robili wielkie oczy, posiadał rozległą wiedzę właśnie dlatego, że nie bał się pytać, a Julia i Kathy nie obawiały się odpowiadać. Miało to pewnie coś wspólnego z faktem, że postanowiły być z nim szczere co do

przyczyny, dla której miał aż dwie matki.

Nie pamiętał już, kiedy w końcu zaświtało mu w głowie, że jego rodzina jest dość nietypowa w porównaniu z bardziej tradycyjnymi układami typu: mama i tata albo ojczym czy też samotna matka i grono dziadków, wujków i opiekunek do dzieci. Każdy początkowo uważa swoją rodzinę za całkowicie normalną, ponieważ nie ma sposobności doświadczyć innych możliwości. Lecz on, zanim jeszcze poszedł do szkoły, wiedział już, że jego rodzina była inna. I nie tylko z powodu koloru skóry Kathy.

Zaskoczyło go jednak, że inne dzieci zdawały się nie zważać na jego odmienność. Pamiętał, jak raz Julia odebrała go ze szkoły podczas pierwszego semestru. Przeważnie ten obowiązek spoczywał na Kathy, która pracowała w domu jako projektant stron internetowych. Ale tego akurat dnia musiała spotkać się z klientem na mieście, więc Julia wyszła wcześniej z pracy, by go odebrać. Pomagała mu właśnie włożyć kalosze, gdy Ben Rogers zapytał: „A pani? Kim pani jest?”.

Emma White, która mieszkała na tej samej ulicy, odpowiedziała mu: „To mama Setha”.

Ben ściągnął brwi: „Niemożliwe! Poznałem mamę Setha, więc wiem, że to nie ona” - obruszył się.

„Ale to przecież druga mama Setha” - upierała się Emma.

Ben najwyraźniej nie zauważył w tym niczego dziwnego, gdyż bez zastanowienia zmienił temat. I tak już pozostało, a wszyscy traktowali dwie mamy Setha jak zwyczajny element krajobrazu i najzwyczajszą rzecz pod słońcem.

Do czasu. Gdy Seth miał dziewięć albo dziesięć lat, odkrył w sobie nową pasję - piłkę nożną. Ta gra wymagała jednak bezpośrednich kontaktów z dziećmi, które nie zostały wychowane ze świadomością, że dwie mamy Setha to tylko jeden z wielu możliwych scenariuszy życia rodzinnego.

Kilku większych chłopaków próbowało wykorzystać przeciwko Sethowi fakt nietypowego układu w jego rodzinie. Ale szybko się przekonali, że wzięli na cel niewłaściwą osobę, Seth wydawał się bowiem niewrażliwy na ich zaczepki. Na kpiny odpowiadał jedynie zakłopotanym uśmiechem.

A większość rówieśników zbyt go lubiła, by reszta zdecydowała się przejść od niewybrednych słów do rękoczynów. Zdeprymowanym jego pewnością siebie brutalom nie pozostało nic innego, jak wybrać sobie łatwiejszą ofiarę. Ale nawet wtedy Seth wchodził im w paradę, w sobie tylko znany sposób donosząc na nich komu trzeba - i to bez rzucania podejrzeń na siebie. Wydawał się więc nie tylko dobrym kolegą, ale również przeciwnikiem, z którym nie warto zadzierać.

I tak bezproblemowo dotrwał do okresu dojrzewania. Był uprzejmy, popularny i bezpośredni. Miał, zdawałoby się, tylko jedną wadę - wpojona mu przez matki nadmierną ambicję, która powodowała, że zbyt obawiał się porażek. Od czasu sztucznego zapłodnienia Julii jego obie matki zdawały się oczekiwać najgorszego, wołały więc dmuchać na zimne. Wszystko z powodu kasandrycznych wizji wieszczonych przez ich znajomych. Ale Seth nie sprawiał wielu problemów w kołysce. Tylko raz miał napad kolki niemowlęcej. Już po siedmiu tygodniach życia przesypiał całą noc bez płaczu. Udało mu się uniknąć typowo dziecięcych dolegliwości, poza sporadycznym przeziębieniem. W niczym nie przypominał dziecka Rosemary i nie sprawiał wielu problemów rodzicom. Po części dlatego, że gdy po raz pierwszy spróbował postawić na swoim przy świadkach, Kathy zostawiła go samego jak palec na środku alejki w supermarkecie. Myśląc z przerażeniem, że matka go porzuciła, zaczerwienił się jak rak i ryczał wniebogłose. Wtedy nie zdawał sobie sprawy, że cały czas bacznie go obserwowała zza półki z płatkami. Ta historia skutecznie oduczyla go podobnych zachowań. Potem czasem zdarzało mu się grymasić, jak i innym dzieciom, ale Kathy i Julia pozostawały głuche na jego żądania, więc również i tego w zasadzie zaniechał.

Jedna cecha charakteru Setha sprawiała jednak, że nikt nie miał wątpliwości, że nie jest chodzącym ideałem - nadmierna gadatliwość. Mielł ozorem tak często, iż wydawało się czasem, że milknie tylko podczas snu. Seth był tak bardzo zafascynowany światem i swoim własnym miejscem na ziemi, że nie omieszkał złożyć każdemu drobiazgowego sprawozdania ze



swoich uczynków i przemyśleń. Lub niesamowicie szczegółowo omówić fabułę obejrzanego właśnie na DVD filmu, im bardziej przeciętnego, tym lepiej. Od czasu do czasu zdarzało mu się dostrzec - ale zawsze zbyt późno - znużenie lub zniecierpliwienie jego rozmówców, niemogących się już doczekać puenty. Ale to go nie powstrzymywało. Mówił, co mu ślina na język przyniosła, aż do wyczerpania tematu. Nie zniechęcał się nawet wtedy, gdy Kathy kładła głowę na kuchennym stole i cicho pojękiwała.

W ogólnym rozrachunku nie była to jednak najgorsza wada pod słońcem. Obie matki zauważyły zresztą, że jego koledzy reagują na nią w inny sposób niż one same. Dziękowały losowi, że wejście w okres dojrzewania nie zamieniło ich cudownego chłopca w aroganckiego, małowównego dryblasa. Na samą myśl o większości jego obecnych kolegów dostawały gęsiej skórki. Fajni, sympatyczni chłopcy, którzy kiedyś ganiłi po ich domu, wcielając się w różne role podczas wesołych zabaw, przeobrazili się w mrukiliwe, cuchnące osobniki, które każdy kontakt z dorosłymi uważały niemal za zdradę ideałów swojej paczki. Jak stwierdziła Kathy, tylko jakimś cudowi zawdzięczały, że Seth nie przejawiał akurat tego aspektu rytuału wstąpienia w szeregi niemal już dorosłych mężczyzn.

„Słucha za to kiepskiej muzyki” - wielokrotnie wytykała Julia, jak gdyby to miało zrównoważyć jego lepsze cechy. Zachodziła w głowę, dlaczego przypadł mu do smaku wczesny grunge, dziękowała jednak niebiosom, że dotychczas nie odbiło się to zbyt mocno na jego ciuchach.

„Mogło być gorzej” - zawsze optymistycznie odpowiadała jej Kathy. - „Strach pomyśleć, że wołałyby musicale”.

Całkowita szczerość Setha sprawiała, że Julia i Kathy nie martwiły się zbyt mocno o to, do czego używa swojego komputera. Ale nie były aż tak bez troskie, by nie zainstalować odpowiednich narzędzi kontrolnych, wraz z wszelkimi dodatkowymi zabezpieczeniami, których Kathy używała do ochrony projektowanych przez siebie stron internetowych. I choć nie zaglądały mu osobiście przez ramię, Kathy regularnie sprawdzała jego profil na RigMarole w poszukiwaniu psycholi i innych person non grata.

Tak po prawdzie to tego typu środki ostrożności nie były nawet konieczne. Przy jedzeniu Seth często bowiem mówił o Rigu - z kim rozmawiał, co jego znajomi mieli do powiedzenia na najbardziej palące tematy, o jakiej fascynującej nowej aplikacji usłyszał.

Problem w tym, że traktowanie życia jako relacji na żywo nieuchronnie sprawiało, że ci, którzy przysłuchiwali się wynurzeniom Setha, prędzej czy później włączali ten albo inny mechanizm obronny. Na przykład teraz nowiny Setha wpadały Julii i Kathy jednym uchem, a drugim wypadały. Większa część jego wypowiedzi ginęła w potoku słów wyrażonych przy kuchennym stole. Gdy po raz pierwszy wspomniał o JJ - nowym znajomym z Rigu, Kathy zapamiętała jego pseudonim i sprawdziła jego aktywność na stronach Setha. Wydawało się, że jest zwykłym nastoletnim dziwkami, lubiącym rozkładać na czynniki pierwsze teksty piosenek Pearl Jam i Mudhoney, z jednej strony napuszonym, z drugiej - pełnym egzystencjalnego niepokoju. Czyli w normie.

Tak więc JJ stał się jedynie niczym niewyróżniającą się częścią ogólnego gwaru przy ich rodzinnym stole, kolejnym źródłem informacji i opinii, które nie zwracało większej uwagi rodziców. Gdy więc Seth wspomniał mimochodem, że ma zamiar zobaczyć się z JJ i razem z nim wyruszyć na poszukiwania rzadko spotykanych płyt CD w sklepie z używanymi kompaktami, nie wzbudziło to niczyich podejrzeń.

Gdy jesteś przyzwyczajony do szczerości, nigdy nie przyjdzie ci na myśl, że usłyszane słowa, które bierzesz za prawdę, mogą kryć wiele niedopowiedzeń.

Tony „wygugłał” stronę agencji nieruchomości w Worcesterze i wszedł w zakładkę „Nowa oferta”. Przez słuchawkę pośredniczka, która zajmowała się jego sprawą, brzmiała jak jeden z jego pacjentów cierpiących na zaburzenia maniakalno-depresyjne po odstawieniu leków. Przedwczoraj zapewniła go, że zdjęcia zostaną wykonane jeszcze tamtego popołudnia, a zamieszczenie szczegółów oferty na stronie to „kwestia najbliższych godzin”. Jednak dopiero teraz zdołał zebrać się na odwagę, by spojrzeć na informacje o domu, który zamierzał sprzedać, nie wiedząc nawet, jak wygląda.

Choć cena zasugerowana przez pośredniczkę wskazywała na nieliczną nieruchomość, to jednak nie spodziewał się ujrzeć okazałej willi z czasów sprzed pierwszej wojny światowej. Na monitorze ukazało się zdjęcie symetrycznego domu z jasnoczerwonej cegły, wyposażonego w okna w głębokich wykuszach i imponujące odrzwia wyróżniające się na tle domu bladymi żółtymi kolorami. Na krawędziach okien dostrzegł też wielkie zwoje zasłon, a ogród wyglądał na bujny i zadbane. „Niepowtarzalna szansa kupna wspaniałego rodzinnego domu z widokiem na Gheluvelt Park” - głosił nagłówek na górze strony. „Cztery sypialnie, trzy pokoje dzienne i trzy łazienki. W pełni wyposażony warsztat z podłączeniem do prądu”. Tony ściągnął brwi i zacisnął usta. Był to bowiem nie lada dom jak dla jednego jedyne go mieszkańca. Może lubił zabawiać w nim gości. Albo po prostu chciał w ten sposób pochwalić się swoją zamożnością. Edmund Arthur Blythe najwyraźniej mógł swoim majątkiem wytapetować ściany tego okazałego domostwa.

Tony zdał sobie sprawę, że po sprzedaży domu on również będzie miał forsy jak lodu. Na konto wpłynęło już pięćdziesiąt tysięcy funtów ze spadku, ale była to jedynie niewielka zaliczka w porównaniu z pieniędzmi, które otrzyma za dom. Wcześniej posiadanie takiej ilości gotówki na wyciągnięcie ręki było dla niego czymś niewyobrażalnym, więc nigdy nawet nie rozważał, na co mógłby je przeznaczyć. Nie miał drogiego upodobań. Nie kolekcjonował dzieł sztuki, szybkich samochodów ani kosztownych garniturów. Nie bardzo umiał wybrać najlepszy czas na wzięcie urlopu, a nie pociągały go egzotyczne miejsca - zbyt gorące, ze zbyt podejrzaną kanalizacją i wymagające wbicia zbyt wielu igieł w ramię lub pośladki, by w ogóle wpuścili go do samolotu. Tak się akurat złożyło, że najbardziej rajcowało go to, za co mu płacili - leczenie pacjentów i sporządzanie profili psychologicznych pokręconych umysłów. Jednak wkrótce miał się stać zamożnym człowiekiem. Czy tego chciał, czy nie.

- Zawsze mogę rozdać te pieniądze - powiedział głośno, mając na myśli masę fundacji charytatywnych, które potrafiłyby zrobić właściwy użytek z takiego nieoczekiwanego przyływu gotówki. Mimo to działalność filantropijna nie przemawiała do niego aż tak silnie, jak by się tego spodziewał.

Najwyraźniej Cyndi Lauper miała rację, gdy śpiewała, że pieniądze zmieniają wszystko. Ze zniecierpliwieniem ponownie skupił uwagę na monitorze.

Wystarczyło jedno kliknięcie myszki, by uzyskać dostęp do większej liczby zdjęć domu. Tony nie był jednak pewien, czy jest na to gotowy, więc jego palec zawisł w powietrzu nad przyciskiem myszki. W końcu nieprzypadkowo zdecydował się kiedyś nie zgłębiać domeny osoby, której zawdzięczał połowę genów. Wcale nie chciał odkryć, że jego ojciec prowadził szczęśliwe i satysfakcjonujące życie, wydobyć na światło dzienne jego popularności i zrównoważenia. Nie miał też ochoty nagle zdać sobie sprawy, że zignorował go człowiek, który mógłby sprawić, że jego dzieciństwo nie byłoby pełnym żalu pustkowiem, a choćby ocierało się o normalność. Dociekanie prawdy mogło jedynie odgrzebać stare rany i doprowadzić do głębokiej awersji.

Jako syn Vanessy był z góry skazany na podążenie prostą drogą do nieszczęścia. Zarówno jego matka, jak i babcia, które dzieliły między siebie większość ciężaru wychowania Tony'ego, nie pozwalały mu zapomnieć, że był wart mniej niż zero, że ojciec zasiał w nim ziarno niegodziwości i mógł wyrosnąć co najwyżej na żalostną namiastkę mężczyzny. Jako psycholog zaś nauczył się, że podobne doświadczenia dzieciństwa były swego rodzaju instrukcją „zrób to sam” kształtowania istot, które starał się tropić przez całą karierę w profilowaniu sprawców. Nikt, nawet Carol, nie mógł przypuszczać, że był do nich tak bardzo podobny. Oni polowali na swoje ofiary - on ich tropił. Oni zaglądali w umysł swoich ofiar - on starał się odgadnąć ich sposób myślenia. Podejrzewał nawet, że łączyło ich takie samo palące pragnienie.

Jego potrzeby mogłyby być diametralnie inne, gdyby Blythe był częścią jego życia. Ale nawet nie chciał zaprzętać sobie głowy gdybaniem, więc wszystkie ustalenia poczynił przez telefon i mejl, prosząc notariusza o przesłanie kluczy wprost do pośredniczki. Prawnik przeszedł nad jego prośbą do porządku dziennego, jakby nie było w tym nic dziwnego, ale Tony wiedział, że nie zachował się całkowicie normalnie. Aż za dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że wznosił kolejne mury, by nie dopuścić do siebie człowieka, który nie chciał być jego ojcem. Nie widział powodu, dla

którego miałby narazić na szwank swoją wątłą równowagę psychiczną dla kogoś, kto odważył przyznać się do ojcostwa dopiero po śmierci.

Jednak wciąż słyszał w głowie dokuczliwy głos, powtarzający do znużenia, że kiedyś przyjdzie mu tego pożałować.

- Może i tak - powiedział na głos. - Ale to nie zmienia mojego podejścia.

Przez chwilę rozważał, czy nie powinien czasem wstrzymać się ze sprzedażą, by dom Blythe'a pozostał w stanie, w jakim pozostawił go zmarły, gdyby jednak w końcu zdecydował się go dokładnie obejrzeć. Odrzucił ten pomysł, niemal zanim w ogóle zdołał w pełni sformułować myśl. Może nigdy nie będzie gotowy, a było coś moralnie nagannego w pozostawianiu domów pustych, gdy tak wielu potrzebowało dachu nad głową.

Zniecierpliwiony myślami, kłębiącymi się w głowie, Tony zamknął stronę ze szczegółowym opisem domu i sięgnął po akta pacjenta. W tym zakresie mógł przynajmniej zrobić coś pożytecznego, wpływając na życie ludzi, których zachowanie odbiegało tak przeraźliwie od powszechnie uznawanej normy. Własne doświadczenia związane z matką dały mu niedostępny dla wielu wgląd w psychikę pacjentów. Wiedział, że w ich oczach świat mógł wyglądać zupełnie inaczej niż większości ludzi, skoro ich postrzeganie rzeczywistości uległo tak drastycznemu zaburzeniu. Rozumiał też doskonale dojmujące uczucie braku przynależności oraz przerażenie związane z próbą poradzenia sobie z własnym światem, w którym obowiązujące zasady i zwyczaje były tak odmienne od tych umożliwiających przetrwanie w normalnym społeczeństwie. Tony sądził, że skoro sam nauczył się uchodzić za człowieka, to może pomóc także swoim pacjentom w przezwyciężeniu wyrządzonych im krzywd. Zbyt wielu było beznadziejnymi przypadkami, lecz niektórych dało się jeszcze odratować, wyleczyć i przywrócić do mniej lub bardziej normalnego życia.

Lekturę akt przerwał mu dzwonek telefonu. Na wpeł rozproszony podniósł słuchawkę.

- Halo? - Carol nieraz powtarzała, że w jego „halo” pobrzmiwało zdziwienie i nieufność, jak gdyby wciąż nie mógł się nadziwić dzwoniącemu

kawałkowi plastiku, który po podniesieniu zaczął mówić. „Przypominasz mi o wierszu, który przerabiałam w szkole” - mówiła. - „Marsjanin wysłał kartkę do domu\*\*”.

\* Wiersz angielskiego poety Craiga Raine'a z grupy literackiej Marsjanie; opisuje Ziemię oczami zdumionego kosmity; kilka wersów w zakamuflowany sposób prezentuje właśnie zasadę działania telefonu.

Osoba po drugiej stronie słuchawki z pewnością zgodziłaby się z opinią Carol, bo zawahała się.

- Czy dodzwoniłem się do doktora Tony'ego Hilla?

- Owszem. Kto mówi?

- Inspektor Stuart Patterson. Dochodzeniówka okręgu West Mercia.

- Nie mieliśmy jeszcze przyjemności, prawda? - Tony zawsze wolał się upewnić już na samym początku. Bez problemu kojarzył twarze, ale nie miał pamięci do nazwisk. Nie byłby to pierwszy raz, gdy myślał, że rozmawia z nieznanym, szybko przekonując się, że miesiąc wcześniej jadł obiad w towarzystwie swojego rozmówcy.

- Nie. Powiedziano mi, że to z panem powinienem porozmawiać o profilowaniu.

- No cóż, z pewnością jestem jedną z osób, które mogą panu pomóc. - Wykrzywił twarz do słuchawki. - Mam pewne doświadczenie w tym zakresie.

- Mamy tu taką jedną sprawę. Myślę, że przydałaby nam się pańska pomoc.

- West Mercia? To Worcester, o ile się nie mylę? - Teraz nawet sam usłyszał nieufność w swoim głosie.

- Wraz z przyległościami, owszem. Ale zabójstwa dokonano na obrzeżach miasta. Czytał pan o tym? Dlatego pan pyta? - Spieszne słowa Pattersona zwały się, lecz Tony zdołał rozpoznać akcent z charakterystyczną wymową głoski „r”, która kojarzyła mu się ze sposobem mówienia mieszkańców fikcyjnego hrabstwa Worcestershire z radiowej opery mydlanej „The Archers\*\*”.

\*\* Nadawana od 1950 r. w BBC bardzo popularna radiowa opera mydlana, opowiadająca o mieszkańcach angielskiej prowincji w pobliżu hrabstwa Worcestershire, którego stolicą jest miasto Worcester - siedziba policji West Mercia.

- Nie, po prostu nie byłem pewien... Geografia nie jest moją mocną stroną. Cóż więc się stało, że oczekujecie państwo mojej pomocy?

Patterson głęboko odetchnął.

- Zamordowano czternastolatkę i okaleczono jej narządy rodne. Głowimy się nad tą sprawą już od ponad tygodnia i do tej pory nie wpadliśmy na żaden trop, choćby najmniejszy. Kończą nam się już pomysły, a wciąż nie mamy punktu zaczepienia. Jesteśmy w kropce, doktorze Hill. Chciałbym zamknąć tę sprawę, ale bijemy głową w mur. Potrzebuję świeżego spojrzenia. - Patterson zamilkł, ale Tony nie odzywał się, czując, że to jeszcze nie koniec. - Powiedziano mi, że pan może mi w tym pomóc.

Już po raz drugi Patterson napomknął o tym, że ktoś mu go polecił. Ergo, zwrócił się do Tony'ego nie z przekonania, ale z powodu desperacji. Gdyby to Carol Jordan lub grupka śledczych z wydziału zabójstw, z którymi Tony'emu zdarzyło się pracować, stanęła w obliczu podobnego zabójstwa jak to opisane przez Pattersona, zadzwoniliby do Tony'ego w ciągu kilku godzin. Ponieważ wierzyli w jego umiejętności. Praca z niedowiar-kami zawsze podwójnie utrudniała pracę profilerą. Lecz z drugiej strony sceptycyzm oznaczał, że nie mógł sobie pozwolić na fuszerkę - liczyły się tylko bezsporne, oparte na dowodach wnioski. A powrót do podstaw był zawsze mile widziany.

Nagle naszła go pewna myśl. Worcester?! Czuł, że Carol Jordan maczała w tym wszystkim palce. Myśli pewnie, że skoro nie może mnie zmusić do zainteresowania się Blythe'em, to przynajmniej zrobi mnie w to całe morderstwo w Worcesterze, żebym musiał tam pojechać. Kombinuje sobie, że jak już znajdę się na miejscu, nie będę mógł się oprzeć pokusie, by jednak wściubić nos w spuściznę Blythe'a.

- Czy mogę zapytać, kto mnie panu polecił? - Nie miał wątpliwości, jaką odpowiedź usłyszy.

Patterson odchrząknął.

- To długa historia.

- Mam czas i zamieniam się w słuch.

- Nasza „rodzina”, znaczy... jej kolega pracuje w policji West Midlands.

Jego łącznikiem w zeszłorocznej sprawie zamachów bombowych w Bradfield był jeden z członków tamtejszego SPC, niejaki Sam Evans. Po rozwiązaniu sprawy pozostali w kontakcie, spotykając się od czasu do czasu przy curry. Tak czy siak, ten Evans wychwalał pana pod niebiosa. Mój sierżant zadzwonił więc do niego i poprosił o pański numer. - Patterson krótko odkasznął. - I to właśnie mój sierżant przekonał mnie, że nadszedł czas, by zacząć myśleć nieszablonowo.

- Nie rozmawiał więc pan z szefem Evansa? - Tony nie wierzył własnym uszom.

- Nawet nie znam faceta.

W innych okolicznościach założenie, że szefem Evansa był mężczyzna, a nie kobieta, zdenerwowałoby Tony'ego. Jednak słowa Pattersona przekonały go, że mówi prawdę, a za całą sprawą nie stała Carol Jordan.

- Co spowodowało śmierć ofiary? - zapytał Tony, zmieniając temat.

- Uduślenie. Zmarła miała na głowie plastikowy worek. Nie stawiała oporu, gdyż była silnie odurzona pigułką gwałtu.

- Pigułką gwałtu? Skąd więc pan o tym wie? Myślałem, że nie da się tego wykryć, bo jej składniki i tak występują naturalnie w naszej krwi?

- Ale nie w takim stężeniu! Kiedy ją znaleźliśmy, była jeszcze ciepła, więc od razu wzięliśmy pod uwagę tę pigułkę - wyjaśnił Patterson grobowym głosem. - Wciąż czekamy na pełny test toksykologiczny, ale już teraz można stwierdzić, że zabójca dał jej na tyle dużo środka odurzającego, że reszta poszła jak z płatka.

Tony z przyzwyczajenia zaczął sporządzać notatki.

- Powiedział pan, że ofiara miała okaleczone genitalia, dobrze pamiętam?

- Podobno to dzieło noża z długim ostrzem. Niezłe ją poharatał. Jakies pomysły, doktorze? Będzie pan w stanie nam pomóc?

Tony odłożył długopis i podniósł lekko okulary palcem, by podrapać się po grzbiecie nosa.

- No nie wiem. Czy może mi pan przesłać mejlem zdjęcia z miejsca zbrodni i streszczenia raportów? Rzucę na nie okiem i odezwę się do pana



jutro z samego rana, gdy będę już wiedział, czy mogę się państwu na coś przydać.

- Wielkie dzięki. Jeśli się pan zgodzi, to czy będzie pan musiał się do nas wybrać?

Już martwi się o pieniądze.

- Muszę zobaczyć miejsce zbrodni na własne oczy - odparł. - I najpewniej będę chciał porozmawiać z rodzicami ofiary. Zajmie mi to najwyżej kilka dni. Może jeden nocleg. Maksymalnie dwa - odparł ze zrozumieniem. Podał Pattersonowi swój adres mejlowy, zapisał jego numer telefonu i jeszcze raz zapewnił, że zadzwoni do niego z samego rana.

Tony odłożył słuchawkę i odchylił się w krześle, zamykając oczy. A więc policja okręgu West Mercia chciała, żeby pojawił się w Worcesterze dokładnie tego samego dnia, w którym miał ruszyć proces sprzedaży domu Edmunda Arthura Blythe'a - położonego również w tym samym mieście. Niektórzy jego znajomi pewnie obudowaliby ten przypadek różnymi dowodami na prawdziwość hipotezy o przeznaczeniu. Ale Tony nie wątpił, że był to zwykły zbieg okoliczności. Część jego pacjentów wyciągnęłaby z tego splotu wydarzeń daleko idące wnioski co do znaczenia podobnych kolei losu. Jednak podczas krótkiej przygody w roli etatowego wykładowcy na uniwersytecie Tony nieraz przestrzegał swoich studentów przed dawaniem wiary podobnym banialukom. Jak to szło?

„Wszyscy tego doświadczyliśmy. Spędzacie urlop w jakiejś ustronnej wiosce albo na plaży, której próżno szukać w przewodnikach turystycznych Lonely Planet, lub też w polecanej przez miejscowych pierwszorzędnej restauracyjce serwującej owoce morza. I spotykacie kogoś, kto gra w piłkę z waszym bratem albo codziennie rano jeździ tym samym autobusem co wy lub też wyprowadza psa na spacer do tego samego parku. Zdumiewające, musicie przyznać. Gdy wracacie do domu, opowiadacie o tym zdarzeniu znajomym, mówiąc: »Nigdy nie zgadniesz, na kogo się natknąłem...«. Ale chwila. Zastanówcie się. Pomyślcie o tych niezliczonych chwilach każdego dnia waszego urlopu, gdy nie wpadliście na nikogo znajomego. Matematycy zgodziliby się, że istnieje pewna szansa, że w końcu natkniecie się na

jakiegoś znajomka właściwie w każdym miejscu, do którego się udacie. Świat się kurczy, więc z każdym rokiem rośnie szansa na te rzekomo wiele znaczące spotkania. Ale one nie mają żadnego znaczenia. Chyba że ktoś was śledzi i wam się naprzykrza - wtedy nie zważajcie na moje rady i zawiadomcie policję.

Jeśli więc wasi pacjenci przedstawią wam któreś z wielu uzasadnień swoich działań, opierające się na przypisaniu znaczenia przypadkowym zdarzeniom, pamiętajcie, że przypadek nie niesie z sobą żadnego przesłania. Po prostu się zdarza. Zaakceptujcie to i olejcie”.

Komputer wydał dźwięk oznaczający przyjęcie nowej wiadomości. Inspektor Patterson najwyraźniej nie marnuje czasu. Tony jeszcze bardziej zapadł się w fotel, otwierając oczy i stękając.

- Zaakceptuj to i olej - powiedział na głos.

## ROZDZIAŁ 10

Wystarczyło niecałe pół minuty, by Paula zdała sobie sprawę, że szef dochodzeniówki Komendy Północnego Bradfield był jedyną osobą w ich siedzibie, która uważała wciągnięcie zespołu z Bradfield do śledztwa w sprawie zaginięcia za świetny pomysł. Paula miała się zgłosić po instrukcje do sierżanta Franny'ego Rileya w sali odpraw wydziału. Gdy pojawiła się na miejscu i zapytała o tego człowieka pierwszą lepszą osobę, ta wzruszyła ramionami i wskazała kciukiem mężczyznę za plecami.

- To ten wielki drań z petem.

Rzecz jasna w biurach policji Bradfield już od lat obowiązywał zakaz palenia tytoniu. Jednak z kącika ust wskazanego jej muskularnego detektywa śledczego zwisał właśnie papieros. Nie palił się, ale w patrzących teraz na nią złowrogich ciemnych oczach pobłyskiwała wyzywająco groźba - przypominał rewolwerowca z Dzikiego Zachodu, który tylko czekał, by ktoś dał mu powód do wyciągnięcia... zapalniczki.

Wygląda raczej jak były rugbista, który nieraz gryzł trawę, a i pewnie swoich przeciwników, pomyślała Paula, zmierzając w jego stronę. Wskazywały na to źle zrośnięty nos, krzywe uszy i syndrom ABS, czyli absolutnego braku szyi.

- Śledcza Paula McIntyre, witam - przedstawiła się, wyciągając rękę.

Franny Riley zawahał się przez chwilę, po czym uściśnął jej dłoń. Ręce miał silne, lecz zaskakująco miękkie w dotyku.

- Franny Riley. A ty to pewnie z tej bandy od rozwiązywania trudnych spraw, co? Kurwa, nie wiem, co szef sobie w ogóle myśli. Nie dość, że marnuje wasz czas, to jeszcze przez niego wychodzimy na cholernych debili.

- Jeszcze bardziej zmarszczył brwi. Tak bardzo, że Paula nie mogła się nadziwić, że w ogóle coś widzi spomiędzy skrzywionych brwi i obwisłych worków pod oczami.

- Miejmy nadzieję.

Przechylił głowę ze zdziwieniem.

- Że co proszę?

- Wolałabym stracić czas tylko po to, żeby odnaleźć Daniela Morrisona całego i zdrowego, co najwyżej z uśmiechem na twarzy po zaliczeniu jakiejś laski. A pan nie? - Paula popatrzyła na niego zalotnie i wyciągnęła z kurtki paczkę papierosów. - No więc, gdzie tu można zapalić?

Widok z dachu Komendy Północnego Bradfield był jednym z najlepszych w mieście. Budynek, postawiony na szczycie Colliery Hill, górował nad okolicą. Przy dobrej pogodzie można było bez problemu rozróżnić poszczególne co bardziej charakterystyczne budynki w centrum, nawet odległy stadion klubu piłkarskiego Bradfield Victoria oraz parki, które od czasu rewolucji przemysłowej stanowiły zielone płuca miasta. Na północ aż po sam horyzont rozpościerały się wrzosowiska, między ich zaokrąglonymi grzbietami wily się serpentyny dróg. Na dachu komendy jakimś cudem znalazł się przystanek autobusowy z pleksiglasu, który chronił palaczy przed wiatrem i deszczem, stanowiący prawdopodobnie najbardziej malowniczą palarnię w całym Bradfield.

- Nieźle - skomentowała Paula, przysiadając na plastikowej ławce pod dachem przystanku. - Nikt się nie czepiał, że go zaiwaniliście?

Riley parsknął śmiechem przypominającym raczej dźwięk przepychanej rury.

- Tylko by spróbowali. - Głęboko zaciągnął się papierosem, najwyraźniej karmiąc raka płuc, który podtrzymywał go przy życiu. - Komendant ma lęk wysokości, więc raczej nie będzie nam tu przeszkadzał. No więc, czym mogę służyć, śledczo McIntyre?

- Liczyłam na to, że mógłbyś mnie wprowadzić w dotychczasowy przebieg waszego śledztwa w sprawie Daniela Morrisona, bym nie powtarzała bez sensu całej procedury.

Odchrząknął.

- Myślałem raczej, że wasza elitarna zgraja zaczyna wszystko od samego początku, sprawdza wszystkie już zbadane tropy, a potem przypisuje sobie wszystkie zasługi. Czy może coś się zmieniło?

- Chyba mylisz nas z jakąś inną ferajną, sierżancie. - Paula odwróciła się, by osłonić płomień zapalniczki, którym przypaliła sobie papierosa. Poczula ulgę, gdy nikotyna zaczęła miło kręcić jej w głowie.

Paula miała dar zjednywania sobie ludzi, których przepytowała. Wiedziała, że to głównie dlatego Carol Jordan tak bardzo ją ceniła, nie chciała jednak zbyt często zastanawiać się nad swym talentem, by czasem czegoś nie popsuć. Instynktownie i bez namysłu posłała więc Franny'emu Rileyowi uśmiech wyrażający zmieszanie z powodu zachowań jej kolegów po fachu. - Z tego, co widzę, trzymasz rękę na pulsie.

Riley wyraźnie się rozluźnił.

- Bystre z ciebie dziewczę.

- Coś mi się wydaje, że zaginięcie Daniela nie spędza ci snu z powiek. Myślisz, że uciekł z domu, nie?

Riley wzruszył umiejętnymi ramionami.

- Powiedzmy. Raczej obstawiałbym, że po prostu dobrze się bawi. Że przytoczę twoje słowa, pewnie znajdziemy go z uśmiechem na twarzy po zaliczeniu jakiejś laski.

- Dlaczego tak myślisz?

Riley mocno zaciągnął się papierosem i powiedział, wydechając dym:

- To w końcu rozwydrzony gówniarz. Oczko w głowie tatusia i mamusi. Nie miał powodu wiać z domu, skoro miał tam jak u Pana Boga za piecem.

Paula nie drażyła tematu. Doświadczenie nauczyło ją bowiem, że podczas kilku pierwszych dni od zaginięcia rodzina nigdy nie była do końca szczerą z policją. Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że Danielowi nie odmawiano niczego, ale czasem takie podejście rodziców stwarzało dziecku więcej problemów, niż rozwiązywało.

- Nie bierzecie pod uwagę porwania?

- Gdyby ktoś go uprowadził, to albo rodzice w ogóle by się z nami nie zadawali, albo porywacze zdążyliby do tej pory zażądać okupu. Zresztą, po co mieliby go porywać? Ojciec Daniela jest całkiem dziany, ale nie aż znowu tak bardzo, by gra była warta świeczki. - Riley dopalił papierosa jedynym wdechem aż do filtra i energicznie zgasił niedopałek pod podszewą.

- Kiedy widziano go po raz ostatni?

Riley ziewnął i przeciągnął się, po czym sięgnął po kolejnego papierosa.

- W poniedziałek rano po zajęciach widziało go kilku kolegów ze szkoły imienia Williama Thackeraya\*. Jechali z nim tym samym autobusem, w kierunku miasta. Był sam, ale wysiedli razem z nim na Bellwether Square i poszli do sklepu z gramami komputerowymi. Twierdzą, że Daniel zmierzał przez plac w przeciwną stronę.

\* Angielski pisarz, dziennikarz i satyryk (1811-1863), autor „Targowiska próżności”.

- W kierunku Temple Fields? - Mimowolnie przebiegły ją ciarki, które nie miały nic wspólnego z zimnym wiatrem wiejącym od wrzosowisk.

- Zgadza się.

- A co potem?

Riley wzruszył ramionami.

- Nie wiadomo. Nie zwróciliśmy się z apelem do mieszkańców, więc nie trwonimy czasu na sprawdzanie bajeczek paru setek mitomanów, którzy widzieliby go pewnie wszędzie jak kraj długi i szeroki. - Podeszedł do krawędzi przystanku i popatrzył na miasto, najwyraźniej uznając, że nie ma już nic więcej do dodania w tej sprawie. Już miała uznać go za patentowanego lenia, ale jednak ją zaskoczył. - Rzuciłem okiem na zapisy kamer w śródmieściu - zaczął. - Jego koledzy nie kłamali. Daniel rzeczywiście przeszedł przez plac i poszedł na skróty boczną uliczką prowadzącą do Temple Fields. - Odwrócił głowę i popatrzył na nią uważnie. - Ale ty przecież doskonale wiesz, jak tam jest. Czy źle słyszałem?

Paula nie była pewna, czy czasem Riley nie pije do jej orientacji seksualnej.

- Słucham? - rzuciła wystarczająco ostrym tonem, by dać mu do zrozumienia, że nie puści przejawów homofobii mimo uszu.

- To byłaś ty, nie? To tobie o mało się nie dostało, gdy ta cała przebie-ranka w Temple Fields poszła w diabły?

Paula wołała już chyba, żeby rzeczywiście okazał się seksistą, jak początkowo myślała. To właśnie w tej części Bradfield, dzielnicy hetero- i homoseksualnej rozpusty, działał parę lat temu wyjątkowo odrażający seryjny zabójca prostytutek. Podążając jego tropem, Paula zgodziła się zostać przynętą, czego o mały włos nie przypłaciła życiem. Jakby to było wczoraj, pamiętała brudny pokój, ukryty gdzieś w labiryncie ulic i alejek - siedlisko zabójcy, który okazał się sprytniejszy, niż nawet Tony Hill mógł przypuszczać. Po zajrzeniu śmierci w oczy powrót do normalności był ciężki i najeżony trudnościami - na tyle, że nie poradziłyby sobie bez pomocy Tony'ego. Nawet w tej chwili, gdy już mniej lub bardziej doszła do siebie, wciąż nie mogła się pogodzić z faktem, że w ogóle ją to spotkało.

- Tak, to ja - przyznała. - I doskonale wiem, że zasięg kamer w Temple Fields jest wciąż gównowo wart.

Wyrażając wdzięczność za okazaną mu szczerą, Riley zasalutował jej jednym palcem, lekko skinął też przy tym głową.

- Nie lubią, jak ktoś ma na nich oko. Inni nazywają to miejsce gejowską lub wesołą dzielnicą i udają, że stała się mniej nieprzyzwoita dzięki tym wszystkim modnym barom i pretensjonalnym restauracjom, ale oboje przecież wiemy, że to bujda na resorach.

Sex-shopy, dziwki, alfonsi i dilerzy po prostu nie chcą odstraszać kamerami swoich klientów. Gdy tylko Daniel wszedł do Temple Fields, byliśmy udupieni.

- Zero szans, że kamery złapały go, jak opuszczał to miejsce?

Riley podrapał się po brzuchu.

- Za dużo wyjść. Za mało ludzi, których mógłbym oddelegować do przeglądania zapisów kamer. Wiesz, jak to jest. A i tak nie mielibyśmy żadnej gwarancji, że go znajdziemy. Może nawet wciąż kima tam w jakimś cholernym mieszkaniu w byłym magazynie. Ktoś mógł go nawet wywieźć na tylnym siedzeniu, a chuj byśmy o tym wiedzieli.

- Niedobrze. - Paula wstała, podeszła do Riley'a i biorąc z niego przykład, zaczęła przyglądać się miastu. Gdzieś tam tkwiło wyjaśnienie zniknięcia Daniela Morrisona. Choć równie dobrze mogło znajdować się na Islandii, bo i tak nie wiedzieli, czego szukać. - Bardzo niedobrze.

- A masz jakiś inny pomysł? Może pogadasz z rodziną?

Pokręciła głową.

- To nie moja decyzja. Ale doradzę szefowej, żeby odłożyła tę sprawę na półkę, póki nic się nie zmieni. Z tego, co widzę, zrobiliście już wszystko, co było można.

Riley był wyraźnie zbity z tropu.

- Się rozumie - powiedział, choć nie udało mu się ukryć zaskoczenia. - Jeśli nic się nie ruszy do jutra rana, to nie pozostanie nam chyba nic innego, jak zorganizować konferencję prasową z udziałem rodziców i zasłonić się nimi przed krytyką opinii publicznej. Lojalnie ostrzegam.

Paula dogasiła papierosa.

- Dzięki, sierżancie. - Gdy zmierzała w stronę prowadzących w dół schodów ewakuacyjnych, czuła na sobie jego spojrzenie.

Pomyślała sobie, że chyba właśnie zaprzyjaźniła się z kolejnym kolegą po fachu. A więc jednak ten dzień nie poszedł tak do końca na marne.

Tony rozejrzał się po zatłoczonej indyjskiej restauracji na obrzeżach Temple Fields, do której przychodzili wraz z Carol od czasu ich pierwszej wspólnej sprawy. Pomimo zmiany wystroju i szefa kuchni, wciąż była to jedna z najbardziej obleganych i najlepszych knajp tego typu. Kiedyś martwiła go niewielka odległość między stolikami - sądził, że inni ludzie mogliby stracić apetyt, gdyby dosłyszeli, o jakich potwornościach Carol i Tony rozmawiają przy jedzeniu. Szybko zdał sobie jednak sprawę, że panujący tam gwar skutecznie uniemożliwia podsłuchiwanie. Tak więc miejsce to stało się ich częstym punktem spotkań. Tony podejrzewał, że obydwójce cenili jego neutralność, było bowiem ziemią niczyją, gdzie nikt nie cieszył się przewagą własnego boiska w wielowymiarowych potyczkach, do których sprowadzała się ich znajomość.



Ponownie zerknął na zegarek, a gdy podniósł wzrok, dostrzegł tym razem Carol przedzierającą się w jego stronę przez stoliki pełne ludzi. Policzki zaróżowiły jej się od chłodu popołudnia, co tylko podkreśliło niebieską barwę jej oczu. Przydałaby jej się wizyta u fryzjera, gdyż kolejne warstwy jej grubych blond włosów odrastały i zaczęły się źle układać. Lecz gdyby musiał wybierać, Tony przyznałby, że woli jej obecną fryzurę niż tę świeżo przystrzyżoną i wymuskaną ręką wirtuoza nożyczek i grzebienia. Nikt go jednak nie pytał o zdanie, a już szczególnie Carol.

Opadła na krzesło z ciężkim westchnieniem, zdejmując płaszcz i sięgając po stojącą przed nią butelkę piwa Cobra, nieco już cieplejszego, z ledwo oszronionymi ściankami. Stuknęła w butelkę Tony'ego i wypila duży łyk.

- Od razu lepiej - westchnęła. - Ech, pragnienie, żeby dostać się tu na czas, wysuszyło mi gardło na wiór.

- Jak leci? - zapytał, choć znał już odpowiedź. SMS, który mu przysłała, nie pozostawiał wątpliwości, że zaprosiła go tu, by coś uczcić.

- Obleci - odparła. Lawirując między stolikami, podszedł do nich kelner i obydwójce wyrecytowali swoje zamówienia nawet bez spojrzenia w menu. - Możliwe, że mamy w ręku klucz do rozwiązania sprawy sprzed czternastu lat. - Skrótowo przedstawiła mu nowe dowody przeciwko Nigelowi Barnesowi. - Dobra wiadomość jest taka, że Stacey udało się zawęzić listę możliwych punktów, w których mógł zatopić ciało, więc zespół płetwonurków z Kumbrii podejmie się poszukiwania. Wysłałam tam Sama, żeby się z nimi porozumiał w naszym imieniu.

- Dobra robota. Już widzę te nagłówki w gazetach. Może wtedy Blake się od ciebie odczepi.

Kąciki jej ust opadły.

- No nie wiem. Raczej uzna, że pierwszy lepszy mógłby tego dokonać. Ale się myli. Bo widzisz, na wieść o przeprowadzce Nigela Barnes'a większość śledczych machnęłaby ręką. Potraktowałiby to jako wymówkę, by dać sobie spokój z tą sprawą. Nie to co Sam. Moi ludzie są wyjątkowi, bo potrafią myśleć wielopłaszczyznowo, a nie tylko łączyć kropki w prostą linię. Jednak trudno jest wytłumaczyć, jakie to ma znaczenie w naszej

pracy, komuś takiemu jak Blake.

- Szczególnie jeśli w ogóle nie stara się tego zrozumieć.

Odpowiedziała mu ironicznym uśmiechem.

- Otóż to. Ale nie zwracajmy sobie tym dzisiaj głowy. Lepiej wypijmy za zbliżający się wielkimi krokami sukces mojego zespołu.

- Odwalacie kawał dobrej roboty. Nielatwo podolać obowiązkowi poinformowania rodzin, że ich najgorsze koszmary się spełniły, ale przynajmniej dzięki wam przestają żyć w ciągłej niepewności. A stawianie przed sądem zabójców? To chyba coś znaczy. Wiem, że to banał, ale jakże prawdziwy. To wy pozwalacie zabrzmieć głosom zza grobu. Działacie w imieniu ofiar zamilkłych na wieki. - Uśmiechnął się do niej, a w kącikach oczu pojawiły się zmarszczki. Cieszył się, że wieczór zaczął się od dobrych wiadomości. Tym bardziej że czuł przez skórę, iż dalej nie będzie równie przyjemnie.

Kelner przyniósł im talerz wypełniony po brzegi warzywami i fish pako-  
ra, rybą w cieście, więc oboje zabrali się do swoich porcji, jedząc w pełnej nabożnego szacunku ciszy. W końcu Tony westchnął z zadowoleniem.

- Chyba zaraz pękne.

- Zawsze tak mówisz. - Carol wykrztusiła trochę niewyraźnie przez ostatni kęs chrupiącego ciasta naleśnikowego i miękkiego kalafiora.

- Inaczej bym skłamał.

- A tobie jak minął dzień? - nagle zmieniła temat.

Teraz już z dużą dozą powściągliwości odpowiedział:

- Z przyjemnością informuję, że niektórzy jednak mnie potrzebują, nie to co Blake. Dzwonili dziś do mnie z prośbą o pomoc w sprawie morderstwa, wygląda więc na to, że wciąż jest popyt na moje usługi.

- Super. Znam tego kogoś? - Carol wyglądała na szczerze zadowoloną. Ale obawiał się, że ten stan nie potrwa długo.

- Niejaki inspektor Stuart Patterson.

Carol ściągnęła brwi i pokręciła głową.

- Nie kojarzę.

- Z West Mercia.

Na twarzy Carol odmalowało się zaskoczenie i przez dłuższą chwilę z niej nie schodziło.

- West Mercia? Jedziesz do Worcesteru?! - Tak jak się spodziewał, w jej głosie pobrzmiwał oskarżycielski ton.

- Właśnie tam mnie potrzebują, Carol. Nie uganiałem się za tą sprawą. Sama mnie dogoniła. - W jego głosie słychać było asekuranctwo, choć starał się je ukryć.

- Nie musiałeś się przecież zgadzać.

Tony wyrzucił ręce w górę.

- Czy muszę, czy nie muszę, w końcu i tak zawsze się zgadzam.

Przecież wiesz. Powtórzę: jako jedyni pozwalamy zabrzmieć głosom zza grobu.

Carol zwiesiła głowę.

- Przepraszam, masz rację. Po prostu... sama już nie wiem. Gdy próbowałam rozmawiać z tobą o ojcu, od razu uciałeś dyskusję, nie chcąc się z tym zmierzyć. A tu proszę, przy pierwszej okazji wybywasz do miasta, w którym twój ojciec spędził większość swojego dorosłego życia. Będziesz przemierzał te same ulice, oglądał te same budynki, może nawet pił w tych samych pubach z ludźmi, którzy go znali.

- Nic nie poradzę, Carol. Przecież nie pojechałem do Worcesteru, by zabić i okaleczyć nastolatkę, licząc, że West Mercia skontaktuje się akurat ze mną, a nie z jednym z wielu innych profilerów. A właśnie analizowanie umysłów przestępców wychodzi mi najlepiej, właśnie w tym czuję się jak ryba w wodzie. Umiem to robić i mogę im pomóc. - Chciał jeszcze coś dodać, ale wtedy pojawił się kelner z ich głównymi daniami.

Gdy ponownie zostali sami, Carol odezwała się pierwsza:

- Gdy już tam będziesz... Nadal masz zamiar udawać, że nic nie łączy cię z Worcesterem?

- Nie muszę udawać. Nic mnie nie wiąże z tym miastem.

Carol zaśmiała się szyderczo, podczas gdy napychała usta kawałkiem naan, indyjskiego chlebka pszenicznego, i karahi chicken, potrawy z kurczakiem.

- Poza odziedziczeniem tamtejszego domu i łódki.

- To przypadek, nie związek.

Spojrzała na niego przeciągle ze współczuciem i troską.

- Już ja cię znam. Nie będziesz w stanie się temu oprzeć. A jeśli będziesz próbował, sumienie wywierci ci dziurę w brzuchu.

- Nie sądziłem, że jesteś taka sentymentalna - odpowiedział, próbując rozwiać jej obawy. - Gdzież podziła się ta trzeźwo myśląca Carol, którą kiedyś znałem?

- Próbuję właśnie uzmysłwić ci twoje własne pragnienia. Przez całe życie starasz się naprawiać to, co zepsute. Robisz to dla swoich pacjentów. I dla nas, gdy analizujesz przestępców. Także dla ludzi, na których ci zależy, jak Paula. I ja. Chcę po prostu, żebyś choć raz zachował się egoistycznie i pomógł samemu sobie. - Wyciągnęła rękę i położyła ją na jego dłoni. - Znamy się nie od dzisiaj, Tony. I to niemal jak łyse konie. W końcu oboje jesteśmy tak samo popierdoleni. Dotychczas, gdy widziałeś, że potrzebuję pomocy, udzielałeś mi wsparcia. Czemu więc nie pozwalasz mi zrobić tego samego?

Czuł, że gardło mu puchnie, jak gdyby połknął właśnie całą naga chilli, najostrzejszą papryczkę na świecie. Pokręcił głową, odsuwając od siebie talerz.

- Chcę po prostu robić swoje - wykrztusił z wielkim wysiłkiem.

- Wiem. - Carol powiedziała cicho, niemal niedosłyszalnie z powodu panującego wokół gwaru. - Sądzę jednak, że przyznanie się do potrzeby pogodzenia się z przeszłością może jedynie pozytywnie wpłynąć na twoją pracę.

- Niewykluczone. - Wypił trochę piwa i odchrząknął. - Może i masz rację. - Wymusił z siebie błady uśmiešek. - I tak nie dasz mi spokoju, prawda?

Pokręciła głową.

- Jakżeby mogła? Nie chciałabym patrzeć beczynnie na twoje cierpienie tylko dlatego, że włączyłeś doskonale ci znany mechanizm obronny. No wiesz, zaprzeczenie.

Tony się zaśmiał.

- Wybacz, ale łudziłem się, że to ja jestem psychologiem.

Carol podsunęła mu bliżej jego własny talerz.

- A ja jestem pojętnym uczniem. A teraz zjedz obiad i pozwól mi w spokoju opowiedzieć, czego zdołałam się dowiedzieć o twoim ojcu.

- Niech ci będzie - rzucił i sięgnął po widelec.

- Nie żebym miała pełny obraz sprawy - zaczęła. - Ale myślę, że to dobry początek. Pierwsza dobra wiadomość jest taka, że nie był notowany. Nie miał na koncie nawet jednego punktu karnego, choć w dwa tysiące drugim roku dostał kilka mandatów za nadmierną prędkość jazdy. Ale zapewne dlatego, że droga w pobliżu jego domu znalazła się wtedy pod obserwacją policyjnych kamer.

- I właśnie wtedy nauczył się ostrożności - wycedził Tony, po czym zaczął powoli jeść, dokładnie przeżuając każdy kęs.

- Druga wiadomość jest równie dobra, choć zapewne tylko dla niego, a nie dla ludzi mu bliskich. - Zawiesiła głos. - Umarł bardzo szybko. Nie cierpiał z powodu żadnej przewlekłej choroby ani długiego okresu osłabienia. Przyczyną jego śmierci był rozległy zawał. Brał udział w jakimś zlocie amatorów żeglugi po kanałach i szedł w stronę swojej łódki, gdy nagle upadł na nabrzeże. Próbowano go reanimować, ale na próżno.

Tony próbował sobie wyobrazić, jak czuje się człowiek podczas zawału. Paraliżujący paroksyzm gwałtownego bólu. Utrata kontroli nad ciałem. Bolesny wniosek, że oto nadchodzi śmierć. Mrok coraz szczelniej otaczający ślepią umierającego. Straszna samotność, brak bliskich przy boku. Nie ma nawet szansy na pożegnanie, na zadośćuczynienie. - Coś wskazywało na to, że mógł się spodziewać zawału?

- Nie bardzo. Wykryto u niego chorobę niedokrwienną serca, ale ta diagnoza najwidoczniej nie miała żadnego wpływu na jego styl życia. Grał w golfa, rozbijał się łodzią po kanałach, a do tego pracował. Wieczorami zazwyczaj palił cygaro, codziennie wypijał niemal całą butelkę czerwonego wina, a kilka razy w tygodniu jadał w drogich restauracjach. Nie takiego zachowania spodziewasz się po kimś, kto myśli o długim życiu w pełni zdrowia.

Tony pokręcił głową z niedowierzaniem.

- W jaki sposób dowiedziałaś się tego wszystkiego?

- Jestem w końcu nadinspektorem, czyż nie? Po prostu zadzwoniłam do koronera.

- I tak po prostu podał ci te informacje, nie zastanawiając się, po co w ogóle ci one? - Wiedział, że nie powinien czuć się zaskoczony tym, że władze nie szanowały prywatności obywateli, ale czasem nawet jego dziwiła łatwość, z jaką można było dotrzeć do teoretycznie poufnych informacji. - Przecież równie dobrze mogłaś być zwykłą ciekawską.

- Pytał mnie o powód. Zapewniłam go jednak, że nie mamy podejrzeń co do ustalonej przez niego przyczyny śmierci Edmunda Blythe'a, tylko po prostu przyglądamy się sprawie potencjalnego złodzieja tożsamości ofiary. Rzecz jasna więc, że musiałam dowiedzieć się więcej o zmarłym. - Uśmiechnęła się szeroko i nałożyła sobie łyżkę tarka daal, potrawy z roślin strączkowych z dodatkiem przypraw.

- Ty diablicco! Nigdy bym na to nie wpadł.

Carol uniosła brwi.

- I kto to mówi? Podczas przesłuchań sam potrafisz być bardziej pokrętny niż śrubokręt. Niektóre rzeczy, które tobie instynktownie przychodzą do głowy, gdy próbujesz wejść w skórę przesłuchiwanym, to dla mnie istna czarna magia.

Lekko przytaknął w podziwieniu dla jej celnej riposty.

- Tu mnie masz. Cóż, dzięki za informacje. Masz rację, świat nie zawałił mi się przez to na głowę.

- Jeszcze nie skończyłam. Mam dokończyć?

Po raz kolejny poczuł, że zaczyna podchodzić do tej sprawy z coraz większą rezerwą, aż ścisnęło go w brzuchu.

- Sam nie wiem.

- Nie sądzę, żeby jakakolwiek znaleziona przeze mnie informacja mogła przysporzyć ci zgryzot - powiedziała, uważnie dobierając słowa. - Nie nalegałabym tak bardzo, gdybym sądziła, że przez to jeszcze bardziej spieprzę ci życie.

Przyjrzał się wypełnionej po brzegi restauracji. Oceniając po twarzach gości, doszedł do wniosku, że odwiedzający ziemię kosmita mógłby tu znaleźć doskonały materiał do badań nad stosunkami międzyludzkimi. Romanse, interesy, kłótnie, przyjaźnie, radość i smutek, więzy rodzinne,

a nawet pierwsze randki - te typowo ludzkie sytuacje nie były zapewne żadną nowością dla żadnego z obecnych. Więc czego się tak obawiał? Jak mógł mu zaszkodzić nieboszczyk, który jeszcze za życia nic o nim nie wiedział?

Odwrócił się z powrotem do Carol. Najwyraźniej cały czas nie spuszczała go z oczu. Pomyślał sobie, że był nie lada szczęściarzem, mając ją w swoim życiu, nawet jeśli jej upór czasem doprowadzał go do szału.

- No dobrze - powiedział w końcu.

- Twojemu ojcu nie brakowało oleju w głowie...

- Nie był moim ojcem - przerwał jej Tony, z miejsca rozgniewany jej słowami. - Proszę cię, Carol. Nie przyjmę tego do wiadomości, choćbyś nie wiem ile razy mi o tym przypominała.

- Wybacz. Wcale nie chciałam na ciebie naciskać. Tak mi się powiedziało po prostu. Więc jak mam go nazywać?

Tony wzruszył ramionami.

- Edmund? Blythe?

- Przyjaciele nazywali go Arthurem.

- Może być. - Wbił wzrok w talerz. - Przepraszam, że na ciebie naskoczyłem. Ale nie potrafię o nim myśleć w ten sposób. Naprawdę nie potrafię. Już ci to mówiłem: określenie „ojciec” sugeruje pewien rodzaj relacji z tą osobą. Nieważne, dobrych czy złych, szczerych czy nie, miłości czy nienawiści. Ale my nie mieliśmy z sobą nic wspólnego.

Wyraz twarzy Carol wystarczył za przeprosiny.

- Jak mówiłam, Arthurowi nie brakowało oleju w głowie. Założył własną firmę pod nazwą Surginc kilka lat po twoich narodzinach. Trudno jednak powiedzieć, co robił wcześniej. Kobieta, z którą rozmawiałam, pracuje w tej firmie od ponad trzydziestu lat, ale nie wiedziała nic o przeszłości Arthura przed jego przyjazdem do Worcesteru. Poza tym, że przybył gdzieś z północy.

Tony wykrzywił usta w uśmiechu.

- Załóżmy, że chodzi o Halifax, bo tam mieszkała wtedy moja matka. Czym więc zajmuje się ten cały Surginc?

- Nie jestem fachowcem, więc nie zrozumiałam wszystkiego, ale w skrócie: firma produkuje instrumenty chirurgiczne jednorazowego użytku.

Arthur był krok przed konkurencją, bo opracował zestawy jednorazowych instrumentów ze stopu plastiku i metalu, które po użyciu można było z powrotem przerobić na surowce wtórne do produkcji kolejnych narzędzi. Nawet nie pytałeś, co jest takiego specjalnego w tej technologii, ale najwyraźniej była wyjątkowa. Nawet ją opatentował. Nie tylko ją zresztą. - Uśmiechnęła się, przez co na jej twarzy pojawiły się zmarszczki, przypominając mu, dlaczego inni ludzie często nie doceniali drzemiącej w niej siły charakteru. - Okazuje się, że nie jesteś pierwszym cudownym dzieckiem swojego rodu.

Mimo swojej wcześniejszej niezłomności Tony nie mógł powstrzymać ogarniającego go uczucia zadowolenia z powodu wieści, które przyniosła mu Carol.

- Moja matka też ma łeb nie od parady, pomimo wszystkich innych wad. Dobrze wiedzieć, że kreatywności nie zawdzięczam tylko jej.

Na samo wspomnienie o jego matce skóra twarzy Carol z powrotem się napięła. Tony nawet się nie zdziwił. Wzajemna wrogość między tymi dwiema kobietami narodziła się już podczas ich pierwszego spotkania. Tony leżał wtedy w szpitalu, dochodząc do siebie po brutalnym ataku ze strony jednego z pacjentów szpitala psychiatrycznego Bradfield Moor. Odniesiona w wyniku starcia kontuzja skutecznie uniemożliwiała mu bycie rozjemcą w ich sporze. A fakt, że Carol powstrzymała Vanessę przed wykorzystaniem jego chwili słabości, by sprzątnąć mu sprzed nosa dom Blythe'a, tylko umocnił ich wzajemną niechęć.

- Ale między Arthurem a Vanessą była jedna wielka różnica - zauważyła. - Wszystko wskazuje na to, że Arthur był jednym z poczciwców. Był nie tylko byстрыm człowiekiem, ale również dobrym pracodawcą. Jego firma wypracowała nawet system dzielenia części zysków między pracowników. Był bardzo towarzyski, hojny i uważany za dobrego kompana. Mimo że zatrudniał około dwudziestu pięciu ludzi, wiedział wszystko o ich rodzinach. Nigdy nie zapominał imion dzieci podwładnych ani niczego takiego. Gdy dwa lata temu sprzedał firmę, zabrał na weekend cały personel z osobami towarzyszącymi do hotelu na wsi. - Carol przerwała, czekając na reakcję Tony'ego.



Ten jednak zdobył się jedynie na odpowiedź wypraną z emocji:

- Nic dziwnego więc, że go lubili.

- Tylko jednego nie potrafili zrozumieć. Dlaczego Arthur pozostawał samotnikiem. W ciągu tych wszystkich lat, które ta kobieta u niego pracowała, na żadnej imprezie firmowej nie widziała u jego boku żadnej partnerki. Niektórzy pracownicy podejrzewali nawet, że jest gejem, ale nie podzielała ich opinii, bo zbyt cenił sobie kobiety. Głośno się zastanawiała, czy aby czasem w młodości nie owdowiał albo się nie rozwiódł. Sprawdziłam więc w aktach urzędu cywilnego. I co? Nigdy się nie ożenił.

Tony zaśmiał się.

- Wygląda na to, że radził sobie z kobietami nie lepiej ode mnie.

- I zapewne z tego samego powodu. Nas obu spieprzyło życie z Vanessą. Carol, jakby czytała w jego myślach, odparła:

- No więc jednak macie ze sobą coś wspólnego.

Tony sięgnął po piwo.

- Vanessa jest toksyczna. Ale nie mogę jej winić za wszystko.

Carol chyba się z nim nie zgadzała.

- Tak czy siak, jedno jest pewne. Jak tylko Arthur znalazł się poza wpływem Vanessy, zdołał ułożyć sobie życie. Wiem, że nie możesz zapomnieć o tym, że ignorował twoją obecność za życia, ale z tego, co zdołałam się o nim dowiedzieć... Sama nie wiem, mam przeczucie, że miał dobry powód, by nie być obecny w twoim życiu. A jeśli ktokolwiek zna ten powód, to z pewnością Vanessa.

- W takim razie zagadka pozostanie nierozwiązana. Nie mam zamiaru z nią rozmawiać w najbliższej przyszłości. - Tony odsunął talerz na bok i wezwał kelnera. Miał nadzieję, że Carol wyczyta między wierszami, że nie ma ochoty dalej drażnić tego tematu. - Chcesz jeszcze piwa?

- Nie pogardzę. To kiedy wybierasz się do Worcesteru?

- Prawdopodobnie jutro, może pojutrze. Rano muszę jeszcze raz porozmawiać z inspektorem Pattersonem, gdy ponownie przejrzę przysłane mi przez niego dokumenty i zdjęcia. Nie sądzę, żebym spędził tam więcej niż kilka dni. Nikomu już nie starcza pieniędzy na takie zbytki jak ja - dodał oschle.

- Chodzi o tę nastolatkę, tak? Widziałam relację w wiadomościach. Jak im idzie?

Zamówił piwo, po czym uśmiechnął się krzywo.

- A jak myślisz? Skoro wezwali mnie na ratunek, to chyba nie muszę dośpiewywać ci reszty.

- Więc głównie mają, tak?

- Jakbyś zgadła.

- Nie zazdroszczę.

- Sam sobie nie zazdroszczę. Niełatwo wyciągnąć trafne wnioski na podstawie jednego ciała. Sama przecież wiesz. Im więcej zwłok, tym lepiej dla mnie. - I właśnie to było jego zdaniem największym minusem analizowania zabójców. Ten fakt nadawał zupełnie nowego znaczenia powiedzeniu o korzystaniu z cudzego nieszczęścia. Niełatwo było mu się pogodzić z myślą, że wynik jego pracy był tak bardzo uzależniony od efektywności seryjnych zabójców.

Ta świadomość już nieraz spędzała mu sen z powiek.

## ROZDZIAŁ 11

Paula ostrożnie stąpała po kolejnych podłużnych plastikowych stopniach, które stanowiły jedyną odgórnie ustaloną drogę prowadzącą ze skraju miejsca zbrodni do jego centrum. Cholernie tu ponuro. Zastanawiała się nawet, co takiego dostrzegł jakiś deweloper na tym całkowicie pozbawionym życia zboczach, że zdecydował się kupić tu działkę. Nawet miłośnik natury z trudem dostrzegłby cokolwiek interesującego w tym miejscu. W oddali wypatrzyła kępę drzew, a za nią niewyraźny zarys przypominający chyba niski kamienny domek. Prawdopodobnie część gospodarstwa na wzgórzu, na co wskazywało stado owiec pasących się na zboczach powyżej i poniżej placu budowy, który skupiał teraz uwagę wszystkich obecnych funkcjonariuszy.

- Przynajmniej nie pada - powitał ją Franny Riley, gdy dotarła w końcu do gromady ludzi na końcu ścieżki. Każde słowo poruszało w górę i w dół niezapalonego papierosa w jego ustach.

- U mnie też wszystko w porządku, dzięki, że pytasz, sierżancie - odpowiedziała z drwiną Paula. Kilku obecnych na miejscu śledczych omiotło ją wzrokiem z zaciekawieniem, jednak odziani na białą technicy kryminalistyczni nie zaszczycili jej nawet przelotnym spojrzeniem. Wychodzili widocznie z założenia, że martwi są o wiele bardziej interesujący niż żywi. - Dzięki za cynk.

Nie była specjalnie zachwycona, gdy jej dzień wolny, który chciała spędzić w łóżku, został brutalnie przerwany przez natarczywy dzwonek komórki. Nie zamawiała budzenia, jednak wieści, które przekazał jej Franny Riley, okazały się warte zachodu i skutecznie wyciągnęły ją z łóżka.

„Chyba go znaleźliśmy” - Franny rzucił pospiesznie do słuchawki, głosem tak ponurym, że nie pozostawiał wątpliwości, iż nie była to dobra wiadomość. „Wyślę ci SMS-a z namiarami”.

Paula zadzwoniła do Carol, spędziła pod prysznicem cztery minuty, a po kolejnych dwudziestu podała swoje dane funkcjonariuszowi pilnującemu wejścia na miejsce zbrodni. Bez wątpienia spodziewał się jej przybycia, co tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że Franny Riley znał się na rzeczy. W tej chwili stali razem kilka kroków od pokrytego betonem wykopu, gdzie leżały zwłoki - prawdopodobnie Daniela Morrisona.

- Kto znalazł ciało? - zapytała.

- Nie wiadomo. Anonimowe zgłoszenie telefoniczne. Ale ten ktoś brzmiał tak, jakby trząsł portkami. - Franny wskazał kciukiem na asfaltowy podjazd. - Jakies auto z pewnością się tam zatrzymało, bo znaleźliśmy trochę świeżych śladów po oponach. Na bank świeższych niż ciało. Do tego mrowie odcisków butów. Mądre głowy twierdzą, że ktoś był tu nie wcześniej niż wczoraj po południu, już po deszczu. Wygląda na to, że jakaś menda podjechała tu, myśląc, że a nuż znajdzie coś wartościowego do zakoszenia, ale spotkała ją niemila niespodzianka.

- Czy to na pewno Daniel Morrison?

- Prawdopodobnie. - Franny poruszył silnymi ramionami, by rozprostować plecy opięte kurtką z kapturem. - Chodź, wyjdźmy poza strefę, zapalimy sobie po fajce, a ja cię wprowadzę w temat.

Nawet nie czekał na odpowiedź, tylko ruszył po plastikowych schodkach w dół zbocza, najwyraźniej podjąwszy stanowczy zamiar, by dopiąć swego. Jak tylko wyszli poza policyjne taśmy, zapalił papierosa. Gdy Paula zrobiła to samo, dostrzegła pełne dezaprobaty spojrzenie kilku mundurowych.

Wyglądało na to, że w dzisiejszych czasach palenie zaczęto uważać za społeczny nietakt porównywalny z maltretowaniem dzieci. Cały czas myślała o rzuceniu palenia, ale jakoś zawsze ten pomysł schodził na dalszy plan. Kiedyś już nawet przestała, ale po tym, jak ryzyko jej zawodu przypomniało jej o sobie w najgorszy możliwy sposób - odbierając jej kolegę z

pracy, a zarazem przyjaciela, i o mało nie upomniało się o życie jej samej, z powrotem wpadła w objęcia nałogu, niczym kochanka tuląca się w ramionach ukochanego po niebezpiecznych przygodach. Papierosy były lepszą używką w stresowych sytuacjach niż te, które - jak miała okazję widzieć na własne oczy - kosztowały życie niektórych jej znajomych. Przynajmniej nie wpływały niekorzystnie na umiejętność oceny sytuacji, nie prowadziły też do kompromitujących układów z dilerami i podobnymi szumowinami.

- Może mi w końcu powiesz, co znaleźliście w tym wykopie, co? - zagadnęła Paula.

- Ciało młodego chłopaka, które odpowiada opisowi Daniela. Ubrane w bluzę z logo jego szkoły.

- Nie macie zdjęcia zaginionego czy co?

Riley wypuścił słaby obłok dymu.

- Mamy. Ale nic nam po nim, dopóki nie przeprowadzimy sekcji, bo zmarły ma na głowie plastikową torbę, ciasno przyklejoną wokół szyi. Sądzę, że właśnie ona była przyczyną śmierci. - Pokręcił głową. - Ale nie to jest w tym wszystkim najgorsze.

Paula poczuła ucisk w żołądku. Widziała już w swojej karierze wystarczająco wiele, by pojąć, co mogło znaczyć to lakoniczne stwierdzenie.

- Okaleczenie?

Riley popatrzył w kierunku drzew majaczących w tle za jej plecami, a jego poniszczona twarz przypominała nieprzeniknioną maskę mumii.

- Po prostu jedna wielka krwawa miazga w miejscu, w którym miał kiedyś kutasa i jaja. Ani śladu genitaliów w pobliżu zwłok. Ale będziemy mieć pewność, dopiero gdy go podniesiemy.

Cieszyła się, że nie musiała oglądać ciała. Aż za dobrze знаła bowiem emocje przerażenia i współczucia, które zawsze chodziły parami w przypadku brutalnie zamordowanych, a już szczególnie - młodych ofiar. Za każdym razem wyglądały, jakby ktoś ich oszukał, a wyraz ich twarzy zamarł w niemym oskarżeniu.

- Co na to twój szef? - zapytała. - Znaczy, sprawa jest poważna jak diabli, pierwsza liga jak nic.

Riley parsknął.

- Robi pod siebie ze strachu. Myślę, że spokojnie możemy założyć, że czas przekazać pałeczkę. Dokończymy oględziny miejsca zbrodni, ale lepiej powiedz swojemu zwierzchnikowi, że potem oddajemy sprawę w wasze ręce. Osobiście dopilnuję, żeby możliwie szybko całość dokumentacji trafiła do waszego biura.

- Dzięki - rzuciła, sięgając po telefon. W końcu jakaś okazja, by utrzcę nosa Blake'owi. Lecz za daną im szansę Danielowi Morrisonowi przyszło zapłacić najwyższą cenę. A i bez tego jego rodzina miała już wystarczająco dużo długów na koncie.

Motywacją, która bez przerwy kierowała działaniami Carol Jordan, było dążenie do ukarania winnych. To właśnie ta chęć napędzała jej życie, zarówno prywatne, jak i zawodowe. W wypadku ludzi, których kochała, czuła się osobiście odpowiedzialna za naprawę wyrządzonych im krzywd. Jednak w przypadku Tony'ego nieraz załamywała ręce, ponieważ jego rany sięgały zbyt głęboko, by móc dotrzeć do ich sedna, nie mówiąc już o próbie ich wyleczenia.

Gdy jednak poznała Vanessę, otworzyły się przed nią nowe możliwości. Co z tego, że matka Tony'ego była próżną, samolubną kurwą, której powinno się zabronić wychowywania dzieci? Carol jakoś by przelknęła te wszystkie zniewagi i oszczerstwa, które padły z jej ust, gdyby był choć cień szansy, że w ten sposób utoruje drogę do pomocy Tony'emu. Lecz gdy Carol zniweczyła szatański plan Vanessy, zmierzający do pozbawienia syna spadku po nieznanym mu ojcu, wiedziała, że matka Tony'ego nigdy jej tego nie wybaczy. Nici z dobrowolnej współpracy.

Mimo to w głowie Carol cały czas kołatała myśl, że musi przynajmniej spróbować. Nawet jeśli Tony nie chciał mieć z nią nic wspólnego, musiała zrobić wszystko, co w jej mocy, by mu pomóc. Nielatwo przychodziło jej działanie wbrew jego woli, ale sprzeciw wyrażony przez Tony'ego poprzedniej nocy jedynie rozwiął jej wątpliwości i utwierdził w przekonaniu, że postępowała słusznie.

Była pewna, że Tony przyjął z zadowoleniem dotychczas zebrane przez nią informacje na temat Arthura Blythe'a. Lecz w życiorysie ojca Tony'ego wciąż pozostawało zbyt wiele białych plam. Chciała się dowiedzieć, gdzie

Blythe przebywał i czym się zajmował, zanim nieoczekiwanie pojawił się w Worcesterze. Zakładała, że mieszkał w Halifaksie, gdzie znajdował się dom babci Tony'ego, w którym potem wychowywał się jego syn. To właśnie w Halifaksie wciąż mieściła się firma rekrutacyjno-szkoleniowa należąca do Vanessy. Carol zastanawiała się, jak jej biznes radził sobie na rynku pracy, który zdawał się kurczyć z dnia na dzień, podczas gdy globalna bessa coraz bardziej odciskała swoje piętno na poziomie bezrobocia. Ale jeśli ktokolwiek był w stanie nie tylko przetrwać kryzys, ale wyjść z niego obronną ręką, to z pewnością była to Vanessa Hill.

Carol nie cieszyła się specjalnie na myśl o stawieniu czoła matce Tony'ego. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Vanessa była głównym źródłem informacji na temat Arthura Blythe'a i żaden śledczy z prawdziwego zdarzenia nie omieszkaby umieścić jej na pierwszym miejscu listy osób, z którymi należało się rozmówić w sprawie przeszłości Arthura. Może i do jej opowieści trzeba się było odnosić ze szczyptą rezerwy, ale nie mogła po prostu zlekceważyć możliwości, że w jej słowach kryło się ziarno prawdy.

Z samego rana poprosiła więc Kevina Matthews, by ją krył przed Blakiem, i wyruszyła przez Góry Penińskie w kierunku Halifaksu. Gdyby skorzystała z autostrady, zapewne szybciej dotarłaby do celu swej podróży, jednak wtedy nadłożyłaby dwa razy tyle drogi niż w przypadku jazdy przez prowincję. Wybrana przez nią droga z pewnością nie była też piękniejsza - trudno byłoby opisać w ten sposób dramatyczny krajobraz mijanych przez nią okolic, w których roilo się od pozostałości po szkodliwej dla środowiska przemysłowej przeszłości tych terenów. Dozy dramatyzmu nie można było też odmówić i drodze dojazdowej do samego Halifaksu - serpentynie wiodącej z wysokiego grzbietu wrzosowisk w dół do otoczonego ciemnościami miasta rozlewającego się po szerokiej misie doliny.

Siedziba firmy Vanessy Hill znajdowała się w przysadzistym budynku z cegły na obrzeżach miasta. Carol zatrzymała auto na miejscu parkingowym dla gości. Ledwo zdążyła jednak zgasić silnik, a odezwał się dzwonek jej komórki. Na ekranie widniało nazwisko sierżanta Matthews.

- Cholera jasna! - powiedziała, odbierając rozmowę. - Co jest, Kevin?

- Właśnie dzwoniła Paula. Jest na miejscu zbrodni, którą zajmują się nasi koledzy z „Północy”. Anonimowy cynk naprowadził ich na zwłoki, prawdopodobnie Daniela Morrisona. Chcą to przepchnąć do nas.

Obowiązek wzywał, więc Carol powinna natychmiast zawrócić auto w stronę Bradfield. Ale skoro zabrnęła już tak daleko, nie było odwrotu. Podejrzewała zresztą, że jej rozmowa z Vanessą Hill nie potrwa długo. A rewir Komendy Północnego Bradfield przecież i tak znajdował się bliżej wyłotówki w stronę Halifaksu.

- Dobra, Kevin. Prześlij mi SMS-a z namiarami. Pojawię się tam, jak tylko będę mogła. Na razie każ Pauli pilnować interesu. A ty leć jak najszybciej na miejsce, upewnij się, że trzymamy rękę na pulsie. Jeśli ustalą, że to zwłoki Daniela Morrisona, chcę, żebyś towarzyszył „rodzinnemu” podczas wizyty w jego domu.

- Jasne. Chcesz, żebym dał znać Tony'emu?

Było to standardowe pytanie, gdyż jej ludzie doskonale wiedzieli, że w miarę możliwości Tony wolał obejrzeć ciało bezpośrednio na miejscu zbrodni, by móc w pełni wykorzystać swoje zdolności. Ale tym razem nie mogła skorzystać z jego pomocy. Zresztą, prawdopodobnie był teraz w drodze do West Mercia, by przysłużyć się komuś, komu pozwolono właściwie spożytkować jego talent.

- Nie, nie trzeba. Do zobaczenia wkrótce.

Teraz już spiesząc się, podeszła do stalowych, przeszlonych drzwi. Prędko się jednak zatrzymała, widząc, że jedynym sposobem dostania się do środka było zaanonsowanie swojej wizyty przez domofon. Tego się nie spodziewała. Jedyne, co jej pozostało, to zdecydować się na frontalny atak. Dochrapała się wysokiego stopnia w policji i nie zawahała się go użyć.

- Nadinspektor Carol Jordan do pani Hill - powiedziała do mikrofonu.

Długo czekała na odpowiedź. Konsternacja, a potem konsultacja, domyślała się.

- Była pani umówiona? - zatrzeszczał kobiecy głos.



- Zwykle nie potrzebujemy zaproszenia - wycedziła Carol możliwie lodowatym tonem.

Znów zapadła cisza, jednak w końcu zabrzmiał dźwięk otwieranych drzwi. Znalazła się w holu, który prowadził do niewielkiego pomieszczenia recepcji umeblowanego z subtelnym smakiem. Recepcjonistka wyglądała na przestraszoną. Carol przyjrzała się plakietce z imieniem i uśmiechnęła się.

- Dzień dobry, Bethany. Chciałabym zobaczyć się z panią Hill.

Bethany rzuciła szybkie spojrzenie za siebie w kierunku drzwi prowadzących do głównej części budynku.

- Czy mogę zobaczyć pani legitymację? - zapytała, a jej twarz wykrzywił kurczowy uśmiech.

Carol wyłowiła dokumenty z torebki i podniosła je w kierunku Bethany. Ale zanim ta zdążyła zareagować, drzwi otworzyły się z łoskotem i weszła przez nie dostojnym krokiem Vanessa Hill.

Na pierwszy rzut oka nie zmieniła się zbyt wiele od ich ostatniego spotkania. Wciąż nie wyglądała na swoje lata, a wszystko dzięki niepozornym zabiegom fryzjera, który ufarbował jej włosy na złocisty brąz, oraz jej własnemu wyczuciu rozsądnej ilości makijażu. Nadal pozostawała szczupłą, jej figurę podkreślał pięknie skrojony kostium, a spódnica odsłaniała wciąż kształtne nogi.

Ale po dokładnym przyjrzeniu zauważyła, że Vanessa nie miała już zmarszczek na twarzy, które wcześniej zdradzały jej niezbyt przyjazną osobowość. Botoks, pomyślała. Carol nie mogła się nadziwić próżności kobiet, które uważały, że wstrzyknięcie sobie trucizny w twarz było dobrym posunięciem.

- Policja do pani - rzuciła Bethany, struchlała niczym złodziejka po klimakterium przyłapana na gorącym uczynku przez sklepowego ochroniarza.

Usta Vanessy wykrzywiły się w pełnym pogardy uśmiechu.

- Żadna tam policja, Bethany. To dziewczyna mojego syna. Nie ma powodów do obaw. - Zaskoczona Carol bezskutecznie próbowała wymyślić jakąś ripostę. Jej zakłopotanie okazało się tylko wodą na młyn dla Vanessy. - Chodź do środka, Carol. Nie rozmawiajmy o sprawach rodzinnych przy pracownikach.

Bethany wyraźnie ulżyło. Zapewne była wdzięczna losowi, że nie popełniła nieświadomie żadnej gafy, pomyślała Carol, zmierzając za Vanessa przez drzwi do pozbawionego ścianek działowych biura, zauważalnie tętniącego wyteżoną pracą. Gdy mijały kolejne biurka, nie dostrzegła wśród pracowników ani jednego mężczyzny, a żadna z kobiet nawet na nią nie spojrzała - wszystkie wydawały się przyklejone do swoich komputerów lub telefonów.

Gabinet Vanessy znajdował się na samym końcu biura. Był mniejszy, niż się spodziewała, za to bardzo funkcjonalnie urządzone. Jedyne wyposażenie była elektryczna poduszka masująca przymocowana do fotela za biurkiem.

- Nie jestem dziewczyną Tony'ego - powiedziała Carol, jak tylko zamknęły się za nimi drzwi gabinetu.

Vanessa westchnęła.

- Pewnie, że nie. A szkoda. - Przeszła obok Carol i usadowiła się w fotelu, wskazując zdecydowanie mniej wygodne krzesło po drugiej stronie biurka. - Skończmy z tą grą pozorów. Przecież obie doskonale wiemy, że najchętniej wydrapałybyśmy sobie oczy. Co cię tu sprowadza?

- Edmund Arthur Blythe. - Usłyszawszy to nazwisko, Vanessa zacisnęła wargi i przymrużyła oczy. Jednak Carol kontynuowała, niezrażona jej reakcją. - Tony chciałby dowiedzieć się czegoś więcej o tym człowieku. Jak się poznaliście, co porabiał w Halifaksie i tym podobne.

- Nie, nie chciałby. Ty może i owszem, ale Tony nie ma w tym żadnego interesu. Wciąż żyłby w błogiej nieświadomości, gdybyś się wtedy nie wtrąciła. Najlepsze co mogłaś dla niego zrobić, to pozwolić przepisać dom Eddiego na mnie. I byłoby po kłopotach. - Vanessa wyprostowała ramiona i splótła ręce na biurku.

- Zapominasz o pewnej drobnej kwestii. Wartej... ile? Pół miliona czy coś koło tego?

Vanessa wydobyła z siebie odgłos, który być może miał uchodzić za śmiech.

- Jeśli ci się wydaje, że mojego syna guzik obchodzi pieniądze, to znasz go gorzej, niż myślałam. Wierz mi, twoje wścibstwo jedynie przyniosło Tony'emu więcej zgrzyzot. W ogóle go nie rozumiesz. Niezależnie od tego,

co ci powiedział, jestem jedyną osobą, która wie, co dla niego najlepsze. Ponieważ tylko ja wiem, co go nakręca. To ja go ukształtowałam, a nie ty. - Wstała. - Tak że, jeśli nie masz już nic do dodania, to chyba najwyższy czas, żebyś się stąd wyniosła.

- Dlaczego nie chcesz o tym mówić? Przecież to zamierzchłe czasy. Tobie to teraz wszystko jedno. I tak nie możesz się już bardziej pogрузić w moich oczach. Czy to taka wielka tajemnica? Tony ma prawo wiedzieć, dlaczego jego ojciec tak nagle uciekł z Halifaksu!

- A ja powinnam mieć prawo do zachowania swojej prywatności. Koniec rozmowy, Carol! - Vanessa przeszła obok niej i mocno pchnęła drzwi. - Następnym razem lepiej najpierw załatw sobie nakaz.

Wściekła i poirytowana Carol z wysoko uniesioną głową minęła Vanesę. Spotkanie było upokarzającą stratą czasu, nic więcej. Ale gdy trzasnęła drzwiami, Carol poprzysięgła sobie, że nie złoży broni. Zachowanie Vanessy tylko ją zdopingowało do dalszego odgrzebywania przeszłości Edmunda Arthura Blythe'a. Od tej chwili drążyła tę kwestię nie tylko, by pomóc Tony'emu, ale także po to, by napsuć krwi jego matce. I trudno powiedzieć, który z tych powodów stanowił silniejszą motywację.

## ROZDZIAŁ 12

By dostać się do Worcesteru, lepiej było skorzystać z pociągu. Miałby więcej czasu, by przejrzeć ponownie dokumenty sprawy. I przyjechałby na miejsce wypoczęty, a nie wykończony po próbie pokonania labiryntu autostrad dookoła Birmingham. Wybór powinien być prosty jak drut. W normalnych okolicznościach Tony bez wahania skorzystałby z kolei. Jednak bez dostępu do własnego samochodu znalazłby się całkowicie na łasce policji okręgu West Mercia. Gdyby na przykład chciał przejechać obok domu Arthura Blythe'a albo rzucić okiem na jego fabrykę, zapewne jakiś policyjny kierowca zażądałby od niego wyjaśnień. A te były zbyt niezręczne. Albo jeśli w środku nocy nie mógłby zasnąć i poczułby nagłą potrzebę odwiedzenia miejsca zbrodni, od razu wzięliby go za większego dziwaka, niż się tego spodziewali. Zdecydował w końcu, że dla swobody działania warto było poświęcić własną wygodę.

Jeszcze zanim zatrzymał się na parkingu hotelu w Worcesterze, kompletnie stracił rachubę, ile razy przeklinał własną głupotę. Czemu, do cholery, nie pomyślał o wypożyczeniu auta na miejscu? Spodziewał się, że dojazd na miejsce zajmie mu dwie godziny. W drodze spędził jednak trzy i pół, a dotarwszy do celu, czuł się jak po najbardziej forsownych ćwiczeniach na siłowni. Tony położył głowę na kierownicy i bezskutecznie próbował rozluźnić mięśnie szyi i ramion. W końcu wygramolił się z auta i zameldował w hotelu.

Jak tylko zamknął drzwi pokoju, poczuł na sobie zły dotyk niewidzialnej ręki rynku w głębokim kryzysie. Wiedział, że istnieją hotele, których

pokoje radują serce i duszę. Zdarzyło mu się nawet nocować w kilku z nich przez te wszystkie lata, głównie gdy zatrudniały go firmy łudzące się, że może pomóc w zmotywowaniu ich kadry zarządzającej. Ale ten pokój z pewnością do nich nie należał. Wystrój? Jaki znowu wystrój? Trudno było użyć tego określenia do opisu wszechobecnych w tym pokoju różnych matowych odcieni brązu, od koloru taniej, paskudnej mlecznej czekolady po barwę tytoniu. Światło ledwie wpadało do pokoju przez zbyt małe okno wychodzące prosto na parking. W telewizorze dostępnych było tylko siedem kanałów, a łóżko zapewniało wygody porównywalne z drewnianą pryczą. Doskonale rozumiał ograniczenia policyjnych budżetów, ale czy naprawdę nie dało się znaleźć lepszego kwaterekunku?

Wzdychając, rzucił torbę na ziemię i usiadł na łóżku naprzeciwko re-produkcji przedstawiającej afrykańską wyżynę porośniętą trawą. Nie potrafił doszukać się związku pomiędzy Worcesterem a antylopami. Wyjął więc telefon i zadzwonił do inspektora Stuarta Pattersona.

- Właśnie zawitałem do hotelu - rzucił do słuchawki bez żadnego wstępu.

- Nie wiem, od czego chce pan zacząć - odpowiedział Patterson. - Chyba mówił mi pan, że chce obejrzeć miejsce zbrodni?

- Zgadza się. Dla mnie to dobry początek. Potem chciałbym też w miarę możliwości porozmawiać z rodzicami ofiary.

Patterson zaproponował, że przyśle po niego sierżanta Ambrose'a. Tony wolałby w końcu spotkać się twarzą w twarz z Pattersonem, ale cóż - pracując z nieznaną wcześniej ekipą, trzeba było przystać na ich zasady gry. Na razie zdecydował, że zadowoli się „prawą ręką” Pattersona, a dopiero potem poszuka właściciela brakującej kończyny.

Ambrose miał się pojawić za pół godziny, więc Tony postanowił wykorzystać czas oczekiwania na krótkie zwiedzanie miasta. Jego hotel znajdował się na obrzeżach śródmieścia, toteż po zaledwie pięciu minutach dotarł do ulicy, przy której mieściły się banki, agencje nieruchomości i sklepy sieciowe, które puściły z torbami tradycyjnych małych sklepikarzy. Sprzedawano tam te same czekolady, buty, kurtki, ten sam alkohol, znalazło się

tam nawet miejsce dla tych samych pralni chemicznych jak na każdej innej głównej ulicy w Anglii. Przechadzał się nią powoli, bez wyraźnego celu przypatrując się wystawom sklepowym, póki nie stanął jak wryty, widząc przed sobą znajomą nazwę agencji nieruchomości, z którą od niedawna się kontaktował.

Przy samym oknie dostrzegł umieszczony na środku witryny szczegółowy opis domu, który starał się sprzedać.

- Widocznie przeznaczenie cały czas próbuje nawrócić niewiernych. Chyba nie zaszkodzi spróbować? - Dźwięk jego głosu przerwał ciszę i zanim zdążył przemyśleć sprawę, mimowolnie wszedł do agencji. - Dzień dobry - powiedział radośnie. - Czy mógłbym porozmawiać z kimś o tym domu z ogłoszenia w oknie?

Paula nigdy nie odczuła większej ulgi na widok szefowej. Policyjny chirurg i spece od analizy miejsca zbrodni mieli wielką ochotę zabrać zwłoki Daniela Morrisona, ale udało jej się przekonać Franny'ego Rileya, by poparł jej starania zmierzające do pozostawienia ciała na miejscu do czasu, aż nadinspektor Jordan będzie mogła je zobaczyć.

- Nie przesuniecie zwłok nawet o milimetr, dopóki moja nadinspektor z nimi nie skończy - protestowała. - Guzik mnie obchodzi, że wasz szef chce je uprzątnąć. Zostają na miejscu, dopóki nadinspektor Jordan nie pozwoli ich ruszyć!

Kevin Matthews pojawił się na czas, by ją wesprzeć. Ale im dłużej czekali, tym atmosfera stawała się coraz bardziej napięta, a Carol jak nie było, tak nie było. W końcu jednak Paula dostrzegła swoją szefową zmierzającą do nich w górę podjazdu. Wyglądała zdecydowanie bardziej szykownie niż zwykle. Nie wiedziała, gdzie wcześniej podziewała się szefowa, ale jedno było pewne - bardzo starała się wyrzeźwić na kimś wrażenie.

- Przepraszam, że musieliście czekać - powitała ich, rozsiewając wokół pełni osobistego uroku. - Utknęłam w korku po jakimś wypadku w Barrowden, na samym dnie doliny, gdzie nie ma zasięgu. Dzięki za cierpliwość.

Kiedy była w pełni formy, tak jak teraz, nikt nie potrafił dorównać Carol Jordan. Wtedy wszyscy wylazili ze skóry, by ją zadowolić i zasłużyć na jej aprobatę. Nie bez znaczenia był tu też fakt, że w jej przypadku było na czym oko zawiesić. Lecz zaciśnięte szczęki i bezpośredniość kryjąca się w spojrzeniu oznaczały, że nikt nie wzięby jej za zwykłą lalunię. Paula zdała sobie sprawę, że trochę podkochuje się w swojej szefowej, ale nauczyła się już żyć ze świadomością, że ewentualne zaloty były z góry skazane na niepowodzenie.

- Tędy, szefowo - oznajmiła, prowadząc Carol w kierunku wykopu, po drodze przedstawiając jej Franny'ego. - Sierżant Riley koordynował ze mną całą akcję, byłoby więc wskazane, by nadal z nami współpracował - zaproponowała, między wierszami sugerując: „wbrew pozorom jest jednym z nas”.

Paula stanęła obok Carol, spoglądając w dół na żałośnie wygiętą istotę leżącą na dnie wykopu. Błoto i krew umazały ubrania chłopaka, a jego głowa otoczona przezroczystym plastikowym workiem wydawała się jak nie z tego świata, niczym odrażający rekwizyt żywcem wyjęty z taniego horroru, którego nie sposób zobaczyć w żadnym szanującym się kinie.

- Chryste - jęknęła Carol, odwracając twarz. Paula dojrzała nawet lekkie drżenie warg szefowej. - Dobra, zabierzmy go stąd - zarządziła, odchodząc w bok i przywołując do siebie Kevina i Franny'ego.

- Na tę chwilę musimy przyjąć, że mamy tu zwłoki Daniela Morrisona - zaczęła. - Ciało odpowiada opisowi zaginionego, poza tym pod kurtką widać bluzę z logo szkoły imienia Williama Thackeraya. A to oznacza, że minęło sześćdziesiąt godzin od momentu, gdy po raz ostatni widzieli go znajomi. Jest więc sporo do nadrobienia. Gdy już ustalimy przybliżony czas zgonu, dowiemy się, ile dokładnie godzin mamy w plecy. Lecz każda z nich musi zostać wyjaśniona. Paula, nadal będziesz koordynować nasze działania z sierżantem Rileyem. Dopilnuj, byśmy znali wszystkie ustalenia jego ekipy. Kevin razem z „rodzinnym” osobiście powiadomi Morrisonów. Ale i tak chcę, Paula, żebyś była obecna przy dalszych czynnościach w ich domu. - Carol zaczęła zmierzać z powrotem w kierunku policyjnych taśm.

Za nią ruszyła dwójka podwładnych.

- Paula, na razie zajmij się szkołą. Przemagluj nauczycieli i kolegów. To prywatna placówka, więc spodziewaj się zatrzęsienia różnych matolów, ale nie daj sobie w kaszę dmuchać i koniecznie wyciągnij od nich wszystko, co wiedzą na temat Daniela Morrisona. Stacey pogrzebie w jego komputerze. A właśnie, Paula, chcę, żebyście poszukali odcisków palców na poboczu od końca podjazdu aż do głównej drogi. Przekaż moje słowa sierżantowi Rileyowi. - Na samej górze plastikowych schodków odwróciła się do swoich ludzi ze znużonym uśmiechem na ustach. - Jesteśmy winni Danielowi jednego zabójcę za kratami. Do dzieła!

- Odebrać Tony'ego ze szpitala Bradfield Moor? - zapytała Paula. Za plecami Carol Kevin jednym palcem wykonał gest przypominający podrzynanie gardła.

Mięśnie twarzy Carol się napięły.

- Musimy tym razem obejść się bez Tony'ego. Jeśli zdecydujemy się na pomoc profilerą, to będziemy musieli skorzystać z jakiegoś wychowanka państwowej szkoły policyjnej.

Prawie udało jej się ukryć pogardę, pomyślała Paula. Trzeba było dobrze znać Carol, by wiedzieć, w jak wielkim „poważaniu” ma protegowanych Home Office\*.

\* Brytyjski odpowiednik polskiego MSWiA, odpowiedzialny m.in. za sprawy policji.

- Jeszcze jedno - ciągnęła Carol. - Musimy sprawdzić, kto znał to miejsce. Kevin, jak tylko będziesz wolny, skontaktuj się z deweloperem i załatw listę nazwisk robotników, architektów, rzeczoznawców budowlanych, słowem: wszystkich, którzy kręcili się na budowie. Załatwię kilku szaraków z „Północy”, żeby wstępnie sprawdzili i przesłuchali tych ludzi, a my potem ocenimy przydatność informacji. - Przegarnęła dłonią włosy. Paula doskonale знаła ten gest. Znaczył, że szefowa próbuje zyskać na czasie, zbierając myśli. - O czymś zapomniałam? - zapytała. Nikt się nie odezwał.

Paula marzyła, że pewnego dnia wpadnie na jakąś błyskotliwą myśl, która nie przyszła do głowy ani Carol, ani nikomu innemu. Odwróciła się i



sięgnęła po papierosa, wiedząc, że na swoją chwilę triumfu będzie musiała jeszcze poczekać.

W rzeczywistości dom Blythe'a prezentował się o wiele okazalej niż na zdjęciach. Dopiero widząc go na własne oczy, można było w pełni docenić symetryczność jego elewacji, uświadomić sobie subtelność położenia domu względem ogrodu, a także właściwie ocenić solidność urzeczywistnionych przez budowniczych, niematerialnych prostych i krzywych wykreślonych ręką architekta na początku dwudziestego wieku.

Tony otworzył bramę i chwiejnym krokiem poszedł wzdłuż podjazdu po chrzęszczącym pod nogami żwirze. Znów zaczęła mu doskwierać kontuzja - wciąż kulał po bliskim spotkaniu trzeciego stopnia z siekierą dzierżoną przez niestabilnego pacjenta. Proponowali mu kolejne operacje, ale odmówił. Nie znosił bowiem, gdy robili z niego kalekę, nienawidził świadomości braku kontroli nad własnym życiem, gdy ktoś za pomocą leków czy narkozy odbierał mu władzę nad ciałem. Miał więc zamiar dawać sobie radę bez pomocy chirurga tak długo, jak podola.

Zjawił się trochę wcześniej przed umówionym spotkaniem z pośredniczką, która miała oprowadzić go po wnętrzach. Postanowił więc w pełni wykorzystać ten czas i obszedł dom dookoła. Znalazł się w typowym różanym ogrodzie. O tej porze roku krzaki były co najwyżej nagimi, powykręcanymi gałązkami, ale z łatwością mógł sobie wyobrazić, jak będą wyglądały latem. Nie znał się na ogrodnictwie, ale nawet laik musiał zauważyć, że o krzewy zadbano i starannie je ułożono z myślą o zaspokojeniu estetycznych potrzeb domownika i jego gości. Tony przysiadł na kamiennej ławeczce i wbił wzrok w róże. Jak mniemał, to samo robił kiedyś Arthur Blythe.

Jednak myśli poprzedniego właściciela domu krążyłyby wokół zupełnie odmiennych kwestii. Na bank nie spędziłby popołudnia, przemierzając zabloconą zatoczkę, starając się wnikać w umysł zabójcy, który porzucił w tym miejscu ciało nastoletniej ofiary.

Alvin Ambrose, prawa ręka Pattersona, chętnie podzielił się informacjami o zatoczce i stanie poszkodowanej. Do okaleczenia doszło już po jej śmierci.

- Z pewnością nie tutaj bawił się w chirurga - orzekł Tony. - Potrzebował bowiem spokoju.

- I lepszej pogody - zauważył Ambrose. - Od późnego popołudnia, gdy Jennifer rozstała się ze swoją kumpelą Claire, lało jak z cebra i szalała wichura. Doprawdy, w taką psią pogodę nawet kundla byś nie wygnał, a co dopiero... no wiesz. Robił to, co ten skurwysyn - dodał po chwili.

Tony otaksował wzrokiem całą długość zatoczki.

- Potrzebował miejsca osłoniętego przed pogodą i poza zasięgiem wścibskich oczu. Ale była już martwa, więc nie musiał się martwić, że ktoś usłyszy jej krzyki. Przypuszczam, że mógł się z nią rozprawić właśnie tu, na tyłach furgonetki albo ciężarówki.

Przymknął na chwilę oczy, próbując sobie wyobrazić zatoczkę pod osłoną nocy.

- Dzięki temu mógł wybrać odpowiedni moment do porzucenia ciała, zamiast dopiero po wszystkich podjechać tu i zdać się na czysty przypadek, że...

Nagle zamilkł i zaczął przedzierać się przez zarośla w kierunku osłaniających zatoczkę drzew. Pachniało tu ziemią, żywicą sosny i stęchłą uryną. Jednak do głowy nie wpadła mu żadna nowa myśl, więc wrócił do Ambrose'a cierpliwie czekającego przy aucie.

- Albo był tu już wcześniej kilka razy, albo, zanim podrzucił ciało, dokładnie rozeznał się w okolicy. Ale nie sposób powiedzieć, która opcja jest bardziej prawdopodobna. A jeśli był tu już wcześniej, nic nie wskazuje na to, że robił w tym miejscu coś zdróżnego. Mógł się tu zatrzymać po prostu, żeby się odlać albo uciąć sobie drzemkę.

- Zaglądamy tu każdej nocy i wypyujemy kierowców parkujących w zatoczce, czy nie widzieli czasem czegoś podejrzanego - poinformował Ambrose, dobrze wiedząc, że robią za mało.

Tony'emu podobało się w sierzancie to, że nie okazywał pogardy ani arogancji, na którą przeważnie narażeni byli profilerzy. Ambrose zdawał się człowiekiem ze stali, przyjmującym wszystko ze stoickim spokojem. Mówił mało, ale nie dlatego, że był za głupi, by się wysławić. Po prostu odzywał się tylko wtedy, gdy to konieczne, a dotychczas warto było

nadstawić ucha, by posłuchać tego, co miał do powiedzenia.

- Któż raczy wiedzieć, co banda tirowców może uznać za podejrzone - powiedział pod nosem Tony. - Ale podstawową kwestią jest miejsce porzucenia ciała. Wielce prawdopodobne, że zabójca nie pochodzi z Worcesteru, więc postawienie pod ścianą lokalnych podejrzanych, którzy pierwsi przychodzą wam do głowy, nic nie da.

- Skąd w ogóle pomysł, że to ktoś nietutejszy? - Ambrose wydawał się rzeczywiście zainteresowany wyjaśnieniem.

- Sądzę, że wasi mieszkańcy doskonale znają lepsze miejsca, w których można by porzucić ciało. Bardziej ustronne i rzadziej uczęszczane. Słowem: o wiele bezpieczniejsze dla zabójcy. A porzucenie ciała w tej zatoczce wiązało się ze stosunkowo wysokim ryzykiem. Myślę, że nawet jeśli wcześniej dokładnie zbadał zatoczkę, to po prostu z braku rozeznania w terenie wykorzystał pierwszą nadarżającą się okazję, by nie ryzykować zbyt długiej jazdy z ciałem na pokładzie.

- Brzmi sensownie.

- Staram się - skomentował cierpko Tony.

Ambrose szeroko się uśmiechnął, a z jego oblicza zniknęła dotychczasowa obojętność.

- Właśnie po to cię tu sprowadziliśmy.

- I to był wasz pierwszy błąd. - Tony odwrócił się i zaczął się ponownie przechadzać po zatoczce. Niby zabójca dokładnie wszystko planował. Poświęcił całe tygodnie na zabawę w podchody z Jennifer, aż w końcu pokłnęła haczyk. Pojmał ją, najwyraźniej unikając świadków i jakichkolwiek podejrzeń. Do tego, według Ambrose'a, na miejscu zbrodni nie pozostawił żadnych śladów, które mogłyby naprowadzić śledczych na jego trop. A jednak porzucił ciało na poboczu drogi, więc było mu wszystko jedno, gdzie ją znajdą.

- Może po prostu brakowało mu sił - zawołał do Ambrose'a. - I nie był w stanie zbyt daleko jej nieść. - Zbliżając się do sierżanta, ciągnął dalej: - Zwykle przypisujemy takim przestępcom ponadludzkie cechy, ponieważ się spodziewamy, że są wielkoludami. Ale przeważnie okazują się całkiem

przeciętni, jeśli chodzi o budowę ciała. No bo zobacz: ty nawet byś się nie spocił, niosąc czternastolatkę pod te drzewa, gdzie mogłaby leżeć tygodniami albo i miesiącami, zanim ktoś by się o nią potknął. Ale ja? Opadłbym z sił już po wywleczeniu jej z samochodu i przeniesieniu ciała parę metrów na pobocze. Może więc tak należałoby wyjaśnić tę pozorną sprzeczność w jego działaniach.

Był to najbardziej konstruktywny wniosek, jaki wyciągnął po obejrzeniu miejsca zbrodni. Miał nadzieję, że wpadnie na więcej po rozmowie z rodzicami ofiary, ale mogli się z nim spotkać dopiero za kilka godzin. Ojciec Jennifer zdecydował bowiem najwyraźniej, że musi spędzić trochę czasu w pracy, więc był osiągalny dopiero po czwartej. Gdyby było inaczej, Tony bez większego żalu odwołałby spotkanie z pośredniczką, z którą miał się zobaczyć już niedługo. Okazało się jednak, że nie będzie takiej potrzeby, bo oba spotkania ze sobą nie kolidowały. A właściwie - traf chciał, że ułożyły się jego grafiku idealnie po sobie. Jeśli Tony w końcu uwierzyłby w znaki i omeny, to musiałby przypisać ten zbieg okoliczności przeznaczeniu.

Ambrose podrzucił Tony'ego do hotelu. Sierżant myślał zapewne, że ten dziwak z Bradfield będzie ślęczał nad zeznaniami świadków, a nie siedział w ogrodzie różanym, czekając na pośredniczkę, która miała go oprowadzić po domu, teraz już zresztą będącym jego własnością. Takie zachowanie odbiegało od wszelkich przyjętych norm. Może i nie było tak szalone jak mordowanie nastolatki, ale nadal wciąż dalekie od normalności.

Tony mógł więc się tylko cieszyć, że Ambrose go teraz nie widzi.

## ROZDZIAŁ 13

Gdy dopadała ją chandra, Carol wyobrażała sobie, jaki najgorszy los mógłby jej zgotować James Blake. Awans. Ale nie taki, który pozwoliłby jej na prowadzenie zespołu do boju. Raczej taki, który przykułby ją do biurka, każąc bez sensu przejmować się polityką, podczas gdy wszystkie naprawdę ważne wydarzenia działałyby się gdzie indziej.

Jak na przykład w takich, na szczęście rzadkich, momentach jak dzisiaj, gdy jej zespół walczył na pierwszej linii, robiąc wszystko, by znaleźć zabójcę Daniela Morrisona, a ona siedziała beczynnio w swoim gabinecie, starając się zająć czymś ręce w oczekiwaniu na zakończenie sekcji zwłok chłopca. W takich chwilach zwykle próbowała uporać się z administracyjną i papierkową robotą. Ale akurat tego dnia miała na głowie o wiele pilniejsze sprawy.

Komenderowanie podwładnymi na pierwszej linii frontu nieustającej walki o rozwiązanie niewyjaśnionych spraw pozwoliło jej poszerzyć dostępny arsenał środków, którymi mogła się posłużyć w pracy. Zawsze dobrze sobie radziła z odkopywaniem szczegółów przeszłości ofiar i podejrzanych. Ale dopiero niedawno nauczyła się, jak właściwie spożytkować swoje „archeologiczne zacięcie” w sprawach sięgających czasów, które wykluczały posiłkowanie się przy „wykopaliskach” elektronicznymi wersjami archiwów i telefonicznych billingów. Czasów takich jak te, gdy Edmund Arthur Blythe mieszkał i przypuszczalnie pracował w Halifaksie. Zwykle to biblioteki stanowiły najbardziej obfite źródło informacji, często naprowadzające na wciąż żyjących ekspertów, którzy mogli wypełnić wszystkie białe plamy najdrobniejszymi szczegółami. Ale nie można było

zapominać o mniej znanych sposobach pozyskiwania informacji. A Carol miała akurat dostęp do najlepszego specjalisty w tym zakresie.

Stacey otaczało całe mnóstwo monitorów. Odgrodziła się od reszty zespołu istną barykadą, której fosę stanowił potok informacji. Zaczęła od dwóch monitorów, by szybko dołożyć kolejny. Teraz stało przed nią aż sześć, a ekran każdego z nich przedstawiał wyniki innego procesu w toku. Mimo że Stacey koncentrowała teraz swoje wysiłki na przefiltrowaniu zapisu kamer ze śródmieścia przez program potrafiący rozpoznać rysy twarzy, to uruchomiła również inne aplikacje, których funkcje były dla Carol wielką zagadką.

Gdy Stacey usłyszała kroki szefowej, podniosła wzrok znad klawiatury.

- Jak dotychczas dupa - wyjaśniła. - Niestety, obraz z tych kamer jest w niskiej rozdzielczości.

- Pozostaje nam uzbroić się w cierpliwość - odparła Carol. - Stacey, czy gdzieś w necie znajdę może stare książki telefoniczne? - Założyła się z samą sobą, że Stacey nawet nie zdziwi jej prośba.

- Pewnie - rzuciła, odwracając się do monitorów. Jej palce przeleciały po klawiaturze, a na jednym z wyświetlaczy pojawiła się jakaś mapa z migającym kursorem.

- A cóż to?

- Zależy, jak bardzo chcesz się cofnąć w czasie.

- Do wczesnych lat sześćdziesiątych.

Ręce Stacey na chwilę zatrzymały się nad klawiszami, po czym znów zaczęła coś wpisywać.

- Najlepiej będzie, jak poszukasz na stronach genealogicznych. Ich administratorzy zdigitalizowali wiele ogólnodostępnych informacji osobistych, takich jak książki telefoniczne, spis ulic, a nawet listę wyborców. Mają też bardzo przystępne narzędzia, bo ich grupą docelową są...

- Debile, tacy jak ja? - zapytała Carol z przesadną słodyczą w głosie.

Stacey pozwoliła sobie na niewielki uśmiezek.

- Chciałam powiedzieć: laicy. Wpisz w Google'a „stare książki

telefoniczne” i „przodkowie”, a może coś znajdziesz. Ale nie zapominaj, że wtedy większość nie miała telefonów, więc niewykluczone, że ci się nie poszczęści.

- Mogę jedynie trzymać kciuki - odpowiedziała Carol. Wiązała nadzieję z tym, że Blythe ni stąd, ni zowąd rozkręcił biznes w Worcesterze. Może nawet założył swą firmę jeszcze wtedy, gdy zalecał się do Vanessy.

Pół godziny później nie posiadała się z radości, gdy okazało się, że miała rację. Wystarczył rzut oka na ekran, gdzie czarno na białym w spisie firm z 1964 roku widniała nazwa: Blythe & S-ka, Specjalistyczna Obróbka Wykończeniowa Metali. Carol sprawdziła również rejestry z kilku poprzednich lat i kilku późniejszych. Okazało, że firma figurowała w nich tylko przez trzy lata. A więc gdy Blythe zniknął, firma przestała istnieć. Wyglądało na to, że zabrnęła w ślepy zaułek. Marne szanse, że zdołałaby dotrzeć do pracownika, którego Arthur zatrudniał czterdzieści pięć lat temu. Nie wspominając już o kimś, kto znał go na tyle dobrze, żeby pamiętać jeszcze jakieś szczegóły.

Jednak w swojej karierze stawiała czoło nie mniej beznadziejnym przypadkom. Najwyższy czas, by sprawdzić, co kryje się w bibliotecznym zbiorach. Szybko udało jej się znaleźć w internecie numer lokalnej biblioteki. Zadzwoiła tam z pytaniem, czy nie słyszeli czasem o jakimś miejscowym znawcy, który interesował się dziejami małych przedsiębiorstw w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku.

Najpierw Carol usłyszała w słuchawce wielokrotne „hm” i „ach”, potem przytłumioną rozmowę, w końcu wyraźny głos bibliotekarki:

- Sądymy, że powinna pani porozmawiać z niejakim Alanem Milesem. Jest emerytowanym nauczycielem stolarstwa, ale zawsze żywo interesował się historią tutejszego przemysłu. Chwilunia, załatwię pani jego numer.

Alan Miles odebrał dopiero po kilkunastu dzwonekach. Carol już miała się poddać, gdy nagle w słuchawce zabrzmiał pełen nieufności głos.

- Halo?

- Pan Alan Miles?

- A kto pyta? - Był to głos staruszka, w dodatku wyraźnie zgryźliwego. Super, właśnie tego mi trzeba, pomyślała.

- Nazywam się Carol Jordan. Jestem nadinspektorem w bradfieldzkiej policji.

- Policji? - Teraz wyraźnie słyszała w jego głosie niepokój. Nic nowego: większość ludzi na sam dźwięk tego słowa wpadała w popłoch, nawet ci, którzy nie mieli nic za uszami.

- Dostałam pana numer od jednej z pracownic biblioteki głównej w Halifaksie. Powiedziała mi, że być może będzie mi pan w stanie pomóc w pewnych badaniach środowiskowych.

- Jakich znowu badaniach? Ja przecie nie wiem nic o żadnych kryminałach. Przestępstwach, znaczy się. - Wyraźnie nie miał ochoty na dalszą rozmowę.

- Szukam informacji o człowieku imieniem Edmund Arthur Blythe, właścicielu firmy w Halifaksie, zajmującej się specjalistyczną obróbką wykończeniową metali we wczesnych latach sześćdziesiątych. W bibliotece polecili mi pana jako najlepszego eksperta w tej dziedzinie. - Carol starała się jak najbardziej przypochlebić się Milesowi.

- Ki diabeł? Znaczy, dlaczego pani pyta akurat o to?

Boże, chroń mnie przed podejrzliwymi staruszkami, pomyślała.

- Niestety, to zastrzeżona informacja. Ale mogę zdradzić choć tyle, że moja sekcja specjalizuje się w rozwiązywaniu niewyjaśnionych spraw.

Wszystko to było prawdą, jeśli nie całą prawdą i tylko prawdą.

- Nie przepadam za rozmowami przez to ustrojstwo - rzekł Miles. - Trudno ocenić intencje człowieka po drugiej stronie słuchawki. Gdyby zechciała więc pani przyjechać do Halifaksu, wtedy chętnie porozmawiam z panią w cztery oczy.

Carol przewróciła oczami i zdusiła westchnięcie.

- Czy to oznacza, że wie pan coś o firmie Blythe & S-ka?

- Tak się składa, że i owszem. Będę mógł pani pokazać kilka rzeczy i takie tam.

Carol się zastanowiła. W Bradfield wszystko było pod kontrolą. Nie mieli żadnych widoków na aresztowanie czy przesłuchanie. O ile patolodzy



podczas sekcji nie wykryją niczego niecodziennego, wieczorem mogłaby niepostrzeżenie zniknąć na kilka godzin.

- A ma pan jakieś plany na dziś wieczór? - zapytała.

- Dziś? - Chwilę się zastanawiał. - W takim razie zejdźmy się o siódmej przed dworcem w Halifaksie. Będę miał na sobie płowy płaszcz z kapturem i tweedową czapkę.

I odłożył słuchawkę. Carol spojrzała na telefon z lekkim niedowierzaniem, ale dostrzegła w tym nawet coś zabawnego, więc tylko uśmiechnęła się do siebie. Jeśli użeranie się ze zręczliwym staruszkim miało być ceną za dostęp do informacji o przeszłości ojca Tony'ego - o przepraszam, Arthura - to była gotowa ją zapłacić.

Gdy zjawił się Ambrose, by zawieźć go na spotkanie z rodzicami Jennifer Maidment, Tony z trudem ukrył ulgę. Po obejrzeniu w towarzystwie pośredniczki domu swojego ojca trudno mu było skupić uwagę na miejscu zbrodni, które wcześniej odwiedził. Wiedział, że mężczy go jakaś myśl związana z zabójcą, ale choć miał ją na końcu języka, nie potrafił odgadnąć, o co może chodzić. A im bardziej starał się myśleć o sprawie, tym częściej jego wyobraźnię atakowały obrazy zapamiętane z domu Arthura Blythe'a.

Najbliższe otoczenie niezwykle rzadko robiło jakiegokolwiek wrażenie na Tonym, a idea architektury wewnątrz nigdy nie zdołała zakorzenić się w jego świadomości. Tym bardziej onieśmielił się, gdy musiał szczerze przyznać się przed samym sobą, że zazdrościł Arthurowi tej willi. Tych gościnnych progów urządzonych z myślą o czymś więcej niż zwykłym komforcie życia. Tutaj czuć było domową atmosferę, jak gdyby te cztery ściany naturalnie wyrosły wokół stylu życia ich jedyne go domownika. Choć Tony sam by się do tego nie przyznał, to jednak poczuł ukłucie w sercu, uświadamiając sobie, że Arthur Blythe porzucił go na pastwę Vanessy i wymościł własne gniazdko, w którym wszystko zdawało się do siebie idealnie pasować. Czego nie mógłby powiedzieć o swoim mieszkaniu żaden inny człowiek. A z pewnością nie Tony. Bez wątplenia nie znał bowiem siebie aż tak dogłębnie jak ten mężczyzna, którego nigdy nie odważył się nazywać ojcem.

Dopiero pojawienie się Ambrose'a pozwoliło mu uwolnić się od natrętnych myśli. Ale nie na długo.

- Przywiozłeś te wydruki z RigMarole? - zapytał, jak tylko opadł na siedzenie. Gdy dowiedział się o ZZ, poprosił Ambrose'a, by wziął z sobą kopie zapisów rozmów, które udało im się odzyskać z dysku komputera Jennifer.

Ambrose zapatrzył się w przednią szybę.

- SzeF nie chce, żeby dokumenty wyszły poza biuro. Nie ma nic przeciwko temu, żebyś je przejrzał, ale musisz to zrobić na miejscu.

- Że jak? Czyżby mi nie ufał? Co niby jego zdaniem mógłbym z nimi zrobić?

- A bo ja wiem. Po prostu przekazuję ci jego słowa. - Ręce Ambrose'a były mocno zaciśnięte na kierownicy. Powietrze niemal wibrowało od jego zakłopotania.

- Nie obawia się przecież, że sprzedam te informacje bulwarówkom - głośno zastanawiał się Tony, bardziej poirytowany, niż wskazywałby na to okazany mu afront. - A więc zostaje kontrola. Patterson boi się stracić panowanie nad własnym śledztwem - ciągnął. Zamaszyście wyrzucił ręce do góry. - Nie mogę pracować w takich warunkach! Nie mam czasu ani ochoty, żeby walczyć z czyimiś kompleksami. Zrozum, Alvinie, że pracuję w pewien określony sposób. By robić swoje, potrzebuję skupienia, a ciągle zagładanie przez ramię nie pomoże mi zebrać myśli. Muszę być z dala od zgiełku, od tej całej bieganiny. Muszę dokładnie wczytać się w tę dokumentację i chciałbym to zrobić w sposób, który uznam za stosowny.

- Kapuję - odparł Ambrose. - Problem w tym, że inspektor Patterson nie jest przyzwyczajony do pracy z kimś takim jak ty.

- To niech się przyzwyczajają! - zżymał się Tony. - Może udałoby mi się go przekonać, gdyby w końcu zechciał się ze mną spotkać. Załatwisz to czy będą musiał zwrócić się z tym bezpośrednio do niego?

- Zostaw to mnie - wycedził Ambrose. - Zobaczę, co da się zrobić.

Resztę drogi spędzili w ciszy, a Tony starał się oczyścić umysł z wszelkich zbędnych myśli, które mogłyby utrudnić dotarcie do sedna sprawy

zabójstwa Jennifer. W tej chwili liczyło się tylko wydobyć jej rodziców z żałoby, w której się pograżyli, by mogli udzielić potrzebnych mu informacji.

Mężczyzna, który otworzył im drzwi, zdawał się równie wiotki i kruchy jak sucha trzcina. Ambrose przedstawił ich sobie, po czym weszli za Pauliem Maidmentem do salonu.

Tony słyszał często powtarzaną opinię, że ludzie reagowali na złe wieści w różny sposób. Chyba nie do końca się z tym zgadzał. Może i żałoba uzewnętrzniała się w odmiennych formach, ale gdyby dłużej się nad tym zastanowić, okazałoby się, że wszyscy pograżeni w smutku czuli, że ich życie uległo rozdarciu na dwie części. Lata przed stratą i te po stracie. Niczym nowy kalendarz, dwie nowe ery życia, czytelne rozgraniczenie. Niektórzy potrafili przejść nad stratą do porządku dziennego, inni zamykali na cztery spusty wspomnienia w odległych zakamarkach pamięci i spuszczały na to zasłonę milczenia, a niektórzy po prostu udawali, że wszystko jest po staremu. Ale nawet całe wieki później datowali wszystkie wydarzenia, używając momentu straty jako punktu odniesienia. „Twój tata jeszcze wtedy żył” albo „To wydarzyło się już po śmierci Margaret”. Wyraźna granica, jak między erą przed Chrystusem a tą po jego narodzinach. W sumie ten sposób chronologii również wiązał się ze stratą i żałobą, niezależnie od tego, czy uważałeś Jezusa za Syna Bożego, czy za zwykłego, acz charyzmatycznego proroka.

Przez lata praktyki w roli policyjnego psychologa Tony poznawał pograżone w żałobie rodziny ofiar zazwyczaj dopiero wtedy, gdy dzieliła ich od niego szeroka przepaść smutku. Rzadko miał dostęp do informacji na temat ich wcześniejszych losów, zanim ich życie uległo rozdarciu. Ale opierając się na zdobytej wiedzy, mógł zgadywać, co znajdowało się po drugiej stronie tej czeluści. Właśnie dzięki temu, że potrafił zrozumieć ich stratę, umiał też wczuć się w ich obecne położenie. A czuli się z pewnością jak podróżnicy zagubieni na nieznanym łądzie, usilnie próbujący znaleźć wyjście z sytuacji, lecz bez pomocy wskazującego właściwy kierunek kompasu.

Na pierwszy rzut oka Tony'emu zdawało się, że Paul Maidment postanowił oddzielić śmierć córki grubą kreską od reszty życia w zapomnieniu.

Ojciec Jennifer starał się za wszelką cenę trzymać raz podjętej decyzji niczym tonący ostatniej deski ratunku. Ale wygląda na to, że chwycił się brzytwy i za chwilę pójdzie na dno.

- Moja żona... zejdzie za chwilę - wycedził, rozglądając się dookoła, jakby widział ten pokój pierwszy raz w życiu i nie był pewny, jak się tu w ogóle znalazł.

- Wróciłeś dziś do pracy - zaczął Tony.

Maidment nie udawał zaskoczenia.

- No. Myślałem... Za dużo jest do zrobienia, żebym zostawił to komuś innemu. Interesy... nie idą za dobrze w tej chwili. A jeszcze by tego brakowało, żebyśmy stracili firmę, oprócz... - Zamilkł, zdekoncentrowany i przygnębiony.

- To nie twoja wina. Czy byłbyś w domu, czy nie, efekt byłby ten sam - zauważył Tony. - Ani ty, ani Tania nie macie sobie nic do zarzucenia.

Maidment spojrzał na Tony'ego.

- Jak może pan tak mówić?! Przecież cały czas się słyszy, że internet jest niebezpieczny dla nastolatków. Powinniśmy lepiej ją chronić!

- Nawet wtedy niczego by to nie zmieniło. Tacy „sieciami drapieżcy” uparcie dążą do celu. Nie mogliście zrobić nic, żeby temu zapobiec. Chyba że zamknęlibyście Jennifer w pokoju, odcinając ją całkowicie od świata. - Tony pochylił się, by zbliżyć się do Paula Maidmenta, nawiązując w ten sposób bardziej intymny kontakt. - Nie możecie się obwiniać.

- Nie możemy?! - Z tyłu doszedł go kobiecy głos, nieco bełkotliwy z powodu leków albo alkoholu. - Co pan może o tym wiedzieć, do kurwy nędzy?! Od razu widać, że nie stracił pan własnego dziecka!

Paul Maidment ukrył twarz w dłoniach. Jego żona przeszła na środek pokoju z nadmierną ostrożnością właściwą osobie, która dostatecznie panuje nad sobą, by wiedzieć, że jednak nie ma pełnej kontroli nad ciałem. Spojrzała na Tony'ego.

- Spec od psycholi od siedmiu boleści, ot co! Myślałam, że weźmie pan pod lupę tego skurwysyna, który zabił moją córeczkę, a nie nas!

- Nazywam się Tony Hill, pani Maidment. Jestem tu, by dowiedzieć się czegoś więcej o Jennifer.

- To trochę się pan spóźnił! - Opadła na pobliski fotel. Jej twarz przykrywała maska idealnie nałożonego makijażu, jednak włosy miała w nieładzie. - Trochę za późno, by poznać moje ukochane maleństwo. - Jej głos lekko zadrżał, mimo że starała się mówić bardzo wyraźnie.

- I bardzo nad tym ubolewam - odparł Tony. - Ale jednak chciałbym ją trochę poznać. Proszę ją opisać w kilku słowach.

Oczy Tani Maidment zaszyły mgłą.

- Piękna. Mądra. Uprzejma. Pewnie wszyscy rodzice to mówią o swoich zmarłych dzieciach, co nie? Ale Jennifer naprawdę taka była. Nie sprawiała kłopotów. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że „byłyśmy swoimi najlepszymi przyjaciółkami” albo że „byłyśmy jak siostry”, bo to wierutna bzdura. Po prostu byłam jej rodzicem, jej matką. Nie żyłyśmy jak pies z kotem, przynajmniej zazwyczaj. Zwykle mówiła mi, co robi i z kim się spotyka. Jeszcze dziewięć dni temu powiedziałabym panu z przekonaniem, że mówiła mi wszystko. Ale najwyraźniej tylko się łudziłam. Kto wie, może myłę się także w pozostałych kwestiach.

Pan Maidment podniósł głowę, a na jego policzkach zalśniły świeże łzy.

- Nie, nie, dobrze mówisz. Ale mógłbym dalej wymieniać. Takie dziecko jak Jennifer byłoby marzeniem każdego rodzica. Inteligentne, utalentowane, zabawne. I właśnie taka była. Córka jak marzenie ze snu. A teraz, gdy czar prysł, wolelibyśmy chyba, żeby to marzenie nigdy się nie ziściło.

Zapadła długa cisza. Tony'emu nie przyszło na myśl nic, co nie zabrzmiałoby jak banał. W końcu odezwał się Ambrose:

- Nie możemy przywrócić Jennifer do życia, ale robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby znaleźć jej zabójcę. Właśnie dlatego poprosiliśmy o pomoc doktora Hilla.

Tony podziękował mu w duchu - teraz miał przynajmniej punkt zaczepienia.

- Wiem, że już pewnie wspominała pani o tym policji, ale i tak chcę spytać... Co Jennifer mówiła o Rigu? Jaką miała opinię o tym serwisie? I co na nim robiła?

- Mówiła o tym bez przerwy - odpowiedziała matka. - Wie pan, jak to jest z nastolatkami, nie? „Mamo, przecież wszyscy mają...” coś tam. Pytasz się innych rodziców i okazuje się, że nikt tego nie ma, ale i wszystkie dzieciaki kapryszą, by to dostać. No i Jennifer wierciła nam dziurę w brzuchu właśnie o własne konto na RigMarole. Podobnie jak Claire swoim rodzicom. Naradziłam się z jej mamą, a potem rozmówiliśmy się z dziewczynkami. Pozwoliłyśmy im założyć własne konta, ale pod warunkiem, że zainstalują wszystkie niezbędne zapory.

- Co zresztą zrobiły - dopowiedział z przekąsem pan Maidment. - Ale korzystały z nich tylko przez kilka dni. Do czasu, aż przekonaliśmy się, że są wystarczająco odpowiedzialne. Tak nam się przynajmniej wydawało.

- Były odpowiedzialne na swój własny sposób, Paul - wzięła się Tania. - Po prostu nie rozumiały zagrożeń. Tak to już jest w ich wieku. Za nic masz ryzyko. - Głos jej się załamał i zadrżał, zamierając, jakby Tania zakrzuszyła się kawałkiem precla.

- Czy wspominała kiedykolwiek o czymś, co sprawiało, że czuła się na Rigu nieswojo?

Maidmentowie zgodnie pokręcili głowami.

- Bezkrtycznie uwielbiała ten serwis - powiedział Paul. - Mówiła, że Rig był tak jakby oknem na świat dla niej i Claire. A my, oczywiście, zakładaliśmy, że to plus.

- Czy kiedykolwiek wcześniej spotkała się na żywo z kimś poznanym przez internet?

Paul pokręcił głową, ale Tania przytaknęła.

- Nigdy o tym nie wspominałaś! - zaperzył się, a w jego głosie po-brzmiewało wyraźne oskarżenie.

- Bo właściwie nie było o czym. Nie widziałam w tym niczego zdrożnego - odparła Tania. - Razem z Claire spotkały się z dwiema dziewczynami z Solihull\*. Spędziły z nimi popołudnie na zakupach w birminghamskim Selfridges\*\*.

\* Średniej wielkości miasto w hrabstwie West Midlands, położone ok. 15 km od Birmingham.

\*\* Duża sieć brytyjskich ekskluzywnych domów towarowych.

Wcześniej zresztą porozumiałam się z matką jednej z tych dziewczyn. Jennifer mówiła mi potem, że dobrze się bawiły i że muszą to kiedyś powtórzyć.

- Kiedy to było? - zapytał Tony.

- Jakieś trzy miesiące temu.

- I były tylko we cztery? Jest pani pewna?

- Oczywiście. Dziś nawet zapytałam o to Claire. Kiedy zaczęliście drążyć temat RigMarole. Zarzekała się, że nie było z nimi nikogo innego.

Tyle że ktoś, kto znałby się jak własną kieszeń, mógł niepostrzeżenie dołączyć do czatu i poznać dokładny plan spotkania. Niewykluczone więc, że w ich wypadzie brał udział „pasażer” na gapę. Jednak Tony uznał tę myśl za zbyt okrutną, by wypowiedzieć ją na głos. Odpowiedział za to:

- Z tego, co słyszę, wynika, że Jennifer była bardzo rozsądna.

- Oj, była - jęknęła cicho Tania, a jej palce zaczęły gładzić oparcie fotela, jak gdyby głaskała włosy swojej córki. - Ale nie takim banalnym wzorem cnót wszelakich. Miała swój temperament. Wiedziała jednak, że świat bywa niebezpieczny. - Skrzywiła się. - Była dla nas prawdziwym skarbem. W końcu to nasze jedyne dziecko. Sama nauczyłam ją, że czasem warto być ostrożnym.

- Doskonale rozumiem - odparł Tony. - Tym bardziej zastanawia mnie, co ją podkusiło do tego sekretnego spotkania. Dlaczego tak nierozsądnie zgodziła się zobaczyć z nieznajomym? Co stanowiło tak wielką pokusę, że aż musiała okłamać swoją najlepszą koleżankę? Znaczący, przecież wszyscy oszukujemy czasem naszych rodziców, nic nowego. Ale nastolatki nie okłamują swoich najlepszych kumpli bez ważnego powodu. I w głowę zachodzę, o co mogło chodzić w tym przypadku. Czy Jennifer pragnęła czegoś, czegokolwiek, tak bardzo, że byłaby w stanie zapomnieć całkowicie o rozsądku i ostrożności?

Maidmentowie popatrzyli na siebie, na ich twarzach pojawił się wyraz zakłopotania.

- Nic takiego nie przychodzi mi do głowy - odezwała się Tania.

- Może chodziło o jakiegoś chłopaka? Mogła się w kimś podkochiwać?

W kimś, kto by ją przekonał, żeby trzymała ich związek w tajemnicy?

- Z pewnością powiedziałyby o tym Claire - odparła z przekonaniem Tania. - Wiem, że rozmawiały o chłopakach, którzy im się podobali. Dzięki temu nie łamały złożonej sobie obietnicy.

Zapewne miała rację, pomyślał. Opisane przez Tanie Maidment zachowanie było typowym sposobem postępowania kobiet, a szczególnie nastolatek. Podniósł się z siedziska. Niczego więcej nie mógł wskórać. Policja przetrząsnęła już pokój Jennifer, więc zbyt wiele się tam zmieniło, by mógł teraz znaleźć w nim jakąś wskazówkę.

- Jeśli przyjdzie wam do głowy coś jeszcze, proszę do mnie zadzwonić - powiedział, wręczając Paulowi Maidmentowi wizytówkę, na której widniał numer komórki. - Proszę dzwonić też, jeśli po prostu chcielibyście porozmawiać o Jennifer. Z miłą chęcią was wysłucham.

Maidmentowie wydawali się zdziwieni, że rozmowa zakończyła się tak szybko i niespodziewanie. Tony pomyślał, że pewnie liczyli, że będzie bardziej wylewny i przez dłuższą chwilę połączy się z nimi w bólu. Ale po co miały to robić? Nie mógł ich pocieszyć, nawet gdyby tego właśnie od niego oczekiwali.

Tania Maidment najwyraźniej nie miała zamiaru położyć uszu po sobie.

- Tylko tyle?! - wrzasnęła. - Poświęcił nam pan pięć minut swego cennego czasu i zabiera dupę w troki? Jak, do cholery, mógł pan się dowiedzieć czegokolwiek o mojej córce w tak krótkim czasie?!

Tony aż oniemiał. Ludzie od niedawna pogrążeni w żałobie, którzy chcieli się na kimś wyżyć, zazwyczaj obierali za cel policję, a nie jego. Przyzwyczaił się raczej do tego, że tylko pocieszał Carol po takich atakach, a nie sam musiał się przed nimi bronić.

- Jestem psychologiem nie od dziś - odpowiedział w końcu, starając się, by jego słowa nie zabrzmiały zbyt asekuracyjnie. - Mam zamiar porozmawiać jeszcze z jej przyjaciółką Claire. I przejrzeć jej mejle. Państwo są tylko jednym z elementów układanki.

Tania wyglądała, jakby ktoś uderzył ją obuchem. Wydała z siebie dźwięk, który kiedy indziej może i przypominałby pogardliwe parsknięcie.



- A więc tym jestem dla pana?! Zwykłym puzzlem?!

- Przepraszam - przerwał jej Tony.

Gdyby został tu dłużej, tylko wciąż rozdrapywałby rany Maidmentów. Nic tu po nim, gdzie indziej mógłby im się przysłużyć znacznie bardziej. Skinąwszy głową, opuścił więc pokój, zostawiając Ambrose'a, żeby po nim pozamiatał.

Alvin dogonił go w połowie drogi do auta.

- Nieźleś namieszal, doktorku - skomentował. - Głowę daję, że pomyśleli, że Królowa Śniegu stopiłaby się przy tobie z zazdrości.

- Nie lubię strześcić na darmo języka. Powiedziałem, co musiałem. Teraz mają się nad czym głowić. Może nawet dzięki temu błysnie im jakaś nowa myśl. Moje metody mogą się czasem wydać barbarzyńskie, ale są skuteczne. Jutro chciałbym porozmawiać z Claire. Niewykluczone, że Jennifer jednak coś jej napomknęła o tym tajemniczym spotkaniu. - Uśmiechnął się szyderczo. - Będę grzeczny, obiecuję.

- A co zamierzasz przez resztę dzisiejszego dnia? - zapytał Ambrose.

- Chcę przeczytać korespondencję, którą wyciągnęliście z jej komputera. Może więc podrzuciłbyś mnie do hotelu i przywiózł mi wszystkie dokumenty, jak tylko przekonasz szefa, że jego inwestycja zwróci się dopiero wtedy, gdy pozwoli mi pracować na moich warunkach, hm? - Gdy zdał sobie sprawę, jak obcesowo musiały zabrzmieć jego słowa, dotknął ramienia Ambrose'a. Wciąż zbyt często zdarzało mu się wypadać z roli i pokazywać, że jest tylko namiastką normalnego człowieka. - Naprawdę doceniam twoją pomoc w tej sprawie. Niełatwo jest wytłumaczyć, na czym polega moja praca. W skrócie, muszę próbować wejść w obcą skórę. Wierz mi, że nie chciałbyś być w pobliżu, gdy to robię.

Ambrose przesunął ręką po swojej gładkiej głowie, a oczy wyrażały zmartwienie.

- Nie dziwię się. Tak z ręką na sercu, to dostaję gęsiej skórki na samą myśl. Całe szczęście, że to ty się tym parasz.

Jakby było się z czego cieszyć. Tony spojrzał na dom Maidmentów,

zastanawiając się, co za popapraniec zdecydował się zniszczyć im życie. Wkrótce miał spróbować poszukać odpowiedzi na to pytanie, zanurzając się po uszy w pokręconym umyśle zabójcy Jennifer. I nie czekał na ten moment z utęsknieniem. Tęsknił raczej za Carol Jordan i żałował, że nie ma jej teraz u jego boku. Aż zrobiło mu się słabo.

Odwrócił się do Ambrose'a.

- Ktoś musi.

## ROZDZIAŁ 14

Kolejny wyrostek opuścił luzackim krokiem niewielki pokój, który władze szkoły przydzieliły śledczym do prowadzenia rozmów z uczniami.

- Ty też się tak zachowywałaś, gdy miałaś czternaście lat? - Paula zapytała Kevina.

- Żartujesz? Matka spuściłaby mi niezłe manto, gdybym choć spróbował odezwać się do dorosłego tak jak te smarki. Trudno powiedzieć, czy to kwestia pokoleniowa, czy raczej klasowa. Nawet dzieciaki z rodzin robotniczych pozują teraz na luzaków. Ale z tymi matołami jest jeszcze gorzej. Sam już nie wiem, czy to rozwyrzenie, czy co, ale jedno jest pewne: czyniąją mnie wkurzać.

Paula doskonale rozumiała, co Kevin miał na myśli. Już nieraz wysłano ją do szkół, w których zadźgano jednego z uczniów; które dotknęła nagła tragedia, zdawałoby się - zupełnie zaskakująca i niemal niewytłumaczalna. Czuła przez skórę atmosferę ciężkiego szoku, która przepęniała szkolne korytarze. Widziała niepokój na twarzach nastolatków zastanawiających się, czy czasem nie będą następni w kolejce do śmierci. Słyszała w ich słowach lęk, który próbowali ukryć pod maską lekceważenia.

Ale w tej szkole było zupełnie inaczej. Zupełnie jakby śmierć Daniela wydarzyła się za górami, za lasami i obchodziła jego rówieśników tyle, co głupia plotka albo mało realne zagrożenie, przed którym ostrzegali ich rodzice. Jediną osobą, która w ogóle przejęła się złymi wieściami, był wychowawca klasy Daniela. Nawet dyrektor szkoły imienia Williama Thackeraya przyjął wiadomość o śmierci jednego z uczniów niczym człowiek

odpędzający od siebie natrętą muchę.

- Jeśli dorobię się kiedyś dzieci, to z pewnością nie poślę ich do tej szkoły - skomentowała.

- A planujesz? Mam na myśli potomstwo. - Kevin przekrzywił głowę na bok i wlepił w nią wzrok.

Paula parsknęła.

- Nie ma to jak palnąć z grubej rury, co, sierżancie? Tak szczerze to zawsze miałam w nosie tykanie biologicznego zegara. A jak tobie podoba się zabawa w tatusia?

Kevin wyraźnie zaskoczyło to, że Paula odbiła piłeczkę w jego stronę.

- Najlepsze, co mogło mnie w życiu spotkać. I zarazem najgorsze - powiedział powoli. - Kocham swoje dzieci, a szczególnie Ruby, całym sercem, bezwarunkowo i nic tego nie zmieni. Ale jest też druga strona medalu: obawa przed ich utratą. Nie znoszę takich spraw jak ta. Serce mnie boli, gdy widzę, jak rodzice grzebią własne dzieci.

Zwierzzenia Kevina przerwało pukanie do drzwi. Do środka wszedł kolejny nastolatek, nawet nie czekając na zaproszenie. Szczupły i ciemny, był z pewnością niższy o parę centymetrów od pozostałych chłopaków, których mieli okazję zobaczyć tego ranka. Miał gładką skórę koloru prażonych migdałów, gęstą czuprynę błyszczących ciemnych włosów, nos przypominający dziób wikińskich drakkarów oraz małe, okrągłe, krwistoczerwone usta. Słowem: dziwaczne rysy, które przyciągały uwagę.

- Jestem Asif Khan - wycedził, opadając na krzesło. Włożył ręce do kieszeni i wyciągnął nogi przed siebie, krzyżując je w kostkach.

- A wy to pewnie psiarnia.

Znowu się zaczyna. Kevin przedstawił siebie i Paulę, po czym od razu przeszedł do meritum.

- Widzę, że nie muszę ci tłumaczyć, dlaczego się tu znalazłeś. Przyjaźniłeś się może z Danielem? - Nie robił sobie zbyt wielkich nadziei, gdyż zdążyli już przepytąć pierwszych sześciu przysłanych im chłopaków, których nauczyciele wytypowali jako bliskich kolegów Daniela. Do tej pory zadawali te same pytania ósmiu albo dziewięciu kolejnym, ale wszyscy

przyznali się co najwyżej do tego, że kojarzyli go z widzenia.

- Przecie to był mój ziom, nie? - rzucił niedbale Asif.

Paula pochyliła się, zbliżając twarz do chłopaka.

- Dobrze ci radzę, zmień gadkę, Asif. Uczysz się w prestiżowym Williamie Thackerayu, a nie w Kenton Vale. Twój ojciec jest lekarzem, a nie straganiarzem. Skończ więc z tą grypsersą spod budki z piwem. Gadaj z nami normalnie, z szacunkiem, albo weźmiemy cię na spytki na komisariacie. I wtedy pogawędzimy inaczej. Nasz teren, nasze zasady. Wybieraj.

Asif wybałuszył oczy w osłupieniu.

- Nie wolno wam tak do mnie mówić! Jestem nieletni, więc przy naszej rozmowie powinien być obecny jakiś dorosły. Gadamy z wami tylko dlatego, że szkoła uważa, iż tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Paula wzruszyła ramionami.

- Jak dla mnie to możemy zaciągnąć na posterunek również i twojego ojca. Wtedy zobaczymy, czy nadal będziesz zgrywał takiego chojraka.

Asif patrzył przez kilka chwil w oczy Pauli, po czym przekręcił się w krzesło, odwracając się bokiem do śledczych.

- No dobra, dobra - wymamrotał. - Byliście kumplami.

- To chyba będziesz pierwszym, który się do tego przyznał - powiedział Kevin, a Paula oparła się z powrotem o krzesło.

- Nie zadawałem się z tą bandą fagasów, z którą trzymał Daniel, jeśli o to pytasz. Robiliśmy z Danielem zupełnie inne rzeczy.

- Na przykład co? - zapytał Kevin, a przez myśl przemknęły mu różne możliwości.

Asif wyprostował nogi i podwinął je pod krzesło.

- Skecze - wycodził wyraźnie zażenowany. Powiercił się na krzesło. - Nam obu marzyła się kariera komika, pasi?

Jeden z pozostałych chłopaków wspomniął co prawda o zainteresowaniu Daniela komediami, ale nie napomknął, że jego ambicje sięgały znacznie wyżej.

- Całkiem szalony pomysł - zauważyła Paula. - Założę się, że nie ma tego w planie zajęć.

Cień uśmiechu zamigotał w oczach Asifa.

- Ale tylko dopóki nie dostaniemy własnego programu w BBC3\* i nie zyskamy uznania widzów i krytyków - odparł. - Wtedy inne dzieciaki będą chciały pójść w nasze ślady i buda będzie musiała podrasować program kółka teatralnego.

\* BBC3 nadaje popularne w Wielkiej Brytanii seriale komediowe, np. wspomniane wcześniej: „Mała Brytania” oraz „Gavin i Stacey”.

- A jak w ogóle się zorientowaliście, że macie podobne zainteresowania? - zapytał Kevin.

- Mój kuzyn... jest menedżerem miejscowego klubu. Raz na miesiąc organizują wieczorki komediowe dla dorosłych. I on... wpuszcza mnie do środka, choć nie powinien. No więc, wybierałem się tam pewnego wieczoru i co? Widzę Daniela wyklócającego się z bramkarzem. Próbował go przekonać, że ma osiemnaście lat. Bez szans, nawet z lewym dowodem. Pytam się go więc, o co biega, a on na to, że dziś ma wystąpić jakiś gościu, którego słyszał w radio, i koniecznie chce zobaczyć jego skecz na żywo. Namówiłem więc mojego kuzyna, żeby go wpuścił, pogadaliśmy sobie i właśnie wtedy się okazało, że Daniel jest totalnie nakręcony na karierę komika. I tak się zaczęło. Zaczęliśmy się spotykać u mnie co kilka tygodni, prezentując sobie nawzajem nasze scenki. - Przeciągnął ręką po twarzy. - Był nawet całkiem zabawny. Napisał taki jeden świetny skecz o dorosłych, którzy próbują tak jakby skumać się z dziećmi. No i miał, że tak powiem, właściwą aparycję. - Pokręcił głową. - Szkoda faceta.

- Według naszych ustaleń we wtorek po szkole Daniel prawdopodobnie znalazł się w Temple Fields. Wspominał ci może, że ma się tam z kimś spotkać?

Asif zmarszczył brwi.

- Nie.

- Słyszę niepewność w twoim głosie.

- Nie napomknął o żadnym konkretnym spotkaniu - wytłumaczył Asif.

- Ale gdy ostatni raz się umówiliśmy u mnie, w zeszłym tygodniu, mówił, że poznał w necie jakiegoś typa, który miał zamiar przygotować audycję radiową promującą nowe młode talenty komediowe. Jak te dzieciaki,

które są za młode, by występować na scenach dorosłych klubów. - Wzruszył ramionami. - Takie jak my. Zapytałem więc, czy może wciągnąć i mnie. Powiedział, że spoko, ale chciał najpierw spotkać się z tym gościem, żeby obczaić, z czym to się je. Nagle zaczął wyglądać jak siedem nieszczęść. - Trochę się wkurzyłem, bo myślałem, że może chce mnie wykiwać i tak jakby samemu zgarnąć wszystkie kokosy. Ale powiedział, że nie, to nie tak, byliśmy przecież kumplami i wciąż wisiał mi za załatwienie wstępu do tamtego klubu. Mówił, że chciał po prostu najpierw wy badać sytuację, sprawdzić co i jak, a dopiero potem mnie w to wkręcić. - Nagle jakby go oświeciło, wybałuszył oczy. - Kurczę. Myślicie, że to mogło mieć jakiś związek z jego śmiercią?

- Za wcześnie na takie wnioski - odpowiedział pospiesznie Kevin. - Na tym etapie śledztwa nie wiemy jeszcze, co może być istotne. Ale każda informacja o tym znajomym Daniela z pewnością by nam się przydała. Wiesz może, jak się poznali?

Asif przytaknął.

- Na Rigu. No wiecie, na tym portalu społecznościowym. Obaj byli członkami mosh pitu\* „Gavin i Stacey”. Po waszemu, takiego jakby fan-klubu. Kręciło ich wiele podobnych rzeczy, więc zaczęli rozmawiać na privie, na prywatnym czacie czyli. I wtedy okazało się, że koleś robi w mediach.

\* Ang. Mosh pit to miejsce przed sceną koncertu m.in. rockowego lub punkowego, w którym publiczność angażuje się w rodzaj agresywnego grupowego „tańca”, pokrewnego pogo; na RigMarole odpowiednik grup dyskusyjnych.

- Czy Daniel wspominał może, jak się nazywa ten człowiek?

- Nie. I między innymi to mnie wkurzało. Nie chciał mi nawet zdradzić, kim jest ten gościu. Podobno koleś nie chciał rozgłaszać na prawo i lewo, że przygotowuje tę audycję, żeby nie zapeszyć. Nigdy więc się nie dowiedziałem, jak się nazywa. Wiem tyle, że robi programy dla BBC w Manchesterze. Podobno - dodał.

- Miałeś wątpliwości? - zapytał Kevin.

- Po prostu ten kolo trochę dziwnie podchodził do sprawy - odpowiedział. - Znaczy, przecież nawet nie widział na własne oczy żadnego skeczu

Daniela. Jaką miał więc pewność, że ten w ogóle poradzi sobie na scenie? Ale Danielowi nie wytłumaczysz. Jak sobie coś ubzdura, to gadaj zdrów.

- Czy Daniel wspominał, gdzie się mieli spotkać? Albo kiedy? - dopytywał Kevin.

- Już mówiłem. Dla niego to całe spotkanie było tajne przez poufne. Nie chciał zdradzić nawet najdrobniejszego szczegółu. Powiedziałem wam już wszystko, co wiem.

Paula pomyślała, że zawsze to jakiś początek. Niezbyt obiecujący, ale lepsze to niż nic.

Ambrose nieco się podbudował, gdy wszedł do gabinetu Pattersona i zobaczył swojego szefa sam na sam z Garym Harcupem. Na razie pomoc tego dziwnego pokurcza z Bradfield nie napawała optymizmem, a Ambrose nie palił się do tego, by podkoloryzować fakty. Ale obecność Gary'ego przynajmniej nieco odwróci uwagę Pattersona. Kto wie, może nawet Gary rzuci im coś na pożarcie.

Wystarczyło jedno spojrzenie na Pattersona, by pojąć, że ten człowiek desperacko potrzebuje dobrych wieści. I to najlepiej na wczoraj. Wyglądał blado i mizernie, jego powieki były ciężkie, oczy podkrążone, a włosy - sztywne i przetłuszczone. Zawsze tak wyglądał, gdy sprawa nie posuwała się odpowiednio szybko. Patterson przejmował na siebie całą presję i wszystkie trudy aż do momentu, gdy zdawało się, że za chwilę wybuchnie. Wtedy raptem zaskakiwał mu jakiś trybik, w głowie błyskała mu pewna myśl, otwierało się przed nim morze nowych możliwości i nagle przysłowiowa szklanka wydawała mu się do połowy pełna, a on sam odzyskiwał pewność siebie. Wystarczyło poczekać.

- Wejdz - powiedział Patterson, wskazując Ambrose'owi krzesło. - Gary sam dopiero co przyszedł.

Ambrose skinął głową w kierunku Gary'ego, wyglądającego tak samo niechlujnie jak zawsze. Włosy w nieładzie, pomięta koszulka, a do brody przyczepił się jakiś nieznaną obiekt, któremu Ambrose nie miał jednak zamiaru bliżej się przyglądać. Na pierwszy rzut oka Gary nie wzbudzał większego zaufania. Ale dotychczas przysłużył im się już tyle razy, że



Ambrose doskonale wiedział, że pozory mylą. Może więc powinien się chwilowo wstrzymać z oceną Tony'ego Hilla. I nie wyciągać pochopnych wniosków tylko dlatego, że podejście tego gościa do pracy wydawało się trochę niecodzienne. Zobaczymy, może uda mu się coś wskórać, tak jak Gary'emu.

- W porządku, Gary? - rzucił Ambrose.

Ten przytaknął tak energicznie, że brzuch zatrzęsł mu się jak galareta.

- W porządku, Alvinie. Wszystko gra.

- Co tam dla nas masz? - zapytał Patterson. Oparł się o krzesło i zaczął delikatnie stukać ołówkiem w biurko.

Gary wyjął z plecaka parę przezroczystych koszulek, z których każda zawierała po kilka kartek.

- Trochę groch z kapustą. Ale to... - Poklepał pierwszą koszulkę. - To jest lista maszyn, które udało mi się zidentyfikować. Czyli jakąś połowę. Reszta co najmniej raz zmieniła właścicieli, więc szukaj wiatru w polu.

Patterson wyjął kartki ze wskazanej koszulki i zaczął przeglądać pierwszą stronę. Kiedy skończył, przekazał ją do wglądu Ambrose'owi. Zapoznanie się z listą siedemnastu komputerów, które udało się znaleźć Gary'emu, nie trwało długo. Widniały na niej kafejki internetowe, biblioteki publiczne, a nawet jedno lotnisko.

- Czego tu nie ma - zauważył Patterson. - Worcester, Solihull, Birmingham, Dudley, Wolverhampton, Telford, Stafford, Cannock, Stoke, Stone, Holmes Chapel, Knutsford, Stockport, lotnisko w Manchesterze, Oldham, Bradford, Leeds...\*

\* Miejscowości w środkowej i północnej Anglii, gł. w obrębie historycznego regionu Midlands, którego zachodnia część stanowi obszar jurysdykcji oddziału komisarza Pattersona.

- Trochę minąłem się z prawdą, twierdząc wcześniej, że poszukiwany za każdym razem korzystał z innego komputera - wyjaśnił Gary. - Gdy jeszcze raz sprawdziłem dokładnie wszystkie dostępne nam wiadomości, okazało się, że niektóre pochodziły z tych samych maszyn. Ten ZZ

dwukrotnie korzystał z komputerów w Worcesterze, Bradfield i Stoke. Trzykrotnie z tych na manchesterskim lotnisku. Ale do tych maszyn ma dostęp praktycznie każdy.

- Pasuje jak ułał do sieci autostrad - zauważył Ambrose, a drogi poczęły rozgałęziać się w jego wyobraźni niczym żyły na przedramieniu. - M5, M42, M6, M60 i M62. Do wszystkich tych miejscowości można bez trudu zjechać z autostrady. Jeśli czał się na Jennifer, to Worcester było jego ostatnim przystankiem. - Spojrzał w górę, a oczy zaświeciły mu niczym żarówka rozpalająca się nowym pomysłem. - A pierwszym byłoby wtedy Leeds. Może tam należałoby go szukać.

- Chyba że właśnie tam mieszka jego następna ofiara - podpowiedział Patterson. - Trzy razy korzystał z komputerów na lotnisku w Manchesterze. Może więc tam ma najbliżej z domu. Alvin, przekaz wszystkie ustalenia naszemu profilerowi i zobaczmy, co on na to. Czy oni czasem nie mają takiego programu komputerowego do określania miejsca zamieszkania przestępców? Coś mi się kojarzy, że Amerykanie posiłkowali się czymś takim, szukając tej pary snajperów w Waszyngtonie\*.

\* W okolicach Waszyngtonu w październiku 2002 John Allen Muhammad i nieletni Lee Boy Malvo postrzelili 15 osób, w tym 10 śmiertelnie; pierwszego z nich skazano na karę śmierci (wykonaną w listopadzie 2009), drugiego - na wielokrotne dożywotnie więzienie bez możliwości przedterminowego zwolnienia.

Gary nie ukrywał zwątpienia.

- Nie wiem, czy w naszym przypadku analiza geograficzna ma jakiś sens. Weź też pod uwagę, że to dość wąska specjalizacja.

Gwałtownie pobudzony Patterson wyprostował się na krześle i wskazał ręką kartki.

- Alvin, wprowadź go w temat, niech rzuci na to okiem. W końcu za to mu płacimy.

Ambrose miał odpowiedź na końcu języka, ale ugryzł się w niego, gdy zdał sobie sprawę, że nie był to właściwy moment, by podnieść kwestię

żądań doktora Hilla w sprawie swobodnego dostępu do dokumentacji. Musiał poczekać, aż Gary się wyniesie.

- A co jest w tej drugiej koszulce, Gary? - zapytał.

- Tu mam, niestety, gorsze nowiny - odparł Gary, kładąc na biurku drugi plik kartek. A raczej pliczek. - Ale zanim do tego przejdę, chciałbym wspomnieć jeszcze o jednej kwestii, którą zbadalem. Pomyślałem sobie, że skoro ZZ używał Rigu do kontaktów z Jennifer, to na bank musiał mieć własną stronę na tym portalu. Okazało się, że tak było w istocie, ale zdjął ją ze swojego profilu około czwartej tego samego popołudnia, gdy zaginęła Jennifer. Wygląda więc na to, że zacierał ślady.

- A możemy jakoś dobrać się do zawartości tej strony?

Gary wzruszył ramionami.

- Musiałbyś skontaktować się z właścicielami portalu. Ale wątpię, żeby udzielili ci takich informacji bez nakazu. A i bez tego zostaje jeszcze ta cała kwestia ochrony danych. Bo oni właściwie nie mają praw do informacji osobistych, które ludzie tam zamieszczają. Po tym jak Facebook wpakował się w tę kabałę z prawami własności do zawartości stron ich użytkowników, wszystkie portale społecznościowe przezornie odgrodziły się od swoich klientów prawdziwym chińskim murem. Jeśli więc nawet zostały jakieś dane na serwerze RigMarole, możesz się do nich nie dostać nawet z nakazem w rękę. Chyba że masz ochotę użerać się z ich prawnikami.

- Chyba powariowali! - zaperzył się Patterson.

- Takie życie. Właściciele tych portali nie chcą uchodzić za policyjne popychadła. Nawet sobie nie wyobrażacie, co się tam wyprawia na ich stronach. Gdybyście mogli tak po prostu wparować do środka i wziąć, co wam się żywnie podoba, w ciągu jakichś pięciu minut wszyscy użytkownicy zwinęliby swoje manatki.

- Skaranie boskie! - wymamrotał Patterson. - Można by pomyśleć, że ci goście chcą właściwie zachęcić morderców i pedofilów do korzystania z ich usług.

- Pod warunkiem że mają ważne karty kredytowe i robią zakupy przez sieć - zaironizował Ambrose. - Ale i tak dzięki, Gary. Porozmawiam z tymi

od Rigu i zobaczę, co da się zrobić. Powiedz lepiej, co z tymi fragmentami plików, które znalazłeś na „twardzielu” ofiary?

- Udało mi się odtworzyć część ostatniej rozmowy między Jennifer a ZZ. Tej, którą wykasowała. To tylko fragment, ale zawsze coś. Tu macie dwie kopie - dodał.

I pliczek stał się... „plicuszkiem”? Ambrose wziął dwie kartki przekazane przez Pattersona.

ZZ: ...dla... gadać ze mna... na privie tu & tera...

Jeni: ok. achcesh byc...

ZZ:...akmowil... WIELKI sekr...

Jeni: nie mam

ZZ: nie wiesz...

Jeni: ...ic nie kuma...

ZZ: ...łamiesz...

Jeni: ...ak...ie twój inte...

ZZ: bo wiem, g... shukac...ryte... ejsca...ormacje... a ty nie...

Jeni: ...emu bajerujesz?

ZZ: bO kied... le to prawd... sama zob...

Jeni: ...owiedz O co bieg...

ZZ: gotowa?

Jeni: po co t... ala tajemnica?

ZZ: twój... jesteś napraw...

Jeni: ...ieprzyło ciel

ZZ: mam dowo...

Jeni: KŁAMIESZ

ZZ: ...ajmy sie jutr...w...ka.....owiem, poka...

Jeni: dla... i wierzyć?

ZZ: bo musimy sie... 30 w k...ie mow nik...

Jeni: ...ede.le to jakaś ściema to...

Patterson zmarszczył brwi.

- Aż oczy bołą, jak się to czyta - zauważył. - To w ogóle po ludzku? Daję głowę, że wygląda jak rozmowa kosmitów.

- Bo trochę tak jest. To się nazywa język SMS-ów. Twoja Lily mogłaby

to jednak czytać tak sprawnie jak ty normalną gazetę - odpowiedział Ambrose. - Tak w skrócie, to ZZ mówi, że zna jakiś wielki sekret Jeni. Wspomina o czymś, co ją wkurza. Odpowiada więc, że go popieprzyło, i krzyczy, że jest kłamcą. Właśnie to oznaczają te duże litery, na czacie znaczy to tyle, co podniesienie głosu.

- Dom wariatów - wymamrotał Patterson.

- Dalej, o ile dobrze odczytuję, ZZ mówi, że powinni się jutro spotkać. Podaje czas i miejsce oraz przestrzega ją, żeby nikomu o tym nie mówiła. Ona na to, że się zjawi, ale lepiej, żeby to nie była jakaś wierutna bzdura - podsumował Gary.

- Gdzie więc mieli się spotkać? - zapytał Patterson, poczerwieniały z bezsilnej złości.

Gary wzruszył ramionami.

- Któż to może wiedzieć? Na pewno w miejscu zaczynającym się na „ka-a”. Kawiarnia? Kafajka internetowa? Kanał? Kasa biletowa? Katedra? Może to pierwsze litery nazwy jakiejś ulicy.

Do wyboru, do koloru.

- Nie możesz bardziej zawęzić tej listy?

Gary'ego wyraźnie ubodły te słowa.

- Gdyby to było takie proste! I tak ponad tydzień trudziłem się nad odzyskaniem fragmentu tej rozmowy. Żeby zdobyć chociaż tyle, musiałem płaszczyć się przed kumplem, żeby załatwił mi oprogramowanie, które jest dopiero w fazie testów. Biorąc pod uwagę to, ile zostało z tej pogawędki na jej komputerze, to i tak cud, że udało się odzyskać aż tyle. I dzięki temu możesz przynajmniej wykluczyć miejsca, w których na bank się nie spotkali.

Patterson przygryzł skórę pod paznokciem, ledwo powstrzymując gniew.

- Przepraszam, Gary - wymruczał. - Wiem, że zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy. Wielkie dzięki. Przyślij nam rachunek.

Gary wygrzebał się z krzesła, próbując zachować resztki godności, złapał w biegu swój plecak i ruszył do drzwi.

- Powodzenia - powiedział na do widzenia.

- Wkurzający kutafon, co nie? - skomentował Patterson, gdy drzwi się zamknęły.

- Ale skuteczny.

- A myślisz, że dlaczego jeszcze znoszę jego obecność na komisariacie?

- zapytał retorycznie. - Nic to, musimy przygotować listę miejsc, które zaczynają się w tym mieście na „ka-a”, i sprawdzić zapisy odpowiednich kamer sprzed dziewięciu dni. Syzyfowa praca, nie ma co.

Ale Patterson tryskał teraz energią. Najwidoczniej przekroczył właśnie próg dzielący czarną rozpacz od optymizmu. Ambrose pomyślał, że to idealny moment, by go podejść w imieniu Tony'ego Hilla.

- Skoro już rzucamy wszystkie siły na ten odcinek - zaczął - to chyba nie chcemy, żeby na innej linii frontu pojawiły się kolejne zwłoki. Prawda?

## ROZDZIAŁ 15

Carol już straciła rachubę, ile razy zdarzyło jej się tkwić w sali sekcyjnej prosektorium, przyglądając się temu czy owemu patologowi wypełniającemu swe makabryczne i wymagające precyzji obowiązki. Mimo to wciąż nie potrafiła przejść do porządku dziennego nad przygnębiającym charakterem tego rytuału. Widok człowieka rozkładanego na części pierwsze napawał ją smutkiem, choć jej żal koła nieco przemożna chęć, by wymierzyć sprawiedliwość winowajcy. Jeśli cokolwiek utwierdzało Carol w przekonaniu, że prawo musi zwyciężyć, to była to właśnie kostnica, a nie miejsce zbrodni.

Akurat dziś dyżurował patolog, z którym z biegiem lat się zaprzyjaźniła. Mieszanka krwi płynąca w żyłach doktora Griszy Szatałowa znajdowała odbicie w stylu, w jakim prowadził własny oddział przy szpitalu Bradfield Cross, a który stanowił paradoksalny mariaż białoruskiego autorytaryzmu i typowo kanadyjskiego umiaru. Szatałow święcie wierzył, że zmarli zasługują na taki sam szacunek jak jego żywi pacjenci, szkiełka z wypreparowanymi tkankami, których zwykł badać pod mikroskopem. Co nie znaczyło, że do swoich obowiązków odnosił się z beznamiętnym profesjonalizmem. Już na samym początku powitał Carol w swoim świecie i sprawił, że poczuła się częścią zespołu dążącego do tego samego celu - wydobywania tajemnic śmierci z mroków niejasności na światło dzienne.

Ostatnimi czasy Grisza zaczął wyglądać równie nienaturalnie blade jak badane przez niego ciała. Długie godziny pracy i małe dziecko w domu sprawiły, że jego skóra nabrała ziemistego odcienia, a pod podłużnymi,

trójkątnymi oczami układały się głębokie cienie, przez które jego twarz przypominała maskę szopa na głowie bandyty. Jednak dziś oblicze Griszy było na powrót rumiane, a on sam, przynajmniej na pozór, odzyskał dawną formę.

- Dobrze wyglądasz - zauważyła Carol i oparła się o ścianę z boku stołu sekcyjnego. - Wziąłeś urlop czy co?

- Czuję się, jakbym wrócił z dłuższych wakacji. Moja córka nauczyła się w końcu spać dłużej niż trzy godziny bez przerwy. - Uśmiechnął się do niej.

- Prawie już zapomniałem, jak to jest, gdy ze snu budzi cię dźwięk budzika

- powiedział, instynktownie przesuając rękę w stronę tacy i wybierając z niej pierwszy instrument z całego szeregu narzędzi, które miały odsłonić nie tylko wewnętrzne organy, ale i uchylić rąbka tajemnicy otaczającej doczesne szczątki Daniela Morrisona.

Gdy Grisza robił swoje, Carol starała się zająć myśli czymś innym. Nie musiała zwracać przesadnej uwagi na przebieg sekcji - w razie potrzeby Grisza i tak by ją poinformował, gdyby znalazł coś, o czym powinna wiedzieć.

Jej zespół współpracował teraz z Komendą Północnego Bradfield, doglądając wdrożenia wszystkich standardowych procedur śledczych. Kto wie, może natkną się na coś podczas pierwszych przesłuchań i wstępnego śledztwa. A może Stacey - ich wirtuoz klawiatury - wpadnie na nowy trop, za którym będą mogli podążyć. Ale musiałyby im się naprawdę poszczęścić.

Pozostawało im jedynie trzymać kciuki i cierpliwie czekać, aż nowe informacje zaczną spływać wartkim strumieniem z „Północy”, by jej zespół mógł w końcu się w nie zagłębić, starając się znaleźć niepasujące do siebie elementy. Trudno było z góry przewidzieć, co mogło okazać się tym niewłaściwym puzzlem. Nie mieli bowiem przed sobą prawidłowego rozwiązania tej układanki, żadnych podpowiedzi, żadnej listy kolejnych kroków do odhaczenia. Takie zagwozдки wymagały nie tylko doświadczenia, ale i instynktu. Szósty zmysł był akurat tą niemierzalną cechą, której natura nie poskąpiła żadnemu członkowi jej zespołu i zarazem jednym z głównych powodów, dla których znaleźli tu swoje miejsce. Każdy z nich przodował



w innej dziedzinie zawodu śledczego, doskonale więc się uzupełniali, stanowiąc wspólnie coś więcej niż jedynie sumę indywidualnych umiejętności. Tym większa byłaby szkoda, gdyby Blake dopiął swego i rozpedził jej zespół na cztery wiatry.

Była tak pogrążona w myślach, że sekcja zwłok minęła jak z bicza strześli. Myślała więc, że się przesłyszała, gdy Grisza tak szybko zaprosił ją do swojego gabinetu, by jeszcze raz omówić główne ustalenia.

- Znowu? - odpowiedziała i poszła za nim, spoglądając jeszcze raz na zwłoki na stole. Asystent zaszywał właśnie podłużne nacięcia na piersi Daniela. Gdy było to możliwe, od pewnego czasu Grisza przeprowadzał podobne zabiegi przez niewielkie nakłucia na ciele, co pozwalało uniknąć tradycyjnych nacięć w kształcie litery „Y”, przez które zwłoki przypominały ofiary barona von Frankensteina. Ale w przypadku ofiar zabójstw takie podejście było wykluczone. A szkoda, pomyślała Carol, po tym gdy mimowolnie przeszedł ją dreszcz.

„Łatwiej to wtedy przelknąć rodzinom” - powiedział jej pewnego razu. „Wyobrażają sobie niestworzone rzeczy, jeśli chodzi o wygląd zwłok po przeprowadzeniu sekcji. Gdy jednak wyjaśnimy im, że nie ma się czego obawiać, że filmy i telewizja przesadzają, wtedy łatwiej ich przekonać do wyrażenia zgody na przekazanie ciała na potrzeby teoretycznych badań i ćwiczeń dla studentów. Daleko byśmy nie zaszli, gdybyśmy bazowali tylko na ofiarach zabójstw”. Spoglądając teraz na ciało Daniela, doskonale rozumiała, na czym opierała się siła argumentów Griszcy.

Carol poszła za nim do gabinetu. Choć trudno było w to uwierzyć, w pokoju było jeszcze mniej miejsca dla Griszcy i jego gości niż ostatnim razem, gdy tu była. Wszędzie wałały się góry papierów. Tabele i wykresy, teczki, czasopisma i sterta książek zapełniały półki, leżały w kupie na podłodze lub opierały się chwiejnie o monitor komputera. Nawet gdy Carol podniosła z fotela stos wydruków i usiadła, ledwo mogła dostrzec Griszę za biurkiem.

- Musisz zrobić coś z tym bałaganem - skomentowała. - Nie masz czasem jakiegoś doktoranta, który z nudów chętnie by tu posprzątał?

- Tak Bogiem a prawdą, to zaczynam myśleć, iż inni ludzie zaczęli zwać tu całe swoje badziewie. A może po prostu prace w długim oczekiwaniu na moją recenzję zaczęły się rozmnażać przez pączkowanie. - Przesunął kupę teczek, by lepiej widzieć Carol. - Wróćmy może do tego twojego chłopaka, Daniela... - Pokręcił głową. - Zawsze przykro patrzeć na masę organów, które tak mało jeszcze przeżyły. Od razu nasuwają ci się na myśl te wszystkie rozrywki, których ofiara nie zdążyła doświadczyć na własnej skórze. Mówię o tych chwilach słabości, które zostawiają na pamiątkę tykające bomby w naszych organizmach.

Carol nie przyszła do głowy żadna odpowiedź, poza tymi sentymentalnymi i trywialnymi.

- Jaką więc stawiasz diagnozę? Przyczyna śmierci?

- Uduśnienie. Gruby plastikowy worek przyklejony do szyi skutecznie odciął mu dopływ tlenu. Jednak nie widzę żadnych oznak walki. Ani kropelki krwi lub kawałków skóry pod paznokciami. Żadnych siniaków, poza jednym stłuczeniem na udzie, które wygląda na uraz sprzed trzech lub czterech dni i moim zdaniem nie jest sprawką zabójcy.

- Myślisz, że go odurzono?

Grisza popatrzył na nią znad okularów, przybierając marsową minę.

- Dobrze wiesz, że nie znam odpowiedzi na to pytanie. Być może będziemy coś wiedzieć, jak dostaniemy do ręki wyniki badań toksykologicznych. Ale jeśli użyto pigułki gwałtu, to testy i tak nic nie wykażą, bo jej składniki znajdują się naturalnie w naszej krwi, a po śmierci ich stężenie znacznie wzrasta. Jeśli miałbym już bawić się w głupie zgadywanki, to obstawiałbym, że rzeczywiście podano mu środki odurzające. Ale nie w drinku, bo nie poczuliśmy zapachu alkoholu, gdy otworzyliśmy żołądek. Nawiasem mówiąc, jego ostatni posiłek składał się z chleba, ryby, sałaty i czegoś na kształt galaretki. Prawdopodobnie więc była to kanapka z sałatką z tuńczyka, zjedzona zapewne nie później niż godzinę przed śmiercią.

- A co z kastracją?

- Wnioskując na podstawie utraty krwi, rany zadano pośmiertnie, ale niedługo po zgonie. W przeciwnym wypadku wykrawiłby się na śmierć.

- Laik czy zawodowiec?

- Z pewnością nie jest to robota godna chirurga. Ale i nie rzeźnika. Ten wasz zabójca użył bardzo ostrego narzędzia, skalpela albo czegoś podobnego z niewielkim ostrzem. Lecz i tak nie udało mu się odciąć wszystkiego za jednym, precyzyjnym zamachem. Nie ciął też jak popadnie, ale musiał dokonać trzech lub czterech osobnych nacięć. Moim zdaniem nie miał więc większego doświadczenia w tym zakresie.

- A więc złotodziób?

Grisza wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Ale z pewnością działał z głową, nie urządził zwykłej sieczki. A propos, znaleźliście już może penisa i jądra? Były na miejscu zbrodni?

Carol pokręciła głową.

- Nie.

- A więc zbiera pamiątki. Czy nie to właśnie powiedziała teraz ten twój doktor Tony?

Carol odpowiedziała mu wymuszonym uśmiechem.

- Żaden tam mój. Zresztą, mam zbyt równo pod sufitem, żeby zgadywać, co mógłby teraz powiedzieć. Chciałabym, żeby mógł dorzucić teraz swoje trzy grosze, ale tym razem jego pomoc nie wchodzi w rachubę. - Jej głos zdradzał podenerwowanie.

Grisza rozprostował mięśnie szyi i przechylił głowę na bok, jak człowiek próbujący uniknąć ciosu.

- Uuuu, Carol. Czyżby aż tak mocno nadepnął ci na odcisk?

- On nie. Raczej nasz nowy przełożony, który uważa, że jeśli potrzebuję pomocy profilerka, to powinnam poszukać go w zasobach policji.

Usta Griszy przybrały kształt litery „O”.

- I nie podoba nam się ten pomysł, co?

Carol miała już gotową odpowiedź na końcu języka, ale zanim zdołała wydusić z siebie choć słowo, przerwało im pukanie do drzwi. Zza krawędzi otwartych drzwi dojrzała znajome rude kędziory sierżanta Kevina Matthews.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział, posyłając niedbały uśmiech w kierunku Griszy.

- Mnie szukasz? - odpowiedziała Carol, wstając z fotela.

- Tak. Mamy kolejnego zaginionego nastolatka. Centrala przekazała telefon rodziców wprost do nas.

Carol poczuła ciężar w żołądku. Czasami jej obowiązki zdawały się ją przytłaczać.

- Ile czasu minęło od zaginięcia?

- Rodzice myśleli, że został u znajomego na noc. Ale nic z tych rzeczy.

Dość długo, pomyślała Carol. Za długo.

## ROZDZIAŁ 16

Julia Viner przysiadła na brzegu okazałego fotela, niczym przyczajony tygrys, wciąż przebierając palcami opartej na kolanie ręki. Odgarnięte z twarzy, sztywne ciemne włosy z pasemkami siwizny odsłaniały delikatne rysy twarzy oraz oliwkową skórę poznaczoną subtelnymi zmarszczkami. Przenikliwe spojrzenie czarnych oczu przywodziło na myśl małego ptaszka przyzwyczajonego do mroku żywopłotów i podejrzliwie spoglądającego na światło dnia. Miała na sobie długą spódnicę i ciemnobordowy sweter. Obok niej, na oparciu fotela siedziała Kathy Antwon. Jedną rękę opierała o ramię Julii, drugą zaś trzymała w kieszeni džinsów. Carol dostrzegła odznaczającą się na materiale spodni zaciśniętą pięść. Jej twarz przybrała gniewny wyraz właściwy człowiekowi, który odczuwa strach, ale boi się przyznać do swoich uczuć. Jasnobrązowa skóra przybrała głębszy odcień na jej wysoko sklepionych policzkach. Uwagę zwracały też kurczowo zaciśnięte usta.

- Co chcecie wiedzieć? Jak możemy pomóc odnaleźć Seta? - zapytała Julia z napięciem w głosie.

- Wystarczy, jeśli będziecie panie z nami całkowicie szczerze - odpowiedziała Carol. - Czasami w przypadku zaginięć rodzice nie chcą zdradzać nam wszystkich szczegółów. Boją się, że napytają biedy swoim dzieciom, albo nie potrafią przyznać się do kłótni, jakby to było coś nienormalnego. Ale wierzcie mi, dla Seta będzie najlepiej, jeśli powiecie nam całą prawdę i tylko prawdę.

- Nie mamy nic do ukrycia - odparła Kathy zachrypniętym głosem, w którym pobrzmiwały tłumione emocje. - Powiemy wam wszystko, co tylko chcecie. Jak na spowiedzi.

Carol posłała spojrzenie Kevinowi, który przygotował już swój notatnik i długopis.

- Z góry dziękujemy. Na początek potrzebowalibyśmy w miarę świeżego zdjęcia Setha.

Kathy skoczyła na równe nogi.

- Zrobiłam mu parę fotek w ostatni weekend. Mam to gdzieś w laptopie, chwileczkę, przyniosę. - Pospiesznie wyszła z pokoju. Julia odprowadziła ją wzrokiem, a jej twarz przez chwilę zdradzała uczucie bolesnej straty. Zdołała jednak wziąć się w garść, zanim odwróciła się z powrotem w stronę Carol.

- Co chcecie wiedzieć? - powtórzyła.

- Kiedy po raz ostatni widziała pani Setha?

- Wczoraj rano, gdy wychodziłam do pracy. Poranek jak co dzień. Jedliśmy razem śniadanie. Seth opowiadał o jakimś projekcie zadanym im przez nauczyciela historii. Chciał, żebym mu w nim pomogła. Bo widzicie, z wykształcenia jestem historykiem. Seth jest święcie przekonany, że wiem wszystko o każdym wydarzeniu, które miało miejsce co najmniej do połowy ostatniego tygodnia. - Wydobyła z siebie stłumiony, gardłowy śmiech. - A potem wyszłam do pracy.

- A gdzie pani pracuje? - dopytywała Carol.

- Sefuję wydziałowi edukacji rady miejskiej - odpowiedziała.

To by nawet wyjaśniało, jak ta rodzina mogła sobie pozwolić na kupno obszernego domu parterowego w stylu rancza położonego na krawędzi działki w części Harriestown znanej jako The Ville. W latach trzydziestych dwudziestego wieku znajdowały się tu fabryki przedsiębiorstwa rodziny de Ville'ów - rozległy kompleks produkujący silniki samolotowe, samochody dostawcze i wyścigowe auta. Pół wieku później ostatni potomkowie tej rodziny w porę wyczuli koniunkturę i przenieśli swój interes do Korei Południowej. Sprzedali wtedy całą działkę miejscowemu deweloperowi, którego córka dopiero co poślubiła architekta zakochanego na zabój w koncepcjach architektonicznych Franka Lloyda Wrighta\* i amerykańskim południowym zachodzie. Wskutek czego powstało starannie zaprojektowane osiedle czterdziestu domów, które niemal z miejsca znalazło poczesne miejsce na łamach czasopism lifestylowych na całym świecie. Ludzie, którzy kupili tu swoje gniazdko jeszcze na etapie dziury w ziemi, nie mogli

uwierzyć we własne szczęście, gdy okazało się, że nabyli jedno z najbardziej pożądanых nieruchomości na północy Anglii.

\* Jeden z najbardziej znanych amerykańskich architektów modernistycznych (1867-1959), pomysłodawca m.in. domków w stylu preriowym, czyli niskich i długich budynków z otwartym układem pomieszczeń, popularnych do dziś, również na południowym zachodzie USA, np. w Kalifornii.

- A ja pracuję jako grafik - dopowiedziała Kathy, która właśnie wróciła z otwartym laptopem w rękach. - Właśnie dzięki temu wyłądownyśmy w tym miejscu. Projektowałam pierwsze broszury promocyjne dla osiedla „The Ville”, więc miałam fory przed konkurencją. - Odwróciła w stronę Carol ekran, którego całość zajmowało zdjęcie przedstawiające uśmiechniętego chłopca. Odziedziczył po matce oliwkowy odcień skóry i ciemne oczy. Długie krucze włosy, niedbale zaczesane na jedną stronę, zasłaniały mu część twarzy. Widoczne tu i tam pryszcze, wyszczerbiony ząb na przedzie oraz nieco krzywy nos dopełniały obrazu chłopca, którego zwięzły szkic Carol powierzyła swojej pamięci. - Zdjęcie z niedzieli - dodała Kathy.

- Czy mogłaby pani przesłać to zdjęcie mejlem na adres mojego zespołu? Wtedy zapewne najszybciej będziemy mogli z niego skorzystać przy poszukiwaniach. - Carol, zanim jeszcze dokończyła zdanie, próbowała wyłowić z kieszeni wizytówkę.

- Nie ma sprawy - odparła Kathy, kładąc laptopa na stoliku i poruszając palcem po jego panelu dotykowym. Carol wręczyła swoją wizytówkę, na której, poza innymi namiarami, znajdował się również ogólny adres e-mail do jej sekcji. Wszyscy czekali w skupieniu, podczas gdy Kathy rozpoczęła wysyłanie nowej wiadomości.

- Wysłane i pozamiatane - zakrzyknęła po chwili, siadając na powrót u boku swojej partnerki. Oczy Setha wciąż były jednak nieznośnie utkwione w Carol. W myślach zaklinała więc wygaszacz, by w końcu raczył się włączyć.

- Nadinspektor Jordan pytała właśnie, kiedy ostatnio widziałyśmy Setha - stwierdziła Julia, wyciągając rękę, by uścisnąć dłoń Kathy.

- Gdy Julia wyszła do pracy, odprowadziłam Setha na przystanek. Zwykle puszcza go samego do szkoły, bo autobus zatrzymuje się tylko trzy minuty od domu. Ale akurat wtedy kończył nam się chleb, więc postanowiłam wstąpić przy okazji do supermarketu. Poszliśmy więc razem. Autobus podjechał niemal w tym samym momencie, gdy dotarliśmy na przystanek. Pomachałam mu na do widzenia. Było chyba za dwadzieścia dziewięć. Już wcześniej umówił się z kolegą Willem, że będzie u niego nocował, więc spakowałam mu do plecaka spodnie, skarpetki i koszulkę na zmianę.

- I, o ile pani wiadomo, cały dzień spędził w szkole, tak?

- Gdy nie wrócił do domu o normalnej porze, zadzwoniłam do szkoły - odparła Kathy. - Powiedzieli mi, że dziś w ogóle nie było go na zajęciach. Spytałam więc, czy pojawił się dzień wcześniej. Podobno nie opuścił nawet jednej lekcji. Okej, przyznaję, że zastanawiałam się, czy czasem nie wymknął się gdzieś z dziewczyną, a Will próbuje go kryć. Ale to nie było w ich stylu, rozumie pani? To nie były szalone dzieciaki. Ale cóż, rodzic i tak się głowi, prawda?

- To normalna kolej rzeczy. W końcu wszyscy byliśmy w ich wieku - zauważyła Carol. - Ja z pewnością nie zwierzałam się rodzicom z wszystkiego, w co się pakowałam.

- Zadzwoniłam więc do Willa i Lucie, dziewczyny Setha. Właśnie wtedy się okazało, że naszego syna nie ma u Willa i być nie mogło. Will twierdzi, że Seth powiedział mu wczoraj rano, że chciał pójść na wagary, bo miał inne plany.

- A czy Will spytał może, co Seth zamierzał robić w tym czasie?

Kathy zmarszczyła czoło.

- Może, ale i tak przecież mi tego nie powie. Ale może będzie bardziej wylewny przy kimś, kto pomacha mu przed twarzą policyjną odznaką.

- Przesadzasz, Kathy - zachnęła się Julia. - Nie masz powodów przypuszczać, że Will coś przed tobą ukrywa.

Kathy popatrzyła wymownie w górę.

- Naiwna jesteś. Jeśli Seth poprosił go o dyskrecję, to chyba nie spodziewasz się, że wszystko mi wyśpiewa, co?



Carol odczekała, aż atmosfera trochę się uspokoi, po czym zapytała:

- Czy Seth w jakikolwiek sposób kontaktował się z paniami od wczorajszego poranka? SMS-em? Mejlem? Przez telefon?

Kobiety popatrzyły na siebie, naradzając się wzrokiem, po czym obie pokręciły głowami.

- Ani widu, ani słyhu - odpowiedziała Kathy. - Ale to akurat żadna nowość. Zwykle odzywa się do nas, jeśli ma ku temu powód. Na przykład gdy nastąpi jakaś zmiana planów. Ale tym razem o niczym nas nie poinformował.

Kevin odchrząknął.

- A czy jego dziewczyna jest teraz w domu?

- Tak. Dzwoniłam na stacjonarny i odebrała - odparła Kathy. - Ostatni raz widziała Setha wczoraj w porze obiadowej. Wspólnie jedli w szkolnej stołówce. To jedyny czas, gdy mogą się widywać w szkole, bo przydzielili ich do innych grup w klasie. Ale podobno nie wspominał jej o żadnej zmianie planów, była więc przekonana, że Seth nocuje u Willa.

- Często nocował u znajomych w dni powszednie? - dociekał Kevin.

Kathy miała wyraźną ochotę go spoliczkować.

- Pewnie że nie! Nie jesteśmy przecież jakimis niewydarzonymi liberałami, którzy pozwalają swojemu dziecku wchodzić sobie na głowę! Wczorajsze plany były wyjątkiem od reguły. Will i Seth są wielkimi fanami grunge'u, a jeden z ich ulubionych zespołów miał akurat dać koncert transmitowany w internecie. Dla nich to niezła gratka, więc wyjątkowo pozwoliliśmy im wspólnie go posłuchać. - Głos wyraźnie uwiązał jej w gardle, aż musiała gwałtownie odkaslnąć. Gdy zdołała się pozbierać, po zaróżowionych policzkach ciekły jej łzy. Westchnęła. - Niezła mi gratka, kurwa.

Julia objęła ją ramieniem i przytuliła jej głowę do swojego ramienia.

- Nie martw się, Kathy. Wszystko rozejdzie się po kościach, zobaczysz.

- Czy przychodzi paniom do głowy ktoś inny, do kogo mógłby zawitać lub z kim się umówić?

- Nie - odparła ze znużeniem Kathy. - Dzwoniłyśmy już do innych kolegów ze szkoły, ale żaden z nich nie widział go od wczoraj.

Carol zastanawiała się, czy jest jakiś sposób, by subtelnie poruszyć temat biologicznych rodziców Setha, i uznała, że nie ma. Ale i tak musiała zapytać.

- A co z jego ojcem?

- Nie ma ojca - rzuciła Kathy. Dało się zauważyć, że ten temat ją drażni i tylko zmęczenie powstrzymywało wybuch gniewu. - Seth ma dwie matki. Koniec, kropka.

- Seth przyszedł na świat w wyniku sztucznego zapłodnienia spermą pochodzącą od dawcy - do rozmowy włączyła się Julia, mocniej obejmując partnerkę. - Wtedy wszyscy oni byli anonimowi. O naszym dawcy wiemy tylko tyle, że miał metr osiemdziesiąt wzrostu, szczupłą budowę ciała, ciemne włosy i niebieskie oczy.

- Dziękuję za wyjaśnienie - odparła Carol, uśmiechając się.

- To wszystko, co paniom o nim powiedzieli? - dopytywał się Kevin. - Myślałem raczej, że dostaje się dokładniejszy opis dawcy. Życiowe osiągnięcia, zainteresowania, coś w tym rodzaju.

- To zależy od konkretnej kliniki - wyjaśniła Julia. - Akurat nasza ogranicza szczegóły do niezbędnego minimum.

- Żeby potem ojciec nie mógł odszukać dziecka i się z nim skontaktować? Albo by Seth nie miał możliwości namierzenia swojego ojca? - zapytał Kevin.

- Dawcy, nie swojego ojca. Tak, całą procedurę przeprowadza się z zachowaniem całkowitej anonimowości. Nawet klinika nie zna personaliów dawcy. Jedyne jego numer kodowy - wytłumaczyła Julia. Niewątpliwie jej cierpliwość wisiała już na włosku.

- A po co Seth miałby w ogóle to robić? Nigdy nie wykazywał najmniejszego zainteresowania biologicznym ojcem. Ma już dwóch rodziców, których kocha i którzy odwzajemniają jego uczucie. Czego od groma innych dzieciaków może mu tylko pozazdrościć! - burknęła wyraźnie już rozgniewana Kathy.

- To się chwali. Ale naprawdę musieliśmy o to zapytać, bo staramy się wy badać wszelkie możliwe scenariusze - odparła spokojnie Carol.

- Łącznie z homofobią - wymamrotała Kathy. Zwróciła się do Julii: - A nie mówiłam.

Zanim Carol zdołała pospieszyć z wyjaśnieniem, zabrzmiał dźwięk dzwonka u drzwi.

- Ja otworzę - zaproponowała Kathy i energicznie wyszła z pokoju. Usłyszeli przytłumioną rozmowę, po czym Kathy wróciła do nich w towarzystwie Stacey Chen. - Kolejna z waszej paczki.

- Śledcza Chen to nasz spec od ICT. Chcielibyśmy prosić o pozwolenie na przejrzanie komputera Setha - powiedziała Carol.

- Stoi w pokoju. Proszę za mną, pokażę - zaproponowała Kathy.

- Chciałabym najpierw zamienić parę słów na osobności z panią nadinspektorem, jeśli można - wtrąciła się Stacey.

Gdy Carol opuściła pokój, dosłyszała, jak Kevin lojalnie próbuje bronić.

- Ona nie ma w sobie nawet krztyny homofobii - przekonywał. - Dwoje jej podwładnych, dwoje jej najbliższych współpracowników to lesbijki. Sama je wybrała i ufa im niemal bezgranicznie.

Całkiem nieźle, Kevin. Ale załóżę się, że te argumenty nie trafią do przekonania Kathy. Raczej przypnie Pauli i Chris łatkę „homopomagierów”, którzy zapredali duszę heteroseksualnemu diabłu, pomyślała Carol, zamknęła za sobą drzwi i spojrzała pytająco na Stacey.

- Jakie wieści?

- Niestety, źle. Domowy komputer Daniela Morrisona nie ma połączenia z siecią. Używa go tylko do grania i odrabiania lekcji. Do surfowania po internecie służy mu webbook\*. Gdy wychodzi z domu, zabiera go z sobą w plecaku. Jeśli więc chodzi o jego wirtualne życie, to jesteśmy w kropce.

\* Rodzaj przenośnego komputera z ograniczoną mocą obliczeniową i pojemnością dyskową, służący głównie do korzystania z zasobów internetu, np. z portali społecznościowych.

- A co z jego kontem pocztowym? Albo profilem na RigMarole lub Facebooku?

Stacey wzruszyła ramionami.

- Może i uda nam się wysledzić część jego aktywności w sieci.

Ale mógł korzystać z wielu innych kont pocztowych i profili na portalach, o których nie mamy zielonego pojęcia. Bez webbooka będzie trudno. Niewiele zdołam wywróżyć z tej szczypty fusów.

- A udało się coś wyczarować z zapisu kamer?

Stacey pokręciła głową.

- Daniel przepadł jak kamień w wodę, gdy opuścił Bellwether Square. Moim zdaniem musiał wyjechać z Temple Fields we wnętrzu jakiegoś auta.

- Dobra. Na tę chwilę skup się raczej na poszukiwaniach Setha. Lepiej zatroszczmy się teraz o żywych. - Jeśli wciąż żyje, w co, w świetle smutnego losu Daniela, bardzo mocno wątpię. - Jego matka przesłała właśnie na nasz adres dość świeże zdjęcie Setha. Czy możesz jak najszybciej przekazać je wszystkim jednostkom?

- Zaraz się tym zajmę.

- Dzięki. Informuj mnie na bieżąco. - Carol rzuciła na odchodne.

Wróciła do pokoju, w którym atmosfera była nie mniej napięta niż wcześniej.

- Przepraszam za przerwę - powiedziała. - Czy któraś z pań mogłaby zaprowadzić śledczą Chen do komputera Setha? Potrzebowalibyśmy też oficjalnego pozwolenia na przeszukanie jego zawartości, biorąc pod uwagę wiek Setha.

- Róbcie, co musicie - odpowiedziała Julia, gdy Kathy znikła za drzwiami. - Nie chciała pani obrazić, pani nadinspektor. Po prostu jest zdenerwowana, a gdy tak się dzieje, wyraża swoje uczucia poprzez gniew.

Carol się uśmiechnęła.

- Nie jestem typem obraźliwej, pani Viner. Proszę mi wierzyć, że na myśli mam jedynie dobro Setha i chcę zrobić wszystko, co w mojej mocy, by go odnaleźć.

Julia wyraźnie skurczyła się w sobie.

- Kiedy wracałam do domu. Po telefonie od Kathy. W radio. Mówili coś o zamordowanym nastolatku. - Jej ręka powędrowała do ust i Julia zaczęła przygryzać kostki u rąk.

- Nie chodziło o Seta, pani Viner. Udało nam się zidentyfikować tamte zwłoki i nie było to ciało pani syna.

Kathy wróciła do pokoju we właściwym momencie, by usłyszeć odpowiedź Carol.

- Widzisz, mówiłam, że nie może chodzić o Seta.

- Ty i ten twój niepoprawny optymizm! - rzekła Kathy z przekąsem.

Julia uczepiła się jej ramienia.

- Mamy zamiar porozmawiać z Willem i Lucie oraz innymi kolegami Seta. Zamieścimy też zdjęcie waszego syna na naszej stronie internetowej i roześlemy je do mediów. W tej chwili poszukiwania Seta to numer jeden na naszej liście - zapewniła Carol, podnosząc się. - Zostawiam z paniami Kevina. Jeśli przypomniałyby panie sobie coś, co pomogłoby nam znaleźć Seta, proszę się z tym zwrócić właśnie do niego. Będę pod telefonem, gdybym była paniom potrzebna.

Julia Viner popatrzyła na nią z błaganiem w oczach.

- Proszę go znaleźć. Guzik mnie obchodzi, dlaczego zniknęła albo co robił. Tylko proszę go znaleźć.

Te słowa odbijały się echem w głowie Carol przez całą drogę do auta. Pomimo ograniczonego pola manewru, wszystko, co miała do zaoferowania, chciała oddać do dyspozycji Julii i Kathy. Rzecz w tym, że dzięki telefonowi ze słuchawką Bluetooth mogła prowadzić rozmowy zza kierownicy samochodu z taką samą łatwością jak zza własnego biurka. A Daniel nie był jedynym zagubionym chłopcem, któremu winna była wyjaśnienia. Carol uruchomiła więc silnik i ruszyła za miasto wylotówką w stronę Halifaxu.

## ROZDZIAŁ 17

Sam nie zemdlął z wrażenia na widok posępnej zjawiskowości Wastwater. W jego mniemaniu tutejsze atramentowe wody były zbyt przygnębiające, a otaczające je góry - nazbyt przytłaczające. Tylko szaleniectwo uznałoby, że warto spędzić tu urlop. Przechadzki po okolicy miały jeszcze jakiś sens na karaibskiej plaży, na której zapewne w tym momencie wylegiwała się jego koleżanka, sierżant Chris Devine. Notabene rześście lejący się z nieba zimny deszcz, który zdawał się jedyną „atrakcją” tego miejsca, na bank przeistaczał nawet wątpliwą frajdę czerpaną ze spaceru w prawdziwą mordęgę.

Zresztą, po zapadnięciu zmroku piesze wycieczki i tak brały w łeb. A cóż, do cholery, można tu było robić wieczorami? Sam uwielbiał tańczyć. I to właściwie w takt każdej muzyki - niezależnie od gatunku, klubu czy didżeja. Po prostu lubił poddawać się rytmowi utworów, zatracać się w ich tempie i ruszać się w ich takt w chwilowym zapomnieniu, na które nie pozwalał sobie w innych sferach życia. Mógłby się jednak założyć o każde pieniądze, że w zasięgu kilkudziesięciu kilometrów nie było żadnego porządnego klubu. Chyba że zdecydowałby się na płąsy w takt tradycyjnej angielskiej moreski\*, która była dla tańca tym, czym popularny „posilek oracza”\*\* dla sztuki kulinarnej.

\* Ludowy taniec angielski, zwany *morris dance*, wykonywany według ustalonej choreografii przez mężczyzn w tradycyjnych kostiumach z dzwoneczkami, czasem przedstawiających znane postaci z opowieści ludowych; nieco podobny do góralskich tańców zbójnickich.

\*\* Ang. *ploughman's lunch* to podawana na zimno w wielu brytyjskich pubach przystawka do piwa, składająca się z chleba, sera i marynowanych warzyw.

Przez większość dnia siedział skulony wewnątrz własnego auta lub wozu wsparcia ekipy płetwonurków. Nie byli zbyt rozmowni. Jak tylko przejęli listę koordynatów przygotowaną przez Stacey, zasiedli nad mapą, na której - jak przypuszczał - oznaczyli obszary poszukiwań odpowiadające miejscom zasugerowanym przez Stacey po konsultacji z ekspertami od zdjęć satelitarnych z Uniwersytetu Bradfieldzkiego.

Po naradzie garstka ludzi przywdziała piankowe kombinezony, zawiesiła na ramionach butle tlenowe i ruszyła w kierunku łódki z okazałymi czarnymi, nadmuchiwanymi burtami.

Sam był typowym szczurem lądowym, nie miał więc zielonego pojęcia, jak przebiegają poszukiwania pod wodą. Nigdy nie interesował się nurkowaniem. Bo i po co? W końcu, by przyjrzeć się tropikalnym rybom, wystarczyło obejrzeć któryś z filmów przyrodniczych Davida Attenborough, nie opuszczając nawet wygodnego i suchego zacisza własnego salonu.

Dzień dłużył się niemiłosiernie. Nurkowie znikali pod wodą, przekazując przez radio niezrozumiałe sprawozdania ekipie nadzorującej ich poczynania w wozie wsparcia, wynurzali się i ponownie znikali w innym miejscu akwenu. Od czasu do czasu łódka wracała na brzeg, zabierając nową grupę nurków, i tak w kółko. Sam niemal przeklinał się w duchu, że w ogóle zaczął drążyć sprawę Danuty Barnes.

Wtem, gdy słońce zaczęło już znikać za horyzontem, nastąpiło prawdziwe trzęsienie ziemi. Tuż po piątej turze zanurzeń, ocenił Sam. Jeden z odpoczywających nurków podszedł różnym krokiem do jego auta i złożył palce w piankowej rękawicy w kółko. Sam otworzył okno.

- Wygląda na to, że coś znaleźliśmy, kolego - zakomunikował radośnie nurek.

- Na przykład co?

- Spory toból zawinięty w plastik. Nasi chłopcy mówią, że jest przywiązany do worka, na oko z sieci rybackiej, obciążonego kamieniami.

Sam uśmiechnął się szeroko.

- Co zamierzacie dalej zrobić z tym fantem?

- Podwiążemy, pod spód przymocujemy poduszki powietrzne i użyjemy wyciągarki. Potem zajrzemy do środka.

Cała procedura wydobywcza zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Sam próbował zdusić w sobie podniecenie, ale nie mógł usiedzieć w miejscu. Ruszył więc wzdłuż brzegu i wspinał się na niską skarpe, by lepiej widzieć łódź płynącą kilkaset metrów dalej. Ale był zbyt daleko, by dostrzec cokolwiek poza niewyraźnymi kształtami. W końcu czarny pakunek wielkości toi-toia zaczął się wynurzać, orząc wodę na swojej drodze.

- Kurde, niemały ten skarb - zakrzyknął do siebie, jak zaczarowany przyglądając się wysiłkom nurków próbujących wciągnąć znalezisko na pokład, nie zaliczając wywrotki.

Ryk silnika zakłócił martwą ciszę późnego popołudnia, a Sam pospieszył ile sił w nogach w dół do nierównego usypiska, z którego wyruszyli nurkowie. Łódka zaryła dziobem w brzeg, ale Sam wolał nie podchodzić za blisko, nie chcąc narazić na niepotrzebną szkodę swoich butów. Aż pięciu chłopów było trzeba, by chwiejnym krokiem przenieść stale kurczące się znalezisko z łodzi na suchy ląd, w pobliżu wozu wsparcia. Pakunek wciąż oczekiwał szerokimi strumieniami wody z jeziora.

- Co teraz? - gorączkował się Sam.

Dowódca nurków wskazał na jednego z podwładnych, wyłaniającego się z samochodu wsparcia z aparatem.

- Robimy zdjęcia. A potem rozcinamy.

- A nie należałoby najpierw przenieść to coś w bezpieczne miejsce?

- Nigdzie tego nie ruszymy, dopóki nie dowiemy się, gdzie powinniśmy to wysłać - wytłumaczył cierpliwie. - Kto wie, może w środku znajdziemy jedynie zwój dywanów. Albo truchło owcy. Wtedy chyba nie miałoby większego sensu transportowanie tego do kostnicy, co?

Zakłopotany Sam jedynie przytaknął i poczekał, aż funkcjonariusz z aparatem wykona kilkadziesiąt zdjęć nasiąkniętego pakunku. W końcu fotograf odsunął się na bok, a jeden z nurków rozciął toból długim nożem wydobytym z pochwy na pasie. Gdy rozchylił poły plastiku, Sam wstrzymał oddech.



Zgromadzona w środku woda rozlała się po bokach. W czarnym plastikowym pojemniku znajdowały się trzy zawiniątka powleczone zmatowionymi przez upływ czasu i działanie wody workami, skrępowanymi wodoodporną taśmą samoprzylepną.

Sam spodziewał się, że ujrzy ciała Danuty Barnes i pięciomiesięcznej Lynette. Ale czekała go dodatkowa niespodzianka.

Może i Tony nie doceniłby etykiетки zagubionego chłopca, którą przypięła mu Carol, ale tak Bogiem a prawdą nie była ona zbyt odległa od prawdy. W ciągu godziny, która minęła od chwili, gdy Alvin Ambrose dostarczył mu z takim trudem wywalczony stos dokumentów, Tony ledwo mógł pozbierać myśli. W tym czasie para w sąsiednim pokoju zdążyła spuwentować żywiołową kłótnię równie żywiołowym seksem. Przez przeciwną ścianę dobiegały wyraźne dźwięki transmisji z jakiegoś sportu motorowego z udziałem chrapliwych odgłosów silników i pisku opon. Kakofonia nie do zniesienia.

Prawie był gotów uwierzyć w przeznaczenie.

Ale prawie robi wielką różnicę. Tony wiedział bowiem, że gdyby nie hałas, to znalazłby sobie inną wymówkę. W końcu mógł w nich przebierać jak w ulegawkach. Kiepskie oświetlenie. Twarde łóżko. Krzesło niepasujące wysokością do biurka. Każdy z tych powodów mógł posłużyć za uzasadnienie decyzji, z którą się nosił. Postanowienia, które - jeśli miał być z sobą całkowicie szczerzy - podjął tegoż popołudnia, gdy, po zakończeniu spotkania z pośredniczką, złożył wizytę w pewnej kancelarii notarialnej znajdującej się w dogodnej odległości od hotelu.

Tony podniósł plik dokumentów i wsunął je do swojej wciąż nierozpakowanej torby podróźnej. Tak właściwie to nawet się nie wymeldował z hotelu. Z tą formalnością mógł się wstrzymać do rana. Wsiadł do samochodu i obrał tę samą trasę, którą przejechał wcześniej, lecz tym razem po drodze kilka razy skręcił w niewłaściwych miejscach. Diabli nadali, że przychodziły czasem takie dni, gdy popełniał więcej błędów niż nawet w drodze między kliniką psychiatryczną przy Bradfield Moor a własnym gankiem.

Zaparkował w uliczce przed domem, który - jak mniemał - powinien nazywać swoim własnym. Ale to byłoby bezczelne nadużycie. Bez wątpienia

w dalszym ciągu był to dom Edmunda Arthura Blythe'a. Tony'emu wydawało się jednak, że gdyby to miejsce nawiedzał duch jego dobrodzieja, nie miałby on nic przeciwko obecności żywej duszy syna.

Przekazane mu przez notariusza klucze gładko przekręciły się w bliźniaczych zamkach, a drzwi otworzyły się bez najmniejszego skrzyknięcia. W środku panowała rozkoszna cisza, której nic nie mąciło - ani miarowe tykanie zegara, ani hałas ulicznego ruchu, skutecznie tłumiony przez podwójnie szklone szyby w oknach.

Tony westchnął z zadowoleniem i przeszedł do salonu, który miał przyjemność podziwiać kilka godzin temu. Głęboko osadzone w wykuszu okno wychodziło w tym miejscu na ogród, jednak o tej porze niewiele można było dostrzec poprzez zapadające na dworze ciemności. Co prawda na górze rozciągał się widok na park, ale z perspektywy okna na parterze ogród wciąż wydawał się ustronny i zaciszny - niczym prywatny zakątek wydzielony z krajobrazu z myślą o tym domu i satysfakcji jego właściciela.

Odwrócił się, a jego wzrok padł na wysoką szafkę wypełnioną płytami CD. Gdy podszedł bliżej, półki utonęły w świetle, a Tony stanął jak wryty. Spojrzał w górę i dostrzegł czujnik ruchu przymocowany do przodu szafki.

- Sprytne - wycedził pod nosem, przebiegając wzrokiem po kolekcji płyt obejmującej dziewiętnastowieczną muzykę klasyczną i bardziej melodyjny dwudziestowieczny jazz. Arthur wyraźnie lubił nastrojową muzykę, pomyślał Tony. Z czystej ciekawości włączył odtwarzacz CD. Rozległo się bogate, płynne i rytmiczne brzmienie saksofonu - ostatni kawałek, którego Edmund Arthur Blythe postanowił posłuchać przed śmiercią. Duży wyświetlacz na przedzie odtwarzacza przewijał poszczególne literki, które ułożyły się w informację: „Stanley Turrentine\* - Deep Purple”. Tony pierwszy raz słyszał o tym muzyku, ale rozpoznał melodię i musiał przyznać, że wpada w ucho i poprawia samopoczucie.

\* Amerykański saksofonista jazzowy posługujący się pseudonimami Mr. T lub The Sugar Man.

Odszedł od szafki i zapalił klasyczną lampkę, umieszczoną w takim miejscu, by doskonale oświetlać fotel z wysokim oparciem i stojący obok

stolik. Pierwszorzędny układ dla kogoś, kto chciał w tym miejscu oddawać się lekturze i może nawet czasem sporządzić jakieś notatki. Tony wyjął z torby dokumenty i rozsiadł się w fotelu.

Przez następną godzinę siedział nad zapisem rozmowy, z kojącym brzmieniem saksofonu w tle, próbując wczuć się w rolę tajemniczego ZZ i rozszyfrować jego ostatnią rozmowę z Jennifer.

- „twój... jesteś napraw...” - czytał na głos w kółko. - Twoje co? Jesteś czym? Jesteś kim? Naprawdę jesteś czym? Kim? Jaki jesteś naprawdę? - zastanawiał się. „...owiem, poka...”. - Powiem, a jakże. A nawet więcej, bo ci pokażę. Jasne, o to ci chodzi. Chcesz jej pokazać, prawda? Ale co? Co chcesz jej pokazać?

Wstał z fotela i zaczął się przechadzać szybkim krokiem po pokoju, starając się sformułować jakąś hipotezę, która pomogłaby mu rozwiązać równanie z wieloma niewiadomymi, jakie stanowiła śmierć Jennifer. Im więcej wyczyta z przebiegu tej rozmowy, tym bardziej skróci dystans dzielący go tak od ofiary, jak i zabójcy.

- Powiesz jej, że Jeni jest naprawdę kim? Pokażesz jej, że jest jakąś?... Ale jaką? Co to za sekret? Jaką tajemnicę niby ukrywa, choć sama nie ma o tym bladego pojęcia? Jakże można mieć sekrety, o których nawet nie wiemy?

Chodząc tam i z powrotem, natrafił w końcu na barek. Nie stały na nim jednak - jak można było się spodziewać - typowe ciężkie kryształowe szklanki, które bardziej pasowałyby do otaczających je nieco staromodnych, lecz funkcjonalnych mebli, tylko nowoczesne, stylowe szkło, które niezbyt pewnie układało się w dłoni. Podniósł jedną ze szklanek i z zadowoleniem zważył w ręce. Pod wpływem nagłego impulsu Tony nalał sobie mały kieliszek brandy marki Armagnac. Zwykle nie wybrałby akurat tego alkoholu, ale obecność na stoliku aż trzech różnych odmian tego trunku przekonała go, że musiała być to „trójca”, którą Edmund Arthur Blythe przedkładał nad inne. Tony uznał zresztą, że wypadałoby wznieść toast za pamięć zmarłego jego ulubionym drinkiem. No może nie za pamięć jako taką, bo w końcu Tony nie miał żadnych wspomnień związanych z tym człowiekiem. Ale za podjętą z za grobu próbę zadośćuczynienia? Czemu nie! Pal licha, że była to próba z góry skazana na niepowodzenie.

Krążąc po pokoju i sącząc brandy, Tony ponownie zaczął rozmyślać nad wszystkim, czego dowiedział się o Jennifer i jej zabójcy. Jakaś myśl nie dawała mu spokoju, ale nie potrafił jej ubrać w słowa. Było to coś, co już wcześniej zaczęło mu świtać w głowie. Tylko co? Wrócił do torby i wyjął z niej dokumenty, które Patterson przesłał mu pocztą elektroniczną zaraz po pierwszej rozmowie przez telefon. Najbardziej interesowały go zdjęcia z miejsca zbrodni i raport z sekcji zwłok.

Dokładnie przyjrzał się każdej fotografii, szczególną uwagę zwracając na ujęcia okaleczonego ciała Jennifer na stole sekcyjnym. Potem przeczytał ponownie wstępny raport śledczy, wnikliwie studiując przywołane w nim godziny.

- Według zeznań świadków Jennifer widziano najpóźniej kwadrans po czwartej. Raport ze zgłoszenia zaginięcia sporządzono zaraz po dziewiątej. A jeśli kierowcy nie kłamią, nie mogłeś podrzucić jej ciała później niż wpół do ósmej, bo właśnie wtedy w zatoczce stały dwie pierwsze ciężarówki. Tak naprawdę to miałeś ją dla siebie tylko przez kilka godzin.

Odłożył raport i ponownie zaczął krążyć po pokoju, tym razem zatrzymując się przy drewnianej, zdobionej obudowie kominka. Oparł się o jego obudowę i spojrzął w dół na puste palenisko, starając się wśliznąć w umysł zabójcy Jennifer - poczuć to co on i poznać jego myśli.

- Musiałeś zabrać ją z dala od ludzi, odurzyć, udusić za pomocą plastikowego worka, okaleczyć, a potem porzucić w upatrzonym miejscu - powiedział powoli. - Z czego czujesz przyjemność?

Jaki był twój motyw? Co cię w tym wszystkim kręci? To, że była w twoim władaniu? Że była na twojej łasce?

Odwrócił się i podszedł do okna, wpatrując się w mrok gęstniejący na dworze. W odbiciu szyby dostrzegł swoją marsową minę.

- I czemu tak krótko? Całe tygodnie nęciłeś ją, by w końcu połknęła haczyk. I po co? Dla paru godzin zabawy?! Nie wydaje mi się. Tak uważnie wszystko zaplanowałeś, poświęciłeś temu przedsięwzięciu tyle zachodu, czasu i sił, chciałeś więc mieć ją dla siebie znacznie dłużej niż przez kilka nędznych godzin. Przecież jej pragnąłeś, powinieneś więc powoli i stopniowo zaspokajać swoje pragnienie. Ale ty zachowałeś się łapczywie.

Zwyczajnie ją zabiłeś, pociąłeś i wyrzuciłeś. I gdzie tu sens?

Cała nabyta przez lata wiedza podpowiadała mu, że zabójcy tacy jak ten rozkoszowali się chwilami spędzonymi w towarzystwie swoich ofiar. Wybierali kryjówki z dala od wścibskich oczu, by móc zaspokajać swe żądze nie raz i nie dwa. Nie ryzykowali przecież pojmania ofiary tylko po to, by zaprzepaścić możliwość maksymalnego wydłużenia czerpanej z całego aktu przyjemności. Zabójcy, którzy woleli żywą zdobycz, krępowali, gwałcili, katowali, torturowali i delektowali się okazją do nadania swoim fantazjom formy z krwi i kości. Nierzadko z naciskiem na krew. Ci zaś, którzy wyżej cenili sobie bezwład zwłok, często zadawali sobie wiele trudu, by wydłużyć datę ich przydatności do użycia. Początkowe stadia rozkładu rzadko odstraszały co bardziej pokręconych.

Ale w przypadku Jennifer było inaczej.

- Zabiłeś, pociąłeś i wyrzuciłeś - powtórzył. - Zero czasu na zabawę. Coś musiało cię powstrzymać. Ale co?

To musiało być coś nieprzewidywalnego. Może miejsce, w które zamierzał ją zabrać, okazało się nagle niedostępne. Albo coś wstrząsnęło jego normalnym życiem tak bardzo, że uniemożliwiło trzymanie się wcześniejszych założeń. Cokolwiek to było, musiało nie cierpieć zwłoki. Nic innego nie mogło przeszkodzić zabójcy w zaspokojeniu przemożnej żądzy, a już na bank nie wtedy, gdy miał ofiarę w swoich rękach.

W końcu jakieś sensowne wyjaśnienie, pomyślał Tony. Ale nie aż tak sensowne, by się nim zadowolili.

- Zabiłeś, pociąłeś i wyrzuciłeś - wymruczał pod nosem, gdy podchodził z powrotem do barku, przy którym nalał sobie odrobinę brandy z drugiej butelki. Pociągnął łyceczek i znów zaczął krążyć po pokoju.

Nagle stanął jak wmurowany.

- Pociąłeś. Pociąłeś. - Tony uderzył się w czoło. Spiesznym krokiem wrócił do fotografii, potwierdzających wniosek, który już wcześniej miał na końcu języka.

- Wyciąłeś jej pochwę, wyrwałeś szyjkę, urzynałeś macicę. Nie patyczkowałeś się. Ale łechtaczkę zostawiłeś w spokoju.

Tony osuszył szklanke i wrócił do barku po dolewke. Wniosek, który tak długo dobijał się do jego świadomości, był dla niego aż nadto oczywisty. Choć każdemu śledczemu, badającemu podobną sprawę, wydałby się on absurdalny, bo sprzeczny z intuicją. Ale Tony nigdy nie odrzucał możliwych wyjaśnień tylko dlatego, że innym nie mieściły się w głowie. To między innymi dlatego Carol Jordan tak bardzo ceniła jego niepospolity umysł. Jakoś nie wierzył jednak, że inspektor Patterson podzieli jej ocenę. Lecz nie mógł tego zdusić w sobie. Był to bowiem jedyny sensowny wniosek, który można było wysnuć na podstawie dwóch dostrzeżonych przez niego sprzeczności.

- To zabójstwo nie miało podtekstu seksualnego! - oznajmił na głos przed pustym pokojem. - Nic z tych rzeczy. Motyw motywem, ale na pewno nie chodziło o danie upustu seksualnym popędom!

Ta konkluzja nasuwała jednak od razu inne pytanie, które - zdaniem Tony'ego - było jeszcze bardziej niepokojące. Jeśli nie chodziło o seks, to o co?

## ROZDZIAŁ 18

Alan Miles od razu rzucił się w oczy. Jako jedyny stał na zewnątrz dworca w Halifaksie, skąpany w delikatnej mżawce ciągnącej od Gór Peńskich, która z zapamiętaniem stukała o pobliski daszek. Carol zaparkowała w niedozwolonym miejscu i szybkim krokiem podeszła do nieco przygarbionej postaci spoglądającej na świat przez szkła, których nie widziała na niczym nosie od czasów, gdy publiczna służba zdrowia przestała refundować okulary na receptę. Góra z szerokiego czarnego plastiku, pozostała część grubych jak butelki po mleku szkieł obramowana stalowym drucikiem. Twarz niczym z posągów na Wyspie Wielkanocnej. Z łatwością mogła sobie wyobrazić, jak kiedyś zamieniał w piekło życie młodych gniewnych kończących gimnazjum.

- Pan Miles? - zapytała.

Odwrócił głowę z gracją podstarzałego żółwia i otaksował ją wzrokiem. Najwyraźniej widok mu się spodobał, bo jego oblicze zupełnie zmieniło wyraz, gdy rozświetlił je uśmiech przesiąknięty słodyczą. Ręka powędrowała mu do runda kaszkietu i uniosła go nieco w geście godnym dżentelmena starej daty.

- Pani Jordan - odpowiedział. - Bardzo pani punktualna. Takie kobiety to ja lubię. - Na żywo jego głos brzmiał jak tubalna wersja tembru co bardziej zgrzybiałej nestorki rodu z wieloodcinkowej telenoweli.

- Dziękuję.

- Żywię nadzieję, że przez telefon nie wydałem się pani zbyt obcesowy. Moje telefoniczne maniery pozostawiają wiele do życzenia. To ustrojstwo strasznie mnie konfunduje. Zdaję sobie sprawę, że przez telefon brzmię

jak zgryźliwy tetryk. Moja szanowna małżonka cały czas mi powtarza, że wszelkie rozmowy telefoniczne powinienem pozostawić w jej gestii. Carol westchnęła.

- Zazdroszczę panu. Sama najchętniej zrzuciłabym ten obowiązek na kogoś innego - odpowiedziała. Pół żartem, pół serio, bo ostatnie dwadzieścia minut spędziła na rozmowach z komendantami różnych oddziałów policji, funkcjonariuszami biura prasowego i z członkami własnego zespołu, by się upewnić, że robią wszystko, by odnaleźć Setha Vinera. I że nie zapominają także o Danielu Morrisonie. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, że sama dała nogę w samym środku zawieruchy. Ale poczucie winy nie było aż tak silne, by odciągnąć ją od innego zadania, którego się podjęła.

- Nie uszło mojej uwagi, że przyjechała pani autem. Świetnie się składa, doprawdy - stwierdził Miles. - Jeśli nic nie stoi na przeszkodzie, to moglibyśmy podjechać pod same wrota niegdysiejszego królestwa Blythe'a i Spółki. Da to pani całkiem niezły posmak tego miejsca. A potem w pobliskim pubie możemy urządzić sobie małą libację, podczas której wyłuszczę moją wiedzę na temat tej firmy. Oczywiście, jeśli łaskawa pani nie ma żadnych obiekcji.

Carol z trudem powstrzymała się od parsknięcia śmiechem. Miała wrażenie, jakby nagle przeniosła się na plan serialu BBC pomysłu imienników Milesa - Alanów Benneta lub Platera\* - którzy mieli prawdziwą smykałkę do pisania ról ekscentryków rodem z Yorkshire.

\* Uznani scenarzyści sztuk i seriali telewizyjnych, zawodowo i prywatnie związani z północną częścią Anglii, w tym z historycznym hrabstwem Yorkshire, w którego zachodniej części leży Halifax.

- Z miłą chęcią, panie Miles.

- Proszę mi mówić po imieniu - zasugerował z szelmowskim uśmiechem. Gdyby miał sumiaste wąsy, z pewnością by je teraz podkreślił, pomysłała Carol, gdy prowadziła go w kierunku auta.

Alan usiadł w miejscu dla pasażera sztywno, jakby połknął kij od mioty, potem nachylił się w stronę przedniej szyby, by lepiej widzieć, dokąd jadą. Wskazywał jej drogę poprzez zawiły system jednokierunkowych ulic,



aż w końcu zostawili za sobą śródmieście i zaczęli wjeżdżać pod górkę stromą drogą, otoczoną po obu stronach niewielkimi szeregowymi domkami z kamienia. Jakoś w połowie podjazdu skręcili w labirynt wąskich uliczek.

Za ostatnim zakrętem Carol zatrzymała auto - zabrnęli w ślepy zaułek. Po jednej stronie dostrzegła rząd ceglanych domów z drzwiami otwierającymi się wprost na ulicę, a po przeciwnej - boczną ścianę budynku, który wyglądał na magazyn albo niewielką fabrykę. Z pewnością stał tu nie od dziś, na co wskazywała kamienna elewacja i dach pokryty łupkowymi dachówkami. Z jednej strony budynku znajdował się plac parkingowy, odgrodzony wysoką łańcuchową siatką. Metalowy szyld głosił: Samochody sportowe - Yorkshire.

- No i jesteśmy - powiedział Miles. - Drzewiej właśnie tu miała swoją siedzibę firma Blythe i Spółka, Specjalistyczna Obróbka Wykończeniowa Metali.

Trudno było się zachwycać tak przeciętnym budynkiem, ale był on przynajmniej kolejnym krokiem naprzód w jej wędrówce śladami Arthura Blythe'a.

- To nie lada gratka, Alan. Przekonać się na własne oczy, że ten budynek jeszcze się nie zawalił. - Gdyby chciał, również i Tony mógłby odwiedzić to miejsce i oczami wyobraźni przenieść się w zamierzchłe czasy. Ale nie wiedzieć czemu wydawało jej się, że Tony machnąłby na to ręką. - To co możesz mi powiedzieć o tej spółce i jej właścicielu?

- To może najpierw skierujemy się do pubu?

- Zgadzam się z panem w całej rozciągłości - odpowiedziała Carol, zastanawiając się, dlaczego sama zaczęła mówić jak telewizyjni mieszkańcy Yorkshire. Jeszcze chwila i zamówię ten dziwny tutejszy drink dla starych panien: wino porto z cytryną.

Kawałek dalej pub Weaver's Shuttle\*, nazwany tak zapewne dla upamiętnienia długoletniej historii włókiennictwa w Halifaksie, przycupnęła między innymi budynkami, obok starej fabryki z czasów królowej Wiktorii, zrewitalizowanej i przekształconej jakiś czas temu w apartamentowiec.

\* Dosłownie - Czółenko Tkacza.

Sam pub nie przeszedł jednak renowacji, a jego gołe kamienne ściany i nisko sklezione belki na suficie z uporem wartym lepszej sprawy otaczały staromodny bar. Przysiadły w nim rozgadane parki, starsi panowie grający w domino, a grupka kobiet w kwiecie wieku rozgrywała wielce porządną partyjkę rzutek.

Na widok Milesa barman skinął głową.

- Bry wieczór, Alan. To co zwykle? - Nie czekając na odpowiedź, jedną ręką sięgał po mały kufel, a drugą do drewnianego uchwyty kranika z piwem.

- Zaiste, mój dobrodzieju. A co dla pani, młoda damo? - Miles zdjął czapkę, odsłaniając świecąca łysinę okoloną kędziorami siwych włosów.

- Pozwól, że sama się obsłużę, Alan. - Carol uśmiechnęła się.

- Hm, mam ochotę na wytrawne białe wino - zamówiła, wąpiąc jednak, czy podany jej trunek dorówna klasą tym wszystkim naturalnym piwom jęczmiennym, których plakietki rzędem zdołały uchwyty kraników z piwem na całej długości baru.

- Mogę zaproponować południowoafrykańskie sauvignon blanc albo pinot grigio, otwarte dopiero co dzisiaj - poinformował barman. - Ewentualnie zimne chilijskie chardonnay.

- Skosztuję kieliszek tego sauvignon - odpowiedziała, zdając sobie sprawę, jak wielką miała ochotę się napić. Dawno już nie zwlekała do tak późnych godzin z wypiciem pierwszego łyka wina. Być może więc mijala właśnie pewną granicę, pozostawiając za sobą czasy, gdy alkohol był jedyłą niezawodną rozrywką w jej codziennym grafiku. Kolejna rzecz, która mogłaby ucieszyć Tony'ego.

Upragnione wino okazało się zimne, z bogatym bukietem aromatu trawy i posmakiem agrestu. Gdy piła pierwszy łyk, Alan Miles przyglądał się jej z zaciekawieniem. Zachichotał. Trudno byłoby inaczej opisać jego reakcję, pomyślała Carol.

- Nie tego się pani spodziewała - zauważył.

- Życie jest pełne niespodzianek, zwykle tych niemiłych - odpowiedziała, zaskoczona własnym tupetem.

- W pani ustach to brzmi jak... cóż, wielka szkoda, pani Jordan - odparł. - Ale przejdźmy do meritum. Chciała się pani dowiedzieć czegoś o

wiadomej spółce. Eddie Blythe był w zasadzie tutejszym chłopakiem, wychował się zaledwie kilka kilometrów od centrum Halifaksu, w Sowerby Bridge. Ponoć nie brakowało mu pomysłu. Uczęszczał do uczelni technicznej w pobliskim Huddersfield, w której objawił swoje talenta w zakresie metalurgii. Przypadkowo albo naumyślnie wykonał nowy proces powlekania metali, który okazał się bardzo użyteczny w produkcji instrumentów medycznych. Skalpele, kleszcze i takie tam, o ile mnie pamięć nie myli. Opatentował swój świetny pomysł i założył fabrykę wytwarzającą własną markę produktów. Wyraźnie mu się powiodło. Aż tu nagle przyszła wiosna sześćdziesiątego czwartego roku i Blythe sprzedał cały ten majdan pewnej firmie stalowej z Sheffield. W ciągu paru tygodni właśnie tam przeniesiono całą produkcję, a za nią podążyli najważniejsi pracownicy. Nowy właściciel pokrył nawet koszty przeprowadzki i tym podobne. - Zamilkł i wypił łyk ciemnego lekkiego piwa.

- Bardzo ładnie z ich strony - skomentowała Carol.

- Przypuszczalnie był to jeden z warunków postawionych przez Eddiego Blythe'a tym bonzom z Sheffield. - Z wewnętrznej kieszeni wyjął cienką kopertę. - W środku znajdzie pani ksero artykułu na ten temat - rzekł, podając jej kartki.

„Miejscowa firma zmienia właściciela” - przeczytała nagłówek. Lecz składający się z kilku akapitów artykuł nie powiedział jej wiele więcej poza tym, co już wcześniej usłyszała od Milesa. Jej wzrok przykuło za to zajmujące dwie szpalty zdjęcie, którego podpis głosił: „E.A. Blythe (z lewej) dobiła targu z J. Kessockiem z Przedsiębiorstwa Produkcyjnego Rivelin”. Przez przymrużone oczy spojrzała na zdjęcie, dziwnie poruszona. W układzie ramion, w pochyleniu głowy, a nawet w kształcie twarzy postaci na zdjęciu trudno było nie dostrzec podobieństwa do Tony'ego. Wyjęła długopis i zapisała w notatniku datę publikacji artykułu.

- Gdy tylko odsprzedał fabrykę, wyjechał z miasta - ciągnął Miles. - Nie udało mi się dotrzeć do nikogo, kto znałby go z widzenia, nie wiem więc, co stało za tą nagłą decyzją. Warto więc chyba sprawdzić, co na to archiwa „ha-ha-ha”.

- Ha-ha-ha? I gdzie tu powód do śmiechu?

- Przepraszam. Cały czas zapominam, że pani nietutejsza. Chodziło mi

o miejscową gazetę. „Halifax and Huddersfield Herald”. Od jakiegoś czasu „digitalizują” - Miles wypowiedział to obco brzmiące słowo z wyraźnym niesmakiem - swoje stare wydania. Za pomocą ich wyszukiwarki udało mi się nawet znaleźć kilka perełek dotyczących mojej pasji, czyli przemysłu wełnianego. Artykuły można przeszukiwać pod kątem poszczególnych fraz i tym podobnie. Niestety, nie miałem dziś po południu czasu, by odwiedzić bibliotekę osobiście. A w domu nie mam internetu - powiedział.

Carol usłyszała w jego głosie smutek, do którego jednak z pewnością w życiu by się nie przyznał

- Dziękuję za odpowiedź. Jak wrócę do siebie, nie omieszkam sprawdzić. - W najgorszym wypadku znajdzie przynajmniej bardziej czytelną kopię artykułu, który Miles właśnie składał i chował z powrotem do koperty. - Bardzo mi pomogłeś - powiedziała.

Przybrał skromną minę.

- Człowiekiem jestem i nic co ludzkie nie jest mi obce. Przy odrobinie wysiłku sama by się pani wywiedziała.

- Niewykluczone. Ale minęłoby kilka chwil, zanimbym na to w ogóle wpadła. A jak mawiają, czas to pieniądz, więc zawsze jestem wdzięczna, gdy ktoś pomaga mi go zaoszczędzić.

- Nielatwą ma pani pracę - odparł. - Facet by się nie powstydział, ale wy, kobiety, zawsze musicie starać się dwa razy bardziej, by ktoś was docenił, czyż nie, panienko?

Uśmiechnęła się lodowato.

- Z ust mi to wyjąłeś.

- Czy więc udało mi się rzucić nowe światło na tę niewyjaśnioną sprawę? - zapytał, przewiercając ją wzrokiem.

- Twoje informacje były bardzo pouczające. - Carol dopiła wino. - Czy chcesz, żebym cię gdzieś podwozioła?

Miles pokręcił głową.

- Mieszkam zaledwie pięć minut stąd. Udanego śledztwa życzę. Mam nadzieję, że idąc za przykładem Policji Konnej, dopniecie swego\*.

\* Nawiązanie do motta Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej: *The Mountie always gets his man* - co można przetłumaczyć jako: „Policjant konny zawsze dopina swego”.

Tym razem to ona pokręciła głową, zastanawiając się, gdzie jest teraz Tony i co robi.

- Obawiam się, że na to może być już za późno. Niestety, nierozwiązane sprawy mają czasem to do siebie, że zamieszani w nie ludzie mogą być poza naszym zasięgiem.

Nikt nigdy nie zgłaszał się na ochotnika, by towarzyszyć rodzinie zmarłego przy ostatecznej identyfikacji zwłok. Niezależnie od tego, ile razy zdarzyło ci się już prosić ludzi o pomoc w odgadnięciu personaliów zmarłych, za każdym razem czuleś się jak w wyjątkowo pokrętej odmianie „Milionerów” - bez kół ratunkowych i progów gwarantowanych. Każda dochodzeniówka kierowała się w tym zakresie swoimi własnymi procedurami. Jedni zostawiali ten przykry obowiązek „rodzinnym”; niektórzy starsi rangą oficerowie wyznawali zaś zasadę: „jeśli chcesz zrobić coś dobrze, zrób to sam”. Natomiast w zespole Carol Jordan do wszystkiego stosowano tę samą prostą regułę - do każdego zadania przydzielaj osobę najlepiej nadającą się do jego wypełnienia. Co oznaczało, że to Paula najczęściej miała wątpliwą przyjemność służyć ramieniem rodzinom podczas wizyt w kostnicy.

Za każdym razem, gdy przypadał jej ten „zaszczyt”, wołała działać w pojedynkę. Wtedy przynajmniej musiała się użerać tylko i wyłącznie z pograżonymi w żałobie, którzy mieli właśnie stawić czoło nieruchomemu ciału i ocenić, czy przedstawione im szczątki są tymi, które najbardziej obawiali się ujrzeć.

Rodzicom Daniela powiedziano, że istnieje prawdopodobieństwo, że znalezione wcześniej ciało to zwłoki ich syna. Ale Paula i tak wiedziała swoje - że Morrisonowie wciąż będą się ludzić, święcie przekonani, że na miejscu zbrodni doszło do kuriozalnej pomyłki, w wyniku której jakąś zupełnie obcą im osobę mylnie zidentyfikowano jako ich ukochanego chłopca. Dopóki na własne oczy nie zobaczą ciała Daniela, będą kurczowo trzymać się tych płonnych iskerek nadziei. I to właśnie Paula będzie musiała brutalnie pozbawić ich resztki złudzeń.

Towarzyszący Morrisonom od rana „rodzinnym” wprowadził Paulę do kuchni, w której unosiła się mgielka papierosowego dymu. Jessica Morrison

siedziała na stołowym blacie w marmurkowy deseń, beznamiętnym wzrokiem przyglądając się przez szybę ciemności panującej na dworze za przyległą do domu szklarnią. Obok jej splecionych dłoni stała nietknięta filiżanka herbaty. Staranny makijaż pokrywał jej twarz jak polewa zdobiąca tort. Jedynie przekrwione oczy i błędny wzrok wskazywały na wzbierające w niej cierpienie.

Na wysokim stołku przy śniadaniowym barku przysiadł jej mąż, a obok niego leżała popielniczka pełna popiołu, komórka i słuchawka przenośnego telefonu stacjonarnego. Gdy dojrzał Paulę, zrobił minę zbitego spaniela, z nadzieją oczekując dobrych wieści. Paula lekko pokręciła głową. Otworzył usta, ale nie wydobył z siebie żadnego dźwięku. Wyjął jedynie paczkę papierosów z kieszeni pomiętej koszuli i zapalił.

- Nie kurzyłem przez prawie dwadzieścia lat - powiedział wreszcie. - Ale widzę, że tego się nie zapomina, jak jazdy na rowerze.

Paula zaczynała rozumieć, dlaczego w dawnych czasach posłaniec przynoszący złe wieści tak często tracił głowę - i to nie tylko w przenośni. Lecz wciąż nie miała bladego pojęcia, jak osłodzić gorzką pigułkę prawdy, by rodzina ofiary zdołała ją przełknąć.

- Obawiam się, że któreś z państwa będzie musiało mi towarzyszyć. Musimy się upewnić, czy znalezione ciało należy do Daniela - zaczęła. - Bardzo mi przykro, ale nie ma innego wyjścia.

Jessica skoczyła na nogi i zeszywniała niczym zgrzybiała artretyczka.

- Ja pójdę.

- Nie. - Mike zeskoczył ze stołka i powstrzymał ją gestem dłoni. - Nie, Jess. Nie jesteś na to gotowa. Ja pójdę. A ty zostań tutaj. Tego by jeszcze brakowało, żebyś zobaczyła go w takim stanie.

Jessica spojrzała na niego jak na szaleńca.

- To przecież nie może być Daniel, więc co za różnica? Ja pójdę.

Mike wyglądał na poruszonego. Widać nie stracił jeszcze do końca głowy i zdrowego rozsądku, pomyślała Paula.

- A co jeśli to on? Ja dam sobie radę, Jess. Ale kostnica to nie miejsce dla ciebie.

Lekceważąco wzruszyła ramionami.

- Jeśli to Daniel, w co nie wierzę nawet przez chwilę, to tym bardziej muszę go zobaczyć. W końcu wydałam go na świat. Mam więc święte prawo, by go pożegnać. - Minęła go, zmiernając przez hol w kierunku drzwi.

Mike Morrison popatrzył błagalnie na Paulę.

- Nie jest dość silna, by się z tym zmierzyć - zżymał się. - Powiniennem ją wyręczyć.

- Myślę, że pan również powinien z nami pojechać - odpowiedziała. - Pana żonie przyda się oparcie. Ale uważam, że ona ma rację. Musi go zobaczyć na własne oczy. - Klepnęła go w ramię i ruszyła w ślad za Jessicą do auta.

Paula cieszyła się, że przejazd do szpitala Bradfield Cross, przy którym mieścił się oddział patologiczny doktora Griszy Szatałowa, trwał tak krótko. Ponurą atmosferę w aucie można było bowiem kroić nożem, a panująca niepodzielnie cisza wypełniała każdy zakamarek wozu. Paula zaparkowała auto przy zatoczce przeznaczonej dla szpitalnego pojazdu do przewozu zwłok i poprowadziła pasażerów do środka budynku przez zakamuflowane tylne wejście. Morrisonowie podążali w ślad za nią niczym owieczki prowadzone na rzeź. Weszli do niewielkiego, pomalowanego w subtelne barwy pokoju z długą kanapą stojącą przed zamontowanym na ścianie monitorem.

- Proszę usiąść - zaproponowała Paula. - Kiedy już będą państwo gotowi, na ekranie wyświetlimy wizerunek osoby, którą być może zidentyfikujecie.

- Myślałem, że pokażecie nam... - Mike nagle zamilkł. Nie potrafił znaleźć właściwego słowa określającego ciało, które, jak Paula mogła przypuszczać, należało do jego syna.

- Z doświadczenia wiemy, że to mniej traumatyczny sposób prezentacji - odparła Paula, jakby naprawdę wierzyła w swoje słowa. Lecz tak po prawdzie, to nie potrafiła sobie wyobrazić, jakim cudem można byłoby choć odrobinę ulżyć cierpieniu rodzica. Poczekała, aż usiądą, po czym dołączyła: - Przepraszam na chwilę.

Zostawiła Morrisonów i ruszyła korytarzem w stronę pokoju techników.

- Czekamy na Daniela Morrisona. No wiecie, na to ciało, które dostaliście dziś rano?

- Wszystko gotowe - potwierdził jeden z techników. - Wystarczy włączyć monitor.

Gdy wróciła do pokoju z ekranem, Paula najpierw upewniła się, że Morrisonowie są w miarę opanowani i gotowi, po czym włączyła monitor. Obraz stał się najpierw srebrno-siwy, dopiero potem pojawiła się na nim twarz Daniela.

Paula pomyślała, że patolodzy całkiem nieźle się spisali. Zmarłym przez uduszenie zawsze daleko było do uczestników konkursów piękności, ale tym razem udało się przynajmniej zmniejszyć opuchliznę i krwawy obrzęk tkanek, które wcześniej były widoczne jak na dłoni. Oczy miał zamknięte, a włosy - uczesane. Żadną miarą nie można było go nazwać okazem zdrowia, ale przynajmniej nie wyglądał choć w przybliżeniu tak koszmarnie jak wtedy, gdy go znaleźli.

- To nie Daniel - powiedziała głośno Jessica. - To nie jest mój syn.

Mike objął ją ramieniem i mocno przytulił.

- Mylisz się, Jess - stwierdził ponuro. - To jest Daniel.

Odepchnęła go, chwiejąc się, wstała i podeszła do ekranu.

- To nie Daniel! - wrzasnęła, łapiąc się za pierś. Nagle jej twarz wykrzywił wyraz rozdzierającego bólu, reszta ciała skrzywiła się i wygięła, a usta złożyły się w niemy krzyk pełen rozpacz. Upadła na ziemię, a jej ciałem wstrząsnął spazm.

- Jess! - wykrzyczał Mike, upadając obok niej na kolana. - Pomocy! - ryknął w kierunku Pauli. - To chyba zawał!

Paula biegiem opuściła pokój i z łoskotem otworzyła drzwi pokoju techników.

- Atak serca, wezwijcie pomoc!

Popatrzyli na nią w osłupieniu.

- Ale przecież nie jesteśmy podłączeni do szpitalnego systemu.

- To ją, kurwa, chociaż połóżcie na te pierdolone nosze i zawieźcie na ostry dyżur! Daleko macie?! - wyszczała Paula. - Ruszcie dupy!



Wdarzenia następnych kilku minut zmieniały się jak w kalejdoskopie, więc po wszystkim z trudem potrafiła przypomnieć sobie ich właściwą kolejność. Bura, którą dostali od Pauli, postawiła ich na nogi. Załadowali Jessicę na nosze z kółkami i popędzili korytarzami szpitala do ambulatorium. Paula i Mike ruszyli w ślad za nimi. Ich przybycie poderwało do działania personel oddziału ratunkowego, który sprawnie i z niezachwianą pewnością siebie przejął pacjenta. Paulę i Mike'a odesłano do poczekalni.

Paula upewniła się, że mąż Jessiki jakoś się trzyma, a w recepcji wiedzą, gdzie go znaleźć i gdzie ona się udaje, po czym - w przyпіlywie nikotynowego głodu - ruszyła w kierunku postoju ambulansów. Jedną ręką trzymała już drzwi, a drugą - paczkę papierosów, gdy usłyszała za sobą dziwnie znajomy głos:

- Detektyw McIntyre?

Gwałtownie odwróciwszy się na pięcie, Paula napotkała spojrzenie pełnych ciepła szarych oczu i nieśmiały uśmiech.

- Doktor Blessing - niemal zakrzyknęła, nie mogąc powstrzymać szerokiego uśmiechu rozświetlającego jej twarz. - Znaczy się, Elinor - dodała, przypominając sobie, że już ostatnim razem przeszły na „ty”.

- Miło cię widzieć - rzekła Elinor. Gdy wyszła za Paulą na zewnątrz i poczuła na skórze zimne wieczorne powietrze, opatulila się połami białego fartucha.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiedziała Paula. Nie żartowała, pierwszy raz od dawna miała w głowie to, co na języku.

Kiedy poznały się w trakcie poprzedniego śledztwa, Paula miała wrażenie, że między nimi zaiskrzyło. Zdawało jej się nawet, że Elinor próbowała z nią flirtować. Ale mogła się mylić - może i Elinor wysyłała dwuznaczne sygnały, ale przez długie lata samotności Paula niemal już zapomniała, jak je prawidłowo interpretować. Poza tym wówczas była zmęczona jak diabli. W sumie - wtedy zupełnie nie miała na to siły. Później co prawda chciała wybać, czy rzeczywiście coś było na rzeczy, ale - jak to zwykle bywa - inne sprawy weszły jej w paradę.

- Wciąż pracujesz w zespole nadinspektor Jordan? - zapytała Elinor.

- Zgadza się. Nadal nie potrafię przeciąć pępowiny łączącej mnie z najgorszymi uczynkami, które ludzie wyprawiają swoim bliźnim. A ty? Wciąż współpracujesz z panem Denbym?

- Chwilowo tak. Ale już niedługo. A tymczasem zmierzam do Starbucksa - odparła Elinor. - Jeśli wypiję jeszcze jeden kubek kawy parzonej przez stażystów, to skończy się na płukaniu żołądka. Dasz się zaprosić? - Zauważyła paczkę papierosów w ręce Pauli. - Mają stoliki na dworze.

Paula poczuła chwilowy przyływ bezsilnej złości.

- Bardzo chętnie, ale nie mogę. - Wskazała dłonią ambulatorium. - Muszę być pod ręką. Taka praca. - Rozłożyła ręce w geście rezygnacji.

- Nie widzę problemu. To tylko dwie minuty spacerem. Może więc coś ci przynieść?

Paulę ogarnęło przyjemne uczucie. A więc nie myliła się, ta kobieta rzeczywiście miała ją na oku. I najwyraźniej chciała dostać się do jej serca przez żołądek.

- Skoro nalegasz, to nie obraziłabym się na duży kubek latte z chudym mlekiem.

- Przyjęłam zamówienie! - Elinor minęła podjazd tak spieszonym krokiem, że wydawała się jedynie białą niewyraźną plamą na tle świateł ulicznych latarni.

Paula zapaliła papierosa i wyjęła telefon. „Poz ident Daniela Morrisona. Matka miała zawał. Czekam w ambulatorium z ojcem. DoZo” - wstukała na klawiaturze i wysłała SMS-em do Carol. Teraz powinna mieć przynajmniej trochę luzu, by w spokoju wypić kawę, a przy okazji wybać zamiary tej cudownej doktor Blessing. Może i praca wciąż była gówniana, ale przynajmniej jej życie prywatne zdawało się wychodzić na prostą.

## ROZDZIAŁ 19

Nie żeby tęskniła, gdy nie było go w pobliżu. Nie byli parą papużek nierozłączek, które świata poza sobą nie widzą. Gdy oboje mieli na głowie własne sprawy, z powodzeniem mogła znieść nawet i tydzień wieczoru spędzonego w jego towarzystwie. A mimo to Carol zawsze czuła przez skórę pustkę panującą w domu powyżej jej piwnicznego mieszkania, gdy Tony gdzieś wyjechał. Każdy z nich miał swoje własne zajęcia, a drzwi na górze i na dole wewnętrznej klatki schodowej pełniły funkcję podobną do powietrznej śluzy oddzielającej prywatność każdego z nich.

Co z tego, skoro i tak zawsze przeczuwała, kiedy nie ma go w domu. Może nawet znalazłoby się jakieś racjonalne uzasadnienie tego faktu - kto wie, a nuż jego ruchy przekładały się na prawie niedostrzegalne drgania nieorganicznej tkanki tego domu, więc jego nieobecność zakłócała pracę prymitywnej części jej mózgu - tej, którą odziedziczyła po gadzich przodkach. Chyba że Blake jednak miał rację, gdy insynuował, że ich dwoje zbyt blisko się do siebie zbliżyło. Na samą myśl aż ciarki jej przeszły po plecach. Jej uczucia względem Tony'ego były zawile jak pajęczyna, nad której wytrzymałością - bądź wiotkością - wolała się nawet nie zastanawiać.

Wmówiła więc sobie, że nawet lepiej, że nie ma go teraz w pobliżu, zupełnie jakby jego obecność mogła utrudnić zgłębianie tajemnic jego przeszłości. A już na pewno spotęgowałyby ciągle przypominające o sobie wyrzuty sumienia, które nękały ją z powodu drażenia tej sprawy za jego plecami i wbrew wyraźnym życzeniom.

Jakby zadając kłam drążącym ją wątpliwościom, uruchomiła wyszukiwarkę Google i po zaledwie kilku chwilach weszła na stronę główną dziennika „Halifax and Huddersfield Herald”. W polu dostępnej tam wyszukiwarki wpisała najpierw frazę „Eddie Blythe”. Zero trafień. Gdy jednak zmieniła pierwsze słowo na „Edmund”, wyniki wyszukiwania zaczęły zapełniać ekran.

Pierwszą pozycją na liście, najświeższą według daty publikacji, był link do artykułu, który Alan Miles pokazał jej w pubie. Ku jej wielkiemu rozczarowaniu, zeskanowano tylko sam tekst, bez zdjęcia. Następny wynik wyszukiwania stanowiła informacja o ofercie sprzedaży firmy Blythe'a przedsiębiorstwu z Sheffield. Zdążyła już przeczytać połowę tekstu, gdy nagle kolejny akapit wprawił ją w niemałe osłupienie. „Redakcja nie zdołała jednak uzyskać komentarza Edmunda Blythe'a, właściciela fabryki, gdyż ten wciąż dochodzi do siebie po niedawnym brutalnym napadzie, o którym pisaliśmy w jednym z poprzednich wydań”.

Brutalny napad? Alan Miles nawet słowem się nie zająknął o tym wydarzeniu. Carol czym prędzej przewinęła pozostałe wyniki wyszukiwania w poszukiwaniu artykułów, które nie były związane z fabryką Blythe'a. Zaledwie kilka linków w dół trafiła w dziesiątkę.

### BRUTALNY NAPAD W SAVILE PARK

PRZEDSIĘBIORCA Z HALIFAKSU TRAFIŁ W CZORAJ W NOCY DO SZPITALA W WYNIKU BRUTALNEGO NAPADU, DO KTÓREGO DOSZŁO W SAVILE PARK, GDY OFIARA WRACAŁA DO DOMU W TOWARZYSTWIE NARZECZONEJ.

EDMUND BLYTHE (I. 27), DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY BLYTHE I S-KA, FIRMY ZAJMUJĄCEJ SIĘ SPECJALISTYCZNĄ OBRÓBKĄ WYKOŃCZENIOWĄ METALI, ODNIOŚŁ RANY KLUTE ZADANE PRZEZ NIEDOSZŁEGO ZŁODZIEJA. GDY BLYTHE ODMÓWIŁ ODDANIA PORTFELA, PRZESTĘPCA ZAMIERZYŁ SIĘ NA NIEGO NOŻEM I TRAFIŁ GO W KLATKĘ PIERSIOWĄ. ZDANIEM PERSONELU SZPITALA, OSTRZE O CENTYMETRY MINĘŁO SERCE OFIARY I TYLKO SZCZĘŚLIWYM TRAFEM DOZNANE OBRAŻENIA NIE OKAZAŁY SIĘ ŚMIERTELNE.

BLYTHE, ZAMIESZKAŁY PRZY TANNER STREET, WRACAŁ WŁAŚNIE Z NARZECZONĄ DO DOMU JEJ RODZICÓW PO ZAKOŃCZENIU WIECZORNEGO SPOTKANIA Z PRZYJACIÓLMI MIESZKAJĄCYMI PO DRUGIEJ STRONIE PARKU.

ZROZPACZONA WYBRANKA BLYTHE'A, KTÓRA POPROSIŁA REDAKCJĘ O ZACHOWANIE ANONIMOWOŚCI, RELACJONUJE:

- TO STAŁO SIĘ TAK SZYBKO I NIESPODZIEWANIE. SZLIŚMY SOBIE POD RĘKĘ, NIKOMU NIE WADZĄC. NAGLE Z POBLISKICH KRZAKÓW WYŁONIŁA SIĘ JAKAŚ POSTAĆ I ZACZĘTA WYMACHIWAĆ NOŻEM. WCIAŻ MAM PRZED OCZAMI TO OSTRZE LŚNIĄCE W ŚWIETLE KSIĘŻYCA.

BYŁAM PRZERAŻONA. ZAŻĄDAŁ, BY EDMUND ODDAŁ MU PORTFEL, ALE MÓJ NARZECZONY ODMÓWIŁ. WŁAŚNIE WTEDY TEN CZŁOWIEK RUSZYŁ W KIERUNKU EDMUNDA I ZACZĘLI SIĘ SZAMOTAĆ. POCZĘŁAM KRZYCZEĆ I TEN OPRYCH DAŁ NOGĘ - OPOWIADA NARZECZONA. - NIE WIDZIAŁAM GO DOKŁADNIE, BO BYŁO ZA CIEMNO. ALE NA PEWNO MIERZYŁ Z GÓRĄ METR OSIEMDZIESIĄT, A NA GŁOWIE NOSIŁ CHYBA KASZKIET. MÓWIŁ Z MIEJSCOWYM AKCENTEM, ALE WĄTPIĘ, BYM ZDOŁAŁA ROZPOZNAĆ TEN GŁOS. BYŁAM CAŁA W NERWACH - OPISUJE. POPROSZONY O KOMENTARZ INSPEKTOR TERRENCE ARNOLD WYJAŚNIŁ: „NIE MA CIENIA WĄTPLIWOŚCI, ŻE MAMY DO CZYNIENIA Z BARDZO NIEBEZPIECZNYM CZŁOWIEKIEM. ZWRACAMY SIĘ WIĘC Z APELEM DO MIESZKAŃCÓW, BY MIELI SIĘ NA BACZNOŚCI PODCZAS SPACERÓW W ODLUDNYCH MIEJSCACH PO ZAPADNIĘCIU ZMROKU”.

- Ożeż... - głośno skomentowała Carol, gdy jeszcze raz przeczytała artykuł. Czemuż, do cholery, Vanessa nie wspomniała o tym mrożącym krew w żyłach zdarzeniu? To nie w jej stylu. Przecież w życiu nie zaprzepaściłaby szansy na pięć minut w blasku fleszy.

O okazji, by wzbudzić współczucie u czytelników, stawiając się w roli niewinnej ofiary tego wstrząsającego zajścia, nie wspominając.

Całe to zdarzenie wyjaśniało po części, dlaczego Blythe zdecydował się wyjechać z Halifaxu i zamieszkać w Worcesterze. Po takim niczym niesprowokowanym napadzie każdy straciłby serce do miejsca, w którym ułożył sobie życie. Ale Carol spodziewała się raczej, że Blythe zabierze z sobą także narzeczoną. Choć, jeśli Vanessa nie miała zamiaru opuszczać Halifaxu, żadne argumenty nie trafiłyby jej do przekonania.

Carol nalała sobie kolejny kieliszek wina. Przczytała pozostałe artykuły, ale nie znalazła w nich żadnej dalszej wzmianki o napadzie. Najwyraźniej nie aresztowano sprawcy. Co samo w sobie nie było zaskakujące,

biorąc pod uwagę fakt, że opis sprawcy, który Vanessa przekazała policji, nie był wart złamanego grosza. Pewnie funkcjonariusze zaciągnęli na komisariat i trochę sponiewierali typowych podejrzanych w takich sprawach, ale śledczy prawdopodobnie obeszlą się smakiem, i tyle. Zresztą, sam Blythe wyraźnie nie palił się do rozmów na temat napadu. Wydawałoby się, że sprzedał fabrykę i opuścił miasto właściwie z dnia na dzień. Wyleciał z Halifaksu jak z procy.

Zanosilo się na to, że Carol będzie musiała złożyć kolejną wizytę matce Tony'ego. Ale tym razem nie miała zamiaru dać się zbyć. Już miała się podnieść, by ruszyć wprost do jaskini lwa w Halifaksie, gdy dostała SMS-a od Pauli.

- Szlag - fuknęła Carol. Tak po prawdzie, to nie musiała wcale zawracać sobie głowy wieściami, które przekazała jej Paula. Lecz wyrzuty sumienia związane z uprzednim zaniedbaniem sprawiły, że tym razem poczucie obowiązku zwyciężyło. „Bede na miejscu w ciągu pol godz. A tymczasem 3maj reke na pulsie” - odpowiedziała Pauli zwrotnym SMS-em.

Niall Quantick wprost nie znośił swojego życia. Nie cierpiał swojej beznadziejnej matki. Nie mógł już patrzeć na te obskurne ulice otaczające zapuszczony budynek, w którym mieściło się ich ciasne mieszkanie. Wkurzał go ciągły brak pieniędzy. Nienawidził nawet szkoły i tego, że codziennie musi się w niej pojawiać - wszystko przez jego pierdoloną matkę, która dogadała się z dyrektorem i uzależniła wypłatę żalostnego kieszonkowego od obecności na zajęciach. Noż kurwa!

Obmyślił już sposób, by zagrać im wszystkim na nosie, by w końcu uwolnić się od matki i tej pieprzonej, toksycznej namiastki życia. Ale bez pośpiechu, żeby ta jęzda się czasem w porę nie zorientowała w jego planach. I tak miał zamiar pojawiać się w szkole, a cicha rebelia wobec narzucanych mu reguł, którą podjął w zeszłym semestrze, całkowicie się opłacała. W zasadzie jedyne, co nie napawało go nienawiścią, to bystrość własnego umysłu, wystarczająca, by przechytryć każdego, kto próbował zrobić go na szaro.

Sztachnął się skretem. Pozwalał sobie na tę niewielką przyjemność codziennie po szkole, gdy wyprowadzał na spacer tego głupiego kundla, chcąc wyrwać się z mieszkania, by wyluzować się w tym chujowym parczku pełnym zużytych igieł, różnej maści parszywców i łachów oraz - jakżeby inaczej - psiego gówna. Co za chujnia!

Najbardziej jednak nienawidził swojego tęgego jak but, jebanego ojca, przez którego utkwił w tym całym syfie z piekła rodem. Możliwe, że życie nie wydawałoby się mu znowu takie zasrane, gdyby nie pamiętał lepszych czasów. A te, jak zwykle, już minęły. Jego znajomkowie nie narzekali na własny los tak często jak on, ale to pewnie dlatego, że nie mieli porównania. Niby wydawało im się, że potrafią sobie wyobrazić, jak to jest mieć szybką furę, wielką chatę, a wakacje spędzać w tropikach. No właśnie - tylko im się wydawało. Dla nich to było jedynie marzenie, którego spełnienia zazdrościli piłkarzom z pierwszych stron gazet. Ale Niall znał to z autopsji. Doskonale pamiętał uroki dostatniego życia.

Zanim trafił do tej dziury w dzielnicy Manchesteru tak podłej, że żaden z mieszkańców nie przyznawał się do niej w podaniach o pracę, jego rodzina mieszkała w domku jednorodzinnym na przedmieściach Bradfield. W owym czasie Niall miał swoją własną sypialnię i pokój zabaw, w którym stały konsole PlayStation 3 i Xbox. W domu znajdował się nawet pokój przypominający ekskluzywną siłownię, wyposażony w całą masę sprzętu i duży płaski telewizor naprzeciw ruchomej bieżni. W garażu mercedes ojca dotrzymywał towarzystwa audi, którym jeździła matula. Rodzice wykupili rozchwytywane całosezonowe karnety na mecze Manchester United, trzy razy do roku wyjeżdżali na wspólne wakacje, a Niallowi mieniły się w oczach kolejne prezenty urodzinowe i bożonarodzeniowe.

Aż tu nagle, trzy lata temu, wszystko poszło w diabły. Rodzice kłócili się całymi miesiącami niczym bohaterowie podrzędnej telenoweli. Nie potrafił odgadnąć, o co też mogło im pójść, wiedział jedynie, że nie potrafili przeżyć choć jednego dnia bez skakania sobie do oczu.

W końcu stanęło na tym, że ojciec zabrał ich na wakacje na Florydę, zapewne po to, by rozładować napięcie i pogodzić się z matką. Ale już

trzeciego dnia, po kolejnej kłótni, wyniósł się w cholerę. Stara stwierdziła, że niech sobie idzie do diabła i że bez niego i tak będą się dobrze bawić przez resztę wakacji.

Gdy jednak po dziesięciu dniach wrócili z wojaży, okazało się, że ojciec przez ten czas nie próżnował - bez ich wiedzy sprzedał dom, ogołocił wszystkie pokoje, zabrał auta z garażu, a klucze nie pasują do nowych zamków. Zostali z ręką w nocniku, a ich jedynym dobytkiem okazały się ciuchy, które ojciec wywiózł w workach na śmieci do domu rodziców matki Nialla w Manchesterze.

Czyn ojca był tak nikczemny, że aż zapierało dech w piersiach. Mimo upływu czasu Niall nadal mu nie wybaczył.

Co prawda matka najęła jakiegoś prawnika, ale nic nie wskórali. Okazało się, że dom i resztę majątku zapisano na firmę ojca. Na papierze ojciec był biedny jak mysz kościelna. Paradoksalnie, teraz to Niall wraz z matką klepali biedę, nie wiedzieć czemu określaną czasem mianem „słodkiej”.

Nie mógł się nadziwić, do jakich podłości posuwał się jego stary. Pewnego popołudnia matka zaciągnęła Nialla do salonu sprzedaży samochodów, który prowadził jego ojczulek, próbując narobić mu wstydu, by wysupłał więcej niż pięćdziesiąt funciaków, które bulił co tydzień na utrzymanie Nialla. Zostawili go za drzwiami z durnowatą recepcjonistką, podczas gdy sami oddali się swojej starej pasji - kłótni, krzykom i wzajemnym oskarżeniom. Ale nawet przez drzwi słyszał każde słowo. „Przecież to nawet nie mój syn” - wygarnął ojciec podczas najgwałtowniejszego fragmentu pyskówki.

Matka tym razem nic nie odpowiedziała. Niall usłyszał jedynie donośny trzask, przypominający dźwięk rozbitego o ścianę szkła. Potem otworzyły się drzwi i zobaczył na własne oczy pajęczynę pęknięć na pokaźnej szybie, za którą pewnie zazwyczaj lśniły na wystawie maski szeregu aut. „Chodź!” - krzyknęła do niego, łapiąc go za ramię w drodze do wyjścia. „I tak przecież nie chcemy żadnej jałmużny od tej podłej, kłamliwej gnidy!”.

Mów za siebie, pomyślał wtedy Niall. Tym bardziej powinni zdzierać z niego kasę właśnie dlatego, że jego ojczulek był „podłą, kłamliwą gnidą”. A tak w ogóle, to za kogo się, kurwa, ten szmaciarz uważał, by sugerować, że matka Nialla się puściła, zrobiła bachora z innym kołesiem i wciska mu



kit, że to jego własne dziecko? Może i stara była potrzebna Niallowi jak wrzód na dupie, ale z pewnością nie była szmatą. Na to określenie o wiele bardziej zapracował sobie jego ojciec, który pewnie wolałby już się zeszmacić, niż głębiej sięgnąć do portfela, by wesprzeć swoją żonę i dziecko.

Koniec końców, przez ojca utkwili po uszy w gównie, w sytuacji bez wyjścia. Przynajmniej póki Niall niczym skazaniec nie wygrzebie sobie drogi ucieczki na powierzchnię przez to całe gówno. Miał zamiar trzymać się z dala od kłopotów, nadać nową jakość swojemu życiu, by w końcu wsadzić ojcu nos w te ekskrementy. Jak psu. Już on da ojcu popalić.

Tymczasem jednak wciąż nie mógł się uwolnić z oków tego zafajdanego życia, którego nienawidził całym sercem. I tylko niewielkie światełko nadziei błyskało chwilowo na dnie tego szamba.

Niall bardzo chciał się nauczyć rosyjskiego, bo w przyszłości zamierzał zatrudnić się u jakiegoś oligarchy, by dowiedzieć się u źródła, jak samemu zdobyć fortunę. Tych gości gówno obchodziło, że depczą po trupach do celu. Ba, potrafili nawet zabijać dla rozrywki. Problem w tym, że w jego zakichanej szkole nie uczyli rosyjskiego. Zaczął więc szukać na własną rękę jakiegoś miejscowego, który mógłby mu udzielić korepetycji za darmochę. Właśnie wtedy na RigMarole odezwał się do niego niejaki DD, oferując swoje usługi.

Niall nie wiedział, co się kryje za inicjałami nieznanego. Przypuszczalnie typowo rosyjskie imię własne i nieodłączne miano odojcowskie. Na przykład - Dmitrij Dmitrijewicz czy coś w ten deseń. Tak czy owak, najważniejsze, że DD rzeczywiście pomógł. Udzielił Niallowi kilku wstępnych lekcji przez internet, by upewnić się, że jego pęd do nauki to nie zwykły słomiany zapal. A w tym tygodniu w końcu mieli się spotkać na żywo. Pierwsza lekcja twarzą w twarz. A potem to już prosta droga do grubej forsy. Kto wie, może nawet kupi swój własny klub piłkarski, jak Roman Abramowicz.

Wtedy w końcu da tej „podłej, kłamliwej gnidzie” porządną nauczkę, którą na długo popamięta.

Zadać pytanie żaden problem. Ale znaleźć właściwą odpowiedź - problem nie lada. Poszukiwań nie utrudniało mu bynajmniej to, że znalazł się w nieznanym miejscu; wprost przeciwnie - Tony czuł się w willi Blythe'a niemal jak u siebie w domu. Wnętrze przepełniała spokojna, niemal organiczna atmosfera - dokładnie taka, jaką najchętniej stworzyłyby we własnym domu, gdyby tylko miał do tego głowę.

Problem w tym, że nie znajdował racjonalnego uzasadnienia dla napaści, której ofiarą padła Jennifer Maidment. Trudno było bowiem wyobrazić sobie, by do śmierci czternastolatki doprowadziły czysto osobiste pobudki. Gdyby zabójstwa dopuścił się jej rówieśnik, raczej zasztyletowałby ją na ulicy albo w bocznej alejce. Najpewniej przy świadkach, a nawet gdyby było inaczej, to przynajmniej już po fakcie inne nastolatki lub rodzina ofiary zdołaliby wskazać sprawcę. Ale morderstwo Jennifer było zbyt dobrze zaplanowane. A zbrodnia - zbyt dojrzała. Zresztą, zabójca musiał mieć dostęp do auta. Poza tym w przypadku przestępstw popełnianych przez rówieśników nie dochodziło do okaleczania zwłok.

Możliwe, że śmierć Jennifer miała być najbrutalniejszym z przesłań skierowanych do jednego z jej rodziców. Może nawet do obojga. Ale, przynajmniej z pozoru, Maidmentowie nie wyglądali na ludzi, którzy zadawali by się z osobą uważającą morderstwo i okaleczenie nastolatki za odpowiedni wymiar kary. W końcu ojciec prowadził firmę inżynierską, a matka pracowała na pół etatu jako wychowawczyni dzieci specjalnej troski. Zresztą, gdyby to zabójstwo naprawdę miało być ostrzeżeniem, to przebieg zbrodni był cokolwiek osobliwy. Stosunkowo spokojna śmierć, po której nastąpiło bestialskie okaleczenie. O nie, niezależnie od prawdziwego motywu nie była nim z pewnością chęć wywarcia presji lub zemsty ani też żadne wyraźne przesłanie przeznaczone dla rodziców.

Podczas gdy w myślach rozpatrywał możliwe scenariusze i odrzucał je niemal natychmiast po ich przemyśleniu, zapuszczał się w coraz dalsze zakątki domu. Bezwiednie krążył od pokoju do pokoju, nie zdając sobie sprawy, jak swobodnie czuł się w tym otoczeniu.

W momencie gdy Tony'emu w głowie przestały kłębić się niezliczone myśli, znalazł się w kuchni i uprzytomnił sobie, że kiszki grają mu marsza.

Otworzył kilka szafek w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia. Nie było specjalnego wyboru, ale też nigdy nie uważał siebie za wybrednego smakosza. Zdecydował się więc na paczkę owsianych krakersów oraz puszkę fasoli w sosie pomidorowym, po czym usiadł z łyżką i talerzem przy śniadaniowym barku. Nie myśląc o niczym, zjadał się krakersami, maczając je w fasoli z sosem, z namaszczeniem godnym prawdziwego specjału. Czerpał z tego posiłku niemało satysfakcji - czuł się niemal jak Jaś i Małgosia ukradkiem zwiedzający chatkę Baby Jagi. Tyle że na niego nie czyhała żadna wiedźma.

Gdy już zaspokoił apetyt, powrócił do fotela, na którym zostawił akta sprawy, i ponownie umościł się w jego miękkich fałdach. Przejrzał listę miejsc, gdzie stały komputery, z których wysyłano wiadomości do Jennifer Maidment. Przypominał sobie niewyraźnie, że Ambrose mówił coś, że przy odrobinie szczęścia ta lista pomoże im określić miejsce zamieszkania zabójcy. Tony puścił jego słowa trochę mimo uszu, gdyż sam korzystał z innych metod. Wolał opierać się na własnych spostrzeżeniach, na umiejętności wczucia się w zabójcę i jego ofiarę, na swoich osobistych doświadczeniach, w końcu - na własnej intuicji. Nie potrafił oswoić się z myślą, że zachowanie ludzi można sprowadzić do ciągu algorytmów, choć wiedział, że niekiedy takie podejście przynosiło nadszpodziewanie wymierne rezultaty. Po prostu czuł się w tym nieswojo, i tyle.

Znał jednak kobietę, która czuła się w tym jak ryba w wodzie.

Numer Fiony Cameron wciąż miał zapisany w komórce. Wcześniej niejednokrotnie spotykali się na różnych konferencjach, kiedyś nawet zadzwoniła do niego, prosząc o konsultację w sprawie, nad którą pracowała w Irlandii. Co prawda nie znalazł żadnych uchybień z jej strony, ale i tak przysłużył się jej kilkoma cennymi sugestiami. Ich współpraca układała się pomyślnie. Podobnie jak Carol, Fiona miała głowę na karku, a wszystkie obowiązki wypełniała sumiennie. Ale - w odróżnieniu od Carol - zdołała pogodzić wymagające życie zawodowe z długotrwałym związkiem uczuciowym.

Tony spojrzał na zegarek. Chwila po dwudziestej pierwszej. O tej godzinie Fiona zapewne oddawała się typowo ludzkim zajęciom. Tylko co

robią normalni ludzie o tej porze? - głowił się. Kończą kolację? Oglądają telewizję? Dzielą rzeczy do prania na kupki? A może po prostu rozmawiają przy kieliszku wina? Tak czy owak, zapewne nie ucieszyłaby się, gdyby teraz zawrócił jej głowę.

Ale cóż, dotychczas nigdy go to nie powstrzymywało. I z pewnością ten wieczór nie będzie wyjątkiem od reguły. Wybrał numer. W słuchawce rozbrzmiewał raz po raz sygnał dzwonka. Już miał się rozłączyć, gdy w końcu odezwał się nieco podenerwowany głos:

- Tony? Czyżbym śniła?

- Cześć, Fiona. Nie przeszkadzam?

- Nie, skądże. I tak utknęłam w pokoju hotelowym w Aberdeen. - A więc, zdecydowanie nie jak normalni ludzie. Raczej jak on. Samotny i daleko od domu. - Właśnie odstawiałam tacę z jedzeniem do holu i o mały włos nie zatrzasnęłam za sobą drzwi. A co u ciebie?

- Siedzę w Worcesterze - rzucił, jak gdyby to miało wystarczyć za całe wyjaśnienie. - Poczyniliśmy pewne ustalenia w sprawie, nad którą pracuję. Chciałbym zapytać, czy twoim zdaniem te dane dałoby się przepuścić przez ten twój program do analizy geograficznej.

Zachichotała, a pomimo dzielącej ich odległości wciąż dało się wyczuć ciepło w jej głosie.

- Nic się nie zmieniłeś, Tony. Zero częściej gadaniny i od razu do rzeczy.

Miała rację, pomyślał. Ale taka bystra kobieta jak Fiona i tak przejrzałyby go na wylot, gdyby wdał się w gadkę szmatkę.

- No cóż, trudno się wyzbyć starych nawyków.

- Spoko, nie ma sprawy. Wszystko, byle zająć czymś ręce. I tak strasznie wieje tu nudą. A nie odważę się opuścić pokoju. Jutro prowadzę seminarium, a w barze na dole przesiaduje kilku moich kolegów. Wolałabym już chyba podciąć sobie żyły, niż ich spotkać. W sumie to i tak nie mam niczego lepszego do roboty. O co więc chodzi?

- O zabójstwo i okaleczenie czternastolatki. I o mordercę, który na tym nie poprzestanie, jeśli go nie powstrzymamy. Mamy anonimowego podejrzanego, który kontaktował się z ofiarą przez sieć. Używa ogólnie dostępnych

komputerów rozrzuconych na przestrzeni przeszło dwustu kilometrów. Zazwyczaj korzystał z nich tylko raz, ale z niektórych kilkakrotnie. Nie mamy więc danych o samych przestępstwach. Tylko o miejscach. Czy możesz to w jakiś sposób wykorzystać?

- Nie powiem ci, póki nie zobaczę, co macie. Możesz mi to przesłać?

- Najpierw muszę to wklepać do komputera. W tej chwili mam to tylko na kartce. - A Patterson dostałby szału, gdybym poprosił go o elektroniczną wersję, by wysłać ją do kogoś spoza wąskiego grona uprawnionych osób.

- Biednyś. Mam nadzieję, że to niezbyt długa lista.

- Prześlę ci ją w ciągu godziny, może trochę dłużej.

- Czekam z niecierpliwością. Trzymaj się. Fajnie, że się odezwałeś.

Przysunął do siebie laptopa i uruchomił system, z zadowoleniem stwierdzając, że szerokopasmowe łącze bezprzewodowe w domu Blythe'a najwyraźniej wciąż działało bez zarzutu. Tak po prawdzie to nie miało znaczenia, czy Fiona Cameron okaże się pomocna. Najważniejsze, że Tony robił coś konkretnego, a doświadczenie nauczyło go, że pozytywne działanie zawsze uwalniało w jego mózgu niewykorzystane pokłady, dzięki którym do głowy przychodziły mu nieoczekiwane powiązania pomiędzy faktami. A to właśnie one czyniły z niego tak skutecznego specja od pokrętnych umysłów.

Nieprzypadkowo Jennifer Maidment zamordowano w określony sposób. Stał za tym jakiś konkretny powód. A Tony czuł przez skórę, że ma go już niemal na wyciągnięcie ręki.

## ROZDZIAŁ 20

Choć Paula doskonale wiedziała, że górowała umiejętnościami przesłuchiwania nad resztą kolegów z zespołu, wciąż czuła się nieswojo, rozmawiając z nastolatkami. Jej własny okres dojrzewania przebiegał na tyle nietypowo, że dotychczas nie doszukała się żadnego wspólnego mianownika, na którym mogłaby bazować. Co za ironia losu, myślała. Paradoksalnie, o wiele łatwiej przychodziło jej znalezienie wspólnego języka ze sprawcami brutalnych napadów na tle seksualnym, z pedofilami czy nawet z bezwzględnyymi handlarzami ludźmi. Lecz w przypadku nastoletnich panna Paula niezmiennie stała na przegranej pozycji.

Pech chciał, że nie miała wyboru. Carol Jordan dotarła do szpitala Bradfield Cross dokładnie w momencie, gdy udręczony ordynator oddziału ratunkowego przekazywał Mike'owi Morrisonowi złe wieści - jego żony nie udało się odratować. Jak łatwo można było przewidzieć, nieszczęsny facet przypominał ludzkie widmo. W końcu po stracie syna, a niedługo potem i żony, w jego życiu powstała ziejąca wyrwa, a wszystko, co stanowiło punkt oparcia, obróciło się wniwecz. Dziękować Bogu, że szefowa wkroczyła do akcji i przejęła pałeczkę, obarczając Paulę niewdzięcznym zadaniem - ma wydobyć możliwie najwięcej informacji z dziewczyny Setha Vinera.

Mimo to nie powinna popadać w zbyt pesymizm. W końcu nie tylko wypija kawę w towarzystwie Elinor Blessing, ale nawet obiecały sobie, że niedługo ponownie się spotkają, by wrzucić coś na ząb. Przynajmniej na pozór Elinor odwzajemniała zainteresowanie ze strony Pauli. Ale ich zażyłość ocierała się o banał, jakby żywcem wyjęto ją ze scenariusza

początkującego pisarza. Jak świat światem gliniarze zawsze schodzili się z lekarzami i pielęgniarkami. Po części dlatego, że obłęd zawodu policjanta rozumiał jedynie człowiek, który sam pracował jak szalony. Po trosze dlatego, że byli to jedyni ludzie, z którymi stykali się w swoich profesjach, niebędący przestępcami, ofiarami lub pacjentami. Poniekąd także dlatego, że naturalnie lgnęli do siebie, bo wiele osób decydowało się na karierę gliniarza lub wiązało się ze służbą zdrowia, ponieważ naprawdę chciało nieść pomoc bliźnim.

Tak czy owak, Paula trzymała kciuki, by to duchowe powinowactwo zadziało na korzyść jej i Elinor. Paula od dłuższego czasu nie była w związku, a dopiero stosunkowo niedawno - gdy uznała w końcu, że uporała się z demonami przeszłości - zaczęła w ogóle brać pod uwagę możliwość nawiązania intymnych stosunków z drugą osobą.

- Najpierw obowiązek, potem przyjemność - wymamrotała pod nosem, przemierzając krótką ścieżkę prowadzącą z chodnika do domu Lucie Jacobson.

Jej oczom ukazał się rząd ceglanych domów szeregowych - typowych, choć o klasę lepszych niż podstawowa wersja bez ogrodu. Tu przynajmniej między każdym budynkiem biegło okolone łukiem przejście, ciągnące się od ogródka z przodu do podwórza za domem, przez co można by je pomylić z bliźniakami.

Domek Jacobsonów miał niewielki ganek, nie większy niż kredens, dobudowany od frontu. Z jednej strony był po brzegi zawalony czymś, co w ciemnościach przypominało tłum ludzi. Gdy jednak Paula zadzwoniła do drzwi i na ganku zapaliło się światło, okazało się, że ta na pozór złowieszczą masa to całkowicie niegroźna sterta kurtek i peleryn, czapek bejsbolówek i kasków rowerowych. Paula podniosła do góry swoją legitymację, a kobieta, która pojawiła się w drzwiach, przytaknęła ze zrozumieniem i otworzyła drzwi na oścież.

- Spodziewałam się, że ktoś z was do nas zawita - przywitał ją kobiecy głos, nieco zrezygowany, ale wciąż zdradzający dużą pogodę ducha, z którą Paula nie stykała się zbyt często. - Pani zapewne w sprawie Setha. Zapraszam do środka.

Wprowadziła Paulę do ciasnego salonu, gdzie znajdowały się tylko naprawdę niezbędne elementy wyposażenia. Pokój zaaranżowano funkcjonalnie, jak kabinę statku. Półki i regały mieściły całą masę książek, kaset wideo, płyt CD i winyli oraz segregatorów, pieczołowicie opisanych na etykietach jako na przykład: „Rachunki”, „Bank” czy „VATman”. Dwie sofy z różnych kompletów oraz kilka krzeseł zajmowały resztę przestrzeni przed telewizorem z masywnym kineskopem połączonym pajęczyną kabli z typowymi urządzeniami zewnętrznymi.

- Proszę usiąść - zaproponowała kobieta. - Zawolałam Lucie. Jej bracia wyszli pograć w baseball z tatą, więc będziemy mieli trochę ciszy i spokoju. Niby bliźniaki, szesnaście lat na karku. Ale czasem mi się zdaje, że urodziłam czworaczki, bo wszędzie ich pełno. - Pokręciła głową i podeszła do drzwi. - Lucie! - zawołała. - Ktoś chciałby zadać ci kilka pytań o Seta!

Odwróciła się w kierunku Pauli, opierając się o futrynę.

- A tak przy okazji, jestem Sarah Jacobson. Rozmawiałam już z Kathy i Julią. Strasznie to przeżywają. - Westchnęła i przegarnęła dłonią krótkie czarne loki. - I nie dziwota. Jezu, i bez tego trudno wytrzymać z dorastającymi dziećmi, a tu jeszcze taka tragedia - westchnęła. Za jej plecami zadudnił odgłos kroków na schodach, odsunęła się więc od drzwi, by przepuścić córkę.

Lucie Jacobson odziedziczyła po matce czuprynę kręconych włosów, jednak w jej przypadku loki kłębiły się raczej po bokach twarzy, opadając na ramiona niesamowitą kaskadą anglezów. Włosy nieznacznie odsłaniały wąską twarz o ostrych rysach, a szerokie linie czarnego ołówka do powiek podkreślały ciemnoniebieską barwę jej oczu. Może i Lucie nie była klasyczną piękną, ale przyciągała uwagę - Paula podejrzewała, że to niebrzydkie kaczątko wyrośnie niedługo na atrakcyjną kobietę. Czarne dzinsy i także koszulka dopełniały obrazu ugrzecznionej wariacji na temat nieletniej fanki gotyckiego rocka.

- Znaleźliście go w końcu? - zapytała stanowczo, gapiąc się na Paulę, jak gdyby była osobiście odpowiedzialna za zniknięcie Seta.

- Przykro mi, ale nie udało nam się jeszcze wpaść na jego trop. - Paula



wstała. - Śledcza Paula McIntyre. Jestem członkiem zespołu, któremu przydzielono sprawę zaginięcia Setha.

- Zwykła śledcza? Czy ty masz w ogóle wystarczające wpływy, by zajmować się tą sprawą? Bo to megaważne, by ktoś znalazł Setha - odburknęła Lucie, podchodząc bliżej i opadając na kanapę naprzeciw Pauli.

- Lucie, na miłość boską - skarciła ją matka. - Zachowuj się.

- Przeniosła wzrok na Paulę. - Kawy? Herbaty?

- Nie, dziękuję.

Sarah Jacobson skinęła głową.

- W razie czego będę w kuchni. - Spojrzała stanowczo na córkę. - Lucie, zostawiam cię z panią McIntyre, byś mogła powiedzieć jej, co tylko chcesz, bez obawy, co sobie o tym pomyśle. Okej? - I wyszła.

Lucie parsknęła.

- Jakby w ogóle obchodziło mnie jej zdanie - wycodziła.

- No jasne. W końcu jesteś nastolatką - ironizowała Paula. W tym momencie zdecydowała, że nie będzie się z nią obchodzić jak z dzieckiem. - Powiem wprost. Poza poszukiwaniami Setha wszystko inne gównu mnie teraz obchodzi. Masz w zanadru jakieś sekreciki, które twoim zdaniem mogłyby napytać biedy któremuś z was? Najwyższy czas się przyznać. Jeśli pomożesz nam odnaleźć Setha, wszystkie twoje grzeszki i występki puścimy w niepamięć. Mam w nosie, czy ćpaliście, piliście i się ruchaliście, dobra? Chcę od ciebie usłyszeć tylko to, co pomoże nam znaleźć Setha. - Napotkała wyzywający wzrok Lucie i odpowiedziała tym samym, dopóki ta nie dała za wygraną. - W cokolwiek byście się wpakowali, wierz mi, że już wcześniej to słyszałam, widziałam lub sama robiłam.

Lucie westchnęła i przewróciła oczami.

- A co ma piernik do wiatraka! Nie robimy z Sethem nic, co mogłoby mieć jakikolwiek związek z jego zniknięciem, okej? W porzo nam się układa. Musisz wiedzieć tyle, że i owszem, Seth ukrywa pewien sekret.

Paula starała się nie okazywać, jak bardzo to ostatnie zdanie przykuło jej uwagę.

- A ty wiesz, co to za tajemnica?
- No jacha. W końcu jesteście parą, nie?
- Więc co to za sekret?

Lucie dokładnie zlustrowała Paulę od stóp do głów, jakby próbując podjąć decyzję.

- Jesteś lesbą, zgadłam? Jak mamy Setha?
- Że zacytuje twoje własne słowa: „A co ma piernik do wiatraka?” - skontrolowała Paula.

- A więc jesteś! - Lucy uśmiechnęła się, jakby właśnie wygrała w totka.

- Ale spoko. My nie ufamy ludziom, którzy zaprzędali dusze konserwie i moherom - odparła. - A ja z pewnością bym ci nie wierzyła, gdybyś nie była lesbą. Musiałabyś wtedy wyskoczyć z czymś innym, bym zapomniała, że jesteś gliną.

Paula już chciała odpowiedzieć „łódewa” z typowo nastoletnią manierą, ale się powstrzymała.

- Musisz mi zdradzić, jaki sekret ukrywa Seth.

Lucie wtuliła się w miękkie poduszki.

- Ale to przyszcz. Serio.

- Więc powiedz.

- Pisał piosenki. W większości same słowa, ale niektóre także z muzyką i takie tam.

Wydawało się to cokolwiek dziwnym powodem do wstydu.

- I to był niby ten sekret?

- No chyba. Znaczy, stąd już tylko krok do bazgrania wierszy, do chuja pana. A to już byłoby lamerskie na maksa.

- Rozumiem. A czy Seth puszczał komuś te piosenki? Albo - pokazywał swoje teksty?

- No ba. Się wie, że pokazywał je mnie. Ale nie tylko. Bo, teges, może właśnie coś w tym jest, że on na Rigu... wiesz, co to Rig, nie?

- RigMarole? Taa, wiem, w czym rzecz.

- No to, tego... na Rigu był taki gość, który zagadał do Setha w stylu: „Znam twój wstydlivy sekrecik” czy coś. Seth strasznie speniał. Przeszedł więc z nim na priva i pyta: „Skąd wiesz o moich piosenkach?”, a koleś zapodaje: „Musisz lepiej pilnować swoich skarbów”. Wyszło więc na to, że

Seth musiał zapodziać gdzieś jedną ze swoich piosenek, a ten koleś ją znalazł. A gościu ogólnie czai bazę, bo robi w muzyce.

Zapał Pauli słabł z każdą minutą. Oczami wyobraźni widziała już, jak potoczyły się dalsze losy tej znajomości. Zabójca podstępem wydobył z ofiary skrzątnie skrywany przed światem sekret, a potem wykorzystał go, by omamić Setha iluzją tak pożądaną przez chłopaka kariery muzycznego gwiazdora.

- I pewnie powiedział, że może załatwić Sethowi kontrakt, co?

Lucie mlasnęła z dezaprobatą.

- Tylko jakiś ułom głupi jak stado pędzących gwoździ uwierzyłby w taką bajeczkę - odpowiedziała z przekąsem. - Koleś wypalił, że może zapoznać Setha z kilkoma zespołami, które zaczynają robić karierę, choć na razie tylko w necie, bo nie mają jeszcze kontraktów z wytwórnią. Takimi, co to mogą chcieć z nim pracować w drodze na szczyty list przebojów. Obiecywał, że wkręci Setha w coś takiego.

- I właśnie z tym gościem Seth miał się spotkać wczoraj wieczorem?

Odwróciła wzrok.

- Bo ja wiem. Miał się wcześniej pochwalić, ale widać mnie olał. Powiedział tylko, że spada do Willa i że bym nie dryndała, bo mogę im w czymś tam przeszkadzać.

Paula chwilę odczekała, po czym zapytała:

- Co wiesz o tym gościu?

- Na Rigu używa pseudo JJ. Kolo naprawdę zna się na rzeczy. Nie zgnieś go z wiedzy o scenie grunge'owej, podobnie jak Setha. Mój men mówił mi, że JJ zna motywy, które jarzą tylko prawdziwi ludzie z branży.

Wszystko pięknie, ładnie, ale skąd, u licha, Seth mógł znać realia? JJ mógł równie dobrze pleść trzy po trzy, a wy, słodkie bobaski, i tak byście mu uwierzyli.

- To wszystko, co o nim wiesz? Nie mówił może, gdzie mieszka? Albo gdzie pracuje?

Po raz pierwszy na twarzy Lucie zaczęło się malować przygnębienie.

- Nie. Znam tylko jego nick na Rigu. Nigdy nie nawijał o sobie. Pitolił tylko o muzie, a nie o swoich sprawach.

- Byłaś może na jego stronie na Rigu?

Lucie zmarszczyła brwi.

- Nie lukałam, ale Seth obczajał. Mówił, że full tam niezłej muzy i tyle. - Jej twarz wyraźnie pojaśniała. - No jasne! Tak go możecie znaleźć. „JJ”. Nie „Jotjot”. Same litery.

- Poczekaj chwilę - powiedziała Paula, podnosząc w górę palec. Wyjęła telefon i wybrała numer Stacey. - Tu Paula - powiedziała do słuchawki.

- Wiem przecież - odpowiedziała ironicznie Stacey. - Słyszałaś kiedyś o identyfikacji numeru?

Boże, chroń mnie przed hermetycznymi dowcipami.

- Seth Viner rozmawiał na RigMarole o muzyce z jakimś gościem. Koleś używał pseudonimu „JJ”, same litery. Możliwe, że JJ wywabił go na spotkanie. Możesz rzucić okiem?

- Moment, spojrzę od razu... - Chwila ciszy po drugiej stronie. - Nic tu nie ma. Ale zostaw to mnie. Dostanę się tam tylnymi drzwiami.

- A chcę wiedzieć, co to w ogóle oznacza? - zapytała Paula.

- Nie wnikać - rzuciła Stacey i przerwała połączenie.

- Dziękuję, Lucie. - Paula zwróciła się do dziewczyny. - Myślę, że to, co mi powiedziałaś, może okazać się bardzo pomocne. - Szkoda, że nie wyjaśniłaś tego nikomu, jak tylko zauważono zniknięcie Seta. - Czy to wszystko, o czym powinnam wiedzieć?

Lucie przytaknęła. Po chwili dodała:

- To naprawdę fajny chłopak, ten Seth. Musicie go znaleźć i sprowadzić z powrotem. Ja już prawie wymiękam. Cykam się strasznie, że przytrafiło mu się coś niedobrego.

- Doskonale to rozumiem. Nie musisz się wstydzić własnych obaw. Twoja mama... wydaje mi się, że bardzo chciałaby ci pomóc, wiesz?

Lucie prychnęła.

- Pracuje w BBC. Dla radia. Znaczący, robi takie programy dla konsumentów. To już wystarczająca wiocha, nie uważasz? Niemal słownikowa definicja konserwy.

- Nie skreślaj jej od razu. Daj jej szansę, a sama się przekonasz, że warto - przekonywała, zbierając się do wyjścia. - Wiem, że mi nie uwierzysz, ale twoja matka też była kiedyś nastolatką.

Lucie przytaknęła. Do jej oczu zaczęły napływać łzy. Miała taki wyraz twarzy, że gdyby odważyła się otworzyć usta, najpewniej wydobyłyby się z nich tylko żalostny jęk. Paula знаła to uczucie aż za dobrze. Całkiem niedawno musiała bowiem poradzić sobie ze stratą jednego ze swoich najbliższych przyjaciół. Nie raz i nie dwa zdawało jej się, że żal i strach wezmą nad nią górę.

Na koniec wyłowiła jeszcze wizytówkę.

- Zadzwoń, jeśli coś sobie przypominisz. Albo gdybyś po prostu chciała pogadać o Secie. Okej?

Trochę później Paula siedziała już w samochodzie, wracając do biura, by dotrzymać towarzystwa Stacey na nocnej zmianie. Przez całą drogę nie opuszczało jej straszliwe przecucie, że niezależnie od tego, jak potoczą się dalsze losy Lucie Jacobson, szczęśliwe pojednanie z Sethem nie było jej pisane.

## ROZDZIAŁ 21

Ptaki śpiewały. A raczej potępieńczo zawodziły. Jeden brzmiał jak nie-naoliwiony mechanizm, drugi jakby mu coś utknęło w gardle. Tony powoli wylaniał się z ciepłych niczym gruby koc objąć Morfeusza. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz zdarzyło mu się przespać całą noc nieprzerywaną koszmarami i niezakłócaną przez podświadome obawy. Paradoksalnie przez wiele lat to właśnie sen spędzał mu sen z powiek. A działo się to, właściwie od kiedy zaczął badać zakamarki naprawdę pokrętnych umysłów.

Początkowo rozkoszował się tym nieznanym uczuciem wypoczęcia. Szybko jednak przeszło ono w zdumienie, gdy w końcu otworzył oczy i nie mógł poznać miejsca, w którym spoczął. Nie przypominało ani jego domu, ani hotelu, ani nawet dyżurki w klinice Bradfield Moor... Właśnie wtedy mógł się dobudzić i Tony sobie przypomniał. Leżał w łóżku wcześniej zajmowanym przez Edmunda Arthura Blythe'a - człowieka, któremu zawdzięczał połowę genów - w głównej sypialni pokaźnej willi z początków dwudziestego wieku w pobliżu parku w Worcesterze. Czuł się jak intruz, niemal jak ta wścibska Złotowłosa z opowiadania o trzech niedźwiadkach.

Tony spojrzał na zegarek, potem potrząsnął nim z niedowierzaniem. Prawie dziewięć? Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Przespał całe dziesięć godzin! Ostatni raz spędził w łóżku tyle czasu, gdy robił licencjat i przesiedział całą noc nad jakąś pracą pisemną. Cóż, inni studenci imprezowali, a Tony zakuwał.

Podparł się na łokciu i pokręcił głową. To jakieś szaleństwo. Alvin miał go odebrać z hotelu za nieco ponad pół godziny. Bez szans, by zdążyć

pozierać się na czas. Lepiej było więc zadzwonić i zmienić plany. Miał dokładnie trzydzieści trzy minuty, by wymyślić historyjkę, która nie brzmiałaby jak rojenia jednego z pomyślników, którzy przejęli władzę nad wariatkowem.

Sięgał właśnie po telefon, gdy ten sam postanowił go zaskoczyć, budząc się do życia. Tony niezdarnie siłował się z wibrującą komórką, ale w końcu przystawił ją do ucha.

- Tak? Halo? Halo? - wybełkotał.

- Obudziłam cię?

Chwilę potrwało, zanim odzyskał jasność myślenia.

- Fiona - odpowiedział w końcu. - Nie, już od dawna jestem na nogach. Właśnie sięgałem po telefon, by do kogoś zadzwonić. Wzięłaś mnie z zaskoczenia, i tyle.

- Wybacz. Pomyślałam sobie, że dam ci znać, że przepuściłam przez mój program tę listę, którą mi przesłałeś.

- Super. Naprawdę szybko się uwinęłaś.

Fiona zachichotała.

- Świat poszedł do przodu od czasów liczydła łupanego, Tony. Dziś takie kalkulacje to kaszka z mleczkiem. Nawet dla zwykłego laptopa, który mam w hotelu.

- Wiem, wiem. Ale i tak chętnie posłucham. Dla mnie to wciąż czarna magia.

- Cóż, może i jest we mnie coś z wiedźmy, ale to z pewnością żadne czar-mary. Nie sądzę, by te rezultaty dawały całkowitą pewność, bo mamy tu przecież do czynienia z mechanizmem wyboru odmiennym od tego, którym posługuje się delikwent, łamiąc prawo. Umiejscowienie faktycznych przestępstw warunkuje dostępność ofiar. A jak oboje doskonale wiemy, przestępcy posługują się bardzo precyzyjnymi kryteriami, planując swoje przedsięwzięcia. Każdego gwałciela pociąga konkretny typ kobiet. Typowy złodziej włamuje się do domu przez okna lub drzwi na parterze...

- Wiem, do czego zmierzasz - przerwał jej Tony. Zdawał sobie sprawę, że Fiona nie ma zamiaru go pouczać, ale wolał raczej, żeby przeszła do rzeczy. Potrzebował wyników, a nie wykładów. Te bardziej przydałyby się jej kolegom z dzisiejszego seminarium.

- Wybór miejsca zbrodni w wypadku przeciętnego przestępcy jest więc

znacznie bardziej ograniczony niż w wypadku człowieka, który jakby nigdy nie szuka komputerów w ogólnodostępnych miejscach. Które, nawiasem mówiąc, nietrudno znaleźć, bo jest ich od groma. Sądzę, że nawet ty to zauważyłeś.

- Wyobraź sobie, że nawet zdarzyło mi się z nich korzystać.

- Rany, jeszcze trochę i dwudziesty wiek nie będzie miał przed tobą tajemnic, Tony! - zadrwiła. - O czym to my? Ach, tak! Od razu zastrzegam, że te wyniki nie są poparte wnikliwymi badaniami, na których opiera się geograficzne profilowanie przestępców. Ale byłabym skłonna stwierdzić, że człowiek korzystający z tych internetowych węzłów mieszka w południowym Manchesterze, nieopodal autostrady M60. Za chwilę prześlę ci mapę z zaznaczoną czerwoną strefą, czyli najbardziej prawdopodobnym obszarem jego zakwaterowania. To gdzieś na styku podmiejskich dzielnic Didsbury, Withington i Chorlton. Ale nie mam pojęcia, o czym to może świadczyć z demograficznego punktu widzenia.

- Czyta liberalno-lewicowy „The Guardian”, słucha audycji publicystycznych i informacyjnych w Radio 4. Zakupy robi na miejscu i wciąż tęskni za moim imiennikiem, Tonym Blairem.

Fiona uśmieła się po pachy.

- Dość niezwykle terytorium dla sprawcy zabójstwa na tle seksualnym, nie?

- Właśnie. Ale sądzą, że tu nie chodzi o seks. Uważam, że jedno zabójstwo przerodzi się w serię, a mam nieodparte wrażenie, że cały czas coś nam umyka. Znasz to uczucie?

- Niestety, aż za dobrze. Tak czy siak, gdybyś jeszcze potrzebował mojej pomocy, po prostu zadzwoń.

- Dzięki, Fiona. Masz u mnie dużego drinka następnym razem, gdy się spotkamy. Wybierasz się może na tę imprezę Europolu w przyszłym miesiącu?

Nie zdążył jednak usłyszeć odpowiedzi. Niespodziewanie drzwi naprzeciwko łóżka otworzyły się na oścież i weszła przez nie znajoma pośredniczka, zwracając się do kogoś za jej plecami.

- Myślę, że zgodzicie się państwo, że ta sypialnia jest wprost olśniewająca. - Odwróciła się w stronę pokoju i wybałuszyła oczy na widok Tony'ego, przyciskającego koldrę do piersi.



- Muszę kończyć, Fiona - odezwał się do słuchawki. Potem zdobył się na uśmiech i zwrócił się do nieoczekiwanych gości: - Wiem, że to dziwnie wygląda, ale mogę to wszystko wyjaśnić.

I właśnie wtedy pośredniczka zaczęła krzyżeć wniebogłosy.

Co prawda Bethany nie odważyła się odmówić Carol wstępu do środka, ale najwyraźniej nie chciała zdradzać tego faktu Vanessie.

- Jest bardzo zajęta - usprawiedliwiła się recepcjonistka. - Wątpię, czy tak od ręki znajdzie dla pani czas. Ostatnim razem i tak się pani poszczęściło - wytrajkotała.

Carol nawet nie zamierzała wykorzystywać swojego uroku osobistego. Skoro ta kobieta pracowała dla Vanessy już od pewnego czasu, oznaczało to, że tylko napędzając jej stracha, można było przewyciężyć przemożną chęć przypodobania się szefowej.

- To sprawa służbowa - oznajmiła ostro. - Powiedz pani Hill, że przysłałam tu nie jako osoba prywatna, ale w charakterze przełożonej sekcji do spraw rewizji nierozwiązanych spraw. - Odwróciła się, nie pozostawiając Bethany żadnej alternatywy poza podniesieniem słuchawki.

- Wybacz, Vanessa - zaczęła Bethany żalonym tonem. - Ta policjantka znów się zjawiała. Mówi, że musi z tobą porozmawiać służbowo. Coś o rewizji niewyjaśnionej sprawy?

Bethany długo wysłuchiwała uwag szefowej, po czym odłożyła słuchawkę.

- Spotka się z panią w pierwszej wolnej chwili - powiedziała ponuro Bethany, niczym ktoś, kto wie, że znalazł się między młotem a kowadłem.

Oczekiwanie się przedłużało. Carol spojrzała na zegarek, sprawdziła w telefonie, czy nie dostała czasem jakiegoś SMS-a lub mejla. W drodze do Halifaksu wpadła do centrum koordynacyjnego Komendy Północnej, by wydać polecenia dotyczące dzisiejszych operacji. Zostawiła też na poczcie głosowej każdego członka swojego zespołu wiadomość, że dzisiejsza poranna narada odbędzie się godzinę później niż zwykle, czyli o dziesiątej. Ale mimo to nie mogła do końca pogodzić się z faktem, że zajmowała się

osobistymi sprawami w trakcie dwóch ważnych śledztw, o poszukiwaniach prowadzonych w Wastwater nie wspominając.

Gdyby tylko Blake zorientował się, co ona wyprawia w czasie, gdy powinna doglądać każdego aspektu toczących się śledztw, sama dostarczyłaby mu argumentów przemawiających za zawieszeniem działalności jej sekcji. Ale nawet ta świadomość nie mogła jej zawrócić z raz obranej drogi. Jakby nie miała już siły, by wciąż odgrywać rolę gliniarza, który przedkłada swoją pracę ponad wszystko. Przez wiele lat robiła to, czego od niej żądano, a nawet więcej. Ryzykowała własne życie, stanęła w obliczu upodlenia i wielkiej krzywdy, a po wszystkim z wielkim wysiłkiem wróciła na pierwszą linię walki z przestępczością. Rzecz jasna, powrót do służby nie był dziecięcą igraszką, lecz - skoro już się na to zdecydowała - bez wahania stawiała czoło każdemu wyzwaniu, jakie stało na jej drodze.

Jednak niedawno jej uczucia wobec Tony'ego wymogły na niej zmianę obieranego dotychczas kursu i wpłynięcie na bardziej niebezpieczne wody. Czy to dlatego, że znaczył dla niej więcej niż nawet praca, która stanowiła niemal sens jej życia? A może, ponieważ chciała stawić opór, wyraźnie zaznaczyć, że ma prawo do wykonywania obowiązków według własnego uznania, na przekór przełożonemu, który zamierzał traktować ją jak władca marionetek?

Tak czy owak, odpowiedzi na te pytania musiały poczekać na swoją kolej. Ponieważ właśnie w tym momencie zjawiała się w końcu Vanessa Hill, wyraźnie ledwo panująca nad wzbierającym gniewem. Stukała rytmicznie o dywan czubkiem buta na obcasie.

- Myślałam, że ostatnim razem już wszystko sobie wyjaśniłyśmy i koniec sprawy - rzuciła ostro pod nosem.

Carol pokręciła głową.

- Nie mam w zwyczaju kończyć sprawy, póki nie poznam całej prawdy - cierpko odpowiedziała Carol. - A tę akurat rzadko miewasz w swoim repertuarze. - Spojrzała w kierunku Bethany. - Nie sądzę, byś chciała o tym rozmawiać przy pracownikach i dostarczać im tematów do plotek.

Tym razem, zamiast zabrać Carol do swojego gabinetu, Vanessa poprowadziła ją do niewielkiego pokoju przy recepcji. Dwie całkowicie obite drogą skórą kanapy stały tam po przeciwnych stronach niskiego stolika z granitu. Ściany pomieszczenia zdobiły reprodukcje bogatych w szczegóły obrazów pędzla Gustawa Klimta. Okaz na pokaz, pomyślała z przekąsem Carol. Na niej nie robiło to jednak większego wrażenia.

Vanessa rozsiadła się na jednej z kanap.

- A myślałam, że wyraźnie dałam ci do zrozumienia, że mam już po dziurki w nosie tej twojej dziwacznej misji - zaczęła znudzonym głosem.

Carol nie dała się zbić z tropu.

- Częścią moich obowiązków jako przełożonej sekcji przestępstw ciężkich jest rewizja niewyjaśnionych spraw. Przyglądałam się ostatnio staremu śledztwu dotyczącemu pewnego napadu w tutejszym Savile Park. Coś ci to mówi?

Vanessa nie straciła jednak panowania nad sobą.

- Do rzeczy - wycedziła.

- Byłaś tam ze swoim narzeczonym, Edmundem Arthurem Blythe'em. Wyjaśniłaś policji, że zaczął cię molestować, który zażądał od Eddiego pieniędzy. Sytuacja wymknęła się spod kontroli i Eddie został dźgnięty nożem. O mały włos uniknął śmierci. Po czym niemal natychmiast wyjechał z miasta.

- Po co w ogóle o tym wspominasz? - W głosie Vanessy pobrzmiwała niewypowiedziana groźba.

Carol przypomniała sobie w tym momencie słowa piosenki „She Belongs to Me” Boba Dylana - te o kobiecie, która nigdy się nie potyka, bo nie ma gdzie upaść. Co może nie do końca pasowało do Vanessy, bo ona raczej nawet nie brała pod uwagę możliwości jakiegokolwiek potknięcia.

- Ponieważ tobie jakoś wyleciało to z głowy. A Tony powinien wiedzieć, dlaczego jego ojciec porzucił was obydwój. Jeśli nie powiesz mi, co się naprawdę wydarzyło, to ponownie rozpocznę śledztwo w sprawie napadu, i to z pełną werwą. Twoje zeznanie zdaje mi się grubymi nićmi szyte. Wierz mi, że przekopię twoje życie od początku do końca i wydam oświadczenie,

z którego wyniknie, że po tylu latach próbowałaś jeszcze wyłudzić od syna należny mu spadek po ojcu. To wystarczy, by rozpocząć drugie śledztwo. Wierz mi, Vanessa, podobnie jak ty, nie dam sobie w kaszę dmuchać, więc z nieukrywaną przyjemnością będę ci uprzykrzać życie, dopóki nie odpowiesz mi na kilka pytań.

- To już podpada pod nękanie! Tylko spróbuj, a już ja ci załatwię dożywotni urlop w policji! - Twarz Vanessy zdradzała wściekłość.

A Carol wiedziała już, że wygrała tę potyczkę.

Wzruszyła ramionami jakby od niechcenia.

- Jak myślisz, ile potrwa oczyszczenie mnie z tych zarzutów, hm? A ja mogę ci dokuczać przez naprawdę długi czas. Raczej byś tego nie chciała. Bo chyba nie chcesz, żeby twoje dobre imię unurzano w błocie, co? Albo wizerunek twojej firmy? A z pewnością nie teraz, gdy gospodarka leży i kwiczy, a księgowi liczą każdy grosz przeznaczony na rekrutację i szkolenia.

- Tony powinien zamknąć cię w złotej klatce, póki może - odpowiedziała z uznaniem Vanessa. - Ta żalosna parodia mężczyzny. Wdał się w ojca, ot co. - Skrzyżowała nogi i ręce i popatrzyła gniewnie na Carol. - No więc, co chcesz wiedzieć?

- Na przykład co takiego zaszło tamtej nocy, że Eddie postanowił uciec. Chcę też dowiedzieć się, dlaczego nigdy o tym nie wspomniałaś Tony'emu?

Vanessa wbiła w Carol surowe, taksujące spojrzenie.

- A ty jak byś się niby czuła, gdyby twój narzeczony okazał się nagle bojaźliwą pierdołą, co? Jak tylko ten człowiek wyciągnął nóż, pod Eddiem ugięły się kolana. Oddał mu swój portfel i zaczął go błagać, by zostawił nas w spokoju. Nawet się rozplakał. Dasz wiarę? Łzy spływały mu po policzkach, cały się zasmarkał, zupełnie jak dzidzia. Żal aż dupę ścisnął. I ten skurwysyn nie wytrzymał. Śmiał się z Eddiego prawie do rozpuku. - Zamilkła i poruszyła stopą w górę i w dół w sobie tylko znanym rytmie, a błyszcząca skóra jej butów załśniła w świetle. - Gdy się już ubawił, zażądał mojej biżuterii. Mojego pierścionka zaręczynowego i złotego naszyjnika, który dostałam od Eddiego. Kopnęłam więc go w piszczel. Właśnie wtedy skoczył na Eddiego. Dźgnął go, a potem zwał w te pędy - tłumaczyła Vanessa.

- I nie winałaś się za to wszystko? - zapytała Carol, choć i tak wiedziała, jaką otrzyma odpowiedź.

- A niby za co?! To nie ja się płaszczęłam przed tym sukinsynem. Ja przynajmniej miałam odwagę stanąć w naszej obronie, nie to co Eddie. Był zwyczajnym tchórzem i ten złodziej szybko się na nim poznał. To dlatego rzucił się na Eddiego, bo wiedział, że nie ze mną takie numery. Mogę się co najwyżej winić za to, że wcześniej nie zdałam sobie sprawy, jakim cholernym mięczakiem Eddie był naprawdę. - Jad pogardy kapał z jej słów jak krew z rzeźnickiego noża.

- Dlaczego Eddie sprzedał firmę i wyjechał z miasta?

- Bo najadł się wstydu po wsze czasy! Wskutek artykułu w gazecie całe miasto dowiedziało się, że zhańbił samego siebie. I mnie również. Wszyscy się z niego śmiali i wytykali palcami. Gruba ryba biznesu nie umie się postawić zwykłemu rabusiowi! Nie mógł znieść tego poniżenia. Zresztą, do tego czasu zdążyłam już zerwać zaręczyny, więc nic go tu nie trzymało.

- Rzuciłaś go? Jeszcze kiedy był w szpitalu?

Vanessa wydawała się całkowicie obojętna.

- A na co miałam czekać? Zawiódł moje oczekiwania. I tyle. Krótka piłka.

Samego Hitlera zadziwiłaby swoim egotyzmem. Pewność siebie Vanesy była niezachwiana i Carol nie sądziła, by cokolwiek mogło ją podkopać. Fakt, że Tony wyszedł przy niej na jakich takich ludzi, zakrawało na cud.

- Nikogo nie aresztowano - zauważyła Carol.

- Twoi bracia w mundurach byli wtedy tak samo bezużyteczni jak dzisiaj. Tak szczerze, to nie sądzę, żeby im jakoś specjalnie zależało. Gdyby ten skurwiel próbował mnie zgwałcić, to może i by się tym zainteresowali. Ale dla nich Eddie był tylko żalonym bogatym dupkiem, który umiał zadbac o własną dupę, więc w zasadzie zasługiwał na swój los.

Carol z trudem mogła uwierzyć w jej słowa. Wówczas, w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku, nie było aż tylu przestępstw co dzisiaj, więc policja poważnie podeszłaby do podobnego napadu. Nawet biorąc pod uwagę rzekomą różnicę klas społecznych, nijak niepasującą do uwagi

Alana Milesa, że Eddiego uważano za „swojego chłopaka”, któremu się w życiu powiodło. Ale wersja wydarzeń przedstawiona przez Vanessę sama włożyła jej broń do ręki, więc nie mogła się powstrzymać, by nie utrzc jej nosa.

- Może to dlatego, że nie opisałaś im zbyt dokładnie tego napastnika.

Vanessa uniosła brwi.

- Było ciemno. I szybko się zmył. Mówił z miejscowym akcentem, tyle pamiętam. Kto jak kto, ale ty powinnaś doskonale zdawać sobie sprawę z tego, jak mało zauważają świadkowie napadu.

Miała rację. Ale tacy cwani biznesmeni jak ona rzadko się mylili.

- Dlaczego więc nigdy nie powiedziałaś Tony'emu prawdy? Dlaczego pozwoliłaś mu uwierzyć, że on sam był powodem ucieczki ojca?

- Nie mam żadnego wpływu na to, w co pragnie wierzyć mój syn - rzuciła z lekceważeniem.

- Mogłaś mu jednak przedstawić pełną wersję wydarzeń.

Kąciki ust Vanessy wykrzywiły się w zimnym, złośliwym uśmiechu.

- Chroniłam go przed prawdą. Nie chciałam, żeby się dowiedział, jak żalonym człowieczkiem był jego ojciec. I nie tylko dlatego, że nie potrafił postawić się facetowi, który był prawdopodobnie tak samo przerażony jak on. Również dlatego, że tak bardzo zależało mu na własnej reputacji, że wolał uciec, zamiast wypić piwo, którego nawarzył. Myślisz, że Tony'emu pomogłaby świadomość, że jego ojciec, choć przecież dorosły, cały czas robił w gacie jak dziecko? I że został porzucony przez człowieka, przy którym nawet lew z „Czarnoksiężnika z krainy Oz” wydawał się mieć prawdziwie lwie serce?

- Uważam, że Tony wolałby żyć z taką świadomością, niż dorastać w przeświadczeniu, że ojciec go porzucił, bo nie chciał mieć nic wspólnego z własnym dzieckiem. Czy Eddie naprawdę nigdy nie interesował się swoim synem?

Vanessa ciężko odetchnęła przez nos.

- Nawet nie wiedziałam, że o nim wie. Ja z pewnością mu nic nie mówiłam. I nie mam zielonego pojęcia, jak się o tym dowiedział.

Carol nie potrafiła ukryć zdziwienia.

- Nie powiedziałaś mu? Nie wiedział, że nosisz jego dziecko?

- Gdy doszło do napadu, byłam dopiero w trzecim miesiącu ciąży. Nie było widać jeszcze brzuszka. W tamtych czasach nie rozgłaszało się wszem i wobec tego, że spodziewa się dziecka. A jak się okazało, dobrze się stało, że trzymałam język za zębami. Inaczej Eddie pewnie zaciągnąłby mnie przed ołtarz i utknęłabym na dobre z tym nędznym tchórzem. I nie siedziałabym teraz w tym miejscu - dodała z całkowitym przekonaniem i potoczyła dumnie ręką wokół siedziby swojej firmy. - Uciekając, Eddie nie mógł nam wyświadczyć większej przysługi, doprawdy.

Jej pewność siebie zakrawa już na okłamywanie samej siebie.

- A nie przyszło ci do głowy, że miał prawo poznać swojego syna?

- Na tym świecie panuje prosta zasada: jeśli czegoś chcesz, to sobie weź. Prawo ojca ma tu guzik do rzeczy - wypowiadając tę zgryźliwą uwagę, Vanessa poderwała się z kanapy. - Teraz już na bank skończyliśmy. Nie mam już nic więcej do dodania. Możesz o tym wszystkim powiedzieć Tony'emu albo nie. Twój wybór. Mnie wszystko jedno. - Teatralnym gestem otworzyła drzwi. - Naprawdę mogłabyś znaleźć sobie lepszego faceta, wiesz.

Carol pożegnała ją szerokim uśmiechem, z trudem powstrzymując się, by nie zaśmiać się jej w twarz.

- Prawie mi cię żal. Nie masz nawet pojęcia, co tracisz - rzuciła na odchodne.

## ROZDZIAŁ 22

Ulubionym dniem tygodnia Philippy Thomas był piątek. Odkąd ograniczyła swoją praktykę stomatologiczną do czterech dni w tygodniu, w końcu znalazła trochę czasu dla siebie. W ten jeden dzień nie musiała dłużyć i kłuć, borować i wypełniać, by uzdrowić uśmiechy klientów. Mąż w pracy, a dzieci w szkole - miała więc całutki dzień do swojej wyłącznej dyspozycji. I uwielbiała to uczucie.

Ale najbardziej na świecie przepadała za tak zwaną Piątką Piątkowego Poranka. Nazwa nieprzypadkowa, bo razem z Philippą było ich pięć. Monica, która pracowała popołudniami i wieczorami w miejskim biurze doradztwa personalnego. Pam, która opiekowała się otępiałą matką, z własnej woli wysuplując resztki ograniczonego budżetu, by w piątek rano uwolnić się od codziennych spraw. Denise, która, idąc za przykładem bohaterki „Gotowych na wszystko”, uwielbiała umawiać się na lunchy - ale akurat nie w piątki. Oraz Aoife, która prowadziła foyer w jednym z bradfieldzkich teatrów.

Słońce czy deszcz, bez znaczenia - one i tak co piątek spotykały się na parkingu przed zajazdem Shining Hour\*, wysoko na wrzosowiskach rozciągających się między Bradfield a Rochdale. I niezależnie od pogody pokonywały kilkanaście kilometrów na przełaj przez jeden z najbardziej wymagających terenów na północy Anglii.

\* W sensie przenośnym - Niezapomniana Chwila.

Poznały się w pewną sobotę w Grattan Park przy okazji Biegu Różowej Wstążki, reklamowanego jako „przebieżka na luzie w imię walki z rakiem piersi”.



„Niezły oksymoron” - ironizowała Denise, gdy przypadkiem, podobnie jak pozostała czwórka kobiet, na próżno szukała wolnej toalety. „Luz i rak piersi. Dobrze sobie” - ciągnęła. Koniec końców, stanęło na tym, że po kolei kucali w krzewach azalii i wypróżniały swoje nie tak znowu młode pęcherze, podczas gdy reszta stała na czatach. Ta przygoda zbliżyła je do siebie i jeszcze przed zapadnięciem zmroku narodził się pomysł Piątki Piątkowego Poranka.

W ten pamiętny piątek świeciło akurat słońce, po niebie płynęły leniwie tylko pojedyncze chmurki, a zimny wiatr znad Morza Północnego, hulający beztrosko po wrzosowiskach Gór Penińskich, działał na skórę niemal jak peeling.

Philippa rozmasowała nieco zmarznięte ramiona ukryte pod cienką bluzą. Nie mogła się już doczekać, aż ogarnie ją to obłędne uczucie całkowitego wyzwolenia z oków ciała, które zacznie swobodnie przemierzać malownicze plenery.

Gdy w końcu wyruszyły, Philippa wysunęła się na czoło. Denise dogoniła ją i biegła obok, wymieniły więc kilka zdawkowych zdań o swoich ostatnich przejściach. Ale wkrótce zamilkły, oszczędzając oddech, by dostarczyć dość tlenu do mięśni przed długą i powolną wspinaczką na szczyt Bickerslow.

Pochylając głowę, Philippa czuła, jak mięśnie ud napinają się i kurczą, napędzając jej każdy krok. Nie czas podziwiać widoki. Najważniejsze, by dobiec do oznakowanego kolorem ścieżki kopczyka z kamieni, po którego minięciu miały skręcić na zachód, gdzie czekała na nieosłonięta od wiatru boczna grań wzniesienia oraz pokryta metalowymi płytami płaska nawierzchnia - krótki odpoczynek dla nóg zmęczonych ciężką przeprawą w górę.

Dopiero zaczęły wspinać się po tej wąskiej ścieżce wijącej się przez wierzchołek wrzosowisk, gdy Philippa nagle stanęła w miejscu. Denise w pędzie zderzyła się z nią z takim impetem, że niemal się od siebie odbiły.

- O co biega, do cholery? - złościła się Denise.

Philippa nic nie odpowiedziała. Wskazała tylko na przemoczony toból leżący w przydrożnym rowie. Pomimo worka, który przykrywał górę

brudnego materiału, nie wątpiła, że miała przed oczami ludzkie szczątki. Piątek już nigdy nie miał być dniem takim jak kiedyś.

Paula nalala sobie kubek kawy, którą ktoś zdążył już zaparzyć, i zasiadła za biurkiem. Mimo że wybiło dopiero wpół do dziesiątej, a poranna narada miała się zacząć za pół godziny, zespół był już na miejscu w komplecie. No, a przynajmniej wydawało się jej, że Stacey również się zjawiała. Bariera z monitorów tak skutecznie zasłaniała jej stanowisko, że niemal całkowicie za nią zniknęła. Ale jej obecność zdradzały ciche stuknięcia klawiszy klawiatury i kliknięcia myszką. Nic nowego.

Paula czasem się zastanawiała, czy Stacey kiedykolwiek wracała do siebie. Albo nawet, czy w ogóle miała dokąd wracać. Pauli nigdy nie zdarzyło się pracować z osobą bardziej skrytą niż Stacey. W ten czy inny sposób miała już okazję, by zobaczyć mieszkania pozostałych członków zespołu. Poza gniazdkiem Stacey. Nie żeby ich analityczka była nieprzyjemna w obyciu. Ale z pewnością pochodziła z innej planety.

Jednak ostatnimi czasy Pauli wydawało się, że dostrzega oznaki większej życzliwości wobec Sama. Nie było to nic zdrożnego ani poważnego. Po prostu od czasu do czasu zaparzała mu herbatę, którą zawsze nosiła w plecaku. Albo z własnej woli zdradzała, gdzie Sam jest lub co też może robić. Czego nie praktykowała w przypadku nikogo innego.

Paula skarciła się za te myśli - powinna teraz głowić się nad poważniejszymi sprawami niż życie prywatne kolegów. Każdy komisariat, w którym pracowała, przypominał hutę, w której wrzało od rozmaitych plotek. Zupełnie jakby policjanci próbowali zrównoważyć udrekę związaną z wielkością swoich obowiązków nadmiernym zaciekawieniem ewentualnymi sekretami pozostałych funkcjonariuszy. Rozpalona do czerwoności wyobraźnia puszczala wodze fantazji, nieraz produkując prawdziwie niestworzone historie. Być może dlatego, że w ich zawodzie było na odwrót i wszystkie ustalenia musiały opierać się na bezspornych faktach.

Włączyła komputer, ale zanim zdołała oddać się lekturze raportów zbiorczych, w których miała nadzieję znaleźć doniesienia o postępach w śledztwie, na brzegu jej biurka przysiadł Sam Evans, który widocznie wrócił prosto z Lake District. Usiadł odrobinę za blisko, tak by tylko trochę wchodzić w jej - jak by to określili etolodzy - sferę dystansu osobistego. Pomyślała, że mężczyźni nieraz podświadomie działają w ten sposób, by pokazać swoją wyższość nad kobietami. By od razu pokazać im właściwe miejsce w szeregu.

Ale akurat gdy chodziło o Sama, zupełnie jej to nie przeszkadzało. Był bowiem jednym z nielicznych facetów, którzy czuli się całkowicie swobodnie w towarzystwie lesbijek. Tak z ręką na sercu to nawet lubiła Sama. Wiedziała oczywiście o jego nieukrywanej nieposkromionej ambicji i dążeniu do prześcignięcia innych. Nie przestawało jej bawić to, że Samowi wciąż się wydawało, że tylko szefowa go rozgryzła. A skoro знаła jego słabość, mogła z powodzeniem wykorzystać ją przeciwko niemu.

Podobał jej się bystry umysł Sama. Oraz - co zadziwiająco - jego zapach. Używał soczystych perfum, z nutką limonki, które jednak nie zagłuszały zupełnie jego naturalnej woni męskiego ciała. W zasadzie Pauli przypadały do gustu jedynie zapachy kobiet (i to nielicznych), ale Sam stanowił wyjątek potwierdzający regułę, co czyniło ją bardziej podatną na jego wdzięki.

- Narada dopiero o dziesiątej w trakcie poważnego śledztwa - zaczął bez powitania. - Dziwne. Co też się dzieje z naszą starą?

Paula zrobiła kwaśną minę.

- Mnie się pytasz? Sądziłam, że instruuje centrum koordynacyjne na „Północy” w sprawie Daniela Morrisona i rozmawia z tymi ze śródmieścia o poszukiwaniach Setha Vinera.

Sam pokręcił głową.

- Była u naszych kolegów z „Północy” o wpół do dziewiątej. Przydzieliła im zadania na ten dzień i w ciągu dwudziestu minut się stamtąd zmyła. A ptaszki doniosły mi, że w ogóle nie była jeszcze w śródmieściu.

Kevin otwarcie przysłuchiwał się ich rozmowie.

- Wczoraj rano też gdzieś ją wciąło. Gdy zadzwoniłaś do niej z miejsca

zbrodni, nie było jej na komisariacie - dorzucił swoje trzy grosze, dołączył kawę i wrócił do Pauli i Sama.

- To gdzie niby była? - dopytywała się Paula.

- Nie mam pojęcia. Ale nieprędko się zjawiała, więc raczej nigdzie w pobliżu - zauważył Kevin.

- Nie było jej też wczoraj wieczorem. - Sam dorzucił oliwy do ognia.

- Bzdury gadasz! - Paula bronila szefowej. - Po tym jak wysłałam jej SMS-a o zawale Jessiki Morrison, od razu pojawiła się w szpitalu.

- Mam na myśli: trochę wcześniej. Wróciłem na komisariat, spodziewając się, że ją zastanę. Miałem pewne wieści, którymi chciałem się z nią podzielić, ale jej gabinet był zamknięty na cztery spusty. Stacey powiedziała mi, że szefowa była i się zmyła. Bez słowa, gdzie się wybiera - ciągnął Sam.

Splótł ramiona na znak zaufania i konfidencjonalnie wyszeptał:

- Myślicie, że w końcu dosięgła ją strzała Amora? Może ona i Tony... ten tego... w końcu zauważyli to, co jest jasne dla wszystkich już od wielu lat?

Paula prychnęła.

- Daj spokój. Nigdy nie będą razem. Przecież on zdręczyłby ją na śmierć ciągłymi analizami. Cały związek musiałby sobie rozrysować na tablicy.

- No nie wiem - włączył się Kevin. - Carol potrafi być bardzo władczą. Bardzo przekonywającą. Jeśli ktokolwiek może nakłonić Tony'ego do zwinienia interesu i zajęcia się nią, to właśnie nasza stara.

- Kto wie, może właśnie dlatego nie współpracuje z nami przy tej sprawie - zauważył Sam. - Może to nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Przecież ją znacie. Nie pozwoliłaby mu z nami pracować, gdyby kręcili na boku. Postrzegalaby to jako konflikt interesów i bez mrugnięcia okiem wykopałaby go na aut. Sama jest sobie prawem, jeśli chodzi o sposób prowadzenia spraw. Ale jeśli w grę wchodzi dyscyplina w zespole, to nie znosi, gdy sobie folgujemy.

- Komu to mówisz? - wymamrotał Kevin. Przed laty właśnie Carol

przyczyniła się do jego kompromitacji i degradacji w policyjnej hierarchii. Choć przez to, że także ona dała mu drugą szansę, czuł, iż już na zawsze pozostanie jej dłużnikiem. Naprawdę starał się ją polubić, ale bez skutku. - Jeśli naprawdę chodzi o jakiś romans, to nie mogła sobie wybrać lepszego momentu - zżymał się Kevin. - Przecież teraz, gdy Blake się nas uczeplił jak rzep psiego ogona, z pocałowaniem ręki przyjmujemy każdą pomoc. Wiem, wiem, kiedyś myślałem, że Tony to niezły psychol i że nie pasuje do naszego zespołu. Ale przekonał mnie do siebie. A teraz na bank by się nam przydał.

Gdy Kevin wypowiadał tę uwagę, Sam nagle się wyprostował, odchrząknął i zawołał głośno:

- Bry, psze pani.

Carol wpadła do pokoju i ruszyła w kierunku stołu narad z takim impetem, że poły jej płaszcz zaszumiały. Ciekawe, ile zdążyła usłyszeć?, zastanawiała się Paula. Nie musiała długo czekać na odpowiedź.

- Masz całkowitą rację, Kevin - rzuciła Carol, ciskając torby i płaszcz na podłogę przy krześle. - Ale komendant Blake twierdzi, że musimy ograniczyć wydatki. Jeśli więc potrzebujemy eksperta, to musimy poszukać tańszej alternatywy. Wygląda na to, że państwowa szkoła policyjna chce potraktować nas jak króliki doświadczalne do testów ich nowego narybku. Zaje-kurwa-biście!

- Popatrzyła po kolei na każdego z osobna, po czym posłała całej trójce zmieszany uśmiech. - Czy w tej norze znajdzie się kubek kawy dla znużonego wędrowca?

Minęło pięć minut i wszyscy zajęli już swoje ulubione miejsca przy stole. Paula wciąż się głowiła, czy Sam nie miał czasem całkowitej racji. Albo choć połowicznej. Może rzeczywiście w życiu Carol pojawił się jakiś mężczyzna. Inny niż Tony. Taki, który najwyraźniej dodawał jej sił do walki, przynajmniej sądząc po bijącej z niej dzisiaj energii.

Carol po kolei przysłuchiwała się sprawozdaniom swoich podwładnych, wyławiając z nich najważniejsze elementy i sugerując nowe sposoby podejścia do sprawy. Ale jeszcze zanim skończyli przegląd ostatnich ustaleń, stało się jasne jak słońce, że nie udało im się znaleźć prawie nic, co

mogłoby popchnąć do przodu sprawę zabójstwa Daniela. I niewiele więcej w przypadku zaginięcia Seta.

Kevin poszedł tropem niepewnych informacji Asifa Khana o produkcji audycji komediowych szukającym młodych talentów. Skontaktował się z redaktorami prowadzącymi oddziałów BBC w Manchesterze, Glasgow, Londynie i Cardiff, ale w żadnej ramówce nigdy nie figurował choćby trochę podobny program. Nie było nawet takich planów w najbliższej przyszłości.

- I tu trop się urywa. - Odsunął od siebie notatnik. - Szczerze mówiąc, tego właśnie się spodziewałem, ale i tak zawsze warto się upewnić, nie?

- Warto - zgodziła się Carol. - I w tym aspekcie górujemy nad większością śledczych.

Paula podniosła rękę w górę.

- Szybkie pytanie, szefowo. Czy mamy traktować te dwie sprawy jako powiązane ze sobą? Znaczą: Daniela i Seta?

Carol przytaknęła z uznaniem.

- Dobrze pytanie, Paula. Moim zdaniem należałoby uznać, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że w obu wypadkach szukamy tego samego sprawcy. Ale na tym etapie lepiej nie wyciągać pochopnych wniosków. Ponieważ niekiedy naprawdę przypadki chodzą po ludziach. To samo tyczy się naśladowców.

- Ale przecież z tego, co zdołałam wywnioskować z rozmowy z dziewczyną Seta, ten JJ osaczał go przez internet od dawna. To chyba wyklucza naśladowcę, nie? - odezwała się Paula.

- Wszystko pięknie, ładnie, ale twoje wnioski opierają się na wielu założeniach, a raczej przypuszczeniach - wciął się Sam, który był zaskakująco na bieżąco z wydarzeniami jak na człowieka, który spędził wiele dni setki kilometrów od komisariatu. Ale z niego szpaner, pomyślała Paula z nutką urazy.

- Zakładasz, że padł ofiarą porwania, a nie zwyczajnie w świecie ukrywa się z powodów, o których nikt nie wie albo nie chce wyjawić. Zakładasz także, że jeśli rzeczywiście go porwano, winę za to ponosi osoba, z którą rozmawiał przez internet, ten cały JJ. Który może okazać się Bogu ducha winny. - Podniósł do góry rękę, by uczynić głośno manifestowany sprzeciw

kolegów. - Może i jest, kto wie. To możliwe. Po prostu zgadzam się z szefową. Musimy być otwarci na wszelkie możliwości. To mogła być sprawka naśladowcy, który po prostu wykorzystał nadarzającą się okazję, by podpiąć się pod zbrodnie innego sprawcy.

- Nie mogła! - obruszył się Kevin. - Seth przecież zagiął, zanim znaleźliśmy ciało Daniela!

- Poinformowaliśmy media o zaginięciu Daniela - przypomniała Stacey. - Więć to jednak niewykłuczone.

Paula dostrzegła, jak Carol zakrywa oczy ręką, i żałowała, że w porę nie ugryzła się w język.

- Co racja, to racja - rzuciła.

Carol spojrzała na swój zespół i lekko się uśmiechnęła.

- Widzę, że dziś nie brakuje wam woli walki.

- Bierzemy z ciebie przykład, szefowo - odparł Kevin ochoczo. - Pytanie tylko, co teraz?

- Może wysłuchajmy najpierw, co Stacey ma do powiedzenia - proponowała Carol.

Stacey uśmiechnęła się do nich z wdziękiem.

- Program do rozpoznawania rysów twarzy niewiele wskórał z zapisami kamer ze śródmieścia. Kiepska jakość, a tak po prawdzie to ich pole widzenia jest całkiem do dupy.

- Czasem w głowę zachodzę, po co w ogóle te wszystkie kamery - skomentowała Carol z przekąsem. - Jak przychodzi co do czego, niemal zawsze okazuje się, że tyle z nich pożytku, co z domku z piernika.

- Gdyby to Stacey dostała te zabawki do ręki, nie mielibyśmy już żadnych tajemnic - zażartował Sam.

Stacey najwyraźniej była zdziwiona jego uwagą i zarazem zadowolona, bo zapewne poczytała ją za komplement.

- Wtedy chociaż zrobiłabym porządek z kamerami - odpowiedziała. - A co do innych rzeczy, to chyba powinniśmy zacząć od RigMarole. Pobuszczo wałam trochę w komputerze Setha i znalazłam sporo rozmów z tym całym JJ. Na pozór wszystko wydaje się całkiem niewinne, podobnie jak większość internetowej paplaniny. Ale nie ma wątpliwości, że wkraadał się w łaski Setha. Co ciekawe, prywatne strony JJ na Rigu usunięto. I to tego

samego popołudnia, kiedy zaginął Seth. Co, niestety, tylko potwierdza przypuszczenia Pauli.

- Zdołałaś może dowiedzieć się czegoś więcej o tym JJ? - zapytała Carol.

- Rozmawiałam wczoraj z właścicielami RigMarole. Powiedzieli mi, że nie mają żadnych praw do zawartości stron użytkowników. Podobno nie mają nawet do nich dostępu. A bez nakazu i tak nam nie pomogą sprawdzić, czy przypadkiem coś nie zostało na ich serwerach...

- Skurwysyny! - zakrzyknął Kevin.

- ...więc po prostu ominęłam ich zabezpieczenia - dodała Stacey.

Carol przewróciła oczami.

- Udam, że tego nie słyszałam.

- Ale musisz ci to powiedzieć, bo inaczej nie będziesz w stanie osądzić, co można mu udowodnić na podstawie innych przesłanek, a o czym w ogóle nie powinniśmy wiedzieć - odparła Stacey z przebiegłością w głosie.

Paula pomyślała, że za działaniami Stacey kryła się nawet pewna logika. Tym większa szkoda, że takie rewelacje powodowały, iż Carol zbladła jak ściana.

- Czego więc nie powinniśmy wiedzieć? - zapytała Carol, z której wyraźnie zaczynało uchodzić powietrze.

- Wszystkie informacje o sobie, które podał JJ podczas zakładania konta, to jedna wielka ściema. Sprawdziłam w naszej bazie: nic nie trzyma się kupy. A skrzynkę założył na darmowym serwerze, który nie wymagał podania żadnych danych. Słowem: człowiek, którego nie było.

- Kolejny zimny trop - zauważyła Paula. - Cholernie sprytna bestia z tego JJ.

- Może nawet sprytniejsza, niż nam się wydaje - odpowiedziała Stacey.

- Odkryłam jednak jedną dziwną rzecz. Wiecie, kim był Alan Turing, prawda? Facet, który złamał szyfr Enigmy i w zasadzie wymyślił współczesne komputery?

- I popełnił samobójstwo z powodu wstydu, na jaki naraziło go oskarżenie o „obrazę moralności publicznej”, czyli otwarte przyznanie się do



homoseksualizmu - obruszyła się Paula. - Tak tylko mówię, gdybyś akurat o tym zapomniała. Kevin wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Nawet szefowa nie była jeszcze wtedy w policji, Paula. No i co z tym Alanem Turingiem, Stacey?

- Chodzi o jego znaną fotografię z okresu młodzieńczego, gdy był chyba jeszcze studentem, na której biegnie w jakichś zawodach lekkoatletycznych. Rzecz w tym, że JJ wyciął z tego zdjęcia głowę Turinga, trochę ją podretuszował i umieścił jako swoje zdjęcie profilowe na RigMarole. Nie mam pojęcia, co to może oznaczać, ale to chyba nie przypadek, co?

Właśnie teraz przydałby nam się Tony, pomyślała Paula. Co prawda ich zespół potrafił snuć przypuszczenia i stawiać hipotezy, ale nie umiał ocenić, które z nich są bardziej prawdopodobne.

- Więc co, sądzimy, że JJ jest gejem, tak? - zapytała.

- Albo ma świra na punkcie komputerów - wtrącił się Sam. - A ty co sądzisz, Stacey?

- No cóż, Turing jest niemal bogiem dla geeków\* - odpowiedziała. - Może po prostu chce w ten sposób odwrócić naszą uwagę. Jeśli jest aż takim bystrzaczką.

\* Ang. *geek* - maniak komputerowy.

- A co ze sprawą Daniela? - zapytała Carol. - Wiem, że nie mamy w ręku jego webbooka, ale czy nie udało ci się czasem dostać na jego skrzynkę? Stacey trochę się zawstydzila.

- No, skoro i tak myszkowałam po serwerach Rigu, to pomyślałam sobie, że warto byłoby sprawdzić przy okazji konto Daniela.

Carol na chwilę przymknęła oczy.

- Zero zaskoczenia. A znalazłaś coś?

- Człowiek, który rozmawiał z nim na privie o branży komediowej, posługiwał się pseudonimem KK.

- O kurwa! - rzucił ktoś.

- A strony KK usunięto tego samego popołudnia, kiedy zaginał Daniel. Jako zdjęcia profilowe użył innej fotografii Turinga z doklejoną, bardziej współczesną fryzurą. Przykro mi, Sam, że muszę ci wbić szpilę, ale sądzę,

że to w zasadzie rozwiewa nasze wątpliwości. W obu przypadkach mamy do czynienia z tym samym sprawcą.

Wszystkim członkom zespołu zrzedły miny. Zapadła długa cisza.

- Mało prawdopodobne więc, by Seth nadal żył, prawda? - W końcu Paula zdecydowała się powiedzieć to, co reszcie chodziło po głowie.

- Nie wiem, ale i tak musimy działać, zakładając, że jednak żyje - stanowczo oświadczyła Carol. - Ale poprzednie doświadczenia uczą nas, że podobny zabójca nie poprzestanie na dwóch ofiarach. Sam, rozumiem, że skoro wróciłeś, to nic nie wskóraliście w sprawie Wastwater?

Sam wyglądał na zadowolonego z faktu, że cała uwaga skupiła się teraz na nim.

- Hm, wprost przeciwnie. Ale sądziłem, że będziesz chciała o tym porozmawiać na osobności. Zresztą, dalsze czynności o wiele łatwiej będzie mi prowadzić stąd.

Carol popatrzyła na niego gniewnie. To już podpada pod niesubordynację i nie dam głowy, że Sam zdaje sobie z tego sprawę, pomyślała Paula. Oparła się o krzesło, wyczekując, czy Sam zdoła wybrnąć z tej sytuacji.

- A więc co nam przynosisz? - stanowczo zapytała Carol.

- Owoce pracy, z którymi trudno polemizować - powiedział z dumą. - Wczoraj, tuż przed zmrokiem, nurkowie wyciągnęli z Wastwater pokaźny toból owinięty plastikiem. Znaleźli go dokładnie w jednym z tych miejsc, które wskazała Stacey. - Zamilkł i uśmiechnął się do nich promiennie.

- Rozumiem więc, że znaleźliście ofiarę, czy tak? - stanowczo odparła Carol, przypominając im wszystkim, że znalezienie ciała nigdy nie było powodem do radości.

Na twarzy Sama odmalowało się zdziwienie, gdy w końcu zdał sobie sprawę, że niewłaściwie podszedł do swoich rewelacji. Przybrał więc inną minę i odchrząknął.

- Niestety, więcej niż jedną.

- Matka i córka, tak?

- Bardzo możliwe. Znaleźliśmy szczątki kobiety i niemowlęcia. Ale... -  
Nie mógł się powstrzymać. Musiał zrobić dramatyczną pauzę.

- Ale? - Carol była teraz nie na żarty poirytowana.

- Ale to nie koniec. Natknęliśmy się również na szczątki trzeciej osoby.  
Zakładając, że pozostałe zwłoki należały do Danuty Barnes i jej córki, wychodzi na to, że mamy też trzecią ofiarę. Prawdopodobnie faceta.

## ROZDZIAŁ 23

Tony wlepił wzrok w podłogę i defensywnie przygarbił ramiona, jak dziecko, które wie, że nieźle nabroiło.

- Dzięki, Alvin - wymamrotał, czując się niczym ledwie tolerowany wioskowy głupek. - Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że chciało ci się przyjechać i za mnie poręczyć.

Oblicze Ambrose'a wykrzywił gniewny i pogardliwy grymas.

- To ja tu nadstawiam karku i wychodzę z siebie, by przekonać mojego inspektora do wciągnięcia cię w sprawę, a ty mi odpłacasz w ten sposób? Twój wyczyn przejdzie do kanonu policyjnych legend, kolego. Ale raczej zostaniesz ochrzczony nowym Śpioszkiem niż Mędrkiem. A ja wyjdę na niezłą pierdołę, że w ogóle zasugerowałem twoje usługi. Ta opinia będzie się za mną ciągnęła przez lata! Alvin Ambrose: pierdoła, który zatrudnił profilerę aresztowanego za wtargnięcie do własnego domu. Wielkie dzięki, doktoru.

- Naprawdę mi przykro, uwierz.

- Czemu po prostu nie powiedziałeś mi o swoim ojcu?

Tony westchnął.

- Dlatego, że nie był moim ojcem. - Musieć tłumaczyć się przed Ambruse'em, to było w tym wszystkim najgorsze. By zatrzymać dla siebie wszystkie niezręczne sekrety, odgrodził się od świata niewidzialną barierą. Wystarczyła chwila szaleństwa, by runęła. Tak pewnie czuli się jego pacjenci.

Całe zdarzenie przypominało komedię pomyłek, choć właściwie nie było się z czego śmiać. Wrzaski pośredniczki wyrwały Tony'ego z otępienia i wyskoczył z łóżka w samych bokserkach w poszukiwaniu ubrań. Pech chciał, że również i zwiedzający przystąpili do działania - opamiętali się na

tylę, by zadzwonić na policję i zgłosić obecność intruza.

Funkcjonariusze choć raz nie guzdrali się i zaskakująco szybko zjawili się na miejscu. Tony nie zdążył nawet zarzucić na siebie zbyt wiele ciuchów, pośredniczka wciąż była w ciężkim szoku, a zwiedzający pilnowali wraz z nią drzwi, nie chcąc go wypuścić. Na próżno próbował im wyjaśnić, że miał święte prawo przebywać w tym domu. Jednak to, że miał klucze, nie trafiło do przekonania gliniarzy. Uwierzyli w wersję pośredniczki. W dużym skrócie brzmiała tak: wczoraj oprowadzała intruza po domu jako potencjalnego kupca, a ten najwyraźniej ubzdurał sobie, że to już jego mieszkanie. Tony musiał przyznać, że sam by jej uwierzył. Na miejscu policji również byłby przekonany, że tego szaleńca w sypialni z całą pewnością należy zabrać na komisariat i trzymać pod kluczem, dopóki nie zbada go psychiatra lub póki nie potwierdzą się jego słowa. Choć raczej nie wierzyli w tę drugą ewentualność.

Gdy już zabrali go do paki, wszystko wyjaśniło się błyskawicznie. Wystarczył telefon do notariusza i drugi do sierżanta Ambrose'a, by załagodzić nieporozumienie. Wypuścili go, na odchodne niezbyt grzecznie upominając, że gdyby następnym razem chciał nocować w domu wystawionym na sprzedaż, powinien najpierw powiadomić o tym agencję nieruchomości.

Na tak zbesztanego i zawstydzonego Tony'ego czekał już Ambrose. Powitał go miną zdecydowanie mniej przyjazną niż wcześniej.

- Jak to nie był twoim ojcem? - dopytywał się stanowczo Ambrose, gdy odjeżdżali spod komisariatu.

- Nie miałem okazji go poznać. Nie wiedziałem nawet, jak się nazywa, dopóki nie umarł i nie odziedziczyłem tego domu.

Ambrose gwizdnął znacząco.

- To rzeczywiście mogło ci pomieszać w głowie.

Szczególnie że już wcześniej miałem nierówno pod sufitem.

- Można tak powiedzieć.

- A więc gdy zaproponowaliśmy ci robotę, to pewnie czułeś się, jakby stary wzywał cię zza grobu, byś tu przyjechał i wybadał jego teren, nie?

- Patrzę na to trochę inaczej. Raczej potraktowałem to jak niepowtarzalną okazję, której nie mogłem przepuścić. Przepraszam. Powinienem od początku być z tobą szczery. Zwyczajnie nie spodziewałem się, że ten dom wywrze na mnie aż takie wrażenie, że stracę głowę. - Myślałem, że będzie obcy, niemiły, nieprzystępny. A tu proszę, przekraczając jego próg, Tony czuł się, jakby wrócił w rodzinne strony. Było to jednak odczucie zbyt krępujące, by w tym momencie Tony miał ochotę do niego wrócić.

- Tak czy siak, inspektora nie ucieszą wieści o twoich wyczynach. I tak już ma cię za pomyleńca.

- Spozstrzegawczy człowiek, ten twój Patterson. Ale może pocieszy go trochę wiadomość, że mam pewne sugestie dotyczące waszego zabójcy.

Ambrose odwrócił wzrok od przedniej szyby i przelotnie otaksował Tony'ego.

- To super. A jak zwykle się do tego zabierasz?

Tony uśmiechnął się z ulgą. Zainteresowanie Ambrose'a wskazywało, że najpewniej zdecydował się mu wybaczyć. A o profilowaniu przestępców Tony mógł mówić godzinami.

Poczuł się jak ryba w wodzie, zaczął więc z werwą:

- Sądzę, że ten proces można podzielić na dwie części. W pierwszej odwracam zależność przyczynowo-skutkowe. Innymi słowy, zaczynam od końca: nie od rysu psychologicznego mordercy, lecz od analizy ofiary. Próbuje zrozumieć, kim była i co w jej życiu mogło pociągać napastnika. Potem zwracam uwagę na to, co wyjątkowego posiadała, a co jej odebrano. Życie, to na pewno. Jakieś wyróżniające ją cechy, fizyczne lub psychiczne. Władzę. Jej płęć. W końcu biorę pod lupę to, co jej zrobiono. Faktyczne posunięcia zabójcy i kolejność faz mordu. A gdy już zapoznam się z tym wszystkim, zaczynam cofać się w rozumowaniu. Zadaję sobie pytania. Jeśli byłbym zabójcą, dlaczego bym to robił? Co by to dla mnie znaczyło? Co motywowało? Dlaczego zabijałbym właśnie tak, a nie inaczej? Potem cofam się jeszcze bardziej. Co takiego przytrafiło mi się w przeszłości, że przypisywałbym moim czynom takie znaczenie?

Przy odrobinie szczęścia na tym etapie jestem już bliżej zrozumienia zabójcy. - Odpowiadając na pytanie, Tony żywo gestykulował, kreśląc w

powietrzu zawile wzory, jakby chciał zilustrować w ten sposób pokrętność swojej logiki. - Potem przyglądam się rachunkowi prawdopodobieństwa. Jakie życie może prowadzić zabójca o takiej, a nie innej przeszłości? Jaki wpływ wywiera ten przeszły uraz na jej życie? Jakie relacje z ludźmi może nawiązywać? - Rozłożył ręce i wzruszył ramionami. - Jak widzisz, trudno nazwać to nauką ścisłą. Na dokładkę, każda sprawa rodzi inne pytania. Ambrose westchnął.

- Fascynujące. Ale nie o to mi chodziło. Pytałem raczej, w jakiej formie przedstawiasz swoją analizę. Ustnie? Pisemnie?

- Aha.

Tony wiedział, że odpowiedź Ambrose'a powinna go zdeprymować, lecz mimo to nie dał się zbić z tropu. Może i zazdrościł normalnym ludziom wielu cech, ale z pewnością nie tego - jak to określał - przygnębiającego deficytu dociekliwości. Zdaniem Tony'ego, Ambrose powinien mu raczej podziękować za to, że w ogóle mógł wysłuchać tych wyjaśnień. Ale skoro Alvina interesowały tylko rzeczy przyziemne, to Tony służył uprzejmie.

- Zwykle spisuję swoje przemyślenia na laptopie i przesyłam przełożonemu dochodzeniówki. I w razie potrzeby omawiam z nimi wszelkie niejasności. Ale w naszym przypadku nie jestem jeszcze gotowy do analizy. Jeszcze za mało wiem o Jennifer, by ją zrozumieć. Naprawdę chciałbym porozmawiać z tą jej najlepszą koleżanką, Claire... coś tam.

- Claire Darsie.

- O właśnie. Wybacz.

- Tak się składa, że akurat do niej teraz jedziemy. Rozmawiałem już z dyrekcją i zwolnią ją z zajęć, by mogła z tobą porozmawiać. Możecie sobie pospacerować po terenie szkoły albo przysiąść gdzieś na uboczu.

- Doskonale. Dzięki!

- A swoją drogą, jakie wnioski wyciągnąłeś do tej pory?

- Nieliczne. W tym momencie raczej nie myślę konkretnymi.

Chciał jednak podzielić się z Ambrose'em pewnym spostrzeżeniem, które wszelako wydawało się tak bardzo sprzeczne z logiką, że wymagało uprzedniego wprowadzenia.

- Rzecz w tym, że to wszystko może nie być takie proste, jak początkowo myśleliśmy. Zastanawiam się, czy to przypadek czy nie.

- Co przez to rozumiesz?

Tony zrobił kwaśną minę.

- Nie jestem do końca przekonany, że mamy do czynienia z zabójstwem na tle seksualnym.

- A niby na jakim? - Ambrose wyraźnie nie wierzył własnym uszom. - Przecież zabójca praktycznie zgwałcił ją tym nożem. A ty mi tu mówisz, że to nie seksualne?

- Widzisz, jak jest. Sam nie wiem, co o tym myśleć. Ale pospekulujmy chwilę, okej? Założmy, czysto teoretycznie, że podłożem tej zbrodni nie była seksualna gratyfikacja, czyli spełnienie.

Popatrzył wyczekująco na Ambrose'a, który znów westchnął.

- Niech ci będzie. A więc nie chodziło mu o seksualną gratyfikację. Założmy, że tak było.

- Ale wyciął jej pochwę, wepchnął w nią nóż naprawdę głęboko. Sam powiedziałaś, że o mało nie zgwałcił jej tym ostrzem. Zastanawia mnie jednak, czy czasem rozmyślnie nie upozorował zabójstwa na tle seksualnym. Może zabił ją z zupełnie innego powodu, a fakt, że na pierwszy rzut wygląda to nam na motyw seksualny, to czysty przypadek.

- Kpisz czy o drogę pytasz? - obruszył się Ambrose.

Nie on pierwszy zareagował w ten sposób na co bardziej szalone teorie Tony'ego. Nie wszystkie okazywały się błędne, ale te akurat stanowiły przytłaczającą większość.

- Sam już nie wiem - odpowiedział Tony. - Jeszcze raz powtórzę, moja wiedza jest jeszcze zbyt niepełna, by przygotować wyczerpujący profil psychologiczny. A wnioski opierające się jedynie na połowie informacji mają większą szansę okazać się połowicznie chybione. Jednakże gdy odejdzie się od tych nienaukowych metod, którymi się posługuję, i zamiast nich zastosuje reguły nauk ścisłych, to można zajść o wiele dalej pomimo braku wyczerpujących informacji.

- O czym ty w ogóle mówisz?

- O algorytmach. Rozmawiałem z koleżanką, która lepiej ode mnie



wyznaje się na analizie geograficznej. Jej zdaniem wasz zabójca prawdopodobnie mieszka w południowej części Manchesteru.

- Manchesteru? Poważnie mówisz?

- To nie moje słowa, tylko mojej koleżanki. A ona jest prawdziwym mistrzem w swoim fachu. Pamiętasz, jak mówiłem ci podczas oględzin miejsca zbrodni, że miejsce porzucenia ciała miało największy sens, jeśli zabójca nie był miejscowy? Cóż, wygląda na to, że chociaż w tej kwestii miałem rację. Przynajmniej, jeśli wierzyć Fionie.

- Ale Manchester? To możliwe, żeby była aż tak precyzyjna w swoich wyliczeniach?

- Z drobnymi zastrzeżeniami, ale jest pewna swego. Ma mi przesłać mapę z zaznaczoną prawdopodobną strefą jego zamieszkania. To część miasta uchodząca ponoć za szczyt mody i stylu. Studenci, ekolodzy, sklepy spożywcze dla wegan, małe tradycyjne piekarnie, ludzie mediów i prawnicy. No wiesz, bardzo cool, trendy, jazz, indie i retro w jednym. Chciałoby się rzec, że to niezbyt naturalne środowisko dla zabójcy osaczającego swą ofiarę. Ale algorytmy nie kłamią. Ponieważ jednak trop użytkowania komputerów ma inne kryteria niż seria przestępstw, mogą się tym razem nieco mylić.

- Nawet nie wiedziałem, że seryjnych morderców ciągnie do konkretnych miejsc - skomentował Ambrose.

Tony zastanawiał się chwilę.

- Skłaniają się ku wynajmowaniu lokali. Głównie dlatego, że rzadko zarzewają miejsce w jednej robocie, nie dysponują więc stałym dochodem. Co z kolei nie zachęca banków do udzielania im kredytów hipotecznych. Także i owszem, przychyliam się do wniosku, że wynajmuje mieszkanie.

- Brzmi sensownie.

Pora powrócić do najważniejszego wniosku.

- Podobnie jak to, co powiedziałem wcześniej, Alvinie. Wiem, że uważasz, że mnie pogięło, ale im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem przekonany, że na poważnie powinieneś wziąć pod uwagę moją sugestię. I to nie tylko „gwoli dyskusji”. To nie jest zabójstwo na tle seksualnym.

Ambrose ponownie odkleił wzrok od przedniej szyby, by spojrzeć na Tony'ego. Gdy spuścił drogę z oczu, auto nieco zjechało w bok, zanim zdołał wyrównać tor jazdy.

- Wciąż brzmi to jak rojenia wariata. - A on wciąż brzmiał tak, jakby całkowicie nie dowierzał Tony'emu. - Skąd w ogóle pomyśł, że zabójca miał inny motyw? Czyżbyś nie oglądał zdjęć z miejsca zbrodni? Nie przyjrzałeś się, co on jej zrobił?

- Oczywiście że tak. Ale zrozum, Alvinie, podejrzanie krótko miał ją dla siebie. Poświęcił wiele tygodni, by do niej dotrzeć i uspić jej czujność. Jeśli chodziłoby o seks, to nie rozstawałby się z nią przez wiele dni. Żywą lub martwą, w zależności od jego upodobań. Z pewnością nie pozbyłby się jej tak szybko. Sam policz, jak niewiele czasu minęło od zgłoszenia zaginięcia do znalezienia ciała.

Ambrose popatrzył na Tony'ego wzrokiem zarezerwowanym dla szaleńców i pomyleńców.

- Chyba że spanikował. Może rzeczywistość przerosła jego chore fantazje. A może po prostu chciał jak najszybciej mieć ją z głowy.

Tony rozważał tę ewentualność, gdy poprzedniej nocy zapadał w sen. Ale niemal od razu ją odrzucił.

- Jeśli byłoby tak, jak mówisz, to raczej nie poświęciłby tyle czasu i zachodu, by dokonać okaleczenia. Najzwyczajniej w świecie by ją zabił i porzucił zwłoki. Uwierz mi, Alvinie, w tej zbrodni nie chodziło o seks.

- To niby o co, do cholery?! - Ambrose zacisnął szczękę, napiął mięśnie twarzy i wysunął dolną wargę, przez co wyglądał zupełnie jak rozszluszczony buldog.

Tony westchnął.

- Znów powtórzę, że jeszcze tego nie wiem. Na tym etapie nie potrafię odczytać jego pobudek.

- Wiesz więc, o co na pewno nie chodzi, ale nie możesz nam powiedzieć, jaki był prawdziwy motyw? Czegoś tu nie rozumiem, doktorku. A konkretnie tego, jaki pożytek mamy z tych twoich wniosków. - Ambrose znów nie potrafił ukryć gniewu. Tony nawet wiedział dlaczego. Ci śledczy mieli nadzieję, że pomoc psychologa jak za dotknięciem czarodziejskiej

różdżki odmieni ich sytuację, a dotychczas jedynie przysparzał im kolejnych problemów.

- A choćby i taki, że nie będziecie musieli szukać po omacku i podążać za niewłaściwymi tropami. Na przykład za miejscowymi przestępcami seksualnymi. To ślepy zaułek.

- Zatem kiedy przygotujesz pełen profil psychologiczny, który wskaże nam, kogo właściwie powinniśmy szukać?

- Wkrótce. Przy odrobinie szczęścia jeszcze dziś. Liczę na to, że rozmowa z Claire pozwoli mi trochę bliżej poznać Jennifer. Może wtedy lepiej zrozumieć, co mogło popchnąć zabójcę do tego czynu. W ofierze zawsze tkwi klucz do rozwiązania zagadki, Alvinie. Taki czy owaki, ale zawsze.

Śledczy Sam Evans nie posiadał się ze szczęścia, że w końcu wrócił na łono tego, co uważał za w pełni rozwiniętą cywilizację. Do miejsca, gdzie można było bez trudu dostać kawę lub kanapkę z bekonem, gdzie nigdy nie zapadały egipskie ciemności i gdzie nie trzeba było daleko szukać schronienia przed deszczem. A jakby tego było mało, nadarzyła mu się wyjątkowa okazja zadziwienia kolegów na porannej naradzie.

Jedyny problem, który mu pozostał do rozwiązania, to pójść tropem tego nieoczekiwanego znaleziska w postaci trzeciego ciała wyciągniętego z jeziora. Musiał się jednak nieźle nagimnastykować, by odpowiednio rozebrać tę kwestię. W oczekiwaniu aż technicy kryminalistyczni znajdą jakieś poszlaki, nie pozostawało mu nic innego, jak udawać, że robota pali mu się w rękach. Jeśli bowiem Carol zorientowałaby się, że Sam zbija bąki, to bez wahania przydzieliłaby mu jakąś czarną robotę nad bieżącymi sprawami. A nie chciał wychodzić poza obręb komisariatu, bo gdyby pod jego nieobecność dotarły tu ustalenia techników, ktoś inny mógłby zwędzić mu sprawę sprzed nosa i zgarnąć wszystkie pochwały. A do tego nie zamierzał dopuścić.

Sam wyjął notatnik i przewrócił kilka stron w poszukiwaniu numeru do inspektora z jednostki w Kumbrii, który miał być jego łącznikiem. Właśnie sięgał po telefon, gdy odezwał się dzwonek jego komórki. Nie miał pojęcia, czyj to numer.

- Halo? - zaczął zwięźle, jak zwykle nie chcąc z własnej woli zdradzać za wiele, a już szczególnie bez wzajemności.

- Czy rozmawiam może ze śledczym Evansem? - odezwał się kobiecy głos. Brzmiał energicznie, młodo, acz zdecydowanie.

- Owszem.

- Czy to pan wysłał mi mejlem ten komplet kart dentystycznych?

- Zgadza się. - Dochodzeniówka zdobyła zapisy leczenia od dentysty Danuty Barnes już wtedy, gdy przed laty zgłoszono jej zaginięcie, a jeden z gliniarzy w Kumbrii zasugerował Samowi, by przesłał je do Uniwersytetu Kumbryjskiego w Carlisle.

- To dobrze się składa. Z tej strony doktor Wilde, antropolog kryminalistyczny z uniwersytetu w Carlisle. Wciąż badam te szczątki z Wastwater. Jeszcze nie skończyłam, ale pomyślałam sobie, że chciałby pan wiedzieć, co do tej pory udało mi się ustalić.

- Przyjmę wszystko z pocałowaniem ręki - odparł Sam. Dzięki, Boże.

- W takim razie mam dla pana dobrą wiadomość. Albo złą, zależy, jak na to patrzeć. Zapisy leczenia stomatologicznego pasują do stanu uzębienia mniejszego ze szkieletów dorosłych, najprawdopodobniej kobiety w wieku między dwadzieścia pięć a czterdzieści lat.

- Miała trzydzieści jeden lat. I nazywała się Danuta Barnes.

- Dziękuję za przypomnienie. Moi studenci próbują wypreparować próbki DNA z tych trzech szczątków. Myślę, że zdołamy potwierdzić, czy ta kobieta była matką tego dziecka. Które, w mojej ocenie, miało od czterech do sześciu miesięcy - ciągnęła doktor Wilde.

- Lynette. Pięciomiesięczna dziewczynka. - Widok żałośnie małego zawiątku wciśniętego pomiędzy dwa większe zrobił na nim piorunujące wrażenie. Niełatwo poddawał się emocjom, ale nawet najbardziej nieczuły człowiek nie przeszedłby obojętnie wobec takiej przedwczesnej i bezsensownej śmierci.

Doktor Wilde westchnęła.

- Tak szybko odeszła. Nawet nie bardzo jest co napisać na nagrobku. Bo przecież nie wyryją tam: „Żyła pięć miesięcy. Skończyła jako doskonała

pomoc dydaktyczna”. No nic, jak tylko uda nam się ustalić pokrewieństwo pomiędzy ofiarami, dam panu znać.

- Będę dozgonnie wdzięczny. A co może mi pani powiedzieć o tych trzech zwłokach? - Nie spodziewał się jednak za wiele po worku kości i błotnistej brei, w której skład nawet nie chciał wnikać.

Odpowiedział mu krótki chichot.

- A to się pan zdziwi. Na przykład, mogę panu powiedzieć, że należały do niejakiego Harry'ego Sima, który na bank żył jeszcze w czerwcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku.

Sama ogarnęło chwilowe zdziwienie. Potem się roześmiał.

- Co go zdradziło? Karta kredytowa czy prawo jazdy?

- Bystrzejszy niż przeciętny śledczy - skomentowała z udawanym amerykańskim akcentem, nieco zawiedziona.

- Cóż, trochę się podłapało od misia Yogiiego - odpowiedział Sam z przekąsem. - To jak było w końcu?

- Karta kredytowa Mastercard. Okres ważności od czerwca dziewięćdziesiąt trzy do maja dziewięćdziesiąt siedem, wystawiona na nazwisko niejakiego Harry'ego Sima. Zawsze to jakiś trop dla pana. Zadowolony?

- Moja mina: bezcenna - odparł Sam z manierą zasłyszaną w telewizyjnych reklamach. - Czy zamierzacie też sprawdzić podobieństwo jego DNA do genów dziecka?

- A czy trzeba uczyć ojca dzieci robić? Pewnie że tak.

- A znacie już przyczynę śmierci?

- Do tego zachłanny jak Sknerus McKwacz, no, no - powiedziała, już nie z takim rozbawieniem w głosie. - Na tym etapie nie potrafię określić przyczyny. Ale nie znalazłam żadnych wyraźnych urazów kości, więc raczej nie został zastrzelony, uduszony ani załuczony tępym narzędziem. Mógł zostać otruty albo umrzeć z braku powietrza. Albo z przyczyn naturalnych, w co jednak szczerze wątpię. Podejrzewam zresztą, że nigdy nie uda nam się ustalić, co spowodowało zgon. Jeśli więc liczy pan na postawienie komuś zarzutu morderstwa, będzie pan musiał oprzeć się jedynie na poszlakach.

Co nigdy dobrze nie wróżyło żadnej sprawie sądowej. Ale nie mógł zbytnio narzekać, skoro i tak niemało już zawdzięczał doktor Wilde. A kto wie, do czego mógł się dokopać, gdy już zacznie grzebać w życiu i otoczonej nimbem tajemnicy śmierci Harry'ego Sima? Podziękował więc na koniec doktor Wilde za dotychczasową pomoc i przerwał połączenie. Wiedział już, dokąd powinien się teraz udać.

## ROZDZIAŁ 24

Zwykle Carol nie miała nic przeciwko temu, by ktoś ją woził. Chyba że chodziło o dojazd na miejsce zbrodni. Nawet z najbardziej biegłym „szoferem” za kółkiem - a Kevinowi nie można było w tym względzie nic zarzucić - podróż zawsze i bez wyjątku zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Jej myśli wybiegały daleko do przodu, jakby chciały dotrzeć do celu wcześniej niż jej ciało, planując kolejne kroki postępowania na miejscu zbrodni. Może i ofiara nie była już skrępowana regułami ziemskiego czasu, ale Carol nie miała zamiaru kazać jej na siebie czekać.

Kevin zjechał na wąską drożkę na wrzosowiskach. Kolejne ciasne zakręty zmusiły go do zdjęcia nogi z gazu. Carol rozejrzała się wokół. Była już w pobliżu tego miejsca, gdy jechała dziś na niezapowiedziane spotkanie z Vanessą. Co prawda już wcześniej rozmaici zbrodniarze - zwłaszcza Ian Brady i Myrza Hindley, niesławna para „morderców z wrzosowisk”<sup>\*</sup> - zakopywali tu zwłoki swoich ofiar. Ale gdy jechała w stronę Halifaksu, nawet nie przeszło jej przez myśl, że może właśnie mijać miejsce, w którym poszukiwany przez nich morderca zdecydował się porzucić ciało Seta Vinera.

<sup>\*</sup> Na początku lat 60. XX w. ta brytyjska para zamordowała piątkę dzieci, z których większość zakopła na wrzosowiskach Saddleworth na północ od Manchesteru; obydwoje skazano na dożywocie - Hindley zmarła w 2002, Brady nadal odsiaduje karę.

- Lubi mieć ciszę i spokój, ten zabójca. A tych akurat w bród na zadupkach - skomentowała, chwytając kurczowo za rączkę w aucie, gdy Kevin ściał kolejny zakręt.

- Myślisz, że mieszka gdzieś blisko?

- Zależy od definicji. W końcu jedna czwarta ludności Wielkiej Brytanii mieszka nie więcej niż godzinę jazdy od Parku Narodowego Peak District. A to miejsce leży tylko trochę na północ od niego. Może i na pierwszy rzut oka wydaje się odludziem, ale te tereny to wielka gratka dla amatorów aktywnego wypoczynku. Spacerowicze, biegacze, jak ci, którzy znaleźli ciało, wycieczkowicze, uczestnicy biegów na orientację, kolarze organizujący te swoje przekłete wyścigi szosowe, a nawet zwykli niedzielni rowerzyści... Słowem: wielu ludzi ma całkiem niewinne powody, by dobrze znać te wrzosowiska.

- Jesteśmy już całkiem blisko, za następnym wzgórzem wysiadka - zakomunikował Kevin, rzucając okiem na GPS.

- Lepiej trzymajmy kciuki, żeby policja z West Yorkshire nie miała chętki na wyłączność w tej sprawie. - Choć Seth zaginął bez śladu w Bradford, to jego ciało znaleziono trochę ponad sześć kilometrów poza ich rewirem, na terenie pod jurysdykcją innej komendy. Carol nigdy nie pracowała bezpośrednio dla policji West Yorkshire, ale i tak zdołała wkurzyć większość starszych rangą oficerów tamtejszej dochodzeniówki, gdy kilka lat temu na własną rękę rozpracowywali z Tonym sprawę seryjnego zabójcy, której nikt inny nie traktował poważnie.

- Pewnie spluwają tam teraz przez lewe ramię na sam dźwięk mojego nazwiska - dodała pół żartem, pół serio.

Kevin, który doskonale znał te wydarzenia, odchrząknął znacząco.

- Trudno im się dziwić. Wszak przez ciebie wyszli na pierwszorzędnych frajerów.

- Mam nadzieję, że już im przeszło. W końcu minęły już wieki.

- I co z tego? Przecież jesteśmy w Yorkshire. Tutejsi wciąż rozdierają szaty nad Wojną Dwóch Róż\* - zauważył Kevin, kiedy wjeżdżali na szczyt pagórka.

\* Na terenie historycznego hrabstwa Yorkshire toczyło się kilka zaciętych bojów w prowadzonej w latach 1455-1485 walce o tron pomiędzy rodami Yorków a Lancasterów, w wyniku których dokonano znacznego spustoszenia tych ziem.



Po przejechaniu około półtora kilometra w końcu dojrżeli cel podróży, który raczej trudno byłoby przegapić z powodu szeregu aut i feerii barw - bladozielonego namiotu, jaskrawożółtych taśm policyjnych i białych kombinizonów techników kryminalistycznych.

- Może ci się poszczęści i okaże się, że gliniarze, których naprawdę doprowadziłaś do szału, grzeją już tyłki na emeryturze.

- Skoro moje konto świeci pustkami, to chociaż szczęścia powinnam mieć w nadmiarze.

Zatrzymali się nieco z boku, za karetką z uchylonymi drzwiami, w której grupka opatulonych w koce termiczne kobiet obejmowała parujące tekturowe kubki. Carol zebrała się w sobie, odetchnęła głęboko i ruszyła w kierunku mundurowego stojącego na straży wejścia na miejsce zbrodni.

- Nadinspektor Jordan, bradfieldzka SPC - przedstawiła się. - A to sierżant Matthews. Reszta mojego zespołu jest już w drodze.

Strażnik sprawdził ich legitymacje.

- Proszę się wpisać na listę. - Podał im podkładkę z listą i długopis, a po dopełnieniu formalności wpuścił ich za taśmę. - Sprawę nadzoruje nadinspektor Franklin. Znajdziecie go tam. - Wskazał stojący na poboczu drogi namiot, rozstawiony przez techników dla ochrony miejsca zbrodni.

- Nie ma to jak dobra zachęta do wczasów pod namiotem, nie? - rzuciła Carol, gdy zbliżali się do wejścia. Kiedy odsłoniła poję, jej oczom ukazał się aż za bardzo znajomy widok. Technicy kryminalistyczni w bieli, śledczy w skórzanych kurtkach różnej, choć całkowicie przewidywalnej, maści. Najwyraźniej niektóre rzeczy w West Yorkshire nigdy się nie zmieniają.

Obecni wewnątrz ludzie odwrócili głowy w stronę wejścia. Wysoki i chudy jak tyka mężczyzna oderwał się od grupy śledczych i wyszedł na spotkanie przybyszów.

- Jestem nadinspektor Franklin. Nie mam pojęcia, coście za jedni, ale to moje miejsce zbrodni.

Tutejsza uprzejmość też, jak słyszę, bez zmian, pomyślała Carol.

- Nadinspektor Jordan, witam - zaczęła. - Może i rewir jest pański, ale zwłoki raczej moje.

Wyjęła z torebki kartkę i rozłożyła ją, by pokazać Franklinowi zdjęcie wykonane przez Kathy Antwon.

- Seth Viner. Gdy widziano go po raz ostatni, miał na sobie ciemne dżinsy, białe polo, bluzę z logo szkoły Kenton Vale i ciemnoniebieską kurtkę marki Berghaus.

Franklin przytaknął.

- W zasadzie się zgadza. Wejdźcie i rzućcie okiem. To zdjęcie na nic wam się jednak nie przyda. W tym stanie pewnie nawet rodzona matka by go nie poznała.

Wdzięk i wyczucie - słynne atuty samców z Yorkshire, pomyślała Carol i ramię w ramię z Kevinem ruszyli w ślad za Franklinem, mijając szereg śledczych. Nieopodal pobocza drogi ziemia opadała w płytki rów o szerokości kilku metrów. A raczej nie rów, lecz naturalną nieckę o długości około pięciu metrów. Głęboką na tyle, by ukryć zwłoki przed wzrokiem mijających ją kierowców. Ale piesi nie mieli tego szczęścia.

Ukazał się im ponury widok. Nogi i dolną część tułowia pokrywała gruba skorupa błota i krwi. Twarz zakrywał plastikowy worek, szczelnie oklejony wokół szyi. Niemal kropka w kropkę jak u Daniela Morrisona. Z wyjątkiem ciuchów. Pomimo brudu i zgnilizny bez większego trudu można było rozpoznać ubranie Setha. Nie miał na sobie kurtki, ale ciemnozielona bluza i czarne dżinsy wystarczyły aż nadto, by przekonać Carol, że ma przed oczami ciało syna Julii i Kathy.

- Szkoda chłopaka - wyszeptala smętnie.

- Będziecie pewnie chcieli połączyć wysiłki, co? - odezwał się Franklin.

Za grosz współczucia. Niekoniecznie oznaczało to, że go nie czuł, jedynie że wołał się z nim nie zdradzać przed kobietą i niższymi rangą funkcjonariuszami.

- Tak właściwie to zamierzam przejąć całość. Mamy tu przykład identycznego sposobu działania sprawcy jak w przypadku wcześniejszego zabójstwa na naszym terenie. Z pewnością słyszał pan o Danielu Morrisonie.

Oblicze Franklina wykrzywił gniewny grymas.

- To nasz rewir. Więc sprawa też jest nasza.

- Nie przeczę, że to wasz teren. Ale to tylko miejsce porzucenia ciała. Został porwany w Bradfield, więc niewykluczone, że właśnie tam go zamordowano. Tam też mieliśmy parę dni temu do czynienia z bliźniaczym zabójstwem. Nie ma więc sensu, byśmy się dublowali! - Carol z trudem utrzymywała w ryzach narastający gniew. - Przecież wszyscy musimy liczyć się z budżetem. A wiadomo, ile kasy pochłania śledztwo w sprawie morderstwa. Myślałam raczej, że z miłą chęcią pozbędziecie się tego balastu.

- Nie jesteśmy tacy jak wy. My nie staramy się zrzucać spraw na inne barki przy pierwszej sposobności. Już my dobrze znamy tę waszą sekcję do zadań specjalnych. Podczepiacie się pod osiągnięcia innych, ot co. Może i udało wam się wygrać walkę z antyterrorystami o pierwsze strony gazet w sprawie tej bombowej hecy w Bradfield. Ale my się nie damy zrobić na szaro. Nawet jeśli ta sprawa przyniesie komuś sławę, będziecie się musieli podzielić łupami. W najlepszym razie. - Franklin obrócił się na pięcie i wrócił do swoich ludzi. Zaczęli się naradzać, Carol i Kevina dochodziły tylko ciche i niezrozumiałe pomruki.

- Nieźle poszło, nie ma co - ponuro skomentowała Carol. - Przypomnij mi, żebym popracowała nad sztuką negocjacji.

- Jak więc chcesz to rozegrać?

- Ty zostajesz tutaj. Niedługo zjawi się reszta ekipy. Patrzcie im na ręce, spróbujcie coś wskórać. Zadbajcie o to, żeby nas czasem nie pominęli. A ja tymczasem wracam na komendę, przekonać komendanta, żeby rozszedził ten bezsensowny spór o miedzę, bo nie mamy czasu do stracenia.

Odwróciła się, by spojrzeć na Seta, i poczuła żal.

- Nie zazdroszczę jego matkom. Biedne kobiety - powiedziała łamiącym się głosem. Ale w mig się opanowała. - Dopilnuj, żeby zabrali ciebie albo Paulę, gdy pojedą przekazać wieści rodzicom. Jak już media zwietrzą trop, to stado hien zacznie koczować przed ich domem. Wtedy przyda im się wszelka możliwa pomoc.

- Już ja się o to postaram.

Carol omiotła wzrokiem otaczające ich wrzosowiska.

- Musimy położyć temu kres. Musimy ostrzec inne dzieciaki i złapać

tego skurwiela, zanim ponownie zabije. - Do głowy przysła jej myśl. Nie wypowiedziana i niewypowiedzialna. Szkoda, że nie ma tu Tony'ego.

Na niebie kłębiły się chmury, a w powietrzu wisiała zapowiedź deszczu. Lecz i tak Claire Darsie chciała wyjść poza mury szkoły. Ambrose przedstawił jej Tony'ego i zostawił ich samych. Takt i finezja tego policjanta wywarły na Tonym niemałe wrażenie. Im dłużej miał do czynienia z Alvinem, tym bardziej go cenił. Raczej bez wzajemności. Nie po tym całym porannym obciachu.

Claire poprowadziła ich do wyjścia ze szkoły.

- Możemy sobie podreptać wokół boisk - zaproponowała. - Tam jest, tejes, taka altanka, pod którą możemy klapnąć w razie czego. - Wyraźnie próbowała udawać beztroską, ale była w niej pewna delikatność, przez którą ta pozorna obojętność zdawała się mniej niż powierzchowna.

Narzuciła dość szybkie tempo, żwawo krocząc żwirową ścieżką. Gdyby było lato, rząd drzew w pełnym rozkwicie przy ogrodzeniu pewnie zdołałby ukryć oblicze Claire w swym cieniu. Ale dziś padało na nie wystarczająco dużo światła, by napięcie malujące się na twarzy dziewczyny widać było gołym okiem. Tony pilnował się, by nie podejść do niej zbyt blisko. Chciał bowiem, żeby dziewczyna czuła się swobodnie, a pierwszym krokiem do tego celu było pozostawanie z boku, z dala od jej przestrzeni osobistej.

- Ty i Jennifer długo już się przyjaźnicie? - Trzymaj się czasu teraźniejszego i przypominaj jej, że to już przeszłość.

- Od podstawówki. Pierwszego dnia w budzie przewróciłam się na placu zabaw i zdarłam sobie kolano. Pojawiła się Jen i dała mi swoją „smarcatkę”, żeby zatamowała krew. Tak się poznałyśmy. - Wzruszyło lekko jednym ramieniem. - Ale nawet gdybym nie rozwalila sobie wtedy kolana, to i tak właśnie z nią chciałabym się przyjaźnić.

- A to dlaczego?

- Bo była... jak to szło? Jak do rany przyłoż. Wiem, wiem, że ludki zazwyczaj nie mówią źle o zmarłych, ale o Jen naprawdę nie da się powiedzieć złego słowa. Każdy zresztą potwierdzi. Była wszystkim życzliwa, wiesz?

Nie miała w sobie za grosz wredoty. Nawet jak ktoś ją wkurzał, to nie potrafiła się długo złościć i w końcu się z nimi godziła. - Claire wydała z siebie pomruk, który mógł wyrażać zniesmaczenie. - Nie to co ja. Kiedy mnie ktoś „dźażni”, zawsze odpłacam mu pięknym za nadobne. Sama nie wiem, jakim cudem Jen jeszcze ze mną wytrzymuje, wiesz? - Głos jej zadrżał i mocno pochyliła głowę do przodu.

Przyspieszyła kroku i wysforowała się przed niego. Tony dał jej chwilę na zebranie myśli, doganiając ją dopiero na stopniach niewielkiego drewnianego budynku za linią końcową boiska do hokeja na trawie.

Weszli do środka i usiedli naprzeciw siebie. Claire zwinęła się w kłębek, przyciskając kolana do piersi. Tony zaś rozprostował nogi, krzyżując je w kostkach, ręce swobodnie oparł o kolana. Jak to określają psychologowie - przyjął postawę otwartą, dzięki czemu wydawał się całkowicie niegroźny. W tej chwili mógł wyraźnie dojrzeć cienie pod oczami Claire i poobgryzane do krwi skórki wokół paznokci.

- Wiem, jak bardzo kochasz Jen - zaczął. - Wiem też, jak bardzo ci jej teraz brakuje. Nie zdołamy już zwrócić jej życia, ale możemy chociaż spróbować pomóc jej rodzicom, znajdując osobę odpowiedzialną za jej los.

Claire przełknęła ślinę.

- Wiem. Ciągłe się nad tym zastanawiam. Co ona zrobiłaby na moim miejscu. Chciałaby, żebym pomogła jej mamie i tacie. Ale nie przychodzi mi do głowy żaden pomysł. I w tym problem. - Wyglądała na przybitą. - Jeden wielki „zonk”.

- Nie szkodzi - pocieszył ją łagodnie. - To, co się stało, to nie twoja wina, Claire. I nikt nie będzie ci robił wyrzutów, jeśli nie znajdziemy człowieka, który zabrał nam Jen. Chciałem tylko pogadać. I przekonać się, czy będziesz mi w stanie pomóc choć odrobinę lepiej poznać Jen.

- A co to w ogóle da? - Niepokój ustąpił miejsca zwykłej ludzkiej ciekawości.

- Pracuję jako profiler. Wiem, brzmi poważnie. Ludzie nie do końca rozumieją, na czym polega moja praca, bo czerpią wiedzę z seriali telewizyjnych.

Tak w skrócie to mam za zadanie ustalić, jak Jen poznała tę osobę i jak na nią reagowała. A potem rozgryźć, co nam to mówi o tym człowieku.

- I wtedy pomożesz policji go ująć?

Przytaknął, a na jego twarzy zagościł na chwilę krzywy uśmiešek.

- Mniej więcej. No to co? Powiesz mi, czym interesowała się Jennifer?

Oparł się o ścianę, po czym wysłuchał długiej litanii o rozmaitej muzyce dla nastolatków, modach, programach telewizyjnych i źródłach plotek o życiu gwiazd. Z tego, co słyszał, wylaniał się obraz Jennifer jako osoby, która przykładała się do swoich obowiązków - na czas odrabiała lekcje i punktualnie pojawiała się w domu po ich wspólnych wieczornych wypadach na miasto. Głównie dlatego, że Claire i Jennifer nawet przez myśl nie przeszło, że mogłyby postąpić inaczej. Chuchali i dmuchali na nie w tej ich prestiżowej szkole dla dziewcząt, były podwożone i odwożone przez rodziców, poruszając się po orbicie położonej z dala od pola grawitacji niegrzecznych dziewczynek. Z biegiem czasu, dzięki swobodnemu stylowi zadawania pytań przez Tony'ego, Claire zaczynała się przed nim otwierać. Najwyższa pora głębiej podrażnić temat.

- Aż trudno uwierzyć, że była takim aniołkiem - zagadnął. - Naprawdę nigdy nie szalała choć trochę? No wiesz. Nie upijała się? Nie brała narkotyków? Nie marzyła o zrobieniu sobie „dziary”? Albo o kolecyku w pępku, hm? Nie świrowała z chłopakami?

Claire nie potrafiła opanować chichotu, lecz szybko przyłożyła rękę do ust, zawstydzona własną wesołością.

- Pewnie sobie myślisz, że jesteśmy strasznie drętwe. Raz coś nam odbiło i przekłułyśmy sobie uszy, latem, dwa lata temu. Nasze stare dostały szalu. Ale i tak pozwoliły nam nosić kolecyki.

- Żadnego wymykania się ukradkiem na jakieś koncerty? Albo palenia fajek w szkolnej toalecie? Czy Jen miała w ogóle chłopaka?

Claire spojrziała przez moment w bok, ale nic nie odpowiedziała.

- Wszyscy powtarzają, że z nikim się nie spotyka. Ale trudno mi w to uwierzyć. Fajna osoba i świetna kompanka. Do tego ładna. A ty mi tu

mówisz, że nie miała chłopaka... - Rozłożył szeroko ręce. - Coś mi tu nie gra, Claire.

- Obiecałam jej, że nie powiem.

- Wiem. Ale teraz przecież Jennifer nie będzie ci miała tego za złe. Sama powiedziałaś, że na jej miejscu chciałabyś, żeby nam pomogła.

- To nie był właściwie jej chłopak. Nie chadzali na randki i takie tam. Poznała tego gościa na Rigu. Przedstawiał się jako „ZetZet”. Ale nick pisany był samymi literami. Po prostu „ZZ”.

- Wiemy już, że Jen rozmawiała z nim na Rigu. Ale wydawali się tylko przyjaciółmi. A nie parą.

- Ale to ściema, choć starali się zachowywać pozory. Jen strasznie cykała się reakcji starych, gdyby się szcaili, bo on był od nas cztery lata starszy. Więc chodziła do kafejki internetowej rzut beretem od szkoły, żeby z nim gadać przez sieć. Dzięki temu matka nie mogła jej skontrolować. Jen mówiła mi, że fajnie im się gadało. A nawet, że chciałaby się z nim spotkać na żywo.

- A wspominała może o jakichś ich wspólnych planach?

Claire pokręciła głową.

- To porąbane, ale nagle sama przestała o nim mówić. Zmieniała temat, ilekroć chciałam ją wypytać, co i jak. Ale tak sobie myślę, że może rzeczywiście coś tam knuli.

- Jakiś konkretny powód? - Tony starał się nadać swojemu pytaniu brzmienie pozbawione niecierpliwości, jakby po prostu najzwyczajniej w świecie był ciekawy odpowiedzi.

- Bo ZZ zapodał na Rigu gadkę o sekretach i o tym, że wszyscy próbujemy coś ukryć przed światem. Właśnie wtedy przeszli na priv. A ja myślałam, że po prostu chce ochrzanić go za aluzję do tego, co się między nimi wyprawiało.

Ale nie o tym rozmawiali na osobności. Według Claire, Jennifer dała się zamiast tego namówić na spotkanie, które od dłuższego czasu wisiało w powietrzu. To by wyjaśniało, dlaczego taka grzeczna dziewczyna jak Jennifer zachowała się tak nierozsądnie. Cała sytuacja okazała się starannie wyreżyserowana, niż początkowo mogłoby się wydawać. Wprost przeciwnie - mieli do czynienia z zabójcą, który nic nie pozostawiał przypadkowi.

Tony ostatni raz zetknął się z mordercą tak długo i skrupulatnie planującym swoje posunięcia w toku pierwszej sprawy, którą rozwiązał z pomocą Carol - a wtedy przestępca zebrał naprawdę straszliwe żniwo. Naprawdę nie chciał znów się zagłębiać w otoczone nieprzeniknionym mrokiem zakamarki kolejnego chorego umysłu. Ale jeśli od tego zależało ujęcie zabójcy Jennifer Maidment, zanim ponownie zabije, to nawet nie miał zamiaru się zastanawiać. Bez wahania rzucił się na głęboką wodę.



## ROZDZIAŁ 25

Ten kemping nie miałby najmniejszych szans w żadnym konkursie piękności. Przyczepy, przypominające wielkie pudła w wyblakłych kolorach, przysiadły bez żadnego ładu i składu na wybetonowanych miejscach parkingowych otoczonych zeszlą trawą i asfaltowymi ścieżkami. Co prawda niektórzy mieszkańcy próbowali nadać swoim domostwom odrobinę kolorytu, umieszczając tu i ówdzie skrzynki na kwiaty albo sadząc kwietniki, ale nawet oni musieli w końcu uznać wyższość przeważających tu wiatrów znad zatoki.

Mimo to, wysiadłszy z samochodu, Sam musiał przyznać, że widoki nadrabiały wiele niedostatków tego miejsca. Błady poblask słońca dodawał uroku połaci piasku ciągnącej się niemal po sam horyzont, przechodząc płynnie w połyskliwe morze na skraju zatoki Morecambe\*. Sam wiedział jednak, że to wielce zwodniczy cud natury. Te wody pochłonęły już bowiem wielu ludzi niedoceniających, jak szybkie i zdradliwe potrafią być morskie przypływy i odpływy. Jednak z miejsca, w którym stał, nietrudno było dać się zwieść pozorom.

\* Rozległa zatoka w północno-zachodniej Anglii, nieco na południe od Lake District, przy której rozciąga się największa w tym kraju połać piasku (310 km<sup>2</sup>); w 2004 r. wody zatoki pochłonęły co najmniej 21 poławiaczy serecówek odciętych przez fale przypływu.

Sam ruszył w kierunku biura nadzorcy kempingu, osobliwej chaty z bali, która wyglądałaby bardziej na miejscu na planie „Domku na prerii”. Według ustaleń Stacey, Harry Sim ostatni raz korzystał ze swojej karty kredytowej Mastercard dziesięć dni przed tym, gdy zgłoszono zaginięcie

Danuty Barnes. Zapłacił nią opiewający na dziesięć funtów rachunek za benzynę na stacji odległej o nieco ponad trzy kilometry od Bayview Caravan Park\*. Trzy tygodnie później spłacił ten dług przelewem gotówkowym dokonany w oddziale jednego z banków w bradfieldzkim śródmieściu. Co, jak zauważyła Stacey, było o tyle dziwne, że Harry Sim zazwyczaj rozliczał się ze swoim kredytodawcą poprzez wysyłane pocztą czeki. To, że Stacey w ogóle ustaliła te informacje, zakrawało na cud. Ale jakim cudem się o tym dowiedziała, Sam nawet nie chciał wiedzieć. Tym bardziej że pewnie nie był to do końca legalny sposób.

\* Dosłownie - Park Kempingowy z Widokiem na Zatokę.

Rachunki za kartę przychodziły na adres tego właśnie kempingu. I tu urywał się ostatni trop po Harrym Simie, na który udało się wpaść jemu albo Stacey. Przeszukanie komputerowych baz danych, telefony do fiskusa oraz do banków i kredytodawców nie przyniosły żadnego rezultatu. Co nie było specjalnie zaskakujące, biorąc pod uwagę, że ostatnie czternaście lat Harry Sim przeleżał na dnio jeziora.

Sam zapukał do drzwi i wszedł do środka, od progu okazując swoją legitymację. Mężczyzna za biurkiem grał właśnie na komputerze w jakiś rodzaj zabawy w słowa. Scrabble? Spojrzał na Sama, po czym spauzował grę i z trudem poderwał się na nogi.

Ten okazał się człowiek na pewno miał ponad pięćdziesiąt lat na karku, a jego zwaliste ciało zaczynało już obrastać tłuszczem i obwisać. Na głowie pukle koloru piasku przeplatały się z pasemkami siwizny - zdecydowanie zbyt suche, by dało się je bez trudu uczesać. Jego skóra zmatowiała pod wieloletnim wpływem słonego powietrza i silnego wiatru. Nosił się jednak całkiem schludnie - miał na sobie flanelową koszulę, purpurową bluzę z polaru i ciemnoszare sztruksy.

- Panie władzo - powiedział i lekko się uklonił.

Gdy Sam się przedstawił, mężczyzna wyraźnie się zdziwił.

- Bradfield, powiada pan? Daleko pana wywiało od domu. Ale gdzie moje maniery? Nazywam się Brian Carson. - Od niechcienia wskazał ręką. - Właściciel tego grajdołka.

- Długo pan tu już siedzi?

- Od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego. Swego czasu pracowało się w drukarni w Manchesterze. Kiedy odesłano nas na zieloną trawkę, utopiłem cały majątek w tym miejscu. I nigdy tego nie żałowałem, powiem panu. Wspaniałe życie, naprawdę. Sam pan widzi, stary człowiek i jeszcze morze. - Sama zaskoczyła szczerłość pobrzmiwająca w jego słowach. Wyobraźnia podpowiadała mu bowiem, że nie istnieje zbyt wiele bardziej nużących zajęć niż praca ciecia na kempingu.

- Miło mi to słyszeć - zaczął. - Ponieważ osoba, o którą chcę pana zapytać, mieszkała tu jakieś czternaście - piętnaście lat temu.

Carson wyraźnie się ożywił. Gdyby był królikiem, pewnie zastrzygłby teraz uszami.

- Ja cię sunę, to zaiste zamierzchłe czasy. Pewnie będę musiał sprawdzić w archiwum. - Odwrócił się bokiem i wskazał w stronę drzwi za plecami. - Trzymam wszystkie dokumenty tam z tyłu. Nie żebym ich potrzebował. Bez fałszywej skromności mogę stwierdzić, że doskonale znam swoich najemców. Może nie tych, co tu czasem tylko na urlop przyjadą, ale tych stałych, jak żywo. Cóż też się takiego urodziło, że musiał pan pokonać taki szmat drogi?

Sam posłał mu nieśmiały, niewyraźny uśmieszek - akurat ten, który zwykle zjednywał mu ludzi.

- Przykro mi, ale nie mogę wdawać się w szczegóły. Wie pan, jak jest.

- Aha. - Carson wyglądał na zawiedzionego. - Cóż, jeśli pan nie może, to trudno się mówi. No więc, jak nazywa się ten człowiek, którego pan szuka?

- Harry Sim.

Oblicze Carsona wyraźnie pojaśniało.

- Ach tak, pamiętam go. Pasował tu jak wół do karety. Większość z naszych stałych najemców to ludzie starsi. Na emeryturze. Albo mają chociaż dzieciaki. Ale Harry Sim był zupełnie inny. Samotny facet, jakoś chyba po trzydziestce. Trzymał się na uboczu. Nigdy nie przychodził na grilla, na karaoke ani na inne nasze imprezy. Mieszkał prawie że hen na skraju kempingu. Nie za ciekawy widok z okna, ale przynajmniej miał tam ciszę

i spokój. A muszę panu powiedzieć, że tamte przyczepy zawsze najtrudniej wynająć, bo ich okna nie wychodzą na zatokę. - Przez jego oblicze przemknął uśmiech zażenowania. - A słysząc naszą nazwę, ludzie oczekują właśnie takiego widoku.

- Domyślam się. Mówił pan, że Harry żył sam. Pewnie nie pamięta pan, czy często go ktoś odwiedzał?

Carson zdawał się nagle lekko przybity.

- Gdyby było co, z pewnością bym pamiętał. Ale widzi pan, sęk w tym, że tak naprawdę to nie wiem. Bo niech pan wyjrzy przez okno. Stąd na bank nie zauważy pan, czy ktoś przychodzi w gości do mieszkańców tych przyczep na skraju. Zresztą, choć wiem, że trudno w to teraz uwierzyć, ale latem, gdy wyjdzie słońeczko, mamy tu istne urwanie głowy. Nie ma szans, żebym zauważył każdego gościa. Chyba że kręcą się w pobliżu, żebym widział ich przez szybę.

- No nic. A jak często się pan z nim spotykał?

To pytanie jeszcze bardziej przygnębiło Carsona.

- Raczej od święta. Oczywiście, rozmówiliśmy się, gdy wynajmował przyczepę, by ustalić co i jak. Ale to w zasadzie tyle. Nigdy nie zachodził tu na pogawędkę, jedynie wtedy, gdy miał jakiś kłopot. Biorąc jednak poprawkę na to, że dokładamy wszelkich starań, by najemcy żyli tu jak u Pana Boga za piecem, to w zasadzie nie miałem z nim za wiele do czynienia.

Sam niemal współczuł temu człowiekowi, który palił się do pomocy, ale nie miał zbyt dużo do zaoferowania. Niemal, bo to Sam tracił przez niedostatek wiedzy Carsona.

- Jak długo tu mieszkał?

Oblicze Carsona znów rozświetlił błysk satysfakcji.

- No, w końcu się na coś przydam. Ale muszę najpierw rzucić okiem na dokumenty, by czegoś nie przekreślić - rzucił, mijając już próg drzwi prowadzących do tylnego pokoju. Przez uchylone drzwi Sam dostrzegł rząd szaf na dokumenty, doszedł go też dźwięk otwieranej i zamykanej szuflady. Po chwili Carson wyłonił się z pokoju, trzymając w ręce cienką teczkę, z której wystawały jakieś papiery.

- No i jesteśmy w domu - stwierdził, kładąc ją na kontuarze. Na etykiecie widniał napis *127/Sim*.

- Nieźle sobie pan wykombinował z tym archiwum - pochwalił Sam.

- Że tak nieskromnie powiem, porządna dokumentacja to moje oczko w głowie. W końcu nigdy nie wiadomo, czy czasem ktoś taki jak pan nie będzie miał z tego pożytku. - Carson otworzył teczkę. - No i już mam. Harry Sim podpisał umowę najmu na rok w kwietniu dziewięćdziesiątego piętego. - Wczytał się w kartkę papieru. - Nie przedłużył umowy, więc był tu tylko rok.

- Zostawił może coś po sobie? Jakies dokumenty, ubrania? - Strzępy przedwcześnie odebranego mu życia?

- Nie mam tu żadnej adnotacji. A byłaby, gdyby nie wysprzątał przychepy, jak amen w pacierzu.

Sam wierzył mu i bez tego.

- I nie wie pan, kiedy dokładnie się wyniósł?

Carson pokręcił głową, wyraźnie niepocieszony.

- Niestety, nie. Klucze zostawił na ladzie, tak tu przynajmniej jest napisane. A najwidoczniej nie odnotowałem, jak długo mogły tam leżeć.

Poszukiwania na kempingu zaczęły brnąć w ślepy zaułek. Harry Sim wyjechał, ale nikt nie potrafił wyjaśnić kiedy, gdzie i dlaczego. Sam wiedział, gdzie Harry skończył, ale nie miał pojęcia, gdzie zaczął.

Do głowy przychodziło mu już tylko jedno pytanie.

- Prosił go pan może o referencje, gdy starał się o przyczepę?

Carson przytaknął z nieukrywaną dumą.

- Ma się rozumieć! - Wyciągnął kartki z dna teczki. - Przedstawił nawet dwie. Jedna z banku, a druga od byłej szefowej, pani Danuty Barnes.

Na szczęście Carol nie musiała długo czekać na spotkanie z Blakiem. Zdziwił ją jednak widok komendanta siedzącego za biurkiem w pełnym umundurowaniu. Przyzwyczała się do tego, że John Brandon przywdziewał pełny rynsztunek, tylko gdy było to absolutnie konieczne, na co dzień skłaniając się ku wygodzie garnituru. Ale Blake najwyraźniej nie chciał

nikomu pozostawiać wątpliwości co do swojej rangi.

Wskazał jej fotel, złączył palce w wieżę i oparł o nią brodę.

- Co panią do mnie sprowadza, pani nadinspektor?

Carol miała już na końcu języka dziecinną odpowiedź: „Moje własne dwie nóżki”. Ale w porę ugryzła się w język.

- Chciałabym, żeby w naszym imieniu wpłynął pan na kolegów z West Yorkshire. - Wyjaśniła mu pokrótce sytuację, możliwie jasno i zwięźle. - Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa, sir. Nie mam czasu, żeby bawić się w kotka i myszkę z tamtejszą dochodzeniówką. I tak już zmitrężyliśmy go za wiele.

- Co racja, to racja. Powinni przekazać nam tę sprawę z pocałowaniem ręki. Zaoszczędzą sobie zachodu, a do tego, jeśli doprowadzimy śledztwo do szczęśliwego finału, to bez wątpienia przypiszą sobie co najmniej połowę zasług. Proszę to zostawić w mojej gestii, pani nadinspektor. Już ja to załatwię.

Carol była mile zaskoczona, że Blake tak ochoczo przystał na jej prośbę. I że nie zrobił z tego żadnej afery. Ale niewykluczone, że gdzieś w tym tkwił jakiś haczyk. I że właśnie zaciągnęła u niego dług, którego człowiek z takimi ambicjami jak Blake nie zawaha się wykorzystać.

- Dziękuję, sir - zakończyła i już wstawała z fotela.

Blake jednak wskazał jej dłonią, żeby usiadła.

- Nie tak szybko - rzucił z błyskiem w oku. - Czy te dwa morderstwa na sto procent są z sobą powiązane? Pytam o pani fachową opinię.

Poczuła pewien niepokój. Do czego właściwie Blake zmierzał?

- Sądzę, że nie ma co do tego już żadnych wątpliwości. Ta sama metoda działania sprawcy, podobne ofiary i sposób porzucenia ciała. Z naszych ustaleń wynika, że ktoś, korzystając z internetu, osaczał Setha Vinera. Dowiedzieliśmy się także, że to samo spotkało Daniela Morrisona. Podjęliśmy właściwe kroki, by do mediów nie dostał się opis tego, co przydarzyło się Danielowi, więc możemy wykluczyć działania naśladowcy. Podsumowując, jestem przekonana, że w obu przypadkach mamy do czynienia z tym samym zabójcą.

Blake posłał jej nikły uśmiezek, marszcząc policzki, które zaczynały przypominać dzikie jabłuszka.

- Ufam w pani osąd. A skoro już to ustaliliśmy, to najwyższa pora, by dokooptować do zespołu profilerów.

Carol walczyła z sobą, by zachować spokój.

- Przecież sam mi pan powiedział, że mój budżet tego nie wytrzyma - wycedziła pospiesznie przez zaciśnięte wargi.

- Powiedziałem pani raczej, że budżet nie wytrzyma pensji doktora Hilla - odparł Blake, wypowiadając nazwisko Tony'ego z wyraźną pogardą. - Ale możemy przecież skorzystać z wychowanków państwowej szkoły policyjnej. Jak już rozmówię się z West Yorkshire, to się tym zajmę osobiście.

- Sama mogę to zrobić, sir - odpowiedziała z miejsca, starając się odzyskać kontrolę nad sytuacją. - Nie powinien pan marnować czasu na takie sprawy organizacyjne.

Blake uśmiechnął się bez mała złośliwie.

- Chętnie panią wyręcę. Ma już pani na głowie dwa zabójstwa. Z własnego doświadczenia wiem, jak łatwo o czymś zapomnieć, gdy robota pali się w rękach.

Skurwiel insynuował, że mogłaby wcale nieprzypadkowo zignorować jego rozkaz. Gniew wzbierał pod jej pozornie uprzejmym obliczem.

- Dziękuję, sir. - Nie potrafiła odwzajemnić uśmiechu.

- Sama się pani zdziwi, jak dobrze będziecie sobie radzić bez doktora Hilla.

Carol wstała i przytaknęła.

- W końcu nikt z nas nie jest niezastąpiony.

Ambrose podrzucił Tony'ego pod dom, z którego wcześniej zabrała go policja, by mógł odebrać swoje auto.

- Chyba nie zamierzasz znów tam dziś wracać, co? - zapytał Ambrose, gdy wyciągał podróżną torbę Tony'ego z bagażnika. - Bo jeśli tak, to zadzwoń lepiej wcześniej do pośredniczki, żeby czasem nie przyprowadzała kolejnych klientów.

- Spokojna głowa, nie mam ochoty na powtórkę z rozrywki. Słowo honoru, że nie będziesz mnie musiał ponownie wyciągać z kabaty.

- Dobre i to. - Ambrose wrzucił do ust pastylkę gumy do żucia i pokręcił głową, tym razem z większą sympatią. - Nie najlepiej zacząłeś ten dzień. A jak zamierzasz skończyć?

- Poszukam jakiegoś zacisznego pubu, gdzie usiądę w rogu z laptopem i spiszę swoje przemyślenia na temat sprawy. Powinienem skończyć pod wieczór. Potem wrzucę coś na ząb, więc przy odrobinie szczęścia uniknę korków w Birmingham w drodze powrotnej do Bradfield. Oczywiście, jeśli wam to pasuje. Rzecz jasna, gdyby podczas lektury nasunęły wam się jakieś pytania albo pojawiły się niejasności, zostaną dłużej. Tym bardziej że jestem pewien, że zabójca nie spocznie, póki znów nie zabije. Zrobię więc wszystko, co w mojej mocy, by pomóc wam popsuć mu szyki.

- Naprawdę sądzisz, że to nie koniec?

Tony westchnął.

- Dla takich sprawców morderstwo jest jak szybko uzależniający narkotyk. Gdy już rozsmakują się w zbrodni, będą potrzebowali kolejnych dawek.

- Ale, czekaj, czy nie braliśmy czasem pod uwagę, że może porzucił ciało tak szybko, bo dostał pietra? Że rzeczywistość przeszła jego najśmielsze oczekiwania i to go przeraziło? - Ambrose oparł się o maskę samochodu, a ręce splótł na piersi, dając wyraźnie do zrozumienia, że niezbyt chętnie przyjmuje do wiadomości teorię głoszącą, że śmierć Jennifer to dopiero początek.

- To twoje słowa, Alvinie. Swoją drogą to całkiem rozsądny wniosek, przynajmniej w świetle zgromadzonych dowodów. Ale moja długoletnia praktyka temu przeczy. Nawet jeśli przestraszył się tego, co zrobił, to i tak będzie chciał spróbować ponownie. Tyle że następnym razem postara się zrobić to lepiej. Musimy więc przyjąć założenie, że prowadzimy wyścig z czasem.

Ambrose miał obrzydzenie wypisane na twarzy.

- Coś ci powiem. Cieszę się niezmiernie, że nie muszę się z tobą zamieniać mózgi. Za żadne skarby nie chciałbym, żeby te wszystkie chore myśli nieustannie kłębiły mi się w głowie.

Tony wzruszył ramionami.

- Co zrobić? Mówią, że trzeba znaleźć swoje powołanie i się go trzymać.



Ambrose odkleił się od maski i wyciągnął dłoń na pożegnanie.

- Praca z tobą to, hm... ciekawe doświadczenie. Skłamałbym, gdybym powiedział, że cieszyła mnie każda chwila, ale z niemałym zainteresowaniem słuchałem twoich wywodów na temat zabójcy. Nie mogę się już doczekać, aż dostanę do ręki mój pierwszy profil psychologiczny.

Tony posłał mu uśmiech.

- Mam nadzieję, że nie zawiedzie twoich oczekiwań. Nie da się ukryć, że ostatnio nie dałem się poznać z najlepszej strony. Ale tak z ręką na sercu, to powinienem cię wcześniej uprzedzić, że los nierzadko wplątuje mnie w dziwaczne sytuacje. - Wskazał swoją nogę. - Na przykład, być może zauważyłeś, że kuleję. To dzieło, i to dosłownie, szaleńca z toporem. Ale nie takiego jak w powieści Kinga. Bo widzisz, siedzę sobie jakby nigdy nic w moim gabinecie, czytając akta skazańca, które dostałem od komisji do spraw zwolnień warunkowych, a tu nagle staję oko w oko z człowiekiem dzierżącym topór, który ubzdurał sobie, że jest ponurym zniwiarzem zbierającym dusze w imię Pańskie. - Skrzywił się. - Moi koledzy po fachu jakoś unikają takich ekstremalnych sytuacji. Ale ja chyba urodziłem się pod nieszczęśliwą gwiazdą.

Wyraźnie niespokojny Ambrose zaczął zmierzać w kierunku drzwi auta.

- Zdzwonimy się.

Tony pomachał mu na do widzenia, potem wrzucił torbę do własnego wozu. Nie był z Ambrose'em do końca szczerzy. Tam gdzie miał zamiar się udać, znajdował się co prawda pub, ale nie był to główny kierunek, który miał zamiar obrać. Od notariusza Blythe'a dostał więcej niż jeden komplet kluczy. Nie wiedział nic o łódkach, a jednak niedawno stał się właścicielem ponad piętnastometrowej stalowej łajby ochrzczonej mianem „Steeler”\*, wraz z prywatnym miejscem cumowania przy przystani Diglis.

\* Ang. „Stalowiec”, zapewne nawiązanie do metalurgicznych pasji Arthura Edmunda Blythe'a.

„Niegdyś zwał się Basenem Portowym Diglis” - wyjaśnił notariusz z przekąsem. „A na nabrzeżu uwijali się robotnicy ze stojących w pobliżu

magazynów i fabryki porcelany Royal Worcester. Jakiś czas temu zamienili to wszystko na apartamentowce, oddziały przedsiębiorstw przemysłu lekkiego i powierzchni handlowo-usługowe. Znak czasu i tak dalej. Jedyne, co pozostało bez zmian, to służbówka śluzowego i pub Anchor\*.

\* Ang. Kotwica.

Spodoba się panu. To porządna knajpa w prawdziwie starym stylu. Arthur często tam przesiadywał. Bo widzi pan, mają tam taką tradycyjną drewnianą kręgielnię, w której prowadzono rozgrywki ligowe. A on był członkiem jednego z tutejszych zespołów. Wpadnij pan tam i przedstaw się. Na pewno się ucieszą na pana widok”.

Pub nie zając, nie ucieknie, pomyślał Tony, gdy spojrzął na mapę, starając się wytyczyć dogodną trasę dojazdu do przystani. Akurat dziś zamierzał usadowić się w rogu łódki Blythe'a i napisać profil. Może też powąłęsa się trochę po samym „Steelerze”, bo a nuż Arthur ukrył na nim jakieś wskazówki, które pomogłyby Tony'emu lepiej go poznać.

Zaparkował możliwie najbliżej nabrzeża, a potem przez bite dziesięć minut błąkał się po przystani w poszukiwaniu łodzi. W końcu jednak znalazł ją wciśniętą między rząd podobnych wąskich jednostek przystosowanych do pływania po brytyjskich kanałach. „Steeler” nosił tradycyjne barwy: zieloną i bordową, a jej nazwę wypisano na burcie złotymi i czarnymi zawijasami. Na dachu zamontowano cztery panele słoneczne - niepodważalny dowód geniuszu Blythe'a. Nie będzie więc musiał martwić się o zasilanie. Jeśli tylko zdoła uruchomić to cholerstwo.

Tony wgramolił się na pokład, podeszwy butów zastukały o metalowy pokład. Łuk zabezpieczyły dwie solidne kłódki, do których klucze przekazał mu rozpromieniony notariusz.

„Proszę się nią dobrze zaopiekować. To prawdziwa perełka wśród tego typu łodzi. Arthur często zabierał ją na rozmaite zloty w całym rejonie Midlands. Wprost uwielbiał rozbijać się po tutejszych kanałach” - zachwalał prawnik.

Wodniacki bakcyl z pewnością nie tkwił w genach, Tony bowiem nie czuł żadnego szczególnego związku z wodą albo statkami. W dzieciństwie

nie marzył o tym, by zostać marynarzem. Nie planował długo cieszyć się z posiadania tej łódki, ale skoro już zabrął tak daleko w swoich poszukiwaniach, chciał przynajmniej zobaczyć, jak Arthur urządził się w swojej drugiej - po willi - cichej przystani.

Luk ustąpił gładko, umożliwiając Tony'emu otwarcie dwuskrzydłowych drzwi prowadzących w dół. Tony ostrożnie zszedł po wysokich schodkach. Znalazł się w niewielkim, lecz funkcjonalnie urządzonym kambuzie wyposażonym w mikrofalówkę, czajnik elektryczny i kuchenkę polową.

Zrobił kolejne parę kroków i trafił do kajuty. Wytapicerowana pikowaną skórą ława opierała się tu o jedną z grodzi, przed którą postawiono niewielki stolik. Z boku znajdował się spory skórzany fotel obrotowy, ustawiony w takim miejscu, by usiąść albo naprzeciwko stolika, albo twarzą do telewizora i odtwarzacza DVD. W jednym rogu stał przysadzisty żelazny piecyk na drewno. To tu, to tam zmyślnie umocowano szafeczki, maksymalnie wykorzystując resztę wolnego miejsca. Drzwi od strony dziobu prowadziły do kabiny mieszczącej podwójne łóżko i wbudowaną szafę. Dalej znajdowały się kolejne drzwi do niewielkiej łazienki, lśniącej kafelkami i chromem, w której znalazło się dość miejsca na sedes, umywalkę i kabinę prysznicową. Tony ze zdziwieniem stwierdził, że unosił się tu zapach świeżości i czystości.

Zawrócił do kajuty. Sam nie wiedział, czego się niby spodziewał, ale z pewnością nie tej surowej funkcjonalności. Nie było tu czuć osobowości właściciela. Całe wyposażenie było tak ergonomiczne, tak uporządkowane, że niemal sterylne. Z pewnością nie czuł się tu jak w domu, jak wcześniej w willi Blythe'a. W pewnym sensie poczuł nawet ulgę. Przynajmniej nic nie będzie go rozpraszało podczas pracy nad portretem psychologicznym. I nic nie odwiedzie go od już wcześniej podjętej decyzji, by sprzedać tę łajbę. Ale wszystko w swoim czasie.

Mimo że Tony miał dwie lewe ręce, bez większego trudu przyszło mu zrozumienie zasady działania paneli słonecznych. Po paru chwilach zdołał zapalić światło i podłączyć zasilanie do laptopa. Bez wątplenia to miejsce

świetnie nadawało się na małe biuro. Brakowało tu tylko bezprzewodowego połączenia z internetem.

Przez chwilę nosił się z szaloną myślą, by popłynąć tą łódką przez sieć kanałów i zacumować w Bradfield. Ale potem zdał sobie sprawę, że nie sposób byłoby tu upchnąć wszystkich książek, które piętrzyły się na regałach jego domowego gabinetu. Zresztą, przerażeniem napawała go już sama myśl o tym, w ile tarapatów mógłby się wpakować po drodze. A wtedy ludzie pokroju Alвина Ambrose'a wzięliby nogi za pas i uciekli gdzie pieprz rośnie - a wówczas: zegnaj, roboto.

Postanowił więc w końcu, że spędzi na tej łódce tylko jedno popołudnie, wypełnione pracą nad profilem zabójcy, a potem przekaże ją w ręce... Właściwie to czyje? Czy takie łodzie sprzedaje się przez pośredników? A może raczej przez nieformalną sieć sprzedaży, w której targu dobijano w trakcie partyjki kręgli?

- Weź się w garść - upomniał się na głos, uruchamiając laptopa. Otworzył szablon dokumentu, który zaczynał się zwyczajową formułką:

Poniższy profil psychologiczny sprawcy stanowi jedynie wytyczną i nie powinien być mylony z portretem pamięciowym. Istnieje znikome prawdopodobieństwo, iż sprawca będzie odpowiadał wszystkim przedstawionym w nim cechom, choć oczekiwałbym, że zajdzie duża zbieżność pomiędzy ogólną charakterystyką nakreśloną poniżej a rzeczywistością. Wszystkie hipotezy zawarte w niniejszym profilu określają jedynie prawdopodobne cechy sprawcy i możliwe ich interpretacje, a nie obiektywne fakty.

Sposób popełniania zbrodni przez seryjnego zabójcę dostarcza nam określonych wskazówek i wytycznych. Wszystkie jego czyny są popełniane z konkretnym zamiarem, uświadomionym lub nie, wpisując się w pewien schemat działania. Zrozumienie tegoż wzorca postępowania stanowi klucz interpretacyjny do logiki zabójcy. Niewykluczone, że jego tok rozumowania może się wydać irracjonalny, ale dla niego stanowi element o kluczowym znaczeniu. Ponieważ wspomniana logika jest cechą o

indywidualnym, jednostkowym charakterze, w celu ujęcia sprawy należałoby zastosować specyficzne, dostosowane do jego charakterystyki metody śledcze zmierzające do jego ujęcia, przesłuchania oraz rekonstrukcji jego czynów.

Przeczytawszy ten tekst od deski do deski, Tony skasował drugi akapit. O ile było mu wiadomo, ten zabójca nie zasłużył jeszcze na miano seryjnego. Gdyby Tony zdołał ułatwić pracę śledczych, być może morderca nie zdążyłby osiągnąć wymaganego do przyznania tego przydomka progu ponad trzech zabójstw. Zakończenie serii, zanim na dobre się zacznie - właśnie to w zawodzie Tony'ego uchodziło za szczęśliwe zakończenie.

Gdyby jednak skrewił, z pewnością o większej liczbie ofiar nie można by powiedzieć, że „żyły długo i szczęśliwie”. W razie niepowodzenia odnalezienie kolejnych ciał byłoby tylko kwestią czasu. Czasu i umiejętności. Może i znaleźli jedną ofiarę. Ale czy pierwszą, która zginęła z ręki tego zabójcy? Wzdychając, cofnął wcześniejszą zmianę i pisał dalej.

Szybko muskał kolejne klawisze, przedstawiając w skrócie, lecz szczegółowo, wnioski, którymi podzielił się z Ambrose'em - wczoraj na miejscu porzucenia ciała i dziś w aucie.

Zatrzymał się, dając sobie chwilę do namysłu, po czym oderwał się od klawiatury, wstał i dokładnie przeszukał kambuz. W stojących tam słoikach znalazł kawę rozpuszczalną i także śmietankę. Gdy odkręcił zawór kranu, ku jego uciechu popłynął z niego wartki strumień wody. Z rezerwą zaczerpnął łyk. Zdatna do picia. Wstawił wodę w czajniku i czekając, aż się zagotuje, zaczął przeglądać szafki w poszukiwaniu jakiegoś kubka i łyżeczki. Sztućce znalazł już w drugiej szufladzie, którą otworzył. Gdy sięgnął po łyżeczkę, zahaczył o coś kciukiem.

Przyjrząwszy się bliżej swojemu znalezisku, stwierdził, że jest to gruba biała koperta wielkości pocztówki. Gdy ją odwrócił, zdziwił się nie na żarty. Na przedzie widniało jego nazwisko, wypisane starannymi, drukowanymi literami.

Po co niby Arthur miałby napisać DR TONY HILL na kopercie, a potem wsadzić ją do szuflady ze sztuccami na swojej łódce? Tony nie mógł się

nadziwić tej pokrętej logice. Jeśli naprawdę Arthur chciał mu coś przekazać, to dlaczego nie przekazał tego swojemu prawnikowi? Dlaczego zostawił to w miejscu, gdzie łatwo było przeoczyć tę niespodziankę? I czy Tony w ogóle chciał wiedzieć, co było w środku?

Próbował odgadnąć zawartość koperty. Zmysł dotyku podpowiadał mu, że wewnątrz znajduje się coś więcej niż kartki papieru. Coś lekkiego, lecz twardego, na czuja o wymiarach dziesięć centymetrów na cztery i grubości zbliżonej do pudełka płyty CD. Odłożył kopertę i zrobił sobie kawy, wciąż widząc ją kątem oka. Zabrał kubek z kawą i kopertę z powrotem do stolika, przy którym pracował, i położył je na blacie. Wbił wzrok w kopertę, a w głowie zaczęły mu się mnożyć pytania. Cóż też Arthur zdecydował się mu przekazać w tak niepewny sposób? I jak ten fakt mógłby pomóc Tony'emu w odgadnięciu zawartości? Był pewny, że nie chce wiedzieć niektórych rzeczy o Arthurze. Nie wiedział jednak, jaką wiedzę o nim chciał osiąść.

Koniec końców, ciekawość wzięła górę nad wątpliwościami. Tony rozewał kopertę i wytrząsał jej zawartość na stolik. W środku znalazł kartkę papieru formatu A4 z tej samej papeterii o wysokiej gramaturze co i koperta. Oraz miniaturowy dyktafon cyfrowy - podobny do tego, którego sam obecnie używał, nagrywając uwagi na temat pacjentów. Potem przenosiła je na papier jego sekretarka. Odsunął go od siebie ostrożnie, jednym palcem, jakby się spodziewał, że urządzenie nagle stanie w płomieniach.

Zmarszczył brwi i rozłożył kartkę. Na górze dostrzegł nadrukowany staroświecką czcionką nagłówek z imieniem i nazwiskiem Arthura. Tony nabrał powietrza i zaczął czytać staranne, odręczne pismo pokrywające resztę strony.

*Dragi Tony,*

*skoro czytasz te słowa, to zapewne zdecydowałeś się przyjąć spadek. I bardzo mnie to cieszy. Za życia nie wywiązywałem się z obowiązków ojca. Nie mogę Ci wynagrodzić tej krzywdy, ale mam*

przynajmniej nadzieję, że wykorzystasz moją schedę, by zaznać w życiu trochę przyjemności. Chciałbym się przed Tobą wytłumaczyć, ale rozumiem doskonale, że to ja jestem Twoim dłużnikiem, a nie odwrotnie. I że być może nie masz ochoty czytać moich usprawiedliwień.

Przez wiele lat nie miałem pojęcia o Twoim istnieniu. Uwierz, proszę. W przeciwnym razie nigdy bym Cię nie porzucił. A i tak od momentu, gdy dowiedziałem się, że jesteś moim dzieckiem, obserwowałem Twoje postępy z dumą, do której, jak wiem, nie mam prawa. Jesteś bystrym facetem, nie mam co do tego wątpliwości. Tobie więc pozostawiam decyzję, czy zechcesz uwierzyć w moje słowa.

Całkowicie postanowisz, wierz mi, że jest mi niewymownie przykro, że musiałeś dorastać bez pomocy i wsparcia ojca. Życzę Ci z całego serca szczęścia i pomyślności w kolejnych latach Twojego życia.

Z poważaniem,  
(Edmund) Arthur Blythe

Mimo stanowczego postanowienia, że ten list go nie ruszy, słowa ojca chwyciły Tony'ego za gardło. I to dosłownie. Z trudem przelknął ślinę, dotknięty do żywego prostą i rozbrajającą szczerością słów Arthura. Ten list przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Ale również te najgorsze. Pomyślał, że chyba nie da rady tego przetrwać. A przynajmniej nie od razu.

Ponownie przeczytał list, linijka po linijce, czując ciężar każdego słowa, widząc oczami duszy, jak Arthur składa je w zdania. Zastanawiał się, ile razy musiał podchodzić do tego dzieła, by odpowiednio ubrać myśli w słowa? Wyobrażnia podsuwała mu obraz precyzyjnej ręki inżyniera przekreślającej pierwsze, drugie i trzecie podejście do listu, próbującej nakreślić słowa w odpowiednim tonie; starającej się ze wszystkich sił, by w pełni oddawała jego zamiary i nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do interpretacji przesłania. Widział w myślach Arthura siedzącego w swoim domu, przy biurku w gabinecie, pod lampą rzucającą snop światła na jego

zajętą pisaniem rękę. Tony nagle zdał sobie sprawę, że jedyne, czego nie potrafił sobie wyobrazić, to twarz Arthura. Nigdy nie widział podobizny ojca - w jego domu nie było żadnej fotografii na wierzchu; żadnej wskazówki, czy między synem a ojcem istniało jakieś fizyczne podobieństwo. Ale przecież w domu musiało znajdować się jakieś zdjęcie Arthura. Tony zanotował w pamięci, by go poszukać następnym razem.

Następnym razem. W momencie gdy ta myśl przyszła mu do głowy, Tony zrozumiał jej znaczenie. A więc podświadomie chciał tam wrócić! Widać przez ostatnią dobę w jego umyśle zaszła jakaś zmiana. Wcześniej pragnął zachować dystans, teraz chciał się zbliżyć do Arthura. Co prawda nie wiedział jeszcze, jaką postać przybierze owo zbliżenie, ale z pewnością przekona się o tym w swoim czasie.

Wiedział jednak choć tyle, że nie był jeszcze gotowy, by przyjęc przesłanie płynące z listu Arthura. Może nawet nigdy nie będzie. Zresztą, w tej chwili miał ważniejsze sprawy na głowie. Pracę. Obowiązek, który przeważał nad wszelkimi sentymentami. Położył więc na powrót palce na klawiaturze i zaczął pisać.

„Najprawdopodobniej zabójca jest rasy białej” - zaczął kolejny akapit. Ten typ zabójcy niemal zawsze wybierał swoje ofiary spośród własnej grupy etnicznej. „Wiek: od dwudziestu pięciu do czterdziestu lat”. Dwadzieścia pięć, bo tak skrupulatne planowanie i trzymanie się przyjętych założeń po rozpoczęciu dzieła wymagały określonej dojrzałości psychicznej. Czterdzieści, bo - statystycznie rzecz biorąc - do tego czasu większość morderców zostaje złapana, zabita lub z własnej woli przestaje zabijać.

Nie pracuje jako kierowca ciężarówki - niektóre publiczne miejsca, w których korzystał z dostępu do internetu, nie zapewniają dogodnego parkingu dla tego typu pojazdów (vide manchesterskie lotnisko czy centrum handlowe w Telford).

Ale nie ma wątpliwości, że posiada własny środek transportu - nie zaryzykowałby pozostawienia śladów w pojeździe zarejestrowanym na osobę trzecią. Najprawdopodobniej korzysta z całkiem dużego samochodu,



prawdopodobnie typu hatchback. Nie sędzę, by zarabiał na życie, przewożąc pasażerów (np. autokarem) lub ładunki (np. tirem), choć ta hipoteza wydaje się w pewnym stopniu uzasadniona. Z pewnością wyjaśniałaby, dlaczego sprawca porusza się siecią autostrad. Biorąc jednak pod uwagę napięty grafik zawodowych kierowców, wątpię, by ta profesja zapewniała wystarczającą elastyczność lub dość wolnego czasu, by zabójca zdołał zastawić pułapkę na Jennifer, a następnie ją uprowadzić.

Wielce prawdopodobne, że sprawca to osoba wykształcona na poziomie szkoły wyższej lub college'u. Jego znajomość technologii komputerowych oraz wiedza o możliwości ich wykorzystania wskazuje na wysoki poziom umiejętności w tym zakresie. Uważam, że zabójca jest związany zawodowo z branżą ICT, najprawdopodobniej na zasadzie samozatrudnienia. Przemysł elektroniczny to nieformalna społeczność specjalistów, którzy mają bardzo elastyczne godziny pracy i swobodny wybór obsługiwanych firm.

Jeśli zaś chodzi o psychikę zabójcy, mamy tu do czynienia z typem o antyspołecznym zaburzeniu osobowości, lecz dobrze funkcjonującym wśród ludzi. Potrafi symulować wzajemne relacje z osobami trzecimi, ale nie jest zdolny do autentycznej empatii. Sprawca najprawdopodobniej mieszka sam i nie łączą go głębsze stosunki emocjonalne z żadną osobą. Co samo w sobie nie wyróżnia go spośród kolegów z branży, gdyż na pozór wielu specjalistów od ICT wydaje się mu podobnych. W istocie wielu z nich jest w stanie nawiązać bliższe więzi uczuciowe. Wolą po prostu kontakt z maszynami, gdyż wymaga on mniejszego wysiłku.

Niewykluczone, że sprawca jest uzależniony od gier komputerowych, przede wszystkim od brutalnych gier wieloosobowych w internecie. Zobrazowane tam okrucieństwo pozwala mu bowiem dać upust nihilistycznemu stosunkowi do innych ludzi.

Przeczytał jeszcze raz to, co zdążył spłodzić. Raczej bękart - nie był bowiem zadowolony ze swojego dzieła. Co prawda zwrócił uwagę śledczych

na to, że motywem tego zabójstwa nie było seksualne spełnienie, ale miał wrażenie, że nie wysnuł żadnych innych wniosków, poza tymi podręcznikowymi i zdroworozsądkowymi. Nie wątpił, że z zabójstwa Jennifer można było wydedukować znacznie więcej wskazówek dotyczących mordercy. Lecz dopóki ktoś nie dostrzeże tej niewidzialnej gołym okiem nici łączącej zabójcę z wyborem ofiary, nadal będą błąkać się po omacku jak ślepiec w ciemnościach.

## ROZDZIAŁ 26

Po tragicznej śmierci Jennifer Maidment ostatnie, na co Paula miała ochotę, było spotkanie z kolejną parą pogrążonych w żałobie rodziców. Co gorsza, musiała zmierzyć się z nimi w pojedynkę. Cokolwiek by ustalono na najwyższym szczeblu, to śledczy z West Yorkshire położyli uszy po sobie do tego stopnia, że umyli ręce od wątpliwej przyjemności przekazania rodzinie złych wieści. A Kevin był akurat zajęty ustalaniem procedur przekazania i segregacji danych zebranych przez kolegów z West Yorkshire. I tak została sama jak palec z zadaniem, na które nie miała najmniejszej ochoty. Ponieważ jednak ona też poznała smak bólu i goryczy, nauczyła się, że nie sposób uniknąć tego bolesnego tematu. Trzeba się uczyć na własnych błędach - przysłowie mówiło prawdę, ale wcale nie ułatwiało sprawy.

Kobieta, która otworzyła jej drzwi, wyglądała, jakby wydała wojnę całemu światu. W jej czarnych oczach migwały gniewne ogniki, odcień skóry wypłówał jak u chorego na żółtaczkę, usta miała kurczowo zaciśnięte.

- Bez komentarza. Ile razy mam wam powtarzać?! - warknęła.

- Nie jestem pismakiem - wytłumaczyła spokojnie Paula, starając się nie brać do siebie tej niezamierzonej obelgi. - Śledcza Paula McIntyre z bradfieldzkiej policji.

Ręce kobiety wczepiły się w policzki.

- O kurwa. Nie, nie, nie, nie, proszę mi powiedzieć, że to tylko rutynowa kontrola. - Zachwiała się na nogach i byłaby upadła, gdyby w porę nie przytrzymała jej druga kobieta, która pojawiła się za jej plecami. Wpadły sobie w objęcia, a ta druga, nieco wyższa, wbiła w Paulę spojrzenie pełne ewidentnego przerażenia.

- Czy mogłabym wejść do środka? - zapytała Paula, zachodząc w głowę, gdzie też, do cholery, podziwiał się „rodzinny”.

Kobiety odsunęły się od drzwi i Paula wśliznęła się do środka.

- A panie same? - dociekała.

- Tak. Wasza koleżanka z biura rodzinnego była tu wcześniej, ale ją odesłaliśmy. Uznałyśmy, że nic tu po niej. A tak w ogóle, to nazywam się Julia Viner - powiedziała druga kobieta, starając się dzięki tym uprzejmościom grać na zwłokę, by jak najdłużej oddalić to, co nieuniknione. - A to Kathy Antwon.

Wywołana do tablicy kobieta odwróciła się w stronę Pauli, a po jej twarzy spłynęły łzy.

- Nie ma pani dla nas dobrych wieści, zgadłam?

- Bardzo mi przykro - odparła Paula. - Kilka godzin temu znaleziono pewne zwłoki. Biorąc pod uwagę podany przez panie opis ubrania, sądzimy, że to ciało Setha. - Chciała jeszcze coś powiedzieć, więc otworzyła usta, ale nie znalazła żadnych słów, więc zamknęła buzię.

Julia przymknęła oczy.

- Tego się spodziewałam - westchnęła. - Jak tylko zdałyśmy sobie sprawę z jego zaginięcia. Wiedziałam, że już nie wróci.

Przywarły do siebie i bez słowa trwały w objęciach przez chwilę, która dłużyła się niemiłosiernie. Paula czekała i czekała jak debil, czując się potrzebna jak piąte koło u wozu. Kiedy stało się jasne, że nieprędko znów się odezwą, Paula minęła je i przeszła do kuchni, gdzie wstawiła wodę na gaz. Prędzej czy później herbata będzie jak znalazł. W końcu bycie Angielką zobowiązuje.

Na pobliskim blacie stał dzbanek, pozostało jej więc tylko znaleźć herbatę. Otworzywszy szafkę nad kuchenką, Paula zobaczyła fajansowy słój z napisem „herbata”. Wyjęła go z szafki i otworzyła. Zamiast herbaty znalazła jedynie dwa banknoty pięćofuntowe, kilka kolejnych funtów w bilonie oraz skrawek papieru. Z ciekawości wyjęła ostatnie znalezisko. Ledwo czytelnie napisano tam: „Wziąłem 10 funciaków JJ pozna mnie z zespołem, muszę mieć na pociąg. Seth”.

Paula była przekonana, że ten skrawek nie leżał tam długo. Powinna podpytać o niego Julię i Kathy, ale kto wie, kiedy się opanują. Przeszła

więc pod najdalszą ścianę, wyciągnęła telefon i wybrała biurowy numer Stacey.

- Jestem w domu Setha Vintera. Chyba coś znalazłam. Dobrze pamiętam, że ten rozmówca Setha z Rigu zwał się JJ?

- Pamięć cię nie zawodzi.

- W takim razie Seth prawdopodobnie miał się z nim spotkać na dworcu.

- Na Centralnym?

- Nie wiadomo. Ale od niego powinniśmy zacząć. Dałabyś radę przejrzeć zapisy tamtejszych kamer?

- Pewnie. Jeśli podasz mi konkretny czas i miejsce, to mogę spróbować wyostrzyć obraz za pomocą specjalnego oprogramowania i się zobaczy. Wielkie dzięki, Paula, dobra robota.

Paula zamknęła klapkę telefonu i rozprostowała ramiona. Teraz pozostało jej tylko znaleźć prawdziwą herbatę.

Sam znalazł się u drzwi lexusa, jeszcze zanim prowadząca auto kobieta zdążyła zgasić silnik. Czekał na Angele Forsythe aż trzy godziny, bo chciał złapać ją na parkingu, na bardziej neutralnym terenie, a nie przedierać się przez wraże zasieki recepcjonistek i asystentów. Mówią, że kto zawczasu ostrzeżony - na czas uzbrojony. Nie miał więc zamiaru zaprzepaścić wielkiej szansy na awans tylko dlatego, że świadek zdąży z wyprzedzeniem przygotować zeznania.

Jedną z osobliwości w aktach sprawy Danuty Barnes był fakt, iż jej zaginięcie zgłosił nie mąż Nigel, ale właśnie Angela Forsythe. Prawniczka zatrudniona w tym samym banku, w którym pracowali zarówno Barnesowie, jak i Harry Sim, jeszcze zanim Danuta porzuciła wyścig szczurów na rzecz macierzyństwa. Jeśli ktokolwiek mógł wiedzieć, co zaszło między Harrym a Danutą, to najprawdopodobniej właśnie Angela. Jedną z niewielu zalet prawników było to, że nawet jeśli zmieniali posady, to wciąż pozostawali członkami palestry, więc bez większego trudu można było ich namierzyć. Jak tylko Sam odkrył związek pomiędzy dwoma ciałami dorosłych, które znaleźli w jeziorze, skontaktował się ze Stacey i poprosił, by odszukała Angele. Zajęła się tym od ręki.

Z sobie tylko znanych powodów Stacey nigdy nie ociągała się ze spełnianiem jego próśb. Przypuszczał, że to dlatego, iż uważała go za jedyne naprawdę ambitnego członka zespołu - jedyne, który ma szansę osiągnąć sukces. Chciała więc zapewne podczepić się pod jego przyszlą błyskotliwą karierę, by samemu wdrapać się po szczeblach policyjnej drabinki.

I tak, dzięki pomocy Stacey, skończył w tym miejscu, obserwując z ukrycia prywatne miejsce parkingowe w apartamentowcu w zrewitalizowanej fabryce papierosów z lat dwudziestych ubiegłego wieku, która ostatnimi czasy stała się jedną z najbardziej pożądanych kwater w Bradfield. Położony zaledwie kilka minut spacerem od centrum bradfieldzkiej dzielnicy biurowej budynek otaczał własny parczek, a z okien rozciągał się widok na mieszczącą się po drugiej stronie kanału wiktoriańską dzielnicę kupiecką, gdzie niegdyś handlarze wełną i tkaninami dobijali targu i oddawali się bardziej przyziemnym rozrywkom.

Angela Forsythe była nielicho zaskoczona, widząc krzepkiego Mulata wyczekującego przed drzwiami jej auta. Wyraźnie się jednak uspokoiła, gdy dostrzegła jego garnitur, uśmiech, a przede wszystkim policyjną legitymację. Nie wyłączając silnika, opuściła nieco boczną szybę. Do Sama doleciał nikły zapach z nutką kwiatów i ostrego aromatu.

- Jakiś problem, panie władzo?

- Mam nadzieję, że nie, proszę pani - powiedział z nadmiernym szacunkiem, który jego zdaniem mógł trafić w gusta tej nienagannie, i zapewne kosztownie, ubranej i uczesanej kobiety z głębokimi cieniami pod oczami. Ocenił, że jej ciemnozielona garsonka i beżowa koszula stanowiły dobrze dobrany komplet, dzięki któremu wyglądała statecznie, acz stylowo.

- Czy znalazłaby pani chwilę czasu, by porozmawiać o Danucie Barnes?

Kobieta mniejszego formatu z pewnością by teraz głęboko wciągnęła powietrze, pomyślał. Ale Angela najwyraźniej nauczyła się panować nad sobą.

- A więc w końcu ją znaleźliście?

Na to pytanie Sam naprawdę nie miał ochoty odpowiadać. Chciał mieć po swojej stronie przewagę zaskoczenia, gdy w końcu przyjdzie mu się

zmierzyć z Nigelem Barnesem. A lata doświadczeń z ludzką obłudą nauczyły go, by nie ufać świadkom, nawet jeśli wydawali się zajadle wrogo nastawieni do podejrzanego.

- Ponownie wszczęliśmy śledztwo w tej sprawie na podstawie nowych dowodów - odpowiedział przesadnie urzędowym tonem, okraszając swoją wypowiedź szerokim uśmiechem.

Nie dała się zwieść.

- Nie musi się pan chować za biurokratycznym żargonem. Nie wygamdam się temu parszywemu Nigelowi - odparła z zaciętą miną, zamykając okno auta i przekręcając kluczyk w stacyjce. Otworzyła drzwi i postawiła swe krótkie, lecz zgrabne nogi na ziemi, niemal zawadzając o Sama, który musiał się gwałtownie odsunąć, by się nie przewrócić.

- Zapraszam na górę.

Wjechali na trzecie piętro. Samowi od razu rzuciły się w oczy obramowane metalem, oryginalne okna w stylu art déco powiększone o dodatkową tafłę szkła tłumiącą dźwięki z zewnątrz. Salon przypominał samą Angele - był przyjazny, barwny i wysmakowany. Przypuszczał, że dokładnie za taką chciała uchodzić. Angela gestem dłoni wskazała, by usiadł na komfortowo miękkiej kanapie, a sama rozsiadła się w kubelkowym fotelu z wysokim oparciem obitym skórą.

Najwyraźniej nie przewidywała wymiany grzeczności ani gadki szmatki, bo od razu przeszła do rzeczy.

- Danuta była moją przyjaciółką od serca - zaczęła. - Jak mniemam, akta wspominają o tym, że to właśnie ja zgłosiłam jej zaginięcie, prawda?

- Zgadza się.

Skinęła głową, a do uszu Sama doleciał lekki szelest materiału, gdy zakładała nogę na nogę.

- Nigel twierdził, że nie powiadomił policji, bo myślał, że go rzuciła. Rzekomo zostawiła nawet jakiś liścik pożegnalny, ale Nigel spalił go ze zdenerwowania.

To akurat zdążył już wyczytać w aktach.

- Nie o to chciałem panią zapytać.

Uniosła brwi, po czym założyła swoje czarne, równo obcięte włosy za ucho i przekrzywiła głowę w bok.

- Nie? A to ciekawe.

- Chciałbym się dowiedzieć, czy znała pani niejakiego Harry'ego Sima.

Choć prawnicy słynęli z opanowania, żeby nie powiedzieć - typowo angielskiej flegmy - to nazwisko poirytowało Angele.

- Harry'ego Sima?! A co on, do cholery, ma z tym wspólnego?!

Sam uspokoił ją gestem dłoni.

- Pani Forsythe, proszę dać mi dokończyć. Ponownie badam tę sprawę, bo natrafiliśmy na pewne nowe dowody. Naprawdę nie chciałbym wdawać się w szczegóły na tym etapie śledztwa. I wcale nie dlatego, że posądzam panią o korszachty z Nigelem Barnesem. Nie chciałbym jednak wpływać w jakikolwiek sposób na reakcje przesłuchiowanych. Toteż byłbym naprawdę zobowiązany, gdyby zechciała pani zaspokoić moją ciekawość, udzielając odpowiedzi na pytania, nawet jeśli uzna je pani za dziwaczne czy niedorzeczne.

Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio zdarzyło mu się być tak uprzejmym. Carol Jordan będzie musiała docenić choć ten wysiłek.

Posłała mu szyderczy uśmiešek.

- Nie lada z pana dyplomata - pochwaliła. - Trochę wysiłku, a zrobiliby z pana pełnokrwistego prawnika. No dobrze, panie Evans. Proszę śmiało. Postaram się udzielić panu możliwie obiektywnych odpowiedzi.

- Skąd zna pani Harry'ego Sima?

- Pracowałam z nim w banku Cortón's. Rozpoczął pracę jakiś czas po mnie, więc pewnie w okolicach dziewięćdziesiątego pierwszego - dziewięćdziesiątego drugiego roku. Danuta i Nigel byli kierownikami w dziale obsługi rachunków, a Harry robił w inwestycjach. Współpracował z obydwójgiem Barnesów, zajmując się lokatami ich klientów.

- A jaki był prywatnie?

Przez moment przygryzała dolną wargę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Nie bardzo mu leżała praca w zespole. Typowy introwertyk. Ale to nie



miało większego znaczenia, gdyż nie miał do czynienia bezpośrednio z klientami, a ze swoich zadań wywiązywał się wzorowo. Danuta naprawdę go cenila.

- Przyjaźnili się?

Angela wstrzymała oddech, po czym głośno wypuściła powietrze.

- To za dużo powiedziane. Gdy przeżywał załamanie nerwowe, Danuta obchodziła się z nim jak z jajkiem. Ale raczej w sposób właściwy dla dalekiego krewnego niż przyjaciela. Raczej z obowiązku niż ze szczerej sympatii, rozumie pan?

Sam nadstawił ucha.

- Załamanie nerwowe?

- Hm... To musiało być jakoś pod koniec dziewięćdziesiątego czwartego roku. Przez pewien czas żył w dużym stresie, starając się pomóc bankowi zdystansować konkurencję, i podjął kilka złych decyzji. Harry zawsze brał wszystko do siebie, a przez te wpadki kompletnie się rozsypał. Wcisnął się pod biurko i szlochał. W takim stanie znalazł go jeden z dyrektorów. I przebrała się miarka.

- Tak po prostu go zwolnili?

Angela wybuchła śmiechem.

- Dobry Boże, pewnie, że nie. Corton's zawsze dbał o pracowników, jak dobry ojciec o swe dzieci. Załatwili mu najlepszą opiekę w bezpiecznej klinice. Ale, rzecz jasna, nie mogło być mowy o powrocie do pracy w banku. Wszak na pieniądze klientów trzeba chuchać i dmuchać, a nie narażać na szwank. - Tym razem zaśmiała się gorzko. - Wiem, że z dzisiejszej perspektywy brzmi to jak cholernie kiepski żart, bo do niedawna banki szastały pieniędzmi na lewo i prawo, stąd zresztą obecny kryzys. Ale wtedy dyrekcja Corton's naprawdę wierzyła w tę zasadę.

- Co więc się stało z Harrym?

Wzruszyła ramionami.

- Trudno powiedzieć. Sporządziłam umowę o rozwiązanie stosunku pracy, więc wiem przynajmniej tyle, że na pożegnanie dostał odprawę w wysokości rocznej pensji. Bank otworzył mu też lokatę inwestycyjną. Więc pieniędzy mu nie brakowało. Przynajmniej przez jakiś czas. - Na chwilę zamilkła. - Danuta odwiedzała go w klinice. - Zrobiła marsową minę i

potarła grzbiet nosa. - Coś mi się kojarzy, że chyba wspominała, iż Harry sprzedał dom i gdzieś wyjechał - ciągnęła. - Ale puściłam to właściwie mimo uszu. Bo tak z ręką na sercu to Harry nie bardzo mnie obchodził.

- Ale chyba Danutę i owszem.

Pokręciła głową.

- Niekoniecznie. Współczuła mu, i tyle. Zawsze była bardziej życzliwa ludziom niż ja. - Rozbrajająca i pełna szczerość, uznał Sam. A więc nie starała się za wszelką cenę wybielić przyjaciółki.

- A czy to możliwe, że mieli romans?

Z nieudawanym rozbawieniem odchyliła się w fotelu i ryknęła śmiechem.

- Dobrze sobie! - wybelkotała, prawie się opluwając. - Przecież Harry swoją emocjonalną wrażliwością dorównywał ślimakowi. Zresztą, od razu widać, że nie miał pan okazji zobaczyć jego zdjęcia. Niech mi pan wierzy, że u Danuty nie miałyby żadnych szans. Za wysokie progi na jego nogi, że tak powiem. Po prostu śmiech na sali. Nie, panie Evans. To absolutnie wykluczone. - Przełknęła ślinę i trochę się uspokoiła. - Nie wiem, kto panu naopowiadał tych bajek, ale to doprawdy niedorzeczne. - Nagle spoważniała. - A miałam nadzieję, że przynosi mi pan jakieś wieści. Nawet te złe byłyby lepsze od niepewności, proszę mi wierzyć. Wciąż o niej myślę. - Westchnęła. - A tak liczyłam na to, że w końcu ktoś przygwoździ tego skurwysyna. - Gdyby spojrzenie mogło zabijać, Sam nie dożyłby końca jej monologu. - Nigel Barnes ją zabił, wie pan. Bez dwóch zdań.

- Skąd ta pewność?

- Zawsze był bezwzględny. Gdy chodziło o interesy, prędzej poderznąłby komuś gardło, niż dałby się wyrolować. Danuta była dla niego jak wymarzona zdobycz. Inteligentna, piękna i nie przyćmiewała go osiągnięciami. Czego chcieć więcej? Ale wszystko się zmieniło, gdy na świat przyszło ich dziecko. Wtedy Danuta zdecydowała, że nie chce już pracować. Woląca zostać mamą na pełen etat. Nie: żoną i matką, po prostu: matką. Cały czas poświęcała dziecku. - Była wyraźnie zakłopotana. - Mówiąc szczerze, to nie mogłam tego ścierpieć. Początkowo miałam nadzieję, że gdy minie

pierwszy zachwyty macierzyństwem, wróci stara dobra Danuta. Tak czy siak, zawsze wiedziałam, że Nigel nie wygra z dzieckiem. Tak więc, musiał się ich pozbyć.

- Ale przecież mógł się z nią rozwieść.

- Pieniądze i dobre imię - kwaśno zauważyła Angela. - To one były oczkiem w głowie Nigela.

- Straciłby o wiele więcej, gdyby naprawdę je zabił i wpadł w ręce policji.

Angela Forsythe posłała mu baczne, spokojne spojrzenie.

- Ale uszło mu to na sucho, nieprawdaż?

## ROZDZIAŁ 27

Tim Parker był w Bradfield po raz pierwszy. Wiedział o nim tylko tyle, że mieli drużynę w Premier League, która tłukła się gdzieś w środku tabeli. Ze szkolnych lekcji historii przypominał sobie mgliście, że Bradfield wzbogaciło się w dziewiętnastym wieku na produkcji i handlu tekstyliami, ale wyleciało mu już z głowy, czy chodziło o wełnę czy bawełnę. A może o coś zupełnie innego. Co tam jeszcze się tkąło w tych zamierzchłych czasach? Chyba też len. Jakby to miało jakieś znaczenie.

Choć formalnie nosił stopień sierżanta, Tim miał się za śledczego wykraczającego poza wąskie ograniczenia policyjnych rang. Ukończył z wyróżnieniem studia licencjackie na kierunku filozofia, nauki polityczne i ekonomia w Jesus College na Oxfordzie, a potem śpiewająco przeszedł przez przyspieszone kursy londyńskiej Metropolitan Police - zwanej popularnie „Met”.

Nie miał zamiaru skończyć jako zwykły krawężnik. Był na to zbyt bystry. Zawsze marzyła mu się robota zdecydowanie bardziej interesująca, związana z tą czy inną agencją wywiadu kryminalnego. NCIS, SOCA czy Europol\* - w sumie obojętnie. Oby tylko praca dostarczała wyzwań i dawała przeświadczenie, że jest jednym z tych nielicznych, którzy naprawdę mogą coś zmienić.

\* Wcześniej samodzielna brytyjska National Crime Investigation Service (ang. - Narodowa Agencja Wywiadu Kryminalnego) w 2006 r. weszła w skład nowo utworzonej Serious Organized Crime Agency (ang. - Agencja ds. Zwalczania Poważnej Przystępczości Zorganizowanej); European Police Office (ang. - Europejski Urząd Policji) to działająca od 1999 r. agencja Unii Europejskiej.

Jego kariera potoczyła się jednak innym torem, gdy znalazł się w grupie kursantów przygotowywanych do roli profilerów kryminalistycznych w państwowej szkole policyjnej. Szybko odkrył, że ma do tego smykałkę. Celująco zdał wszystkie kursy i zachwycił większość nauczycieli. No a przynajmniej teoretyków. Psycholodzy kliniczni, którzy mieli za sobą praktykę w szpitalach psychiatrycznych o zaostrzonym rygorze, byli zdecydowanie mniejszymi entuzjastami jego talentu. Szczególnie ten zjebany kosmita z Bzdurnej Planety, który opowiadał im o świrusach i udawaniu ludzkich zachowań. Zupełnie jakby to miało coś wspólnego z prawdziwą nauką.

Nie mógł być już bardziej gotowy na pierwszy poważny test swoich umiejętności. Żałował jedynie, że ta okazja przytrafiła mu się akurat w tę sobotę. Wszak miał na żywo zobaczyć z dziewczyną spotkanie Chelsea Londyn z Aston Villa. Jeszcze przed meczem na londyńskim Stamford Bridge mieli pójść z grupą znajomych na obiad, a po zawodach zaszaleć z nimi na mieście. A zamiast tego zmierzał właśnie do Bradfield. Susanne nie ukrywała zawodu, ale szybko jej przeszło. Tak szybko, że jeszcze zanim wyszedł z domu, jego dziewczyna umówiła się na mecz ze swoją kumpelą Melissa.

Z okien pociągu, którym podróżował do Bradfield, rozciągał się właśnie widok na całkiem ponure przedmieścia. Szare mieszkania komunalne i szeregowce z czerwonej cegły rozsiane w górę i w dół wzgórz wyglądały jak żywcem wyjęte z jakiegoś serialu telewizyjnego, którego akcja toczyła się na północy Anglii. Był raz w Leeds na czyimś wieczorze kawalerskim i pamiętał - choć raczej niewyraźnie - że tamtejszy krajobraz był niemal bliźniaczo podobny. Gdy minęli przystań rozładunkową, za zakrętem torów jego oczom ukazał się nagle wielki, żeliwno-szklany łuk Dworca Centralnego w Bradfield. Musiał przyznać, że robił wrażenie. Miał tylko nadzieję, że zespół, z którym przyjdzie mu niedługo pracować, będzie nie mniej imponujący.

Nazwisko tutejszej nadinspektor nieraz obilo mu się o uszy. Carol Jordan zdobyła pewną sławę, rozwiązując sprawy, które - gdyby pracowała w londyńskiej „Met” - zapewniłyby jej status żywej legendy. Ale to, że

pracowała w Bradfield i była kobietą, wystarczyło, by zdeklasować ją do poziomu zwykłej, choć skutecznej przełożonej, której należał się szacunek. Jakby dla kontrastu - akta sprawy, które dostał mejlem wczoraj w nocy, zupełnie go nie powaliły. Pomijając bezużyteczne informacje uzyskane od przyjaciół i rodziny ofiary, mało było w nich znaczących tropów. Nic dziwnego, że potrzebowali jego pomocy.

Wyłonił się z wagonu pierwszej klasy, o którego przydział uparcie się ubiegał, by w spokoju zapoznać się z dokumentami. Rozejrzał się za kierowcą, który miał go odebrać z dworca. Stojący nieopodal wyraźnie znużony mundurowy, pogrążony w rozmowie z pracownikiem kolei, zupełnie nie zwracał uwagi ani na Tima, ani na żadnego innego pasażera. Zarzuciwszy na ramiona swój plecak, Tim ruszył peronem w jego kierunku. Klepnął go w ramię i przedstawił się:

- Jestem Tim Parker.

Mundurowy spojrział na niego obojętnie, lecz w jego głosie pobrzmiewała nutka sarkazmu.

- Bardzo ładnie, proszę pana. A mnie zwą posterunkowy Mitchell. Czym mogę panu służyć?

- Czy to nie pan jest czasem moim kierowcą?

Gliniarz i kolejarz uśmiechnęli się do siebie, wyraźnie rozbawieni.

- Pracuję w British Transport Police - odpowiedział z przekąsem.

Tim dopiero teraz zauważył odznakę i naszywki brytyjskiej policji kolejowej, przez co poczuł się jak skończony idiota.

- Nie woźę nikogo poza moją małżonką - ciągnął. - Jeśli ktoś miał tu na pana czekać, to radziłbym sprawdzić tam. - Wskazał na duży, wiszący pod sufitem znak z napisem: „Punkt spotkań”.

Dokładnie pod nim stał inny mundurowy - kobieta trzymająca w rękach tabliczkę. Nawet z tej odległości można było rozpoznać wypisane na niej nazwisko Tima. Ale nie jego rangę.

Poirytowany i zażenowany Tim bąknął jeszcze coś na odchodne i wziął nogi za pas. Ale przynajmniej udało mu się dotrzeć na komendę, nie wychodząc na jeszcze większego błazna. Po drodze próbował zasięgnąć języka, ale funkcjonariuszka nie wiedziała nic ani o sprawie, ani o zespole,

z którym miał pracować. Nie orientowała się nawet, gdzie znajdowało się ich biuro. Wiedziała tylko, gdzie ma go zawieźć - i cześć, zostawiła go samemu sobie. Już na komendzie czekał i nudził się przez dobre dziesięć minut, zanim po niego posłano. Spodziewał się, że sama Carol Jordan zjeździe na dół, by go przywitać, ale zamiast tego przysłała po niego zwykłego śledczego w eleganckim garniturze, wyraźnie zresztą niepokieszonego, że przypadła mu rola chłopca na posyłki. Jeśli Jordan chciała mu zaimponować, to zdecydowanie jej się nie udało. Pozostawała mu nadzieja, że to jedynie złe dobrego początku.

Z kolei sala sztabowa SPC miło go zaskoczyła. Panujący tu ład i porządek, a nawet wystrój robiły większe wrażenie niż jakiegokolwiek biuro dochodzeniówki, w którym przebywał. Widać tu było kobiecą rękę szefowej. Wiedział, że to bardzo niepoprawna myśl, i nigdy nie odważyłby się jej wypowiedzieć na głos, ale zapewne bliska prawdzie.

Jeden z rogów pokoju okupowało stanowisko ICT. Samego specja nie sposób było dojrzeć - zza sześciu monitorów ustawionych niczym barykada dochodził jedynie dźwięk szybkiego uderzania w klawisze. Pierwszy raz widział, by taki specjalista pracował nad zwykłymi sprawami kryminalnymi.

Resztę pokoju zajmowało sześć biurków umieszczonych to tu, to tam. Co ciekawe, nikt przy nich nie siedział. Przy jednej ze ścian ustawiono dwie białe tablice ze zdjęciami z miejsc zbrodni oraz nabazgranymi uwagami śledczych. Jedną z nich poświęcono Danielowi Morrisonowi, a drugą - Sethowi Vinerowi.

- Szefowa siedzi w swoim gabinecie - rzucił Sam, prowadząc Tima w stronę znajdującego się po przeciwnej stronie oszklonego pomieszczenia z zaciągniętymi żaluzjami. - Cała reszta naszej zgrai pracuje teraz poza biurem. - Sam otworzył drzwi i puścił Tima przodem.

Na pierwszy rzut oka Carol Jordan wyglądała jak każdy przełożony dochodzeniówki w trakcie śledztwa w sprawie dwukrotnego zabójstwa. Czyli trzy razy „z”: zmęczona, zgnębiona i zdesperowana. Jej blond włosy były w nieładzie, przez lekki makijaż przebijały głębokie cienie pod oczami, a na

biurku stały dwie filiżanki z niedopitą kawą. Ale gdy przyjrzał się jej uważniej, dostrzegł, że celowo zmierzwiła włosy, a w jej oczach błąkał się energiczny błysk. Na jej dobrze skrojonej i wyprasowanej koszuli nie było żadnych plam, a staranny makijaż nie pozostawiał żadnych smug. Tom pogratulował sobie w duchu, że nie dał się zwieść pierwszemu wrażeniu i szybko dojrzał ukryte cechy tej kobiety. Wyciągnął rękę na powitanie.

- Sierżant Tim Parker - przedstawił się. - Dla pani po prostu Tim.

Carol wyglądała na nieco rozbawioną, ale uściśniła mu prawicę.

- Nadinspektor Jordan. Dla pana po prostu „szefowa”. Albo „dyrektorka”. Lub nawet „kierowniczką”.

A więc to tak. Od razu usadzić nowego, pokazać mu jego właściwe miejsce w szeregu, co? Pal licha, że jest tu, by wyciągnąć was z gówna, w którym tkwicie po uszy, byście wyszli z tego z twarzą? Żadnych sentymentów, tak?

Nie czekając na zaproszenie, Tim usiadł w fotelu naprzeciw Carol.

- Wstępnie zapoznałem się z dokumentami, które mi przesłaliście - zaczął. - Na początek chciałbym obejrzyć miejsca zbrodni.

- To nie będzie łatwe - odparła Carol. - Ponieważ nie wiemy, gdzie popełniono te przestępstwa. Ale jeśli chcesz, możemy zabrać cię tam, gdzie porzucono ciała - dodała z wyraźnie przesadną uprzejmością.

- O to mi chodziło - rzucił Tim, czując, że zaczyna się irytować. - Chciałbym też zamienić kilka słów z rodzinami ofiar.

- To również nie będzie takie proste, jakbyśmy sobie tego życzyli. Podczas wczorajszej identyfikacji zwłok matka Daniela Morrisona nagle doznała zawału i niestety zmarła. A jego ojciec kompletnie się załamał, musieli mu więc podać końską dawkę środków uspokajających. Raczej nieprędko się dobudzi - wyjaśniła Carol. - Ale chyba możemy zaaranżować rozmowę z matkami Setha. Załatwię ci jakiegoś mundurowego, który usiądzie za kółkiem.

- Byłoby łatwiej, gdybym mógł udać się tam z jednym z pani ludzi. Po prostu przysłuchiwałbym się rozmowie i zadawał dodatkowe pytania.



- Nie wątpię, że tobie byłoby łatwiej, ale my tu i tak mamy już ręce pełne roboty. Mój zespół jest niewielki i bardzo wyspecjalizowany. Nie mogę więc wygospodarować żadnego podwładnego, by cię woził po mieście. Obecny tu śledczy Evans będzie twoim koordynatorem. Gdybyś miał jakieś pytania, dzwoni do niego, dobrze?

- Byłbym wdzięczny, gdybyś przez jakiś czas zachował je dla siebie i zadał je za jednym razem - rzucił Sam. - Nie mam czasu na zbyciu. I tak już zongluję dwiema sprawami naraz.

Teraz Tim był już nie na żarty wkurzony na obydwoje.

- Myślałem, że będę pracował bezpośrednio z panią.

- Nic nie poradzę - odparła Carol przymilnie. - Ze mną będziesz się kontaktował tylko wtedy, gdy to absolutnie konieczne. W pozostałych sprawach zwracaj się do Sama, który zawsze wie, co się święci. A nawet jeśli nie będzie wiedział, to wskaże ci osobę, która wie.

- Oby - dodał pod nosem Sam.

- Nie zwykłem...

- O ile mi wiadomo, to niczego nie zwykłeś - przerwała mu Carol. - Założę się, że dokładnie nas wy badałeś, zanim się tu zjawiałeś, Tim. Ja też trochę pogrzebałam w twojej przeszłości. I wiem, że to twój pierwszy raz w praktyce.

- Ale to przecież nie znaczy...

- Masz rację, twój brak doświadczenia nie oznacza jeszcze, że nie masz nam do zaoferowania trafnych spostrzeżeń. Ale pracujesz tu na naszych warunkach, a nie swoich. To ja prowadzę tę sprawę, nie ty. Wyrzuciłam się jasno?

Czuł się jak bezsilny dziesięciolatek zbesztany przez swoją matkę. Co było naprawdę niesprawiedliwe, bo ta kobieta z pewnością nie miała dość wiosen na koncie, by uchodzić za jego matkę.

- Tak, szefowo. - Nawet jego własne uszy podrażniła wrażliwa szczerść tych słów.

- Skoro to już ustaliliśmy, to powiedz mi, kiedy mogę się spodziewać jakichś efektów twojej pracy?

- Biorąc pod uwagę, że miałem już możliwość zapoznania się z całkiem pokaznym plikiem dokumentacji, powinienem dostarczyć pani wstępną

analizę jeszcze dziś. - Teraz, gdy rozmowa zesłała na nieobce mu tematy, poczuł, że gniew ustępuje miejsca pewności siebie.

- W takim razie umówmy się na piątą w moim gabinecie. Jeśli coś mi wypadnie, dam ci znać. Sam, załatw Timowi kierowcę. A właśnie, Tim, gdzie chciałbyś pracować? Zarezerwowaliśmy ci pokój w hotelu, ale jeśli chcesz, to znajdziemy ci biurko w tym budynku. Twój wybór.

Wcześniej nawet o tym nie myślał. Był bowiem pewien, że będą go chcieli mieć pod ręką, że przygotują mu miejsce, gdzie decydowały się losy operacji.

- To może tutaj?

Carol wyglądała na zaskoczoną.

- Czemu nie. Nie widzę przeszkód. Po prostu myślałam, że będziesz wolał... Ale mamy tu jakieś wolne biurka na podorędziu. No nic, to do zobaczenia później!

Odwróciła się do monitora, jeszcze zanim Parker i Sam wyszli z pokoju.

- Chyba zaskoczyło ją to, że chce pracować na komendzie - zauważył Tim, gdy zmierzał za Samem w stronę biurka stojącego przy najdalszym rogu pokoju.

- Profiler, z którym zwykle współpracujemy, zawsze pracuje w swoim własnym biurze - odparł Sam jakby od niechcenia. - Jak twierdzi, nie sposób się tu skupić. Za dużo się dzieje.

- A z kim zazwyczaj współpracujecie?

- Z doktorem Tonym Hillem, a co?

Ten sam pojęb, który uważał, że Timowi brakowało empatii. Bosko.

- Znam go.

- Świetny facet. Prawdziwy skarb dla naszego zespołu.

Skoro jest taki świetny, to jakim cudem zdecydowali się na pomoc złotodzioba, hm? Odpowiedź mogła być tylko jedna - doktor Hill coś schrząnił i podziękowali mu za usługi.

- Postaram się godnie go zastąpić. Że tak powiem, wejść w jego skórę - powiedział na głos.

Sam wyszczerzył się tak szeroko, że w kącikach ust pojawiły się zmarszczki.

- Pomijając już wszystko inne, jesteś od niego o głowę wyższy. Jego skóra mogłaby tego nie wytrzymać - zażartował. - Rozgość się, a ja spróbuję załatwić ci pomagiera. - Sam podszedł do jednego z pozostałych biurków i podniósł słuchawkę telefonu.

Tim wyjął notatnik, w którym już wcześniej zdążył zapisać pewne uwagi dotyczące portretu psychologicznego sprawcy. Cały czas jednak myślał o tym, że dotychczas nic nie potoczyło się w stu procentach po jego myśli. To go tylko zdopingowało, by w końcu wykazać się w tym aspekcie śledztwa, na który miał wpływ. Carol Jordan dała mu wyraźnie do zrozumienia, że nie darzy go zbyt dużym szacunkiem. Lecz jeśli ktoś mógł pomóc im rozwikłać tę ich zagwozdkę, to z pewnością Tim Parker. Najwyższy czas udowodnić „szefowej”, że nie należy go lekceważyć jak byle chłystka.

Ziewając, Tony zszedł na dół do kuchni. Najwidoczniej dom w Worcesterze miał na niego zbawienny wpływ tylko wtedy, gdy przebywał w jego czterech ścianach. Zanim Tony dotarł do Bradfield, wskazówki zegara pokazywały już pierwszą w nocy, lecz ani ta podróż, ani nawet późna godzina nie były w stanie zmorzyć go tak głębokim i spokojnym snem, którego zaznał poprzedniej nocy. Nastawił ekspres do kawy i usadowił się na krześle. Na stole, obok spowzedniałych rupieci, leżał cienki chromowany dyktafon znaleziony na łódce Blythe'a. Już chyba z kilkadziesiąt razy podnosił go i kładł z powrotem. Nawet sprawdził, co na nim zapisano - jeden plik audio - ale nie próbował przesłuchać tego nagrania.

Kolejną nowością na stosie szpargałów na kuchennym stole była szara koperta, która wpadła mu w ręce po dokładnym przeszukaniu biurka Arthura Blythe'a. Tony dotknął jej koniuszkami palców i dumiał, czy ją otworzyć.

- Najpierw kawa - zdecydował na głos.

Gdy cackał się ze spieniaczem mleka, zastanawiał się, gdzie też wywiało Carol. Tak jak się spodziewał, gdy wrócił, w jej mieszkaniu było ciemno. Miał jednak nadzieję, że zamienią parę słów przy porannej kawie. Lecz jakieś pół godziny temu słyszał warkot jej auta na podjeździe. Albo więc coś nagle urodziło się w pracy, albo też zmierzała właśnie w kierunku dolin Yorkshire, by spędzić trochę czasu z bratem Michaeliem i jego żoną.

Wspominała przecież niedawno, że powinna w końcu ich odwiedzić. Ale i tak wielka szkoda, że jej tu teraz nie było. Ani chybi byłyby bowiem podniekcytowana tajemnicami, które drzemały wewnątrz tej koperty.

Trzymając w ręku kubek z kawą, Tony usiadł i wysypał na stół zawartość koperty.

Czuł niepoohamowaną chęć, by jak najszybciej porównać rysy twarzy Arthura ze swymi własnymi, więc w te pędy pognął do jego domu, gdy tylko spisał profil i uporał się z dodatkowymi pytaniami Pattersona. Choć Tony nie był do końca zadowolony ze swojej pracy, inspektor z West Mercia przyjął jego spostrzeżenia z wystarczającym entuzjazmem. Może dowiedział się, w co Tony wpakował się parę godzin wcześniej, i po prostu jak najszybciej chciał mieć go z głowy.

Szybka wędrówka po domu Blythe'a potwierdziła obawy Tony'ego, że w całej willi na widoku nie znajdowało się żadne zdjęcie byłego właściciela. Arthur nie był jednym z tych szpanerów, którzy eksponują swoje spotkania z gwiazdami albo chcą za wszelką cenę udowodnić własnym gościom, że pozowali przed siedmioma cudami świata. Ale przecież w całym domu musiało być przynajmniej jedno zdjęcie, choćby w paszporcie czy w prawie jazdy, prawda?

Poszukiwania wypadało zacząć w najbardziej oczywistym miejscu - w gabinecie. Na początek - biurko. Które oczywiście było zamknięte. Tony uważnie przyjrzał się pękowi kluczy, otrzymanemu od notariusza Arthura, ale żaden z nich nie pasowałby raczej do małych mosiężnych zamków szuflad tego poobijanego i porysowanego biurka.

Rzucił się na oparcie starego drewnianego fotela obrotowego, z irytacją kręcąc się w kółko na siedzisku. „Gdzie trzymałeś klucze do biurka?” - zakrzyknął. „Gdzie je włożyłeś, Arthurze?”

Gdy kończył trzeci obrót na fotelu, w końcu je dojrzał. Leżały na stojących na półce książkach. Zasłonięte przez półkę nad nimi, przynajmniej dla wzroku osoby stojącej - gdy jednak siedziało się w fotelu, były widoczne jak na dłoni. Ukryte na widoku - niczym we wszystkich najlepszych powieściach detektywistycznych.

Których, jak zauważył Tony, na tych półkach było co niemiarą. Reginald Hill, Ken Follett i Thomas Harris - łatwe do przewidzenia. Ale nieoczekiwanie stały tam również dzieła Charlesa Willeforda, Kena Bruena i Jamesa Sallisa. Sami mężczyźni, z wyjątkiem Patricii Highsmith. Sięgnął po klucze i zaczął przeszukiwać biurko, począwszy od górnej szuflady po lewej.

Dopiero jednak druga szuflada po prawej kryła w sobie coś poza długopisami, kartkami, spinaczami, papeterią lub wyciągami bankowymi. Tony wyłowił stamtąd stare pudełko po czekoladkach, leżące na stosie papierowych kopert z logo różnych punktów foto, przemieszanych z oficjalnymi albumami z rodzaju tych, które dostajesz na weselach i wręczeniu nagród.

Tony otworzył pudełko, a w środku znalazł prawdziwą kopalnię wiedzy o Arthurze. Akt urodzenia; przedawnione paszporty; dyplom ukończenia college'u w Huddersfield; certyfikat potwierdzający zdobycie drugiego stopnia wtajemniczenia w kursach ratownictwa i indywidualnych technik ratunkowych, które prowadzono na basenie w Sowerby Bridge (to chyba gdzieś pod Halifaksem?) oraz inne perełki, z których mógł zrekonstruować pewne elementy życia Blythe'a. Ku jego zaskoczeniu wszystkie te znaleziska poruszyły w nim czułą strunę.

Zamknął pudełko i odłożył je na biurko. Dla nikogo innego nie miałoby ono żadnego głębszego znaczenia. Podniósł plik fotografii i odwrócił go, spodziewając się, że w ten sposób na górze znajdą się najstarsze zdjęcia. Pierwsza koperta zawierała tuzin odbitek z nieobciętych brzegami o wielkości zaledwie około sześciu centymetrów na dziesięć. Na zdjęciach różni dorośli trzymali na rękach to samo dziecko, wszystkich rozpieła duma. Zdjęcia były podpisane z tyłu: „Mama z Edmundem (dwanaście tygodni)”; „Tata z Edmundem”; „Babcia z Edmundem”; „Wujek Arthur z Edmundem”. Tony wsadził zdjęcia z powrotem do koperty i szukał dalej. Niezbyt interesowały go fotki z dzieciństwa. Nie pokazywały tego, co chciał zobaczyć.

Następnie przejrzał uważnie zdjęcia szkolne i okolicznościowe rolki filmu z rodzinnych wakacji, na których uwieczniono przebieg dzieciństwa Arthura. Co prawda nie zachowało się za wiele zdjęć z dzieciństwa

Tony'ego, ale i tak zdawało mu się, że dostrzeżga pewne podobieństwo do Arthura. Na przykład w kształcie głowy, osadzeniu oczu, zarysie szczęki.

Tony zauważył, że pokrewieństwo z Arthurem było coraz bardziej widoczne wraz z dojrzewaniem Blythe'a, osiągając swoje apogeum na zdjęciu wykonanym po ceremonii wręczenia dyplomów. Na tej fotografii, siedząc i dzierżąc w dłoni zwój dyplomu, Arthur wyglądał jak bardziej wyluzowany brat Tony'ego. Podobieństwo było uderzające. Ale później, wraz z wiekiem, twarz Arthura coraz więcej dzieliło, niż łączyło z fizjonomią Tony'ego. Przypominało to oglądanie pokazu fizyki kwantowej lub skorzystanie z rzadziej uczęszczanej drogi. Mapa twarzy jego ojca obrazowała ponad sześćdziesiąt lat historii i wyraźnie wskazywała ścieżkę, którą Tony mógł podążyć, gdyby jego życie potoczyło się inaczej.

Sporo czasu spędził nad fotografiami, zwyczajnie czekając, aż jego umysł wchłonie te obrazy. O niczym nie rozmyślał, nic nie czuł. Jedynie pozwalał im przeniknąć do swojej świadomości. W końcu wybrał kilkanaście zdjęć, począwszy od tego z oficjalnego wręczenia jakiegoś trofeum golfowego, a skończywszy na spontanicznej fotografii trzech mężczyzn siedzących przy barze w pubie z kufkami wzniesionymi do toastu. Zawsze to jakiś konkretny pod ręką. Coś, co być może pokaże Carol.

Ale jej tu teraz nie było. Cóż, co się odwlecze, to nie uciecze - choć później może nie mieć ochoty się z nią dzielić swoimi odkryciami.

Tony wstał, by dolać sobie kawy, a w drodze powrotnej włączył radio. Jazgotliwy dżingiel rozgłośni Bradfield Sound rozniósł się po pokoju, zapowiadając wiadomości. Głos prezentera wciął się w końcówkę sygnału.

- Pora na codzienny serwis wiadomości. Tylko w Bradfield Sound, twojej lokalnej rozgłośni informacyjnej - zaczął typową zajawkę. - Policja potwierdziła, że ciało znalezione na wrzosowisku Bickerslow należało do zaginionego nastolatka, Setha Vinera. Setha widziano po raz ostatni po środowych zajęciach w szkole. Miał nocować u znajomego, ale nigdy tam nie dotarł. Seth to już drugi nastolatek z Bradfield, którego w ciągu ostatniego tygodnia znaleziono martwego na podmiejskim odludziu. Nasza

redakcja poprosiła o komentarz w tej sprawie nadinspektor Carol Jordan, zwierzchnika miejskiej sekcji przestępstw ciężkich.

Tony usłyszał aż za bardzo znajomy głos.

- Uważamy, że zarówno Seth Viner, jak i Daniel Morrison padli ofiarą tego samego zabójcy - powiedziała, ostrożnie dostosowując barwę swego głosu, by pobrzmiwały w nim szacunek dla zmarłych i determinacja, aby jak najszybciej znaleźć sprawcę. - Chcielibyśmy złożyć wyrazy współczucia ich rodzinom i przyjaciółom. Prosimy również wszystkich mieszkańców Bradfield, by spróbowali sobie przypomnieć, czy nie widzieli Daniela lub Seta w dniu ich zaginięcia. Potrzebujemy waszej pomocy - zaapelowała.

I znów spiker, którego radosny głos zdecydowanie nie współgrał z powagą sprawy.

- Nadinspektor Jordan zwraca się również z ostrzeżeniem skierowanym do niepełnoletnich i ich rodziców.

Ponownie głos Carol:

- W świetle naszych ustaleń przypuszczamy, że poszukiwany zabójca kontaktował się z Sethem i Danielem za pośrednictwem jednego z serwisów społecznościowych. Zalecamy więc niepełnoletnim oraz ich rodzicom daleko posuniętą ostrożność. Upewnijcie się, że osoby, z którymi rozmawiacie, są naprawdę tymi, za które się podają. W razie jakichkolwiek wątpliwości zablokujcie im możliwość kontaktu z wami i powiadomcie naszą komendę. - Wyrecytowała numer specjalnej linii zgłoszeniowej.

To by wyjaśniało, dlaczego wyfrunęła z domu skoro świt. Śledztwo w sprawie dwukrotnego zabójstwa nie pozostawiało wiele czasu na sen. Ani na nic innego. Carol czuła teraz ciężar każdej mijającej minuty, podobnie jak Ambrose i Patterson. Lecz mimo wszystko Tony'ego dziwiło, że Carol się z nim nie skontaktowała. Może i Blake nie miał zamiaru płacić za jego usługi, ale byli przecież przyjaciółmi. Co jak co, ale po tym, co razem przeszli, powinna już rozumieć, że może na niego liczyć.

Dlaczego więc się nie odzywała?

Niedane mu było zbyt długo drążyć tej kwestii. Z zamyślenia wyrwał go dźwięk dzwonka u drzwi. Ku swojemu zaskoczeniu, ujrzał na progu Sama

Evansa odwróconego bokiem, jak gdyby aż tak bardzo nie zależało mu na tym, czy zastanie lokatora. Tony poczuł przypływ optymizmu. W końcu otwierała się przed nim jakaś furтка, przez którą mógł podpatrzeć, co też porabia Carol.

- Miło, że wpadłeś, Sam - powiedział, odsuwając się od drzwi, by przepuścić go do środka.

Sam jak zwykle nie owijał w bawelnę. Odezwał się, gdy tylko wszedł do salonu.

- Potrzebuję twojej pomocy.

Tony wzruszył ramionami.

- Myślałem, że już was na mnie nie stać.

Sam prychnął.

- W moim przekonaniu nie stać nas raczej na taką głupią oszczędność. Ale przysłali nam na twoje miejsce jednego tumana ze szkoły policyjnej. Tima Parkera.

Tony zrobił zaniepokojoną minę.

Sam odchrząknął.

- Widzę, że to nazwisko nie jest ci obce. Wiesz więc, że to tępak jakich mało. A nie mam czasu i ochoty użerać się z takimi typkami, bo mam sprawę do rozwiązania. Przecież dobrze wiesz, czego nam teraz najbardziej potrzeba, co?

Ktoś inny mógłby przerazić się pasją w głosie Sama. Ale Tony znał go na tyle dobrze, by poczytać jego wypowiedź za wybuch wściekłości człowieka, którego marzenia stanęły pod znakiem zapytania.

- Potrzebujecie wymiernych efektów - odparł spokojnie, siadając i przyjmując swobodną pozę. Nie było sensu zdradzać Samowi, jak bardzo zbieżne były w tej chwili ich potrzeby. - Musicie udowodnić Jamesowi Blake'owi, że wasz sposób działania jest najlepszy z możliwych.

- Właśnie. I właśnie dlatego przyszedłem. Potrzebuję twojej pomocy. Żebyś podrzucił mi jakieś wskazówki co do przebiegu przesłuchania.

- Zakładam, iż Carol nie ma pojęcia, że tu jesteś?

Sam posłał mu przeciągłe spojrzenie.

- Nadinspektor Jordan nie musi o tym wiedzieć. A ja wiem jedno, doktorku. Nasz zespół to cały sens jej życia. Gdy go zabraknie, będzie jej



ciężko. - Jego twarz wykrzywił złowieszczy uśmiezek. - A bez nadinspektor Jordan łatwo nie będzie również i tobie. - Przysiadł na oparciu fotela niczym wielki ptak gotowy poderwać się do lotu w razie najmniejszego zagrożenia.

Tony nie mógł wyprzeć się skrępowania, wywołanego gorzką prawdą wypowiedzianą przez Sama.

- Odwołując się do mojej interesowności?

Sam wzruszył ramionami.

- Zawsze uważałem, że to dobra zagrywka. Pokazać ludziom, że mają w tym własną korzyść.

- Carol nie spodobałoby się, iż zdradzasz mi szczegóły sprawy w toku.

Sam się nachmurzył.

- A kto powiedział, że chodzi o sprawę w toku? Chciałem cię zapytać o sprawę dotąd niewyjaśnioną.

Tony z trudem ukrył rozczarowanie.

- Nie zajmujesz się więc śledztwem w sprawie tych zabójstw nastolatków?

- Pewnie, że tak. To chyba oczywiste. Ale mam na głowie też inne dochodzenie, które zmierza ku finałowi. Więc, wiesz, staram się łapać dwie sroki za ogon. I mam z tym niemały problem. Typowy dylemat łapsa. I tak źle, i tak niedobrze. Wiesz, jak to jest.

Tony nie potrafił sobie przypomnieć, by Sam kiedykolwiek przyznał się, że potrzebuje pomocy. Biorąc pod uwagę jego ambicję i pęd do sukcesów, Tony doszedł do wniosku, że dzisiejszą wizytę zawdzięcza temu, że była ona całkowicie nieoficjalna i w razie czego Evans bez trudu mógłby się jej wyprzeć. Mimo to przysłużenie się Samowi mogło mu się później opłacić.

- No to mów, co cię gryzie?

Wyjaśnienie nie trwało długo. Sam zawsze miał smykałkę do wyławiania kluczowych aspektów śledztwa i logicznego ich porządkowania.

- Sam więc widzisz, w czym problem - podsumował. - Nie mam w ręku żadnego namacalnego dowodu zabójstwa. Oprócz komputera nie znalazłem niczego, co łączyłoby Nigela Barnes'a ze śmiercią jego żony, córki i

Harry'ego Sima. O tajemniczym związku tego ostatniego z całą sprawą nie wspominając. - Trzepnął w uda, by dać wyraz swojej frustracji.

- Rolę Harry'ego Sima akurat łatwo odgadnąć. - Tony zawiesił głos, z niemalą przyjemnością obserwując podrażniony grymas na twarzy Sama. - Grałeś kiedyś w Monopoly? Sim był dla Barnes'a jak ta karta wyjścia z więzienia za darmo.

- O czym ty, u diabła, mówisz?

Tony zapadł się w fotel, czując się pewnie i swobodnie, jak tylko wtedy, gdy próbował zrozumieć logikę innych ludzi.

- O Barnesie wiemy przynajmniej tyle, że skrupulatnie planuje swoje posunięcia. Wszystko sobie wcześniej obmyślił. Każdy perfekcjonista, jeszcze zanim podjąłby się jakiegoś przedsięwzięcia, zapewniłby sobie dogodne wyjście z sytuacji. A Harry Sim idealnie nadawał się na kozła ofiarnego.

Sam ryknął sfrustrowany.

- Nadal nie rozumiem, w jaki sposób chciał zrzucić całą winę na Sima?

- Powiem ci tu i teraz, co się stanie, gdy skonfrontujesz Nigela Barnes'a z faktem odnalezienia ciała w jeziorze. Opowie ci jakąś bajeczkę o tym, jak to go żona zostawiła. Że mimo wszystko pognął za nią na koniec świata. Tylko po to, by znaleźć jedynie zwłoki trzech osób, najpewniej rezultat jakiegoś dziwnego paktu samobójców. Nigel powie, że spanikował, bo myślał, że to jego za to obwinia, więc pozbył się ciała. Co za przypadek, że metoda, którą wybrał, zniszczyła wszystkie ślady kryminalistyczne, ale zostawiła wystarczająco wiele wskazówek, byśmy mogli zidentyfikować denatów. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, że Harry miał przy sobie akurat kartę kredytową. Założę się, że gdy sprawdzisz w aktach, okaże się, że to nie kto inny, tylko właśnie Nigel Barnes przekazał policji karty dentystryczne. - Ze zdania na zdanie zdenerwowanie Sama stawało się coraz bardziej widoczne.

- Kurwa! - wybuchnął na koniec z gniewem. - Jak więc mam go przy-skrzynić?

- Wykręci się sianem z zawartości komputera. Wyjaśni, że dowiedział się o jej romansie i zwyczajnie puścił wodze fantazji, wyobrażając sobie,

co zrobi z tym fantem - oznajmił Tony z pełnym przekonaniem do swoich racji. - Więc wszystko, co ci zostało, to jego zeznanie przeciwko zwykłemu poszlakom.

- Niestety, masz rację. Więc jak mam go złamać, Tony? Pytam, bo to ty jesteś tu specem od pokrętnych umysłów. Jak go podejść?

Tony pochylił się, czując przyływ adrenaliny buzującej w żyłach.

- Masz jedną okazję, jedną jedyną...

## ROZDZIAŁ 28

Inspektor Patterson ponownie przeczytał portret psychologiczny sprawy. Nie bardzo podobał mu się wydźwięk tej analizy, ale musiał przyznać, że przez jej pryzmat zebrane przez nich informacje zaczęły się układać w spójną całość. Co więcej, dokument sugerował nowe tropy śledztwa. Problem jednak w tym, że miał związane ręce. Według jego rozeznania światak zawodowych specjalistów od ICT zamieszkiwały typy pokroju Gary'ego Harcupa, a więc ludzie, którzy nie słynęli z otwartości. Jak podkreślił sam doktor Hill, cechy psychopatycznego seryjnego zabójcy bynajmniej nie wyróżniałyby go z grona geeków i tym podobnych szajbusów.

Jakby tego było mało, zagadką wciąż pozostawał sugerowany przez profilerę związek zabójcy z Manchesterem. Patterson wcale nie kłócił się z wnioskiem, że zabójca mieszka gdzie indziej, niż morduje. Przecież w obrębie Worcesteru nie brakowało mniej ryzykownych miejsc, w których można było porzucić ciało, niż ta nieszczęsna zatoczka. Może i prowadząca do niej droga nie była pod nadzorem kamer. Lecz trudno byłoby nazwać to miejsce odludziem.

Mimo że kamery nie uchwyciły zabójcy w towarzystwie ofiary, Patterson wciąż liczył na to, że ich zapisy dostarczą mu jakichś wskazówek. Szczególne nadzieje wiązał z kamerami do identyfikacji tablic rejestracyjnych zamontowanymi po obu stronach głównej arterii prowadzącej od autostrady w stronę miasta, a więc przy najbardziej sensownej drodze dojazdowej z północy. Rejestrowały one - przynajmniej teoretycznie - każdy pojazd, który wjeżdżał do Worcesteru lub z niego wyjeżdżał, korzystając z tej drogi.

Ze względu na przypuszczalny związek sprawcy z Manchesterem Patterson polecił Ambrose'owi, by zdobył listę aut z dnia zaginięcia Jennifer Maidment. Potem będzie musiał jeszcze poprosić urzędników DVLA\* w Swansea, by przejrzyli to zestawienie i określili, które wozy i ciężarówki zarejestrowano pod manchesterskimi adresami. Nie była to jednak metoda niezawodna - ten zabójca pokazał już, że jest wystarczająco przebiegły, by zatrzeć za sobą ślady. Niewykluczone więc, że przezornie zarejestrował swoje auto pod innym adresem lub w innym mieście. A i bez tego ludzie czasem zwyczajnie lekceważyli przepisy. I mimo że dany pojazd zmienił właściciela, właściwe dokumenty nigdy nie dotarły do DVLA. Cóż, od czegoś trzeba zacząć. A skoro niedługo będzie musiał poprosić kolegów z Manchesteru o pomoc, z pewnością nie zaszkodziłoby wykazać się własną inicjatywą.

\* Driver and Vehicle Licensing Agency - brytyjska agencja rządowa odpowiedzialna za bazy danych kierowców i pojazdów, z siedzibą w walijskim Swansea.

Patterson wrogo spoglądał na telefon, jak gdyby ten sprzyścił się przeciwko niemu. Niedawno poprosił swojego przełożonego, by zajął się ustaleniami z manchesterską dochodzeniówką. Ale jego szef był sukinsynem tak leniwym, że zawstydziłby samego Garfielda - lubował się w zrzucaaniu odpowiedzialności na swoich przełożonych przy pierwszej nadarzającej się okazji, tłumacząc się wydumanym prawem każdego funkcjonariusza do autonomii. Zdobył się jedynie na to, by pozwolić Pattersonowi na kontakt z właściwą komendą. I takim sposobem w sobotni poranek Patterson musiał grać w telefonicznego berka z centralą manchesterskiej policji, by w końcu powiedziano mu, do kogo powinien się zwrócić ze swoją sprawą. Miał przecież za dużo wolnego czasu, nie?

Minęła niemal godzina, zanim Pattersona połączono w końcu z osobą odpowiedzialną za koordynację współpracy przy sprawie zabójstwa Jennifer Maidment. Nadinspektor Andy Millwood, starszy rangą oficer dyżurny w manchesterskiej sekcji przestępstw ciężkich, wyraźnie różnił się od innych funkcjonariuszy, z którymi Patterson zdążył wcześniej porozmawiać.

- Służę pomocą - usłyszał w słuchawce. - Takie sprawy to cholerne skurwysyństwo. Wszyscy oczekują efektów, i to najlepiej na wczoraj. Skąd ja to znam? Porządnie dają w kość.

Z ust mi to wyjąłeś. Za każdym razem, gdy Patterson spoglądał teraz na córkę, czuł przyływ poczucia winy i bezradności. Każda czołówka szmatławców z podobizną Jennifer w oknie miejscowego sklepu zdawała się niemym oskarżeniem pod jego adresem. Dobrze wiedział, że jeśli nie rozwiąże tej sprawy, stanie się ona jedną z tych udręk, które zżerają od środka, podgryzają wiarę we własne umiejętności i z każdą chwilą zbliżają do ferajny byłych gliniarzy, którzy wolą spoglądać na świat przez pryzmat butelki. Rozumiał też przeświadczenie doktora Hilla o tym, że jeśli nie powstrzymają mordercy, ten ponownie zabije. A nie chciał mieć na sumieniu więcej ofiar.

- Będę zobowiązany - odpowiedział.

- Mówi pan, że macie dobre powody, by przypuszczać, że ten zabójca mieszka u nas?

- Zgadza się. Osaczał Jennifer przez internet. Udało nam się nawet ustalić lokalizację niemal dwudziestu ogólnie dostępnych komputerów, z których korzystał w tym celu. Spece od szajbusów przepuścili te miejsca przez swoje oprogramowanie do analiz geograficznych, a ten umieścił południowy Manchester pośrodku mapy możliwych kryjówek. Mogę ją panu przesłać.

- Od tego należałoby zacząć. A macie coś jeszcze? Portret pamięciowy? Cokolwiek?

Patterson podzielił się z Millwoodem swoim pomysłem, by sprawdzić tablice rejestracyjne, który już wprowadził w życie.

- Współpracujemy też z profilerem. Jego zdaniem zabójca robi w branży ICT. Obstawia, że pracuje jako specjalista na zlecenie. Może więc, gdy dostaniemy listę aut, pomoglibyście nam ją zawęzić? Z przyjemnością wyślę wam do pomocy paru naszych chłopaków.

- Nie ukrywam, że nam się przydadzą - rzucił Millwood. - Tylko że to bardzo niewyraźny trop. Ale pogadam z kolegami z wywiadu i podpytam się, czy nie mają na oku jakichś pedofilów powiązanych z branżą ICT.

- E... - przerwał mu Patterson. - Wszystko fajnie, tylko że nasz ekspert twierdzi, że to żaden zbok. Mówi, że w tym zabójstwie nie chodzi o seks. Mimo że zabójca wykroił jej pochwę.

- A o co? I skąd niby taki wniosek?

- Ponoć coś à propos faktu, że zabójca nie spędził z nią zbyt wiele czasu. I że faktycznie... Hm, że nie wyciął jej lechtaczki.

Patterson zawstydział się. Nie dlatego, że czuł się nieswojo, mówiąc o intymnych częściach ciała ofiary. Raczej dlatego, że wiedział, jak durnie to brzmiało. Podejrzał, że Millwood ma go teraz za pomyłeńca, bo sam przecież tak myślał o Tonym Hillu, gdy ten po raz pierwszy przedstawił mu ten wniosek. Choć gdy wysłuchał wyjaśnień doktorstwa, zrozumiał, że jest w nich pewna logika.

Millwood zaimitował dźwięk wybuchu, tak to przynajmniej odebrał Patterson.

- I to cię przekonuje? - zapytał sceptycznym głosem.

- Cóż, jak mi to wyjaśnił, zrozumiałem, skąd ten wniosek. Problem w tym, że nie mamy innego motywu na podorzędziu. No bo przecież Jennifer nie zadawała się z niebezpiecznym towarzystwem czy coś w tym stylu.

- Chcesz więc, żebym w tym przypadku zostawił pedofilów w spokoju?

- Tylko jeśli ich nazwiska pojawią się na liście aut.

Millwood odchrząknął.

- Przynajmniej jedno mamy z głowy. No nic, w takim razie, jak tylko ustalicie, które auta was interesują, przyślij do mnie ludzi z tą listą. W miarę możliwości pomożemy im w poszukiwaniach.

Nie tak Patterson wyobrażał sobie tę współpracę. Myślał raczej, że jego śledczy będą uzupełnieniem sił w Manchesterze, a nie odwrotnie. Ale przynajmniej czuł, że wykonał krok we właściwą stronę.

Tony zdumiał się nie na żarty, że Carol zgodziła się z nim spotkać w porze obiadu. Zwykle w samym środku ferworu śledztwa w sprawie zabójstwa z trudem znajdowała czas, by uszczknąć parę kęsów kanapki przy swoim biurku. Ale gdy pożegnał się z Samem, który pilnował się, jak mógł, by nie zdradzić żadnych szczegółów dotyczących śledztwa w toku, Tony

sam zadzwonił do Carol i zaproponował spotkanie. Na jego propozycję odpowiedziała najpierw westchnieniem, potem dodała: „Czemu nie? W sobotę ta tajlandzka knajpka przy Fig Lane zazwyczaj nie jest specjalnie zawałona ludźmi. W końcu same biura dookoła”.

Carol jak zwykle się spóźniała. Nie miał jej tego za złe. Rozumiał presję jej zawodu, wiedział więc, że pojawi się najszybciej, jak to będzie możliwe.

Siedział przy oknie w górnej części restauracji i przypatrywał się cichej i spokojnej ulicy poniżej, sącząc piwo Singha. Z pewnością można było spędzić sobotnie popołudnie w gorszy sposób. A mecz zaczynał się dopiero o czwartej, więc i tak go nie przegapi. No chyba że Carol spóźni się znacznie bardziej, niż miała to w zwyczaju. O wilku mowa - zaraz potem zobaczył, jak Carol idzie ulicą, tak prędko, że poły jej płaszcz łopotąły niczym pełeryna superbohatera. Na jej widok poczuł dziwne ożywienie. Gdy doszła do drzwi, obejrzała się jeszcze przez ramię i zniknęła mu z oczu za markizą restauracji.

Carol wyłoniła się z klatki schodowej w fali zimnego powietrza i nachyliła się przez blat, by musnąć ustami jego policzek. Dotyk jej skóry nie pozostawiał wątpliwości, że na zewnątrz jest chłodno, lecz twarz zdążyła się już trochę zaróżowić od ciepła restauracji.

- Dobrze cię widzieć - powiedziała, zarzucając płaszcz na oparcie krzesła, po czym usiadła. - Jak tam Worcester?

- O mały włos uniknąłem aresztowania.

Carol się zaśmiała.

- Cały ty! Jak ty się w to wpackowałeś? Opowiadaj!

- Długo by mówić, może później. Praca była... - Wyciągnął dłoń równoległe do blatu i pokręcił nią energicznie w obie strony. - Całkiem, całkiem. Portret psychologiczny sprawcy był dla mnie niezłą zagwozdką. Oni zresztą też się teraz biedzą. A on ponownie zabije, jeśli wkrótce nie wpadną na właściwy trop.

- Licha sprawa. A wiem, jak bardzo lubisz mieć świadomość, że twoja pomoc na coś się przydaje.

Wzruszył ramionami.

- Czasem nie mam na to wpływu. A co u ciebie? Słyszałem cię dziś rano



w radiu. Brzmiało to tak, jakbyś niemało miała teraz na głowie.

- Co ty powiesz. - Carol wzięła do ręki menu. - Nie wiem, po co zaglądam. I tak przecież zamówię sajgonki i pad thai gai. Mmm, kurczak.

- Dla mnie to samo. - Przywołał kelnerkę i złożyli zamówienie. Carol poprosiła jeszcze o kieliszek wina do posiłku. - Jakie macie widoki na tę sprawę? - zapytał Tony.

- Podobnie jak twoi kumple w Worcesterze, będziemy musieli nieźle się wysilić. Cholernie mało tropów. Możemy się tylko modlić, żeby technicy znaleźli jakieś ślady.

- Wiem, że Blake uważa mnie za persona non grata. Ale chyba możemy porozmawiać o tym prywatnie? Pomogę, jak mogę.

Wbiła wzrok w talerz i zaczęła obracać pałeczkami w zamyśleniu.

- Doceniam twoje dobre chęci. - Zawiesiła głos i spojrzała mu w oczy, nie okazując żadnych emocji. - Ale nie mogę się zgodzić.

- Bo?

- Bo to nie wypada. Skoro ci nie płacimy, nie możemy korzystać z twojej wiedzy. A ja nie mam zamiaru wykorzystywać naszej przyjaźni.

- I właśnie dlatego nie ma mowy o wykorzystywaniu. Bo jesteśmy przyjaciółmi. A ci powinni przecież pomagać sobie w potrzebie. I być sobie oparciem.

- Przecież wiem. I dlatego mam nadzieję, że będziesz przy mnie. Ale jako przyjaciel. Potrzebuję twojego wsparcia, chcę móc do ciebie przyjść, usiąść i napić się wina po ciężkim dniu i powiedzieć o tych sprawach, które zarezerwowane są tylko dla uszu kogoś, komu na mnie zależy. Ale nie mogę ci zdradzić tego, co interesuje cię jako profilerka. - Kelnerka przyniosła jej kieliszek, z którego pociągnęła spory łyk wina.

Nie mógł zaprzeczyć, że spodobało mu się to, że Carol traktuje go jak oparcie. Ale nie potrafił zrozumieć logiki stojącej za jej zawodową postawą.

- To głupie. Ja nie miałbym oporów, by zdradzić ci szczegóły sprawy

w West Mercia, gdybym uważał, że możesz mi pomóc w opracowaniu analizy. Bo jesteś najlepszym śledczym, z jakim zdarzyło mi się pracować. Zresztą, konsultowałem się już z Fioną Cameron, a jej również nie płacą za pomoc - zaprotestował.

- To sprawa między tobą a Fioną. Tony, jeśli Blake roi sobie, że pokazując ci drzwi, i tak będzie miał dostęp do twoich talentów dzięki naszej znajomości, to trzeba mu pokazać, jak bardzo się myli. Dopóki nie zrozumie swojej pomyłki, nie mam zamiaru wprowadzać cię w szczegóły tych spraw. Będziesz więc musiał wziąć przykład z innych i poczytać o nich w gazetach. - Położyła rękę na jego dłoni, a jej głos złagodniał. - Przykro mi.

- Nadal nie pojmuję - powiedział. - Znaczy, rozumiem, dlaczego nie chcesz wykorzystywać naszej znajomości. Dlaczego nie chcesz, by Blake dostał coś za darmo. Ale przecież tu chodzi o ludzkie życie, Carol. Macie do czynienia z zabójcą, który rozpocznie serię. Chyba że go powstrzymacie. Z pewnością musimy więc zrobić wszystko, co w naszej mocy, by go ująć! Czy to aby nie ważniejsza kwestia niż dokuczenie twojemu szefowi?

Przez chwilę odnosił wrażenie, że odwołanie się do uczuć wyższych trafiło jej do przekonania. Przygryzła wargę i ponownie zaczęła obracać palczkami. Potem pokręciła głową.

- Tu przecież nie chodzi o to, kto komu bardziej dopiecze. Nie jesteśmy dziećmi. To raczej kwestia natury ogólnej. Muszę zadbać o to, by mój zespół dysponował właściwymi narzędziami do walki z przestępczością. To wykracza poza ramy tej sprawy. Jeśli teraz nie skończymy z tym idiotyzmem, o wiele więcej osób straci życie, a my nie będziemy mogli nawet kiwnąć palcem w bucie, by sprawiedliwości stało się zadość. Nie mogę pracować po wsze czasy ze związanymi rękoma i muszę dać to Blake'owi wyraźnie do zrozumienia. Masz rację, tu chodzi o ludzkie życie. I właśnie dlatego muszę spróbować postawić na swoim.

Przypomniał sobie, że nie powinien wiedzieć o Timie Parkerze. Przez moment zastanawiał się nawet, jak by zareagował, gdyby rzeczywiście nie był świadomy tego faktu.

- Mam więc rozumieć, że pracujecie bez pomocy z zewnątrz? Szukacie potencjalnego seryjnego zabójcy i wracacie do starego przekonania, że

tylko gliniarze potrafią zrozumieć logikę złooczyńców? - Starał się, by w jego głosie pobrzmiwało niedowierzanie i zmartwienie, ale nie był pewien, czy dobrze zagrał swoją rolę. Carol odwróciła wzrok.

- To nie tak. Pewien człowiek ze szkoły policyjnej przygotowuje dla nas profil sprawcy.

Tony jęknął.

- A więc ktoś wygryzł mnie z posady, co? Zdradź chociaż, kto taki. Ale chyba jeden z tych lepszych absolwentów, nie?

- Tim Parker.

Objął głowę rękoma. Do Carol doszło stłumione pytanie:

- I co myślisz o Timie?

Nad nimi zamigotało atlasowe kimono kelnerki, która przyniosła sajgonki. Postawiła je na środku stołu między nimi. Carol podniosła jedną i wbiła w nią zęby.

- Och - wydyszała. - Gorące! - Przeżuła kęs z otwartymi ustami, przełknęła i popiła winem. - Kiedy byłam nastolatką, takich jak on określaliśmy jako SA.

- SA? Samiec Alfa? - Tony skubnął kawałek sajgonki zdecydowanie bardziej ostrożnie niż Carol.

- Sympatyczny, Ale...

- I co to niby znaczy?

- Że taki ktoś jest całkiem fajny. Ale czegoś mu brakuje. Uroku, urody, inteligencji, osobowości, poczucia humoru. Jednego albo więcej z powyższych. Innymi słowy, niedobry materiał na chłopaka. - Widząc, że Tony ma zamiar zareagować na te słowa z jeszcze większym zdumieniem, nie chciała zostawiać niedopowiedzeń. - Żeby było jasne, nie myślę o Timie w kategoriach potencjalnego chłopaka. Znaczy, on jest wcale niebrzydki, wyraźnie niegłupi i umie przyjąć rozkaz z godnością. Ale to jasne jak słońce, że nie ma tego, co potrzebne w tym zawodzie.

- A ja mam?

Carol się zaśmiała.

- Najwyraźniej.

Tony pokręcił głową, przyłączając się do jej śmiechu.

- Na twoim miejscu zacząłbym się poważnie martwić.

- Znasz więc tego młodziaka, tak? Może więc się myłę? Może rzeczywiście ma talent?

Tony zastanawiał się nad odpowiedzią. Czy powinien powiedzieć jej prawdę, że Tim miał w sobie tyle empatii, co pismak z brukowca? Nie zależało mu zupełnie na Timie, ale nie chciał kopać dołków pod Carol i jej zespołem. Zdał się więc na tak obcą mu oględność.

- Ma pewne zdolności - orzekł.

Nie miał zamiaru bardziej naginać prawdy.

Jedli w milczeniu. Raptem Carol wypaliła:

- Jeśli to patałach, to się na nim poznam.

- Nie wątpię. Prawdziwe pytanie brzmi, co zrobisz z tym fantem.

Posłała mu kwaśny uśmiezek.

- Powiem mu to prosto z mostu. A potem zrobię Blake'owi awanturę nie z tej ziemi. I wtedy przy odrobinie szczęścia pozwoli mi przywrócić cię do łask.

Zawsze podziwiał jej optymizm. Choć przez lata służby na jej różowych okularach pojawiały się coraz to nowe pęknięcia, wciąż uparcie wierzyła, że wszystko prędzej czy później zmierza ku dobremu. Wiedział, że powinien dziękować za to losowi. Jak inaczej można było bowiem wytłumaczyć fakt, że przez te wszystkie lata ona nadal zносиła jego towarzystwo?

- Może więc lepiej zacznę już zbierać kasę, żeby się w nie wkupić - zażartował. - Bo inaczej to może trochę potrwać.

- Przekonamy się. - Carol zjadła ostatnią sajgonkę i oparła plecy o krzesło, wycierając usta serwetką. - No to opowiedz może o tej hecy z niedoszłym aresztowaniem.

Tony spełnił jej prośbę, relacjonując tę historię z prawdziwie komediowym zacięciem, by podnieść ją na duchu.

- Najbardziej zadziwiające jest to, że po tym wszystkim śledczy i tak potraktowali poważnie moją analizę - zakończył.

- Szkoda, że nie widziałam miny pośredniczki - skomentowała z zabawieniem Carol.

- Darła się jak niemowlę. Niezbyt ciekawe przeżycie.

- A jak wizyta w domu? Ciekawe przeżycie dla odmiany?

Tony odchylił głowę, jakby szukał właściwych słów na suficie.

- Tak - odpowiedział, zastanawiając się. - Niezgorzse.

- I jakie odczucia?

- Prawdziwy dom - zaczął. - Miejsce, gdzie komuś żyło się wygodnie.

Nic na pokaz. Całe wyposażenie dobrane do potrzeb, do stylu życia Arthura. - Westchnął. - Myślę, że mógłbym go polubić.

Wzrok Carol rozplýwał się we współczuciu.

- Przykro mi.

- Cóż zrobić. - Nabrał na widelec górę makaronu i wepchnął do ust.

Zawsze to jakaś metoda, by uniknąć nieprzyjemnej rozmowy.

Carol wyglądała na zatroskaną. Odłożyła sztućce i zamówiła kolejny kieliszek wina.

- Dokopałam się do pewnych faktów podczas twojej nieobecności - powiedziała. Tony uniósł brwi pytająco. - Na temat Arthura. Powodów, które stały za jego wyjazdem.

Tony przestał przeżuwać. Zdawało mu się, że makaron w ustach nagle zwiększył swoją objętość do rozmiarów niemożliwie wielkiej kuli. Z trudem przełknął.

- Jak się tego dowiedziałeś? - I dlaczego to zrobiłeś?, pomyślał. Bo nie mogła się powstrzymać. Bo była najlepszym śledczym, jakiego znał.

- Zaczęłam od starych książek telefonicznych. Tak znalazłam jego fabrykę. On był geniuszem, Tony. Opracował nową metodę galwanizacji instrumentów chirurgicznych. Opatentował ją, a potem sprzedał firmę jakiemuś potentatowi z Sheffield. Arthur był nie w ciemni bity.

Tony wbił wzrok w talerz.

- W Worcesterze też świetnie sobie radził. Tam również założył fabrykę. Nie przestał wymyślać nowych rozwiązań. I drogo się sprzedawał. - Wiedział, że ostatnie zdanie brzmiało dwuznacznie. Ale odpowiadało jego mieszanym uczuciom wobec Blythe'a.

- Dowiedziałam się również, dlaczego wyjechał - zagaiła, grzebiąc w torebce. Wyciągnęła z niej wydruk artykułu z „HHH” i bez słowa wręczyła go Tony'emu. Poczekała, aż skończy czytać.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego spakował manatki - skomentował. - Przecież to jemu stała się krzywda. Sugerujesz, że chodziło o coś jeszcze? Grożono mu czy jak?

- Nie, nic z tych rzeczy. Według Vanessy...

- Rozmawiałaś o tym z Vanessą?! Carol, dobrze wiesz, co sędzę o mieszanii się Vanessy do mojego życia! - Jego podniesiony głos przyciągnął uwagę garstki klientów restauracji, siedzących na piętrze.

- Wiem. Ale tylko ona zna całą prawdę, Tony. - Sięgnęła przez stół i złapała jego rękę. - Sędzę, że potrzebujesz pewnych odpowiedzi. Spanie w jego łóżku i praca w jego salonie nie powiedzą ci tego, co naprawdę powinieneś wiedzieć. Nie dasz rady pogodzić się z sobą i z nim, dopóki nie dowiesz się, dlaczego cię opuścił.

Tony był tak wściekły, że nie odważył się nawet otworzyć ust, by nie rzucić mięsem. Czy ona naprawdę tak mało o nim wiedziała? Czy przez te wszystkie lata łudził się, przypisując jej pozytywne cechy, których nie miała, bo podświadomie chciał, by się nimi odznaczała? Miał ochotę na nią nawrzeszczyć, pokazać jej, jak bardzo go zawiodła. Wiedział, że za pomocą kilku odpowiednich zdań potrafiłby doprowadzić ją do łez i sprawić, by nie chciała mieć z nim już więcej do czynienia. I jakaś część jego osobowości tego by właśnie chciała. Domagała się, by wygnał Carol i jej przypuszczenia ze swojego królestwa. Baba z wozu, koniom lżej. I właśnie wtedy przerażająca myśl przebiła się przez jego gniew.

Zachowujesz się zupełnie jak Vanessa.

- O co chodzi? - spiesznie rzuciła Carol, a w jej twarzy malowały się uczucia przeciwne do tych, które zapewne dostrzegła na jego twarzy. Strach i przerażenie w równych proporcjach.

Odetchnął głęboko.

- Nie wiem, czy potrafię opisać uczucia, które mną teraz targają - rzekł. - Czasem z przerażeniem odkrywam, ile odziedziczyłem po Vanessie.

Zdawało się, że Carol za chwilę wybuchnie płaczem.

- Szaleju się najadłeś? Nie ma w tobie nawet krztyny genów twojej matki. Jesteście różni od siebie jak dzień od nocy. Ona nie dba o nikogo poza sobą. Ty zaś dbasz o wszystkich oprócz siebie.

Pokręcił głową.

- Ale to ona mnie wydała na świat. I to mnie czasem przeraża.

- Ale to dzięki sobie jesteś teraz tym, kim jesteś! Z tego, co nauczyłam się od ciebie o analizie psychologicznej, wynika, że ludzi kształtują zdarzenia w ich życiu i to, jak na nie reagują. Nie możesz przyznawać tej łaski analizowanym zabójcom, a sam sobie jej odmawiać. Nie mam zamiaru siedzieć cicho, gdy bredzisz, że ty i Vanessa jesteście rzekomo ulepieni z jednej gliny! - Trudno było nie usłyszeć wściekłości w jej głosie. Skoro sprowokował w niej aż tak gwałtowną reakcję, musiało w nim tkwić coś wartego obrony. I musiał się z tym pogodzić. Westchnął.

- No dobrze, już dobrze. Powiedz wreszcie, jaką wersję wydarzeń przedstawiła ci Vanessa? - Trącił jednym palcem wycinek z gazety.

Carol odwołała się do swego najbardziej niezwykłego talentu - pamięci ejdetycznej, dzięki której niemal słowo w słowo przywoływała zasłyszane rozmowy, wywiady środowiskowe i przesłuchania. Ta zdolność zdążyła już zaprowadzić ją do najbardziej niebezpiecznych miejsc, do których można posyłać funkcjonariuszy, więc ostatnim czasy sama już nie wiedziała, czy bardziej powinna się cieszyć, czy może płakać.

Przymknęła oczy i powtórzyła Tony'emu całą rozmowę z Vanessą. Przygnębiona recytacja, pomyślał Tony. I raczej wiarygodna, biorąc pod uwagę, że potwierdzała listowne zapewnienia Arthura, iż Vanessa ani słowem nie zająknęła się, że nosi w brzuchu jego dziecko. Jeśli zaś wierzyć Vanessie, co zresztą nie stawiało jej w najlepszym świetle, to niewykluczone, że cała reszta jej opowieści również była prawdą. A więc Carol miała rację. Niczego nie dowiedział się o Edmundzie Arthurze Blycie, przesiadując w jego krześle i śpiąc w jego łóżku.

- Dzięki - wycedził Tony, gdy Carol skończyła mówić.

Zdał sobie sprawę, że udało się jej odpowiedzieć na jedno pytanie, o którego istnieniu nie miała nawet pojęcia. Nie, wcale nie musiał słuchać jakiejś wydumanej bajeczki, którą Arthur obmyślił na potrzeby listu. Teraz już wiedział, co naprawdę się wydarzyło.

Prawda nie była miła, ale cóż - najczęściej taka właśnie bywa. Łudził się przez jeden dzień i jedną noc, że był potomkiem kogoś przyzwoitego, życzliwego i bystrego. Ale chwila, mów szczerze. Okłamywałeś samego siebie przez wiele lat. Zawsze wyobrażałeś sobie tatusiów, którzy uosabiali te wszystkie pozytywne cechy i wiele innych, pomyślał. Zdobył się na uśmiech.

- Zdążysz jeszcze wypić kawę? - zapytał.

Carol się uśmiechnęła.

- Jasne. - I wtedy podważyła wszystko, o czym przed chwilą pomyślał. - Jeszcze jedno, Tony. Pamiętaj, że Vanessa myśli tylko o sobie. Może i jej słowa brzmiały szczerze, ale nie zapominaj, jak dobrze potrafi kłamać. Prawda może więc znacznie się różnić od jej wersji wydarzeń.



## ROZDZIAŁ 29

Niall Quantick luzackim krokiem szedł przez osiedle w drodze na przystanek autobusowy. Wypreżył klatkę piersiową i szeroko rozstawił nogi, przypominając boksera kroczącego w stronę ringu - taką postawą chciał odstraszyć potencjalnych napastników. W tej okolicy trudno było przewidzieć, skąd nadejdą kłopoty. Za dużo świrów zaćpanych w trzy dupy na każdym kroku, by ta dzielnica zasługiwała na miano przewidywalnie niebezpiecznej. Przykładowo, tygodniami wymieniacie z jakimś kolesiem pełne szacunku skinienia. Aż tu nagle - bum! Gościowi odwala i ni z tego, ni z owego rzuca się na ciebie z pięściami.

Na przystanku rozsiadło się dwóch nastoletnich Azjatów. Niall rozpoznał jednego z nich - widział, jak chłopak kręcił się na przerwach po szkolnym podwórku. Azjata przelotnie omiółł Nialla wzrokiem, widocznie uznając, że nie ma na kim zawiesić oczu.

- Gdzie się wybierasz, leszczu? - rzucił młody.

Niall wiedział, że samobójstwem byłaby odpowiedź: „Ustawiłem się na lekcję rosyjskiego. Zarabiacie, nie?”. Zamiast tego wzruszył ramionami i odparł:

- Na miacho, nie? Melanż z kumplami.

Azjata skrzywił usta z pogardą.

- Nigdy nie widziałem cię z żadną ekipą. Przecież ty nie masz kumpli, lamusie.

- A co ty możesz wiedzieć - odparł Niall, starając się nadać swojej odpowiedzi swobodny wydźwięk, jakby zupełnie nie przejmował się docinkami. I w zasadzie nie zważał na nie. Miał ważniejsze sprawy na głowie.

Zanim Azjaci zdołali na dobre wdać się w pyskówkę, pod przystanek podjechało jakieś auto. Trójka na przystanku zachowywała się jak gdyby nigdy nic.

Szyba się uchyliła.

- Jesteś Niall, tak? - rozległ się głos z głębi wozu.

Niall zmarszczył czoło. Dobra, może i nie kojarzył tej twarzy. Ale ten człowiek znał jego imię.

- A kto pyta?

- DD poprosił mnie, by cię zgarnąć. Wczoraj potknął się na schodach i złamał nogę w kostce, dasz wiarę? Trzy godziny kisiliśmy się w ambulatorium przy Bradfield Cross. Rzecz jasna, nie mógł się z tobą spotkać na mieście, ale chce cię poznać, więc poprosił mnie, żeby po ciebie przyjechać.

Brzmiało sensownie, ale Niall nie był do końca przekonany.

- Skąd pewność, że będę właśnie tutaj?

- DD wiedział, z jakiego autobusu będziesz wysiadał. Wystarczyło przejechać się po przystankach od końca trasy. Wydrukował mi twoją stronę na Rigu ze zdjęciem. Spójrz. - Kierowca pokazał mu wydruk z umieszczoną w rogu fotografią ponurej twarzy Nialla. - Wskakuj, DD nie może się doczekać, by w końcu zobaczyć kogoś ciekawszego niż ja.

Niall uwierzył w szczerą szeroki uśmiech błyskającego białymi zębami z wnętrza auta. Otworzył więc drzwi i wgramolił się do środka.

- Sie ma, sieroty - powiedział na odchodne.

Azjaci tak bardzo starali się pokazać, że im to zwisa i powiewa, że gdy przyszło co do czego, zupełnie nie potrafili opisać policjantom ani tego auta, ani jego kierowcy. Ale to było już później. Znacznie później.

Carol potarła oczy. Były tak zaropiałe i przekrwione, że zastanawiała się nawet, czy nie powinna czasem udać się do okulisty. Ostatnim razem, gdy poszła do jakiegoś lekarza, skarżąc się na ból pleców, poinformował ją radośnie, że w jej wieku podobne bóle to w zasadzie norma. Czowała się, jakby dostała z liścia w twarz. Przecież nie wykorzystała swego ciała nawet

do połowy rzeczy, które miała w planach! I zdecydowanie nie była jeszcze gotowa, by pożegnać się z wszystkimi swoimi ambicjami i mglistymi pragnieniami. Pamiętała, że kiedy Tony przekroczył czterdziestkę, narzekał żartobliwie, że nigdy nie miał przyjemności prowadzić Bradfield Victorii w finale pucharu. Sądziła, że teraz przyszła jej kolej, by w końcu pożegnać się z marzeniami ściętej głowy.

Carol spoglądała na swój zespół przez oszkloną ścianę z odsłoniętymi żaluzjami. Przez trójkątną wyrwę między monitorami dostrzegła fragment włosów i ramienia Stacey. Co pewien czas zakładała włosy za ucho. Był to mimowolny gest - przerwa na zebranie myśli, w oczekiwaniu na odświeżenie się ekranu. Carol nie wiedziała, nad czym właściwie pracuje teraz Stacey, ale była pewna, że jakiegokolwiek uroki odprawiała teraz nad swoimi komputerami, to bardzo prawdopodobne, że uda jej się coś wyczarować.

Kevin rozmawiał przez telefon, odchylony na oparciu, kręcąc się dookoła na krześle i obracając długopis w palcach. Z łatwością przychodziło mu pośredniczenie między różnymi oddziałami policji - swobodnie posiłkował się solidarnością plebisków, o której Carol z oczywistych względów mogła jedynie pomarzyć. Kevin umiejętnie balansował pomiędzy męską sztamą a lojalnością wobec załogi, której był członkiem. Carol nie przestawała się obawiać, że straci go na rzecz wyższego stanowiska, ale zdawało jej się, że on w ogóle przestał się ubiegać o awans. Zastanawiała ją, czy to dlatego, że zrezygnował z wcześniejszych ambicji, czy może po prostu odpowiadały mu obecne zajęcia. A może miało to coś wspólnego z faktem, że przez ostatnie lata ponownie odkrył uroki bycia mężem i ojcem. Jako jedyny członek zespołu doczekał się potomstwa. Jego syn był zaledwie jakiś rok młodszy od Setha i Daniela. Carol zanotowała w pamięci, by z nim pogadać i upewnić się, że nie zaczyna traktować tych spraw za bardzo osobiście.

Paula ponownie pojechała do Kathy i Julii, a jej wizyta miała służyć dwóm celom - demonstracji współczucia i próbie wyciągnięcia z nich dodatkowych pożytecznych informacji. Carol nie spodziewała się sukcesu w żadnym z nich.

Sama również wywiało z biura. Gdy skończył zajmować się Timem Parkerem, Carol wysłała go do Worksop\*, gdzie mieściła się główna siedziba RigMarole. Jego właściciele nie byli zbyt zachwyceni, że muszą przyjść do pracy w sobotę, ale Sam miał w ręku nakaz. Teoretycznie powinni wręczyć im klucze do swego królestwa - kody, które pozwolą Stacey na swobodny dostęp do zawartości ich serwisu i sprawdzenie, czy na ich serwerach został ślad, który pomógłby im ustalić personalia zabójcy. Sam miał również przejrzeć całą dokumentację w poszukiwaniu ewentualnego tropu zostawionego przez sprawcę w ich papierach. Zdobycie nakazu kosztowało niemało zachodu, bo ochrona danych osobowych stała się oczkiem w głowie, niemal fetyszem, liberałów. Ostatnimi czasy o wiele łatwiej było dostać się do rachunku w szwajcarskim banku niż do niektórych źródeł danych.

\* Kilkudziesięcioletnia miejscowość w środkowej Anglii, w hrabstwie Nottinghamshire, ok. 30 km od Sheffield, na północnym skraju znanego skądinąd lasu Sherwood.

Carol trzymała kciuki, by któreś z nich wpadło na jakikolwiek trop, który popchnąłby śledztwo do przodu. I to najlepiej szybko. Żyli rzekomo w czasach permanentnej inwigilacji. Lecz ten akurat zabójca z wyraźną ła-twością unikał wiecznie czujnych i wszechwidzących oczu spoglądających z góry na maluczkich. Umiejętnie zacierał ślady. Gubił pościg nawet w internecie. Dręczyło ją przeczucie, że zabójca już myśli o obciążeniu swojego konta kolejnymi ofiarami.

Carol odwróciła się do monitora i otworzyła raporty z sekcji zwłok. Może choć Griszy udało się coś znaleźć. Pochłonięta lekturą nie zauważyła, że Tim Parker zmierzał w jej stronę, póki nie stanął w progu jej gabinetu.

- Czolem - rzekł, zdecydowanie niestosownie rozpromieniony i rozanielony. - Pomyślałem sobie, że przyniosę ci wydruk mojego profilu, szefowo. Przesłałem go mejlem. Ale wiadomo: przezorny zawsze ubezpieczony.

- Szybko się z tym uporałeś. - Podejrzenie szybko, pomyślała.

Położył analizę na biurku.

- Skoro mam to już z głowy, skoczę na chwilę na dół do stołówki napić się kawy. Mogłabyś do mnie zadzwonić, gdy będziesz gotowa, żeby go omówić?

- Nie widzę przeszkód - zapewniła Carol. Na pierwszy rzut oka były to tylko dwie strony tekstu. Miała więc nadzieję, że Tim potrafi szybko zaspokoić swój kofeinowy głód. Tim popatrzył wyczekująco na swoje dzieło, a potem przeniósł na nią wzrok. - No idź już, idź - powiedziała.

Zanim zajrzała do analizy, Carol poczekała, aż Parker zniknie jej z oczu za drzwiami biura. Profil przeczytała niespiesznie i uważnie, nie chcąc ściągnąć na siebie oskarżeń, że niesprawiedliwie lekceważy talent jego autora.

Ale nawet jej najlepsze chęci nie mogły zagłuszyć narastającego w niej palącego gniewu. Portret psychologiczny nie zawierał niczego, do czego sami by nie doszli. Dzięki wieloletniej pracy z Tonym wszyscy jej podwładni podłapali wystarczająco wiele podstaw analizy psychologicznej. I bez niczyjej pomocy mogli jej z pamięci wyrecytować te oczywistości, które Tim Parker ubrał w ładne słówka.

Dobrze zorganizowany zabójca. Biały mężczyzna, w wieku 25-40 lat. Niepewnie czujący się ze swoim homoseksualnymi skłonnościami. Niepotrafiący nawiązać relacji interpersonalnych. Żyjący sam albo z matką. Prawdopodobnie mieszkający w Bradfield. Możliwe, że uprzednio karany za podpalenie, znęcanie się nad zwierzętami i drobne wykroczenia na tle seksualnym, na przykład za publiczny ekshibicjonizm.

Te wnioski wyciągnięto prosto z podręcznika. Żaden z nich nie popchnąłby sprawy nawet o milimetr.

- Ja pierdołę! - wysyczała. Chwyliła obie kartki i wyszła z gabinetu z ponurą miną. Gdy mijala Kevina, popatrzyła mu w oczy i pokręciła głową.

- Uuu, dostanie niezły ochrzan ten nasz mały geniusz. Chowaj się kto może! - wypalił do jej oddalających się pleców.

- Idę z tym na dół, żeby mnie nie kusilo, by rzucać mięsem - wycodziła w pędzie.

Tim siedział na kanapie w najdalszym rogu stołówki, powoli sącząc cappuccino i czytając „The Guardian”. Spojrzał na nią znad gazety i

uśmiechnął się. Szybko zbladł, gdy dostrzegł wyraz jej twarzy.

Carol rzuciła analizę na stolik naprzeciwko Tima.

- I to ma być to, tak?! Produkt twojego kosztownego szkolenia?!

Wyglądał na zszokowanego, jakby dostał właśnie w policzek.

- Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli.

- Mówię, że to płytkie. Szablonowe. Trywialne. Miałkie. Szkoda słów.

Jakbym czytała fragment zerżnięty z podręcznika FBI o zabójstwach na tle seksualnym! Nic mi nie mówi o zabójcy. Nie wiem, jakie czerpie z tego korzyści...

- Seksualne spełnienie, oczywiście - tłumaczył się Tim przygaszonym głosem. Carol myślała, że zarumienił się ze wstydu, ale właśnie zdała sobie sprawę, że to raczej z urazy. - Przecież o to chodzi w zabójstwach na tle seksualnym.

- Myślisz, że tego nie wiem?! Potrzebuję konkretów. Dlaczego postępuje tak, a nie inaczej? Jakie to ma dla niego znaczenie? Dlaczego morduje stosunkowo łagodnie, a potem tak potwornie okalecza zwłoki? Co się dzieje w jego głowie?

Trzymała rękę na biodrach, stojąc nad nim, wiedząc, że wygląda teraz jak drab znęcający się nad słabszym kolegą. Ale miała to w nosie. Tim popełnił bowiem największą zbrodnię w jej prywatnym kodeksie - marnotrawienie czasu i zasobów w trakcie śledztwa o zabójstwo.

- Trudno teoretyzować z tak małej liczby przesłanek - wybełkotał wyniośle. - W zasadzie nie jest jeszcze seryjnym zabójcą, przynajmniej według definicji Resslera\*.

\* Robert Ressler (ur. 1937) - były agent FBI, twórca terminu „seryjny zabójca” i autor książek poświęconych takim zbrodniarzom.

- Myślisz, że się urwałam z choinki?! Ciągnęłam za włosy dziewczynki ze szkolnej ławki, gdy ja zaczynałam pracować w wydziale zabójstw. Dużo wody upłynęło w Tamizie, od kiedy współpracuję z jednym z najlepszych profilerów. Przynajmniej sobie podstawy i z powodzeniem sama mogłabym spłodzić podobną analizę. Która, swoją drogą, jest tak niewydarzona, że ręce opadają.

Tim podniósł się na nogi.

- Żaden spec nie dałby rady wyciągnąć więcej wniosków na podstawie tak ubogich informacji, których mi dostarczyliście. Gdyby twój śledczy postarał się o więcej dowodów, mógłbym napisać pogłębioną analizę.

- Jak śmiesz zrzucać winę na mój zespół?! Tu i teraz ci oświadczam, że nie masz najmniejszych szans, by stać się jego członkiem. Gdzie te wszystkie głębokie spostrzeżenia? Tu nie ma nic, czego byśmy już nie wiedzieli. Dlaczego wybrał akurat te ofiary? Brakuje omówienia grup ryzyka. Nie wspominasz, jak chwyta swoje ofiary. Ani gdzie je zabija. Żadnych konstruktywnych wniosków!

- Żądasz, żebym bawił się w domysły niepoparte faktami. Nie na tym polega moja praca.

- Żądam tylko, żebyś wpadł na coś na podstawie otrzymanych informacji. Jeśli to wszystko, na co cię stać, to nie nazywaj się proszę profilerem. Nie zasługujesz na to miano. A ja nie mam z ciebie żadnego pożytku.

Odpowiedział jej zaciętą miną.

- Mylisz się - odciął się. - Miałem jedną z najwyższych średnich na kursach. Znam się na swojej robocie.

- O nie, sierzancie. - Celowo zaakcentowała ostatnie słowo. - Nie masz zielonego pojęcia o psychologii sprawcy. Praca domowa to nie praktyka. A teraz zabierz to w cholere przed moich oczu i w końcu się przyłóż. Nie chcę czytać kolejnych dyrdymałów. Myśl. Wczuj się. Dostań się do głowy sprawcy. A potem daj mi jakiś konkret. Masz czas do jutra rana. W przeciwnym razie będę musiała poinformować komendanta, że szkoda na ciebie miejsca i pieniędzy!

Carol nie czekała na odpowiedź. Nie zasłużył na prawo do obrony. Pomyslała, że jeszcze nigdy nie tęskniła za Tonym tak bardzo jak teraz.

Użeranie się z ekipą RigMarole zmieniło popołudnie Sama w prawdziwą męczarnię. Przynajmniej do czasu, gdy uniósł się gniewem, by przywołać ich do porządku. Nie potrafił zrozumieć, jak ktoś mógłby cenić swój interes nad życie Bogu ducha winnych nastolatków i choć przez ułamek chwili wahać się przed udostępnieniem swoich dokumentów. Zwrócił im

jednak uwagę na bliski związek ofiar z ich grupą docelową, a tym samym z podstawowym źródłem dochodów, wskazując, jak szybko może ono wyschnąć, gdy media dowiedzą się o ich niechęci do współpracy z policją. Dopiero wtedy w końcu poszli po rozum do głowy i zgodzili się przekazać Stacey kody dostępu i pokazać Samowi papierowe kopie dokumentów. Przeglądanie ich ubogiej zawartości okazało się zupełną stratą czasu. Co irytowało go tym bardziej, że był już tak blisko konfrontacji z Nigelem Barnesem.

Sam wykorzystał długą i nużącą jazdę powrotną, by przemyśleć taktykę, zarówno wobec Carol, jak i Barnes'a. Koniecznie musiał przekonać nadinspektor Jordan do swoich racji. Ten przełom w sprawie powinien nie tylko zwrócić na niego uwagę oficerów na wyższych szczeblach bradfieldzkiej policji, ale też leżał w interesie Carol i jej sekcji. Ten zaś w rękawie bardziej niż kiedykolwiek uprawdopodobniał szansę, że Carol pozwoli mu aresztować Barnes'a - pod jakimkolwiek zarzutem.

Szkoda tylko, że nie mógł poprzeć swoich argumentów opinią Tony'ego. Ale wiedział przecież, że przyznanie się Carol do działania za jej plecami położyłoby kres jego ambicjom. Gdy ostatnim razem wyszło na jaw, że jeden z członków zespołu bez jej wiedzy kontaktował się z Tonym, Carol dostała szału. A chodziło przecież o Paulę, jej ulubienicę. Musiał więc przekonać nadinspektor Jordan, że zgromadził dość dowodów, by wygrać z Barnesem w sądzie.

Gdy zjechał z autostrady M1, sprawdził czas na desce rozdzielczej. Przy odrobinie szczęścia dojedzie do Bradfield, nim wybije ósma. O tej porze Carol z pewnością będzie jeszcze na komendzie. W końcu cóż innego mogłaby robić w sobotnią noc w toku śledztwa w sprawie dwukrotnego zabójstwa? Przecież nie miała do czego wracać.



## ROZDZIAŁ 30

Pierwszą rzeczą, która przykuła uwagę Tony'ego, gdy zszedł na dół zjeść śniadanie, był cyfrowy dyktafon.

- Jeszcze nie pora - upomniał się, gdy napełniał ekspres do kawy. Potrzebował czasu, by zastanowić się nad konsekwencjami tego, o czym usłyszał wczoraj z ust Carol. Musiał zgłębić znaczenie opowieści Vanessy, zanim będzie gotów, by wysłuchać Arthura i zestawić obie wersje wydarzeń. Jeśli w ogóle między nimi była jakaś znacząca różnica.

Lecz Carol, której instynkt w takich przypadkach zazwyczaj nie zawodził, przypomniała mu, że Vanessie nie należy ufać na słowo. W końcu kobieta, która próbowała okantować swojego jedynaka ze spadku, nie miałaby raczej skrupułów przed zafałszowaniem historii.

W sumie, bez różnicy...

By oprzeć się pokusie, przyniósł do kuchni laptopa i wszedł na stronę „Bradfield Evening Sentinel Telegraph”. Może i nie był to „The Guardian”, ale „BEST” - bo taki sprytny skrót wymyśliła redakcja - był jedną z lepszych lokalnych gazet północnej Anglii. Przypadkiem publikował też bardzo szczegółowe codzienne relacje z postępów w śledztwie prowadzonym przez Carol.

Informacje o zabójstwach nastolatków z Bradfield były najbardziej rzucającą się w oczy sekcją na ich stronie głównej. Tony kliknął link i przeczytał dzisiejsze sprawozdanie. Poza całkiem sporą ilością wodolejstwa rzeczowych faktów było jak na lekarstwo. Dwóch czternastolatków, którzy nie mieli z sobą żadnej styczności, zaginęło bez wieści. Zdawało się, że

rozplynęli się w powietrzu. Ich okaleczone zwłoki znaleziono w dwóch różnych odludnych miejscach. Policja uważała, że zabójca prawdopodobnie zwabił ich w pułapkę, proponując spotkanie za pośrednictwem serwisów społecznościowych.

Tony od razu pomyślał o Jennifer Maidment. Wszystkie trzy ofiary dzieliło kilkaset kilometrów i płęć. Ale również łączyło wiele podobieństw. Energicznie pokręcił głową.

- Nadinterpretujesz - skarcił się. - Na siłę próbujesz powiązać te przypadki, by Carol dopuściła cię do swoich spraw. Opanuj się, człowieku!

Kliknął na miniaturki zdjęć obu chłopców. Najpierw na Daniela, potem na Seta. Przerzucał się między zdjęciami raz po raz, zastanawiając się, czy wzrok go nie myli. Podniósł laptopa i przeniósł go do gabinetu. Podłączył go do drukarki i wydrukował obie fotografie, na czarno-biało, co ułatwiało ich porównanie. Po namyśle, pomimo sceptycznego podszeptu rozumu, wydrukował także zdjęcie Jennifer.

Tony zabrał trzy fotografie do kuchni i rozłożył je na stole. Nalał sobie kawy i wpatrywał się w nie z marsową miną. A jednak mu się nie przywidziało! Między tymi trzema nastolatkami istniało wyraźne podobieństwo. Niepokojąca myśl wypełzła z mroków jego umysłu, nie pozwalając się zbyć. Jeśli dla tego zabójcy płęć nie miała znaczenia, ale miał swój upatrzony typ ofiary, może jednak powiązanie Jennifer z tymi dwiema ofiarami z Bradfield wcale nie było znowu takim szalonym pomysłem.

By się upewnić, musiał jednak dowiedzieć się więcej. A Carol nie miała zamiaru dzielić się informacjami. A już na bank nie po tym, jak wczoraj zrobiła mu wykład na temat wykorzystywania ich znajomości.

Ale znał kogoś, kto mógł być bardziej skory do pomocy. Tony sięgnął po telefon i wykręcił numer. Po trzecim sygnale odezwał się nieufny głos:

- Tony? To ty?

- Tak, to ja, Paula. - Przypomniawszy sobie, jak rozmawiają normalni ludzie, którzy się lubią, dodał: - Jak żyjesz?

- Ślęczymy nad dwoma zabójstwami, Tony. Więc sam sobie odpowiedz.  
- Nie było pytania. Słuchaj, Paula. Mam prośbę.  
- Jeśli chcesz zapytać o sprawy, to nie ma mowy. Ostatnim razem, jak poprosiłeś mnie o pomoc, szefowa mało mi nóg z dupy nie powyrywała.

- Ale okazało się, że mieliśmy rację - przypomniał. - Kto wie, ilu ludzi pożegnałoby się z życiem, gdybyś nie zrobiła tego, o co cię poprosiłem? A zwróciłem się z tym do ciebie, bo sam nie mogłem tego zrobić. - W dodatku wciąż wisisz mi za to, że wyciągnąłem cię z dna rozpaczony, pomyślał.

- No tak, ale teraz już wydobrzałeś. Twoja noga się zrosła. Możesz więc sam zakręcić się wokół własnych spraw.

- Twarda z ciebie sztuka, Paula - stwierdził z nieudawanym podziwem.

- Muszę być, skoro mam do czynienia z takimi typami jak ty.

- Słuchaj, nie musisz nic dla mnie robić, nie w sensie odwalania za mnie roboty. Chcę tylko, żebyś odpowiedziała mi na jedno pytanie. Jedno proste pytanie. Chyba możesz to dla mnie zrobić? Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy?

Odpowiedziało mu prychnięcie, ale sam nie wiedział, czy uznać to za śmiech, czy raczej wyraz niesmaku.

- Kurde, Tony, nie potrafisz sobie odpuścić, co?

- Masz rację. I to nas łączy. Tym bardziej powinnaś mnie zrozumieć.

Długa cisza. I w końcu westchnięcie.

- Zadaj pytanie. Ale nic nie obiecuję, okej?

- Chodzi o te dwie ofiary. W gazecie piszą, że ich ciała okaleczono. Czy obu ich całkowicie wykastrowano? Wycięto i penis, i jądra?

Kolejne westchnięcie.

- Obiecuj, że nikomu nie powiesz.

- Słowo.

- Tak. Całkowita kastracja. Spadam, Tony. Pamiętaj, że nigdy nie odbyliśmy tej rozmowy.

I tak już jej nie słuchał. Jego umysł zaczął pracować na zwiększonych obrotach, zastanawiając się, jakim cudem wytłumaczy Carol, że tych jej

dwóch nastolatków nie było pierwszymi ofiarami tego samego zabójcy.

Kevin spojrzął na Paulę zza biurka.

- Tony? Czy to nie czasem nasz Tony? - zadał pytanie szeptem, za co Paula była mu wdzięczna.

- A któż by inny? - rzuciła cichaczem. - Szefowa najwyraźniej trzyma go z dala od sprawy.

- I to mu nie w smak, zgadłem?

Paula rzuciła szybkie spojrzenie na Carol, ale ta nadal siedziała w swoim gabinecie, przyklejona do słuchawki.

- Coś w tym stylu. Nie puść farby, że z nim gadałam, okej?

Kevin zachichotał.

- A czy ja mam na imię Sam? Morda na kłódkę.

Ich rozmowę przerwał dzwonek telefonu na biurku Kevina.

- SPC, sierżant Matthews.

- Tu sierżant Jed Turner z dochodzeniówki z „Południa” - odezwał się nieznamy Kevinowi głos z wyraźnym szkockim akcentem, ale bez charakterystycznych naleciałości.

- Czym mogę służyć, Jed?

- Czy to wy zajmujecie się tymi morderstwami nastolatków? Morrisonem i Vinerem?

- Dobrze trafiłeś.

- I wszystko zaczęło się od wpisu na listę zaginionych, tak?

- Zgadza się. Masz coś dla nas?

- Wierz mi, z ochotą się tego pozbędę. - Prychnął.

- Raczej nie o to mi chodziło.

- Wiem, kolego. Nie mam co do tego złudzeń. Sprawa ma się tak. Niewykluczone, że mamy kolejnego kandydata do waszej wesołej kompanii truposzy.

- Znaleźliście ciało?!

- Jeszcze nie. Ale zgłoszono zaginięcie czternastolatka. Nialla Quanticka. Jego matka rzuca w nas mięsem od samego rana. Głupkom z centrali trochę zajęło, zanim się zorientowali, że to może pasować do sposobu działania sprawcy, któremu się przyglądacie. Dostaliśmy od nich cynk dopiero jakieś pół godziny temu. Zainteresowani?

Kevin wyprostował się na krześle i sięgnął po długopis.

- Jakież szczegóły?

- Dzieciak to golus. Znaczy się, biedny jak mysz kościelna. Mieszka z matką w „komunalce” na osiedlu Brucehill. Ona twierdzi, że wczoraj po południu jej synalek wyszedł na miasto. I do tej pory nie wrócił. Dzwoniła do niego na komórkę, ale miał wyłączony telefon. Typowa mamuśka goluska: zero zainteresowania, z kim się zadaje jej syn i co robi poza domem. I takim właśnie sposobem znaleźliśmy się na komendzie w niedzielny poranek, a po dzieciaku ani śladu. Chcecie ten cyrk czy nie?

Zapewne nawet bardziej, niż chcesz się jej pozbyć.

- To poślijcie nam to, co macie. Wydaje się, że to sprawa dla nas. Ale muszę najpierw przejrzeć akta i pogadać o tym z przełożoną. Wiesz, jak jest.

- No jak nie, jak tak. Dobra, już wam to wysyłam. Raport o zaginięciu i zdjęcie. Daj znać, co robicie z tym fantem, jo?

Kevin odłożył słuchawkę, wyraźnie przygnębiony. Paula spojrzała mu w oczy i uniosła brwi. Kevin pokazał jej kciuk zwrócony w dół.

- Wygląda na to, że mamy kolejnego zaginionego dzieciaka - rzucił pośpiesnie.

Z ciężkim sercem Kevin pomyślał o swoim synu. Najbardziej chciał teraz pojechać prosto do domu, by zamknąć własne dziecko w pokoju, póki nie minie zagrożenie.

- O nie - jęknęła Paula. - Biedni rodzice.

Kevin starał się o tym nie myśleć.

- Tymczasem, Paula. Muszę pogadać z szefową.

Déjà vu nigdy nie było przyjemnym uczuciem dla sekcji zabójstw. Dobitnie uzmysławiało bowiem Carol fiasko jej starań. Jej genialny zespół, obdarzony talentami z najwyższej półki, wciąż nie złapał zabójcy. Ten nadal pozostawał na wolności, uprowadził kolejną ofiarę, a kto wie, ile następnych zdąży upolować, zanim go wsadzą za kratki? Szefostwo oczekiwało, że będą silni, zwarci i gotowi oraz że szybko uporają się ze sprawą. A na tę chwilę ona i jej ludzie byli raczej bezsilni, w rozsypce i gotowi co

najwyżej przyznać, że doskonale zdają sobie sprawę z powagi sytuacji. Przyszłość jej zespołu wisiała na włosku, a jeszcze nigdy nie stanęli w obliczu trudniejszego wyzwania.

Carol rozejrzała się po swoich podwładnych, wiedząc w głębi serca, że nie zdążą już pomóc Niallowi Quantickowi. Jeśli zaś Grisza dokładnie ustalił czas zgonu poprzednich zamordowanych - a nie było powodów, by mu nie wierzyć - to ten zabójca nie patyczkował się za długo ze swoimi ofiarami. Nie ryzykował więzienia swoich ofiar do czasu, aż zaspokoi swoje żądze. Co samo w sobie było niezwykle, pomyślała. Zazwyczaj tacy jak on chcieli czerpać maksymalnie dużo satysfakcji ze zbrodni.

Właśnie takich spostrzeżeń oczekiwała od Tima Parkera. Przed chwilą doręczył jej drugą wersję analizy. Tak samo nieudolną jak poprzednia, ponieważ nie zawierała żadnych głębokich wniosków i niczego, co popchnęłoby śledztwo do przodu. Nie miała jeszcze okazji, by omówić z Timem te wypociny. A ten, nie przeczuwając kolejnej bury, beztrudno stał bez ruchu na tyłach pokoju, jak małe dziecko oczekujące na pochwałę rodziców. Od niej jej nie dostanie, nie ma mowy.

- Skoro jesteśmy w komplecie, to jedziemy - zaczęła, starając się nie okazywać znużenia. - Jak zapewne już wszyscy doskonale wiecie, zgłoszono zaginięcie kolejnego nastolatka. Możliwe, że jego matka przesadza. Bo faktycznie ostatniej nocy spłynęły do nas trzy czy cztery podobne doniesienia, które okazały się przedwczesne. Ale wydaje się, że zaginięcie akurat tego chłopaka musimy potraktować znacznie poważniej, więc na tę chwilę zakładamy, że jest trzecią ofiarą w serii. - Odpowiedział jej powszechny pomruk akceptacji. - „Południe” prowadzi przesłuchania świadków i poszukiwania. Kevin, chcę, żebyś pośredniczył we współpracy z nimi. Paula, jedziesz z Kevinem. Jeśli pojawi się jakiś dobry trop, macie być obecni przy ponownym przesłuchaniu świadków. Nie chcę, żebyśmy coś przeoczyli tylko dlatego, że przesłuchujący ważnego świadka nie dorównuje waszym talentom. Sam, chwilowo musimy odłożyć Nigela Barnesę na później. Zajmiesz się matką Nialla. Jak coś od niej wyciągniesz, daj znać, ale dopilnuj, żeby poinformować także „Południe”. No i Stacey, z góry przepraszam,

bo wiem, że masz danych po dziurki w nosie... ale będziesz musiała towarzyszyć Samowi, by wyciągnąć, co się da, z komputera Nialla. Wybacz.

- To akurat żaden problem - odparła Stacey. - I tak większość danych przetwarza się na autopilocie. Jeśli komputery coś wyłapią, rezultaty spokojnie poczekają na mój powrót.

- Szkoda tylko, że nie można tak samo zaprogramować kobiet - rzucił Sam.

- Nędzny żart - skomentowała Paula.

- A kto powiedział, że to żart? - wciął się Kevin. - No nic, ruszam do boju. - Włożył kurtkę i chwycił klucze.

- Ten zabójca już zabił Nialla, prawda? - zapytała Paula, odwracając się do biurka, by również przygotować się do wyjścia.

Z progu do ich rozmowy włączył się nowy głos.

- Niemal na pewno - oznajmił Tony. - Ale nadal musicie się zachowywać tak, jakbyście szukali go całego i zdrowego.

Carol przewróciła oczami.

- Doktorze Hill - wycodziła. - Doskonale wyczucie czasu, jak zwykle, pomyślała.

Wszedł do pokoju. Carol nie przypominała sobie, by kiedykolwiek widziała u niego tak staranną fryzurę i elegancki ubiór. Zupełnie jakby chciał zaimponować wyglądem - czego w normalnych okolicznościach nie miał w zwyczaju.

- Tak się akurat składa, że masz całkowitą rację - odpowiedział. - Minał Tima Parkera i skinął głową w jego stronę. - Cześć, Tim. Praktyka trochę różni się od kursów, co?

Kevin klepnął go w plecy, kiedy koło niego przechodził. Reszta zespołu poszła w ślady Kevina, dotykając Tony'ego, jakby był talizmanem. Nawet Stacey nie omieszkała musnąć palcami jego rękawa.

- Witamy ponownie, doktorze Hill! - zakrzyknęła.

- Nie dziel skóry na niedźwiedziu, Stacey - odpowiedział. Przeszedł do gabinetu Carol, dając jej wybór, czy za nim podąży, czy raczej pozostawi swój pokój na jego pastwę. A Carol wiedziała aż za dobrze, że nie uszanuje jej zawodowej prywatności. Jeśli zostawiłaby go samego sobie, ich sprawa

byłaby na jego łasce i niełasce. Poszła więc za nim, trzaskając za sobą drzwiami.

- Co ty tu, u diabła, robisz?! - zapytała stanowczo, krzyżując ramiona na piersi i stając tyłem do drzwi, by Tim Parker nie widział jej twarzy.

- Przyszedłem w pokoju. - Tony wykonał poddańczy gest rękoma. - Chcę pomóc. Ale zanim zafundujesz mi powtórkę z wczorajszego wykładu, wysłuchaj najpierw, co mam do powiedzenia. Proszę.

Carol przegarnęła włosy i odkleiła się od drzwi. Zaciągnęła żaluzje i zasiała za biurkiem.

- Lepiej, żebyś miał dobry powód. Nie wiem, ile zdążyłeś podsłuchać, ale zaginął kolejny nastolatek i powinnam się skupić na tym, by pomóc mojemu zespołowi sprowadzić go bezpiecznie do domu.

Tony westchnął.

- I to się chwali, Carol. Ale obydwójce wiemy, że nie ma pośpiechu. Ten chłopak już nie żyje.

Carol poczuła, że uszedł z niej cały zapal do walki. Czasem przebywanie w pobliżu Tony'ego doprowadzało ją do szału. Potrafił ubrać w słowa jej myśli w taki sposób, że miała ochotę sobie odpuścić. Ale w tej chwili Carol nie chciała dać za wygraną. I była na niego zła za to, że nie wziął do serca ich wczorajszej rozmowy.

- Czemu więc zawdzięczam twoją wizytę?

- Bo widzisz, może nie bezpośrednio, ale ta sprawa w pewnym stopniu podlega mojej jurysdykcji. Ze względu na fakt, że współpracuję z jednostką, która, jak się zdaje, natrafiła na pierwszą ofiarę tego waszego zabójcy.

- Że co? - Carol z trudem mogła zrozumieć jego słowa.

- Daniel Morrison nie jest pierwszą ofiarą.

Każdy przełożony dochodzeniówki nosi w swym sercu obawę. Lęka się, ponieważ w Wielkiej Brytanii do tej pory nie wdrożono ujednoliczonego systemu wymiany danych pomiędzy różnymi jednostkami policji. Dlatego każde morderstwo popełnione przez sprawcę poza rejonem zwiększało prawdopodobieństwo tego, że nie była to jego pierwsza zbrodnia.



Kilka lat temu tęgie głowy z kilkudziesięciu jednostek wspólnie zasiadły nad nierozwiązanymi sprawami sprzed mniej więcej dekady. Współpracując z Tonym i innymi profilerami, przejrzeni ich akta w poszukiwaniu ewentualnych wspólnych mianowników. I doszli do przerażającego wniosku - na Wyspach działa co najmniej trzech seryjnych zabójców, o których istnieniu wcześniej nie mieli nawet pojęcia!

Rezultat tego przedsięwzięcia zmroził krew w żyłach każdego śledczego z wydziału zabójstw. Przypomniała sobie, co wtedy powiedział jej Tony: „Pierwsze zabójstwo daje nam prawdopodobnie najwięcej informacji o sprawcy, bo ten dopiero się uczy, co mu leży, a co nie. I uczy się na błędach. Zanim ponownie zabije, zdoła już udoskonalić swoje metody. Będzie skuteczniejszy”.

A teraz przekonywał ją, że nie miała nawet tej przewagi nad sprawcą. Miała ochotę mu się postawić. I niewykluczone, że jeszcze to zrobi. Ale później. Na razie bardziej zależało jej na uzyskaniu pewnych odpowiedzi.

- Kto jest więc pierwszą ofiarą? Gdzie jej szukać? I kiedy pracowałeś nad tą sprawą?

- Nadal nad nią pracuję, Carol. Chodzi o Jennifer Maidment.

Przez dłuższą chwilę osłupiała Carol wpatrywała się w niego w milczeniu.

- Nie wierzę - odparła w końcu. - Czy naprawdę nie możesz bez tego żyć? Tu chodzi o Tima Parkera, tak? Nie sądziłam, że jesteś jednym z tych, co to ciągle upominają się o poklask.

Tony zakrył twarz dłońmi i potarł oczy.

- Obawiałem się, że tak to odbierzesz - westchnął. Szybkim ruchem sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyciągnął złożony plik kartek. - Tu nie chodzi o mnie. Jeśli wciąż nie chcesz mnie wciągnąć w sprawę, nie będę nalegał. Nie umrę przez to, wierz mi. Ale mam do powiedzenia naprawdę ważną rzecz, więc wysłuchaj mnie. - Po chwili dodał: - Proszę?

Carol czuła się rozdarta pomiędzy szacunkiem i sympatią wobec Tony'ego a irytacją z powodu sposobu, w jaki próbował wepchnąć się na chłama w jej śledztwo. Mimo jego tłumaczeń była pewna, że meritum sprawy

sprowadza się do obecności Tima Parkera. Cholera, jak bardzo chciałyby się teraz napić.

- Dobra - wycodziła. - Zamieniam się w słuch.

Rozłożył kartki i ułożył na jej biurku trzy wcześniej wydrukowane fotografie.

- Zapomnijmy na razie o płci. Bo tak naprawdę nie ma ona żadnego znaczenia dla tej sprawy. Nie wiem jeszcze dlaczego, ale tak jest. A teraz spójrz na tych troje. Wyraźne podobieństwo. Zabójca ma więc swój upatrzony typ ofiary. Zgadzasz się?

Nie mogła się klócić z tym, co aż rzucało się w oczy.

- Okej, wyglądają trochę podobnie do siebie. W tym przypadku zbieg okoliczności działa na korzyść Jennifer.

- Masz trochę racji. Ale weź pod uwagę, że seryjni mordercy często mają bardzo sprecyzowane typy, jeśli chodzi o wygląd swoich ofiar. Pamiętasz Jacko Vance'a?

Carol przeszedł dreszcz. Jak mogła kiedykolwiek o nim zapomnieć?

- Gustował w dziewczynach podobnych do swojej byłej.

- Właśnie. Zabójcy, którzy mają podobne obsesje, pomijają przygodne ofiary, bo nie pasują do ich typu. Poświęcają niemało czasu i zachodu, by zabiegać o te, które naprawdę ich pociągają. Do rzeczy jednak. Tylko weź pod uwagę, że nie wiem nic o twoich sprawach poza tym, co wyczytałem w gazetach i usłyszałem w radiu. Pasuje?

- Chyba że znów przekabaciłeś jednego z moich ludzi, jak Paulę podczas sprawy Robbiego Bishopa - powiedziała oschle.

- Nie podpytywałem żadnego z twoich śledczych, Carol. Ale powiem ci, co wiem o twoich dwóch zabójstwach. I to tylko dlatego, że ich sprawcą był ten sam człowiek, który zamordował Jennifer Maidment. Znam sygnaturę jego zachowania. Inaczej mówiąc, wiem, co robi. - Wyliczał poszczególne wnioski na palcach. - Po pierwsze: ofiary zaginęły późnym popołudniem bez wyraźnego powodu. Nikogo nie informując o swoich planach, ani przyjaciół, ani rodziny, ani ukochanych. Po drugie: rozmawiały na RigMarole z kimś spoza kręgu swoich znajomych. Z kimś, kto zaproponował im coś nieosiągalnego w inny sposób. Możliwe, że była to osoba posługująca się

parą inicjałów - BB, CC, DD i tak dalej. To akurat jedynie przypuszczenie, ale jeśli mam rację, to może mieć jakieś znaczenie, choć nie wiem jeszcze jakie. Po trzecie: przyczyną śmierci było uduszenie w wyniku przyklejenia grubego plastikowego worka wokół szyi. Po czwarte: nie ma śladów przemocy, co prowadzi do wniosku, że ofiary zapewne odurzono. Prawdopodobnie za pomocą pigułki gwałtu, choć to akurat trudniej byłoby ustalić w przypadku waszych spraw z powodu czasu, jaki upłynął, zanim znaleźliście zwłoki. Bo trochę sobie poleżały, prawda? Z pewnością nie wpadliście na nie świeżo po zabójstwie. Dlaczego tak myślę? Bo, po piąte: po porwaniu ofiar zabójca szybko się z nimi rozprawił. I jak mi idzie do tej pory? - dopytywał się.

Carol miała nadzieję, że jej twarz nie zdradzała zaskoczenia. Skąd mógł wiedzieć aż tyle?

- Nie przerywaj sobie - powiedziała spokojnie.

- Po szóste: ciała porzucono poza miastem, na terenach nieobjętych nadzorem kamer czy podglądu ulicy przez sieć. Zabójca nie starał się nawet ich zamaskować. Po siódme: ciała ofiar okaleczono już po śmierci. Po ósme: zabójca dokonał kastracji. Po dziewiąte: nic nie wskazuje na napaśtowanie seksualne. A, i jeszcze po dziesiąte: żaden świadek nie widział, by ktoś zgarniał ofiary z ulicy, więc niewykluczone, że ich pierwsze spotkanie na żywo z zabójcą odbyło się w całkiem przyjaznej atmosferze, bez przemocy - dokończył. - No i jak, Carol? Wiem, o czym mówię, czy nie? Te zabójstwa to nie przypadek, mam rację? - zapytał z szelmowskim uśmiechem.

Carol spojrzała mu w oczy.

- Skąd ty to wszystko wiesz?! - krzyknęła.

- A stąd, że dokładnie to samo spotkało Jennifer Maidment. Z jednym wyjątkiem. W jej przypadku wycięto pochwę. I tylko ją, zauważ. Nie łechtaczkę. I właśnie dlatego uważam, że płeć można pominąć. Ponieważ to nie jest zabójstwo na tle seksualnym.

Carol odebrało mowę. Cała jej wiedza na temat seryjnych zabójstw wskazywała na to, że mają do czynienia ze zbrodniami o podłożu seksualnym. Przecież sam Tony nauczył ją, by w podobnych przypadkach zakładać motyw seksualny. Nawet jeśli nie potrafiła pojąć, z czego ten konkretny

zabójca czerpie seksualną frajdę, to na pewno z czegoś.

- Skąd ten pomysł? Czy okaleczenie genitaliów nie jest czasem pod pewnym względem zawsze podszyte seksem?

Tony podrapał się po głowie.

- W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przypadków miałybyś całkowitą rację. Ale moim zdaniem, to jest właśnie ten jeden odsetek. Jedyny, który kompletnie podważa podstawy profilowania, bo zaprzecza statystyce. - Zerwał się na równe nogi i zaczął krążyć po pokoju. - Uważam tak z trzech powodów, Carol. Nie spędza z nimi wystarczająco dużo czasu...

- Zauważyłam - wtrąciła. - Mnie też coś tu nie grało. Dlaczego zadał sobie tyle trudu, by bez pośpiechu wkraść się w łaski ofiar, a potem niemal od razu je zabić?

- Sam bym tego lepiej nie ujął! - Zastanowił się nad wyjaśnieniem, po czym odwrócił się na pięcie i trzasnął otwartą dłonią w biurko. - Bo z czego tu czerpać satysfakcję, skoro ma się je dla siebie tak krótko? Drugi powód jest taki, że nic nie wskazuje na napastowanie seksualne. Żadnej spermy ani analnego urazu. Jak mniemam, podobnie było w przypadku Setha i Daniela?

Carol przytaknęła.

- Nic z tych rzeczy.

Nagle zrozumiała, że choć starała się z całych sił, dała się uwieść argumentacji Tony'ego. Głównie dlatego, że brzmiała sensownie, choć przerażająco.

- A jaki jest trzeci powód? - zapytała.

- Zabijając, ten sprawca wyraża swoje przesłanie. Kładę wam kres. Nie jesteście po prostu martwi. Na was kończy się cały wasz ród! Kogokolwiek mu przypominają, sprawca chce wymazać swoje ofiary z kart historii. Jakby nigdy nie istnieli.

Jego słowa przyprawiły ją o dreszcz.

- To okrutne - zauważyła. - Tak... oziębłe.

- Wiem. Ale tylko dzięki temu wyjaśnieniu sprawa w końcu nabiera sensu.

Mimo wszystko Carol poczuła, że zaczyna ją rozpierać radosne uczucie. Właśnie dla takich momentów pracowała w tym zawodzie.

Dla tych oszałamiających chwil, gdy zapadki zamka ustawiły się we właściwym porządku i drzwi do zrozumienia stawały otworem. Jak można było nie pokochać tego uczucia, które targało śledczymi w chwili, gdy bariera nie do pokonania w końcu ustąpiła?

Uśmiechnęła się do Tony'ego, wdzięczna za głębokie spostrzeżenia i za cierpliwą niezłomność, które wnosił do ich pracy.

- Przepraszam - zaczęła. - Jestem ci winna przeprosiny. Nigdy nie posądzałam cię o małostkowość, nie wiem więc, dlaczego pomyślałam, że to wszystko przez Tima Parkera.

Tony zrewanżował się uśmiechem.

- Parker to już stare dzieje. To jest moja sprawa, więc Blake może mi co najwyżej nagwizdać. Worcester ma pierwszeństwo. - Wyjął z kieszeni kurtki wizytówkę Stuarta Pattersona. - To właśnie z nim musisz porozmawiać.

Carol przyjęła podarunek.

- Najpierw muszę rozmówić się z kimś innym. - Uśmiechnęła się diabolicznie. - I nawet sobie nie wyobrażasz, jaką mi to sprawi przyjemność.

## ROZDZIAŁ 31

W hermetycznym półświatku nielegalnych kolekcjonerów jaj Derek Barton uchodził za człowieka słownego - jeśli zobowiązał się, że coś załatwi, to dotrzymywał obietnicy. Za usługi mógł sobie liczyć słone pieniądze, ponieważ jego klienci wiedzieli, że zawsze dostaną od niego towar najwyższej jakości. Tej pamiętnej niedzieli Derek liczył na udane łowy. Już przez jakiś czas obserwował upatrzone gniazdo na terenie lasów państwowych, a w tę niedzielę miał w końcu przystąpić do akcji. Jaja sokoła wędrownego zawsze cieszyły się dużym wzięciem i były warte niebagatelne pieniądze. Dostanie się do gniazda nastęrczało niemałych trudności, ale opłacało się - i to z nielichą nawiązką.

Barton spakował do plecaka cały „niezbędnik zbieracza”. Ułatwiające wspinaczkę duże ćwieki, które przybiję do pnia wysokiej sosny. Młotek z gumowym trzonkiem, który wytłumi odgłos wbijania. Kask i okulary ochronne, mające osłonić go przed samymi ptakami. Oraz plastikowe pudła wyścielane watą, przeznaczone na planowane zdobycze.

Nie przekraczając dozwolonej prędkości, Derek wyjechał z Manchesteru, wybierając trasę przez mniej uczęszczane drogi, by upewnić się, że nikt go nie śledzi. Kilka lat temu został aresztowany i od tego czasu zachowywał daleko posuniętą ostrożność, gdy ruszał na poszukiwania. Tego akurat razu jak rzep psiego ogona przyczepił się do niego strażnik z RSPB\* i ujął go na gorącym uczynku z parą jaj kani rudej. Jednak wlepiona mu grzywna, choć niemała, nie złościła go tak jak fakt, że wpisali mu to wykroczenie do akt. I za co?! Przecież ludzie robią to od setek lat. A niby skąd muzea mają w zbiorach wszystkie ptasie jaja? Wszak nie były to plastikowe repliki,

tylko prawdziwe eksponaty, zebrane przez podobnych do niego zapaleńców.

\* Royal Society for Protection of Birds (Królewskie Towarzystwo Ochrony Ptaków) - brytyjska organizacja pozarządowa, największa tego typu w Europie, która bierze udział w ustalaniu listy gatunków pod ochroną i sama nadzoruje ponad sto rezerwatów przyrody.

Gdy upewnił się, że nikt go nie śledzi, skręcił w drogę, która wiała się wokół rezerwatu Stonegait. Jak zwykle w pobliżu nie widać żadnego innego auta. Niedawno wybudowali nową drogę przez dolinę, więc nie było raczej powodu, by tu zajeżdżać, chyba że ktoś miał ochotę na pieszą wycieczkę po jednej z leśnych ścieżek. A skoro na terenie rezerwatu bez trudu można znaleźć wiele bardziej interesujących ścieżek, tylko nieliczni zapuszczali się w wysokie, gęste kępy sosen, nie mogąc się spodziewać żadnych spektakularnych widoków ani ciekawych okazów flory i fauny. Barton był więc całkiem pewien, że miał to miejsce tylko dla siebie.

Wspaniała dzień na łowy. Słońce tańczyło na powierzchni wody jak światło na dyskotekowej kuli. Powiewał lekki wiaterek, co było niewątpliwą zaletą dla kogoś, kto miał zamiar wspinać się na jakąś cholernie wysoką sosnę. Barton zwolnił przed ostatnim zakrętem, upewniając się, że w pobliżu nie ma żywej duszy. Gdy przekonał się, że jest sam, zjechał z drogi jakieś dwieście metrów od miejsca, w którym zaczynała się leśna ścieżka. Cofnął nieco auto, by rośliny na poboczu zasłoniły tablice rejestracyjne. Ten wybieg nie zmyliłby nikogo, kto na poważnie chciałby sprawdzić dane kierowcy, ale przynajmniej uchroni go przed wścibskimi oczami zwykłych przechodniów. Wyjął plecak z bagażnika i rażnym krokiem ruszył przed siebie.

Już na leśnej ścieżce Derek obejrzał się przez ramię, sprawdzając ponownie, czy był sam. Ostrożności nigdy za wiele. Oderwanie wzroku od drogi w mgnieniu oka okazało się wielkim błędem. Zawadził o coś i potknął się, stracił równowagę i aż przykucnął. Otrząsał się i rzucił okiem na to, w co zaplątały mu się nogi.

Derek Barton uważał się za twardziela. Ale nawet jego stalowe nerwy nie zniosły tego widoku. Krzyknął, zataczając się do tyłu na miękkich jak wata nogach. Zdawało się, że okropny widok wrył mu się w pamięć, bo

choć zasłonił oczy ręką, wciąż jak żywo miał go przed oczami. Obrócił się na palcach i puścił się biegiem w stronę zacisza samochodu.

Opony auta zapiszczały, gdy Derek w pośpiechu zawracał. Przejechał osiem kilometrów drogą, którą wcześniej tam dojechał, gdy nagle pojął, że nie może tak po prostu zignorować tego, co zobaczył. Zjechał do najbliższej zatoki i siedział w aucie z głową na kierownicy, nie mogąc złapać tchu, z drżącymi rękoma. Nie odważył się sięgnąć po komórkę, wiedział bowiem, że policja bez trudu go namierzy. Wtedy z pewnością wrobiliby go w... to coś. Zadrzał. Znów stanął mu przed oczami ten przerażający widok. Ledwo zdążył wysiąść z samochodu, gdy żołądek odmówił mu posłuszeństwa. Derek długo wymiotował ciepłymi rzygowinami, obryzgując sobie buty i spodnie.

- Weź się, kurwa, w garść - upomniał się roztrzęsionym głosem. Musi znaleźć jakąś budkę telefoniczną. I to daleko od miejsca zamieszkania. Barton wytarł usta i osunął się na siedzenie.

Najpierw zadzwoni na policję, potem się porządnie napije.

Ten jeden raz Derek Barton nie miał sobie za złe, że nie dotrzymał umowy.

Nie było łatwo, ale Tony zdołał w końcu przekonać Carol, by pozwoliła mu się zająć Timem Parkerem. Wyszedł z gabinetu Carol i mijając biurka śledczych, podszedł do siedzącego Tima, którego wargi zaciskały się kurczowo i z uporem jak zacięte drzwi.

Gdy Tony wystarczająco zbliżył się do Tima, ten przemówił z furią, lecz cicho:

- Nie masz prawa się wtrącać! To moja sprawa! Nie masz uprawnień! Nie jesteś ani policjantem, ani zatwierdzonym konsultantem. Nawet nie powinno cię tu być!

- Skończyłeś? - rzucił Tony tonem z pogranicza protekcyjnego i współczującego. Przysunął krzesło i ostentacyjnie położył analizę Tima na biurku, dokładnie pomiędzy nimi.

Tim chwycił swoje dzieło.

- Jak śmiesz... To poufny dokument! To pogwałcenie procedur, udostępnienie go komuś spoza grona oficjalnych członków ekipy dochodzeniowej!



A ty nim nie jesteś. Jeśli to zgłoszę, ty i nadinspektor Jordan znajdziecie się po uszy w gównie!

Tony uśmiechnął się współczująco i ze smutkiem pokręcił głową.

- Oj, Tim, Tim, Tim - wydukał przesłodzonym tonem. - Widzę, że jeszcze nie rozumiałeś. Tak się składa, że to ty będziesz się kąpał w gównie. - Nachylił się i poklepał Tima po ramieniu. - Doskonale rozumiem, jak przerażająca jest pierwsza sprawa na żywo. Świadomość, że umrze więcej ludzi, jeśli ty i twój zespół nie wpadniecie na właściwy trop. Więc nie ryzykujesz. Spisujesz tylko to, co uważasz za pewnik, i tyle, żadnych domysłów. Rozumiałe.

- Dam sobie rękę uciąć za moją analizę! - wycedził, gniewnie wysuwając szczękę, ale jego oczy zdradzały obawę.

- To byś już nie miał ręki - stwierdził Tony. - Bo mylisz się niemal w każdym względzie, poza prawdopodobnym przedziałem wiekowym.

- A skąd ty to możesz wiedzieć, co?! Chyba że Carol zdradziła ci poufne informacje! Aha! - zagotował się. - To nie jest jej prywatny folwark, wiesz? Ma nad sobą jeszcze kilku szefów, a ja dopilnuję, żeby właściwi ludzie dowiedzieli się, w jaki perfidny sposób próbowała podłożyć mi swinię!

Tim nie mógł wiedzieć, że tak otwarcie grożąc Carol, sam podłożył głowę pod topór. Dotąd Tony traktował go z przymrużeniem oka, naprawdę chcąc mu pomóc. Teraz zapalał ślepym gniewem.

- Tylko się pogrążasz, Tim. Wiem, że się mylisz, nie dlatego, że nadinspektor Jordan powiedziała mi to i owo. Ale dlatego, że Daniel Morrison nie jest pierwszą ofiarą!

Choć sam się sobie dziwił, z nieukrywaną przyjemnością spostrzegł wstrząśniętą i zmieszaną minę Tima.

- Jak to?! - Tim był teraz wyraźnie przerażony. Zastanawiał się pewnie, co przeoczył i jak to się mogło stać.

Tony pogrzebał w przyniesionej plastikowej reklamówce i wyciągnął kopię swojego profilu zabójcy Jennifer Maidment.

- Nie chcę robić ci koło tyłka, Tim. Chyba że jednak wyda ci się to rozsądnym posunięciem, by nie nabrudzić Carol. - Posłał mu długie, spokojne

spojrzenie. - Jeśli jednak zdecydujesz inaczej, osobiście dopilnuję, byś tego żałował do końca swych dni w tym zawodzie. - Urwał nagle, zmarszczył brwi i pokręcił głową. - Chociaż nie, wtedy i tak cierpiałbyś o wiele za krótko... Położył swoją analizę przed Timem. - To jest profil przygotowany przeze mnie na potrzeby sprawy, nad którą pracuję w Worcesterze. Na ostatniej stronie znajdziesz dziesięć najważniejszych wniosków. Porównaj je ze swoimi, potem popraw swój profil tak, by uwzględniał niektóre z nich. Następnie przedłóż poprawkę nadinspektor Jordan. I zjeżdżaj z powrotem do szkoły, zanim ktoś zada ci jakieś trudne pytania!

Tim spojrzął na Tony'ego podejrzliwie.

- Nie rozumiem, dlaczego to robisz?

- Pytasz, dlaczego nie próbuję cię wykołować, jak na kolegę po fachu przystało?

Dłuższa chwila namysłu.

- Coś w tym stylu.

- Ponieważ kiedyś tacy jak ty przejmą schedę po profilerach z prawdziwego zdarzenia. Skoro Blake i jemu podobni wolą „tanie” od „dobrego”, to trudno. Ale mogę chociaż postarać się, by „tanie” było trochę „lepsze”. Wracaj więc do szkolnej ławki, przeanalizuj tę sprawę i ucz się na swoich błędach. - Wstał. - Daleka droga przed tobą, Tim, ale może jeszcze wyjdiesz na ludzi. Idź i ucz się. Bo niewykluczone, że następnym razem nie będzie mnie w pobliżu, by trzymać cię za rączkę. Nie chcesz żyć ze świadomością, że ludzie zginęli, bo miałeś w dupie naukę, jak właściwie wykonywać tę robotę. - Oczy Tony'ego zwęziły się w zapamiętanym bólu. - Wierz mi, że nie chcesz.

Kevin, do którego niezmiennie sływały wszystkie krążące po posterunku plotki, dowiedział się, że Blake nie ściągnął jeszcze rodziny z Devonu. Obie jego nastoletnie córki kończyły przygotowania do ważnych egzaminów i jego żona kategorycznie zabroniła im zmieniać szkołę przed końcem roku.

- Dopiero latem dołączą do niego. A na razie opłacamy mu wynajem - skomentował Kevin, gdy pojawił się w gabinecie szefowej.

- Założę się, że nie chodzi o kawalerkę w Temple Fields - ironizowała Carol.

- Jakbyś zgadła. Blake wprowadził się do mieszkania w zrewitalizowanej fabryce z widokiem na kanał - wyjaśnił Kevin.

Carol ogarnęła chwilowa nostalgia. Sama bowiem dzieliła jeden z takich loftów z bratem, gdy po raz pierwszy przeprowadziła się do Bradfield. Teraz te czasy wydawały się bardzo odległe. Ciekawe, jak by to było znów mieszkać w podobnym miejscu? Co prawda wynajęła swoje mieszkanie w londyńskiej Barbican Estate, ale umowa najmu niedługo miała wygasnąć. Wtedy mogłaby sprzedać je z niemałym zyskiem - i to nawet pomimo kryzysu w „mieszkaniówce”. Wtedy byłoby ją stać na własny kąt w byłej fabryce.

- I pewnie nie znasz adresu, co? - dopytywała się.

Siedem minut zajęło Kevinowi ustalenie namiarów na lokum Blake'a. Carol miała zapisany numer jego komórki, ale akurat tę konkretną rozmowę chciała przeprowadzić twarzą w twarz. Złapała torebkę i skierowała się do drzwi. Po drodze zauważyła, że Tony już wyszedł, ale Tim Parker wciąż nie zebrał manatków. Był lekko zarumieniony. Co też mogło zajść między nimi?, zastanawiała się.

- Szefowo? - zawołał Tim żalonym tonem. - Musimy porozmawiać o mojej analizie.

Nic go nie zbije z tropu, pomyślała. Ani to, że był świadkiem przybycia Tony'ego i późniejszej narady w gabinecie, ani to, że Tony urządził mu pogadankę, używając sobie tylko znanych argumentów. Ani nawet to, że w ogóle nie poprosili go, by zabrał głos w ich dyskusji. I wciąż do niego nic nie docierało!

- Nie, nie musimy - rzekła, łapiąc klamkę u drzwi. - Lepiej obejrzyj sobie mecz, który puszczają w stołówce.

Blake nie mieszkał daleko, zdecydowała więc, że o wiele szybciej dotrze tam na piechotę. Podczas spaceru miała okazję podziwiać wysokie fabryki i magazyny na nabrzeżach starego kanału Duke of Waterford, który odbijał się w wysokich oknach budynków, przypominających przez to atramentowe panele na tle czerwono-brunatnej lub koloru odbarwionej czerwieni cegły. Skręciła w uliczkę z budynkiem, w którym zamieszkał Blake, i wbiegła

po podniszczonych kamiennych stopniach do wiktoriańskiego westybulu. Zdaniem Carol, wewnątrz przywodziło na myśl raczej bank kupiecki lub miejski ratusz niż były magazyn tkanin wełnianych, gdy zauważyła misternie ułożone marmurowe kafelki.

Zamiast typowego domofonu, jak w przypadku większości adaptacji fabryk na cele mieszkalne, ten budynek miał własnego portiera w stonowanym czarnym garniturze.

- W czym mógłbym pomóc? - zapytał, gdy zobaczył Carol.

- Ja do pana Jamesa Blake'a.

- A była pani umówiona? - Przejechał palcem w dół otwartego rejestru leżącego przed nim.

- Nie, ale jestem pewna, że ucieszy się na mój widok. - Carol posłała mu wyzywające spojrzenie, pod którym ugiął się już niejedyn silniejszy człowiek od niego.

- Może lepiej zadzwonię - rzekł. - Kogo mam zapowiedzieć?

- Nadinspektor Carol Jordan. - Teraz mogła sobie pozwolić na rozbrajający uśmiech.

- Panie Blake? Pani Carol Jordan do pana... Tak... Dobrze, wpuszczę ją na górę. - Odłożył słuchawkę i zaprowadził Carol do wind. Gdy otworzyły się drzwi, sięgnął do tablicy i wcisnął guzik oznaczający ostatnie piętro. Już miała wejść do środka, gdy odezwał się telefon.

Wyciągnęła w górę palec wskazujący.

- Przepraszam, ale muszę odebrać. - Odeszła na bok i odebrała połączenie. - Kevin. Co się dzieje?

- Chyba znaleźliśmy Nialla. - Jego grobowy głos nie pozostawiał wątpliwości, że chłopak nie wrócił jednak do domu z udającym skruczę uśmiechem na twarzy.

- Gdzie?

- Między Bradfield a Manchesterem, na leśnej ścieżce nieopodal rezerwatu Stonegait.

- Kto go znalazł?

- Nie wiadomo. Anonimowe zgłoszenie na 112. Z budki telefonicznej w Rochdale. Pojechałem na wskazane miejsce z ekipą z „Południa”. Bez trudu znaleźliśmy zwłoki. Znacznie nadszarpnięte, bo najwyraźniej dzikie

zwierzęta trochę go podskubały. Niezbyt przyjemny widok.

- Taki sam sposób działania sprawcy?

- Co do joty. I dlatego nie wątpię, że znaleźliśmy trzecią ofiarę.

Carol pomasaowała głowę, bo poczuła, że tępy ból narasta jej w skroniach.

- Dobra. Zostań na miejscu i pilnuj naszych spraw. Za chwilę będę rozmawiała z Blakiem. Tony podpowiedział mi kilka wniosków. Sam nadal u matki?

- Przynajmniej powinien tam być. Razem ze Stacey. Ale raczej nie wybrałbym jej do roli posłańca złych wieści.

- Poproś, żeby „Południe” wysłało Samowi „rodzinnego” do pomocy. Wróć na komendę, jak tylko rozmówię się z Blakiem. To jakiś koszmar - westchnęła. - Żal tych dzieciaków.

- To już zakrawa na obłąd - żołądkował się Kevin. - Jedna ofiara po drugiej. Teraz już nawet nie robi sobie przerwy. Raczej urządza masową rzeźnię. - Jego głos się załamał. - Jak on to robi? Co z niego za bestia?

- Działa tak szybko, bo ma ofiary już niemal na talerzu. I dlatego, że po porwaniu zbyt długo się z nimi nie cacka - wyjaśniła. - Dorwiemy go, Kevin. Na bank. - Starła się zaszczepić w nim wiarę we własne siły, której sama nie czuła.

- Skoro tak mówisz - powiedział wolno i bez przekonania. - Do usłyszenia.

Carol zamknęła telefon i na chwilę oparła czoło o marmurowy filar. Szybko jednak zebrała się w sobie i wróciła do portiera cierpliwie czekającego na nią przy windzie.

Gdy wyłoniła się z windy, Blake czekał już na nią u drzwi. Miał na sobie ubranie, które przypuszczalnie uchodziło w jego garderobie za odzież codzienną - rozpiętą pod szyją koszulę w kratę marki Tattersall, włożoną w płowe spodnie z diagonału, i skórzane pantofle na stopach. Carol zastanawiała się, co inni mieszkańcy pomyśleliby o tym staromodnym stroju, tak bardzo odstającym od tutejszej definicji luzu.

- Nadinspektor Jordan - przywitał ją na równi skwaszonym głosem i miną. Nie piał z zachwytu, to pewne, pomyślała.

- Właśnie znaleźli Nialla Quanticka.

Te słowa tchnęły w niego nadzieję.

- Żywego?

- Niestety, nie. Wygląda na robotę tego samego zabójcy.

Blake pokręcił głową, wyraźnie przybity.

- Lepiej niech pani wejdzie do środka. À propos, moja małżonka przyjechała w odwiedziny.

Carol nie ruszyła za nim.

- Nie przyszedłam tu, by rozmawiać o Niallu. Sama dopiero co się dowiedziałam. Sir, mamy do czynienia z nie lada zagwozdką i chciałabym, żeby mnie pan wysłuchał, bez uprzedzeń i w cztery oczy. Rozmowa w obecności pana żony raczej nie wchodzi w rachubę.

Spojrzał na nią zza pleców.

- Chce pani, żebym pofatygował się na komendę?

Zanim Carol zdołała odpowiedzieć, otworzyły się drzwi naprzeciwko Blake'a, w których ukazała się szczupła kobieta ubrana w strój skądinąd doskonale znany Carol. Karmelowy sweter z kaszmiru, pojedynczy sznur pereł, dopasowane spodnie, sandaalki na niewielkim obcasie i perfekcyjnie pofalowane włosy. Matka Carol przyjaźniła się z bliźniaczo podobnymi kobietami, czytelniczkami „The Telegraph”, które na początku kadencji uważały Tony'ego Blaira za strasznie sympatycznego młodzieniaszka.

- James? Wszystko w porządku? - zapytała żona z obawą.

Blake przedstawił sobie obie panie, a jego maniery swobodnie przeszły w pozorną grzeczność. Carol zauważyła, że przez cały czas Moira Blake uważnie taksuje ją wzrokiem.

- Obawiam się, że nadinspektor Jordan ma do mnie niecierpiącą zwłoki sprawę, kochanie - wyjaśnił Blake.

Moira pochyliła nieco głowę.

- I jak mniemam, wolałaby porozmawiać z tobą na osobności, James. - Odsunęła się w bok i gestem zaprosiła Carol do mieszkania. - Pozwolicie tylko, że wezmę płaszcz. Przejdę się na wycieczkę po okolicy. Jestem pewna, że znajdę jakieś perełki, których mój mąż jeszcze nie odkrył.

Zniknęła za japońskim parawanem, oddzielającym część sypialną od dziennej. Carol i Blake wymienili tylko zakłopotane spojrzenie z minami

winowajców. Moira wróciła z - a jakże - karmelowym płaszczem przewieszonym przez ramię i pocałowała męża w policzek.

- Zadzwoń, jak już skończycie.

Carol zauważyła, jak Blake podążył wzrokiem za Moirą z czułą miną, pełną zachwyty, za którą Carol od razu bardziej go polubiła. Gdy zostali sami, Blake zakasłał wymownie i poprowadził Carol w stronę pary ustawionych naprzeciw siebie kanap. Na niskim stoliku między nimi wały się niedzielne wydania różnych gazet.

- Zwykle nie mamy niedzieli dla siebie, z dala od dziewczynek - wytłumaczył, odruchowo wskazując stertę prasy. - Ale przez ten weekend ich babcia dogląda gospodarstwa.

- W naszym zawodzie nie ma nawet chwili spokoju. Ale nie niepokoiłabym pana w niedzielę, gdyby nie chodziło o coś naprawdę ważnego.

Blake skinął głową.

- No to słucham.

- Odwiedził nas dziś doktor Hill - zaczęła Carol.

- A myślałem, że wyraźnie postawiłem sprawę! - Blake przerwał jej, a jego policzki zarumieniły się bardziej niż zwykle.

- Aż nadto. Ale nie prosiłam go o odwiedzin. Celowo nie powiedziałam mu nic o naszych sprawach, czego nie mógłby wyczytać w gazetach. Przyszedł, bo uważa, że te dwa zabójstwa - teraz już trzy - które rozpracowujemy, popełnił ten sam sprawca, którego analizował w innym rejonie kraju.

- Na miłość boską, przecież to żalosne! Czyżby nie mógł znaleźć innej pracy, że narzuca się nam z takimi nędznymi wymówkami? O co mu chodzi? Czyżby był zazdrosny o młodego sierżanta Parkera?

Carol zaczęła, aż Blake przestanie się wyzośliwiać, i broniła:

- Sir, znam Tony'ego Hilla od dawna i miałam okazję współpracować z nim przy kilku ważnych sprawach. I mogę stwierdzić z przekonaniem, że nie w głowie mu walka o dominację w stadzie. Przyznaję, że początkowo niechętnie nadstawiałam ucha jego analizie. Ale jego sugestie brzmią sensownie.

Punkt po punkcie przedstawiła Blake'owi wnioski, które wyłuszczył jej Tony, po cichu dziękując losowi za dar pamięci ejdetycznej, dzięki któremu przywołała je słowo w słowo.

- Wiem, że to brzmi jak naginanie faktów pod założoną tezę, ale między tymi sprawami jest za dużo podobieństw, by mogła być mowa o przypadku.

Im dłużej Carol wyliczała analogie między ofiarami, tym Blake zdawał się coraz bardziej zbity z tropu.

- I jesteś pewna, że nie miał dostępu do poufnych danych? - nie dowiedział.

- Wierzę mu na słowo - odparła. - O wiele bardziej interesuje go złapanie tego zabójcy niż własne ego.

- A co na to Parker?

Carol z trudem powstrzymała się od krzyku.

- Nie mam pojęcia. Nie omawiałam z nim tej kwestii.

- A nie sądzisz, że właśnie z nim powinnaś ustalić, co i jak, zanim zwrócisz się z tym do mnie? W końcu to on jest profilerem przydzielonym do tej sprawy.

Carol mocno przymknęła powieki.

- Za przeproszeniem, Tim to imbecyl. A jego wypociny, które na wyrost nazwał analizą, to stek bzdur. Każdy mój podwładny mógłby napisać coś bardziej głębokiego niż jego pierwsza wersja profilu. A druga była tylko nieznacznie lepsza. Wiem, że przywiązuje pan wielką wagę do kursantów ze szkoły policyjnej, ale sierżant Parker nikogo nie przekona do swoich umiejętności. Jego płytka jak kałuża analiza na kilometr zajeżdża amatorszczyzną. - Wzruszyła ramionami. - Trudno o inne określenie. Wolalabym już pracować bez profilera, niż użerać się z kimś tak mało wnikliwym. - Carol aż straciła dech w piersi. Niemal czuła zapach palącego jej się pod stopami gruntu.

Blake nie posiadał się ze wściekłości.

- Na zbyt dużo sobie pani pozwala, pani nadinspektor!

- Nie sądzę, sir. Moim zadaniem jest wymierzenie sprawiedliwości zbrodniarzom. Każdy z moich ludzi ma jedyną w swoim rodzaju cechę, która zbliża nas do tego celu. I właśnie dlatego znaleźli się pod moimi skrzydłami. Myślałam, że będzie pan wspierał moje dążenia do doskonałości. Że ucieszy



pana, że bez ogródek wykładam kawę na ławę, mówiąc otwarcie, że ktoś taki nie przystoi naszej komendzie. - Pokręciła głową. - Jeśli nie podziela pan moich aspiracji, to nie wiem, czy mam czego szukać w pańskiej jednostce. - Te słowa wymyknęły się z ust, zanim jeszcze zdążyła je dokładnie przemyśleć.

- To nie czas i miejsce na taką rozmowę, pani nadinspektor. Sprawa trzech zabójstw sama się nie rozwiąże. - Zaparł się rękoma o kanapę i wstał z wyraźnym trudem, zdradzającym, że Blake nie był znowu w tak dobrej formie, na jaką wyglądał. Podszedł do wysokich okien wychodzących na kanał i wbił wzrok w dal. - Wiele argumentów doktora Hilla przemawia za tym, że to zabójstwo w West Mercia jest powiązane z naszymi. Proszę jednak wziąć pod uwagę, że może jednak nadinterpretuje. Rozumie pani? - Odwrócił się do niej z pytającym wyrazem twarzy.

- Skoro pan tak twierdzi, sir.

- Chciałbym, żeby porozumiała się pani z przełożonym wydziału zabójstw z West Mercia i zapytała go o opinię. Po tej rozmowie zdecyduje pani, czy doktor Hill ma rację. Jeśli tak jest w istocie, będzie pani musiała wciągnąć West Mercie do sprawy. Może to i u nich popełniono pierwsze zabójstwo, ale my mamy więcej ofiar, a sprawca wciąż działa na naszym terenie. Chcę, żeby to pani pokierowała połączoną sekcją specjalną w sprawie tych zabójstw. Czy wyrażam się jasno? Zaznaczam: to jest nasze śledztwo.

- Zrozumiałam. - Teraz naprawdę zrozumiała. Blake myślał, że działania Tony'ego były powodowane walką o dominację tylko dlatego, że sam kierował się tą zasadą.

- Czy to znaczy, że mogę zaprząć do pełnej współpracy także i doktora Hilla?

Blake potarł podbródek.

- Nie widzę przeszkód. Ale jego pensja pójdzie na rachunek West Mercii. Skoro go sprowadzili, to za niego płacą. - Posłał jej pierwszy nieudawany uśmiech tego popołudnia. - Może im pani powiedzieć, że to cena wejściówki na naszą imprezę.

## ROZDZIAŁ 32

Ekipa funkcjonariuszy, chodząc od drzwi do drzwi mieszkań na osiedlu Brucehill, szybko wpadła na trop dwóch Azjatów, których wczoraj po południu Niall spotkał na przystanku. Od samego początku było jasne, że to zabójstwo nie miało związku z powszednią i pospolitą w tej części miasta przestępczością, więc choć raz mieszkańcy nie musieli się obawiać konaszachtów z policją. Typowe reguły dotyczące kablowania nie miały tu zastosowania. Niektórzy z zasady nie chcieli rozmawiać z „psami”. Ale wielu uważało, że zabójstwo czternastolatka, niemającego powiązań z żadnym z tutejszych gangów, to czyn, wobec którego nie można przejść obojętnie.

Koniec końców - w ciągu kilku godzin od odnalezienia zwłok Nialla - Sadiq Ahmed i Ibrahim Mussawi trafili na przesłuchanie do siedziby głównej Komendy Południowego Bradfield.

Sam, zostawiwszy Stacey i „rodzinnego” z matką Nialla, obmyślał właśnie z Paulą taktykę przesłuchania. Żadne z nich nie chciało mieć nieznanomego za partnera, ale inaczej musieliby razem wziąć w obroty jednego ze świadków, zostawiając drugiego dwójce śledczych z „Południa”. A nie chcieli ryzykować, bo nie mieli przekonania, czy ci potrafiliby przekonać świadka do zeznań.

- I co myślisz? - zapytał Sam.

- Spójrz na ich kartoteki. Mussawiego aresztowano za kilka wykroczeń. Za niektóre beknął przed sądem. Zna system od podszewki. Nie będzie się palił do współpracy. Przy nim Ahmed to niemal święty. Żadnych aresztowań, a tym bardziej wyroków. I myślę, że będzie chciał zachować czyste konto. Powinniśmy zabrać się właśnie za niego. Zostawmy Mussawiego

miejscowym i trzymajmy kciuki. Kto wie, może im się poszczęści - odpowiedziała Paula.

W sali przesłuchań siedziała postać o chudych kończynach opatulonych w bluzę z kapturem i modne džinsy z krokiem przy ziemi, ze złotym łańcuchem na szyi i w za dużych markowych adidasach z niezawiazanymi sznurówkami. Piętnaście lat, a strój za kilkaset funciaków. Też mi niespodzianka, pomyślała Paula. Tym bardziej że tatuś pracował w miejscowej restauracji, a mamusia niańczyła pozostałą piątkę dzieci. A nie sądziła, by Ahmed zarabiał na kieszonkowe, rozwożąc gazety. Odchyliła się na oparcie, pozwalając Samowi wyjaśnić, kim są.

- Żądam prawnika, kapujecie? - z miejsca oburzył się Ahmed.

Paula pokręciła głową, patrząc na niego bardziej smutno niż gniewnie, niczym duch ojca na Hamleta.

- No i masz. Już sprawiasz wrażenie, jakbyś coś przeskrobał, a nawet nie zdążyłam cię zapytać o nazwisko i adres.

- Nic na mnie nie macie. A ja chcę prawnika. Znam swoje prawa. No i jestem niepełnoletni, więc nie możecie mnie maglować pod nieobecność rodziców. - Jego pociągła twarz wyrażała agresję, ostro wygięte kąciaki ust i wszystkie mięśnie dookoła drgały we wrogim grymasie.

- Sadiq, kolego, wyluzuj - włączył się Sam. - Nikt nie posądza cię o żaden występki wobec Nialla. Ale wiemy, że byłeś z nim na przystanku, i musisz nam powiedzieć, co zaszło.

Nastolatek poruszył barkami w bluzie z udawaną nonszalancją.

- Muszę to wam powiedzieć, że nic nie muszę.

Paula odwróciła się bokiem w stronę Sama.

- No i ma rację. Nie musi nam nic mówić. Sam, jak myślisz, jak będzie mu się żyło na dzielni, gdy rozgłosimy, że mógł nam pomóc złapać tego zwyrodnialca, ale nie chciał?

Sam posłał jej uśmiech.

- Raczej niezbyt długo i niekoniecznie szczęśliwie.

- Sam więc widzisz, Sadiq. Masz teraz prawdopodobnie jedyną i niepowtarzalną szansę zaplusować u nas i nie dostać za to po dupie. - Ton głosu Pauli znajdował się na przeciwległym krańcu skali uprzejmości od

jej słów. - Nie mamy czasu, by się opieprzać z tą sprawą, bo ten gościu ponownie zabije. A następną ofiarą możesz paść ty sam lub jeden z twoich kuzynów.

Azjata spojrział na nią, wyraźnie kalkulując wyjścia z sytuacji.

- I jak wam pomogę, to wy i reszta psów się ode mnie odczepicie, tak?

Sam gwałtownie wyciągnął ręce i złapał za kaptur Ahmeda, niemal zwalając go z krzesła.

- Jeszcze raz nazwiesz mnie psem i odczepię się od ciebie tylko dlatego, że wylądujesz w szpitalu. Kumasz?

Ahmed wybałuszył oczy, a jego stopy próbowały znaleźć punkt oparcia na podłodze. Sam odepchnął go do tyłu, a ten zachwiał się, starając się złapać równowagę. W końcu krzesło stanęło z powrotem na czterech nogach.

- Ja pieeeee-rdolę - rzucił oskarżająco.

Paula powoli pokręciła głową.

- Widzisz, Sadiq? Lepiej byś na tym wyszedł, gdybyś od razu mnie posłuchał. Zaczynij więc wreszcie grzecznie odpowiadać na nasze pytania albo, zanim się obejrzysz, będziesz potrzebował prawnika, bo obecny tu sierżant Evans, z którym właśnie miałeś przyjemność, oskarży cię o utrudnianie pracy policji. O której ty i Ibrahim przyszliście na przystanek?

Ahmed wiercił się przez chwilę, potem spojrział jej w oczy.

- Coś koło wpół, może dwadzieścia do czwartej.

- Gdzie się wybieraliście?

- Na miacho. Tak się pokręcić po okolicy, nie? Normalka.

Czyli żeby coś zwędzić.

- I jak długo tam czekaliście, zanim pojawił się Niall?

- Niedługo, no chyba. - Odchylił się w krzesło, udając znów chojraka.

- Znałeś Nialla? - wtrącił się Sam.

Młodziak wzruszył ramionami.

- Czailem, co to za jeden. Ale nie trzymaliśmy z nim. Nie nasza paczka.

- Rozmawialiście z nim? - zapytała Paula.

I jeszcze raz ten sam gest.

- Możliwe.

- Tak czy nie?

- Ibrahim zagaił: „Dokąd to, brachu?”. A ten mówił chyba, że wybywa na miacho, na melanż z ekipą. Tylko że wiemy, że nie ma żadnych kumpli, więc to gówno prawda, czaicie? Więc Ibrahim nazwał go lamusem.

- Dyskretny urok burżuazji - skomentował Sam z przekąsem.

- E?

- Nieważne. Co odpowiedział, gdy nazwaliście go „lamusem”?

Ahmed podłubał palcem w ucho, po czym z zaciekawieniem przyjrzał się temu, co wygrzebał.

- A chuj, nawet nie zdążył odszczeknąć. Przecie wtedy właśnie pojawiło się to auto, nie?

- Opisz ten samochód - rzuciła Paula.

- Lakier metalic.

Paula czekała na więcej, ale obeszła się smakiem. - I? Z pewnością pamiętasz coś więcej.

- A niby, kurwa, czemu? To była taka kupa gówna, że aż żal w dupie ściska. Jakiś srebrnawy hatchback. Średniawo duży. Raczej zer dla zer niż dla skner. Totalny obciach. Nie było na czym oka zawiesić. Bo i po co.

- No i co dalej?

- Otworło się okno i kierowca zapodaje coś w stylu: „Jesteś Niall, tak?”.

- Na pewno zwrócił się do Nialla po imieniu? - wcięła się Paula. Jeśli wierzyć Ahmedowi, to nie było już wątpliwości, że Niall wpadł w zaplanowaną z premedytacją pułapkę.

Smarkacz przewrócił oczami, jakby chciał dać Pauli do zrozumienia, że to chyba „jacha”, czy jak to teraz mówiły nastolatki.

- Weźcie sobie uszy wyczyśćcie. Chyba mówię, co? - powiedział przeciągle. - Bankowo po imieniu.

- No i? - Sam przejął pałeczkę.

Paula wolałaby, żeby się zamknął, niemal przeklinała się w duchu, że nie towarzyszył jej śledczy z „Południa”, którego mogłaby zmusić do

trzymania gęby na kłódkę.

- Niall wetknął łeb do środka, więc nie załapałem, co się tam wyprawiało. Zapytał chyba, skąd, u licha, ten frajer w aucie wiedział, gdzie go szukać. Ale nie rozkminiłem, co na to drajwer.

Zawsze to samo, pomyślała Paula. Robisz jeden krok w przód, potem w bok i znów do tyłu.

- Jak brzmiał głos kierowcy?

Ahmed się skrzywił.

- Że co, że jak?

- Jaki akcent? Wysoki głos? A może niski? Staranny czy nie?

Ahmed z wyraźnym trudem przywoływał wspomnienia.

Co oznaczało tyle, że to, co powie, będzie zapewne tak pomocne jak „tęczowe marsze” dla sprawy legalizacji związków homoseksualnych.

- Niezbyt głęboki. Raczej zwyczajny. Mowa typowa dla naszej dzielnicy. Ale raczej taka jak u moich starych, czaicie? Nie nasz luz.

- Przyjrzałeś się może kierowcy?

- Nie bardzo. Nosił czapkę z daszkiem. Długie włosy, brązowe, chyba lekko za ramiona.

Zapewne peruka.

- I jak wyglądała ta czapka? Jaki kolor? Jakiś napis?

- Szaroniebieska. Ale nie zwracałem sobie tym głowy, nie? Bo i czemu? Jakiś ciołek zatrzymuje się przy przystanku i nawija z kolesiem, którego ledwo kojarzę, więc czemu miałbym się tym jarać, hm? - Ponownie odchylił się w krzesło i westchnął. - I co ja tu w ogóle robię? Co za chujnia!

- Co dalej? - dopytywała się Paula.

- Niall pakuje się do auta i tyle go widziałem. I finito.

I tym samym skończył się pożytek z Ahmeda jako świadka. Zostawili go więc samego na parę chwil, podczas gdy porównywali notatki z pozostałą dwójką śledczych, którzy wyciągnęli ze świadka tyle co nic. Nie mieli jednak powodów, by ich dłużej trzymać, więc posłali ich w diabły. Paula wodziła wzrokiem za zakapturzonymi i napuszonymi smarkami luzackim krokiem oddalającymi się od komendy.

- Czasem nachodzi mnie ochota, by zacząć odliczać dni do emerytury - westchnęła.

- Zły pomysł - skomentował Sam. - Zawsze będzie ich za dużo. Nawet gdy licznik zatrzyma się na jedynce.

Tony'emu doba wydawała się teraz zdecydowanie za krótka. Carol zadzwoniła do niego, jak tylko skończyła rozmawiać z Blakiem. Następnie miała przekreślić do Stacey z poleceniem udostępnienia Tony'emu akt sprawy. Przytoczyła mu ostatnie słowa Blake'a, ale miał je gdzieś. Nigdy nie zawracał sobie głowy tym, dzięki komu starcza mu na rachunki. Zależało mu tylko na wglądzie do informacji, których potrzebował, by stworzyć portret psychologiczny zabójcy.

Taki nagły napływ informacji jednak mógł być na równi błogosławieństwem, jak i przekleństwem. Stacey przesłała mu mejlem kody dostępu do plików na policyjnym serwerze, ale ilość surowych danych zebranych w toku poszukiwań zaginionych, które przerodziły się w śledztwa o zabójstwo, była niemal nieprzebrana. Samo zapoznanie się z dokumentami potrwałoby wiele dni.

Na szczęście wśród nich znalazły się również streszczenia raportów przygotowane z myślą o tym, by zespół Carol dysponował łatwo przyswajalnym oglądem sprawy. Co jednak wiązało się z tym mankamentem, że ważne szczegóły mogły umknąć uwadze autorów tych streszczeń. Za każdym razem więc, gdy Tony natknął się na coś, co budziło jego podejrzenia, musiał wrócić do oryginalnego raportu, by sprawdzić u źródła przebieg rozmów ze świadkami i działań podjętych przez śledczych.

Najgorsze było jednak to, że nie miał bladego pojęcia, czego dokładnie szukał. Wyciągnięty przez niego wniosek, iż te zabójstwa nie miały podłoża seksualnego, zmuszał go do ponownego rozważenia informacji wydobytych od osób bliskich ofiarom. A skoro nie wiedział, co łączyło tych nastolatków, każdy detal mógł okazać się znaczący.

Nie było jednak innego wyjścia. Musiał zacząć od samego początku i przetrząsnąć każdy pograżony w mroku zaułek na ścieżkach życia ofiar. To właśnie ofiary nieodmiennie były kluczem do rozwikłania zagadki

seryjnych morderstw. Lecz po raz pierwszy w swojej długoletniej karierze profiler stał w obliczu sprawy, w której zrozumienie ofiar było tak niezbędnym warunkiem sukcesu. Zasiadł więc do pracy, nie zważając na cyfrowy dyktafon, który pogrzebał pod stosem papierów.

Ku zaskoczeniu Carol inspektor Stuart Patterson nie mógł być już mniej zaborczy w kwestii swojego śledztwa. Z doświadczenia wiedziała, że przełożeni dochodzeniówki zazdrośnie strzegli swoich zabójstw. Niemal bez wyjątku trzeba było dosłownie wyduszać z nich informacje kawałek po kawałku. Ale szybko zauważyła, że Patterson naprawdę wierzył w powiedzenie: „Co dwie głowy to nie jedna”. Choć nie uszło jej uwagi również i to, że Patterson nie był do końca przekonany, czy dokooptowanie „trzeciej głowy” w postaci doktora Hilla nie będzie czasem tyleż plusem, co minusem.

- Ten to dopiero niezwykle biegły sądowy - skomentował wymijająco, gdy Carol wspomniała, jak Tony błyskotliwie dostrzegł podobieństwa między ofiarami.

- Drugiego takiego ze świecą szukać - zgodziła się.

- Można i tak powiedzieć. Wiesz, że niemal trafił u nas za kratki? Wyśmażył niezły pasztet i mój sierżant musiał go ratować z opresji.

Carol zdusiła w sobie chichot.

- Tak, rzeczywiście wspominał, że była jakaś draka. Ale ja wpisuję to w rubrykę kosztów za jego usługi.

- To jak pogodzimy nasze działania? - Patterson zbył jej uwagę i przeszedł do rzeczy.

Szybko przedyskutowali warunki współpracy i wypracowali rozwiązanie pozwalające na bezproblemowe połączenie wysiłków. Do ich rozmowy często włączała się Stacey, a Carol nie umknęła nutka rozrzewnienia w głosie Pattersona, gdy dowiedział się, że w Bradfield na stałe zatrudniają „oswojonego geeka”.

- Żaden z naszych śledczych nie objawia podobnych talentów. Dlatego muszę płacić najemnym specom. Trzeba brać, na co cię stać, i lkać, bo nie zawsze spełniają twoje oczekiwania. No i zawsze musisz im słodzić, żeby z łaski swojej zechcieli ci pomóc.



- Chętnie udostępnię ci Stacey, jeśli masz coś, co wymaga bardziej dogłębnej analizy.

- Dzięki za propozycję, Carol. Chyba poradzimy sobie sami. Ale będę o tym pamiętał. Zresztą, w tej sprawie połączyliśmy już siły z policją manchesterską.

- Serio? Znaleźliśmy jedne zwłoki na granicy między nami a Manchesterem. Powiesz coś więcej?

- To pomysł Tony'ego Hilla. Już wcześniej udało nam się ustalić listę miejsc, w których zabójca korzystał z ogólnodostępnych komputerów do rozmów z Jennifer Maidment. Doktor Hill poprosił koleżankę po fachu, by przepuściła te dane przez program do analizy geograficznej. A ten wskazał nam, że zabójca może mieszkać w południowym Manchesterze. Zebraliśmy więc zarejestrowane przez kamery numery tablic rejestracyjnych aut, które przejeżdżały przez naszą północną wylotówkę w dniu porwania Jennifer. I przesłaliśmy ją do DVLA z prośbą o ustalenie, którzy z właścicieli tych pojazdów mieszkają w Manchesterze.

Carol była pełna podziwu. Patterson wykazał się bowiem dokładnie takim kreatywnym podejściem do sprawy, którego oczekiwała od własnego zespołu.

- Świetny pomysł. Dostaliście już odpowiedź?

- Niedawno spłynęła. Pięćdziesiąt trzy trafienia. Wysłałem już na miejsce mojego sierżanta, by koordynował poszukiwania z tamtejszą policją. Objężdżają teraz po kolei wskazane adresy, sprawdzają alibi i szukają osób związanych z branżą ICT. Bo według doktora Hilla właśnie z nią związany jest nasz zabójca.

- Bardzo sensownie. To może naprowadzić nas na właściwy trop. Z zaciekawieniem czekam na rozwój sytuacji.

Patterson westchnął.

- Ja również. Bo, tak szczerze, to jedyny trop, jaki mamy.

Telefon zawibrował na udzie Pauli. Wyciągnęła go z kieszeni i poczuła się, jakby nawdychała się gazu rozweselającego, gdy zobaczyła, że dzwoni do niej Elinor Blessing. Z telefonem przy uchu odłączyła się od grupki nastolatków z osiedla Brucehill, którą wraz z Samem próbowali bezskutecznie wypytywać o Nialla.

- Widziałam wiadomości - zaczęła Elinor. - Pewnie więc dzień do bani, co?

- Bywało lepiej - przyznała Paula, wyciągając papierosa z paczki i siłując się z kieszenia, by wydobyć zapalniczkę. - Tym bardziej miło usłyszeć przyjazny głos.

- Ja tylko na słówko. Wiem, że masz na głowie masę roboty. Ale zastanawiałam się, czy nie znalazłabyś trochę czasu na późną kolację?

Był to pomysł tak wspaniały, że Paula mogłaby się rozpląkać z radości.

- Z najwyższą przyjemnością - powiedziała cicho. - Jeśli przez „późną” masz na myśli na przykład wpół do dziesiątej, być może dam radę. Jeśli nie pilnego nie zatrzyma nas na noc, zazwyczaj do tego czasu mamy pracę z głowy. No może nie tyle z głowy, ile mamy fajrant i wychodzimy do domu.

- Super. Znasz może Rafaello's? To zaraz przy Woolmarket.

- Kojarzę z widzenia.

- Zarezerwuję stolik. W takim razie: dziewięta trzydzieści. Jakby coś się zmieniło, dam znać.

- Do zobaczenia. - Paula przerwała połączenie.

Czuła się o pięć lat młodsza, jakby nagle odjęto jej ciężar nie tak dawnych wydarzeń z przeszłości. Tak właśnie musiał wyglądać powrót do normalności. Odrodzenie starej dobrej Pauli, która nie wykluczała możliwości związku z drugą osobą. Odwróciła się, z zadowoleniem widząc zszokowaną minę Sama. Najwyraźniej dostrzegł, że jej wcześniej pochmurne oblicze nagle się rozpogodziło. Może i dzień nie układał się po jej myśli, ale za to wieczór zapowiadał się wspaniale!

A tymczasem trzeba było zejść na ziemię i zająć się kwestią chłopaczków z Brucehill. Telefon od Elinor tchnął w nią nowego ducha. Niech więc tylko spróbują jej podskoczyć.

Alvin Ambrose musiał wykorzystać całą siłę perswazji, by Patterson zgodził się przydzielić go do poszukiwań w Manchesterze. Inspektor uważał, że to czarna robota dla zwykłych krawężników, ale Ambrose chciał koniecznie być na miejscu, by trzymać pieczę nad przebiegiem akcji i jej

ewentualnymi rezultatami. Przekonywał, że w razie gdyby natknęli się na dobry trop, i tak musiałby nim podążyć, więc równie dobrze mógł od razu być na miejscu.

„Przecież to tylko niespełna sto pięćdziesiąt kilometrów. Jeśli coś się tu u nas urodzi, popędzę autostradą na kogucie i będę z powrotem w godzinę z hakiem” - tłumaczył.

Koniec końców, Patterson przystał na jego prośbę.

Teraz, gdy znajdował się już w centrum wydarzeń, Ambrose stracił wcześniejszy zapał. Ale i za bardzo nie narzekał. Nie przeszkadzało mu to, że tak wiele policyjnej pracy sprowadzało się do czystej harówki. Przyjechał do Manchesteru z listą pięćdziesięciu trzech zarejestrowanych w tym mieście pojazdów, które z pewnością były w Worcesterze w dzień uprowadzenia i zabójstwa Jennifer Maidment.

Poznany wcześniej przez telefon nadinspektor Andy Millwood ugościł go na komendzie, przydzielając mu biurko w pomieszczeniu swojej sekcji. Dał mu też do pomocy asystentkę z dochodzeniówki - mundurową przydzieloną na próbę do „tajniaków”, przynajmniej chwilowo więc ubraną po cywilnemu. Teoretycznie miała wozić Ambrose'a po mieście i brać udział w prowadzonych przez niego przesłuchaniach. W ustach Millwooda brzmiało to tak, jakby robił mu wielką i niespotykaną przysługę. Lecz Ambrose wiedział doskonale, że ta nowicjuszka była najprymitywniejszą formą policyjnego życia, na której stratę mogli sobie pozwolić. Oraz że przydzielili mu ją nie tylko, żeby mu służyła pomocą, ale również po to, by miała go na oku - w końcu był dla nich tylko przyjezdnym z prowincji. Tak czy owak - lepszy rydz niż nic.

- Sądźmy, że sprawca zarabia na życie, zajmując się komputerami albo ICT. - Ambrose wprowadził ją w temat. - Ale to tylko przypuszczenie, nie fakt, więc musimy być otwarci na inne możliwości. Pamiętaj, że musimy wypytać tych kierowców o alibi tłumaczące ich pobyt w Worcesterze. Co robili. Gdzie bawili. I z kim byli.

- Służę, księżciuniu - zażartowała asystentka.

Była przysadzistą kobietą o nogach grubych niczym paliki krykietowych bramek, a jej niezbyt piękną twarz ratowały tylko bujna czupryna ciemnych

włosów z niebieskawym odcieniem i roziskrzone ciemnoniebieskie oczy.

Ambrose czuł, że nieufnie mu się przygląda. Nie wiedział tylko, czy to dlatego, że był nietutejszy, czy raczej powodem był kolor jego skóry.

- To niewielki teren, ale gęsto zaludniony. Stoją tam głównie wiktoriańskie szeregowce i duże bliźniaki, z czego wiele zamieniono na mieszkania studenckie.

- No to do dzieła.

Przez kolejne cztery godziny sprawdzili dziesięć tropów, przy okazji wysłuchując ciągłych narzekań średniozamożnych cywilów, którzy znali swoje prawa i urządzali im pogadanki o tym, jak to rząd ogranicza ich obywatelskie swobody. Ten temat przewijał się niemal w każdej rozmowie, niezależnie od wieku indagowanych i ich zawodu, od studentów do adwokatów z urzędu. Te połajanki wprawiły Ambrose'a w niemałe osłupienie, gdyż przywykł do mniejszego miasta, którego polityczne getta zajmowały raczej pojedyncze ulice niż całe przedmieścia.

Lecz po tym, jak dali upust stanowczym poglądom, ci upierdliwi cywile okazali się też praworządnyimi obywatelami. Ośmioro z nich ze szczegółami, jak na spowiedzi, wyjaśniło, gdzie byli i z kim się spotkali. By sprawdzić ich alibi, wystarczył jeden telefon lub krótka wizyta oddziałów w Worcesterze u wskazanej osoby.

Jeden kierowca zjechał z autostrady tylko po to, by przekonać się, czy w pewnej dopiero co odnowionej restauracji rzeczywiście podają takie dobre żarcie, jak reklamują. Przedstawił śledczym rachunek z zaznaczoną datą i godziną oraz paragon ze stacji benzynowej na peryferiach Taunton\*, które nie pozostawiały wątpliwości, że to nie on stał za zabójstwem Jennifer Maidment.

\* Średniej wielkości miasto w hrabstwie Somerset, w południowo-zachodniej części Anglii, przy autostradzie M5.

Z kolei dziesiąty osobnik z ich listy wzbudził podejrzenia Ambrose'a, ale w toku rozmowy wyjaśniło się, że powody nieufności Alvina nie miały nic wspólnego z morderstwem. Ten koleś, parający się handlem, zdecydowanie coś ukrywał. Ale nie to, czego szukali.

Gdy po rozmowie z nim Ambrose zmierzał w stronę auta, asystentka musiała podbiegać, by dotrzymywać mu kroku. Powiedział do niej:

- Może warto byłoby poprosić tutejszych gliniarzy, żeby przetrząsnęli jego garaż. Założę się, że jest aż po dach zawalony pirackimi płytami, imitacjami perfum i podróbkami zegarków.

Sześciu innych właścicieli aut nie zastali w domu. Postanowili więc trochę odsapnąć i zjeść obiad w pobliskiej taniej knajpie. W trakcie posiłku zadzwonił Patterson z zaskakującymi wieściami, że zabójstwo Jennifer oficjalnie połączono z trzema innymi w Bradfield, a wszystko dzięki temu mądrałińskiemu Tony'emu Hillowi. Co jeszcze bardziej zdumiewające, pozostałe ofiary były płci męskiej.

Mimo zaskoczenia i przygnębienia Ambrose dziękował w duchu za te informacje. Poznali bowiem trzy nowe terminy zaginięć, którymi mogli się posiłkować przy wykluczaniu kierowców z grona podejrzanych.

Ambrose skończył rozmowę i uśmiechnął się ponuro.

- Właśnie awansowaliśmy.

- Jak to? - zapytała asystentka z ustami pełnymi ciasta z mięsem.

- Oficjalnie prowadzimy teraz śledztwo w sprawie seryjnego zabójcy - oznajmił Ambrose.

Odsunął od siebie talerz z paluszkami rybnymi i frytkami. Przez wieści Pattersona zupełnie stracił apetyt. Śmierć Jennifer była wystarczająco trudna do zniesienia. Ale dodając do tego trzech innych nastolatków, waga problemu wzrastała niepomierne i ciążyła niczym prawdziwy kamień u szyi. Rozpracowując zabójstwa, Ambrose zawsze czuł się pod koniec dnia wykończony, jakby przez wiele godzin nosił dodatkowy balast. Obolałe mięśnie i zeszywniałe stawy przypominały mu o ciężącym nad nim psychicznym brzemienu. Wiedział, że dzisiejszej nocy z wielkim trudem dowiecze się do łóżka, obolały i sponiewierany niczym bokser po sześciu rundach.

- Pora się zbierać. Robota czeka - wycedził, wskazując głową na niedodjedzony posiłek asystentki. - Za pięć minut. Do zobaczenia w aucie.

Z kolejnymi dwoma kierowcami uporali się całkiem szybko. Pierwszy z nich, sprzedawca komputerów, zapowiadał się obiecująco. Ale w mig się okazało, że nie ma bladego pojęcia o obsłudze produktów, którymi handlował. Zresztą niedawno wrócił z żoną z trzydniowego wypadu do Pragi, który obejmował czas zaginięcia i zabójstwa Daniela Morrisona. Drugim z kolei kierowcą była kobieta, której cały okres pobytu w Worcesterze sprostował się do spotkań z duchownymi z katedry w sprawie projektów nowych szat liturgicznych.

I tak w końcu zajechali pod adres, pod którym zarejestrowano toyotę verso na nazwisko Warrena Davy'ego.

## ROZDZIAŁ 33

Nie był to ani dom, ani biuro. Zwykły pokątny garaż, zamelinowany na końcu ślepej uliczki, przy której stała również tradycyjna piekarnia i restauracja dla wegan.

Choć była niedziela, krępy, umięśniony mężczyzna o jasnych, krótko obciętych włosach w poplamionym olejem kombinezonie pracował w najlepsze, na nowo lakierując właśnie dolną część nadwozia stareńkiego forda fiesty. Oderwał się od roboty dopiero wtedy, gdy nieoznakowane auto zatrzymało się kilka metrów od niego. Wysiedli z niego pulchna kobieta i ciemnoskóry mężczyzna. Mechanik wyłączył pistolet natryskowy i posłał im wyzywające spojrzenie.

- O co się znów rozchodzi? Kolejny pijaczyna zwiął wam z miejsca wypadku czy co?

- Pan Warren Davy? - zapytał Ambrose.

Mężczyzna odchylił głowę do tyłu i się zaśmiał.

- Dobry żart. Nie, kolego. Nie nazywam się Warren. A co od niego chcecie?

- To sprawa pomiędzy nami a panem Davym - odparł stanowczo Ambrose. - A pan kto taki?

- Bill Carr. - Uśmiech rozświetlił jego kanciastą twarz. - Carr w dowodzie, karoseria w zawodzie. Kumacie? Carr...oseria?

- A co łączy cię z Warrenem Davym?

- A kto powiedział, że coś mnie łączy?

- DVLA. Pod pańskim adresem zarejestrowano toyotę verso Warrena Davy'ego.

Carr przestał się szczyrzyć.

- Okej. Teraz czaję bazę. Przykro mi, ale Warrena tu nie ma.  
- Musisz się pan bardziej postarać - rzucił Ambrose. - Mamy do niego ważną sprawę. Na tyle poważną, że nie chciałby pan, żebym pana skuł za utrudnianie pracy policji. Proszę uwierzyć.

Carr wyraźnie się przestraszył.

- Nie ma potrzeby. - Odłożył pistolet natryskowy i wsunął ręce w kieszenie. - Nie mam nic do ukrycia. Warren to mój kuzyn. Na ten adres przychodzi jego poczta, przesyłki i takie tam. Nic zdrożnego.

- A dlaczego właśnie tu? - Ambrose nie miał czasu na owijanie w bawełnę. Żądał odpowiedzi i nie miał najmniejszego zamiaru pozwolić temu uwalanemu w oleju majstrowi na żadne gierki. Mimowolnie zrobił krok naprzód i stanął jakiś metr od Carra, na tyle blisko, by ten poczuł się zagrożony.

Jednak Carr zachowywał się jak gdyby nigdy nic.

- Prosta piłka, kolego. Warren mieszka na zadupiu. Wkurzało go już to, że nieraz nie otrzymywał przesyłek, bo akurat jak był listonosz, razem z Diane siedzieli w przydomowej serwerowni. Podał więc na pocztę mój adres. Ja zawsze jestem w pobliżu, sami zresztą widzicie. I mam sporo wolnego miejsca, więc to ustrojstwo ma gdzie leżeć. Gdy listonosz coś podrzuci, dzwonię do Warrena i jedno albo drugie przyjeżdża do miasta po odbiór.

- W porządku. - Ambrose'a przekonywały jego wyjaśnienia. - Kiedy widział go pan po raz ostatni?

- Warrena? Kilka tygodni temu. Za to Diane była u mnie już ze dwa czy trzy razy w ciągu ostatniego tygodnia. Mówiła, że Warren gdzieś wyjechał. Ale to nic nowego. Mają klientów jak świat długi i szeroki.

- Jakich klientów?

- On i Diane zajmują się ochroną serwerów i przechowywaniem danych. Cokolwiek to znaczy. Nie moja parafia.

Włosy na ramieniu Ambrose'a aż stanęły dęba. Dotychczasowe informacje brzmiały zachęcająco, kto wie, może zwietrzyli właściwy trop.

- To gdzie mogę znaleźć tego pana kuzyna, Warrena? - zapytał, starając się mówić możliwie swobodnie.



Carr odwrócił się na pięcie i skierował się do biura wydzielonego na rogu warsztatu.

- Zabunkrowali się na skraju wrzosowisk - rzucił przez ramię. - Podam wam adres, ale nie obejdzie się bez wyjaśnień, jak tam dojechać. Jak już wspomniałem, to zadupie.

Ambrose poszedł za nim.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko, panie Carr, wołałbym, żeby pojechał pan z nami i wskazał nam drogę.

Carr spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Toż mówię, że dam wam wskazówki.

Ambrose pokręcił głową z łagodnym uśmiechem na twarzy.

- I tu mamy problem, panie Carr. Powtarzam: to poważna sprawa. Nie chciałem, żeby zaraz po naszym zniknięciu zadzwonił pan do swojego kuzyna. Nie chciałem, żeby uprzedził go pan, że zmierza do niego dwójka śledczych, by pogadać o jego aucie. A przede wszystkim, nie chciałem, żeby pana kuzyn dał drapaką, zanim w ogóle zamienię z nim słowo.

W głosie Ambrose'a pobrzmiwała złowroga nuta, którą tylko idiota puściłby mimo uszu. Carr zrozumiał, że wyjdzie z tego ambarasu z twarzą, tylko jeśli spełni żądanie gliniarza. Rozłożył ręce w poddańczym geście.

- Przeworny zawsze ubezpieczony, co? Rozumiem twoje obawy. I doceniam, że mi nie grozisz. Może zrobimy tak: my ruszymy przodem w moim wozie, a ta twoja laska może jechać za nami. Zgoda? Tym sposobem będę mógł się urwać, gdy dotrzemy na miejsce, a Warren nawet się nie dowie, że to ja go wkopałem.

- Czyżby bał się pan kuzyna, panie Carr?

Carr ponownie odchylił głowę i ryknął śmiechem.

- Dobre sobie. Nie mam powodów do obaw. Jeszcze nie rozumiesz? Ja przecież lubię Warrena. To pocziwina. Po prostu nie chcę, żeby miał do mnie potem pretensje, głupolu. - Głos Carra po raz pierwszy zdradzał zdenerwowanie. - Sam bym się wkurzył, gdyby ktoś nasłał na mnie gliny.

Ambrose przemyślał jego propozycję i nie znalazł w niej żadnych uchybień. Carr wydawał się na równi skory do współpracy i całkowicie nieszkodliwy. Fakt, że czuł się nieswojo na samą myśl o tym, że ktoś mógłby

sprzedać go glinom, niekoniecznie musiał oznaczać, że miał coś za uszami.

- Niech panu będzie - orzekł Ambrose. - Za panem, panie Carr.

Lata temu był to tylko jednorazowy eksperyment, ale szybko stał się częścią arsenału, za pomocą którego Tony wślizgiwał się do labiryntu umysłu zabójcy. Ustawił dwa fotele naprzeciwko siebie, oświetlając każdy pojedynczym snopem światła. Za chwilę miał usiąść w jednym z nich i zadać pytanie. Potem zamierzał wstać i przesiąść się do drugiego fotela, by spróbować pochwycić umykającą odpowiedź. Przyswoiwszy sobie wiedzę zawartą w aktach sprawy, Tony'emu pozostało tylko spróbować tej metody.

Usiadł, położył łokcie na kolanach, a brodę na pięściach, i wpatrywał się w pusty fotel naprzeciwko.

- Tu nie chodzi o czerpanie satysfakcji, prawda?

Wstał i rozsiadł się w drugim fotelu - nogi wyrzucił do przodu, a ręce swobodnie zwiesił po bokach oparcia. Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Wtem Tony odezwał się zmienionym głosem, znacznie bardziej ponurym niż jego zwykły jowialny tenor.

- Nie. Mam misję.

Przesiadł się do pierwszego fotela.

- A jaki jest jej cel?

- Koniec rodu.

- Czyjego? Nie zabijasz przypadkowych ofiar, prawda?

- Zgadza się. Ale nie odkryłeś jeszcze, co je łączy.

- Ja może i nie, ale ty to wiesz doskonale. I nie masz żadnych wątpliwości, tak?

- Żadnych. Nie spieszę się, najpierw upewniam się, że to właściwe osoby.

Wróciwszy do swojego krzesła, Tony skrzyżował ręce.

- A czemu w ogóle ci na tym zależy?

Tym razem wyobrażony w krześle naprzeciwko zabójca milczał dłużej. Tony pozwolił wciągnąć się mrokowi do miejsca, w którym te zabójstwa nabierały sensu.

- Nie chcę, żeby się rozmnażali - stwierdził w końcu cień naprzeciwko.
- Zabijasz ich więc, zanim sami będą mogli mieć dzieci?
- Po części.
- Chodzi ci o to, żeby byli ostatnimi potomkami rodu? To dlatego nie czekasz, aż te dzieci wydorosną?
- Jakbyś zgadł.

Tony wrócił do swojego fotela, nie wiedząc, co dalej począć. Czuł, że jakaś myśl próbuje się przebić przez zasłonę niewiedzy, ale wciąż bezskutecznie. Tony ponownie przywołał w wyobraźni wizerunki ofiar i jeszcze raz uderzyło go ich niezaprzeczalne wzajemne podobieństwo.

- Wszystkie wyglądają jak ty przed laty - oznajmił cicho. - Właśnie dlatego je wybierasz. Stwarzasz ofiary na swój obraz i podobieństwo.

Przesiadł się do drugiego fotela.

- A nawet jeśli, to co z tego?

- Zabijasz własne podobieństwo. - Pokręcił głową, nie potrafiąc tego zrozumieć. - Ale przecież większość seryjnych zabójców pragnie się unieśmiertelnic poprzez swoje czyny. Łakną wiecznej sławy i chwały. A ty na odwrót. Chcesz się unicestwić. Ale z jakiegoś powodu wolisz pozbyć się podobnych do ciebie dzieciaków, niż samemu rozstać się z życiem.

Ten wniosek zaskoczył Tony'ego. Czuł jednak, że był to krok we właściwą stronę. Te wyimaginowane rozmowy często stanowiły przełom w sprawie. I choć sam nie wiedział, na czym opierała się skuteczność tej metody, najwyraźniej uwalniała drzemiące w nim pokłady zrozumienia. Widać prawdę mówią, że w szaleństwie jest metoda.

Tyle że Tony nie potrafił pojąć, jak to ostatnie spostrzeżenie mogło im pomóc w odnalezieniu zabójcy. Wiedział jednak, że gdy już go namierzą, ten wniosek może być kluczem do jego umysłu. A dla Tony'ego odpowiedź na pytanie „dlaczego?” była przynajmniej tak samo ważna jak rozwiązanie zagadki „kto?”.

Już się ściemniało, gdy Bill Carr zatrzymał auto pośrodku pustkowia. Martwota krajobrazu aż biła po oczach Ambrose'a. Dopiero przed

dziesięcioma minutami minęli granicę miasta, ale w tym miejscu, na skraju ciągnących się aż po horyzont wrzosowisk, Manchester wydawał się niemal fatamorganą. Na poboczu wąskiej dróżki stały murki z niezwiązanych zaprawą kamieni. Za plecami przybyszów rozciągały się pofalowane stoki, na których pasły się owce, zupełnie nie zwracając na nich uwagi. Pola przedzielały państwowe zagajniki drzew iglastych. Od kiedy zjechali z bocznej ulicy prowadzącej do tej dróżki, nie minęło ich nawet jedno auto.

- Czekać, zgubiłem się - rzucił Ambrose. - Gdzie niby stoi ten dom?

Carr wskazał przed siebie - tam gdzie dróżka nikła z oczu niemal tuż za ostrym zakrętem.

- Jakieś półtora kilometra w tę stronę. Jak tylko skręcicie za ten zakręt, wyhaczy was Wielki Brat. Przez wiele kilometrów nie uświadczycie tu żadnej kamery, ale Warren i Diane ustawili tam własny sprzęcior. Mają hopla na punkcie bezpieczeństwa. Pewnie za to płacą im klienci czy coś. Tak więc tu zostawiam was samych. To prosto jak w mordę strzelił. Za zakrętem czeka was ogrodzenie. Przy bramie jest zatoczka. Tam też znajdziecie domofon.

Ambrose spojrział w boczne lusterko, a upewniwszy się, że auto z asystentką stoi za nimi, wysiadł. Nachylił się do środka furgonetki.

- Dzięki za pomoc.

- Tylko ani słowa Warrenowi, okej? - Przez oblicze Carra przemknęło zaniepokojenie, ale szybko uleciało.

Ambrose zastanawiał się, czy Warren czasem nie płacił swojemu kuzynowi za korzystanie z jego skrzynki. Jeśli tak, to mogłoby wiele tłumaczyć, dlaczego Carr wcale nie palił się do przejazdu.

- Słowem o panu nie wspomnę. Obiecuję! - zapewnił Ambrose. Jak tylko Alvin zamknął za sobą drzwi, Carr gwałtownie zawrócił auto w drogę powrotną do Manchesteru. Ambrose powiódł za nim wzrokiem, potem wsiadł do drugiego wozu.

- Jedź prosto przed siebie - polecił asystentce. - Po lewej będzie brama.

Wszystko zgadzało się z opisem Carra. Za zakrętem rząd drzew ustępował miejsca dwumetrowej siatce za murem z kamerą w rogu.

Podobne środki ostrożności były aż nadto widoczne na całej długości ogrodzenia. Za siatką Ambrose dostrzegł więcej tej ostrej, typowej dla wrzosowisk trawy, która rosła aż do skupiska tradycyjnych budynków z szarego kamienia. Gdy zbliżyli się nieco, Ambrose rozpoznał dom gospodarzy i dwie obszerne stodoły. Nawet z tego miejsca zauważył, że jedną stodołę wyposażono w stalowe drzwi i wentylatory wyciągowe na dachu. Zatrzymali się przy bramie wjazdowej, przy której szyld głosił skrótowo: OPD, i przedstawili się przez domofon.

- Proszę okazać dowód tożsamości przez okno, w stronę kamery - zatrzeszczał głos. Ambrose podał swoją legitymację asystentce, która machnęła nią przed obiektywem. Wrota stanęły otworem i wjechali do środka. Jakaś kobieta wyłoniła się zza stalowych drzwi, które zamknęły się za nią ze świstem, jak na filmach science fiction. Gestem ręki wskazała im, żeby podjechali pod dom, i podeszła do wysiadających z auta.

Ambrose wykorzystał początkowe uprzejmości, by dokładnie przyjrzeć się kobiecie. Koło czterdziestki, na oko metr siedemdziesiąt, szczupła i żylasta. Ziemista, łatwo opalająca się cera. Ciemne włosy za ramiona. Piwne oczy, mały, okrągły nos, cienkie wargi i dołeczki, które powoli zamieniały się w zmarszczki. Czarne dżinsy, ciemna i obcisła bluza z kapturem, na nogach - czarne kowbojki. Z szyi zwisały jej okulary na drogim srebrnym łańcuszku. Już na wstępie widać było, że rozpiera ją energia.

- Jestem Diana Patrick - przedstawiła się. - Połowa OPD. Skrót od Ochrona Patrick i Davy'ego albo inaczej: Ochrona Priorytetowych Danych, zależnie od tego, co bardziej przypadnie do gustu konkretnego klienta: formalizm czy familiarność. - Uśmiechnęła się, wyraźnie zadowolona z żartu. - Czym mogę służyć, panie władzo?

- Widzę, że śmiertelnie poważnie podchodzicie do bezpieczeństwa - zauważył Ambrose, chcąc przez chwilę grać na zwłokę. Czasem instynkt podpowiadał mu, że lepiej pobawić się w uprzejmości, niż od razu walić z grubej rury.

- W przeciwnym razie kiepsko byśmy przędli w tym fachu - odpowiedziała. - Czy chodzi może o jednego z naszych klientów? Od razu ostrzegam,

że równie serio traktujemy literę ustawy o ochronie danych osobowych.

- Czy możemy porozmawiać w środku?

Wzruszyła ramionami.

- Pewnie, zapraszam. - Otworzyła drzwi kluczem i wprowadziła ich do typowej wiejskiej kuchni. Znajdowały się tu rustykalny piec kaflowy z drzwiczkami i blaty z nadgryzionych zębem czasu sosnowych desek, a pośrodku stał duży stół z sześcioma krzesłami do kompletu. W wyposażenie włożono sporo gotówki, ale raczej przed laty. Nic nie było tu na pokaz - w pomieszczeniu czuć było wygodę i ciepło domowego ogniska. Na stole wały się gazety i czasopisma. Naprzeciw jednego z krzesel stał otwarty webbook, obok niego leżała napoczęta paczka czekoladowych herbatników.

Kowbojki na nogach Diane Patrick zastukały o kamienne płyty podłogowe, gdy podeszła do stojącego na piecu czajnika. Wstawiła wodę i odwróciła się do gości, krzyżując ręce na mało wydatnym biuście.

- Szukamy Warrena Davy'ego - wyjaśnił Ambrose, dokładnie lustrując pomieszczenie i notując w pamięci każdy szczegół wystroju.

- Akurat go nie ma - odpowiedziała.

- A wie pani, kiedy można się go spodziewać?

- Trudno powiedzieć. Poleciał na Maltę, by zainstalować klientowi nowy system zabezpieczeń. I nie wróci, póki nie skończy.

Ambrose nie potrafił ukryć rozczarowania.

- A kiedy wyjechał?

- Wyleciał z Manchesteru w piątek, ponad tydzień temu - wytłumaczyła, a wyraźne niezrozumienie odmalowało się w postaci dwóch zmarszczek między brwiami. - A dlaczego go szukacie? Czyżby jakiś problem z jednym z naszych klientów? Jeśli tak, to może ja będę mogła państwu pomóc.

- Chodzi o jego auto - sprostował Ambrose.

- A co z nim nie tak? Ktoś je ukradł? Warren zawsze zostawia wóz na strzeżonym parkingu na lotnisku.

- Chcielibyśmy zadać mu kilka pytań, by ustalić, gdzie przebywał kilka tygodni temu.

- Dlaczego? Miał jakiś wypadek? Nic nie wspomniał.

- Za pozwoleniem, wolałbym poczekać z tym do rozmowy z panem Davym - stwierdził Ambrose kategorięcznym tonem.

Wzruszyła ramionami.

- Skoro już państwo pofatygowali się aż tutaj, to mogę przynajmniej zaproponować coś do picia.

Obydwoje śledczy poprosili o herbatę. W oczekiwaniu Ambrose próbował wypytać Diane o ich biznes.

- Tak w sumie to można go podzielić na dwie części - powiedziała w zamyśleniu, jak gdyby recytowała to już tyle razy, że mogła to robić z zamkniętymi oczami. - Instalujemy systemy bezpieczeństwa na miejscu u klienta. Czasem, tak jak Warren na Malcie, dosłownie bawimy się w małego majsterkowicza i budujemy im cały zestaw zabezpieczeń. Ale to stanowi tylko niewielki procent naszych dochodów. Zarabiamy głównie na usługach przechowywania plików na zabezpieczonych serwerach zewnętrznych. Firmy wgrywają dane na nasze serwery o określonych porach dnia albo tygodnia, w zależności od potrzeb. Lub też wybierają najdroższą opcję, czyli archiwizację w czasie rzeczywistym każdego bajta danych wprowadzanego do ich systemu. Wtedy, nawet jeśli pożar pochłonie całą ich siedzibę, nic a nic nie tracą. - Wlała wrzącą wodę do imbryczka i nakryła go pokrywką.

- I właśnie to trzymacie w stodole? - dopytywał się Ambrose.

Przytaknęła.

- To nasza serwerownia. Ściany grube na sześćdziesiąt centymetrów. Żadnych okien, stalowe drzwi. Same serwery i kości pamięci w modułach trzymamy w klimatyzowanym pomieszczeniu o ścianach z hartowanego szkła. I tylko ja i Warren mamy do nich dostęp.

- I nie stroi sobie pani z nas żartów, co?

- Gdzieżbym śmiała żartować o tak poważnych sprawach. - Wręczyła obojgu gościom po kubku herbaty i wypila łyk ze swojego.

- A moglibyśmy rzucić okiem na te cuda-niewidy?

Diane przygryzła wargę.

- Z zasady nikogo tam nie wpuszczamy. Nawet klienci widzą to miejsce tylko po podpisaniu pierwszej umowy.

Ambrose posłał jej najbardziej wdzięczny uśmiech.

- Będziemy grzeczni, obiecuję. W końcu jesteśmy z policji. Zwyczajnie ciekawość mnie zżera, bo nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego.

- No nie wiem. Warrenowi by się to nie spodobało.

Ambrose rozłożył ręce.

- Ale Warrena tu przecież nie ma. Proszę zaspokoić moją ciekawość. Bo tak w głębi serca wciąż drzemie we mnie dziecko i cały czas jestem ciekawy świata. - Nie wiedział, dlaczego tak bardzo chciał zobaczyć wewnątrz serwerowni, ale opory Diane tylko wzmagaly jego dociekliwość.

Westchnęła i odstawiła kubek na stół.

- Och, niech panu będzie. Ale musicie zostawić herbatę w kuchni. Płynny nie lubią się ze sprzętem. - Powziąwszy tę decyzję, nie ościagała się, tylko pędem wyszła z domu i ruszyła przez podwórze.

Ambrose z zaciekawieniem przyglądał się, jak Diane kładzie swój palec na szklanej płytce obok stalowych drzwi.

- Jak to działa? - zapytał. - Odcisk palca?

- Nie, to czytnik biometryczny układu żyłek papilarnych. Tak naprawdę jest to taka sama cecha szczególna jak odcisk palca, ale ma tę zaletę, że działa tylko, gdy przez palec wciąż płynie krew. Innymi słowy, nie można po prostu mi go odrąbać i użyć jako klucza do naszego skarbcza. W odróżnieniu od odcisków.

Drzwi się rozsunały, a Diane poprowadziła ich do pomieszczenia, które w razie potrzeby zamykało się za niepowołanymi osobami do czasu przybycia policji, ledwie mieszczącego ich trójkę. Następnie doszli do niewielkiego pokoju kontrolnego, w którym przez sześć monitorów bez przerwy przewijały się rzędy liter i cyfr, mieniając się w oczach gości. Wokół sprzętu migały różnokolorowe światełka.

Za monitorami znajdowała się przeszklona ściana, która oddzielała przybyłych od dwudziestu metalowych wież; z każdej z nich wystawało od dwunastu do dwudziestu ciemnoczerwonych uchwytów z plastiku.

- Każda z kości pamięci mieści więcej niż terabajt danych. To więcej niż



mieści się w głowach laików - wyjaśniła Diane z wyraźną ironią.

Ambrose nie krył zdziwienia.

- Niesamowite.

- Szczególnie jeśli ktoś ma do czynienia tylko z pecetami albo laptopami - zgodziła się Diane, nieco ścisząc głos. - To coś jakby rodem z „Doktora Who”\* albo z „Jamesa Bonda”. Abrakadabra, tyle że prawdziwa.

\* Popularny brytyjski serial science fiction z lat 1963-1989 i od 2005; tajemniczy tytułowy bohater dysponuje niejednym cudem kosmicznej techniki.

Ambrose zachichotał.

- Nawet nie wiem, o co by tu zapytać.

- Nie pan pierwszy i na pewno nie ostatni. Lepiej chodźmy z powrotem i napijmy się herbaty, póki gorąca.

Gdy wrócili do kuchni, Ambrose zagadnął Diane o klienta na Malcie, chcąc poznać więcej szczegółów.

Po raz pierwszy od chwili ich przybycia Diane Patrick wyglądała na zakłopotaną.

- A wie pan, że nie wiem.

- Wydaje mi się to trochę dziwne - skomentował.

- Na pana miejscu też bym się zdziwiła. Ale to dlatego, że każde z nas ma swoich klientów. Nie zwracam sobie głowy, komu Warren coś majstruje, chyba że muszę go wyręczyć. Jak na przykład w zeszłym tygodniu. Musiałam złożyć kilka wizyt jednemu z klientów Warrena, bo ten wyjechał, a oni mieli pewien problem ze sprzętem. Warren poprosił więc mnie, że bym zrobiła to za niego. Wspólnicy muszą sobie pomagać w potrzebie, no nie?

- A więc kontaktowała się pani z Warrenem?

Wyraźnie się zdziwiła.

- Oczywiście że tak! To w końcu mój partner. Znaczy, i życiowy, i biznesowy. Piszemy do siebie mejle kilka razy dziennie i „skype'ujemy”.

Na twarzy Ambrose'a pojawił się wielki znak zapytania.

- Prowadzimy rozmowy głosowe przez internet - wyjaśniła. - Wychodzi taniej niż międzynarodowa przez komórkę.

- A będzie może pani dziś z nim rozmawiać? - zapytał.

- Mam nadzieję. - Rozweseliła się na samą myśl. - Chce pan, żebym poprosiła, żeby się do pana odezwał?

Ambrose wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki wizytówkę i podał jej.

- To numer mojej komórki.

- Policja West Mercia - skomentowała. - Jakoś wcześniej mi to umknęło. Daleko od domu pana poniosło. A skoro tak, to naprawdę musi chodzić o coś poważnego.

Ambrose'a nie zaskoczyło to, że ta kobieta miała łeb na karku. Będąc współwłaścicielem takiego biznesu, musiała mieć oko do szczegółów.

- To rutynowa procedura - zapewnił, nie spodziewając się, że zamydli jej oczy. - Wszystkie przestępstwa traktujemy poważnie.

- Wcale nie wątpię - odparła obojętnie. - W każdym razie przekażę pana namiary Warrenowi i poproszę, żeby się z panem skontaktował.

To był wyraźny sygnał, że pora kończyć rozmowę. Śledczy odstawili więc kubki i wrócili do auta.

- No i co myślisz? - zapytała asystentka za kółkiem, gdy wyjechali za bramę.

- Myślę, że to zastanawiające, że Warren gdzieś tam śmiga po świecie. I to z dala od swojej zwykłej strefy biznesowej, bo przecież klientów na Wyspach ma w bród. A biorąc pod uwagę, że wiedzę o cybertechnologii ma w małym palcu... - odwrócił się, by spojrzeć na oddalające się gospodarstwo - ...to głowy bym nie dał, czy w ogóle wybrał się na tę Malte.

## ROZDZIAŁ 34

Sam wcisnął dzwonek i cofnął się o krok do tyłu, przyglądając się szerokiej fasadzie domu Nigela Barnesesa z drzwiami otoczonymi po bokach oknami w wykuszach.

- Zdaje się, że recesja jeszcze nie zapukała do drzwi Nigela.

- Wciąż pracuje w bankowości? - zapytała Carol.

- Nie, od pięciu lat robi w ubezpieczeniach. Cokolwiek to znaczy. Chuj wie, czym tak naprawdę zajmują się te skurwysyny. Poza zdzieraniem szmalu z biednych szaraczków.

Carol chrząknęła. Nie chciała tu być. Gdy Sam wszedł do jej gabinetu i zaproponował, by niezwłocznie uporać się z Nigelem Barnesem, zaproponowała:

- Spójrz na zegarek. Jest dziewiąta. W niedzielny wieczór!

- Tym lepiej. Weźmiemy go z zaskoczenia. Zresztą i tak teraz tkwimy na mieliźnie. Czekamy, aż chłopcy z terenu zwęszą jakiś trop. Trzymamy kciuki, żeby Stacey znalazła coś, co popchnie nas do przodu. Po prostu siedzimy na dupie i obgryzamy paznokcie, bo na razie nie możemy zrobić nic, by powstrzymać tego rzeźnika. Równie dobrze możemy więc zająć się czymś pożytecznym.

Posłał jej szelmowski uśmiech. Można by go nawet uznać za seksowny, gdyby Carol była choć trochę zainteresowana Samem. A tak odczytała jego minę jako próbę przeciągnięcia jej na swoją stronę.

- Wyobraź to sobie. Wparujemy do gabinetu Blake'a z Barnesem zawiniętym w wielką kokardę i krzyknjemy: Niespodzianka! Aż mu kapie spadną.

Nie mógł wybrać bardziej przekonującego argumentu. Jak mogła się nie zgodzić? I tym sposobem, zamiast nadrobić zaległości w tak po aptekarsku dawkowanym ostatnio śnie albo oddać się lekturze raportów spływających z różnych komend i wydziałów, warowała z Samem na progu domu, węsząc za sprawą sprzed czternastu lat, właściwie bez dowodów na poparcie podejrzeń.

- Nie ma go - narzekała.

I właśnie wtedy zapaliło się światło w przedpokoju. Sam uśmiechnął się do niej z wyrazem triumfu na twarzy, jednak szybko przybrał poważną minę, odwracając się do człowieka, który pojawił się w drzwiach.

Sądząc po zdjęciach, które Carol widziała w aktach, upływ czasu łagodnie obszedł się z Nigelem Barnesem. Mimo czterdziestu trzech lat na karku ani śladu siwizny w bujnej czuprynie jasnych włosów, przypominających lwią grzywę Michaela Heseltine'a z czasów, gdy cały Albion zwał go „Tarzanem”\*. Gładka skóra, bez cieni pod jasnoniebieskimi oczami, wciąż silnie zarysowana szczeka. Wargi i broda były zbyt wąskie, a nos zbyt mięksisty, ale i tak Nigel maksymalnie wykorzystywał swoje fizyczne atuty. Carol pomyślała nawet, że wygląda, jakby spędzał zdecydowanie za dużo czasu u kosmetyczki.

\* Konserwatysta brytyjski (ur. 1933), minister w rządach M. Thatcher i J. Majora, wicepremier w latach 1995-1997; w 1976, podczas ostrej debaty w Izbie Gmin nad prywatyzacją stoczni i przemysłu lotniczego, miał ponoć wymachiwać ceremonialną buławą w kierunku świętujących sukces laburzystów; prasa nadała mu przydomek „Tarzan”.

Na jego twarzy odmalowało się uprzejme zdziwienie.

- Słucham?

Carol przedstawiła siebie i Sama.

- Obawiam się, że przynosimy złe wieści, panie Barnes. Sądzę, że byłoby lepiej, gdybyśmy weszli do środka.

Jego rysy wyraźnie stwardniały. Wycedził przez zęby, prawie nie poruszając wargami:

- A więc je znaleźliście.

Carol pochyliła lekko głowę.

- Owszem.

- Gdzie? - Pokręcił głową, jakby chciał odgonić od siebie natrętą myśl.

- Tam, gdzie je pan zostawił - rzucił Sam lodowatym tonem.

Barnes zrobił krok w tył, instynktownie próbując osłonić się drzwiami.

- Nie rozumiem - bronił się. - O co panu chodzi?

Sam dał krok do przodu i wsunął stopę w próg.

- Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań na komendzie.

Barnes pokręcił głową.

- Zwariował pan? Najpierw dobijacie mnie wieściami o znalezieniu ciała mojej żony i dziecka. A zaraz potem chcecie mnie ciągnąć na komisariat? Jakbym był podejrzany?

- Słowem nie wspomniałam o ciałach - zauważyła Carol. - Stwierdziłam tylko, że znaleźliśmy pana rodzinę, ale nie mówiłam, w jakim stanie.

Barnes przymrużył oczy.

- Mówiła pani, że ma złe wieści. Raczej nie tak by to pani nazwała, gdyby całe i zdrowe wylegiwały się nad brzegiem morza.

- Złe wieści przybierają różną postać. To pan dopowiedział sobie, że mówiłam o pana żonie i córce. Proszę wziąć płaszcz, panie Barnes. O takich sprawach o wiele łatwiej rozmawiać na komendzie niż na progu domu.

- Nigdzie z wami nie jadę! - Barnes próbował zamknąć im drzwi przed nosem, ale Sam wepchnął się między drzwi a framugę. Jego mięśnie aż nadto górowały nad pozorną siłą Barnesa rodem z „koksowni”.

- Albo przestanie się pan stawiać, albo pana aresztuję - wycedziła Carol.

- A niby za co?! - krzyknął z niedowierzaniem. - To mnie stała się krzywda! - Ponownie zapał się o drzwi.

Carol przewróciła oczami.

- Nigelu Barnes, aresztuję pana pod zarzutem utrudniania pracy policji. Ma pan prawo do zachowania milczenia. Ale ostrzegam: wszystko, co zatai pan w czasie przesłuchania, a następnie przywoła na swoje usprawiedliwienie w sądzie, może zaszkodzić pańskiej linii obrony. Jeśli jednak złoży pan zeznania, mogą być one użyte przeciwko panu - wyrecytowała

zwyczajową formułkę. - Sam, skuj pana Barnes'a.

Barnes gwałtownie odsunął się od drzwi, zaskakując Sama. Gdyby ten rozpaczliwie nie złapał się futryny, upadłby na ziemię jak długi.

- Nie ma takiej potrzeby - wycedził Barnes. - Już biorę płaszcz.

- Sam, pilnuj go. Przypominam, że jest pan aresztowany, panie Barnes!  
- krzyknęła w ślad za Nigelem.

Po dwudziestu minutach byli z powrotem na komendzie, ale upłynęła kolejna godzina, zanim zjawił się adwokat Barnes'a. Carol była tak zmęczona, że miała ochotę położyć głowę na biurku i się rozplakać. Lecz pocieszała ją myśl, że to Sam będzie grał pierwsze skrzypce podczas przesłuchania. Evans myślał, że to nagroda za ciężką pracę, którą włożył w tę sprawę. Ale prawda wyglądała tak, że Carol nie czuła się na siłach, by wystarczająco dokładnie przemaglować Barnes'a. Jediną miłą niespodzianką, która czekała na nią po powrocie na komendę, była leżąca na jej biurku trzecia wersja raportu Tima Parkera. Z każdym kolejnym akapitem Carol uśmiechała się coraz szerzej. A więc taką nauzkę postanowił dać mu Tony. Może rzeczywiście lepiej było poduczyć Tima, niż wyrwać mu ramię i okładać kikutem po zakutym łbie. A wcześniej aż ją świerzbilo, żeby właśnie tym sposobem wbić mu rozum do głowy. Tony jak zwykle stanął na wysokości zadania, umiejętnie znajdując wyjście z kabały.

A teraz pozostawało jej tylko modlić się, by Samowi udała się ta sama sztuka.

Kelner zaproponował kawę, obie kobiety zamówiły po filiżance espresso. Elinor spojrzała w oczy Pauli i zanosła się śmiechem.

- Doktorkowie i gliniarze. Jedyni ludzie, którzy piją espresso po kolacji, choć wiedzą, że i tak padną z nóg.

Paula uśmiechnęła się jakby od niechcienia, a jej twarz rozświetlała się powoli, niczym energooszczędna żarówka.

- Nieczęsto trzymam mnie na nogach coś tak przyjemnego jak to spotkanie.

- Czytasz mi w myślach. - Elinor dopiła wino i westchnęła rozmarzona.

Zdawało się, że akurat dziś udało jej się otrząsnąć ze znużenia spowodowanego pracą. W sobie tylko znany sposób znalazła nawet czas, by upiąć włosy w zawyły kok i przebrać się w niebieskawozieloną bluzkę z jedwabiu, która podkreślała kolor jej oczu. Była rozpromieniona, bił od niej wewnętrzny blask. Paula myślała nawet, że skórę Elinor w istocie otacza świetlista poświata. I czuła się przeschęśliwa. - Dzięki, że znalazłaś dla mnie trochę czasu - dodała Elinor.

- W końcu, jak sama mówiłaś, obie musimy czasem wrzucić coś na ząb. Zresztą, i tak mogłabym dzisiaj co najwyżej ślęczeć nad zeznaniami świadków, aż dostałabym oczopląsu. Dlatego cieszę się, że akurat byłaś wolna.

- Nawet pan Denby musi czasem popuścić łańcucha swoim niewolnikom - zażartowała Elinor.

Kelner przyniósł kawę, gorącą i mocną w smaku. Delektowały się nią w milczeniu.

Paula już dawno nie czuła się wieczorem tak zrelaksowana jak teraz. Tego jej właśnie było trzeba, o tym marzyła, ale wcześniej nie dawała jej spokoju stara maksyma gliniarzy: bądź dobrej myśli, ale oczekuj najgorszego. Jednak tym razem czuła się, jakby naprawdę trafiła szóstkę w totka. Miło im się rozmawiało. Lubily tę samą muzykę, ich lektury pokrywały się na tyle, by móc o nich podyskutować. Miały też podobne gusty filmowe. Obie uwielbiały czerwone wino i także mięso. Elinor przyznała się nawet, że czasem pozwala sobie na wypalenie papierosa.

- Raz albo dwa na tydzień - zwierzyła się. - Na koniec długiego dnia, przy szklance whisky.

- Zazdroszczę silnej woli - przyznała Paula. - U mnie to albo wszystko, albo nic. Chciałabym ponownie rzucić, ale wiem, że pośpiech zda się w tym przypadku psu na budę.

- A więc kiedyś już odstawiłaś fajki?

- Taa. I nawet nieźle mi szło, aż... Och, ale długo by opowiadać. - I nie mam zamiaru drążyć tematu dopóty, dopóki nie staniemy się sobie bliższe. - Tak w skrócie? Mój przyjaciel, w zasadzie kolega z pracy, ale się przyjaźniliśmy, zginął na służbie. - I o mały włos nie podzieliłam jego losu, ale nie mam dziś ochoty rozdrapywać świeżo zagojonych ran.

- Współczuję - odpowiedziała Elinor. - To musiało być ciężkie przeżycie. Zadziwiające, jak często śmierć bliskich skłania nas wszystkich do autodestrukcji. - I na tym poprzestała, za co Paula była jej wdzięczna i zarazem urzeczona jej taktem.

Gdy już dopiły kawę i złożyły się na rachunek, zaczęło między nimi wyraźnie iskrzyć. Paula pragnęła dotknąć skóry Elinor, by poczuć przyjemne mrowienie na opuszkach palców. Ale nie chciała robić niczego pochopnie. Targało nią zbyt wiele wątpliwości. Co do samej siebie, a nie Elinor.

Za drzwiami restauracji owiał je przejmujący podmuch.

- Boże, wietrzyśko znad Bałtyku! - wykrzyczała Elinor. - A było tak przyjemnie na dworze, gdy wchodziliśmy do środka. Nawet nie zauważyłam, że zaczęło wiać.

- Czas szybko mija, gdy człowiek się dobrze bawi. Tak właściwie to mamy już środę.

Elinor zaśmiała się i ujęła Paulę pod rękę.

- Wiesz, na co mam teraz ochotę?

Paula poczuła ucisk w klatce. Serce rozpieierały jej równocześnie radość, pragnienie i strach.

- Dobrze wychowanie nie pozwala mi zgadywać.

Elinor ścisnęła jej ramię.

- Fajna jest ta twoja nieśmiałość. Tym bardziej mam nadzieję, że poznamy się znacznie lepiej.

- Tak - wydukała Paula z rezerwą, zastanawiając się, jaki będzie finał.

- I nie chcę, by ten wieczór już się skończył. Wiem, że późna godzina i w ogóle, ale może dasz się zaprosić do mnie? Na kawę? I dalszą rozmowę?

Zatrzymały się na chwilę pod markizą jakiegoś sklepu.

- Chciałabym - odpowiedziała Paula. - Nie wiesz nawet jak bardzo. Ale, proszę, nie zrozum mnie źle. Mówisz „kawa”. Ale naprawdę tylko tyle, dobra? Z samego rana muszę być w pracy, czysta, zwarta i gotowa. I w świeżych ciuchach.

Elinor zachichotała.

- W takim razie będzie lepiej, jak pójdziemy do ciebie, nie uważasz? -



Zanim Paula zdążyła odpowiedzieć, Elinor przywarła do jej ciała i ust.

Pauli zdawało się, że wokół śmigają błyskawice, jakby nagle uszło z niej całe nagromadzone w niej napięcie. Jej ciało drżało, a w uszach dzwoniło. Usłyszała cichy jęk i zdała sobie sprawę, że dobiegał z jej własnych trzewi. Marzyła, by ten pocałunek trwał bez końca.

Gdy w końcu odkleiły się od siebie, obu kobietom zabrakło tchu.

- O kurczę - wystękała Elinor.

- To co? Idziemy? - zaproponowała Paula ochryplym głosem. Odchrząknęła, obmacując kieszenie. - Możemy wziąć taxi. - Nagle stanęła jak wryta. - Chwilunia. - Otworzyła torebkę i zaczęła przetrząsać jej wnętrze. - No nie wierzę! Zostawiłam te cholerne klucze na komendzie. Tak bardzo spieszyłam się na nasze spotkanie... Ech, nawet wiem chyba gdzie. Na pewno leżą na biurku, przed kompem.

Elinor wzruszyła ramionami.

- Żaden problem. Przecież to rzut beretem. Przejdziemy się, zabierzemy klucze i zamówimy taksówkę pod komendę.

- Nie masz nic przeciwko?

- Skądże. Przynajmniej w końcu zobaczę, gdzie pracujesz.

Dziesięć minut później wychodziły już z windy na trzecim piętrze komendy głównej bradfieldzkiej policji. Funkcjonariusz na nocnym dyżurze nawet nie zaszczycił ich spojrzeniem, gdy Paula wpisywała Elinor na listę gości. Zastanawiające. Czyżby przyzwyczaił się do tego, że gliniarze traktowali biuro jako miejsce schadzek po godzinach pracy?

- Pracujemy tutaj - poinformowała Paula, idąc przodem, ale wciąż trzymając Elinor za rękę.

W jednym z rogów pokoju paliło się światło lampki przy biurku wspomaganą przez nikły, upiorny poblask monitorów Stacey.

- Stacey? Wciąż tu siedzisz? - zawołała zaskoczona Paula.

- Pracuję nad zapisem kamer z Dworca Centralnego - odpowiedziała Stacey. - Nie powinnaś całować się ze swoją dziewczyną w windzie, pod okiem biurowych kamer.

- Oż kurwa! - zreflektowała się Paula. - Jutro na bank będę hitem w naszej sieci lokalnej.

- Nie będziesz - rzuciła Stacey w zamyśleniu. - Już wykasowałam, co trzeba. - Wstała z krzesła, choć trudno było w to uwierzyć, bo jej głowa była ledwie widoczna znad monitorów. - Cześć, jestem Stacey - odezwała się do Elinor. - Miło widzieć, że Paula w końcu rozwodzi się z pracą. To będzie nas już trójka.

Paula nie przypominała sobie, kiedy ostatnio Stacey wypowiedziała tyle zdań bez nawiązania do swoich umiłowanych komputerów.

- A to Elinor - przedstawiła.

- Pamiętam cię z czasów śledztwa w sprawie zabójstwa tego piłkarza Robbiego Bishopa - stwierdziła Stacey. - To ty zauważyłaś, że go otruto. Imponujące do kwadratu.

Paula nie mogła się nadziwić własnym uszom. Czyżby Elinor rozwiązywała ludziom języki?

- Dzięki - odparła Elinor. Krzątała się po pokoju, oglądając tablice, wczuwając się w atmosferę wydziału zabójstw. - To miejsce ma fajny klimat. Taki kojący.

Paula się zaśmiała.

- Gdybyś była tu o dziewiątej rano, od razu zmieniłabyś zdanie.

Stacey ponownie zasiadła za biurkiem, chowając się za barykadą z monitorów.

- Paula, skoro już tu jesteś, to chodź, coś ci pokażę. Pracuję nad tym już od jakiegoś czasu i myślę, że w końcu coś znalazłam.

Paula spojrzała na Elinor, upewniając się, że ta nie ma nic przeciwko. Elinor uśmiechnęła się i odgoniła ją gestem ręki.

- No idź - rzekła. - Dam sobie radę.

Stacey zgasiła cztery monitory, zostawiając dwa włączone.

- To tutaj pokazuje wyostrzony zapis z kamery. Zwróć uwagę na czas: czwarta trzydzieści trzy. A więc Seth miał już dość czasu, by pokonać drogę ze szkoły na dworzec. - Kliknęła myszką, a program zaznaczył jedną z postaci w tłumie na stacji. Reszta ludzi wtopiła się w szare tło. Kolejne kliknięcie wyostrzyło cały obraz.

- Sądzę, że to właśnie jest Seth.

- I masz rację. Kathy pokazała mi dziś po południu jakieś nagrania z Sethem. Na moje oko to on, bez dwóch zdań. No więc, gdzie go poniosło?

Kolejne kliknięcia myszką. Stacey zmontowała naprędce ujęcia z kilku kamer obrazujące spacer Setha po dworcowym holu. Gdy minął kawiarnię Costa Coffee, nagle zniknął im z oczu.

- Gdzie on się podział? - dziwiła się Paula.

- Kamery nie monitorują miejsca pomiędzy Costa Coffee a Simply Food. Jest tam przejście prowadzące na parking. Sądzę, że właśnie tam się z kimś spotkał i razem odjechali.

- Cholerny pech! - wyjęczała Paula.

- Myślisz, że to kwestia pecha?

- A niby czego?

- Raczej kogo. Kogoś, kto dokładnie wie, gdzie są kamery i co widzą.

Zapadła długa cisza. W końcu przerwała ją Paula:

- Ciekawa koncepcja.

- Wiem. Ale szczęście w nieszczęściu, że ten ktoś nie jest tak sprytny, za jakiego się uważa. - Stacey wcisnęła parę klawiszy na klawiaturze i drugi monitor nagle ożył. Przez kilka sekund leciało na nim czarno-białe nagranie. Stacey włączyła pauzę i kliknęła myszką. Program ponownie oznaczył postać podobną do Setha. - Myślę, że to znów nasz dzieciak.

- Możliwe.

- Właściwe miejsce i czas. W sumie to mógł być ktokolwiek. Ale skoro parametry się zgadzają, przyjmijmy na chwilę, że to rzeczywiście Seth. A teraz spójrz. - Kolejne kliknięcie myszką zaznaczyło drugą postać. Widać ją było tylko w połowie, resztę zasłaniała witryna sklepu spożywczego Simply Food. A kamera ujmowała ją z tyłu, więc nie widać było nawet kawałka twarzy. Ale bez wątplenia ta postać trzymała rękę na ramieniu domniemanego Setha.

- To nasz zabójca! - wykrzyknęła Paula, czując, że wzbiera w niej euforia, jak u dzikiego kota, który zwietrzył zapach krwi.

- Tylko co z tego? Może uda nam się określić jego wzrost. Wiemy tyle, że ma włosy za ramiona, choć równie dobrze może to być peruka. I na tym koniec.

- A szukałaś go na innych nagraniach?

Stacey westchnęła.

- Wiem, że macie mnie za magika, ale nie wyciągnę wam królika

z kapelusza. To jak szukanie igły w stogu siana. Próbowałam już, ale to robota dla rzeszy ludzi. A przecież się nie sklonuję.

- Mimo to możemy przynajmniej zwrócić się z apelem do mieszkańców. Znamy już dokładny czas i miejsce. Może jednak znajdzie się jakiś świadek.

Paula objęła Stacey ramieniem i uściskała.

- Jesteś naprawdę fenomenalna. - Spojrzała w kierunku Elinor, która przeglądała właśnie jakieś kartki na biurku Kevina. - Ta kobieta to prawdziwy wirtuoz klawiatury, Elinor.

- Ktoś musi. Całe szczęście, że nie pracuje po drugiej stronie barykady. Dobra robota, Stacey! - Wyraźnie rozkojarzona Elinor spojrzała znad papierów, a między jej brwiami pojawiła się zmarszczka. - Specjalnie nie ujawniliście mediom, że te ofiary są ze sobą powiązane?

Do Pauli nie dotarło znaczenie słów Elinor.

- Wiemy, że łączy je ten sam modus operandi sprawcy. Przecież już rozgłosiliśmy, że uważamy, iż za tymi zabójstwami stoi ten sam człowiek.

Elinor pokręciła głową zniecierpliwiona.

- Nie o to mi chodzi. Mam na myśli, że łączą je więzy krwi. Stąd przymiotnik „spokrewniony”.

- O czym mowa? Przecież nie są krewniakami. Skąd taki pomysł?

Elinor podniosła dwie kartki papieru.

- To są ich profile DNA, tak?

- Jeśli tak stoi w nagłówku. To standardowa procedura. Analizujemy geny każdej ofiary zabójstwa. - Paula w te pędy podeszła do Elinor, a w ślad za nią ruszyła Stacey.

Elinor nie odrywała oczu od kartek, przenosząc wzrok to na jedną, to na drugą.

- Jeśli w laboratorium czegoś nie pokręcili, to te dwa dzieciaki są blisko spokrewnione. To trochę nie moja parafia. Ale, moim zdaniem, to albo kuzyni, albo przyrodnie rodzeństwo.

## ROZDZIAŁ 35

Nigel Barnes siedział za stołem, ze splecionymi rękoma na blacie, wielce niepokieszony. Według słów sierżanta z aresztu, oskarżony wkurzył się nie na żarty, bo współnikowi od prawa karnego w kancelarii prawniczej, której Barnes był stałym klientem, nie chciało się samemu pofatygować do niego o wpół do jedenastej w nocy. W zamian przysłał mu do pomocy świeżo upieczzonego młodszego podwładnego. Jego adwokat sprawiał wrażenie człowieka, który rozpaczliwie próbuje ukryć niedostatek wiedzy.

Ledwie Sam i Carol zdołali zasiąść po przeciwnej stronie stołu, prawnik zaczął trajkotać.

- Nie potrafię zrozumieć, dlaczego mój klient w ogóle się tu znalazł, a tym bardziej jako aresztant. Jeśli dobrze zrozumiałem, to udało się państwu odnaleźć jego żonę i dziecko zaginione przed czternastu laty. I zamiast pozwolić mojemu klientowi na żałobę po ich przykrym odejściu z tego świata, zaciągnęliście go do aresztu, posiłkując się wydumаныmi zarzutami...

- Nie wysunęliśmy jeszcze żadnych oskarżeń wobec pana klienta - odparł Sam, majstrując przy magnetofonie nagrywającym przebieg przesłuchania. Gdy ten bipnął, oznajmiając, że już rejestruje dźwięk, Sam wyrecytował imiona, nazwiska i funkcje obecnych. - Kilka dni temu...

- Dla potrzeb nagrania chciałbym w tym miejscu oficjalnie zaprotestować przeciwko skandalicznemu traktowaniu, z jakim spotkał się mój klient. Powinno mu się dać czas na przyswojenie tych strasznych wieści, a państwo potraktowali go jak zwykłego kryminalistę.

- Przyjeliśmy do wiadomości - stwierdziła Carol znużonym głosem.

Sam zaczął ponownie.

- Kilka dni temu z Wastwater w regionie Lake District wydobyto szczątki trzech osób. Jak się okazało, rzeczony szczątki należały do mężczyzny, kobiety i małego dziecka. Ich ciała odkryto dzięki informacjom wydobytym z komputera ukrytego za podwójną ścianą w domu, który należał do pana, panie Barnes. Domu, w którym mieszkał pan z żoną Danutą i córeczką Lynette.

Barnes pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- Karty dentystryczne dowodzą, że ciało kobiety należało do pana żony. Testy DNA potwierdzają, że znalezione szczątki dziecka to zwłoki jej córki Lynette. A inne dowody materialne wskazują, że trzecie ciało należałoby przypisać niejakiemu Harry'emu Simowi. Z którym pan i pańska żona pracowaliście razem w banku Corton's.

Twarz Barnesesa nie zdradzała żadnych emocji.

- Nie widzę na pańskiej twarzy wyrazu smutku, panie Barnes. - Carol stwierdziła dyplomatycznie. - A przecież mówimy tu o pana żonie i dziecku. Do tej pory jedyną emocjonalną reakcją, którą pan zademonstrował, była szczególna i nieukrywana niechęć do pojawienia się na komendzie.

- To działo się tak dawno, pani inspektor - odparł Barnes przesadnie słodkim głosem. - Przez ten czas zdążyłem już pogodzić się ze stratą.

- I nie zastanawia pana, jakim sposobem pańska żona i córka znalazły się na dnie Wastwater w towarzystwie innego mężczyzny? - nie dowierzał Sam.

Barnes spojrział w dół, uważnie przypatrując się dłoniom.

- Powtórzę to, co powiedziałem wiele lat temu pańskim kolegom. Danuta ode mnie odeszła. Zostawiła mi liścik, w którym napisała, że między nami koniec, że kocha innego. Nie miałem pojęcia, w kim się zakochała ani dokąd wyjechała. Teraz przynajmniej wiem, że chodziło o Harry'ego Sima.

- Spojrzął Samowi w oczy, ale szybko odwrócił wzrok. - Wtedy byłem do

cna zrozpaczony. Do gruntu przybity. Ale musiałem się w końcu otrząsnąć i przestać żyć przeszłością.

- I nie wiedział pan, że pańscy bliscy nie żyją?

Oblicze Barnes'a wykrzywił grymas, który w zamierzeniu miał zapewne wyrażać nagły przypływ długo uspiętego bólu. Ale Nigel był słabym aktorem.

- Nie - przekonywał podejrzany.

- Bo, widzi pan, tak się składa, że jedna osoba była przekonana, że spotkał ich marny los. Angela Forsythe. - Sam dramatycznie zawiesił głos.

Śledczym nie umknęło to, że Barnes mocniej splótł dłonie. Głęboko westchnął.

- Angela nie jest zbyt zrównoważoną kobietą. Nigdy za mną nie przepadała. Nieraz się nawet zastanawiałem, czy czasem sama nie podkochuje się w Danucie.

- Ale okazuje się, że miała rację. A może też nie myliła się co do drugiej części swojej teorii.

Adwokat pochylał się nad stołem, jakby nagle przypomniał sobie o swoich obowiązkach.

- Pyta pan czy stwierdza, sierżancie?

Sam się uśmiechnął.

- Właśnie do tego zmierzam. Angela twierdzi, że Danuta pana nie zostawiła. Według niej zginęła z pana ręki. Podobnie jak Lynette.

Barnes wydał z siebie odgłos, który niemal przypominał śmiech.

- To rojenia wariatki! Fakt, że znaleźliście Harry'ego Sima wraz z nimi w jeziorze, dowodzi poza wszelką wątpliwość, że Danuta ode mnie odeszła.

- Niekoniecznie - zauważyła Carol ospałym głosem. - Ten fakt dowodzi tylko tego, że ciało Harry'ego Sima zatopiono w tym samym czasie co zwłoki Danuty i Lynette.

- I dochodzimy do sedna sprawy. - Sam płynnie przejął pałeczkę. - Zaraz damy panu szansę, by mógł pan nam wyłuszczyć swoje teorie, że to musiał być jakiś pakt samobójców albo że szalony Harry Sim uprowadził Danutę i Lynette i zabił je, a potem siebie. Ale wpierw powinienem wyjaśnić, że

zebrane przez nas dowody nie pozostawiają wątpliwości co do jednej kwestii. Takiej mianowicie, że niezależnie od tego, jakim sposobem cała trójka znalazła się na dnie, z pewnością ktoś im w tym pomógł. Ktoś zawiązał ich ciała w worki, przywiązał do nich trochę kamieni i zatopił w jeziorze. I to byłś ty, co, Nigel?

- To już zakrawa na kpinę! - obruszył się adwokat. - Czy macie w ogóle jakieś dowody na poparcie swoich... hm, przypuszczeń? A może po prostu lubicie się znęcać nad Bogu ducha winnymi ludźmi?!

Sam otworzył teczkę, która leżała przed nim na stole.

- Wspomniałem już o komputerze. Ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby sformatować twardy dysk. Ale nasi eksperci zdołali odzyskać całkiem sporo danych. Na przykład tu - wskazał na wydruk - mamy spory fragment opisujący możliwe sposoby zaczadzenia. A w innym pliku znaleźliśmy dokładny opis drogi dojazdowej do Wastwater, wzmiankę o jego oddaleniu od ludzkich skupisk oraz informację o głębokości tego jeziora. Przypominam, że ten komputer znaleziono w twoim niegdysiejszym domu, Nigelu.

- Przecież każdy mógł go tam podłożyć. - Barnes nie dał się wyprowadzić z równowagi.

- A po cóż ktoś miałby to robić? - zapytała dobrotliwie Carol, z udawanym zainteresowaniem.

Barnes rozplótł ręce i przegarnął gęste włosy.

- By mnie wrobić, rzecz jasna.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego, jeśli naprawdę ktoś chciał pana pogrążyć, zadałby sobie tyle trudu, by podłożyć obciążające pana dowody, a potem nie powiadomiłby policji - zauważyła Carol. - To wydaje się trochę niedorzeczne.

- Znajdziemy na komputerze twoje DNA - ciągnął Sam. - W tej chwili sprawdzamy rachunki dostawcy sprzętu. I jestem pewien, że pokażą, że to twój komputer, Nigelu. Z tego akurat nie wykręcisz się sianem.

Zaległa cisza, którą po dłuższej chwili przerwał Barnes.

- Może to zapiski samej Danuty. Bardzo się zmieniła po narodzinach dziecka. - Wzruszył jednym ramieniem. - Kobiety i te ich hormony. - Prychnął. - Czasem im po prostu odbija.



- Powiem wam, co moim zdaniem zaszło. - Sam nie dawał za wygraną. Adwokat pokręcił głową.

- Nie. Nie sądzę, sierzancie. Nie macie żadnych dowodów. Na ślepo zarzucacie przynętę, próbując łapać mojego klienta za słówka. A ja mówię: sprawdzam! Albo w końcu postawicie mojemu klientowi jakieś zarzuty, albo wychodzimy!

- Nie - zdecydował Barnes, kładąc dłoń na ramieniu adwokata. - Pozwólmę mu mówić. Posłuchajmy, co ten człowiek sobie ubzdurał. W końcu, jak to mówią, kto zawczasu ostrzeżony, na czas uzbrojony.

Sam zebrał się w sobie, przypominając sobie radę Tony'ego: Masz jedną szansę, jedną jedyną. I właśnie teraz trzeba było ją wykorzystać. Teraz albo nigdy.

- Sądzę, że zabiłeś całą trójkę. Zgaduję, że podałeś im środki nasenne, a gdy stracili przytomność, odkręciłeś kurek w kuchence albo coś w tym stylu i zmarli na skutek zaccadzenia. Potem pozbyłeś się ciała. Harry był twoim kozłem ofiarnym. Gdyby odnaleziono ciała, to wraz z dowodem, że Danuta miała kochanka. I w ten sposób znalazłbyś się poza podejrzeniem.

- Gdybym rzeczywiście był tak sprytny, to czy nie upozorowałbym tych zbrodni, żeby wyglądały na zabójstwo i samobójstwo? - wytknął mu Barnes.

Sam przytaknął.

- Od początku coś mi tu nie pasowało. Ale kiedy rozmówiłem się z Angelą, zrozumiałem, że nawet takie półgłówki jak my szybko pomiarkowałyby, że to nierealny scenariusz, gdy tylko usłyszelibyśmy, jakim żalonym nieudacznikiem był Harry. Danuta nigdy, przenigdy by z nim nie uciekła. Nawet pod wpływem hormonów buzujących w niej po narodzinach dziecka. Musiałeś więc obmyślić sobie plan B.

- Fascynujące - przyznał Barnes. - A jakież to niby plan, hm?

Sam wyszczerzył się.

- Masz zamiar przyznać się do pozbycia się ciała, czyż nie? Chcesz opowiedzieć nam, jak to podejrzewałeś, że Harry uprowadził ci żonę i córeczkę, więc ruszyłeś im na ratunek, znalazłeś jego przyczepę, ale w środku

natknąłeś się jedynie na trzy ciała, najwyraźniej zmarłe z powodu nieszczelnej kuchenki turystycznej. Będziesz się tłumaczyć, że byłeś wtedy w głębokiej rozterce. Bo nie miałeś dowodów, że naprawdę Harry porwał ci rodzinę. A zdążyłeś już powiedzieć policji, że cię zostawiła. Niewykluczone, że pomyślelibyśmy, że pojechałeś do Harry'ego, powodowany zazdrością, i w amoku zabiłeś całą trójkę, a potem upozorowałeś ten czyn na nieszczerliwy wypadek. Będziesz więc nas przekonywał, że pod wpływem impulsu postanowiłeś pozbyć się ciała.

Barnes ryknął śmiechem, tyleż głośnym, co sztucznym.

- W życiu nie słyszałem większych bredni!

Adwokat odsunął krzesło do tyłu, próbując wstać.

- Co racja, to racja. Koniec z tym. To bezczelne pomówienia. Nie będziemy wysłuchiwać tych bzdur ani chwili dłużej.

Carol nachyliła się nad magnetofonem i powiedziała:

- Przesłuchanie przerwano o dwudziestej drugiej pięćdziesiąt siedem. - Wyłączyła urządzenie.

- To nie pomówienia - stwierdził Sam tonem pozbawionym wcześniejszej subtelności. - To bezsporne, nagie fakty. Nie damy za wygraną, Nigelu. Będziemy wciąż węszyć. Przewrócimy każdy kamień. Weźmiemy pod lupę całe twoje życie. Jutro świat dowie się o naszym odkryciu, a Angela będzie łakomym kąskiem dla prasy. W tej chwili kompletuje szereg byłych współpracowników z Cortón's, którzy chętnie potwierdzą, że Harry był dupą wołową, a nie żadnym gorącym lowelasek. Że był praktycznie autystyczny. Wszyscy jak jeden mąż będą się głośno zastanawiać, jak okropnie Danuta musiała się z tobą męczyć, skoro wolała żyć na kocią łapę z Harrym Simem na kempingu, niż dłużej cię znosić. Tylko pomyśl. Jak nędzne to musiało być życie, skoro odpowiedzią na jej bolączki był Harry? A potem zaczną się domysły. Czy naprawdę uciekła z Harrym? Kto utopił te ciała w jeziorze?

Barnes wstał, spuścił luźno ręce i kurczowo zacisnął dłonie. Wyraźnie tracił rezon, niczym aktor, który zapomniał tekstu i musiał improwizować.

- Nie możecie tego zrobić!

- Przecież my nic nie robimy. Nawet nie przyłożymy do tego ręki. - Sam

udawał niewiniątka. - My tylko będziemy nachodzić wszystkich twoich znajomych i wypytywać o ciebie i o Danutę. Twoich przyjaciół, współpracowników, klientów. Nie jesteś taki znowu sprytny, Nigelu. Znadto pogmatwałeś sprawę i w konsekwencji sam się w nią zaplątałeś. Powinieneś po prostu zostawić ich w przyczepie z tym felernym piecykiem. Ale nie! Za wszelką cenę chciałeś zgrywać mądrałę. I przedobrzyłeś - stwierdził sarkastycznie.

Barnes rzucił się na Sama, ale uderzył o biodro swojego adwokata i stracił impet.

- Nic na mnie nie macie! - krzyknął.

- Do czasu - odparł spokojnie Sam. - Bo naprawdę nie jesteś takim spryciarzem, za jakiego się masz. A kiedy głupcy próbują udawać mądrych, zawsze popełniają błędy. - Odwrócił się do Carol.

- Jak myślisz, Carol, czym się Nigel woził przed czternastu laty? Pewnie jakimś cackiem. Mercedes, bmw itepe. Niewykłuczone, że wóz wciąż jest na chodzie. Te renomowane maszyny niełatwo zajeździć.

Carol udąła, że się zastanawia.

- Wyciągi z kart kredytowych, Sam. Musiał przecież gdzieś tankować. Możliwe, że uda nam się namierzyć gdzie.

- Ewentualnie możemy zwyczajnie oświadczyć mediom, że przesłuchaliśmy jej męża i nie mamy innych podejrzanych w związku z niejasnymi okolicznościami śmierci Danuty Barnes, Lynette Barnes i Harry'ego Sima. No bo skoro i tak nie ustaliliśmy sprawcy, to chyba lepiej zająć się czymś innym.

- Grozi pan mojemu klientowi? - zapytał prawnik z taką nieśmiałością, która nie dawała Samowi i Carol powodów do obaw.

- A niby jak stwierdzenie prawdy może stanowić groźbę? - Carol przybrała minę niewiniątka. - Zgadzam się z Samem. Tak będzie najlepiej dla wszystkich. Przesłuchaliśmy męża, o tobie mowa, Nigelu, gdybyś przypadkiem zapomniał przez te wszystkie lata, i nie mamy innych podejrzanych. - Uścisnęła prawicę Sama.

- I po sprawie. Czasem warto zdać się na osąd opinii publicznej.

Barnes spojrzął wściekle na adwokata.

- Zrób coś! To skandal! Uwzięli się na mnie. To już podchodzi pod prześladowanie!

Sam wiedział, że prawnik niewiele może zrobić lub powiedzieć. Przez całe przesłuchanie on i Carol mieli się na baczności, by nie przeholować. Specjalnie wstrzymał się z odpowiedzią, by zagęścić atmosferę. Gdy powietrze można już było kroić nożem, Barnes nie wytrzymał i przeganiał włosy.

Dopiero wtedy odezwał się Sam, prawie szeptem:

- Oczywiście, gdybyś przyznał się do planu B, sprawy mogłyby się potoczyć inaczej.

- Uważam tę uwagę za dalece niestosowną - wydukał niepewnie prawnik.

- To może wraz ze śledczym Evansem pójdziemy na kawę i damy wam czas do namysłu? - zapytała, a właściwie stwierdziła, bo zaraz potem ruszyła do drzwi. Sam poszedł w jej ślady.

Śledczy nie odezwali się do siebie nawet słowem, póki nie wyszli poza próg aresztu. Gdy znaleźli się poza izbą zatrzymań, Sam przykucnął, chowając twarz w dłoniach.

- A tak bardzo chciałem go przyskrzynić! - rzekł stłumionym głosem. - Przecież to jasne, że zabił ich z zimną krwią!

- Wiem. Ale sądzę, że przyzna się do pozbycia się ciała i w konsekwencji utrudniania pracy policji. Zapewne wybierze pewnik, czyli odsiadkę. Inaczej musiałby żyć w niepewności, czy ludzie nie będą go czasem wszędzie wytykać palcami. - Carol przykucnęła przy nim i położyła mu dłoń na ramieniu, próbując go pocieszyć. - Zawsze to jakieś zwycięstwo.

- Raczej pyrrusowe. Bo smakuje jak porażka.

- Mnie też to nie w smak. Nie pierwszy raz zresztą. Ale czasem trzeba się zgodzić na mniejsze zło. Najważniejsze, że sprawa zamknięta, Sam.

Odchylił głowę i westchnął.

- Zawsze powtarzasz, że przemawiamy w imieniu zmarłych. Ale czasami zdaje mi się, że nawet jak krzyczymy, to zdecydowanie za cicho.

## ROZDZIAŁ 36

Wrzawy, która dzisiejszego ranka panowała niepodzielnie w sali sztabowej SPC, nie sposób było pomylić z żadną inną. Carol doskonale знаła ten zaraźliwy entuzjazm, który niczym epidemia optymizmu szerzył się wśród jej ekipy tylko wtedy, gdy zbliżali się do przełomu w sprawie. Odebrany wczoraj w nocy telefon od Pauli zwiastował nowy etap w śledztwie. Carol postanowiła zwołać naradę na godzinę siódmą rano, bo i tak nikt nie mógł się doczekać, aż weźmie się do roboty, z werwą tropiąc zabójcę nastolatków. Fakt, że Nigel Barnes w końcu zdecydował się przyznać do pozbycia się ciała w odmętach Wastwater, był jedynie miłą premią od losu.

Zebrali się wokół stołu, każdy z nieodzownym kubkiem kawy. Już mieli zacząć bez Tony'ego. Ten jednak wpadł w ostatniej chwili.

- Bez VIP-a zabawa: lipa - zaświergotał radośnie, sięgając po najbliższe krzesło i kładąc przed sobą stos kartek. Rozejrzał się wokół z udawanym zdziwieniem. - A gdzie wasz nowy kolega?

- Niestety, sierżant Parker dostał nagle i niespodziewane wezwanie ze szkoły policyjnej - odezwała się Carol, ganiąc Tony'ego wzrokiem. - Jesteśmy więc skazani na ciebie.

- Witamy z powrotem, doktorku! - zakrzyknął wesoło Kevin.

Odpowiedział mu chór głosów - każdy chciał się przywitać.

Głos Carol sprowadził ich na ziemię.

- Może w końcu przeslibyśmy do rzeczy? - Uspokoił się, więc zaczęła: - Poczyniliśmy właśnie pewien postęp w śledztwie. Paula, czy mogłabyś wyjaśnić, jak do tego doszło? - Carol wymownie spojrzała na Paulę, unosząc brew. Już wcześniej dała podwładnej wyraźnie do zrozumienia, że

choć z zadowoleniem przyjęła przełom w śledztwie, to nie podobało jej się, że wprowadziła osobę z zewnątrz w kulisy ich niejawnego dochodzenia.

Paula mówiła tak, jakby recytowała wcześniej przećwiczoną relację.

- Wczoraj późną nocą pojawiłam się na komendzie w towarzystwie doktor Elinor Blessing...

Plan spalił jednak na panewce, gdy jej koledzy zaczęli wyć i gwizdać. Carol wiedziała, że chcieli w ten sposób rozładować stres, więc pozwoliła im się wyszaleć. Zresztą, Paula sama była sobie winna.

- A nie było wolnych pokoi na mieście? - niewinnie zapytał Kevin.

- Bardzo zabawne. Normalnie boki zrywać - rzuciła Paula, przyjmując te docinki z przymrużeniem oka. Może i odkrycie Elinor wyprało poprzednią noc z resztek romantyzmu, ale Paula wciąż była nabuzowana. Tyleż z powodu wczorajszego spotkania, co z niewyspania.

- Niektórzy z was mogą pamiętać doktor Blessing z czasów sprawy Robbiego Bishopa. Warto przypomnieć, jak bardzo nam wtedy pomogła.

Zebrani znów zaczęli wyć i wymieniać porozumiewawcze spojrzenia.

- Wygląda na to, że znów wyratuje nas z opresji - przerwała im Paula, po czym skinęła w stronę Stacey.

Chen wcisnęła kilka klawiszy na klawiaturze leżącego przed nią webbo-oka. Rzutnik wyświetlił na ekranie z białego materiału doskonale znane wszystkim obecnym paski analizy DNA.

- Po lewej macie DNA Daniela. A po prawej Setha. Jeśli uważniej im się przyjrzyście, dostrzeżecie znaczne podobieństwo. - Stacey zaznaczyła odpowiednie fragmenty. - Zdaniem doktor Blessing, ta zbieżność wskazuje, że Daniel i Seth byli spokrewnieni.

Stacey znów wcisnęła kilka klawiszy, a na ekranie pojawiła się druga para pasków DNA.

- Jennifer i Niall - wytłumaczyła Paula. - Ta sama analogia. - Stacey oznaczyła stosowne fragmenty kodu. - O drugiej nad ranem wyciągnęłam z łóżka doktora Szatałowa, by zasięgnąć drugiej opinii. I zgodził się z Elinor.

Przedzwonił nawet do jakiejś ekspertki z uniwerku. Również jej zdaniem, cała czwórka ofiar to przyrodnie rodzeństwo - ciągnęła Paula.

- Twierdzisz, że ich matki miały romans z tym samym facetem i zaszły z nim w ciążę? W ciągu jednego roku?! - nie dowierzał Kevin. - Pogięło cię?

- Tego nie twierdzę. To chyba jasne. A przynajmniej... dla lesbijki. - Paula uśmiechnęła się ironicznie. - To musiały być sztuczne zapłodnienia spermą dawcy. Tylko takie wyjaśnienie brzmi sensownie. Tym bardziej że wiemy już przecież, że Seth to dziecko dawcy.

Zapadła grobowa cisza, zebrani byli w ciężkim szoku. Nagle Tony pochylił się nad stołem.

- Złe nasienie - rzekł zagadkowo. - Koniec rodu. Do tego zmierza nasz sprawca. Nie zabija ich, bo są do niego podobni. Tylko dlatego, że są jego dziećmi.

Inspektor Patterson wiedział, że obowiązku przeprowadzenia tej rozmowy nie może zlecić komuś innemu. Skoro wcześniej uznał, że Maidmentowie zasługują na to, by osobiście poinformował ich o śmierci córki, nie mógł odmówić im tej samej uprzejmości także i tego poranka, gdy pewne bardzo intymne pytanie domagało się odpowiedzi. Przy odrobinie szczęścia tak wcześnie rano zastanie w domu oboje rodziców Jennifer.

Drzwi otworzył mu Paul Maidment. Był już ubrany i ogolony. Gdyby nie martwe oczy, wyglądałby jak każdy odnoszący sukcesy biznesmen wyszykowany do rozpoczęcia nowego tygodnia zawodowych wyzwań.

Gdy zobaczył Pattersona, skinął głową i westchnął.

- Proszę wejść - zaprosił głosem tak samo martwym jak jego oczy.

Patterson wszedł za nim do kuchni. Przy stole siedziała Tania Maidment, opatulona w szlafrok. Włosy miała w nieładzie, potargane i odkształcone od poduszki. Jej oczy otaczały głębokie cienie. Palila i z pewnością nie był to jej pierwszy papieros od czasu pobudki.

- Złapaliście w końcu tego skurwysyna? - zapytała stanowczo, gdy spostrzegła Pattersona.

- Niestety, jeszcze nie - wyjaśnił, stojąc na progu. Nikt nie zaproponował mu, by usiadł. - Ale poczyniliśmy pewne postępy.

- Postępy?! - wybuchnął Paul. - A co to znaczy, do cholery?

Patterson nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Żałował, że Ambrose mu nie towarzyszył. Przydałoby mu się teraz wsparcie tej chodzącej góry niezachwianej pewności siebie.

- Muszę zadać państwu pytanie dotyczące Jennifer - powiedział. - Rozumiem, że to sprawa delikatnej natury, ale musimy poznać odpowiedź.

Tania prychnęła.

- Myślałam, że nasze życie prywatne nie ma już przed wami żadnych tajemnic, skoro od tyłu dni włączcie w nie z buciorami. Masz pojęcie, jak trudno pielęgnować pamięć po dziecku, gdy policja i media cały czas rozgrzebują jego życie?

- Przykro mi - bronił się Patterson. - Ale naprawdę potrzebujemy tych informacji. - Kołnierz koszuli zaczął go uwierać, jakby nagle się skurczył. - Czy Jennifer poczęto w wyniku sztucznego zapłodnienia?

Tania odsunęła krzesło od stołu tak gwałtownie, że jej stopy głośno zaszurały o kafelki. Zerwała się na równe nogi, nie posiadając się z gniewu.

- A jakie to ma znaczenie, do cholery?! Chryste, czy już nie ma na tym świecie żadnych świętości?!

Paul pospieszył do żony i objął ją ramieniem. Odwróciła się do niego, uchwyciła mocno koszulę w dłoń i zaczęła uderzać rytmicznie w klatkę męża.

- Tak - przyznał Paul, tuląc żonę, a łzy zaczęły mu napływać do oczu. - Marzyliśmy o dziecku z naszej krwi i naszych kości. Próbowaliśmy. - Westchnął. - Długo się staraliśmy. Potem poddaliśmy się badaniom. Okazało się, że strzelam ślepakami. Zwróciliśmy się więc o pomoc do kliniki leczenia bezpłodności w Birmingham. I Tania zaszła w ciążę już za drugim podejściem.

Tania odwróciła zalaną łzami twarz w stronę Pattersona.

- Paul zawsze traktował ją jak własną córkę.



- Bo nią była - stwierdził stanowczo. - Nawet przez myśl mi nie przeszło, że mógłbym ją traktować inaczej.

- Czy Jennifer знаła prawdę? - dopytywał się Patterson.

Paul odwrócił wzrok.

- Nie zdążyliśmy jej powiedzieć. Gdy była mała, początkowo planowaliśmy, że któregoś dnia jej to wyjaśnimy. Ale...

- Ale to ja postanowiłam, że jednak jej nie powiemy - dokończyła Tania. - Bo i po co? Dopasowaliśmy dawcę do Paula, by była choć trochę podobna do mojego męża. Tylko my znaleźliśmy prawdę, więc nikt z rodziny nie mógł się przypadkowo wygadać.

Tym samym odpowiedziała na pytanie, które Patterson właśnie miał zadać.

- Dziękuję za szczerość - powiedział tylko.

- A dlaczego akurat teraz pan o to pyta? - zaciekał się Paul.

- Bo to może zaważyć na ocenie wątku śledztwa, który obecnie rozpatrujemy.

- Chryste! Czemu wciąż ukrywa się pan za policyjnym żargonem? - obruszyła się Tania. - Idź sobie... Proszę.

Paul odprowadził Pattersona do drzwi.

- Przepraszam za żonę - powiedział.

- Nie ma za co.

- Żona nie czuje się najlepiej.

- Zauważyłem. I pragnę zapewnić, że robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby znaleźć tego bydlaka.

Paul otworzył drzwi.

- Wiem. Ale ją martwi to, że wasze wysiłki mogą się okazać niewystarczające.

Patterson przytaknął.

- Mnie również spędza to sen z powiek. Ale nie mamy zamiaru się poddać, panie Maidment. I naprawdę posuwamy sprawę do przodu.

Patterson wrócił do auta, przez całą drogę czując na sobie spojrzenie pogrążonego w smutku ojca Jennifer. Wiedział, że niezależnie od wyniku śledztwa, dla Tani Maidment żadne rozstrzygnięcie nie będzie wystarczająco dobre. Bo nie wróci jej córki. Patterson był dostatecznie samolubny,

by w duchu dziękować losowi, że nie musi przeżywać podobnego koszmaru.

Paula bez skutku dobijała się do Mike'a Morrisona. Chciała już dać za wygraną, ale właśnie wtedy otworzyły się drzwi. Mike miał na sobie tylko podkoszulkę i bokserki, a w sobie - najwyraźniej nie mało alkoholu, bo potwornie nim zalatywał. Spojrzał na Paulę oczami zapuchniętymi od niewyspania.

- Ach, to znowu ty - burknął. Odwrócił się na pięcie i wrócił do mieszkania.

Paula uznała to za zaproszenie i ruszyła w ślad za nim, do salonu, a raczej tego, co po nim zostało. Z boku jednej z kanap walał się szereg pustych butelek po whisky. Na stoliku obok stało rządkiem siedem kolejnych butelek słodowej odmiany tego trunku, których zawartość wahała się od niemal pełnych do prawie pustych. Przy nich leżała klejąca się od alkoholu szklanka. Morrison sięgnął po szklanicę i ciężko opadł na kanapę. Przykrył nogi leżącą z boku kołdrą. W pokoju było zimno, był więc niedawno wietrzony, lecz mimo to wciąż unosił się tu zaduch zwietrzałego alkoholu i męskiego potu. Paula starała się niepostrzeżenie oddychać przez usta.

Jej uwagę przykuł ekran telewizora. Na stopklatce Daniel i jego matka w kombinezonach narciarskich uśmiechali się do kamery. W tle majaczyły ośnieżone szczyty gór. Morrison nalał sobie trochę whisky i podążył wzrokiem za spojrzeniem Pauli.

- Cuda współczesnej technologii. Pozwalają przywrócić ich do życia - wybełkotał.

- To niezbyt dobry pomysł, Mike - skomentowała łagodnym głosem.

Zaśmiał się histerycznie.

- Tak uważasz? A co mi pozostało? Kochałem żonę. Syna też. Wszystko, co było mi bliskie, poszło w pizdu!

Trudno było się z tym nie zgodzić, pomyślała Paula. W tym momencie powzięła decyzję, że zadzwoni do jego lekarza rodzinnego. I do kolegów z pracy. Może będą wiedzieli, z kim się przyjaźnił. Nie mogła po prostu machnąć ręką na jego cierpienia. Inaczej Mike mógłby szybko dołączyć do swojej rodziny w zaświatach.

- Muszę cię o coś zapytać - przeszła do rzeczy.  
- A po cholere? Czy to coś zmieni? Przecież nie możesz wrócić im życia!  
- Zgoda. Ale możemy przynajmniej się postarać, by ten skurwiol nie rozbił kolejnej rodziny.

Morrison ryknął śmiechem bliskim rehotowi szaleńca.

- Sądzisz, że po tym wszystkim w ogóle obchodzi mnie los innych ludzi?

- Tak, Mike. Właśnie tak myślę. Porządny z ciebie gość, więc nie chcesz, by ktokolwiek przeżył ten sam koszmar.

Jego oczy zaszklily się łzami, ale otarł je szybko wierzchem ręki. Wziął kolejny łyk whisky i rzekł:

- Pierdol się. Zadaj pytanie.

Cel. Pal. Kryć się!

- Czy poddawaliście się leczeniu bezpłodności, gdy staraliście się o dziecko?

Już miał pociągnąć kolejnego łyka, ale zawiesił szklankę w powietrzu.

- Skąd o tym wiesz, do kurwy nędzy?

- Właśnie nie wiem. Dlatego pytam.

Pomasował pokrytą kilkudniową szczecina brodę.

- Jess kilka razy zaszła w ciążę, ale za każdym razem poroniła. Rozpaczliwie chciała mieć potomka. Mnie aż tak bardzo nie zależało. Ale nigdy nie potrafiłem jej odmówić. - Wydał wargi. - Była uczulona na moją spermę. Czaisz? Żyliśmy sobie jak gdyby nigdy nic, w przekonaniu, że byliśmy dla siebie stworzeni, a okazuje się, że przez cały nasz związek jej ciało mnie odrzucało. - Wlał w siebie jeszcze trochę whisky. - Ja chciałem machnąć na to ręką, ale ona się uparła. Poszliśmy więc do kliniki leczenia bezpłodności przy szpitalu Bradfield Cross i poprosiliśmy o spermę innego kolesia.

- Pewnie niełatwo było się z tym pogodzić.

- Kurewsko ciężko. Czuję się, jakby inny facet, no wiesz, tentegował moją żonę. - Podrapał się po głowie. - Rozum podpowiadał mi, że to nie tak, że to mój syn. Ale serce podszeptywało co innego.

- A co czułeś po narodzinach Daniela?

Jego wyniszczoną przez ból twarz rozświetlił tkliwy uśmiech.

- Zakochałem się w nim od pierwszego wejrzenia. A raczej krzyku. I zawsze kochałem go tak samo mocno. Ale przez cały czas tkwiła we mnie ta zadra, bo wiedziałem, że nie jest mój. Że nie jest ciałem z mojego ciała. Nigdy nie potrafiłem odgadnąć, co myśli. Kochałem go na zabój, ale w ogóle go nie rozumiałem. - Wskazał dłonią na telewizor. - I właśnie próbuję nadrobić zaległości. Trochę poniewczasie, nie?

Cóż było odpowiedzieć? Paula wstała i poklepała go po ramieniu.

- Będziemy w kontakcie. - Dawno już z jej ust nie padły bardziej banalne słowa.

- Przez to moje małżeństwo zaczęło się chylić ku upadkowi - stwierdziła z przekąsem Lara Quantick. - Sądziłam, że dziecko nas zbliży. Ale on zachowywał się jak dumny paw, który zorientował się, że w jego gniazdku znalazło się kukułcze jajo. Nienawidził Nialla, bo uważał go za dziecko innego mężczyzny. No i dlatego, że Niall cały czas przypominał mu o własnej ułomności. Idę o zakład, że nawet się nie zmartwił, że mi zabili syna.

Sam przytaknął, starając się okazać zrozumienie. Wyciągnął już od niej informacje, po które przyszedł. Potwierdzenie, że Niall Quantick był dzieckiem dawcy i że sperma biologicznego ojca pochodziła ze szpitala Bradfield Cross. Nie sądził, by Lara Quantick mogła mu się jeszcze na coś przydać. Musiał tylko znaleźć sposób, by się stąd wyrwać, zanim dałby się wciągnąć w wir powtórki z dziejów schrzanionego małżeństwa tej kobieci. Niemal współczuł jej byłemu. Mógłby się nawet założyć, że w trakcie każdej kłótni Laura otwarcie wypominała mu jego bezpłodność. Sam podniósł się i ruszył do wyjścia. Płacili mu w końcu za łapanie bandytów, a nie za wysłuchiwanie „urzekających” historii. Zresztą teraz centrum wydarzeń znajdowało się daleko od tej zapadłej dziury, w której pechowo utknął.

- Będziemy w kontakcie - pożegnał się, a jego myśli już błądziły wokół innego miejsca.

Ambrose od samego początku miał ambiwalentny stosunek do wprowadzonych przez rząd środków prawnych, które w założeniu miały pomóc w zwalczaniu terroryzmu. Jako policjant mógł tylko przyklasnąć wszelkim zmianom, które dawały mu do ręki kolejne narzędzia zwalczania panoszącej się na ulicach przestępczości. Ale jako czarnoskórego niepokoiła go każda innowacja ułatwiająca izolowanie i szykanowanie konkretnych mniejszości. Ta banda polityków, która dorwała się do koryta władzy, miała rzekomo „polityczne serce” po lewej stronie, a mimo to lekką ręką podpisywała się pod różnej maści represyjnymi przepisami. Aż strach pomyśleć, jak by to mogło wyglądać, gdyby nowe przepisy wcielała w życie władza, która za nic miałaby obywatelskie swobody. Wystarczy spojrzeć, ile krzywd wyrządziły Ameryce rządy Busha. A przecież ci za oceanem wypracowali o wiele więcej mechanizmów wzajemnej kontroli pomiędzy świętą trójcą demokratycznych władz niż na Wyspach.

Musiał jednak przyznać, że niektóre aspekty tego nowego prawa bardzo ułatwiały mu pracę. Może i czasem trzeba było nagiąć prawdę i wyolbrzymić niebezpieczeństwo grożące społeczeństwu ze strony pewnych ludzi. Ale dzięki temu śledczy uzyskiwali rozmaite informacje, do których dostęp wymagał wcześniej anielskiej cierpliwości i zebrania większej liczby dowodów niż te, które były akurat osiągalne. Przykładowo - lista pasażerów samolotu. Niegdyś, by nakłonić linie lotnicze do udostępnienia nazwisk pasażerów danego samolotu, trzeba było przejść przez istną gehennę. Najpierw długa batalia o wywalczenie nakazu od sędziego pokoju, który nie zawsze zgadzał się z tym, że potrzeba ustalenia tożsamości pasażerów góruje nad prawem linii lotniczych do zachowania poufności danych o klientach. A potem modlitwa, by przez ten czas lista pasażerów nie zniknęła z właściwego archiwum.

Jednak obecnie sprawa była prosta. Korzystasz z samolotu - automatycznie lądujesz w komputerowej bazie danych agencji bezpieczeństwa. A osoby pokroju Ambrose'a zwykle w końcu trafiały na życzliwego funkcjonariusza, który rozumiał doskonale, że łapanie przestępców było o wiele ważniejsze niż jakieś tam wydumane prawo do prywatności. Zwłaszcza

jeśli śledczy, tak jak Ambrose, starał się zaskarbić sobie przyjaciół, a nie narobić sobie wrogów.

Był akurat poniedziałek, gdy się okazało, że przyjacielska postawa Ambrose'a po raz kolejny opłacała się z nawiązką. Tego właśnie dnia Alvin dostał SMS-a z nieznanego numeru, który brzmiał: „TwojGoscNieWsiadl-NaPoklad.AniNiePrzebukowalLotu”.

Ambrose powinszował sobie „nosa”. Poprzedni dzień był całkiem owocny. Zanim nad Manchesterem opadła kurtyna mroku, zdążył wytypować kilku potencjalnych podejrzanych. Ale miał przecucie, że tym właściwym okaże się ten maniak od zabezpieczeń, a już szczególnie gdy jego dziewczyna pokazała im, jakim sprzętem dysponował. Jeśli ktokolwiek mógł osaczać ofiary przez sieć, to z pewnością właśnie Warren Davy. A niezależnie od tego, w jaką bajeczkę wierzyła Diane Patrick, jej chłopak z pewnością nie poleciał na Maltę. Czaił się gdzieś w pobliżu. Seryjny zabójca na fali, upojony swoją bezkarnością.

Najwyższa pora, by sam poczuł gorący oddech na plecach. Tym bardziej że Ambrose był pewien, że ten drań miał już na oku kolejną ofiarę.

Po frustrujących niepowodzeniach ostatnich dni Carol niemal skakała z radości, widząc, jak sprawnie spływają do niej nowe informacje. Wszystko zaczęło się łączyć w spójną całość, czuła więc dreszczyk emocji, zawsze towarzyszący myśliwemu, który po trudach i znojach polowania w końcu zwietrzył zapach upatrzonej zdobyczy. „Genowe” i genialne spostrzeżenie doktor Blessing wywróciło wszystko do góry nogami, potwierdzając wnioski Tony'ego, że te zabójstwa nie miały podłoża seksualnego.

Teraz wiedzieli już, że wszystkie cztery ofiary poczęto w wyniku sztucznego zapłodnienia. Trzy z czterech matek poddano stosownym zabiegom w klinice zaburzeń płodności przy szpitalu Bradfield Cross, a ostatnią z nich - w prywatnej klinice w Birmingham.

Następne kroki wypadało więc skierować do bradfieldzkiego szpitala. Problem w tym, że Carol nie miała zielonego pojęcia, jakich informacji może jej udzielić personel tamtejszej kliniki. Bardzo pobieżnie знаła prowadzącego dotyczące dawców spermy, ale wiedziała choć tyle, że w

czasach, gdy te dzieci przyszły na świat, wszystko odbywało się anonimowo.

Miała właśnie zadzwonić do Pauli, by wzięła płaszcz i do niej dołączyła, gdy zadzwonił telefon.

- Stuart Patterson z tej strony - rzucił pospiesznie, zanim sama zdążyła się przedstawić. - Alvin chyba znalazł naszego sprawcę.

- Ten twój sierżant, tak? Którego wysłałeś do Manchesteru?

- Ten sam. Wczoraj chodził od drzwi do drzwi, próbując szczęścia z tą naszą listą numerów rejestracyjnych. Wytypował kilku podejrzanych i jeden z nich... jego dziewczyna, która jest też jego współnikiem w interesach, powiedziała, że wyjechał na Maltę. Ale nie wyjechał. Co więcej, idealnie pasuje do profilu sprawcy. Prowadzą firmę, OPD, która zajmuje się zabezpieczaniem i przechowywaniem danych...

- Powoli, Stuarcie. - Carol aż zakręciło się w głowie od próby zrozumienia jego pokrętnych wywodów. - Co ma do tego Malta?

- Wybacz. Ja po prostu... to mi wygląda na pierwszą poważną szansę, wiesz? Wszystko zaczyna się splatać: portret psychologiczny, prozaiczna praca policyjna z pukaniem do drzwi w tle i technologia, i przynosić oczekiwane rezultaty. - Przez słuchawkę usłyszała, jak w końcu złapał głębszy oddech. - Od czego by tu... Już wiem. Jednym z aut, które wjechały do Worcesteru w dzień zabójstwa Jennifer Maidment, była toyota verso zarejestrowana na nazwisko niejakiego Warrena Davy'ego. Ten gość jest współwłaścicielem firmy OPD zajmującej się ochroną komputerów. Alvin udał się do jego mieszkania i ustalił, że od ponad tygodnia nie było go w domu. Jego dziewczyna twierdzi, że poleciał na Maltę, by zainstalować klientowi system zabezpieczeń czy coś. Tylko że gdy Alvin przejrzał listy pasażerów, okazało się, że Davy nie wsiadł na pokład samolotu, którym miał polecieć. I nie zmienił rezerwacji na inną. Davy zniknął z radaru zaraz po zabójstwie Jennifer, ale przed śmiercią tych trzech chłopców. Ergo okłamał swoją dziewczynę w sprawie Malty, by mieć wolną rękę przy pełnieniu zabójstw!

- A co z jego dziewczyną? Co Alvin sądzi o jej powiązaniu ze sprawą?

- Jego zdaniem, kobieta nie ma o niczym pojęcia. Obiecała, że przy najbliższej sposobności przekaże Davy'emu, by odezwał się do Alvina. Ale do tej pory ani słychno.

- Myślisz, że się odezwie?

- Zależy od jego arogancji. Kto wie, może uzna, że jest na tyle sprytny, że nas wykiwa. - W głosie Pattersona wciąż pobrzmiwało podekscytowanie. Podzielała jego optymizm, ale znacznie lepiej potrafiła się z nim nie zdradzać.

Na próg jej gabinetu padł cień - to Stacey czekała, aż Carol skończy rozmowę. Przyklejona do słuchawki wzniosła do góry dwa palce, dając czekającej do zrozumienia, że zaraz skończy.

- Myślisz, że powinniśmy upublicznić sprawę? - zapytał Patterson. - Przekazać mediom jego zdjęcie, zwrócić się do ludzi z apelem, by go wydali w razie czego? Może warto zrobić najazd na tę ich farmę, co? Sprawdzić, co tam się święci?

Akurat te kwestie wołała najpierw skonsultować z Tonym. Szósty zmysł podpowiadał jej, że nie mając bladego pojęcia, gdzie zabójca zaplanował kolejny atak, było to bardzo ryzykowne posunięcie.

- Nie chcę podejmować pochopnych decyzji. Przemyślę tę sprawę i niedługo oddzwonię, dobrze, Stuarcie? Przekaż, proszę, Alwinowi, że świetnie się spisał.

Odłożyła słuchawkę, przegarnęła włosy i przywołała Stacey.

- Długo, długo nic, a tu nagle bum i uwijamy się jak w ukropie - rzuciła Carol jakby do siebie. - Stacey, chcę, żebyś wyciągnęła wszelkie możliwe informacje o jakimś Warrenie Davym, właścicielu firmy OPD zajmującej się ochroną komputerów. Wszystko, co się da. Historię rachunków bankowych, wykaz połączeń z komórki, sama wiesz najlepiej.

Stacey uniosła brwi.

- Ale ja przecież znam Warrena Davy'ego!

Gdyby Carol była postacią z kreskówki, w tym momencie szczęka opadłaby jej na stół.

- Znasz go?! Skąd?!

- Nie tyle znam, ile kojarzę z netu. To ekspert od zabezpieczeń. Kilka razy kontaktował się ze mną w sprawie oprogramowania. Gadaliśmy przez



sieć. Warren jest mistrzem w swoim fachu. - Na jej twarzy odmalował się niepokój. - Czy to jego podejrzewacie?

- A czy to byłby dla ciebie problem?

Stacey pokręciła głową, ale jej oblicze wciąż zdradzało obawę.

- To nie kłopot, przynajmniej jeśli chodzi o konflikt interesów. Nie jest moim przyjacielem, klientem ani partnerem w biznesie... Problem polega na tym, że on naprawdę wie, jak zatrzeć za sobą ślady. Jeśli postanowi się gdzieś zaszyć, niełatwo go będzie znaleźć.

- Mów mi tak jeszcze - wycedziła Carol.

Stacey wyjaśniała.

- Spokojna głowa. Potraktuję to jak osobiste wyzwanie! Na moją korzyść przemawia fakt, że on nie wie, że jestem gliniarzem. Ma mnie za zwyczajnego geeka. Gdyby się spodziewał, że to ze mną będzie miał do czynienia, podjąłby nadzwyczajne środki ostrożności. A skoro sądzi, że mierzy się z typowym niezgułą, to niewykluczone, że gdzieś mu się lekko powinęła noga. Zaraz się tym zajmę. Ale najpierw mam do ciebie inną sprawę.

Zawsze warto było nadstawić ucha, gdy Stacey akurat zachciało się mówić.

- Słucham.

- Trochę sobie podlubałam w RigMarole - zaczęła. - Kody dostępu, które właściciele serwisu z łaski swojej przekazali w nasze ręce, pozwoliły mi dostać się tylnymi drzwiami do ich systemu. Teraz z dziecinną łatwością mogłabym zacząć globalne C&A na ich serwerach.

- A możesz po ludzku? - zapytała z przekąsem Carol. - C&A kojarzy mi się tylko z europejską siecią domów towarowych.

- To skrót od „capture and analyse”. Czyli, że tak powiem, „capnij i analizuj”. Tak ogólnie, to każesz serwerowi szukać konkretnej kombinacji liter albo cyfr i ustalasz kryteria eliminacji wyników. Mogę trochę poczarować i ustalić listę wszystkich użytkowników serwisu, którzy posługują się pseudonimami składającymi się z dwóch liter. Potem możemy ręcznie posprawdzać zapisy wytypowanych rozmów. Może uda nam się w ten

sposób określić tożsamość jego następnych celów i wziąć je pod obserwację. Dzięki temu będziemy w stanie złapać zabójcę na gorącym uczynku.

Carol nie była do końca przekonana.

- Tylko czy to zadziała?

- Z komputerowej strony to całkowicie wykonalne. Ale nie ręczę za to, co może się stać, gdy wykorzystacie wyniki poszukiwań we właściwym śledztwie. To kupa roboty. Ale, moim zdaniem, warto spróbować.

Carol zamyśliła się, a po chwili podjęła decyzję.

- Okej. Masz zielone światło. Ale skup się przede wszystkim na Warrenie Davym. Naprawdę nie miałabym nic przeciwko, gdyby udało ci się namierzyć jego komórkę.

- Hokus-pokus. - Stacey rzuciła na odchodne.

Carol mogłaby przysiąc, że to miała być ironia.

## ROZDZIAŁ 37

Alvin Ambrose się spóźniał. Paula dostała polecenie, by się z nim spotkać i wprowadzić go w najnowsze ustalenia, ale przed chwilą zadzwonił z wieścią, że złapał gumę i dotrze najwcześniej za czterdzieści minut.

Telefon od niego odebrała na parkingu szpitala Bradfield Cross, gdy wracały właśnie z Carol z frustrującego spotkania z lekarzem specjalistą odpowiedzialnym za świadczenia z zakresu leczenia bezpłodności.

- Pogadam z Blakiem - zżymała się Carol. - Musi zaakceptować obserwację, jak tylko Stacey ustali potencjalną ofiarę. A ty lepiej coś zjedz, zanim spotkasz się z sierżantem Ambrose'em. Bo przy tym dzisiejszym nawale spraw potem możesz nie mieć na to czasu.

Pauli od razu zaświtało w głowie, jak uprzyjemnić sobie tę chwilę względnego spokoju. Wysłała na pager Elinor krótką wiadomość: „Strbks? Stawiam latte”.

Nie czekała z zapartym tchem na odpowiedź, ale o wiele sympatyczniej byłoby przekąsić coś w towarzystwie niż samemu. Kupiła dwie kawy oraz panino, kanapkę w ciabacie, i usiadła przy oknie. Jednak plecami do szpitala. Nie chciała bowiem zdradzać się z tym, jak bardzo nie mogła doczekać się Elinor. To byłoby już żalosne.

Jedenaście minut później - nie żeby Paula liczyła - Elinor wpadła do kawiarni niczym gwałtowny podmuch białego kitla i czarnych dżinsów.

- Mam tylko dwadzieścia minut - poinformowała, nachylając się, by ucałować Paulę w policzek.

- Sama mam niewiele więcej. - Popchnęła jedno latte w stronę Elinor. - Nie wiedziałam, czy zamówić ci coś do jedzenia.

- I tak nie jestem głodna. Lepiej powiedz, jak ci mija dzień?

- Raz w górę, raz w dół. Siedziałam na komendzie do czwartej, potem godzina przerwy i powrót. Twoja błyskotliwa sugestia w sprawie DNA dała nam dużo do myślenia. Wielkie dzięki! - Uśmiechnęła się niczym kot z Cheshire. - Chociaż chłopaki miały niezłe używanie.

- Dobrze chociaż, że obecność Stacey nas trochę rozgrzesza - zauważyła Elinor z przekąsem.

- Pal licho docinki. I tak byłam gwiazdą dzisiejszej narady. Co było o tyle miłe, że później było tylko coraz gorzej. - Opowiedziała Elinor o rozmowie z Mikiem Morrisonem.

- Nawet nie umiem sobie wyobrazić, jak bardzo go to przybiło - westchnęła Elinor. - Stracił syna, a zaraz potem żonę. I jak tu się otrząsnąć?

Paula westchnęła.

- Zdziwiłabyś się, z jakimi stratami ludzie potrafią się pogodzić. Elinor posłała jej przenikliwe spojrzenie.

- Może kiedyś mi o tym opowiesz.

Paula się uśmiechnęła.

- Szkoda tylko, że nie wszyscy lekarze są tak życzliwi jak ty.

- Do czego pijesz? - Elinor zamieszała kawę i spojrzała na Paulę, jakby próbowała wyczytać odpowiedź z jej twarzy.

Paula zachichotała.

- To nie o tobie. Tylko o tej twojej pannie Levinson, z którą miałymy dziś z Carol nieprzyjemność się spotkać.

Elinor wykrzywiła się ze zgrozą.

- To nie jest żadna moja panna Levinson. Na szczęście udało mi się uniknąć przydziału do jej zespołu. Przy niej nawet doktor Denby zdaje się pokorny jak cielę. Wiesz, co mówią o specjalistach od bezpłodności? - Paula pokręciła głową. - Wszystkim lekarzom się zdaje, że są równi Bogu, ale ci od bezpłodności mają się za samego Stwórcę. Reszta z nas ma tylko ograniczoną władzę nad śmiercią. Ale doktor Levinson i jej kumple dysponują mocą tworzenia życia. I aż za dobrze zdają sobie z tego sprawę.

- Sądzę, że to tylko częściowo tłumaczy, dlaczego była tak nieskora do pomocy - zauważyła Paula. - Raczej chodzi o to, że w tym przypadku prawo naprawdę stoi po jej stronie.

- A czego szukałyście?

- Udało nam się ustalić, że wszystkie cztery ofiary są ze sobą spokrewnione. Najpewniej to przyrodnie rodzeństwo. W trzech przypadkach matki poddały się zabiegowi sztucznego zapłodnienia właśnie w Bradfield Cross. Chciałyśmy się dowiedzieć, jak można by ustalić dawcę.

Elinor ułożyła usta w dzióbek i głośno wciągnęła powietrze.

- Nie boicie się podnosić ręki na świętości, co? - zagrzmiała z udawaną emfazą.

- Po prostu głęboko chowamy nasze obawy.

- Powiedziała wam, że nie ma szans, by to ustalić, tak?

- Jakbyś zgadła. Mało brakowało, a tarzałyby się po podłodze ze śmiechu, gdy Carol zagroziła jej nakazem sądowym. Pierwszy raz widziałam, żeby ktoś zaśmiał się w twarz naszej nadinspektor.

- Ale ma rację, wiesz? Nawet z nakazem nic nie wskóracie. Bo nawet doktor Levinson nie ma dostępu do tych informacji. W czasach, gdy donacje były jeszcze anonimowe, każdej przypisywano unikalny numer identyfikacyjny. A jedynym miejscem, gdzie można dopasować ten numer do tożsamości dawcy, jest baza danych HFEA\*. A tę trzymają w osobnym komputerze niepodłączonym do sieci zewnętrznej. Więc nawet gdyby Stacey udało się zhakować ich serwery, to i tak nici. Musiałaby być na miejscu, żeby włamać się bezpośrednio do samej maszyny.

\* Human Fertilisation and Embryology Authority (Komisja ds. Zapłodnienia i Embriologii) - ustanowione na mocy ustawy z 1990 r. ciało, które m.in. reguluje i kontroluje działalność wszystkich brytyjskich klinik leczenia bezpłodności.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - zapytała Paula. - Przecież dopiero co sama mówiłaś, że nigdy nie pracowałaś dla doktor Levinson.

- Broniłam pracy licencjackiej na temat wymiany informacji w służbie zdrowia w erze cyfrowej - wytłumaczyła Elinor. - Ambitny ze mnie stażysta. Dyplomy to mój narkotyk.

- Musi istnieć kopia zapasowa. Nie podjęliby ryzyka trzymania danych tylko w jednym kopie.

- Jestem pewna, że to nie jedyne archiwum. Ale nie mam pojęcia, gdzie go szukać, i wątpię, by ktoś spoza ich zespołu ICT wiedział coś więcej. - Elinor zamieszła kawę w zamyśleniu.

- Mogła nam to wszystko powiedzieć, ale nie pisnęła nawet słówkiem! - zżymała się Paula. - Tylko nas ofuknęła i posłała do diabła. Nie chciała nam nawet wytłumaczyć, jakim sposobem ta sama sperma trafiła do Birmingham. - Paula z zacięciem wgrzyzała się w kanapkę, pewnie wyobrażając sobie, że to szyja doktor Levinson.

- To akurat mogę ci zdradzić. W sumie to i tak żadna tajemnica. Nasze wytyczne mówią, że powinniśmy unikać sytuacji, gdy nasienie jednego dawcy przyczynia się do więcej niż dziesięciu porodów żywego płodu. A to dlatego, by nie narazić na szwank puli genów, wydając na świat setkę dzieciaków z tymi samymi gametami. No wiesz, bliźniaczymi plemnikami albo komórkami jajowymi. Nie można pozwolić, by dziesiątka dzieciaków w niemal tym samym wieku i z tego samego ojca żyła w tym samym mieście. Tym bardziej że zdaniem psychologów człowiek ma większą szansę zakochać się w rodzeństwie, o którym nie wie, niż w nieznanym.

- Serio? Czyste szaleństwo.

- Może i szaleństwo, ale takie są fakty. Pamiętasz, co się stało z Habsburgami? Tak więc w przypadku wyjątkowo płodnych donacji powszechnie stosuje się praktykę wymiany nasienia z kliniką w innym mieście. Zapewne tak stało się i w tym wypadku.

- Brzmi sensownie. - Paula posłała Elinor wymowne spojrzenie. - Cały czas solidnie pracujesz na miano „niezastąpionej”.

- Po to się żyje. - Elinor wciąż była wyraźnie zamyślona. - Wiem, że to może zabrzmieć dziwacznie... Ale czy waszym zdaniem ten dawca może być zabójcą?

Zastanawiając się, do czego Elinor zmierza, Paula odpowiedziała:

- Nasz profiler uważa, że to możliwe.

- Nie jestem ekspertem, ale wydawałoby się, że człowiek, który krąży

po kraju i zabija ludzi, mógł już wcześniej zwrócić na siebie uwagę policji - zauważyła Elinor. - A jeśli tak, to czy nie trafiłby do krajowej bazy danych DNA?

- Raczej tak - odparła Paula. - Ale DNA ofiar jest przecież odmienne.

- Wiem. Ale chyba kiedyś czytałam jakiś artykuł o niewyjaśnionej sprawie, w której policja dorwała zabójcę po dwudziestu latach tylko dlatego, że jego bratanek dostał odsiadkę, a baza danych wychwyciła podobieństwo.

Elinor wyjęła swojego iPhone'a, połączyła się z internetem i odwróciła ekran tak, by obie mogły go zobaczyć.

- A to skąd wiesz? Czyżby kolejny licencjat? - droczyła się Paula, gdy Elinor weszła na stronę mobilnego Google'a i wpisała w pole wyszukiwania słowa: dna zabójstwo krewny niewyjaśniona sprawa.

- Mój mózg to prawdziwy śmietnik, w którym zalegają pokłady najrozmaitszych ciekawostek. Jeśli będziesz kiedyś w „Milionerach”, to pamiętaj o mnie. Świetnie się nadam na przyjaciela na telefon.

- Przewinęła listę wyników. - No i mam.

- „Mężczyzna skazany za zbrodnię sprzed czternastu lat dzięki próbie DNA swojego krewnego” - Paula przeczytała nagłówek. Dalsza lektura poszerzyła jej uśmiech. - Dobrze wiedzieć, że jednak nie jesteś nieomylna.

- Czternaście czy dwadzieścia lat, niewielka różnica.

- I chodziło o gwałt, a nie o zabójstwo - zauważyła Paula. - Ale to detale. I tak dzięki za odpowiedź. - Dopiła kawę i wstała. - A teraz muszę już lecieć i pogadać ze Stacey. - Spojrzała na zegarek. - I spotkać się z kolegą po fachu z Worcesteru.

Elinor odprowadziła ją do drzwi.

- Moje dwadzieścia minut też już minęło. Dziękuję.

- Za co? Za to, że tak bezczelnie wykorzystałam twój mózg?

- Za chwilę oddechu z dala od szpitala i przypomnienie mi, że gdzie indziej też toczy się życie. - Nachyliła się w stronę Pauli i ucałowała ją w policzek, łaskocząc jej ucho ciepłym oddechem.

- Idź więc i złap swojego zabójcę. Mam wobec ciebie pewne plany, gdy to wszystko już się skończy.

Ciałem Pauli wstrząsnął dreszcz podniecenia.

- Ty to umiesz zachęcić.

Gdy Carol w końcu dotarła z powrotem do sali sztabowej SPC, na krzesła dla gości w jej gabinecie siedział Tony. Odchylony do tyłu, z zamkniętymi oczami, ręce miał splecione za głową, stopy oparte o kosz na śmieci.

- Fajnie, że choć jedna osoba tutaj ma czas na drzemkę - rzuciła z przekąsem, oswabadzając się z płaszcza i zrzucając buty. Jednym szybkim ruchem zasunęła żaluzje, potem otworzyła szufladę biurka i wyciągnęła małą buteleczkę wódki.

Tony się wyprostował.

- Dumalem, a nie drzemałem.

Spostrzegł, jak Carol otwiera butelkę, posyła mu ukradkowe spojrzenie i wrzuca ją na powrót do szuflady. Spojrzała na niego, a Tony podniósł ręce w górę w poddańczym geście.

- Nic nie mówiłem - zaprotestował.

- Nie musiałeś. Potrafisz porazić człowieka tym świętoszkowatym spojrzeniem nawet bez mrugnienia okiem.

- Jak poszło z Blakiem?

- Widzę, że wieści szybko się rozchodzą. - Carol opadła na fotel. - W tej pracy czasem zdarzają się chwile czystej przyjemności. Piękny obrazek, widzieć, jak się szarpie między przemożną chęcią zaoszczędzenia kasy a palącym pragnieniem, by zacząć rządy na komendzie od olśniewającego sukcesu. Tym bardziej piękny, że podjął właściwą decyzję. Jeśli ustalimy tożsamość kolejnej ofiary, mamy pozwolenie na inwigilację.

- Dobra robota. Obiło mi się też o uszy, że sierżant Ambrose namierzył podejrzanego.

Carol miała już dość czasu, by przemyśleć kwestie poruszone podczas ostatniej rozmowy z Pattersonem.

- Na razie potencjalnego kandydata. Ale za dużo założeń, a za mało dowodów. Po pierwsze, że analiza geograficzna Fiony Cameron jest precyzyjna. Po drugie, że zabójca korzystał z własnego auta. I po trzecie, że Warren Davy po prostu nie zabawia się gdzieś ze swoją kochanką.



- Celne uwagi, nie powiem. Ale i tak myślę, że Warren Davy jest naszym najpoważniejszym kandydatem. Jeśli Stacey zdoła wytropić następną ofiarę, najpewniej zyskacie potwierdzenie. Wiemy już coś o tym Davym?

Carol przerwała działanie wygaszacza na monitorze, najechała kursorem myszki na kolejną napływającą informację i kliknęła. Wśród nich była krótka wiadomość od Stacey.

- Nie jest notowany. Posiada jedną kartę kredytową, której używa właściwie tylko w interesach. Żadnych sklepowych kart rozliczeniowych. Ani kart stałego klienta. Według Stacey to typowe dla ludzi w jego branży. Wie, jak łatwo złamać zabezpieczenia baz danych, więc ogranicza swoją w nich obecność do niezbędnego minimum. Już od kilku dni nie włączył telefonu. Ostatni raz jego komórka była w zasięgu, gdy Seth znikł nam z oczu na Dworcu Centralnym. I wtedy łączyła się za pośrednictwem najbliższej wieży z... Chcesz zgadnąć?

- Dworcem Centralnym. - Tony podjął wyzwanie.

- Trafiony zatopiony! Z pewnością więc umie zmylić trop.

- Czy ktoś rozmawiał już o Davym z jego dziewczyną?

Carol pokręciła głową.

- Nie chcę jej spłoszyć, by nie ostrzegła Warrena. Biorąc pod uwagę jego umiejętności i sprzęt, nie miałby większych trudności z posłużeniem się fałszywą tożsamością albo podszyciem się pod kogoś innego. Gdyby więc zdecydował się dać nogę już teraz, szukalibyśmy wiatru w polu. Mógłby zapaść się pod ziemię właściwie wszędzie. I to zarówno w kraju, jak i za granicą.

Tony pokręcił głową.

- On nie ma zamiaru się ukrywać. Ma misję do wypełnienia i nie spocznie, póki nie postawi kropki nad „i”. Chyba że go powstrzymamy.

- Jaką znowu misję?

Tony skoczył na równe nogi i zaczął się przechadzać po gabinecie.

- Uważa się za złe nasienie. Coś napełniło go lękiem i nienawiścią do samego siebie. Coś, co jego zdaniem przenosi się przez krew. Nie sądzę, żeby chodziło o jakieś proste wytłumaczenie w stylu choroby, ale nie

można tego wykluczyć. W każdym razie zrobi wszystko, by wypełnić to złe nasienie jak chwasty. By to na nim zakończył się ród. Ma zamiar zabić wszystkich swoich biologicznych potomków. A potem siebie.

Carol gapiała się na niego z wyrazem przerażenia.

- Jak wielu?

- Nie wiem. Damy radę to ustalić?

- Raczej nie. Zdaniem wyjątkowo niezycziwej lekarki z Bradfield Cross, wszelkie dane dotyczące anonimowych dawców są zastrzeżone i zamknięte na cztery spusty. Tak tajne przez poufne do kwadratu, że szczerze się zastanawiam, po co w ogóle je trzymają. Skoro nie mają zamiaru kiedykolwiek ich użyć, to dlaczego ich po prostu nie zniszczyć? Wtedy przynajmniej nikt nigdy nie mógłby ich wykorzystać w niecnym celu. - Carol ponownie wyjęła z szuflady buteleczkę z wódką. Wydobyła też małą puszkę toniku. Zmieszała zawartość obu w szklance stojącej na biurku.

- Też chcesz? - zapytała wyzywająco.

- O nie, dziękuję. Już wystarczająco huczy mi w głowie od natłoku myśli. Bo nadal coś mi tu nie gra.

- Ale tylko to nadaje sens wszystkiemu, co wiemy. Nie przychodzi mi do głowy inna teoria, która pasowałaby do naszych ustaleń.

- Wypiła łyk drinka i poczuła, jak rozluźniają się napięte niczym postronki mięśnie szyi.

- Mnie też nie. Ale to jeszcze nie znaczy, że mam rację. - Odwrócił się gwałtownie i zatrzymał przy jej biurku. - Skoro tak trudno ustalić te informacje, to jakim cudem on je wygrzebał? I co takiego pchnęło go na drogę tej krucjaty? Tyle czasu poświęcił na podchody do swoich ofiar. Jak on łączy te wszystkie sprawy? Interesy i swoje zabójcze hobby?

- Może nie łączy. Może dziewczyna wyręczała go w pracy. - Wychyliła resztę drinka i westchnęła z satysfakcją. - Och, tego mi było trzeba.

- Tak bardzo chciałbym zamienić z nią parę słów - mruknął.

- Wiem. Ale musimy wziąć na wstrzymanie i czekać cierpliwie, aż Stacey coś wykombinuje.

- Doskonale rozumiem. Ale seryjni przestępcy zdolni do dłuższych

związków emocjonalnych to prawdziwa rzadkość. I stąd moje zainteresowanie. Jeśli Warren rzeczywiście jest naszym zabójcą, jego dziewczyna mogłaby nam odpowiedzieć na tak wiele pytań. Tak wiele moglibyśmy się dowiedzieć o jego motywacjach. - Westchnął.

- Spokojnie. Jeszcze dostaniesz swoje pięć minut.

Tony się wyszczerzył.

- Na samą myśl czuję się jak dziecko w fabryce czekolady.

Carol pokręciła głową z rozbawieniem.

- Dziwak z ciebie.

- Jak możesz tak mówić, skoro na wolności przebywają tacy jak Warren Davy? W porównaniu z nim jestem niemal wzorem normalności.

Carol głośno się zaśmiała.

- I tak sobie powtarzaj, Tony.

## ROZDZIAŁ 38

Niemal od razu po przekroczeniu progu sali sztabowej SPC Alvin Ambrose poczuł się jak u siebie w domu. Takich gliniarzy to on rozumiał. Paula McIntyre przydzieliła mu biurko, komputer i kubek kawy. Każdy, kto mijał jego stanowisko pracy, przystawał, by się przedstawić, nawet ta mała Chinka w rogu, która zdawała się przyspawana do swojego systemu komputerowego.

Nie mniejszą przyjemność sprawiała mu obecność w samym centrum policyjnej operacji. Jedyny problem w tym, że nie za wiele miał tu do roboty. Wszyscy przekopywali się przez stosy papierów albo przeczesywali ekrany pełne danych, ale wiedział, że to tylko pozory, że po prostu próbują czymś zająć ręce. Każdy członek zespołu siedział właściwie jak na szpilkach, w oczekiwaniu aż Stacey dokopie się do zagrzebanych głęboko pokładów poufnych informacji i wyłoni się zza barykady monitorów z „żyłą złotą”, by w końcu mogli oddać się jego gorączce.

Skoro nie miał żadnego zajęcia, pomyślał, że równie dobrze może sprawdzić pocztę. Cicho podśpiewując, czekał, aż konto skończy się ładować. Zamilkł w połowie taktu, gdy zdał sobie sprawę, na co patrzył. Drugą wiadomością czekającą na niego w skrzynce odbiorczej był mejl od: [davy-warl@gmail.com](mailto:davy-warl@gmail.com) zatytułowany: w czym problem?

Ambrose ciężko przełknął ślinę. Nie był pewien, jak powinien się zachować. Palce go świerzbiły, by otworzyć wiadomość, ale Stacey i jej pobratymcy nieraz już prawili mu kazania na temat potencjalnie destruktywnego działania mejli, nie chciał więc podejmować zbędnego ryzyka. W końcu miał pod ręką eksperta. Podszedł więc do rogu, w którym

zabunkrowała się Stacey, i czekał cierpliwie, obserwując, jak jej palce śmigają po klawiaturze i po przyciskach myszki. Po mniej więcej minucie odebrała wzrok od ekranów i spojrzała na niego.

- Czegoś ci potrzeba?

- Chyba dostałem mejla od Warrena Davy'ego - poinformował. - Jest na moim kompie.

Stacey spojrzała na niego, jakby uważała go za nieco nierozgarniętego.

- Na które konto przyszedł mejl?

- Na moje służbowe. [Aambrose@westmerciapolice.org](mailto:Aambrose@westmerciapolice.org).

- Wróć do biurka i zamknij skrzynkę, proszę - odpowiedziała.

- Potem wróć i zaloguj się u mnie.

Zanim wrócił, Stacey już zdążyła wejść na ekran logowania poczty. Wstała i odwróciła wzrok, pozwalając Alwinowi wklepać hasło. Ambrose podejrzewał, że to tylko na pokaz. Prawdopodobnie rejestrowała każde naciśnięcie klawisza w swoim systemie. Gdy już się zalogował, odsunął się i przepuścił ją do monitora.

Stacey przekrzywiła głowę i spojrzała na pole tematu wiadomości.

- No to do dzieła - rzekła. - Bez obaw, zainstalowałam tu wszystkie antywirusy znane ludzkości i jeden albo dwa z kosmosu. - Ambrose nie dałby głowy, że to był żart.

Treść wiadomości wyświetliła się na środkowym ekranie w dolnym rzędzie. Na monitorze powyżej nagle zaczął się przewijać ciąg znaków. Ale Ambrose'a interesował tylko sam mejl od Davy'ego.

Czołem, sierżancie Ambrose,  
moja współpracownica, Diane Patrick, przekazała mi, żebym się z panem skontaktował. Podobno chodzi o mój samochód, czy tak? Przepraszam, że nie dzwonię, ale jestem na Malcie w interesach, więc zapłaciłbym jak za zboże, do tego mam ręce pełne roboty, więc łatwiej mi korzystać z poczty. Proszę napisać, o co chodzi, a odpowiem w pierwszej wolnej chwili.  
Pzdr,  
Warren Davy  
OPD: [www.opd.com](http://www.opd.com)

- Zastanawiające - skomentowała Stacey.  
- Dlaczego? Na moje oko wygląda całkiem normalnie.  
- Tyle że nie wysłano tego z Malty. - Stacey wskazała na monitor powyżej, na którym widniała czarno na białym prosta informacja. - Pochodzi z komputera należącego do departamentu bibliotek bradfieldzkiej rady miejskiej. A więc nasz gagatek jest w mieście, sierzancie. I albo jest mu obojętne, że o tym wiemy, albo uważa, że umknie to naszej uwagi.

- Tak czy siak, zapewne już coś knuje. Jak ci idzie zastawianie pułapki? Stacey wzruszyła ramionami.

- Wszystko w swoim czasie. Trudno przewidzieć, kiedy coś ustalę. - Znów zaczęła wciskać klawisze, przenosząc wzrok z jednego monitora na drugi. Nagle zamarła. I choć mijały kolejne sekundy, wciąż nie poruszyła nawet palcem. Ambrose zastanawiał się nawet, czy Stacey czasem nie przestała oddychać.

Nagle ożyła, przesuwając palcami po klawiaturze tak szybko, że niemal niedostrzegalnie.

- Bingo, bingo, bingo! - wypowiedziała kolejne słowa coraz głośniejszym, początkowo szeptem, na końcu niemal krzykiem. - Mamy go! - wrzasnęła.

Jeszcze zanim wybrzmiały jej ostatnie słowa, wokół niej zgromadził się tłum ludzi. Carol Jordan przepchnęła się bliżej. Ambrose ustąpił jej miejsca na przedzie.

- Co jest, Stacey? Co tam masz? - zapytała niecierpliwie.

- Dwa trafienia. BB i GG. BB na prawym górnym ekranie, GG na lewym górnym. Zrzucam rozmowy obu na dolny monitor.

Jak skamieniali stali nad jej plecami, niecierpliwie chłonąc każdy fragment. BB rozmawiał w tym momencie z kimś o pseudonimie DirtAngel\*. Najwyraźniej BB umawiał się z nim na jutrzejszą jazdę motocyklami terenowymi. Obiecywał, że nauczy rozmówcę tajników tego sportu.

- Jutro rusza w trasę - podsumowała Carol.

\* Dosłownie - Brudny Anioł, zapewne nawiązanie do *dirt biking*, czyli jazdy na motocyklach terenowych.

GG i jego rozmówca z czatu nie byli teraz dostępni w sieci, ale Stacey wyświetliła ich ostatnią rozmowę.

- Ten GG udaje dziewczynę. Umawia się z 1dagal na wypad do kosmetyczki i po sklepach z ciuchami. Po szkole w czwartek.

Spójrzcie.

„Nie mow nikomu, zdradzę ci tajemnice nie z tej ziemi. Po wszystkim rodzona matka cie nie pozna ©”.

- Znowu mowa o sekretach - dodała Stacey.

- Pogrywa sobie z nimi - zauważył Tony. - Mówi, że zna ich największe sekrety, których sami sobie nie uświadamiają. Odsłania rąbek tajemnicy i kusi ich, by poznali resztę.

- Co to za dzieciaki, Stacey?

- Właśnie próbuję ustalić - rzuciła w roztargnieniu. - Może byście się odczepili i dali mi popracować w spokoju, co? Prześlę wam mejlem wszystkie informacje, do których się dokopię. Ale teraz muszę dostać się do tych kont od dupy strony, a im mniej wiecie, tym lepiej dla was.

Rozeszli się.

- Ona jest niesamowita - rzekł Ambrose do Pauli.

- Lepszej nie znajdziesz. Wiesz, że ona pracuje tu tylko dla przyjemności?

- I niby to uważa za przyjemność?

Paula zachichotała.

- O tak. Może wściubiać nos w najróżniejsze sprawy i nikt nie będzie jej za to ścigał. Co robi, kiedy jej tu nie ma? Zbija kokosy, prowadząc własną firmę programistyczną. Ona myśli, że nikt o tym nie wie, ale raz wygadała się z nazwy firmy przed Samem i to podziałało na niego jak czerwona płachta na byka. Nie odpuścił, póki nie dokopał się do wszystkich szczegółów.

Ukradkiem spojrziała wymownie na Sama.

- Stacey będzie miała przesrane, jeśli Sam się w końcu zorientuje, że ona od dłuższego czasu rozbiera go wzrokiem. - Nagle umilkła jak porażona, a jej twarz zdradzała zarówno wstrząs, jak i zmieszanie. - Dlaczego w ogóle ci o tym mówię?

Tony, który do tej pory krył się niczym szpieg za ich plecami, ni z tego, ni z owego odezwał się.

- Ponieważ jesteście do siebie podobni, Paula. Ludziom rozwiążą się przy nim języki. Podobnie jak w twoim towarzystwie.

Z ust Ambrose'a wyrwał się śmiech przypominający niski grzmot burzy.

- Ten talent mnie czasem przeraża.

- Dobra rada: nie mów o nim Carol - stwierdził Tony. - Bo inaczej, zanim się zorientujesz, już będziesz jej podwładnym.

Ambrose rozejrzał się po pokoju, w którym już czuł się jak u siebie.

- Można gorzej trafić.

Tony uważnie przyglądał się Carol, która rozmawiała właśnie z Kevinem, pochylając głowę nad biurkiem.

- Oj może. Ale z drugiej strony, można by rzec, że ona zasługuje na lepszych od każdego z nas. - I odszedł, całkowicie nie bacząc na to, jaką konsternację wywołały jego słowa.

Kiedy, jak kiedy, ale dziś Stacey naprawdę mogła wykazać się swoją przydatnością dla zespołu. Z nieukrywaną radością powitała sugestię Pauli, by przeszukać krajową bazę danych DNA pod kątem rodzinnych związków zarejestrowanych z zamordowanymi nastolatkami.

- Możemy sprawdzić w ten sposób chłopców - stwierdziła Stacey. - Nie każ mi wyjaśniać, ale to nie działa w przypadku krewnych płci żeńskiej.

Paula odsunęła się, udając przerażoną.

- Błagam, Stacey. Wszystko tylko nie te naukowe wywody. Ja naprawdę jestem tylko prostą dziewczynką z małego miasta.

Ale Stacey już pogrążyła się w pracy, wysyłając pilne zapytanie do bazy danych, załączając trzy komplety pasków DNA. Tym razem zrobiła wyjątek od reguły i po wysłaniu mejla zadzwoniła do jednego z analityków, z którymi już wcześniej pracowała. Paula, wciąż niecierpliwie kręcąc się za plecami Stacey, zauważyła, że ich rozmowa była bardzo rzeczowa. Zero gadki szmatki. Pewnie gdyby od niej zależała wydajność speców od ICT, na całym Zachodzie systemy zaczęłyby wariować, pomyślała gorzko Paula.

- To ty, Bry? Stacey Chen z tej strony. Właśnie przesłałam ci mejlem



trzy komplety danych do sprawdzenia. Musisz to potraktować priorytetowo. Mamy tu zabójcę z napiętym grafikiem i dzięki twojej pomocy być może uda nam się go złapać, zanim porwie kolejną ofiarę... Teraz?... Dzięki. Będę „dźwięczna”. - Zdjęła z głowy słuchawki z mikrofonem i nie odwracając wzroku od monitorów, powiedziała do Pauli: - Bry już się tym zajmuje. Spokojnie możesz teraz skoczyć po kawę.

Jak na komendę, Paula wróciła do swojego biurka i piętrzącej się na nim góry papierów - nieodłącznych przy każdym śledztwie o zabójstwo.

Carol i Kevin naradzali się właśnie z zespołem posklejanym z funkcjonariuszy drogówki i Komendy Zachodniego Bradfield, ustalając szczegóły obserwacji Ewana McAlpine'a, ukrywającego się pod pseudonimem DirtAngel amatora bezdroży. Z ożywieniem dyskutowali, czy powinni ostrzec chłopaka i założyć mu podsłuch. Paula była gorącą orędowniczką takiego podejścia. Wiedziała z doświadczenia, jak bardzo niepomysłny obrót mogą przyjąć takie operacje, i chciała zapewnić chłopakowi maksymalną ochronę, nawet jeśli przyprawiało to policjantów o dodatkowy ból głowy. Ale koniec końców, Paula została demokratycznie przegłosowana. Jej przeciwnicy w tym sporze argumentowali, że gdyby ostrzegli Ewana, czternastolatek nie poradziłby sobie z rolą przynęty, zabójca zwęszyłby podstęp i wziąłby nogi za pas, a oni zostaliby z ręką w nocniku. Zapewne mieli rację, w duchu przyznała Paula. Choć jej sposób przynajmniej dawał temu dzieciakowi większą szansę na ujęcie z życiem.

Paula otworzyła plik z zapisem rozmów Ewana z BB i ponownie się w niego wczytała. Ewan zdawał się fajnym dzieciakiem. Jego poczucie humoru było nienachalne, a w żartach nikogo złośliwie nie obśmiewał. Stacey udało się go namierzyć za pośrednictwem skrzynki mejlowej. Mieszkał z rodzicami w pobliżu centrum Bradfield, w niewielkiej enklawie domów z czasów rządów dynastii hanowerskiej, która jakimś cudem oparła się zakusom powojennych deweloperów. Jego ojciec pracował jako urolog w szpitalu Bradfield Cross, a matka - jako lekarz rodzinny w przychodni w jednej z tych biedniejszych dzielnic śródmieścia.

Zajmując się ofiarami, które przyszły na świat w wyniku sztucznego zapłodnienia, nie można było uniknąć jednego poważnego problemu - ich rodzinom raczej nie brakowało grosza. Paula знаła pewną parę, która wydała już niemal dwadzieścia tysięcy funtów na zabiegi in vitro, które wciąż kończyły się poronieniami.

Kolejnym minusem był fakt, że mieli do czynienia z rozgarniętymi przedstawicielami klasy średniej, którzy w razie jakiegokolwiek wpadki w przebiegu operacji zrobiliby im z dup jesień średniowiecza.

Ale były i dobre nowiny. Dzięki temu, że Stacey wniknęła w zawartość serwerów RigMarole, śledczy wiedzieli, gdzie odbędzie się spotkanie Ewana z BB, czyli - jak przypuszczali - z Warrenem Davym. Ewan miał złapać w Manchesterze autobus do Barrowden, małej wioski mniej więcej osiem kilometrów od granic Bradfield. BB umówił się z nim na tamtejszym przystanku autobusowym, by mogli razem wpaść do jego gospodarstwa kilka kilometrów dalej. „Przyjadę po ciebie na quadzie” - napisał Ewanowi. Kolejna przynęta dla chłopaka łaknącego zakosztować odrobiny szaleństwa w swoim bardzo przyjemnym, ale zarazem bardzo przyziemnym życiu mieszcza.

- Alvin? - zawołała Stacey. - Masz chwilę?

Ambrose podszedł do Stacey, a za nim podążyła Paula.

- O co chodzi, Stacey? - zapytał.

- Ten kuzyn Warrena Davy'ego? Ten gość z garażem? Jak on się nazywał? Przypomnij mi. Jakoś nie mogę znaleźć twojego raportu w naszym systemie.

Ambrose odchrząknął, wyraźnie zakłopotany.

- Sorry, zapomniałem. Złożyłem go w Manchesterze, ale po przyjeździe do was jakoś wyleciało mi z głowy, żeby go wam przesłać. Ten kuzyn nazywa się Bill Carr.

Stacey wskazała na jeden z monitorów.

- To wyciąg z krajowej bazy danych DNA. Mamy jedno trafienie pokrewne naszym próbkom. Williama Jamesa Carra z Manchesteru najwidoczniej łączą rodzinne więzi z wszystkimi trzema chłopcami.

Zdaniem Bry'a, są albo jego kuzynami, albo bratankami.

- Sugerujesz, że Carr stoi za tymi zabójstwami? - Ambrose był wyraźnie zaintrygowany.

- Niczego nie można wykluczyć. - Jej słowom przeczył sceptyczny ton głosu. - Ale przede wszystkim ten fakt potwierdza nasze podejrzenia wobec Warrena Davy'ego. Skoro Carr to jego kuzyn, to również Davy'ego łączą więzy krwi z tymi trzema ofiarami. Innymi słowy, hipotezy i poszlaki zaczynają przybierać kształt bezspornych faktów.

- Ale wciąż nie mamy pewności, że chodzi o niego - zauważyła Paula. - I wciąż nie wiemy, gdzie go szukać.

- Co oznacza, że i tak musimy obserwować Ewana - dokończył Ambrose.

Stacey wzruszyła ramionami.

- Co zrobić? Jak z uporem godnym lepszej sprawy uwielbiają mi powtarzać moi koledzy, prędzej czy później wszystko sprowadza się do tradycyjnej roboty gliniarza. - Odwróciła się w stronę monitorów. - Lepiej podeślę mejla szefowej. Na pewno się ucieszy, że dokładam jej kolejną porcję zgrzyzot.

## ROZDZIAŁ 39

Ewan McAlpine obudził się podekscytowany, czując, jak w żyłach buzuje mu adrenalina. W końcu nadszedł ten dzień! W końcu dostanie szansę, by spełnić najskrytsze marzenia, które tak długo czekały na ten moment. Do wczesnego wieczoru będzie skakał po wybojach na motorze terenowym, spowity chmurą pyłu, oddychając przez chustę na twarzy, niczym kowboj na rodeo.

Rodzice zawsze zabraniali mu oddawać się niebezpiecznym - w ich mniemaniu - zajęciom. Przez całe życie owijali go w gruby kokon, jakby się bali, że niczym porcelana stłucze się przy najmniejszym upadku. Wciąż doskonale pamiętał ciągle upokorzenia, jakich doznawał podczas pierwszej kilkudniowej wycieczki szkolnej. Miał wtedy osiem lat i jego klasa zatrzymała się w ośrodku rekreacyjnym wysoko w Górach Penińskich. Zabrało się z nimi również kilkoro rodziców, by pomóc nauczycielom w doglądaniu ciężby dzieciaków. Nietrudno zgadnąć, że jednym z tych rodziców była jego matka. Za każdym razem, gdy miał ochotę wziąć udział w prowadzonych na świeżym powietrzu zajęciach - czy to w schodzeniu w dół zbrocza po linie lub zjeździe na niej, we wspinaczce czy w pływaniu kajakiem - zawsze się wtrącała, psując mu zabawę. Koniec końców spędził więc dwa dni na torze przeszkód i na strzelnicy. Oczywiście - dali mu tylko luk. Doprawdy, ten obóz dostarczył aż nadto argumentów jego wrogom.

Wiedział, że matka chciała dobrze. Ale to przez nią przez tak wiele lat stanował obiekt niekończących się kpín, a czasem zdecydowanie niewerbalnych kuksańców. Na całe szczęście dla niego podstawówka, do której uczęszczał, z uporem tępiła tyranizację i przemoc wśród uczniów. Gdy

przeniósł się do prywatnego gimnazjum, próbował jak najmniej rzucać się w oczy. Brylujący w sportach uczniowie nawet nie zdawali sobie sprawy z jego istnienia, więc nie zauważyli, że rodzice nie pozwalali mu narażać się choćby na najmniejsze ryzyko.

Ewan jednak wciąż marzył o szansie, która pozwoliłaby mu poczuć dreszczyk emocji. Uwielbiał oglądać kanał pokazujący sporty ekstremalne, a przez ostatnie lata wylewał z siebie siódme poty, pracując nad kondycją i tężyzną fizyczną. Nawet jego matka nie mogła mieć nic przeciwko ćwiczeniom w siłowni, którą ojciec zorganizował w piwnicy. Brakowało mu tylko okazji, by poddać swoje atletyczne ciało ciężkiej próbie i przekonać się, jak daleko może się posunąć.

Dopóki nie poznał BB na Rigu. Szczęściarz mieszkał w wiejskim gospodarstwie, w którym trzymał własnego quada i motocykle terenowe. A do tego chciał zakumplować się właśnie z Ewanem! Teraz więc, właśnie dzisiaj, w końcu dostanie szansę, by ziszczyć tak długo tłumione marzenia.

Powiedział matce, że bierze udział w konkursie debat szkolnych w Manchesterze. Tak więc nie spodziewała się go z powrotem przed dziewiątą, co doskonale współgrało z jego prawdziwymi planami. BB napisał mu, że da mu coś na przebranie i że będzie mógł wziąć prysznic, zanim popędzi na autobus odjeżdżający z pobliskiego miasteczka o wpół do dziewiątej. Wszystko idealnie się zazębiało.

Ewan nie miał pojęcia, jak przebrnie przez ten dzień, nie pękając niczym balonik z podekscytowania. Ale jakoś to będzie. W końcu umiał zatroszczyć się o własne sprawy. Wytrzyma!

Tymczasem, półtora kilometra dalej, na najbliższym od domu McAlpine'a posterunku policji Carol udzielała właśnie ostatnich wskazówek ekipie, która miała prowadzić obserwację Ewana. Dysponowali trzema autami, jednym motocyklem i kilkoma pieszymi funkcjonariuszami z przydzieloną furgonetką, w której mogli się do woli przebierać w kurtki, kapelusze, peruki, sztuczne wąsy i brody.

- Zapowiada się naprawdę długi dzień - stwierdziła Carol. - Będziemy mogli dać mu trochę luzu właściwie tylko podczas zajęć, ale i tak musimy postawić ludzi przed głównym i tylnym wejściem, na wypadek gdyby wymknął się wcześniej. Czego raczej nie zrobi: w końcu wiemy, że według planu dopiero po szkole ma się spotkać z podejrzanym. Ale nie można wykluczyć, że chłopak nie wytrzyma napięcia. Musimy więc być czujni. Jakież pytania?

Paula podniosła rękę.

- Wiemy, że ten zabójca nie patyczkuje się z ofiarami. Czy wkroczymy do akcji z chwilą, gdy odbierze Ewana z przystanku?

- Nie podejmę decyzji co do momentu zgarnięcia podejrzanego, dopóki nie będziemy mieli go na widelcu - zakomunikowała Carol. - Na teraz za dużo w tym gdybania. Ewan jest najważniejszy, to jasne. Ale musimy najpierw zdobyć dowody, że rzeczywiście doszło do porwania. Widzę, że nie ma więcej pytań. W takim razie pora przystąpić do działania. Śledząc go w drodze do szkoły, będziemy mieli okazję zakodować sobie w głowach jego twarz, poza tym to świetna próba generalna. No to do dzieła! I... powodzenia!

Przejazd w stronę szkoły poszedł jak z płatka. Audi matki Ewana z przodu i z tyłu ubezpieczały wozy obserwacyjne, nieco dalej za nimi podążała furgonetka. Pani McAlpine wysadziła syna na rogu budynku, około czterystu metrów od szkoły, i od razu przejęło go dwóch pieszych w przebraniu. Gdy Ewan wszedł do szkoły, zostawili na czatach trzech funkcjonariuszy - jednego w aucie i dwóch „spacerowiczów” - a reszta wróciła na posterunek.

Bezczynne czekanie zawsze było najtrudniejsze. Niektórzy grali w karty, inni czytali, a reszta złożyła głowy na ramionach i ucięła sobie drzemkę. Lecz zanim wybiła trzecia trzydzieści i pojawił się Tony, wszyscy byli zwarci i gotowi do akcji.

- Akurat ciebie się tu nie spodziewałam - przywitała go zdziwiona Carol.

- Zawsze lubiłem cię zaskakiwać. To cię dopinguje.

- Zostajesz ze mną w wozie kontrolnym - zarządziła pospiesznie, odciągając go od reszty ekipy.

- Super. Naprawdę nie miałem zamiaru płatać się wam pod nogami -

stwierdził. - Po prostu pomyślałem sobie, że będę mógł ci doradzić. No wiesz, w wypadku gdybyś musiała dokonać niełatwych wyborów, kiedy wkroczyć do akcji, a kiedy się wstrzymać. Wszak coś tam jednak wiem o tej całej psychologii. - Posłał jej rozbijający uśmiech małego dziecka, który zawsze tak samo ją irytował, co rozśmieszał. - Skoro już się pojawiłem, to możesz równie dobrze zrobić ze mnie użytek - ciągnął. - W końcu, im bardziej ci się teraz przysłużę, tym łatwiej będzie ci przekonać Blake'a następnym razem, gdy każe ci pracować z kolejnym profilerem świeżo po akademii.

- Czy oni wszyscy są w równym stopniu do dupy?

Tony przysiadł na rogu biurka.

- Nie. Garstka ma prawdziwy talent. Kompetencje jednego albo dwóch kolejnych są całkiem wystarczające. Ale i tak pozostaje kilkoro absolwentów, którzy co prawda przyswoili wiedzę z zalecanych podręczników, ale nie mają dogłębnego zrozumienia psychiki, najmniejszej nawet empatii. I tych nie da się już niczego nauczyć. Bo albo ma się do tego smykałkę, albo nie. Gdy przez cały czas pracujesz z prawdziwymi przypadkami, jeśli potrafisz zrozumieć logikę pokrętnych umysłów i wczuć się w położenie drugiego człowieka, to powinieneś zostać psychologiem klinicznym. A jeśli nie, to wybierasz ścieżkę akademicką. - Wzruszył ramionami. - Tim może się jeszcze poduczyć i stać się lepszy, ale nigdy nie będzie błyskotliwy. Miałaś wyjątkowego pecha. Jeśli Blake znów spróbuje tej zagrywki, to musisz postarać się sama wybrać profilera. Podam ci kilka nazwisk ludzi, którzy całkiem dobrze poradzą sobie z zadaniem.

- Ale nie tak dobrze jak ty.

- Przez skromność nie przeczę. Ale kiedyś może mnie tu nie być, Carol. - Mówił poważnie i to ją przestraszyło. Nie wiedziała dokładnie, co mu się przytrafiło w Worcesterze, nie potrafiła odgadnąć, co mu chodzi po głowie. A od kiedy wrócił, popadł w dziwny nastrój. Carol nie lubiła tego, czego nie rozumiała, a z pewnością nie potrafiła zrozumieć, co kryło się za jego słowami.

Zamieniła więc je w żart.

- Nie jesteś czasem trochę za młody na emeryturę? A może przez te

wszystkie lata ukrywałeś, ile naprawdę masz krzyżyków na karku? Zachochał.

- Emerytura to nie dla mnie. Nawet na starość, gdy dokuczać mi będzie artretyzm, będę człapał z balkonikiem i powtarzał: „Szukacie białego mężczyzny, w wieku od dwudziestu pięciu do czterdziestu lat, z trudem nawiązującego relacje interpersonalne”. A jakaś bystra, młoda nadinspektor wciąż będzie mnie uważać za prawdziwy skarb.

- W takim razie to będzie dla ciebie jakaś odmiana - odparła zgryźliwie. Odeszła od niego i podniosła głos. - Dobra, ludzie. Czas obsadzić pozycje. - Odwróciła się do Tony'ego. - Słyszałeś, że udało nam się powiązać Warrena Davy'ego z ofiarami? W krajowej bazie danych DNA trafiliśmy na pokrewne DNA Billa Carra, kuzyna, któremu Davy płaci za korzystanie ze skrzynki pocztowej.

- Dobrze wiedzieć. To zawsze pocieszające, gdy my, profilerzy, naprowadzamy was na właściwy trop. Teraz już bez wątplenia jestem winien Fionie Cameron dużego drinka.

Poszli razem w stronę drzwi.

- A nigdy nie myślałeś o tym, żeby samemu zająć się analizą geograficzną? By mieć w zanadru kolejną zawodową sztuczkę?

Pokręcił głową.

- Skomplikowane obliczenia? Coś ty! To nie na moją głowę, Carol. Cały czas tylko bym się żarł z komputerem. Wystarczy już, że mówię sam do siebie, bez wciągania w ten obłąd nierozumnej maszyny.

Po zajęciach Ewan bez przygód dotarł na przystanek. Nic nie wskazywało na to, że zauważył któregoś z policyjnych obserwatorów. Dwóch z nich wsiadło za nim do autobusu - kobieta w średnim wieku w płaszczu przeciwdeszczowym i młody mężczyzna w skórzanej kurtce i nisko naciągniętej na twarz purpurowej bejsbolówce. Gdy odjeżdżali z przystanku, Carol wykonała telefon. W Barrowden czekało już na Ewana dwóch kolejnych śledczych. Jeden miał tam złapać autobus, a drugi się na niego minimalnie spóźnić i zostać na przystanku, udając, że studiuje wiszący rozkład



jazdy. Przez telefon zapewnili ją, że są już na swoich pozycjach i że w miasteczku nie widać żywego ducha, poza dwoma staruszkami grającymi w domino przed pubem.

- To będzie nie lada wyzwanie - powiedziała Carol do Tony'ego. - Wczoraj w nocy pojechałam tam na przeszpiegi. To cholerna wiocha zabita dechami. Cztery ulice na krzyż, wioskowy sklepik zamykany o osiemnastej i pub, który ominąłbyś szerokim łukiem, chyba że umierałbyś z pragnienia. Jeden przechodzień od święta. Będziemy więc musieli trzymać się od Ewana na spory dystans.

- A masz zamiar wysłać w teren więcej czujek?

- Nie. Ta dwójka w autobusie wysiada w Barrowden. Ona skieruje się do pubu, a on zatrzyma się na przystanku i zamieni parę słów z naszym spóźniałskim. Większa liczba ludzi mogłaby wzbudzić podejrzenia. Ukryliśmy też kamerę w bluszczu na kaplicy metodystów. - Wskazała na punkt za jego plecami. Gdy się odwrócił, zauważył czarno-biały monitor. Pokazywał z tyłu pleksiglasową osłonę przystanku i trójkątny szczyt bocznej ściany pubu. Oprócz mężczyzny stojącego pod wiatą przystanku ani widu innych ludzi.

- Myślisz, że Davy przyjedzie na quadzie, tak jak zapowiadał na Rigu? - zapytał Tony.

- Moim zdaniem wybierze auto. Będzie chciał mieć ofiarę w potrzasku.

Nie odezwali się do siebie nawet słowem, gdy furgonetka powoli pokonywała wąskie uliczki. Trzymali się z dala od przystanku, by nie rzucać się w oczy pasażerom autobusu, ale trójka techników w furgonetce utrzymywała stały kontakt głosowy z czujkami.

W końcu Johnny, główny technik, odwrócił się do Carol i rzekł:

- Autobus właśnie wjeżdża do Barrowden. - Carol i Tony wbili wzrok w monitor i zobaczyli autobus podjeżdżający pod przystanek.

Na obrzeżach miasteczka kierowca zjechał furgonetką na prywatny podjazd.

- Wczoraj się o niego postarałam - poinformowała Carol. - Posiedzimy tu sobie, poobserwujemy i posłuchamy.

Autobus stanął na przystanku. Ewan uprzejmie puścił kobietę w przebraniu przodem, potem sam wysiadł. Mężczyzna w bejsbolówce schylił się, by zawiązać sznurówkę. Drugi śledczy z przystanku wsiadł do autobusu.

Ewan rozejrzył się wokół, raczej zaciekawiony nieznaną okolicą niż podejrzliwie. Spojrzył na zegarek i poszedł przed siebie. Zatrzymał się w pół drogi między przystankiem a pubem, gdzie nie sposób go było przeoczyć.

Kobieta weszła do pubu. Autobus odjechał w dalszą drogę. Gdy przyspieszał, jakiś mężczyzna wyleciał w biegu z jednej z dwóch bocznych uliczek. Widząc, że autobus niknie w oddali, spóźnialski zatrzymał się, pochylił, kładąc dłonie na kolanach, i ciężko dyszał. Mężczyzna w bejsbolówce podszedł do niego, jakby się już wcześniej znali. Stanęli nieopodal, rozmawiając, potem podeszli do przystanku i prowadzili ożywioną dyskusję na temat rozkładu jazdy.

Niecałą minutę później ciemne kombi marki Volvo powoli wjechało do wioski od strony Manchesteru. Nie przyspieszało, powoli sunęło obok tujszego skweru, mijając przystanek. Na wysokości pubu auto zawróciło o sto osiemdziesiąt stopni i zatrzymało się obok Ewana.

- To on - rzuciła Carol ponurym głosem.

Johnny oderwał jedną końcówkę słuchawek od ucha.

- Za kółkiem siedzi kobieta - poprawił.

- Co?

- Kobieta. - I z powrotem docisnął słuchawkę.

Carol spojrzała na Tony'ego.

- Kobieta? Nie wspominałeś, że może chodzić o kobietę.

Tony tylko rozłożył ręce, jak zwykle zagadkowo. Na monitorze widać było, jak Ewan podszedł i nachylił się do wnętrza auta przez otwarte okno od strony pasażera. Johnny znów się odezwał:

- Kierowca mówi coś, że quad się zepsuł... To matka BB, przyjechała, żeby go odebrać z przystanku...

- Wsiada - zauważyła Carol. - Faza druga, Johnny, przekaz ludziom.

- Ciemne kombi marki Volvo zmierza w stronę Manchesteru. Pierwsze litery rejestracji to MMO7. Nie mogę na razie odczytać pozostałych. Czujki do furgonetki - poinformował technik.

Furgonetka ponownie włączyła się do ruchu. Pozostawanie tak daleko w tyle doprowadzało Carol do szału, ale Johnny regularnie informował ich o postępach operacji.

- Ciągle kieruje się w stronę Manchesteru... Tango lima dwa z tyłu... Motocykl podjeżdża od tyłu, wyprzedza tango lima dwa, na pozór ryzykownie... Teraz motocykl na przedzie. Mamy potwierdzenie, że prowadzi kobieta... chłopak pije coś z puszki... Dojeżdżają do skrzyżowania... Motocykl pojechał prosto, volvo skręciło w lewo, bez sygnału kierunkowskazem. Tango lima dwa jedzie w prawo, tango lima trzy podąża za celem... Furgonetka okrąża wieś, w kierunku południowym... Motocykl wraca na tyły tango lima trzy.

- Wygląda na to, że zmierzamy w stronę gospodarstwa Davy'ego - zauważyła Carol. - Gdzie podobno go nie było od ponad tygodnia.

- Może dziewczyna umie kłamać lepiej, niż Ambrose sądzi - skomentował Tony. - Zakładając, że to ona siedzi za kółkiem.

- Każ tango lima trzy wyprzedzić cel. Może nas prowadzić obok gospodarstwa Davy'ego i poczekać na drugim końcu. Tango lima cztery na pozycję za autem - rozkazała Carol.

Po dwudziestu minutach byli już pewni, dokąd zmierza auto z Ewanem. Jednopasmowa droga, którą jechali, prowadziła do siedziby OPD i w zasadzie tylko do niej.

- Niech tango lima trzy i motocykl zwolnią i zwiększą dystans od celu. Pamiętajcie, według Ambrose'a cały teren monitorują kamery. Na razie musimy się trzymać poza ich zasięgiem. Tango lima cztery ma jechać nadal do przodu i dołączyć do dwójki półtora kilometra za gospodarstwem.

Zjechali z drogi, zatrzymując się obok motocykla. Johnny kontynuował relację:

- Volvo skręciło w kierunku bramy... Tango lima trzy sądzi, że jest poza zasięgiem ich kamer. Wszedł z auta i wspiął się na dach... Wyciągnął lornetkę... Widzi volvo zatrzymujące się tuż obok domu... Kobieta wysiadła...

Otwiera drzwi pasażera... Otwiera drzwi domu. Tango lima trzy nie widzi nikogo, więc kobieta zapewne wlecze chłopaka do środka... Kobieta znów na zewnątrz, zamyka drzwi od strony pasażera, siada za kierownicą, podjeżdża pod stodołę, blokując jej drzwi... Idzie z powrotem w kierunku domu... Już w środku. Drzwi się zamykają. - Johnny spojrzał na Carol. - Typowe oznaki porwania, moim zdaniem.

Carol otworzyła tylne drzwi furgonetki i skoczyła na ziemię, a za nią Tony.

- I tylko porwania jesteśmy pewni - powiedziała. - Nie wiemy, czy Warren już tam jest, czy dopiero tu zmierza.

- Mógł już tam być podczas wizyty Ambrose'a - zauważył Tony.

- Alvin nie przeszukał gospodarstwa, prawda?

- Nie. I nie było sensu, by brać to miejsce pod obserwację. Biorąc pod uwagę ich zabezpieczenia, nie moglibyśmy się dostatecznie zbliżyć, by nas nie zauważyli. A za nimi rozciągają się kilometry wrzosowisk. Ktoś obeznany z terenem bez trudu mógłby zakraść się na miejsce pod osłoną nocy. - Z każdym słowem czuła się coraz mniej przygotowana. - Wiemy jednak, że był wczoraj rano w Bradfield, bo wysłał Ambrose'owi mejla z miejskiej biblioteki.

- Musisz wtargnąć do środka, Carol. Wiemy przecież, że ten zabójca nie traci czasu. A chłopak jest już nieprzytomny. Jeśli Warren tam jest, w tym momencie zapewne owija głowę Ewana plastikowym workiem. Nie możesz pozwolić umrzeć temu chłopakowi. Nigdy sobie tego nie wybaczysz. A Paula prawdopodobnie cię własnoręcznie udusi - dodał tonem pozbawionym choćby pierwiastka beztroski.

Przytaknęła.

- Masz rację. - Nachyliła się do środka furgonetki i krzyknęła:

- Wkraczamy! Wszyscy pod bramę! Ale już!

Wskoczyła z powrotem do nieoznakowanej białej furgonetki i wyciągnęła rękę, pomagając wejść Tony'emu. Wyprzedzili auto i motocykl i pierwsi dotarli do bramy.

Carol wygrzebała się z vana i podeszła do domofonu.

- Policja! Otwierać! - krzyknęła. - Liczę do trzech! Jeden... dwa...

Ciężkie wrota zaczęły się powoli rozwierać. Carol pobiegła przez skraj podjazdu. Furgonetka, a za nią reszta pojazdów, jechała powoli u jej boku.

Zostawili wozy na podwórzu i hurmą ruszyli w kierunku domu. Carol wysforowała się naprzód i gwałtownie otworzyła drzwi. Zatrzymała się na progu, ogarniając wewnątrz domu.

Ewan McAlpine leżał na plastikowej folii pośrodku wyłożonej kafelkami podłogi, nieprzytomny, ale wciąż żywy. Na stole leżał gruby plastikowy worek, rolka przezroczystej taśmy klejącej i skalpel. Obok siedziała kobieta, z twarzą ukrytą w dłoniach, szlochając spazmatycznie.

- Przepraszam... Przepraszam... - lamentowała. - Tak bardzo, bardzo mi przykro.

## ROZDZIAŁ 40

Zarówno Tony, jak i Carol skupili całą uwagę na scenie, która rozgrywała się po drugiej stronie lustra weneckiego, dokładnie naprzeciwko gabinetu Carol.

Trochę im zeszło, zanim wrócili z siedziby OPD do komendy głównej bradfieldzkiej policji. Najpierw czekali na karetkę. Po obdukcji sanitariusze orzekli, że Ewan McAlpine jest w wystarczająco dobrym stanie, by przewieźć go pod eskortą policji do szpitala Bradfield Cross. Następnie czekali, aż Diane Patrick przestanie histeryzować. Gdy tylko zamknęły się za nią kraty aresztu, doszła do siebie na tyle, by zażądać adwokata. Carol i Tony mieli więc aż nadto czasu, by rozplanować taktykę przesłuchania.

- Sądzę, że na początek powinnaś wysłać Paulę - powiedział Tony, nie czekając, aż Carol zapyta go o zdanie.

- To powinnam być ja, w końcu jestem naczelnikiem sekcji. To podniesie rangę przesłuchania. A wysoki stopień przesłuchującego już na wstępie wytrąca ludzi z równowagi. Niezależnie od tego, czy są Bogu ducha winni czy też winni jak diabli.

Carol otworzyła drzwi gabinetu i krzyknęła:

- Ej, ludzie... Królestwo za kawę!

Tony zaczął przechadzać się po pokoju.

- Właśnie dlatego, że jesteś naczelnikiem SPC, powinnaś się wstrzymać. Diane Patrick brała udział w tych przestępstwach, to pewne. Możliwe, że pod przymusem. Albo, co równie prawdopodobne, uczestniczyła w tym z własnej, nieprzymuszonej woli. A jeśli tak, to wkurzy się, że nie traktujecie jej na tyle poważnie, by przesłuchiwał ją sam szef. A gniew działa

na naszą korzyść. Przecież wiesz. Chcemy, żeby byli wkurzeni. Wtedy o wiele łatwiej tracą głowę.

- Wierz mi, potrafię inaczej ją rozzłościć.

- A jeśli ją do tego zmuszono, o wiele przychylniej zareaguje na kogoś, kogo nie uzna za zagrożenie. Innymi słowy, na niższego rangą śledczego. Tak czy siak, wygrasz, jeśli pozwolisz pójść Pauli na pierwszy ogień. Nie mówię, że nie dostaniesz swojej szansy. Ale niech Paula spróbuje jako pierwsza.

- Może byś tak usiadł, co?! Dostają hopla, jak się kręcisz wte i wewte po tym małym pokoiku! - wściekała się Carol.

Opadł na najbliższe krzesło

- To pomaga mi zebrać myśli.

Stukanie do drzwi.

- Kawa przyszła - poinformował Kevin.

Carol otworzyła drzwi, wzięła od niego dwa kubki i biodrem zamknęła drzwi.

- Włożę słuchawkę do ucha. Będziesz mi podpowiadał, jak odpowiednio ją podejść.

- Przecież wiesz, że nikt nie robi tego lepiej od Pauli! - Zdawał sobie sprawę, że igra z ogniem, ale i tak musiał to powiedzieć.

- Sugerujesz, że lepiej prowadzi przesłuchania niż ja? - Szerokim gestem pchnęła kubek po biurku w jego stronę, niczym właściciel saloonu w filmach o Dzikim Zachodzie. Mało brakowało, a kawa wylądowałaby Tony'emu na spodniach. Rzadko widywał, by Carol była tak nakręcona po aresztowaniu. Kładł to jednak na karb tego, że Warren Davy wciąż przebywał na wolności.

- To nie walka o głupią dominację i dobrze o tym wiesz - odparł spokojnie. - Nie masz podstaw, by wątpić w swoje zawodowe zdolności. To twój sposób kierowania zespołem sprawił, że znaleźliście się w tym miejscu. Właśnie dzięki temu, że pozwalasz podwładnym robić to, w czym się sprawdzają, nawet jeśli z powodzeniem mogłabyś ich wyręczyć.

- Nie rozumiem - odpowiedziała, ściągając brwi i wbijając w niego zawzięte spojrzenie.

- Weź na przykład Sama - zaczął. - Wiesz, że to indywidualista. Wiesz, że nie lubi się dzielić, bo uważa, że wszystko bez wyjątku może zrobić

lepiej niż inni. Wbiję ludziom nóż w plecy, jeśli uzna, że to posunie jego karierę do przodu, ale tylko wtedy, gdy to nie zaszkodzi śledztwu. Wielu przełożonych już dawno podziękowałoby mu za współpracę, bo nie umie grać zespołowo. Ale ty mimo wszystko trzymasz go przy sobie. I pozwalasz mu wykorzystywać jego zdolności. - Zamilkł, z przebiegłą miną mówiącą: „Mam rację, czyż nie?”.

- Pewnie, że tak. On ma nieprzeciętny talent.

- To jeden powód. A drugi jest taki, że dostrzegasz w nim cząstkę siebie. Pierwiastek dawnej Carol Jordan, kawał ambitnego zadziora, który nie osiągnął jeszcze odpowiedniego szczytu kariery. Patrzą tak na każdego z nich. - Skrzywił się. - No, może z wyjątkiem Stacey. Ale wiesz przecież, że Paula świetnie radzi sobie w roli przesłuchującej. A wiesz to, bo w tym aspekcie przypomina ci samą siebie. Pozwól więc jej się za to zabrać, Carol.

Tony dojrzał wahanie na jej obliczu.

- Czasem mam wrażenie, że przypada mi w udziale sama ciężka harówka, a zero przyjemności - narzekała.

Uśmiechnął się.

- Nie ma to jak porządna dawka uzalania się nad sobą. Bardzo ładnie z twojej strony - skomentował z przekąsem. - Ale wracając do rzeczy, gdyby nowa dziewczyna Pauli nie znalazła się we właściwym miejscu o właściwej porze i z właściwą wiedzą, niewykluczone, że jeszcze długo byśmy nie skojarzyli niektórych faktów.

Paula zasłużyła na swoje pięć minut.

Spojrzała na niego.

- Nie znoszę, kiedy mnie przywołujesz do porządku.

- Ale dzięki temu bez lęku spojrzysz rano w lustro. - Wypił trochę kawy i skrzywił się. - Lepiej chodźmy i zobaczmy Paulę w akcji.

Paula przez niemal dwadzieścia minut kazała na siebie czekać Diane Patrick i jej adwokat. Powzięła tę decyzję, gdy okazało się, że aresztowanej towarzyszy Bronwen Scott, nestorka wśród bradfieldzkich specjalistów od prawa karnego. Scott zyskała niemalą sławę, obalając oskarżenia przeciwko winnym i oczyszczając z zarzutów niewinnych, toteż z oczywistych



względów nigdy nie zaskarbiła sobie sympatii policji. Tym bardziej że za każdym razem nie omieszkła przypominać im o swoich sądowych sukcesach. Carol nawet nie starała się ukryć swojej pogardy dla Scott, a jej zespol w pełni to popierał.

Trudno byłoby znaleźć dwie kobiety tak różne od siebie jak te, które siedziały teraz przed Paulą. Scott wyglądała jak niedosiężny ideał prawnika, w nienagannej garsonce, której krój i materiał jawnie manifestował, że nie była zwykłym obrońcą z urzędu. Zawsze miała wyniosły wyraz twarzy, ale ostatnimi czasy jej oblicze przypominało woskowe popiersie - mięśnie zdawały się w ogóle nie poruszać. Paula podejrzewała, że to sprawa botoksu albo przesadnego liftingu. Diane Patrick wydawała się jak z zupełnie innej bajki. Gorzkie łzy, które wcześniej wylała, rozmazały jej makijaż i zaczerwieniły twarz. Włosy miała poczochrane, a czarne oczy podkrążone i przekrwione. Spoglądała na Paulę wzrokiem zbitego spaniela, a dolna warga drgała jej bezwiednie. Wygląd obu nie zrobił jednak na Pauli najmniejszego wrażenia.

Dopilnowała, by magnetofon zarejestrował zwyczajowe ostrzeżenie, którego udzieliła Diane. Otworzyła akta.

- Dziś wieczór porwałaś i odurzyłaś czternastoletniego chłopca, Diane. Gdy weszliśmy do domu, w którym mieszkasz wraz ze swoim partnerem Warrenem Davym, znaleźliśmy cię sam na sam z Ewanem McAlpine'em. Chłopak był nieprzytomny. Na stole, przy którym klęczałaś, leżały przezroczysty plastikowy worek, rolka taśmy klejącej oraz skalpel...

- Czy w najbliższym czasie przejdziemy w końcu do pytań? Przecież to już wiemy. W końcu zapewniłście nam wgląd do akt sprawy - wtrąciła się Scott.

Paula nie pozwoliła się zbić z tropu.

- Jedynie przypominam twojej klientce, w jak poważnym znalazła się położeniu. Wracając do tematu, rzeczy na stole były identyczne z akcesoriami użytymi do popełnienia czterech zabójstw czternastolatków w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Trudno jest zatem wyciągnąć inny wniosek niż ten, że nosiłaś się z zamiarem zabójstwa Ewana McAlpine'a.

Oczy Diane Patrick rozwarły się tak szeroko, jak pozwalały jej na to opuchnięte powieki. Była wyraźnie przerażona.

- Nie, to nieprawda! - Jej głos przeszedł w paniczny wrzask. - Nigdy nikogo nie zabiłam! Musicie mi uwierzyć! To był Warren! Czekałam na Warrena! To on mnie do tego zmusił! - Ukryła twarz w dłoniach.

Paula cierpliwie czekała. W końcu Diane podniosła głowę, ukazując łzy spływające po policzkach.

- Czy skłaniasz się ku opinii, że Warren Davy był sprawcą zabójstw Jennifer Maidment, Daniela Morrisona, Seta Vinera i Nialla Quanticka? I że planował zabójstwo Ewana McAlpine'a?

Diane przełknęła ślinę i czknęła, łykając łzy. Potem przytaknęła.

- Tak. On zamordował ich wszystkich. Zmusił mnie, bym mu pomogła. Powiedział, że mnie też zabije, jeśli nie wypełnię jego poleceń.

- I uwierzyłaś mu? - zapytała Paula z rozmyślnym niedowierzaniem.

Diane popatrzyła na śledczą jak na obłąkaną.

- Oczywiście że tak. Przecież już wcześniej zabił moje dziecko.

Dlaczego więc miałabym mu nie wierzyć?

- Zabił twoje dziecko? Kiedy to się stało?

Ciałem Diane wstrząsnął dreszcz.

- W zeszłym roku. Żyło tylko kilka godzin. - Przeciągle westchnienie zdawało się uwolnić ją od koszmaru i zezwoliło przejść przez gardło kolejnym słowom wyjaśnienia. - Praktycznie więził mnie przez ostatnie tygodnie ciąży. Urodziłam w domu. Przekonywał mnie, że szpital jest niepotrzebny, że kobiety rodzą w domach od pokoleń. I miał rację. Było całkiem znośnie. Jodie, tak ją nazwałam. To najlepszy dar, jaki dostałam od losu przez całe życie. Od zawsze marzyłam o dziecku. I wtedy on ją zabrał, przyłożył rękę do jej ust i nosa, aż przestała oddychać. - Zaczęła się jąkać, jej słowa drgały jak didżej skreczujący winylową płytę.

Pochyliła głowę i objęła się rękoma. - On ją zabił. Z zimną krwią, na moich oczach. - Zaczęła kiwać się w przód i w tył, kurczowo zaciskając palce na ramionach.

I tym razem Paula przeczekwała nawałnicę niemiłych wspomnień. Wiedziała, że Scott szukała pretekstu, by przerwać przesłuchanie - i to z winy śledczej. Paula pilnowała się więc, by nie dać prawnicze żadnych podstaw do interwencji.

- A dlaczego miałby to zrobić? - zapytała, gdy Diane się uspokoiła.

- Zrobił coś złego. Ale nie wiem co. Nie mógł mi powiedzieć. Ale to miało coś wspólnego z danymi jakiegoś klienta. Przez to ktoś umarł. - Zdawało się, że Diane zagłębia w głąb siebie, jakby powracała we wspomnieniach do jakiegoś wydarzenia. - I wyraźnie coś w nim pękło. - Spojrzała w spokojne oczy Pauli. - Wiem, że to brzmi dziwnie, ale tak było. Ciągłe powtarzał, że nosi w sobie zło jak wirusa. Mówił, że nie może pozwolić mojej Jodie żyć, by nie zaraziła jego wirusem następnego pokolenia. Płakał, gdy ją dusił. - Przyłożyła rękę do ust i ponownie zaczęła się kiwać.

Paula przygotowała się na to, że Diane zrzuci całą winę na swojego partnera, tym bardziej że udało mu się wymknąć z pułapki i nie było go z nimi, nie mógł więc się bronić. Początkowo sceptycznie podchodziła do jej wyjaśnień, ale w miarę przebiegu przesłuchania wątpliwości Pauli zaczęły się rozwiewać. Relacja Diane Patrick zawierała w sobie coś potwornie przekonywającego. Kobieta bez wątpienia była roztrzęsiona. A trudno było sobie wyobrazić, że mogłaby tak wiarygodnie symulować załamanie.

- Boleję nad twoją stratą - zapewniła Paula. - Ale tu się zaczynam gubić. W jaki sposób przeszedł od dzieciobójstwa do morderstwa tych nastolatków?

Oblicze Diane Patrick wyrażało nieskrywane zaskoczenie. Było tak jawne, że podawało w wątpliwość wszelkie inne spostrzeżenia Pauli.

- Ponieważ one również były jego dziećmi. Nie wiedzieliście?

- A skąd mieliśmy wiedzieć? - zapytała Paula. - Ustaliliśmy tylko, że ofiary łączy ten sam dawca spermy, ale nie było sposobu, by potwierdzić, że był nim Warren. Nikt nie ma dostępu do tych informacji. Nawet policja z nakazem.

Diane wbiła wzrok w śledczą, wyraźnie brakło jej słów. Paula się uśmiechnęła.

- Co od razu nasuwa następne pytanie. Jak Warren dowiedział się, kim były jego dzieci?

Długa cisza. Paula mogłaby się założyć, że przez ten czas Diane rozważała, czy ewentualne kłamstwo nie będzie miało krótkich nóg. W końcu kobieta odpowiedziała. Powoli, jakby badając grunt.

- Zmusił mnie do tego. Zagroził, że mnie zabije.

- Tak, już wspominałaś. Udusił twoje dziecko, a potem ci groził. A nie przyszło ci do głowy, że mogłabyś uciec?

Diane gorzko się zaśmiała.

- Od razu widać, że nie masz pojęcia, jak funkcjonuje współczesny świat. W cyberprzestrzeni Warren jest jednym z panów wszechświata. Może i mogłabym uciec, ale nigdy nie zdołałabym się ukryć. On już znalazłby sposób, by mnie ukarać.

- Ale jakoś teraz nie boisz się mówić - zauważyła Paula.

- Tak. Ale wy go przecież złapiecie i nie pozwolicie mnie skrzywdzić - odparła Diane, całkowicie spokojna po raz pierwszy od początku przesłuchania.

- A gdzie on jest? Gdzie go znajdziemy?

- Nie wiem. Nie nocował w domu od czasu pierwszego zabójstwa.

- Powiedziałaś mojemu koledze, że Warren jest na Malcie - przypomniała Paula.

Diane spojrzała na adwokata.

- Bałam się - odparła.

- Słyszałaś, co mówi moja klientka - wcięła się Scott.

- Zastosowano wobec niej groźbę karalną. Działała pod przymusem.

- Przymus to żadne usprawiedliwienie dla zabójstwa - rzuciła Paula.

- Jednak dotychczas nikt nie sugeruje, że moja klientka dopuściła się zabójstwa albo usiłowania zabójstwa lub zdrady stanu, które stanowią jedyne przesłanki wyłączające kontratyp działania pod przymusem - zripostowała Scott, a stanowczy ton tych słów współgrał z wyrazem twarzy.

- Chciałabym powrócić na chwilę do jednej z poprzednich kwestii - powiedziała Paula, spoglądając bezpośrednio na Diane, która najwyraźniej

puściła mimo uszu wymianę zdań między śledczą a prawniczką. - Jak Warren poznał nazwiska dzieci, które pośrednio spłodził?

Diane nie wytrzymała spojrzenia Pauli i odwróciła wzrok. Skubała kciukiem krawędź stołu i uważnie przyglądała się własnej dłoni.

- HFEA wynajęła pewną firmę od ochrony danych, by przechowywała ich kopie zapasowe. Stanowimy niewielką społeczność. Wszyscy znają wszystkich. Warren dowiedział się, kto pracuje dla HFEA, i w zasadzie ich przekupił. Powiedział im, że to my zarchiwizujemy dane, a potem przekazemy im kopię zapasową i zapłacimy tyle samo co HFEA. W ten sposób dostaną dwa razy tyle kasy praktycznie bez wysiłku.

- I nie pytali, dlaczego tak bardzo zależało wam na dostępie do tych danych? Nie obawiali się, że to może zagrozić ich własnym zabezpieczeniom?

- Nie ma takich obaw, gdy ubijasz interes z jednym ze swoich.

Paula pomyślała, że gówno prawda, i zanotowała w pamięci, by później powrócić do tej kwestii.

- Więc Warren pojechał do siedziby HFEA i zrobił kopię zapasową ich bazy danych, czy tak?

Diane przygryzła skórę wokół paznokcia na kciuku.

- To byłam ja. Jego zdaniem kobiety wzbudzają mniejsze podejrzenia.

- Podkraślaś więc dane umożliwiające ustalenie tożsamości osób, które korzystały ze spermy Warrena?

- Nie miałam innego wyboru! - odparła z wyraźną zawziętością w głosie.

- Wszyscy mamy wolność wyboru - zauważyła Paula. - Ty po prostu zdecydowałaś się z niej nie skorzystać i w rezultacie czworo dzieci straciło życie.

- Pięcioro - poprawiła Diane. - I wydaje ci się, że tego nie wiem?

Scott nachyliła się w stronę Diane i szepnęła jej coś do ucha. Diane przytaknęła.

- Wiedziałaś, co Warren zamierza, gdy kradłaś te dane? - zapytała Paula.

- Wtedy w ogóle nie myślałam zbyt jasno. Byłam oszalała z rozpaczy po stracie dziecka.

- Musimy znaleźć Warrena, Diane. Powiem ci otwarcie, że w tym momencie powinnaś myśleć tylko o sobie. Według prawnej definicji współudziału w zbrodni, którą, jak mniemam, panna Scott z radością ci przybliży, możemy ci postawić cztery zarzuty o zabójstwo. Nie mogę ci nic obiecać, bo nie mamy uprawnień do zawierania układów jak ci śledczy z telewizorni. Ale jeśli nam teraz pomożesz, my szepniemy sędziemu parę dobrych słów o tobie. Jeszcze raz pytam: gdzie jest Warren, Diane?

Kobieta zamrugła, a z jej oczu znów popłynęły łzy.

- Nie wiem. Klnę się na Boga! Jesteśmy parą od siedmiu lat i wcześniej ani razu nie zniknął bez wieści. Nie ma go dłużej w domu, tylko gdy zajmuje się klientem, a i wtedy wiem przynajmniej, w którym hotelu się zatrzymał. Nigdy wcześniej się przede mną nie ukrywał.

- A jaki był plan na dziś? Czy miał się zjawić, by zabić Ewana?

- Powinien być w domu, jeszcze zanim odebrałam Ewana. Mówił, że wróci znacznie wcześniej. Gdy nadszedł czas, by pojechać po Ewana, długo rozważałam, czy w ogóle powinnam ruszać się z domu. Ale bałam się, co może mnie spotkać, jeśli bym nawaliła. Więc zrobiłam swoje. - O mały włos, a Diane by się triumfalnie uśmiechnęła. Nie uszło to uwagi Pauli. - Teraz już na pewno się nie pojawi, skoro wasza banda się tam kręci.

- Dobrze się ukrywamy - stwierdziła Paula.

- Łudzicie się. Bez trudu się dowie, co wydarzyło się tego popołudnia. Może zdalnie uzyskać dostęp do każdej kamery. Nawet gdyby wrócił do domu, to i tak się zorientuje, że nadchodzicie, jak tylko podjedziecie pod bramę. Wiedział, że w niedzielę był u mnie ten czarnoskóry glina, jeszcze zanim wysłałam mu mejla. Nie wiem, gdzie się ukrył, ale z pewnością jest zawsze krok przed wami.

- Brzmi to, jakbyś była z tego zadowolona - zauważyła Paula.

- Jeśli tak sądzisz, to najwyraźniej masz problemy ze słuchem.

Była to pierwsza oznaka waleczności, z jaką zdradziła się Diane, i to za-intrygowało Paulę.

- A co z rodziną? Rodzicami, rodzeństwem? Przyjaciółmi?

- Trzymaliśmy się z Warrenem tylko we dwójkę - wytłumaczyła. - On nie dogaduje się z rodzicami. Nie ma z nimi kontaktu.

- Jak na razie działasz na własną niekorzyść, Diane - ostrzegła Paula. - Przejęliśmy wasze komputery. Wspomniałaś, że Warren jest panem komputerowego wszechświata. Otóż moja koleżanka jest nawet lepsza w te klocki. Pewnie podczas naszej rozmowy zdążyła już dogrzebać się do waszej książki adresowej.

- Nie sądzę - stwierdziła spokojnie Diane. - Nie na darmo jesteśmy specjalistami od zabezpieczeń. Jeśli spróbuje się włamać, dane nadpiszą się w przypadkowy ciąg znaków.

Paula zarechotała.

- Na twoim miejscu nie byłabym taka pewna. - Odsunęła krzesło. - Skoro nie wykazujesz chęci pomocy, to szkoda mojego czasu. Zebraliśmy wystarczające dowody, by oskarżyć cię o porwanie, bezprawne pozbawienie wolności i usiłowanie zabójstwa.

- W takim razie postawcie mojej klientce zarzuty albo ją zwolnijcie. Prawda jest taka, że macie tyle co nic. Chłopak wsiadł do auta z własnej woli. Zemdlął. Nie możecie obarczyć mojej klientki odpowiedzialnością za żadną rzecz, którą jej partner zostawił na kuchennym stole. - Scott już miała dać wyraz swojemu świętemu oburzeniu, ale Paula ucięła dyskusję.

- Powiedz to jutro rano sędziemu. Na razie skończyłam. Ale później będziemy mieli kolejne pytania, więc dobrze by się stało, gdyby była pani pod ręką, panno Scott.

## ROZDZIAŁ 41

Tony wyjął dłonie z kieszeni i skrzyżował ręce na piersiach. - Dobra jest ta Diane. Nawet bardzo dobra. Kłamie tylko wtedy, gdy musi, więc człowiek nawet nie zauważy, że mija się z prawdą. Zresztą, nic jej nie zdradza. Żaden tik, nic z tych rzeczy.

Obrócił się gwałtownie, gdy weszła Paula. Oparła się o ścianę, wyraźnie wyczerpana.

- Twarda sztuka - podsumowała.

- Celna obserwacja - pochwalił Tony. - To najlepszy rodzaj kłamcy. Jeden z tych, którzy sami siebie przekonują, że mówią prawdę.

- A twoje wrażenia, Paula? - zapytała Carol.

- Na początku byłam po jej stronie. Kupiłam jej bajeczkę. Przekonała mnie, że naprawdę ją zastraszył. Ale wtedy był taki moment, chyba gdy zadałam pytanie w sposób sugerujący, że nie wiedzieliśmy o tym, że Warren był biologicznym ojcem ofiar. Jej reakcja była tak jawnie autentyczna, że musiałam ustawić nowy punkt odniesienia i zorientowałam się, że nie jest znowu taka szczerą, na jaką przed nami pozuje. - Paula odgarnęła włosy z czoła. - Nic z niej nie wydobyłam. Gównu do kwadratu.

- Nie było aż tak źle - uspokoił ją Tony. - Dzięki tobie wiemy o wiele więcej niż wcześniej. Obraz sytuacji zaczyna się rozjaśniać.

- Ale i tak musimy znaleźć Warrena - włączyła się Carol. - Poleciłam Stacey, by miała na oku jego kartę kredytową, wszystkie znane adresy meilowe, prawo jazdy i paszport. A dziś pokażemy w wiadomościach jego zdjęcie.



- Do tego czasu już dawno się ulotni - narzekala Paula.  
- Nie zdaniem Tony'ego. Warren ma misję do wypełnienia, dobrze mówię, Tony?

Pograżony w zadumie, Tony zmarszczył brwi:

- Co?

- Nie śpij! Mówię o twoim wniosku, że Davy wyznaczył sobie jakąś misję.

Podrapał się po głowie.

- A tak, właśnie tak powiedziałem. Ale nie znajdziesz go, Carol. - Chwycał kurtkę z krzesła, na które wcześniej ją rzucił. - Muszę z kimś pogadać - powiedział zagadkowo. Skierował się do drzwi.

- Z kim? I o czym? - piekliła się Carol. Ale mówiła już do zamkniętych drzwi.

Stacey nie była jedyną osobą, która mogła skorzystać z dobrodziejstw współczesnej technologii informacyjnej. Ostatnimi czasy, dysponując nakazem, niejedną sprawę można było załatwić zaskakująco szybko. Przykład? Gdy Kevin wrócił na komendę i do sali sztabowej SPC, niemal natychmiast dostał nowe zadanie - zdobyć billingi rozmów z telefonów zarejestrowanych na firmę OPD i Diane Patrick. Udało mu się namierzyć sędziego, który w niecałą godzinę podpisał nakaz, potem Kevin go zeskanował i przesłał mejlem do właściwych ludzi. Nie czekał długo na odpowiedź - pracownicy firm telekomunikacyjnych choć raz się nie gudzrali.

Kevin zdziwił się, że na wykazie rozmów z interesujących go numerów widniała tak niewielka liczba połączeń, i zapytał o zdanie Stacey:

- Myślisz, że używał telefonu, o którym nie wiemy? Na przykład takiego na kartę pre-paid?

- Możliwe - odparła Stacey. - Ale większość ludzi w branży ICT woli korzystać z mejla albo komunikatorów. O wiele łatwiej zaszyfrować transmisję danych. Telefony są strasznie słabo zabezpieczone - wyjaśniła.

A potem udostępniła mu program, który działał jak książka telefoniczna, tylko że w drugą stronę. Wystarczyło jedno naciśnięcie klawisza, a

nazwy i adresy powiązane z numerami zaczęły zapełniać ekran jednego z monitorów.

Kevin przeczytał listę od deski do deski i zauważył, że zawierała głównie dane firm. Podejrzał, że wszystkie one były prawdopodobnie klientami OPD, ale i tak trzeba było przedzwonić do każdej, by się upewnić. Na wykazie widniało też kilka połączeń z Carr's Garage. Kevin był niemal pewien, że chodzi o warsztat tego kuzyna Davy'ego, który odbierał przesyłki dla OPD, ale zanotował sobie, by zapytać o to Ambrose'a.

Jedno połączenie wyróżniało się na tle reszty - rozmowa z bezpośrednim numerem do zakładu utylizacji odpadów środowiskowych samorządu hrabstwa. Diane Patrick dzwoniła do nich w czwartek rano. Rozmowa trwała osiem minut. Powodowany nagłym impulsem Kevin przesunął ich na czoło listy firm do obdzwonienia i wykręcił numer.

Połączył się z nieodzownym w dzisiejszych czasach automatycznym biurem obsługi. Musiał wybrać trzy opcje, zanim w słuchawce odezwał się głos żywego człowieka.

Przedstawił się, potem dodał:

- Interesuje mnie pewna telefoniczna rozmowa z waszym zakładem, która miała miejsce w czwartek rano. Niewykluczone, że mogłaby ona stanowić dowód zabójstwa, w którego sprawie prowadzimy obecnie śledztwo. - Lata służby nauczyły go, że słowo „zabójstwo” działa na biurokratów niczym napój energetyzujący.

- Zabójstwo? - głośno powtórzyła kobieta po drugiej stronie kabła. - Ale my nic nie wiemy o żadnym zabójstwie.

- W to nie wątpię. - Kevin przybrał pojednawczy ton, który zawstydziłby nawet laureatów Pokojowej Nagrody Nobla. - Chciałbym, żeby sprawdziła pani swoje rejestry. Podejrzany o zabójstwo dzwonił do was w czwartek i ustalił z wami termin wywozu jakichś odpadów spod swojego domu. Muszę się upewnić, a jeśli mam rację, to chciałbym się dowiedzieć, co zabraлиście.

- Nie wiem, czy wolno mi udzielić takiej informacji - powiedziała z wątpliwaniem. - Ochrona danych osobowych, rozumie pan.

Kevin powstrzymał się od jęku. Ustawa o ochronie danych osobowych niemal z miejsca stała się parawanem, za którym chował się tchórzliwie każdy służbista w tym kraju.

- Zresztą - ciągnęła - skąd mogę wiedzieć, że rzeczywiście jest pan policjantem?

- Zróbmy tak. Podam pani dokładny czas rozmowy i numer abonenta. Niech pani to skonsultuje z przełożonym. A potem proszę tak czy siak odzwonić pod mój numer na komendzie głównej bradfieldzkiej policji. Naprawdę nie chciałbym marnować czasu na zdobycie nakazu, ale jeśli pani kierownik będzie nalegał, to się o niego postaram. Może być?

- Ano chyba - zgodziła się niechętnie.

Kevin podał jej szczegóły dotyczące podejrzanej rozmowy, główny numer na policyjną centralę oraz powtórzył swoje imię, nazwisko i stopień. Gdy odłożył słuchawkę, założył się z samym sobą, że skoro była już prawie szesnasta trzydzieści, kobieta odezwie się do niego najwcześniej jutro rano. Mógł więc z powodzeniem skupić się na prześwietleniu prywatnych firm figurujących na billingach.

Rozmawiał właśnie z drugim z kolei klientem OPD, gdy Sam pomachał w jego stronę.

- Ktoś z utylizacji odpadów do ciebie - zawołał. - Mówią, że chodzi o zamrażarkę czy coś.

Kevin zakończył wcześniejszą rozmowę i odebrał drugie połączenie.

- Sierżant Matthews. Dziękuję, że oddzwoniliście.

- Z tej strony James Meldrum, kierownik sekcji zakładu utylizacji odpadów środowiskowych - poinformował formalny głos w słuchawce. - Rozmawiał pan wcześniej z jedną z moich podwładnych.

- Zgadza się. Chodziło mi o telefon od Diane Patrick albo firmy OPD.

- Sprawdziłem w moich wytycznych i jak miemam, mogę udzielić panu informacji, o które pan indagował moją pracownicę. - Umilkł, jakby czekając na poklask.

- Dziękuję. Będę zobowiązany - odparł Kevin przymilnie, z opóźnieniem

zorientowawszy się, że jego rozmówca czeka na podziękowanie.

- Niejaka Diane Patrick zwróciła się do nas z prośbą o wywóz zamrażarki z górną klapą z terenu jej nieruchomości. Rzeczony mienie wczoraj rano zostało odebrane przez naszych pracowników.

- Zamrażarka? - Kevin poczuł przyływ entuzjazmu. - Była pusta?

- W przeciwnym wypadku nasi pracownicy nie zdołaliby jej unieść.

- A wie pan, gdzie się ona teraz znajduje?

- Mamy do dyspozycji wydzielony teren przysposobiony do przechowywania lodówek i zamrażarek przed ich utylizacją. Prawo oblige nas do podjęcia szczególnych środków ostrożności w tym zakresie. Zapewne więc ten dobytek zabrano właśnie tam. - Meldruma wyraźnie fascynowały tajniki własnego fachu. I retoryczne popisy.

- I wciąż tam jest? Nie została jeszcze zutylizowana? - dopytywał się Kevin.

- Z wielką przykrością muszę skonstatować, że mamy pewne zaległości w zakresie właściwej utylizacji. Tak że owszem, z pewnością jeszcze tam stoi. W towarzystwie wielu podobnych utensyliów, pozwolę sobie dodać.

- A potrafiłby pan wskazać, którą z zamrażarek zabrano z domu Diane Patrick? - zapytał Kevin, trzymając kciuki.

- Ja osobiście nie, z oczywistych względów. Ale nie można wykluczyć, że pracownicy, którzy podjęli się wywozu, będą w stanie określić z przyzwoitym prawdopodobieństwem, które urządzenie pochodzi od panny Patrick.

- A czy ci pracownicy, czy mogą być jeszcze w pracy?

Meldrum nerwowo... zachichotał? Tak przynajmniej odebrał to Kevin.

- Dobry Boże, nie. Z pewnością nie o tej porze nocy. Zaczynają pracę o siódmej rano. Jeśli byłby pan tak uprzejmy, by podjechać w okolicach tej godziny do naszej zajezdni, to jestem pewien, że nasi pracownicy z przyjemnością postarają się odpowiedzieć na pana pytania.

Kevin zapisał namiary na zajezdnię i nazwiska pracowników, z którymi powinien porozmawiać. Podziękował Meldrumowi, potem odchylił się na oparcie, a na jego piegowatą twarz wstąpił bardzo szeroki uśmiech.

- Wyglądasz jak kot, który w końcu dorwał kanarka - zauważył Sam.  
- Skoro zabójca pozbywa się zamrażarki w ferworze morderczego szału, to wielce prawdopodobne, że znajdziemy w niej jakieś ciekawe dowody, nie sądzisz?

Tony znalazł Ambrose'a w sali sztabowej SPC, gdzie ten przekopywał się przez listę klientów, którą OPD opublikowało na swojej stronie internetowej.

- Staram się odszukać kogoś, kto utrzymywał jakiegokolwiek towarzyskie stosunki z Warrenem Davym - wytłumaczył, gdy Tony zapytał go, nad czym tak się biedzi. - I do tej pory znalazłem tyle co nic.

- Tak się zastanawiałem... Czy mógłbyś podrzucić mnie pod garaż tego kuzyna Davy'ego? Przypomnij mi... Jak on się nazywał?

Ambrose dziwnie na niego spojrział.

- Dobra, już dobra. Wiem, że powinienem wam przesłać ten raport. Bill Carr. Tak się nazywa. - Posłał mu zrezygnowany uśmiech. - W każdej jednostce musi być jakiś błazen, nie?

Tony uśmiechnął się niewyraźnie. Nie miał pojęcia, o co chodzi z tym raportem.

- Skoro tak twierdzisz. Możesz mnie do niego zabrać?

Ambrose podniósł swoje zwaliste ciało.

- Pewnie. Ale nie sądzę, żeby wiedział, gdzie jest Davy. Dziś po południu już do niego dzwoniłem.

- Wcale nie wątpię, że nie wie - odparł Tony. - I nie o tym chcę z nim rozmawiać. Sam bym pojechał, ale wierz mi, mam najgorsze wycucie kierunku jak świat długi i szeroki. Przez tydzień błędziłbym dookoła południowego Manchesteru, gdybym pojechał sam.

- I sądzisz, że ja poradzę sobie lepiej? Jestem z Worcesteru, pamiętasz?

- To i tak wygrywasz w przedbiegach.

W drodze do Manchesteru Tony nakręcił Ambrose'a na rozmowę o życiu w Worcesterze. Dowiedział się, jak pracowało się w jednostce policji West Mercia. Jak to Ambrose uważał Worcester za wspaniałe miasteczko, świetnie nadające się do wychowywania dzieci. Wystarczająco małe, by wiedzieć, co się w nim święci, ale dostatecznie duże, by nie odczuwać klaustrofobii i syndromu zaściankowości.

Przynajmniej Tony'emu się nie nudziło, nie musiał też rozmyślać nad tym, o czym zamierzał rozmawiać z Billem Carrem. To już zresztą doskonale wiedział.

Ambrose skręcił w ślepą uliczkę i wskazał Tony'emu garaż. Wyglądało na to, że zdążyli w ostatnim momencie - Bill Carr, odwrócony do nich plecami, zaciągał właśnie na drzwi grubą żaluzję antywłamaniową.

- Nie bierz tego do siebie, Alvinie, ale w takich sytuacjach lepiej sobie radzę w pojedynkę - wyjaśnił Tony, po czym wysiadł z auta i podbiegł, by złapać Carra, zanim odjedzie.

- Bill? - zawołał Tony.

Carr odwrócił się i pokręcił głową.

- Za późno, kolego. Mam już fajrant.

- To nic nie szkodzi, z moim wozem wszystko w porządku. - Tony wyciągnął rękę na powitanie. - Tony Hill. Pracuję dla policji w Bradfield. Czy moglibyśmy zamienić kilka słów?

- Znów chodzi o tę hecę z autem Warrena? Przecież już tłumaczyłem tamtemu gościowi. Ja tylko pomagam mojemu kuzynowi. Nie mam nic wspólnego z ich interesami ani nic. - Jego oczy latały wte i wewte, szukając drogi ucieczki za plecami Tony'ego. Carr wywinął kołnierz swojej dżinsowej kurtki i wsadził ręce do kieszeni dżinsowych spodni. Postawa obronna jak u dziecka, które wie, że coś spsociło.

- Bez obaw, chciałem tylko pogadać trochę o Warrenie i Diane - odparł Tony ciepłym głosem wzbudzającym zaufanie. - Może postawiłbym ci piwo?

- Wpakował się w jakąś aferę, co? Ten nasz Warren? - Słowa Carra zdradzały niepokój, ale nie zdziwienie.

- Szczerze? Tak, na to właśnie wygląda.

Kuzyn Warrena wyduł policzki i wypuścił powietrze.

- Ostatnio nie był sobą. Jakby coś go gryzło. Myślałem, że chodzi po prostu o interesy, kapujesz? Ludziska teraz plajtują z dnia na dzień. Ale nie chciał ze mną o tym gadać. Nie byliśmy sobie aż tak bliscy.

- Chodźmy jednak napić się tego piwa - zaproponował uprzejmie. - Gdzie tu jest jakaś porządna knajpa?

Poszli w milczeniu do pubu na rogu, który był niegdyś mordownią dla ludu pracującego, a teraz służył jako azyl czytelników „The Guardian”. Tony przypuszczał, że zrobili tu browar w latach siedemdziesiątych, ale niedawno przywrócili temu miejscu dawny pretensjonalny wygląd z podłogą z powycieranych sosnowych desek i niewygodnymi krzesłami z giętego drewna.

- Później zwala się tu kupa pierdolonych studentów, ale o tej porze ujdzie w tłoku - skomentował Carr, gdy usiedli już przy barze i sączyli z kufli niezgorsze piwo o gorzkim smaku i absurdalnej nazwie, warzone w jakimś pokątnym browarze.

- Od jak dawna Diane i Warren są parą? - zapytał Tony.

Bill myślał przez chwilę, dotykając koniuszkiem języka kącika ust.

- To już chyba będzie z sześć czy siedem latek. Znają się dłużej, ale wolno się między nimi rozkręcało, rozumiesz?

Tony znał z autopsji to powolne miłosne pałanie i niegasnące gorące uczucie. Wiedział też doskonale, że czasem nie przeradza się ono w płomienną miłość.

- Pewnie więc w końcu połączyły ich wspólne interesy - zażartował Tony.

- Nie sądzę, by nasz Warren mógł się spiknąć z laską, która nie miałaby bzika na punkcie komputerów. On tylko o nich potrafił rozmawiać. Dostał pierwszego kompa w podstawówce, złapał bakcyła i całkowicie się w tym zatracił. - Pociągnął porządny łyk piwa i grzbietem dłoni wytarł pianę z ust.

- Wychodzi na to, że on dostał od losu rozum, a ja urodę.

- Dobrze się dogadywali, Diane i Warren?

- Raczej tak. Ale, tak jak mówiłem, niespecjalnie się z nimi przyjaźniłem.

Nie mieliśmy ze sobą zbyt wiele wspólnego, kumasz? Warren nawet nie lubił oglądać gały! - Ta uwaga brzmiała w ustach Carra zupełnie tak, jakby uważał, że dziwakami niepasjonującymi się piłką nożną powinien zainteresować się psychiatra.

- No popatrz, a ja jestem wiernym kibicem Bradford Victorii - pochwalił się Tony.

Carr szybko podchwycił ten temat i długo dyskutowali o piłce, nie omieszkując drzeć łacha z Manchesteru United, Chelsea, Arsenalu i Liverpoolu. Co pozwoliło Tony'emu wkupić się w łaski Carra, który zaczął uważać go za „swego człeka”.

Gdy popijali drugi kufel piwa, Tony rzucił swobodną uwagę:

- Ale nie mieli żadnych dzieciaków.

- A ty masz?

Tony pokręcił głową.

- Ja mam dwójkę, z byłą żoną. Widuję je w co drugi weekend. Brakuje mi ich, kumasz? Ale nie można zaprzeczyć, że życie jest o wiele prostsze, gdy nie musisz użerać się z nimi cały boży dzień. Warren by tego nie zniósł. Potrzebował swobody, a to jedna rzecz, o której możesz zapomnieć, jak masz dzieci.

- Zbyt wielu ludzi płodzi potomków, a potem zachowują się tak, jakby byli w ciężkim szoku, że naprawdę trzeba poświęcić im odrobinę uwagi.

- Dokładnie - odparł Carr, podkreślając swoją aprobatę uderzeniem palca w kontuar baru. - Warren miał dość oleju w głowie, by pojąć, że dzieci to nie dla niego. I zatroszczył się o to, żeby tak zostało.

- Jak to? - Tony nadstawił ucha.

- W czasach studenckich poddał się wazektomii. Wtedy widywaliśmy się znacznie częściej. Zawsze miał sprecyzowane plany na przyszłość, a jakże. Ale dzieci? A gdzie tam! Warren wiedział, że jest inteligentny i że ma dobre geny. Ale wiedział też, że byłby chujowym tatusiem, więc wykombinował, że zostanie dawcą spermy. Strząsnął kapucyna do tego ich plastikowego kubeczka, wziął za to kasę, a po wszystkim zakręcił kurek. Co on mi wtedy powiedział? Pamiętam, że to było całkiem zmyślne... „Dla potomności bez odpowiedzialności”. Chyba coś w ten deseń.



- I nigdy tego nie żałował?

- Z tego, co wiem, to nie. Ale nigdy nie odważył się wyznać tego Diane. Ona miała obsesję na punkcie dziecka, szczególnie przez ostatnie trzy czy cztery lata. Mówił, że wciąż mu zawracała tym głowę. Aż go uszy bolały. Dziecko, dziecko, tylko to jej chodziło po głowie. A skoro na samym początku nie powiedział jej o swojej „podwiązce”, nie mógł się do niej przyznać po latach. Szczególnie że jakoś na początku związku wspomniał jej, że oddał swoje plemniki do przechowalni. Śmiechu warte, jak słowo daję. Poszli nawet do kliniki, a on wciąż w zaparte, ani słowa o wazektomii. Koniec końców Diane próbowała sztucznego zapłodnienia, ale było już za późno. Ona jest sześć lat od niego starsza, więc już wtedy była po czterdziestce i jej jajeczka wysmażyły się na wiór.

- I nigdy się nie dowiedziała? - zapytał Tony jakby od niechcienia.

- Jaja se robisz? Gdyby się szcziła, toby go normalnie, kurwa, zabiła.

Tony spojrział w głąb kufła.

- Tak właśnie myślałem.

## ROZDZIAŁ 42

Tony zastał Carol w towarzystwie Pauli w pokoju obserwacyjnym, gdzie właśnie omawiały strategię kolejnej tury przesłuchania Diane Patrick. Z szelmowskim uśmiechem na ustach opowiedział im, czego się dowiedział od Billa Carra. Carol spojrzała na Tony'ego, wyraźnie zaskoczona.

- Wazektomia? Mówisz poważnie?

- Śmiertelnie poważnie. Warren Davy podciął nasieniowody, gdy miał dwadzieścia lat z małym hakiem.

- To jakim cudem w zeszłym roku urodziła jego dziecko? - dopytywała się Paula.

- O ile to nie było niepokalane poczęcie, to nie urodziła - zauważył Tony. - To wierutna bzdura, na której zasadzają się pozostałe kłamstwa. Bez tego cała bajeczka posypie się jak domek z kart. Nie ma więc podstaw, by obawiać się o własne życie. Dlaczego więc pomaga Warrenowi mordować jego dzieci?

- Spojrzał wyczekująco na obie śledcze, robiąc kółka dłońmi, jak nauczyciel zachęcający swoich uczniów do udzielenia odpowiedzi na trudne pytanie.

Carol i Paula wymieniły skonsternowane spojrzenia.

- Nie pomaga? - zaryzykowała ta druga.

- Prawidłowa odpowiedź - pochwalił Tony.

- Ale przecież przyjechała po Ewana McAlpine'a i go odurzyła - protestowała Paula. - Temu nie da się zaprzeczyć.

Tony udał rozczarowanie.

- Prawidłowa odpowiedź, niewłaściwe rozumowanie. Diane nie pomaga Warrenowi. Robi to z własnej inicjatywy. - Przekrzywił głowę i spojrzał

w górę na róg sufitu. - A skoro już o tym mowa, to prawdopodobnie zabiła najpierw samego Warrena.

- Wróć! Od początku! - powiedziała Carol. - Zgubiłam się.

- To straszne, ale proste. Jej zegar biologiczny zaczyna tykać. Chce dziecka, ale nie z adopcji. Za wszelką cenę chce być matką dziecka Warrena. Znaczący, popada w prawdziwą obsesję. Dostaje takiego fioła, że nie zdziwiłbym się, gdyby z zazdrości taranowała auta z naklejką „dzieciak na pokładzie”. Wie, że Warren ma dobre geny, że może spłodzić dzieci, bo był w końcu dawcą spermy, ergo musi być pierwszorzędnym rozplodowcem. Starają się więc o dziecko, ale lata mijają i nici. Idą więc do kliniki leczenia bezpłodności i wcześniej czy później wychodzi na jaw, że Warren strzela ślepakami. Na próbę korzystają ze spermy dawcy, ale ona nie tego chce. Ona pragnie dziecka Warrena. Tak czy siak, szybko okazuje się, że już po zawodach, bo jej komórki jajowe przekroczyły datę ważności. Diane jest zdruzgotana. Możliwe, że nosi się z myślą o samobójstwie. Nadążacie do tej pory?

- Piąte przez dziesiąte, ale w miarę rozumiem - odparła ironicznie Carol.

- I tak docieramy do punktu, którego nie jestem pewien. Jakimś sposobem Diane odkryła ten wielki wstydlivy sekret Warrena. Że zaraz po tym jak oddał spermę, zrobił sobie „podwiązkę”.

- Może głowiła się nad tym, dlaczego przestał być płodny. Albo po prostu nie mogła się powstrzymać. W końcu jest królową wśród hakerów, nie? A teraz różne informacje medyczne przechowują na serwerach - gdybała Paula. - Może więc zwyczajnie lubi wtykać nos w nie swoje sprawy i wiedzieć wszystko o wszystkich.

- Możliwe. Najważniejsze, że jakoś się dowiedziała. I przez to straciła kontakt z rzeczywistością. Wpadła w istny amok. Mężczyzna, którego kochała tak bardzo, że chciała urodzić tylko i wyłącznie jego dziecko, okazał się podłym zdrajcą. I nie tylko nie mógł dać jej dziecka, ale do tego właściwie zniweczył jej szanse na dorobienie się potomka z kimś innym, bo za długo starała się o niego z Warrenem. I to daremnie. Więcej: bez sensu! A fakt, że zdążył już wcześniej spłodzić Bóg wie ile bękartów, przelał czarę goryczy.

Carol cicho zaklaskała, parodiując aplauz.

- Cudowny występ, doktorku. A jak niby mamy udowodnić jakkolwiek z twoich hipotez?

Tony wzruszył ramionami.

- Znajdując ciało Warrena?

- Nie jest przecież głupia - zauważyła Carol. - Jeśli masz rację, to jej długofalowy plan zakładał zwalenie całej winy na Warrena i albo upozorowanie jego samobójstwa, albo udawanie, że zapadł się pod ziemię. Jego ciała nie znajdziemy w żadnym oczywistym miejscu.

Przez kolejne kilka minut w milczeniu rozważali ten problem. W końcu odezwała się Paula:

- Zawsze możesz po prostu wydusić z niej przyznanie się do winy, szefowo.

Carol zdobyła się na znużony uśmiech.

- Oglądasz za dużo telewizji, Paula. Z jakichś względów przełożeni krzywo patrzą na akcje w stylu Brudnego Harry'ego.

Tony przemierzył pokój i ni stąd, ni zowąd uściskał Paulę, wyraźnie zdumioną.

- Ale ona ma rację, Carol - powiedział, odsuwając się od niespodziewanie wyściskanej. - Tyle że zamiast argumentów siły musicie użyć siły argumentów.

- Tylko ty potrafiłbyś ją zagiąć - odparła Carol. - A koło Diane Patrick siedzi Bronwen Scott. Ona w życiu się nie zgodzi, by wpuścić cię do środka.

- Ale nie może mnie wyrzucić z twojego ucha.

Tony przyglądał się zza weneckiego lustra, jak Carol i Paula weszły do sali przesłuchań. Bronwen Scott, która wcześniej nachyliła się w stronę swojej klientki i szeptem wymieniała z nią uwagi, od razu się wyprostowała.

Carol usiadła i rzuciła akta na stół.

- Kiedy się dowiedziałas, że Warren przeszedł wazektomię? - zapytała stanowczo.

Diane Patrick zrobiła wielkie oczy.

- Pięknie - skomentował Tony w stronę mikrofonu. - Dowal jej jeszcze raz.

- Pozwól, że powtórzę. Kiedy się dowiedziałas, że Warren przeszedł wazektomię?

- Pierwsze słyszę. - Diane wciąż grała zastraszoną i godną pożałowania szarą myszkę. Tony sądził jednak, że niedługo wypadnie z roli.

- Piętnaście lat temu Warren Davy poddał się wazektomii. Wiesz, co to wazektomia, co, Diane?

- Oczywiście że tak - odparła. - Ale nie wierzę pani. W końcu urodziłam jego dziecko.

Carol prychnęła.

- No tak. Wasze legendarne dziecko. Ciekawe, co na to twoje karty lekarskie.

- Moja klientka już wyjaśniała, że pan Davy nie pozwolił na interwencję lekarską, gdy była w ciąży - wcięła się Scott. - Nie widzę potrzeby, by znów do tego wracać.

- Powiedz jej, że nie było żadnego dziecka - podpowiedział Tony. - Stwierdź, nie pytaj.

- Nie było żadnego dziecka. Nie mogło go być, skoro Warren Davy poddał się wazektomii w wieku dwudziestu jeden lat.

- Dreczysz moją klientkę - interweniowała Scott. - Zadaj pytanie i przejdźmy dalej.

- Teraz ją zapytaj - odezwał się głos Tony'ego w uchu Carol.

- Jakim cudem urodziłaś dziecko Warrena po tym, jak poddał się przecięciu nasieniowodów?

- Jakoś niektórym to nie przeszkadza. Czytałam o tym. Niektórzy płodzą dzieci nawet po wazektomii - odparła z przekonaniem Diane. - Jeśli masz rację, w co nie wierzę, to widać byliśmy jednymi z tych szczęściarzy.

- Zignoruj jej odpowiedź, Carol. Pora stwierdzić, że nie mogła mieć dzieci, że nigdy nie będzie ich mieć.

- Fakty mają się tak, że nigdy nie miałaś dziecka z Warrenem. Ani z nikim innym. A teraz i tak już za późno. Spójrz prawdzie w oczy, Diane. Nigdy nie będziesz matką. A skoro ty nie mogłaś mieć dziecka z Warrenem, to nikt inny nie może, prawda? - Ton głosu Carol był bezlitosny, a jej zimne spojrzenie na wskroś przewiercało Diane.

Gdy odezwała się Bronwen Scott, Carol zaszczyciła adwokat spojrzeniem.

- W dalszym ciągu nęka pani moją klientkę, pani nadinspektor Jordan. Nalegam, żeby w końcu zadała pani jakieś pytanie - powiedziała Scott.

- Właśnie zadałam - zauważyła Carol. - Ale dla pewności ujmę je inaczej. Nie chcesz, żeby ktoś inny miał dziecko z Warrenem, co, Diane?

- Nie mam nic do tych dzieciaków - odparła cicho Diane.

- Przypomnij jej, że nigdy nie będzie matką jego dziecka - podszeptała Tony. - Ponieważ niedostatecznie ją kochał.

- To dzieci, których ty nigdy nie będziesz miała. Dzieci, o których marzyłaś. Dzieci, które dał innym kobietom. Ale nie tobie. Myślisz, że zataił przed tobą prawdę, bo tak naprawdę cię nie kochał?

- Ależ kochał - rzuciła Diane.

Tony wyczytał z jej twarzy pierwsze oznaki gniewu.

- Ale nie kochał cię na tyle, by powiedzieć ci prawdę. Nie kochał cię na tyle, by cofnąć wazektomię. Nie chciał mieć z tobą dzieci, co? Wolał, żeby dać je nieznanym niż tobie, nieprawdaż?

- Pani nadinspektor, jeśli nie przestanie pani zdręzczać mojego klienta, zażądam, by w tej chwili zakończyć przesłuchanie - przerwała jej Scott, kładąc rękę na ramieniu Diane, by ją uciszyć.

W tym momencie Tony'ego rozproszył głos Kevina, którego głowa pojawiła się w uchylonych drzwiach.

- Właśnie coś znalazłem. Pomyślałem sobie, że Carol mogłaby to wykorzystać.

- Czyli co? - Tony starał się dzielić uwagę między przesłuchanie a Kevina.

- Wczoraj zakład utylizacji zabrał zamrażarkę spod siedziby OPD. Jutro z samego rana ją obadamy.

Tony się wyszczerzył.

- Z nieba mi spadasz, Kevin. Wielkie dzięki! - Ponownie skupił całą swoją uwagę na wydarzeniach w sali przesłuchań. Carol i Scott wciąż się sprzeczały. Raczej więc nie ominęło go za wiele.

Począł na dogodny moment i przekazał Carol informacje zdobyte przez Kevina.

Carol uśmiechnęła się złośliwie.

- Chcesz pytać, Bronwen? Dobra. Skoro nalegasz, to chciałabym

zapytać swoją klientkę, w jakim celu umówiła się na wczoraj z zakładem utylizacji na odbiór zamrażarki z jej domu.

Tym razem szok na obliczu Diane był aż nadto widoczny.

- Bo... bo była zepsuta. Nie działa.

- Wyślemy na miejsce całą masę techników kryminalistycznych, by zbadali tę zamrażarkę milimetr po milimetrze - ostrzegła Carol. - Czy znajdziemy tam ślady krwi Warrena?

- Już wam przecież mówiłam! - Głos Diane przeszedł w pisk. - Nie wiem, gdzie jest Warren!

- Kiedy go zabiłaś, Diane?

- Nie rozumiem, co pani sugeruje. Pani Scott, proszę jej powiedzieć, że nie wiem, gdzie jest Warren, i że go nie zabiłam. Ja go kocham.

- Zapytaj, czy zauważyła, że te dzieciaki są podobne do Warrena. Że tak wyglądałyby jej własne dzieci - odpowiedział Tony.

- Czy zauważyłaś, że wszystkie dzieci przypominały Warrena?

- A co w tym dziwnego? W końcu były jego dziećmi. Złe nasienie, tak o nich mawiał. To jego słowa, że muszą umrzeć, a nie moje! - Teraz już krzyczała, mimo że Scott próbowała ją uspokoić, kładąc rękę na ramieniu klientki.

- A czy przez te dzieciaki nie zaczęłaś się czasem zastanawiać, jak wyglądałoby twoje własne dziecko?

Scott odsunęła krzesło.

- Basta! Mam już tego po dziurki w nosie. Moja klientka padła ofiarą niegodziwego człowieka. Zameczanie świadka tendencyjnymi pytaniami jest całkowicie niedopuszczalne. Ani słowa więcej, póki nie przedstawicie w końcu choć jednego dowodu obciążającego moją klientkę.

- Przypomnij jej, że poniosła porażkę - podszeptnął Tony. - Ona będzie ostatnią ze swego rodu, a nie odwrotnie.

Carol zlekceważyła słowa Scott i wbiła spojrzenie w Diane Patrick.

- Przegrałaś, czyż nie? Dorwałaś tylko czwórkę. A reszta wciąż żyje. To dla ciebie jak policzek, jak kpina. Dzieci, których ty nigdy nie będziesz miała, potomkowie Warrena, wydorosłeją i dorobią się własnego potomstwa. I dzięki temu jego krew będzie krążyć w żyłach następnego pokolenia. Ale ty umrzesz i co? Koniec. Kropka. Gruba kreska. Złe nasienie

wypleni się razem z tobą. I z twoim wyjałowionym łonem.

Diane wyszczerzyła zęby niczym wściekły pies i rzuciła się przez stół na Carol. Jednak Bronwen Scott miała szybki refleks i zdążyła złapać swoją klientkę, zanim doszło do rękoczynów.

- Już dobrze, Diane. Uspokój się. Nie daj się jej podpuścić. Nie mają żadnych dowodów, dlatego próbuje cię sprowokować.

Atmosferę napięcia rozładowało pukanie do drzwi. Do środka weszła Stacey i przedstawiła się z myślą o nagraniu z przesłuchania.

- Muszę porozumieć się z tobą w jednej kwestii, szefowo - powiedziała urzędowym tonem.

Carol włączyła pauzę i podążyła za Stacey na korytarz. Tony biegiem do nich dołączył.

- O co chodzi, Stacey? - dopytywała się Carol.

- Kevin skończył właśnie rozmawiać z klientami OPD - zaczęła. - Sprawdzał połączenia z telefonów firmy, by się upewnić, że to były rozmowy w interesach, a nie bardziej zdróżnego. No więc tak: Kevin pomyślał sobie, że skoro już do nich dzwoni, to wypyta ich, kiedy po raz ostatni widzieli Warrena Davy'ego. Skrupulatnie zanotował sobie wszystkie daty i godziny. Gdy zauważyłam, co ustalił, odpaliłam jeden taki program i porównałam to z terminami logowania się zabójcy na Rigu i rozmów z ofiarami. Oraz z miejscami, z których łączył się z serwisem. I wyłania się z tego jasny schemat. Warren ma solidne alibi na co najmniej dwadzieścia sesji w sieci. Nie mógł osaczyć tych ofiar. Bo w tym czasie pracował u klientów. Zupełnie gdzie indziej.

Stacey wręczyła Carol plik wydruków.

- Tu macie czarno na białym, gdzie pracował Warren. A obok miejsca, z których w tym samym czasie prowadzono rozmowy na Rigu.

Carol odchyliła głowę do tyłu.

- Zaje-kurwa-biście!

- No i skończyły się psychologiczne podchody - zaironizował Tony.

Carol poklepała go po ramieniu.

- Już ją osłabiliśmy. Pora na cios z zaskoczenia i nokaut. I wiercie mi, będę miała z tego niezłą radochę.



## ROZDZIAŁ 43

Mijając próg swojego domu, Tony ściągnął krawat i rzucił go na poręcz schodów. Poszedł prosto do kuchni, nalał sobie szklane kranówki i wychylił ją ciurkiem. Stał, opierając się o zlew, nie zatrzymując wzroku na niczym konkretnym. Carol i jej zespół opijali właśnie swój wielki sukces w prywatnym pokoju na tyłach ich ulubionej tajskiej restauracji. Rozumiał, że chcą się odstresować po potwornym napięciu, w jakim żyli podczas śledztwa w sprawie wielokrotnych zabójstw, ale nie był w stanie przyłączyć się do ich fety.

Ostateczne rozbicie Diane Patrick nie dawało mu żadnych powodów do świętowania. Ten wrzeszczący i bełkoczący wrak człowieka w niczym nie przypominał już wykształconej, odnoszącej niegdyś sukcesy kobiety, która dzieliła swój czas między pracę a związek. Gdy ta jedna obsesja przejęła całkowitą kontrolę nad jej życiem, wszystko inne zeszło na drugi plan. A gdy w końcu zrozumiała, że jej marzenie nie miało najmniejszych szans, by się spełnić, a winę za to ponosi jedyny człowiek, którego naprawdę kochała, coś w niej pękło. Większość ludzi w tym stanie ograniczyłaby się do zabicia Warrena Davy'ego. I gdyby na tym się skończyło, być może sąd spojrziałby na nią przychylniejszym okiem, dając wiarę argumentom obrony, że jej równowagę psychiczną całkowicie rozchwiała wstrząsająca zdrada jej ukochanego.

Ale obsesja Diane Patrick była tak wszechogarniająca, a jej pragnienie tak głęboko zakorzenione, że musiała wymazać go na zawsze z kart historii. A to równało się zgładzeniu dzieci, które przyszły na świat, nosząc w sobie jego geny. To było zupełnie irracjonalne, a jednak - całkowicie zrozumiałe. Brytyjski system prawny był jednak zbyt ograniczony, by

pomieścić całą złożoność ludzkich obłądów, szczególnie gdy te wiązały się z mordowaniem dzieci. Diane Patrick nigdy już nie odzyska wolności. Dopełni swych dni w miejscu takim jak klinika psychiatryczna przy Bradfield Moor - jeśli los się do niej uśmiechnie - lub więzienie o zaostrzonym rygorze - jeśli się na nią wypnie.

Tony nie sądził, że Diane powinna uniknąć tej czy innej kary za swoje zbrodnie. Ale podświadomie czuł raczej litość niż nienawiść. Zastanawiał się, co on na jej miejscu zdołałby ugrać znaczącymi kartami, które dostała od nieprzychylnego krupiera losu.

Nie mógł już dłużej o tym rozmyślać.

Tony ściągnął kurtkę i zawiesił ją na oparciu kuchennego krzesła. Wyjął piwo z lodówki i usiadł przy stole. Światło padające z okrągłych lamp zamontowanych pod szafkami błyskało na metalowej powierzchni przedmiotu częściowo ukrytego pod stertą papierów na stole. Mimowolnie sięgnął w tę stronę i znalazł cyfrowy dyktafon, który zostawił mu Arthur. Wpatrywał się w niego długo i w skupieniu. Ta cała sprawa, która dopiero co znalazła swój stosunkowo szczęśliwy finał, obracała się wokół ojców i dzieci - upominał się w duchu. A jej sednem była niewiedza.

Unikanie zrozumienia i trwanie w ignorancji nie było rozważnym posunięciem. Wiedział to przez cały czas. Tyle że wcześniej nie był gotów, by się z tym zmierzyć.

Wziął piwo i poszedł do gabinetu, w którym zostawił wygodne, wyściełane skórą słuchawki. Tony podłączył je do dyktafonu i rozsiadł się w swoim ulubionym fotelu. Drugie siedzisko stało naprzeciwko, dokładnie tam, gdzie zostawił je po „rozmowie” z zabójcą kilka dni temu. Tony wyobraził sobie, że tym razem siedzi w nim Arthur, i włączył dyktafon.

- Cześć, Tony. Tu Arthur. Albo Eddie, jak mnie nazywali w czasach, gdy uganiałem się za twoją matką po całym Halifaksie -rozpoczął lekki i melodyjny głos z nutką jorkszyrskiego akcentu młodzieńczych lat Arthura. - Dziękuję, że zechciałeś wysłuchać tego, co mam ci do powiedzenia.

Wiem, że żadne słowa ani żaden gest nie wynagrodzą ci faktu, że nie byłem częścią twojego życia. Wypadałoby zacząć od wyjaśnienia, że nie

miałem pojęcia o twoim istnieniu. Gdy wyjechałem z Halifaksu, całkowicie odciąłem się od przeszłości. Za chwilę wyjaśnię dlaczego. Tak więc nie wiedziałem o twoich narodzinach. Czternaście lat później, gdy spędzałem urlop na Rodos, przez przypadek spotkałem parę moich byłych pracowników z fabryki w Halifaksie. Oczywiście od razu mnie poznali. Nie było sensu, by próbować ich przekonać, że mnie z kimś pomylili. Nalegali, bym dał sobie postawić drinka i wysłuchał, jak potoczyły się koleje ich losu.

Ta parka przeprowadziła się do Sheffield, ale ich rodzina wciąż mieszkała w Halifaksie, więc byli na bieżąco z wydarzeniami z tamtych stron. Pamiętali, że byłem zaręczony z Vanessą, i nie mogli się nachwalić, na jakiego grzecznego chłopca wyrósł jej syn. Nie to co inni młodzi ludzie, skonstatowali. Rychło zmiarkowałem, że skoro dziecko Vanessy ma naście lat, to wielce prawdopodobne, że to ja byłem jego ojcem.

Ale życie nauczyło mnie, że nie należy wyciągać pochopnych wniosków. Nie chciałem rozbudzać w sobie płonnych nadziei. Gdy wróciłem z urlopu, nająłem prywatnego detektywa, by dowiedział się o tobie wszystkiego, co tylko zdoła. Odszukał twój akt urodzenia i zrobił ci kilka zdjęć. Daty się zgadzały, poza tym wyglądałeś jak ja w twoim wieku. Byłem zdumiony. I nie posiadałem się ze szczęścia. Nie miałem już żadnych wątpliwości, że jesteś moim synem. - Głos Arthura zadrżał i Tony włączył pauzę. Jego oczy zaszkliły się łzami, z trudem przełknął ślinę. Wmusił w siebie łyk piwa i słuchał dalej.

- Wtedy nagle pojąłem, że mam związane ręce. Vanessa najwyraźniej powzięła stanowcze postanowienie, że nie powinniśmy wiedzieć o swoim istnieniu. Obawiałem się, że jeśli spróbowałbym to zmienić, tylko bym ci zaszkodził, bo Vanessa zapewne właśnie na tobie wyładowałaby całą złość, spowodowaną urazą do mojej osoby. A wiedziałem, że jest do tego zdolna. - Odchrząknął. - Ponadto obawiałem się, że moje nagłe pojawienie się w twoim życiu mogłoby wyrzucić na ciebie niekorzystny wpływ. Dobrze radziłeś sobie w szkole i nie chciałem ci przeszkadzać w nauce. Czternaście lat to trudny wiek. Niewykluczone, że wcale nie powitałbyś mnie z otwartymi ramionami. Miałbyś dobre powody, by gniewać się na człowieka, który porzucił cię na pastwę Vanessy. W rezultacie postanowiłem trzymać

się na uboczu. Tłumacząc sobie, że to było dla twojego dobra, ale pewnie wiązało się to poniekąd także z moim tchórzostwem. Powody mojego lęku wyjaśnię za chwilę.

I tym sposobem dochodzimy do kwestii, która z trudem przechodzi mi przez gardło. To, co za chwilę ci powiem, możesz uznać za konfabulację. Za paranoję. Ale tak przedstawia się prawda. Przysięgam. Możesz uwierzyć lub nie, twoja wola. Znasz swoją matkę co najmniej tak dobrze, jak ja znalazłem ją kiedyś. Potrafisz więc ocenić, czy moja opowieść brzmi prawdopodobnie, czy też nie.

Lata temu byłem inteligentnym młodzieniaszkiem u progu wielkiej kariery. Zawsze miałem smykałkę do wynalazków. Większość pomysłów okazała się mrzonkami, ale niektóre się przyjęły. Moja pierwsza firma odniosła sukces, ponieważ wymyśliłem unikalny proces galwanizacji precyzyjnych instrumentów chirurgicznych. Powodziło mi się i kilka dużych przedsiębiorstw było gotowych zapłacić bajeczne sumy za mój patent. Rozpierała mnie duma, nie powiem. Wiedziałem, że jestem na dobrej drodze, by dorobić się fortuny i wieść szczęśliwe życie, co było niemałym osiągnięciem dla chłopaczka z robotniczej rodziny z zaściankowego Sowerby Bridge.

W tym czasie zabiegałem o względy twojej matki. Byłem po uszy zadurzony w Vanessie. Nigdy wcześniej nie spotkałem takiej kobiety jak ona. Miała wdzięk gwiazdy filmowej. Przy niej każde inne dziewczę w Halifaksie wypadalo blade. Wiedziałem, że potrafi być bezwzględna. Twoja babka była twarda jak skała i wychowała Vanessę na swoje podobieństwo. Lecz gdy zaczęliśmy myśleć o naszym związku na poważnie, wydawało mi się, że złagodniała. Była świetną towarzyszką. I piękną kobietą. - Teraz głos Arthura był pełen pasji, głęboki i silny. Tony nie raz i nie dwa widział, jak skutecznie Vanessa roztraca swój urok wśród innych ludzi, więc doskonale rozumiał, jakim sposobem Arthur dał się jej owinąć wokół małego palca.

- Gdy poprosiłem ją o rękę, jakaś cząstka mnie była przekonana, że mnie wyśmiej. Ale zgodziła się. Byłem w siódmym niebie. Uzgodniliśmy, że pobierzemy się na wiosnę, a Vanessa zaproponowała, żebyśmy spisali testamenty, zostawiając sobie nawzajem cały dobytek. Pracowała wtedy u notariusza, więc mogła to załatwić za darmo. Poza tym i tak miała zrezygnować z pracy po ślubie, więc pomyślałem, że lepiej byłoby załatwić

tę sprawę, póki jeszcze nic nas nie będzie kosztowała. - Przez chwilę zachichotał szyderczo. - Pewnie myślisz sobie, że typowy ze mnie skąpiec z Północy. Cosik za grosik, jak to mówią tubylcy. Cóż, może i testament nie kosztował mnie ani pensa, ale za niektóre późniejsze wydarzenia nieomal nie przyszło mi zapłacić najwyższej ceny.

Spisaliśmy testamenty, w których obydwójce zostawialiśmy sobie nawzajem cały majątek. Jakoś w tym czasie zaczęła się o mnie ubiegać pewna firma z Sheffield. Chcieli z miejsca odkupić cały mój biznes, wraz z patentem. Oferowali mi pokaźną sumę gotówki plus dożywotnie opłaty licencyjne za korzystanie z mojego patentu. To byłby znakomity interes dla człowieka, który nie miał ambicji, by osiągnąć o wiele więcej własnym sump-tem. A ja miałem. W głowie nosiłem różne marzenia i nadzieje, także te związane z moją fabryką i zatrudnionymi tam ludźmi. Vanessa sądziła, że zwariowałem. Uważała, że powinienem sprzedać wszystko i żyć jak pączek w maśle z procentów. „Ale co zrobimy, jak pieniądze się skończą?”, dopytywałem się. Powiedziała, że przecież mnie zna, że wpadnę na kolejny genialny pomysł i ponownie go spieniężmy. Ale to mnie nie przekonywało. Naczytałem się o zbyt wielu innych wynalazcach, którzy po pierwszym sukcesie już nigdy nie wymyślili niczego nowego, co warte byłoby choć złamanego grosza.

Spodziewam się, że pewnie wiesz, jaka jest twoja matka, gdy wbije sobie coś do głowy. Dyskusja z nią nie miała sensu. A ja się uparłem. To w końcu była moja firma i nie miałem zamiaru jej ulec. Powtarzałem sobie, że muszę postawić na swoim, bo inaczej przez resztę życia będę spełniał wszystkie jej zachcianki. Tak więc utknęliśmy w martwym punkcie. A tak mi się przynajmniej zdawało.

Pewnej nocy wracaliśmy do domu spacerem przez Savile Park. Było ciemno, późno, a w pobliżu żywego ducha. Vanessa znów przekonywała mnie, żebym sprzedał firmę. Pamiętam, że odparłem: „Po moim trupie”. I raptem poczułem potworny, rozdzierający ból w klatce piersiowej. Miałem wrażenie, jakby wszystko działo się w zwolnionym tempie. Vanessa stała przede mną, w rękę trzymała pokryty krwią nóż. Spojrzałem w dół i z przerażeniem zdałem sobie sprawę, że na przedzie koszuli pojawiła się czerwona

plama. Tracąc świadomość, czułem jeszcze, że upadam, i byłbym w stanie przysiąc, że usłyszałem, jak Vanessa mówi: „Wykrakałeś, Eddie”.

Potem pamiętam, że ocknąłem się w szpitalu, a lekarz twierdził, że tylko cudem uniknąłem śmierci. Przy moim łóżku stała Vanessa, trzymając mnie za rękę i uśmiechając się słodko. Przez chwilę myślałem, że tracę zmysły. Ale wtedy doktor zostawił nas samych, a ona powiedziała: „Zeznałam na policji, że nas obrabowano. Nawet nie próbuj zaprzeczać, bo zamkną cię u czubków”.

Bo widzisz, w zamyśle Vanessy ja miałem umrzeć. By ona postawiła na swoim. Ale nie umarłem. Za to uciekłem. Jak tylko wydobrałem, sprzedałem firmę i wyniosłem się na drugi koniec świata. Przez rok studiowałem metalurgię w Kanadzie, potem wróciłem i zamieszkałem w Worcesterze. Wydało mi się przyjemnym miasteczkiem. Ponadto nikogo tam nie znałem. Zresztą do teraz z nikim się nie zaprzyjaźniłem, a przynajmniej niezbyt blisko. Historia z Vanessą odebrała mi apetyt na miłość. Niełatwo jest się oddać uczuciu w przypadku, gdy twoja ostatnia ukochana próbowała cię zabić.

Mimo to prowadziłem dostatnie, szczęśliwe życie. I właśnie wtedy dowiedziałem się o tobie. A gdy już wpadłeś mi w oko, dyskretnie śledziłem twoje losy. Z dumą obserwowałem twoją karierę. Wiem, że nie mogę przypisać sobie żadnych zasług w tym zakresie, ale jestem dumny, że wyrosłeś na takiego człowieka. Bardzo bym chciał, żebyś sam założył rodzinę i nie jest jeszcze na to za późno. Powiedziano mi, że pozostajesz w bliskich stosunkach z tą śledczą, z którą pracujesz, Carol Jordan. Jeśli to jest ta jedyna, nie zmarnuj szansy.

W każdym razie, powiedziałem już, co mi chodziło po głowie. I wciąż boleję nad tym, że nigdy nie byłem ci ojcem. Mam nadzieję, że teraz chociaż mnie zrozumiesz, nawet jeśli nie będziesz miał ochoty mi wybaczyć. Liczę też na to, że z przyjemnością wydasz pieniądze, które ci zostawiłem. Życzę ci długiego i szczęśliwego życia, synu. - Potem cisza. Ostatnie słowo było jak cios w samo serce.

Tony ściągnął słuchawki z uszu i przygryzł wargę. Ciężar nagromadzonego smutku przygniótł go, odzywając się tępym bólem klatki piersiowej i gardła. Nie miał pojęcia, co było gorsze - to, że wysłuchał opowieści Arthura, czy to, że nie wątpił w jej wiarygodność. Wysłuchawszy tak szokujących

słów o matce, wielu mężczyzn nie posiadałoby się z gniewu. Nawet nie przyszłoby im do głowy, by dać wiarę takim plugawym kalumniom. Ale większość mężczyzn nie miała matek takich jak Vanessa.

Od kiedy pamiętał, Tony czuł się jak człowiek, którego opisała Diane Patrick. Złe nasienie. Potomek, który wiedział, że nosi w sobie pierwiastek zła. Jednym z powodów, dla których pracował jako psycholog i profiler, było niezłomne przekonanie, że z dziecinną łatwością mógłby zostać jednym z tych ludzi, których całe swoje życie tropił, a którym potem starał się pomóc. Jego empatia nie wzięła się przecież z księżycy, a zawsze sądził, że zawdzięcza ją swoim własnym zadatkom na psychopatę.

Nie można też zapomnieć o Vanessie, która nigdy nie przepuszczała okazji, by przypomnieć mu, że jest wart mniej niż zero. Posiadał dostateczną wiedzę i doświadczenie, by rozumieć, jak bardzo podkopywała jego pewność siebie, ale nawet teoria i praktyka nie pozwalały mu z czystym sumieniem zrzucić całej winy na wychowanie i czynniki zewnętrzne. Musiała w tym maczać palce także genetyka. Ukształtowały go na równi geny i wychowanie, uwarunkowania i czynniki zewnętrzne. A teraz przynajmniej dowiedział się, ile tak naprawdę tkwi w nim tego złego nasienia.

Co więcej, pierwszy raz w życiu zdał sobie również sprawę, że jego własne wyobrażenia o ojcu były dalekie od prawdy. Wcześniej sądził, że z mężczyzną, który porzucał własne dziecko, musiało być coś poważnie nie tak. Tony był przekonany, że jest owocem związku pary poważnie popapranych ludzi, a taka spuścizna nie dawała mu wielkich szans na wydziwnięcie się poza określony poziom emocjonalny. Rewelacje Arthura zmusiły Tony'ego do tego, by w najbliższej przyszłości na nowo zdefiniował oczekiwania wobec własnej osoby. A to dlatego, że połowę swojego DNA zawdzięczał najwyraźniej porządnemu człowiekowi, który był świadomy tego, jak bardzo go zawiódł. I który był z niego dumny.

Zmiana podejścia do życia nie będzie łatwa. I zanim jeszcze skończył tę myśl, Tony zdał sobie sprawę, że każda metamorfoza wymaga określonych warunków. I że w jakiejś sferze swojego życia będzie musiał dać wyraz tej transformacji.

## ROZDZIAŁ 44

Carol obudziła się znacznie wcześniej, niż planowała. Ostatnimi czasy alkohol jakoś dziwnie na nią wpływał. Gdy była młodsza, położenie się do łóżka na rauszu gwarantowało osiem godzin nieprzytomnego, pijackiego snu. Ale obecnie, gdy wypła za dużo, spała niespokojnie i zdecydowanie za krótko. Kolejny powód, by posłuchać rady Tony'ego i przestać zaglądać do butelki, upomniała się w duchu. Miała wrażenie, że jej głowa jest otępiała i sponiewierana, a żołądek - poobijany i obolały. Niewyraźnie przypomniła sobie, że zwymiotowała, gdy nad ranem w końcu dotarła do domu.

Ale było warto. Poprzednia noc była prawdziwym świętem dla jej zespołu. Rozwiązali trudną sprawę, ocalili ludzkie życie i dali po rękach Bronwen Scott. Wisienką na torcie był telefon, który odebrał Sam od Briana Carsona, właściciela kempingu Bayview Caravan Park. Dozorca ponoć ze zdziwieniem rozpoznał zdjęcie Nigela Barnesa w wiadomościach lokalnej stacji telewizyjnej. I od razu przypomniał sobie, że pewnej nocy Barnes pojawił się u nich z dziurą w oponie. Carson uparł się, żeby pomóc nieznanemu zmienić koło pomimo zapewnień mężczyzny, że sam sobie poradzi. Carsonowi szczególnie wryła się w pamięć bela przezroczystego plastiku, paczka czarnych worków na śmieci i kilka rolek srebrnej taśmy izolacyjnej, które musieli przesunąć w bagażniku volvo typu kombi, by dostać się do zapasowego koła.

Los był ostatnio wyjątkowo łaskawy, więc czego było chcieć więcej? Carol leżała na plecach, leniwie wyciągnięta na posłaniu. Usłyszała głuchy dźwięk i poczuła lekkie łaskotanie w uchu.



- Nelson - westchnęła czule i podrapała kota za uchem.

Zamruczał i trącił ją główką. - Niech ci będzie - zgodziła się niechętnie.

- Dam ci papu.

Jej dwie komórki, prywatna i służbowa, leżały na blacie nad szufladą na sztućce. Gdy wyjęła łyżkę, Carol zauważyła, że na jej własnej komórce czeka na nią SMS: „Śniadanko? Odp jak przeczytasz. Ja już wstałem. Dzień!”.

Spojrzała na zegar. Wzrok jej nie mylił już za pierwszym razem - dopiero kwadrans po szóstej. Tony raczej nie miał w zwyczaju zrywać się z łóżka o tak wczesnej porze. Wczoraj Carol nie widziała, by wychodził z restauracji, ale wiedziała, że musiał się zmyć dość wcześnie z ich spontanicznego przyjęcia. Na próżno szukała go koło dziewiątej, gdy mieli właśnie zamówić coś do jedzenia. Zapytała Paulę, która - kto jak kto - ale najpewniej zauważyłaby, że wyszedł, ale ona akurat całą uwagę poświęcała Elinor Blessing. Co było oczywiście w dechę, ale akurat wtedy - raczej kłopotliwe.

Nałożyła Nelsonowi do miski i odpowiedziała: „U ciebie czy w knajpie?”.

„U mnie. Kielbasa i jajka” - odpisał od ręki.

„Pol godz” - wysłała w odpowiedzi. Nastawiła czajnik na gaz i poszła pod prysznic.

Trzydzieści pięć minut później, umyta, ubrana i naszprycowana proszkami przeciwbólowymi oraz niezdrową ilością kofeiny, wspięła się po schodach prowadzących z jej piwnicznego mieszkania do jego domu. Zamek w łączących drzwiach był już przekreślony. Znalazła go w kuchni, akurat gdy wyciągał z piekarnika tacę z kielbaskami. Bacznie przyjrzał się swoim kulinarnym wyczynom.

- Chyba potrzebują jeszcze pięciu minut - zawyrokował. - Czyli dokładnie tyle, ile potrwa usmażenie jajek. - Wskazał ręką na ekspres do kawy. - Mała czarna czeka na twoje rozkazy. Obsłużysz się?

Nie omieszkała. Podczas gdy Tony wbijał jajka na patelnię, Carol zrobiła im obojgu po filiżance latte i zanosła do stołu.

- Nie mogę uwierzyć, że wstałeś tak wcześnie i do tego przygotowałeś porządne śniadanie - dodała, zauważywszy talerz ciepłych bułeczek ociekających masłem.

- Całą noc nie spałem - wytłumaczył. - Poszedłem na spacer i akurat był otwarty supermarket, a i tak chciałem z tobą porozmawiać, więc pomyślałem o śniadaniu.

Carol złapała go za kluczowe słówko.

- Chciałeś ze mną porozmawiać? Proszę, tylko nie mów, że masz wątpliwości co do Diane Patrick?

- Nie, nie, nic z tych rzeczy - rzucił niecierpliwie, kładąc na talerzu jajka i wyciągając kielbaski z piekarnika. Teatralnym gestem, zapewne podpatrzonym u jednego z kelnerów, położył przed nią talerz pełen jedzenia. Carol z trudem opanowała dreszcze. - Podano do stołu, madame. Wiejskie jajka i miejscowa kielbasa dla pani.

- Nie pamiętam już, kiedy ostatnio bawiłeś się dla mnie w kucharza - skomentowała, ostrożnie próbując jedno z jajek. Smakowały lepiej, niż się spodziewała.

- W sumie - zaczął w zadumie - ja też nie. - Szybko wsunął kielbasę i połowę jajek. - Dobrze - pochwalił sam siebie, trochę zaskoczony. - Powinienem częściej pichcić.

Początkowo Carol jedynie skubała posiłek, ale z każdym kęsem z talerza znikало coraz więcej jedzenia.

- A więc o czym chciałeś ze mną pogadać?

- Muszę coś ci puścić. Ale najpierw zjedzmy. Szkoda dobrego żarcia.

- Brzmi zachęcająco - odparła.

- Zachęcająco? To zwali cię z nóg - zaoponował poważnym tonem. - I to szybciej niż wino.

Carol wmusiła w siebie resztę jedzenia i odsunęła talerz.

- No i nakarmiłam tasiemca - stwierdziła. - Pękam.

- Całkiem nieźle, zważywszy, że przyszłaś na kacu gigantcie - ironizował, zabierając talerze. Wrócił z dyktafonem i słuchawkami. - Właśnie tego musisz posłuchać.

- A co to?

- Za chwilę sama zrozumiesz - odparł, wkładając jej słuchawki na uszy i puszczając nagranie.

Gdy doszło do niej, czego słucha, szczęka jej opadła.

- Ożeż. Kurwa - wydukała. Popatrzyła na niego ze łzami w oczach. - Och, Tony... - Następnie: - Kurwa, nie wierzę własnym uszom. Jezu! - Tony

nie odezwał się nawet słowem, jedynie siedział bez ruchu, obserwując jej reakcje.

Gdy dosłuchała do końca, zdjęła słuchawki i sięgnęła po jego dłoń.

- Nic dziwnego, że nie zmrużyłeś oka - skomentowała. - Szok jak nic.

- Obydwoje twierdziliśmy, że nie wierzymy w wersję Vanessy. I jak wiadać, mieliśmy rację - odpowiedział smutnym i poważnym głosem.

- Niby tak, ale w życiu bym się nie spodziewała, że będę miała taką rację - odparła Carol. - Co zamierzasz? Przedstawisz jej to nagranie i zażądasz wyjaśnień?

Westchnął.

- Nie ma sensu. Zwyczajnie temu zaprzeczy. To w żaden sposób nie wpłynie na jej sposób bycia.

- Mówisz, jakby nic się nie stało. Nie możesz pozwolić, by uszło jej to na sucho! - zaprotestowała Carol. Jego postawa była całkowitym zaprzeczeniem jej własnych przekonań co do znaczenia sprawiedliwego osądu winnych.

- Już uszło jej to na sucho. I teraz nic tego nie zmieni. Carol, ja nie chcę jej do końca życia oglądać na oczy. Mam ochotę jedynie odciąć ją od siebie, tak jak ona odcięła mnie od Arthura.

- Dziwię się, że tak spokojnie do tego podchodzisz - zżymała się Carol.

- Miałem całą noc, by to przemyśleć - przypomniał. - To ostatnie śledztwo... niespecjalnie się popisałem. Jedyne właściwy trop, który zawarłem w profilu, to miejsce zamieszkania zabójcy. A i to zawdzięczamy Fionie Cameron, a nie mnie.

- Ty jednak wpadłeś na to, że Warren nie żyje. I dowiedziałeś się o jego wazektomii - zaoponowała.

- Sami byście w końcu się w tym połapali. Muszę spojrzeć prawdzie w oczy, że może wcale nie jestem taki dobry, za jakiego się uważam. Ostatnie kilka tygodni dały mi wiele do myślenia i zdałem sobie sprawę, że muszę całkowicie zmienić swoje życie. Dotychczas dokonywałem życiowych wyborów na podstawie błędnych, bo niekompletnych, przesłanek. Muszę wymyślić się na nowo, Carol.

W jego głosie pobrzmiewała śmiertelna powaga, której, jak Carol dobrze wiedziała, nie sposób było zlekceważyć. Uciekła się więc do metod, które opanowała najlepiej. Tych, dzięki którym stała się budzącym posłuch gliną. Najlepszą obroną jest atak.

- A co to niby znaczy, Tony? Mówisz jak polityk. Dużo wodolejstwa, żadnych konkretów.

Tony posłał jej słaby i smutny uśmiech.

- Najpierw chciałem się wytłumaczyć. Ale skoro chcesz konkretów... Zamierzam złożyć wypowiedzenie w Bradfield Moor. Chcę sprzedać łódź Arthura, bo nic mi po niej. I zamierzam przeprowadzić się do willi w Worcesterze, bo to jedyne znane mi miejsce, w którym czuję się jak w domu. A co dalej, zobaczymy.

Rozumiała poszczególne słowa, ale gdy złożyło się je do kupy, brzmiały zupełnie bez sensu. Miała wrażenie, jakby poszła spać w jednym wymiarze, by obudzić się w zupełnie innym.

- Masz zamiar zamieszkać w Worcesterze? W Worcesterze? Spędziłeś tam ledwo jedną noc i już chcesz się tam przenieść? Czyś ty zwariował?

Pokręcił głową, a na jego obliczu odmalowało się przygnębienie.

- Wiedziałem, że tak zareagujesz. I nie, nie zwariowałem.

Po prostu staram się zaplanować przyszłość, wiedząc w końcu więcej o tym, skąd wziąłem się na tym świecie. Tak wiele kwestii, których wcześniej byłem pewien, teraz wydaje się ułudą. Muszę więc spróbować pojąć, z czym zostałem.

Miała ochotę wrzasnąć: „A co ze mną?”. Ugryzienie się w język kosztowało ją wiele wysiłku. Mocno złapała za krawędź stołu i kurczowo zacisnęła wargi.

- Nie bój się, Carol. Możesz to powiedzieć. „A co ze mną?!”. Właśnie to chciałaś powiedzieć, nie?

- I właśnie dlatego nie powiedziałam - odparła, przerażona, że jej głos był tak zduszony. - Bo i tak rozumiesz mnie bez słów.

- Nie mogę podejmować za ciebie decyzji - odparł. - Wybór należy do ciebie. Wygrałaś jedną bitwę z Blakiem, ale jeszcze nie wojnę, a on nieprędko zmieni pracę. Poznałaś już Alvina Ambrose'a, rozmawiałaś też ze Stuartem Pattersonem. To porządni gliniarze, którzy przykładają się do

swojej pracy. Gdybyś potrzebowała odmiany, w West Mercia będziesz miała szerokie pole do popisu. - Nieznacznym gestem ręki zasugerował, że była to propozycja.

Carol wiedziała, że Tony prawdopodobnie nigdy nie zdobyłby się na to, by otwarcie poprosić ją o to, by z nim pojechała. Nigdy nie wierzył, że na nią zasługuje. A ona potrzebowała większej zachęty.

- Daj mi jakiś dobry powód, Tony. Co ja z tego będę miała? - Rzuciła mu wyzywające, gliniarskie spojrzenie, którym przesywała przestępców nawet na sto metrów.

Odwrócił wzrok.

- To duży dom, Carol. Znajdzie się dość miejsca dla dwojga - odparł wymijająco.

- Miejsca dla dwojga jak tutaj? Czy innego miejsca dla dwojga?

- Czekala na odpowiedź, starając się odczytać z jego twarzy jakiś znak, który dałby jej nadzieję.

Cisza. W końcu Tony podniósł chromowany dyktafon i zważył go w dłoni.

- Akurat dziś rano - zaczął powoli - wszystko zdaje się możliwe.

# Podziękowania

Wstępny pomysł na książkę zawdzięczam przypadkowej uwadze, która padła z ust doktor Gillian Lockwood. Natomiast Kelly Smith zdołała połączyć pewne fakty, otwierając przede mną całe morze możliwości - co ciekawe, dokonała tego właśnie na plaży. Jak zwykle niezastąpiona była wiedza profesor Sue Black dotycząca patologii i ustalania tożsamości. Wielkie dzięki również dla Briana i Sue z Huddersfield - i jak tu nie kochać internetu, czytając ich blog opisujący sploty po kanałach?

Pragnę również podziękować wszystkim pracownikom wydawnictwa Little, Brown, a w szczególności mojemu niezłomnemu redaktorowi - Davidowi Shelleyowi - dzięki którym ta nowa przygoda dostarczyła mi tyle przyjemności. Moc nadal jest silna w osobie Anne O'Brien, której biegłość w adiustacji jest porównywalna chyba tylko z mistrzostwem fechtunku mieczem świetlnym mistrza Yody. Podziękowania też dla Jane Gregory i jej zespołu z agencji Gregory & Co, którzy nawigowali mnie przez lekko wzburzone wody w kierunku bezpiecznej przystani.

W końcu dzięki dla Kelly i Camerona za liczne powody do śmiechu.